



WINSTON GRAHAM

DEMELZA

WINSTON GRAHAM

DEMELZA

POWIEŚĆ O KORNWALII W LATACH 1788–1790

Przełożył Tomasz Wyżyński

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2016

Spis treści

KSIEGA PIERWSZA

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

KSIĘGA DRUGA

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

KSIĘGA TRZECIA

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

KSIĘGA CZWARTA

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

KSIĘGA PIERWSZA

Rozdział pierwszy

Burza, która rozpętała się w chwili narodzin Julii, mogła być proroctwem.

Maj to nie czas wichur, lecz pogoda w Kornwalii jest wyjątkowo kapryśna. Wiosna była dość ładna, podobnie jak zima i lato poprzedniego roku – ciepła, słoneczna i łagodna. Pola pokryły się bujną zielenią. Jednak maj okazał się deszczowy i wietrzny, gdzieniegdzie ucierpiały pąki kwiatów, a źdźbła traw pochyliły się ku ziemi, jakby szukały wsparcia.

W nocy piętnastego maja Demelza poczuła pierwsze bóle, ale nawet wtedy nic nie powiedziała. Przez chwilę ścisnęła jedną z kolumniek łóżka i zastanawiała się, co się dzieje. Oczekiwała na zbliżający się poród z filozoficznym spokojem i nigdy nie niepokoila Rossa fałszywymi alarmami. Teraz również nie chciała tego robić. Poprzedniego wieczoru pracowała w swoim ukochanym ogrodzie, gdzie okopywała młode rośliny, a o zmroku znalazła małego jeża i bawiła się z nim. Usiłowała go karmić chlebem i poić mlekiem. Wróciła do domu dopiero wtedy, gdy niebo się zachmurzyło i zrobiło się zimno.

Bóle, które pojawiły się w środku nocy, mogły być po prostu skutkiem zmęczenia.

Ale kiedy poczuła się tak, jakby ktoś klęczał na jej kręgosłupie i próbował go złamać, zrozumiała, że jest inaczej.

Dotknęła ramienia Rossa. Natychmiast się obudził.

– Co tam?

– Chyba musisz iść po Prudie – powiedziała.

Usiadł.

– Dlaczego? Czyżby...

– Mam bóle – odrzekła spokojnie. – Myślę, że powinieneś iść po Prudie.

Szybko wstał i usłyszała trzask krzesiwa. Po chwili hubka się zatliła i Ross zapalił świecę. Płomyk oświetlił sypialnię: grube drewniane belki na suficie, kotarę nad drzwiami poruszającą się z powodu przeciągu, niski fotel pod oknem obity szorstkim materiałem z wełny, buty zrzucone z nóg przez Demelzę, jeden odwrócony podeszwą do góry, teleskop Joshui, fajkę Rossa, książkę Rossa, chodzącą muchę.

Popatrzył na żonę i od razu zrozumiał. Uśmiechnęła się blado, przepraszająco. Podszedł do stolika przy drzwiach i nalał jej kieliszek brandy.

– Wypij. Wyślę Juda po doktora Choake’a. – Zaczął się ubierać.

– Nie, nie, Ross. Nie wzywaj go jeszcze. Jest środek nocy. Na pewno śpi.

Już od kilku tygodni sprzeczała się, czy poród powinien odbierać Thomas Choake. Demelza dobrze pamiętała, że jeszcze rok temu pracowała w Namparze jako służąca. Choake, choć był tylko medykiem, miał niewielką posiadłość zakupioną za posag żony, co sprawiało, że gardził osobami z niższych klas społecznych takimi jak Demelza. Co prawda później poślubiła Rossa i stała się panią Poldark. Potrafiła grać dobrze wychowaną, kulturalną damę i robiła to zręcznie, lecz przed doktorem niczego by nie ukryła. Gdyby poczuła naprawdę okropny ból, niemal na pewno przeklinałaby jak dawniej słowami, których nauczyła się od ojca, a nie tylko wołała „Na Boga!” albo „Ojej!” niczym egzaltowana dama cierpiąca na migrenę. Demelza nie wyobrażała sobie, że może urodzić dziecko, jednocześnie udając kulturalną żonę właściciela ziemskiego.

Poza tym nie chciała, by poród odbierał mężczyzna. Wydawało jej się to nieprzystojne. Szwagierka Elizabeth korzystała z pomocy Choake’a, lecz była arystokratką z krwi i kości, a członkowie jej klasy patrzyli na wszystko inaczej. Demelza wolałaby, by towarzyszyła jej stara ciotka Betsy Triggs z Mellin, która handlowała sardynkami i miała duże doświadczenie w odbieraniu porodów.

Jednak Ross okazał się bardziej uparty i postawił na swoim. Demelza spodziewała się, co powie.

– W takim razie Choake się obudzi! – rzucił szorstko i wyszedł z sypialni.

– Ross! – zawołała za nim. Ból na chwilę ustał.

– Tak? – Światło świecy padało na jego prawy policzek, na którym widniała stara blizna. Miał mocno zarysowaną szczękę, inteligentną twarz i ciemne, zmierzwiłone włosy z leciutkim miedzianym odcieniem; nie zapiął koszuli pod szyją. Pomyślała, że jest największym arystokratą spośród nich wszystkich... Była dumna, że łączy ją prawdziwa bliskość z tym pełnym rezerwy mężczyzną...

– Czy mógłbyś? – spytała. – Zanim wyjdiesz...

Podszedł z powrotem do łóżka. Wyrwany nagle ze snu, czuł zdenerwowanie z powodu zbliżającego się porodu, lecz również ulgę, że wszystko wkrótce się skończy. Kiedy pocałował żonę, zauważył kropelki potu na jej twarzy. Przepelił go lęk i współczucie. Ujął w dłonie twarz Demelzy, odgarnął czarne włosy i spoglądał przez chwilę w jej ciemne oczy. Nie płonął w nich psotny ogień, który często się tam pojawiał, ale nie było też strachu.

– Niedługo wrócę. Wrócę jak najszybciej.

Demelza machała dłonią na znak sprzeciwu.

– Nie, Ross, nie. Po prostu idź i zawołaj Prudie, to wszystko. Wolę... wolę, żebyś mnie nie widział w tym stanie.

– A co z Verity? Chciałaś, żeby była przy tobie Verity.

– Powiesz jej rano. Nie powinniśmy jej tu ściągać w środku nocy. Poślij po nią rano.

Znów ją pocałował.

– Powiedz, że mnie kochasz, Ross – poprosiła.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Wiesz, że cię kocham!

– I powiedz, że nie kochasz Elizabeth.

– Nie kocham Elizabeth. – Co innego miał powiedzieć, skoro sam nie znał prawdy? Nie lubił ujawniać swoich najskrytszych uczuć, lecz teraz nie potrafił pomóc żonie i mógł tylko wesprzeć ją słowami. – Jesteś dla mnie najważniejsza na świecie – rzekł. – Pamiętaj o tym. Moi krewni, przyjaciele... a także Elizabeth, dwór i kopalnia... dla ciebie rzuciłbym to wszystko w diabły i ty o tym wiesz... musisz wiedzieć. A jeśli nie wiesz, to zmarnowałem spędzone z tobą miesiące i nie zmienią tego żadne słowa, które mógłbym wypowiedzieć. Kocham cię, Demelzo, i jestem z tobą bardzo szczęśliwy. I dalej będziemy szczęśliwi. Pamiętaj o tym, najdroższa. Nikt inny nie może dać mi szczęścia, pamiętaj o tym.

– Będę o tym pamiętać, Ross – odparła, zadowolona, że to usłyszała.

Jeszcze raz ją pocałował, po czym odwrócił się i zapalił więcej świec. Wyszedł szybko z sypialni, gorący воск kapał mu na rękę. W ciągu nocy wiatr osłabł i czuł tylko słabe poddmuchy. Nie wiedział, która jest godzina, lecz miał wrażenie, że było koło drugiej.

Otworzył drzwi w sieni i wszedł do sypialni, gdzie spali Jud i Prudie. Źle dopasowane drzwi uchyliły się z przeciągłym skrzypnięciem, które zlało się z powolnym chrapaniem Prudie. Ross prychnął z niesmakiem, zde gustowany smrodem potu i ginu. Nocne zimne powietrze może być groźne, lecz mogli przewietrzyć przynajmniej w ciągu dnia.

Podszedł do łóżka, rozsunął zasłony, chwycił Judę za barki i nim potrząsnął. Dwa wielkie przednie zęby służącego przywodziły na myśl nagrobki. Znów nim potrząsnął, tym razem gwałtownie. Judowi spadła z głowy szlafmyca i na łysą czaszkę skapnęła kropla wosku. Obudził się. Zaczął przeklinać, po czym zobaczył Rossa, usiadł i potarł się ręką po głowie.

– Co tam, panie?

– Demelza źle się czuje. – Czy mógł nazywać żonę panią w rozmowie z człowiekiem, który pracował w Namparze, gdy pojawiła się jako trzynastoletnia obdarta znajda? – Masz natychmiast pojechać po dok-

tora Choake'a. I obudź Prudie. Ona też będzie potrzebna.

– Co jej dolega?

– Ma bóle porodowe.

– Aaa, takie buty... – Jud zmarszczył brwi i przyjrzał się grudce wosku zeszkrobanej z czaszki. – Ja i Prudie damy se radę, panie. Prudie zna się na porodach. Ludziska zawsze robią o to moc hałasu, ale z czasem można się nauczyć. Nie jest to łatwe, ale jak się chwyci, o co chodzi...

– Wstawaj!

Jud wygramolił się z łóżka, czując, że Ross może za chwilę wpaść we wściekłość. Obudzili Prudie, która wytarła nos rogiem koszuli nocnej. Na jej wielką lśniącą twarz opadały tłuste czarne włosy.

– O Boże jedyny, zajme się naszą kruszynką. Biedna dziewczeczka. – Wkładała na koszulę brudny płaszcz. – Wiem, jako było z moją mateńką. Opowiadała, jakem się rodziła. Ciężko wychodziłam. Gadała, że okrutnie się męczyłam. Wyglądałam jak biedna myszka i nikt nie wierzył, że doczekam chrztu...

– Idź do niej jak najszybciej! – rozkazał Ross. – Wyprowadzę Czarnulkę ze stajni. Chcesz jechać na oklep, Jud?

– Może jeszcze z gołymi nogami? – odparł ponuro służący. – Wystarczy, że koń raz się potknie po ciemniaku, a potem człek spada na łeb, łamie kark i co wtedy?

Ross zbiegł po schodach. Po drodze spojrzął na nowy zegar, który kupił z Demelzą do salonu. Była za dziesięć trzecia. Niedługo świt. Dzień powinien przynieść trochę ulgi, bo przy świecach wszystko wydaje się groźniejsze.

W stajni osiodłał drżącymi rękoma Czarnulkę, powtarzając sobie, że przechodzi przez to każda kobieta: we wsiach otaczających Namparę ciężę i porody następowały rok po roku z nużącą regularnością. Musiał osiodłać konia dla Juda. Jeśli ten dureń spadnie, może wrócić dopiero za kilka godzin. Sam pojechałby po Choake'a, ale obawiał się zostawić Demelzę samą z Paynterami.

Jud stał koło krzaka bzu przed wejściem do dworu i zapinał spodnie.

– Nie wiem, czy zobacze droge – powiedział. – Ciemno jak w dupie. Po prawdzie, trzeba mi latarni na żerdzi. Długiej żerdzi, cobym se...

– Wskakuj na konia, bo dostaniesz żerdzią po łbie!

Jud zajął miejsce w siodle.

– Co robić, jak doktor nie będzie chciał przyjechać?

– Przywieź go siłą – odpowiedział Ross i klepnął Czarnulkę w zad.

Kiedy Jud przejechał przez bramę dworu w Fernmore, gdzie mieszkał Thomas Choake, zauważył z pogardą, że budynek jest niewiele większy od dużego wiejskiego domu, choć doktor zachowywał się tak wyniośle, jakby mieszkał w pałacu Blenheim. Zsiadł i zastukał do drzwi. Dom otaczały wielkie sosny, a wrony i kawki już się obudziły i latały dokoła, skrzecząc głośno. Jud uniósł głowę i pociągnął nosem. Przez cały poprzedni dzień ptaki w Namparze również były niespokojne.

Po siódmym uderzeniu nad drzwiami zaskrzypiało okno i pojawiła się głowa w szlafmicy jak kukółka wyskakująca z zegara.

– Cóż to, człowieku?! O co chodzi?! Czemu robisz taki piekielny hałas?!

Jud poznał po głosie i nastroszonych brwiach, że obudził właściwego ptaszka.

– Przysłał mnie kapitan Poldark – odpowiedział. – Dem... eee... pani Poldark zachorzała i jest pan migiem potrzebny.

– Jaka pani Poldark, gamoniu? Co za pani Poldark?

– Pani Demelza Poldark. Z Nampany. Niedługo ma rodzić.

– I co z nią? Źle się czuje?

– Tak. Przyszedł jej czas.

– Bzdury, gamoniu! Widziałem ją w zeszłym tygodniu i mówiłem kapitanowi Poldarkowi, że poród będzie dopiero w czerwcu. Przekaż im, że podtrzymuję swoje zdanie.

Okno się zatrzasnęło.

Jud Paynter zajmował się głównie sobą i nie interesowało go prawie nic innego, ale czasami przypadek sprawiał, że robił coś pożytecznego. Tym razem tak właśnie było. Zbliżający się poród Demelzy spowodował, że w zimną majową noc Ross wyrzucił go na dwór z ciepłego łóżka bez kapki rumu na drogę, lecz teraz Jud przypomniał sobie, że Ross jest jego panem, a Demelza córką górnika.

Trzy minuty później doktor Choake znów wystawił głowę przez okno.

– Cóż znowu, gamoniu?! Rozbijesz drzwi!

– Kazali mi pana przywieźć.

– Bezcelny łotrze! Każę cię wychłostać!

– Gdzie pana chabeta? Wyprowadze zwierze, a pan nakładaj galoty.

Medyk cofnął głowę. Po chwili w tle rozległ się sepleniący głosik Polly Choake i w oknie mignęła pokryta loczkami głowa. Naradzali się. W końcu Choake zawołał chłodnym tonem:

– Musisz zaczekać, gamoniu! Zejdziemy za dziesięć minut.

Jud wystarczająco dobrze znał szczególne słownictwo medyka, by rozumieć, że Choake ma na myśli tylko siebie.

Wyruszyli dwadzieścia jeden minut później w lodowatym milczeniu. Gawrony w dalszym ciągu krążyły po niebie, kracząc; w okolicy kościoła w Sawle panował wielki hałas. Wstawał świt. Na północnym wschodzie ukazały się zielonkawe pastwiska, a na wschodzie zapłonęła jasnopomarańczowa luna zwiastująca rychły wschód słońca. Po wichurach ostatnich dni poranek zdawał się dziwnie spokojny. Kiedy mijali kopalnię Grambler, wyprzedzili grupę dziewcząt, które szły ze śpiewem do pracy przy sortowaniu rudy – ich czyste, młode głosy wydawały się słodkie jak poranek. Jud zauważył, że wszystkie owce Willa Nanfana stłoczyły się w najbardziej osłoniętym narożniku pola.

Spokojna jazda nieco złagodziła irytację doktora Choake'a, bo po przybyciu do Nampary nie skarżył się, lecz sztywno powitał Rossa i poczłapał na górę. W sypialni przekonał się, że nie był to fałszywy alarm. Spędził pół godziny z Demelzą, tłumacząc, że powinna być dzielna i że nie ma się czego obawiać. Później, ponieważ wydawała się zdenerwowana i spocona, zaczął podejrzewać gorączkę i dla pewności puścił jej krew. Zabieg sprawił, że poczuła się bardzo źle, co usatysfakcjonowało Choake'a, ponieważ, jak stwierdził, to dowód, że w organizmie Demelzy krążyły złe humory, a jego kuracja zapobiegła rozwojowi febry. Powinna co godzinę pić napar z kory peruwiańskiej, aby zapobiec nawrotowi gorączki. Później pojechał do domu na śniadanie.

Ross polewał się wodą pod pompą, próbując zmyć miazmaty nocy, a kiedy wrócił do dworu, zauważył tęgiego mężczyznę jadącego konno w górę doliny. Zawołał Jinny Carter, która codziennie przychodziła pracować w domu i dopiero co przybyła.

– To doktor Choake?

Jinny pochyliła się nad własnym dzieckiem, które przyniosła w nosidełku na plecach i umieściła w koszu w kuchni.

– Tak, panie. Powiedział, że dziecko urodzi się najwcześniej przed obiadem. Ma wrócić przed dziewiątą albo dziesiątą.

Ross odwrócił się, by ukryć irytację. Jinny patrzyła na niego z oddaniem.

– Kto ci pomagał rodzić dzieci? – spytał.

– Matka, panie.

– Mogłabyś ją przyprowadzić, Jinny? Chyba bardziej ufam twojej matce niż temu staremu durniowi.

Zarumieniła się zadowolona.

– Tak, panie. Zaraz po nią pójde. Bardzo chętnie przyjdzie. – Zrobiła ruch, jakby chciała odejść, po czym popatrzyła na córeczkę.

– Dopilnuję, żeby nic jej się nie stało – powiedział Ross.

Spoglądała na niego przez chwilę, wreszcie chwyciła biały czepek i wybiegła z kuchni.

Ross zajrzał do niskiej sieni i stanął u stóp schodów, lecz nie podobała mu się panująca cisza. Wszedł do salonu, nalał sobie kieliszek brandy, spojrzął na Jinny podążającą szybkim krokiem w stronę Mellin i wrócił do kuchni. Mała Kate leżała na plecach, wierzgała, gaworzyła i śmiała się do niego. Miała dziewięć miesięcy i nigdy nie widziała ojca, który odsiadywał w więzieniu w Bodmin dwuletni wyrok za kłusownictwo. W odróżnieniu od dwojga starszych dzieci, podobnych do ojca, mała Kate odziedziczyła wygląd po Martinach: miała piaskowe włosy, błękitne oczy i drobniutkie piegi na czubku perkatego noska.

Tego ranka nie rozpalono ognia i nie przygotowano śniadania. Ross rozgrzebał popiół, lecz nie tlił się w nim żar, toteż wziął trochę chrustu służącego za podpałkę i zaczął krzesać ogień, zastanawiając się z irytacją, gdzie się podział Jud. Wiedział, że potrzebna będzie gorąca woda, ręczniki i miednice; niczego nie przygotowano. Niech diabli porwą impertynencję Choake’a, który nie raczył nawet porozmawiać z Rossem przed odjazdem.

Od pewnego czasu ich relacje były chłodne. Ross nie lubił infantylnej żony doktora, która plotkowała na temat Demelzy, a gdy kogoś nie lubił, trudno mu było to ukryć. W tej chwili wściekał się, że jest na łasce i niłasce upartego, napuszonego głupca, jedyne go lekarza w okolicy.

Kiedy rozpalił ogień, do kuchni wszedł Jud. Przez otwarte drzwi wpadły do domu podmuchy wiatru.

– Duże jak diabli – powiedział służący, spoglądając na Rossa przekrwionymi oczyma. – Widział pan te długie czarne fale, co?

Ross niecierpliwie skinął głową. Od wczorajszego popołudnia morze dziwnie się zachowywało.

– Fale się łamio nie tak jak zawsze. Chyba nigdy czego takiego nie widział. Jakby ich kto chłostał batem. Ni ma już martwej fali i morze jest bielutkie jak broda starego Joego Triggsa.

– Popilnuj Kate, Jud – powiedział Ross. – I przygotuj śniadanie. Ja idę na górę.

Ross przez cały czas słyszał szum wiatru wiejącego nad oceanem. Kiedy wyjrzał przez okno sypialni, zauważył, że martwa fala rzeczywiście zniknęła i morze pokrywają drobne fale pokryte białą pianą. Nieustannie wpadały na siebie, zderzały się pod różnymi kątami i łamały. Wiatr nad lądem nie był jeszcze silny, lecz na morzu widać było gdzieniegdzie wiry powietrzne unoszące się nad powierzchnią wody, groźne, przypominające spiralne kłęby dymu.

Kiedy przebywał w sypialni, Demelza z całych sił starała się zachowywać normalnie, ale wiedział, że chce, by wyszedł. Nie mógł jej pomóc.

Niepocieszony zszedł na dół i powitał panią Martin, żonę Zacky’ego, matkę Jinny, kobietę o płaskiej twarzy, w okularach. Weszła do kuchni wraz z pięciorgiem dzieci – dwojgiem starszych dzieci Jinny i trojgiem własnych – i wyjaśniła Rossowi, że nie miała ich z kim zostawić. Kichnęła, przywitała się z Judem, spytała o Prudie, skomentowała, że czuć smażoną wieprzowinę, spytała, jak się czuje Demelza, i stwierdziła, że jest trochę zakatarzona, ale przed wyjściem z domu wypila rozgrzewający napar. Zakałała rękawy, kazała Jinny przygotować wywar z jarmużu i napar z serdecznika, pomagające kobietom w czasie porodu bardziej niż wszelkie medykamenty ordynowane przez lekarzy, a następnie poszła na górę, nim ktokolwiek się odezwał.

Wylęknione dzieci zajęły wszystkie krzesła w kuchni. Siedziały, przywodząc na myśl kręgle na jarmarku, które za chwilę zostaną przewrócone. Jud podrapał się po głowie, splunął w ogień i zaklął.

Ross wrócił do salonu. Na stole leżała robótka na szydełku, którą Demelza zajmowała się poprzedniego wieczoru, a obok leżało czasopismo o modzie pożyczone przez Verity – nowość przywieziona z Londynu. Salon wydawał się trochę zakurzony i panował w nim lekki bałagan.

Był kwadrans po szóstej.

Tego ranka nie śpiewały ptaki. Przed chwilą na trawę padł promień słońca, lecz szybko zgasł. Ross popatrzył na wiązy, które kiwały się do przodu i do tyłu w szaleńczym tempie. Jabłonie znajdujące się w bardziej osłoniętym miejscu wyginały się w spokojniejszym rytmie. Po niebie pędziły ciężkie obłoki.

Wziął do ręki książkę. Przebiegł wzrokiem stronicę, lecz niczego nie zrozumiał. W dolinie zaczął wycić wiatr. Do salonu weszła pani Martin.

– I co?

– Jest dzielna, kapitanie. Prudie i ja damy sobie radę, niech się pan nie turbuje. Nim stary doktor Tommie wróci, będzie po wszystkim.

Ross odłożył książkę.

– Jesteś pewna?

– Cóż, urodziłam jedenastkę dzieciaków, a potem odbierałam trójkę Jinny. Do tego bliźniaki Betty Nanfan i czwórkę Sue Vigus, pierwsze trzy nieślubne. – Pani Martin zabrakło palców, by liczyć odebrane porody. – To nie będzie proste, nie jak u Jinny, ale dobrze się sprawimy, niech się pan nie boi. Wezmę brandy i dam dziewczynie kapkę, by się uspokoiła.

Dwór nagle zadrżał w porywie wichury. Ross stał i spoglądał na burzowy poranek. Narastająca w nim złość na Choake'a szukała ujścia niczym nadchodzący sztorm. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że Demelzie nic nie będzie, ale rozwścieczała go myśl, że nie ma przy niej lekarza. Cierpiała, a pomagały jej tylko dwie stare niezdarne kobiety.

Poszedł do stajni, prawie nie zwracając uwagi na zaczynający się sztorm.

Zatrzymał się przed wrotami stajni i popatrzył na plażę Hendrawna. Spostrzegł, że przy brzegu tryskają w górę fontanny pyłu wodnego, zdmuchiwane przez wichurę. Część klifów zasnuwały obłoki.

Otworzył wierzeje, lecz wiatr wyrwał mu je z rąk i zatrzaskał. Ross zatoczył się i oparł o ścianę stajni. Rozejrzał się i zrozumiał, że wichura jest zbyt silna, by mógł jechać konno. Ruszył piechotą w górę doliny. Miał do przebycia zaledwie trzy kilometry.

Gdy skręcił za róg dworu, obsypał go grad grudek ziemi, liści, trawy i niewielkich gałązek. Za jego plecami wicher wydzierał morzu ogromne łyki wody i ciskał je w niebo. Kiedy indziej Ross niepokoiłby się szkodami w uprawach, lecz teraz wydawało się to drobnostką. Nie była to zwykła wichura, tylko nagły huragan, jakby wściekłość gromadząca się od miesięcy musiała znaleźć ujście i wyładować się w ciągu godziny. W strumieniu leżał ułamany konar wiązu. Ross minął go, zastanawiając się, czy zdoła dotrzeć do szczytu wzgórza.

Usiadł wśród zrujnowanych budynków kopalni Wheal Maiden, łapał oddech i masował posiniaczoną dłoń, a tymczasem wiatr wyrwał kawałki zaprawy murarskiej z ponurych ścian z granitowego ciosu i wył ogłuszająco w dziurach i szczelinach.

Minąwszy sosnowy zagajnik, Ross poczuł straszliwą siłę wichury wiejącej nad równiną Grambler, niosącej krople wody, piasek i żwir. Miał wrażenie, że huragan orze ziemię i porywa sypką glebę, młode liście i drobne kamienie. Ciemne, podobne do podartych szmat obłoki, z których padały strumienie deszczu, pędziły po niebie, jakby uciekały przed gniewem Boga.

We dworze w Fernmore doktor Choake siadał do śniadania.

Zjadł nerki cielece i pieczoną szynkę i zastanawiał się, czy spróbować wędzonego dorsza, nim służąca zanieśie go żonie, która miała zwyczaj spać do późna i spożywać śniadanie w łóżku. Poranna przejażdżka

do Nampary sprawiła, że bardzo zgłodniał, więc po powrocie zrobił awanturę, że nie czeka na niego posiłek. Uważał, że służące należy trzymać krótko, bo w przeciwnym wypadku tyją i stają się leniwe.

Głośne pukanie do drzwi prawie utonęło w wyciu wichury.

– Jeśli to ktoś do mnie, Nancy, nie ma mnie w domu – rzekł z irytacją, marszcząc brwi.

– Tak, panie doktorze.

Powąchał dorsza i postanowił go skosztować, zirytowany, że musi go sam sobie nałożyć. Zrobiwszy to, oparł brzuch o blat stołu i przełknął pierwszy kęs, gdy wtem za jego plecami rozległo się przeproszające kasznięcie.

– Bardzo przepraszam, panie doktorze. Kapitan Poldark...

– Powiedz mu, że... – Doktor Choake uniósł wzrok i zobaczył w lustrze wysokiego, ociekającego wodą mężczyznę stojącego za plecami przerażonej pokojówki.

Ross wszedł do jadalni. Zgubił kapelusz i miał podartą ozdobną lamówkę na mankiecie surduta. Ociekał wodą, która skapywała na najlepszy turecki dywan doktora Choake'a.

Ale w jego oczach było coś, co sprawiło, że Choake nie zwrócił uwagi na mokry dywan. Poldarkowie byli kornwalijską arystokracją z dwustuletnią tradycją, a Choake, mimo swoich póż, pochodził z prostej rodziny.

Wstał.

– Przerwywam panu śniadanie – rzekł Ross.

– Czy coś się stało?

– Jak pan pamięta, uzgodniliśmy, że będzie pan obecny w czasie porodu mojej żony – ciągnął Ross.

– Cóż, wszystko jest w porządku! Dokładnie zbadałem pacjentkę. Dziecko urodzi się dziś po południu.

– Wynająłem pana jako chirurga, by asystował pan mojej żonie, a nie jako wędrownego cyrulika.

Choake'owi pobladły wargi. Zwrócił się w stronę Nancy, która spoglądała na Rossa z otwartymi ustami.

– Podaj kapitanowi Poldarkowi kieliszek porto.

Nancy czmychnęła.

– O co ma pan do mnie pretensje? – Choake wpatrywał się w Rossa, usiłując zbić go z tropu. Poldark nie miał pieniędzy i był ciągle młodzikiem. – Leczyliśmy pana ojca, stryja, brata stryjecznego i jego żonę, siostrę stryjeczną Verity. Żadne z nich nigdy nie kwestionowało moich kuracji.

– Ich opinie to ich sprawa. Gdzie pańska opończa?

– W czasie takiej wichury nie można jechać konno, człowieku! Niech pan spojrzy na siebie! Nie utrzymam się w siodle!

– Powinien pan o tym myśleć, gdy opuszczał pan Namparę.

Otworzyły się drzwi i stanęła w nich Polly Choake z wałkami na głowie, ubrana w poranną jasnoczerwoną suknię.

– Ach, kapitan Poldark! Nie miałam pojęcia o pana psybyciu! Doplawdy, stłasn timer wygląda! Bal-dzo mnie niepokoi ten wiatl! Tom, mam nadzieję, że dach nie spadnie mi na głowę! Nie wyglądałabym ładnie!

– Nie wyglądasz ładnie, kręcąc się koło drzwi – rzucił zirytowany mąż. – Wejdz albo wyjdz, ale wreszcie się na coś zdecyduj, na litość boską!

Polly wydeła wargi, weszła, popatrzyła kątem oka na Rossa i dotknęła swoich włosów. Zatrzasnęły się za nią drzwi.

– Nigdy się nie psyswycaję do tych wasych kolnwalijskich wiatłów, a ten to plawdziwy demon. Jenkin mówi, że zelwał jus pięć stszech i na pewno będzie więcej. Jak się czuje pana żona, kapitanie?

Choake zdjął domową myckę i włożył perukę.

– Nie utrzyma się na wietrze – zauważył Ross.

– Nie wychodzisz, plawda, Tom? Nie mośes opuszczać domu w taką pogodę! Pomyśl o głośnie padających dszew!

– Kapitan Poldark denerwuje się o swoją żonę – odparł beznamiętnie Choake.

– Ale cy na pewno musis znowu tam jechać tak sybko? Pamiętam, że dziecko ma się ulodzić dopiero za cteldzieści osiem godzin!

– W takim razie pani mąż poczeka czterdzieści osiem godzin – rzucił Ross. – Taki mam kaprys.

Chirurg z irytacją zdjął fioletowy strój poranny i włożył surdut. Potem wyszedł, by przynieść torbę lekarską i płaszcz do jazdy konnej. O mało nie potracił Nancy, która niosła tacę z porto.

W czasie marszu do Nampary wiało nieco z ukosa. Choake zgubił perukę i kapelusz, lecz Ross zdołał chwycić perukę i schować pod opończą. Kiedy wspięli się na wzniesienie w pobliżu Wheal Maiden, obaj byli przemoczeni do suchej nitki i z trudem łapali oddech. Dotarli do drzew, zauważyli przed sobą drobną postać w szarym płaszczu.

– Nie powinnaś wychodzić dziś z domu, Verity – rzekł Ross, gdy zbliżyli się do jego siostry stryjecznej, która stała oparta o drzewo.

Uśmiechnęła się z sympatią do Rossa.

– Powinieneś wiedzieć, że nie da się utrzymać w tajemnicy narodzin dziecka. Betty, córka pani Martin, widziała Juda i doktora Choake’a, gdy szła do kopalni, i powiedziała żonie Bartle’a. – Verity oparła mokrą głowę o pień drzewa. – Nasza obora się zawałiła i ulokowaliśmy dwie krowy w gorzelni. Wichura zerwała dach kopalni Digory’ego, ale chyba nikt nie jest ranny. Jak się czuje Demelza, Ross?

– Ufam, że dość dobrze. – Wziął Verity pod rękę i ruszyli za medykiem, który szedł między drzewami, potykając się i walcząc z podmuchami wiatru. Ross często żartował, że gdyby było to możliwe, poprosiłby o rękę właśnie kuzynkę, bo jej dobroć i wspaniałomyślność zawsze wywierały na niego łagodzący wpływ. Zaczynał się wstydzić swojego gniewu. Tom Choake miał pozytywne strony i oczywiście znał się na medycynie lepiej od żony Zacky’ego Martina.

Zrównali się z Choakiem przy ułamanym konarze wiązu. Wiatr powalił dwie jabłonie i Ross zastanawiał się, jak zareaguje Demelza, gdy zobaczy, co zostało z jej wiosennych kwiatów.

Gdy już będzie mogła wyjść...

Przyśpieszył kroku, znów czując przypływ irytacji. Pomyślał o kobietach biegających po domu i bezradnej, cierpiącej z bólu żonie. I o tym, że Choake odjechał bez jednego słowa.

Kiedy weszli do dworu, zauważyli Jinny wbiegającą po schodach z miednicą gorącej wody; wylała trochę w pośpiechu na podłogę sieni. Dziewczyna nawet na nich nie spojrzała.

Doktor Choake nie wydawał się zdenerwowany. Wszedł do salonu, zajął miejsce na pierwszym z brzegu fotelu i usiłował złapać oddech. Popatrzył wściekle na Rossa i powiedział:

– Dziękuję za uratowanie peruki.

Ross nalał trzy kieliszki brandy. Pierwszy zaniósł Verity, która padła bezwładnie na fotel. Jej puszyste, ciemne włosy ociekały wodą w miejscach, gdzie nie zakrywał ich kaptur płaszcza. Uśmiechnęła się do Rossa.

– Pójdę na górę, gdy doktor Choake będzie gotowy – powiedziała. – Później, jeśli wszystko potoczy się dobrze, przygotuję coś do jedzenia.

Choake wypił brandy i nadstawił kieliszek, prosząc o dolewkę. Ross napełnił kieliszek, wiedząc, że trunek dobrze wpływa na umiejętności medyczne lekarza.

– Zjemy razem śniadanie – rzekł medyk, ciesząc się na myśl o posiłku. – Pójdziemy na górę, uspokoiemy wszystkich, a potem zjemy śniadanie. Co podacie?

Verity wstała i zdjęła opończę. Miała na sobie prostą suknię z szarej bawełny; dół był zachlapany bło-

tem, ale Ross patrzył na twarz kuzynki. Pojawił się na niej zdziwiony, skupiony wyraz, jakby przed chwilą miała wizję.

– Co się stało?

– Ross, zdaje mi się, że słyszałam...

Wszyscy zaczęli nasłuchiwać.

– Och, w kuchni są dzieci – odpowiedział ostro Ross. – W spiżarni, nawet w garderobie. Są w różnym wieku.

– Pst! – szepnęła Verity.

Choake sięgnął po torbę. Poruszał się niezgrabnie i hałaśliwie.

– To niemowlę! – rzekła nagle Verity. – Noworodek!

Znowu zaczęli nasłuchiwać.

– Musimy iść do pacjentki – odezwał się Choake, nagle skrepowany i niezbyt nieszczerzy. – Po powrocie możemy zjeść śniadanie.

Otworzył drzwi. Ross i Verity ruszyli za nim, lecz zatrzymali się u podnóża schodów.

Na najwyższym stopniu stała Prudie. Ciągle była w koszuli nocnej i płaszczu przypominającym olbrzymi worek. Pochyliła się i spojrzała w dół. Jej różowa, pulchna twarz lśniła od potu.

– Skończyłam! – zawołała tubalnie. – Dziewczynka! Mamy dla pana córeczkę! Najpiękniejsze maleństwo, jakem widziała! Troche posiniaczyłam jej buzie, ale jest silna jak młody żreback! To ona się tak drze!

Przez chwilę panowało milczenie. Wreszcie Choake groźnie odchrząknął i postawił krok na pierwszym stopniu schodów. Ross odepchnął go i popędził na górę.

Rozdział drugi

Gdyby Julia zdawała sobie z tego sprawę, uznałaby, że przyszła na świat w dziwnej krainie.

Sztorm zniszczył prawie wszystkie kielkujące rośliny. Straszliwa wichura niosła tyle soli, że nic nie zdołało jej się oprzeć. Młode, zielone liście drzew czerniały i więdły, a później szeleściły w podmuchach wiatru jak suchy papier. Poczerniały nawet mlecze i pokrzywy. Sól spaliła trawę i ziemniaki; groch i fasola pomarszczyły się i zwiędły. Pąki róż nigdy się nie otworzyły, a strumieniem płynęły szczątki zamordowanej wiosny.

Lecz w Namparze, w małym świecie czterech ścian, barwnych kotar i ludzkich szeptów, triumfowało życie.

Przyjrząwszy się dokładnie córeczce, Demelza doszła do wniosku, że jest zdrowa i śliczna; rany na buzi powinny szybko się zagoić. Nikt nie wiedział, jak długo to potrwa – Ross w głębi serca podejrzewał, że mogą pozostać trwałe ślady – jednak Demelza, nastawiona bardziej optymistycznie, popatrzyła na siniaki, a później na krajobraz za oknem, po czym doszła do wniosku, że z czasem natura zdziała cuda. Postanowili odłożyć chrzciny do początku lipca.

Miała pewien pomysł związany z tą uroczystością. Elizabeth wyprawiła wielkie przyjęcie z okazji chrzcin Geoffreya Charlesa. Demelza nie brała w nim udziału, ponieważ wydano je cztery lata temu, a wtedy była jeszcze nikim dla rodu Poldarków, ale nie zapomniała opowieści Prudie o możliwych gościach, których zaproszono, o wielkich bukietach kwiatów przywiezionych z Truro, o wspaniałej uczcie, winach i wzniosłych oracjach. Teraz, gdy już zadebiutowała w eleganckim towarzystwie, nie było powodu, by nie wyprawić równie wystawnego, a może nawet piękniejszego przyjęcia dla ich dziecka.

Postanowiła przekonać Rossa, by urządzili dwa przyjęcia.

Nawiązała rozmowę na ten temat cztery tygodnie po narodzinach Julii, gdy pili herbatę na murawie przed frontowymi drzwiami dworu w Namparze, a Julia smacznie spała w cieniu krzaka bzu.

Ross spojrział na nią ze zdziwieniem.

– Dwa przyjęcia? – spytał z uśmiechem. – Przecież nie mamy bliźniąt.

Demelza patrzyła mu przez chwilę w oczy, a potem wbiła wzrok w filiżankę.

– Nie, ale nasze rodziny do siebie nie pasują, Ross. Twoja rodzina to arystokraci, a moja górniczy. Nie powinniśmy ich zapraszać jednocześnie, bo to jak mieszanie śmietany i... cebuli. Ale osobno jedni i drudzy są dość mili.

– Lubię cebulę i nie przepadam za śmietaną – odpowiedział Ross. – Wydajmy przyjęcie dla ludzi ze wsi: Martinów, Nanfanów, Danielów. Są dużo więcej warci niż opaśli dziedzice i ich wysztafirowane żony.

Demelza rzuciła kawałek chleba niezdarnemu psu siedzącemu w pobliżu.

– Garrick nie wygląda dobrze po walce z buldogiem pana Treneglosa – zauważyła. – Na pewno nie stracił wszystkich zębów, ale łyka jedzenie jak mewa i w ogóle go nie gryzie.

Słyszając swoje imię, Garrick pokręcił pięciocentymetrowym kikutek ogona.

– Obejrzę mu pysk – dodała.

– Moglibyśmy zorganizować bardzo miłe przyjęcie dla wieśniaków – rzekł Ross. – Verity również by przyszła. Lubi ich tak samo jak ty i chętnie spędzałaby więcej czasu w ich towarzystwie. Jeśli chcesz, mogłabyś nawet zaprosić swojego ojca. Na pewno już mi wybaczył, że wrzuciłem go do strumienia.

– Pomyślałam, że byłoby miło zaprosić ojca i braci, ale na drugi dzień – odparła Demelza. – Moglibyśmy urządzić chrzciny dwudziestego trzeciego lipca, w święto Sawle, gdy górniczy mają wolne.

Ross uśmiechnął się do siebie. Przyjemnie było siedzieć na słońcu. Nie miał nic przeciwko pomy-

słowi żony. Zastanawiał się, co jeszcze zaproponuje.

– Tak, zęby Garricka są w porządku – powiedziała. – Nie gryzie z lenistwa, to wszystko. Czy twoi eleganccy przyjaciele i krewni mogliby zjeść obiad z córką górnika?

– Jeśli otworzysz mu pysk jeszcze szerzej, może cię połknąć – odparł Ross.

– Nie, jestem za gruba. Ostatnio bardzo przytyłam i ledwo mogę zasznuować gorset. Zdaje mi się, że John Treneglos nie odrzuciłby zaproszenia. Gdybyś posłużył za przynętę, może pojawiłaby się też jego skośnooka żona. I George Warleggan. Mówiłeś, że jego ojciec był kowalem, więc nie ma prawa się wywyższać, nawet jeśli jest bogaty. I Francis... Lubię kuzyna Francisca. I ciotka Agatha z białymi wąsami, w najlepszej peruce. Elizabeth i mały Geoffrey Charles. Wyprawilibyśmy wspaniałe przyjęcie. A poza tym może zaprosiłbyś jakichś przyjaciół, z którymi się spotykasz u George'a Warleggana – dodała z krzywym uśmiechem.

Nagle poczuli podmuch chłodnego wiatru, który zatrzepotał koronką na sukni Demelzy.

– To karciarze – odparł Ross. – Na pewno nie chciałybyś gościć hazardzistów na chrzcinach. Dwukrotne spotkanie przy stoliku to nie bliska znajomość.

Demelza puściła zaślinione szczęki Garricka i już miała wytrzeć dłonie o suknię, gdy przypomniała sobie, że powinna je wytrzeć o trawę. Kiedy pochyliła się, by to zrobić, pies polizał ją po policzku i na jedno z oczu Demelzy spadł kosmyk ciemnych włosów. Ross pomyślał, że trudno dyskutować z kobietami, bo uwaga zawsze skupia się na ich pięknie. Demelza nieco przytyła, lecz nie odebrało jej to urody. Przypomniał sobie, jak wyglądała jego pierwsza miłość, Elizabeth, po urodzeniu Geoffreya Charlesa. Kojarzyła się z przepiękną kamelią, delikatną, nieskazitelną, leciutko zaczerwienioną.

– Jeśli chcesz, możemy wydać dwa przyjęcia z okazji chrzcin – powiedział.

Demelza miała przez chwilę dziwnie zatroskaną minę. Ross, przyzwyczajony do jej nagłych zmian nastroju, obserwował ją pytającym wzrokiem.

– Och, Ross, jesteś dla mnie taki dobry... – rzekła w końcu cichym głosem.

Roześmiał się.

– Nie płacz z tego powodu.

– Nie, ale naprawdę jesteś dla mnie dobry. – Wstała i pocałowała męża. – Czasami myślę, że jestem wielką damą – rzekła powoli – a potem przypominam sobie, że jestem tylko...

– Jesteś Demelzą – przerwał. – Bóg sprawił, że jesteś wyjątkowa.

– Nie, nie jestem, to Julia jest wyjątkowa. – Popatrzyła na niego uważnie. – Przed jej narodzinami powiedziałeś mi wiele miłych rzeczy. Mówiłeś szczerze?

– Zapomniałem, co powiedziałem.

Odsunęła się od niego i pobiegła po trawniku w ładnej sukni. Po chwili wróciła.

– Ross, chodźmy się wykąpać.

– Nonsens. Wstałaś z łóżka dopiero przed tygodniem.

– W takim razie pozwól mi zamoczyć nogi w morzu. Możemy iść na plażę i brodzić w wodzie. Jest ładna pogoda.

Poklepał ją po dłoni.

– Julia byłaby niezadowolona, że masz zimne stopy.

– Nie pomyślałam o tym... – Usiadła w fotelu.

– Ale możemy pospacerować po suchym piasku – zaproponował.

Zerwała się z miejsca.

– Poproszę Jinny, by popilnowała Julii.

Kiedy wróciła, podążyli ścieżką biegnącą na skraju ogrodu, gdzie gleba była dość piaszczysta. Minęli niewielki ugór, lawirując między ostami i ślazówkami, po czym Ross podsadził Demelzę i pomógł jej

przejść przez zrujnowany murek. Później ruszyli po miękkim piasku plaży Hendrawna.

Był ciepły letni dzień i na horyzoncie płynęły rzędy białych obłoków. Morze było spokojne, a niewielkie spienione fale uderzające o brzeg pozostawiały na piasku delikatne białe arabeski.

Szli, trzymając się pod ręce, i Ross pomyślał, że bardzo szybko znów stali się sobie bliscy.

Na morzu łowiło ryby kilka kutrów z Padstow i jeden z Sawle. Zauważyli łódź Pally'ego Rogersa i pomachali mu z brzegu, ale ich nie zauważył, zajęty połowem śledzi.

– Uważam, że Verity powinna przyjść na oba przyjęcia – powiedziała Demelza. – Potrzebuje zmiany i czegoś nowego, co by ją zainteresowało.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz organizować dwojga chrzcin w kościele.

– Nie, nie, tylko pierwszego dnia. W uroczystości wezmą udział dobrze urodzeni goście. Nisko urodzeni będą zadowoleni, że dostaną mnóstwo jedzenia. I dokończą to, co zostało z poprzedniego dnia.

– Dlaczego nie urządzić trzeciego przyjęcia dla dzieci, by zjadły to, co zostanie po drugim przyjęciu?

Popatrzyła na niego.

– Naśmiewasz się ze mnie, Ross. Zawsze się ze mnie naśmiewasz.

– To szczególna forma szacunku. Nie wiesz o tym?

– Ale mówiąc poważnie, nie sądzisz, że miło byłoby zorganizować takie przyjęcie?

– Mówiąc poważnie, jestem skłonny zaspokajać twoje kaprysy – odpowiedział. – Czy to nie wystarczy?

– W takim razie chciałabym, byś zrobił dla mnie coś jeszcze. Bardzo się martwię o Verity.

– Dlaczego?

– Ross, Verity nie jest stworzona do staropanieństwa. Ma w sobie tyle ciepła i dobroci. Wiesz o tym. To nie życie dla niej: mieszkać w Trenwith, doglądać majątku i dworu, opiekować się Elizabeth, Franci-sem, synem Elizabeth i ciotką Agathą, pilnować służby, dbać o zaopatrzenie, prowadzić ćwiczenia chóru w kościele w Sawle i pomagać rodzinom górników. Powinna się zajmować czymś innym.

– Bardzo lubi to robić.

– Tak, ponieważ jest samotna. Gdyby była mężatką i miała własny dom, wszystko wyglądałoby inaczej. We wrześniu zeszłego roku przyjechała do Nampary i od razu wyglądała lepiej, a teraz znów ma żółtawą cerę i jest strasznie chuda. Ile ona ma lat, Ross?

– Dwadzieścia dziewięć.

– Cóż, najwyższy czas coś zrobić.

Ross zatrzymał się i rzucił kamieniem w dwie kłócące się mewy. Niedaleko, na szczycie klifu, znajdowały się budynki kopalni Wheal Leisure zbudowanej dzięki latom starań Rossa, zatrudniającej pięćdziesięciu sześciu górników i przynoszącej zyski.

– Wystarczy już tego spaceru – powiedział. – Wracajmy.

Posłusznie zawróciła. Zaczął się przypyływ i morze stopniowo pożerało piaszczysty brzeg. Od czasu do czasu fala wdzierła się daleko na plażę, pozostawiając na piasku cienką pienistą linię oznaczającą miejsce, gdzie dotarła.

– Dziewięć miesięcy temu za żadne skarby nie zgodziłabyś się zaprosić Verity. Uważałaś ją za potwora. Kiedy chciałem was ze sobą poznać, byłaś sztywna jak stempel w kopalni. A teraz bez przerwy wierzysz mi dziurę w brzuchu, żebym znalazł jej męża. Nie wiem, jak mógłbym spełnić twoje życzenie, chyba że poszedłbym do jednej ze starych wież na targu w Summercourt i kupił napój miłosny!

– Jest ciągle kapitan Blamey – odpowiedziała Demelza.

Ross machnął z irytacją ręką.

– Już to słyszałem. Zaczyna mnie to trochę męczyć. Zostaw to, moja droga.

– Nigdy nie będę mądra – odparła po chwili. – Chyba nie chcę być mądra.

– Nie chcę, żebyś była mądra – rzekł, pomagając jej przejść przez murek.

Nazajutrz przyjechała Verity. Przed miesiącem przemokła na deszczu i ciężko się przeziębila, ale teraz była już zdrowa. Bawiąc się z Julią, powiedziała, że dziewczynka jest podobna do Rossa i Demelzy, a jednak zupełnie inna. Bez wahania zaakceptowała plany Demelzy dotyczące chrzciny, próbowała dzielnie odpowiedzieć na kilka pytań, które ta obawiała się zadać doktorowi Choake'owi, i wyjęła piękną koronkową sukienkę, jaką zrobiła na chrzciny dziewczynki.

Demelza pocałowała ją w policzek, podziękowała, a potem spoglądała na nią ciemnymi oczyma z taką powagą, że Verity się roześmiała i spytała, o co chodzi.

– Och, to nic. Masz ochotę na herbatę?

– Jeśli ją pijesz o tej porze.

Demelza pociągnęła za sznurek dzwonka przy kominku.

– Od urodzenia Julii strasznie dużo piję. Myślę, że herbata jest lepsza od ginu.

Do salonu weszła rudowłosa Jinny o mlecznobiałej cerze.

– Och, Jinny, mogłabyś przygotować nam herbatę? Smaczną i mocną. Zagotuj wodę, nim zalejesz nią liście.

– Tak, pani.

– Nie mogę uwierzyć, że ta pani to ja – powiedziała Demelza po wyjściu Jinny.

Verity się uśmiechnęła.

– A teraz powiedz mi, co cię martwi.

– Ty, Verity.

– Ja? O mój Boże... Natychmiast powiedz, jak cię uraziłam.

– Nie uraziłaś. Ale jeśli... Och, to ja mogę cię urazić...

– Trudno mi coś powiedzieć, dopóki nie wiem, o co chodzi.

– Verity – zaczęła Demelza – pewnego czasu męczyłam Rossa przez wiele godzin i wreszcie powiedział mi, że kiedyś kogoś lubiłaś.

Verity nie poruszyła się, lecz jej uśmiech stracił łagodność: linia warg nieco się zmieniła.

– Przykro mi, że to cię martwi – odrzekła.

Demelza posunęła się już za daleko, by zważać na to, co mówi.

– Zastanawiam się, czy rzeczywiście powinniście żyć z dala od siebie.

Żółtawe policzki Verity nieco się zaróżowiły. Zachowuje się jak zamknięta w sobie stara panna, pomyślała Demelza, podobnie jak wtedy, gdy ją poznałam. Ogromna różnica, jakby w jednym ciele mieszkały dwie osoby.

– Moja droga, myślę, że nie możemy oceniać postępów innych osób na podstawie własnych odczuć. Właśnie taki jest świat. Mój... mój ojciec miał niewzruszone, szczytne zasady i postąpił zgodnie z nimi, podobnie brat. Nie możemy decydować, czy działali słusznie, czy nie. Co się stało, to się nie odstanie. A zresztą to dawne czasy i wszystko poszło w niepamięć.

– Nigdy później o nim nie słyszałaś?

Verity wstała.

– Nie.

Demelza podeszła i stanęła obok niej.

– Nienawidzę tego! Nienawidzę! – powiedziała.

Verity pogłaskała ją po ramieniu, jakby to Demelza była poszkodowana.

– Nie opowiesz mi o tym? – spytała Demelza.

– Nie – odparła Verity.

– Czasem mówienie pomaga. Później człowiek czuje się lepiej.

– Nie teraz – rzekła Verity. – Mówienie o tym to jak... jak rozkopywanie starego grobu.

Zadrżała lekko z emocji (a może z niesmaku?). Tymczasem do salonu weszła Jinny z herbatą.

Tego wieczoru Demelza zastała Juda samego w kuchni. Nikt nie mógłby wywnioskować na podstawie ich zachowania, czy się lubią, czy zachowują zbrojną neutralność. Demelza nigdy nie zjednała sobie Juda w taki sposób jak jego żonę. Przez długi czas miał żal, że znajda, która niegdyś wykonywała wszystkie jego polecenia, została panią w Namparze; zawsze uważał, że los traktuje go okrutnie. Mimo to w głębi serca był zadowolony, że Ross poślubił Demelzę, a nie jakąś rozwydrzoną damulkę przyzwyczajoną do luksusu i usługiwania jej bez końca.

– Jud – zaczęła. Wzięła deskę do ciasta, mąkę i drożdże. – Pamiętasz kapitana Blameya, który przyjeżdżał tutaj, by się spotykać z panną Verity?

– Ano – odparł Jud.

– Musiałam już być w Namparze, ale w ogóle go sobie nie przypominam – zauważyła. – Ani trochę.

– Byłaś mało dziewczucho, miałaś trzynaście років i siedziałaś w kuchni, gdzie było twoje miejsce – odparł melancholijnie Jud. – To dlatego.

– Przypuszczam, że ty też niewiele pamiętasz, prawda, Jud? – spytała.

– Nie, wszystko mi się miesza.

Zajęła się ugniataniem ciasta.

– Co się wtedy stało, Jud?

Wziął kawałek drewna i zaczął go strugać kozikiem, pogwizdując między dwoma zębami. Łysa czaszka otoczona wianuszkami siwych włosów czyniła go podobnym do mnicha.

– Zabił przez przypadek swoją pierwszą żonę, prawda? – spytała.

– Widzę, że wszystko o nim wiesz.

– Nie, nie wszystko. Trochę, nie wszystko, Jud. Co się tu stało?

– Ooo, ten kapitan Blamey długo smalił cholewki do panienci Verity. Kapitan Ross pozwolił, żeby mieli schadzki w Namparze, jak nie mogli gdzie indziej, aż pewnego dnia panicz Francis i jego ociec – pochowali go we wrześniu zeszłego roku – przyjechali i znaleźli ich w salonie. Panicz Francis wyzwał Blameya na pojedynek i wyszli na dwór z pistoletami, co wiszo obok okna. Poprosili, cobym dopilnował, że wszystko idzie jak trza, a jam to zrobił. Nie minęło pięć minut i panicz Francis strzelił do kapitana Blameya, a kapitan Blamey strzelił do panicza Francisca. Zgrabnie się uwineli. Raz, dwa i po krzyku.

– Byli ranni?

– Tak, lekko. Blameya kula drasnęła w rękę, a Francis oberwał w szyję. Pojedynek był uczciwy. A potem kapitan Blamey dosiadł konia i tyle go widzielim.

– Słyszałeś coś o nim później, Jud?

– Nic a nic.

– Mieszka w Falmouth?

– Jak nie pływa.

– Chciałabym, żebyś coś dla mnie zrobił, Jud.

– Eee?

– Chciałabym, żebyś coś dla mnie zrobił, gdy Ross pojedzie się zobaczyć z Jimem Carterem.

Jud spojrzał na Demelzę przekrwionymi oczami buldoga, starczymi i czujnymi.

– Co?

– Chcę, żebyś pojechał do Falmouth i spytał o kapitana Blameya. Czy tam ciągle mieszka i co robi.

Zapadło milczenie. Jud wstał i zamasyście splunął w ogień. Kiedy ślina przestała skwierczeć, powiedział:

– Dajże spokój z tymi rzewnymi bredniami. Nie ma co naprawiać świata. To niebezpieczne, nie w porządku, nierozumne i naprzeciw naturze. Już bym wolał drażnić byka.

Wziął patyk i kozik, po czym wyszedł.

Demelza spoglądała za nim. Była rozczarowana, lecz nie zdziwiona. Kiedy patrzyła na ciasto i powoli wyrabiała je pokrytymi mąką palcami, w głębi jej oczu płonął blask, a to oznaczało, że nie zrezygnowała ze swoich planów.

Rozdział trzeci

W dniu chrzcina panowała piękna pogoda. W uroczystości odbywającej się w kościele w Sawle uczestniczyło trzydzieścioro gości. Julia patrzyła przytomnie na swojego dalekiego kuzyna, wielbnego Williama-Alfreda Johnsa, który pokropił jej czoło wodą. Później wszyscy ruszyli do Nampary, niektórzy konno, inni pieszo, dwójkami lub trójkami. Gawędzili, ciesząc się promieniami słońca. Kolorowa procesja podążała pełną zmarniałej roślinności doliną, obserwowana z ciekawością, a niekiedy ze zdumieniem przez górników i wieśniaków. Rzeczywiście, wydawali się istotami z innego świata.

Salon, chociaż duży i przytulny, nie nadawał się na przyjęcie dla trzydzieściora gości. Niektóre damy nosiły krynoliny i nie były przyzwyczajone do tłoku.

Przybyli Elizabeth i Francis, a wraz z nimi trzyipółletni teraz Geoffrey Charles. Ciotka Agatha, która od dziesięciu lat nie opuszczała Trenwith i od dwudziestu sześciu nie siedziała na koniu, przyjechała z niezadowoloną miną na bardzo starej i spokojnej kłaczy. Przez czterdzieści siedem lat uczestniczyła w polowaniach i nigdy wcześniej nie siedziała w damskim siodle. Uważała to za dyshonor. Ross pomógł jej zająć miejsce w wygodnym fotelu i przyniósł ogrzewacz stóp na węgiel drzewny. Podał ciotce herbatę z rumem, a ona wkrótce się rozpogodziła i zaczęła wypatrywać znaków zapowiadających przyszłość dziecka.

Pojawił się również George Warleggan, namówiony do przyjścia przez Elizabeth. Pani Teague i jej trzy niezamężne córki zamierzały wszystko dokładnie obejrzeć, a czwarta, Patience, miała nadzieję spotkać George'a Warleggana. Pojawili się również John Trenglos, Ruth Trenglos i stary Horace Trenglos, choć kierowały nimi różne motywy. John przybył z powodu zainteresowania Demelzą, Ruth zamierzała zbierać złośliwe plotki, a Horace'em powodowała chęć podtrzymania stosunków sąsiedzkich.

Zaproszono także Joan Pascoe, córkę bankiera Harrisa Pascoe'a. Towarzyszył jej młody człowiek o nazwisku Dwight Enys. Mówił niewiele, lecz wydawał się uczciwy i sympatyczny.

Ross obserwował swoją młodą żonę pełniącą honory gospodyni. Nie mógł nie porównywać Demelzy i Elizabeth, która miała teraz dwadzieścia cztery lata i była równie piękna jak zawsze. Trochę zirytował ją sukces Demelzy w czasie przyjęcia na Boże Narodzenie, a w tej chwili z całych sił starała się oczarować Rossa, co sprawiało jej coraz większą przyjemność. Miała na sobie suknię z czerwonego aksamitu wyszywanego brokatem, z szerokimi wstążkami w talii i z rękawami bogato zdobionymi koronkami. Jasna cera kontrastująca z głęboką czerwienią sukni wyglądała prześlicznie.

Odnaczała się arystokratyczną urodą, wdziękiem i wyrafinowaniem. Pochodziła z niezwykle starego rodu drobnych właścicieli ziemskich: członkowie klanu Chynoweth mieszkali w Kornwalii jeszcze przed panowaniem Edwarda Wyznawcy. Jednak mimo wdzięku i dobrego pochodzenia był w niej cień znużenia, jakby arystokratyczna krew płynęła z coraz mniejszą energią. W porównaniu z Elizabeth Demelza wydawała się parweniuszką. Wychowała się w brudnej, wiejskiej chacie, wśród pijanych górników, a później bezczelnie skorzystała z okazji, by znaleźć się w salonach arystokratycznych rodów – pełna energii, prymitywna, pozbawiona subtelności, lecz silnie związana z naturą. Każda z nich miała w sobie coś, czego brakowało drugiej.

Na przyjęcie przybył w peruce z końskiego włosia wielbny Clarence Odgers, proboszcz Sawle i wioski Grambler. Pani Odgers, drobna, lękliwa kobieta, która urodziła dziesięcioro dzieci, lecz pozostała szczupłą, jadła gotowanego szczupaka i rozmawiała pokornym tonem o problemach parafii z Dorothy Johns, żoną Williama-Alfreda. Grupa młodszych gości na końcu stołu śmiała się z opowieści Francis'a o tym, jak w zeszłym tygodniu John Trenglos założył się, że wjedzie konno po schodach Werry House, po czym spadł na kolana lady Bodrugan otoczonej przez sforę psów.

– To kłamstwo! – zaoponował głośno John Treneglos, przekrzykując śmiechy, i zerknął na Demelzę, by sprawdzić, czy słucha opowieści. – Wierutne łgarstwo! To prawda, że straciłem na chwilę równowagę w siodle i Connie Bodrigan podała mi pomocną dłoń, lecz natychmiast wskoczyłem na kobyłę i zjechałem po schodach, nim Connie skończyła kłąć.

– I na pewno okrutnie pana skłęła, jeśli znam jej obyczaje – zauważył George Warleggan, dotykając palcami pięknego halsztuka otaczającego masywną szyję. – Jest mistrzynią w tej sztuce.

– Doprawdy, czyż musimy rozmawiać o lady Bodrigan na takim miłym przyjęciu? – wtrąciła Patience Teague, udając, że jest zbulwersowana, i patrząc spod rzęs na George'a.

Znów rozległy się śmiechy, a Ruth Treneglos, która siedziała dalej przy stole, przyjrzała się bacznie starszej siostrze. Patience się emancypowała, wyrwała spod autorytarnej kontroli matki, podobnie jak Ruth. Faith i Hope, dwie najstarsze siostry, były już starymi pannami bez żadnych szans na małżeństwo i wtórowały pani Teague jak chór w tragedii greckiej. Wydawało się, że Joan, następna w kolejności, pójdzie w ich ślady.

– Niektórzy młodzi ludzie ubierają się obecnie bardzo ekstrawagancko – zauważyła półgłosem Dorothy Johns. Przerwała rozmowę na poważne tematy i popatrzyła na Ruth. – Jestem pewna, że pan Treneglos musiał wydać dużą sumę na jedwabie swojej żony. Szczęście, że jest w stanie zaspokajać jej kosztowne gusta.

– Tak, proszę pani, całkowicie się z panią zgadzam – szepnęła z lękiem pani Odgers, dotykając pożyzonego naszyjnika. Pani Odgers zawsze się ze wszystkimi zgadzała. Było to jej posłannictwo życiowe. – A przecież nie była przyzwyczajona w domu do takich luksusów. Wydaje mi się, że jeszcze tak niedawno mój małżonek udzielił jej chrztu. Wkrótce potem urodziłam pierwsze dziecko.

– Strasznie przytyła, odkąd ją ostatnio widziałam – szepnęła pani Teague do Faith Teague, gdy tymczasem Prudie kroїła za jej plecami ciasto agrestowe. – I ma nieładną suknię, prawda? Niestosowna dla młodej matki. Widać, że nosi ją z myślą o mężczyznach.

– Można łatwo zrozumieć, dlaczego podoba się pewnemu rodzajowi mężczyzn – rzekła Faith Teague do Hope Teague, przerzucając posłusznie piłkę. – Ma ten rodzaj urody, który szybko przekwita. Muszę powiedzieć, że jestem bardzo zdziwiona wyborem kapitana Poldarka. Niewątpliwie coś ich w sobie pociągało...

– Co powiedziała Faith? – zwróciła się Joan Teague do Hope Teague, czekając na swoją kolej.

– Ach, śliczna mała małpka! – odezwała się do Demelzy ciotka Agatha. – Pozwól mi ją potrzymać, kwiatuszku. Nie boisz się, że ją upuszczę, prawda? Trzymałam na rękach i kołysałam wielu, którzy odeszli z tego świata, nim się narodziłaś. Ciu-ciu-ciu! O, uśmiecha się do mnie! Chyba że to od wiatrów. Piękna mała Poldarkówna. Skóra ściągnięta z ojca.

– Proszę uważać – rzekła Demelza. – Może zaślinić pani piękną suknię.

– Byłby to dobry znak, gdyby to zrobiła. Mam coś dla ciebie, kwiatuszku. Potrzyj przez moment córkę. Ach, łupie mnie dziś w kościach, a jazda na tej starej kobyłe wcale mi nie pomogła... Proszę, to dla dziecka.

– Co to takiego? – spytała po chwili Demelza.

– Suszona jarzębina. Zawieś ją nad kołyską. Odpędza złe duszki...

– Nie miał jeszcze ospy wietrznej – odezwała się Elizabeth do Dwighta Enysa, delikatnie gładząc kędzierzawą czuprynę synka, który siedział spokojnie na krześle obok. – Często się zastanawiałam, czy te szczepienia wirusem krowianki pomagają, czy szkodzą małym dzieciom.

– Nie, są nieszkodliwe, jeśli zachowa się ostrożność – odparł Enys, którego posadzono obok Elizabeth i który prawie nie jadł, bo z nią rozmawiał i zachwycił się jej urodą. – Ale nie powinien tego robić jakiś wieśniak, tylko doświadczony aptekarz.

– Och, na szczęście mamy takiego aptekarza w naszym okręgu – odpowiedziała Elizabeth. – Nie ma go tu dzisiaj.

Posiłek wreszcie się skończył. Ponieważ była piękna pogoda, goście wyszli do ogrodu. Kiedy się rozproszyli, Demelza zbliżyła się do Joan Pascoe.

– Czy pochodzi pani z Falmouth, panno Pascoe? Mam wrażenie, że słyszałam, jak pani o tym wspominała.

– Cóż, wychowałam się tam, pani Poldark, ale teraz mieszkam w Truro.

Demelza rozejrzała się, by sprawdzić, czy ktoś może ją usłyszeć.

– Czy przypadkiem zna pani kapitana Andrew Blameya, panno Pascoe?

Joan Pascoe zagruchała do niemowlęcia.

– Tylko ze słyszenia, pani Poldark. Widziałam go kilka razy.

– W dalszym ciągu mieszka w Falmouth?

– Chyba pojawia się tam od czasu do czasu. Pływa po morzach i oceanach, wie pani.

– Wiele razy miałam ochotę pojechać do Falmouth – rzekła z rozmarzeniem Demelza. – Podobno to bardzo ładne miasto. Zastanawiam się, kiedy można zobaczyć najwięcej okrętów.

– Och, po sztormie, gdy zawijają do portu, by się schronić przed huraganem. Mogą tam przeczekać nawet największą wicherę.

– Tak, ale przypuszczam, że statki pocztowe kursują regularnie jak w zegarku. Podobno statek pocztowy do Lizbony odpływa co wtorek.

– Och nie, chyba panią źle poinformowano, statek pocztowy do Lizbony w zimie wypływa z St Just's Pool w piątek wieczorem, a w lecie w sobotę rano. Weekend to najlepszy moment, by oglądać statki pocztowe.

– Ciu-ciu-ciu! – rzekła Demelza do Julii, naśladując ciotkę Agathę i obserwując efekt. – Dziękuję pani za informacje, panno Pascoe.

– O Boże! – odezwała się Ruth Treneglos do swojej siostry Patience. – Któż to idzie doliną? Czy to kondukt pogrzebowy? Ciotka Agatha na pewno uzna to za zły omen.

Kilka innych osób również zauważyło przybycie nowych gości. Na ich czele podążał mężczyzna w średnim wieku odziany w lśniący czarny surdut. Szli między drzewami po drugiej stronie strumienia.

– Na Boga żywego! – zawołała Prudie, wyglądając przez drugie okno salonu. – To ociec Demelzy! Przychodzi w zły dzień. Nie powiedziałaś mu, co ma przyjść w środe, czarny smoku?!

Jud zrobił zaskoczoną minę i połknął wielki kawałek ciasta porzeczkowego. Zakasłał z irytacją.

– W środe? Jasne, żem tak powiedział. Dlaczego żem miał gadać o wtorku, jak mi kazali gadać o środzie? To nie moja robota. Nie mnie trza winić. Sama sobie wygrażaj kijem od miotły!

Demelza również rozpoznała nowych gości i poczuła dziwne ściskanie w żołądku. Zamarła; miała pustkę w głowie. Widziała, że zbliża się katastrofa, i nie mogła jej zapobiec. Nie miała obok siebie Rossa, ponieważ zajmował się ciotką Agathą. Właśnie otwierał drzwi na taras, by mogła usiąść i podziwiać widok doliny.

Ale Ross również zauważył nadchodzącą procesję.

Przybyła cała rodzina Demelzy: Tom Carne, barczysty, odziany w odświętną czerń w nowej roli szacownego obywatela, ciotka Chegwiddden Carne, w czepku, z wąskimi ustami, przypominająca małą czarną kurę, a za nimi czterech wysokich, krzepkich wyrostków, czyli część braci Demelzy.

Zapadło milczenie. Słysząc było tylko plusk strumienia i ćwierkanie gila. Goście dotarli do mostku i przeszli po nim, stukając podkutymi butami.

Verity domyśliła się, kim są przybysze, po czym zostawiła starszą panią Treneglos i podeszła do Demelzy. Nie wiedziała, jak jej pomóc, i chciała po prostu być przy niej, aby Elizabeth i Francis to

zauważyli.

Ross wyszedł szybko z domu. Starając się nie okazywać pośpiechu, dotarł do mostku w chwili, gdy Tom Carne przekroczył strumień.

– Jak się pan miewa, panie Carne? – spytał. – Cieszę się, że mógł pan przyjść.

Carne obserwował go przez sekundę. Spotkali się przeszło cztery lata wcześniej, zdemolowali kuchnię i jeden z nich wylądował w strumieniu. Dwa lata abstynencji zmieniły starszego mężczyznę. Jego oczy były czystsze, a ubiór porządny i dobrej jakości, lecz miał ten sam hardy wzrok. Ross również się zmienił, zapomniał o zawodzie miłosnym. Szczęście, które odnalazł z Demelzą, uczyniło go bardziej tolerancyjnym i sprawiło, że łatwiej panował nad swoim niespokojnym duchem.

Carne nie wyczuł sarkazmu w słowach Rossa i podał mu rękę. Następnie Ross wymienił uścisk dłoni z ciotką Chegwidden Carne, zupełnie nieokazującą onieśmielenia, która przywitała się potem z Demelzą. Ponieważ Carne nie próbował przedstawić czterech barczystych wyrostków, Ross skłonił się im z powagą, oni zaś, idąc za przykładem najstarszego, unieśli dłonie do czapek w geście pozdrowienia. Ross z dziwną ulgą spostrzegł, że żaden nie jest w najmniejszym stopniu podobny do Demelzy.

– Czekaliśmy w kościele, córko – rzekł ponuro Carne do Demelzy. – Mówiłaś, że mamy przyjść o czwartej, i byliśmy tam o tej porze. Nie miałaś prawa chrzczyć dzieciaka wcześniej. Myśleliśmy, czy nie wrócić do domu.

– Kazałam wam przyjść jutro o czwartej – odrzekła ostro Demelza.

– Tak. Tak gadał twój człowiek. Ale mamy prawo być na chrzcinach, a chrzciny są dzisiaj. Twoja prawdziwa rodzina ma większe prawo być przy tobie w czasie chrzcin niż ci wymuskani panowie.

Demelza poczuła straszliwą gorycz. Ojciec, który w dzieciństwie niemiłosiernie ją katował i którego zaprosiła na znak przebaczenia, specjalnie przyszedł w inny dzień, by zepsuć przyjęcie. Wszystkie jej wysiłki pójdą na marne, a Ross stanie się pośmiewiskiem całej okolicy. Już teraz, nawet nie patrząc, widziała rozbawienie na twarzach Ruth Trenglos i pani Teague. Miała ochotę chwycić ojca za gęstą czarną brodę (pod nosem i dolną wargą pojawiły się pasma siwizny) i wyrwać z niej kępy włosów; miała ochotę podrzeć jego przesadnie dystyngowany, czarny surdut; miała ochotę oblepić jego gruby, pokryty czerwonymi żyłkami nos ziemią z ogrodu. Ze sztucznym uśmiechem maskującym rozpacz przywitała się z macochą i czterema braćmi: Lukiem, Samuelem, Williamem i Bobbym. Kochała ich w dawnym, koszmarnym życiu i teraz pojawili się nagle przed nią jak widma z innego świata.

Wydawali się onieśmieleni, w dużej części widokiem siostry, którą pamiętali jako obdartą dziewczynkę wykonującą ciężkie prace domowe. Teraz była dobrze ubraną młodą kobietą, wyglądała i mówiła zupełnie inaczej niż kiedyś. Stali wokół niej w pełnym szacunku oddaleniu i odpowiadali ponuro na krótkie, zadawane metalicznym tonem pytania, a tymczasem Ross z wdziękiem i godnością, na jakie potrafił się zdobyć, gdy tylko chciał, prowadził Toma Carne'a i ciotkę Chegwidden wokół ogrodu, twardo przedstawiając ich pozostałym gościom. Surowa uprzejmość Rossa nieco łagodziła reakcje osób nieprzystawionych do pozostawania na stopie towarzyskiej z przedstawicielami klas niższych.

Kiedy krążyli po ogrodzie, Tom Carne nie odnosił się z szacunkiem do elegancko ubranych dam i dżentelmenów, a w jego twardych oczach pojawił się gniew, że w uroczystym dniu sakramentu chrztu nie okazują należytej powagi. Ciotka Chegwidden zacisnęła z dezaprobatą wargi na widok jaskrawego szkarłatu sukni Elizabeth, głęboko wciętego gorsetu Ruth Teague oraz pereł pani Teague i jej pokrytej loczkami peruki.

Po dokonaniu prezentacji goście wrócili do rozmów, choć nieco cichszymi głosami. Zerwał się lekki wiatr, poruszając koronkami i połami surdutów.

Ross skinął na Jinny, by podała gościom porto i brandy.

Alkohol powinien skłonić obecnych do mówienia. Im więcej będą mówić, tym mniejszą katastrofą

okaże się przyjęcie.

Carne z pogardliwą miną odmówił przyjęcia szklaneczki trunku.

– Nie tykam takich rzeczy – oznajmił. – Biada tym, co od rana do wieczora żłopią mocne trunki, aż ich twarze czerwienieją jak ogień! Zerwałem z nikczemnością i pijaństwem, by wstąpić na drogę prowadzącą do zbawienia. Pokaż mi swoje dziecię, córko.

Sztywno, z ponurą miną Demelza uniosła Julię.

– Moje pierworodne dziecko było większe – zauważyła pani Chegwidden Carne, spoglądając twarzym wzrokiem na niemowlę. – Prawda, Tom? Ładny mały chłopiec, w sierpniu skończy rok.

– Co to za siniak na czole? – spytał Carne. – Upuściłaś ją?

– To od porodu.

Julia zaczęła płakać.

Carne pogładził się po brodzie.

– Ufam, że wybrałaś dobrych rodziców chrzestnych. Sam chciałem trzymać dziecko do chrztu.

W pobliżu strumienia rozmawiały, chichocząc, siostry Teague, lecz ich matka starała się zachowywać godną minę i spoglądała na nie z ukosa spod przymkniętych powiek.

– Przedstawienie nam ludzi takiej konduity to celowy afront – powiedziała. – Ross i jego dziewczka kuchenna chcieli nas obrazić. Od razu czułam, że nie należy przyjmować zaproszenia!

Jej najmłodsza córka natychmiast się domyśliła, że nie był to podstępny plan, lecz zbieg okoliczności, który można wykorzystać. Wzięła kieliszek z tacy niesionej przez Jinny i podeszła do George'a Warlegana.

– Nie sądzi pan, że powinniśmy podejść do gospodarzy? – szepnęła. – Byłam na niewielu chrzcinach, więc nie znam obowiązującej podczas nich etykiety, ale dobre maniery nakazują...

George zerknął w nieco orientalne zielone oczy. Zawsze skrycie pogardzał rodziną pani Teague. Poldarkowie, Chynowethowie i inne rody ziemiańskie, których talenty handlowe były odwrotnie proporcjonalne do długości drzew genealogicznych, budzili w nim szacunek z domieszką protekcjonalności. Mogli udawać, że nim gardzą, lecz wiedział, że niektórzy w głębi serca się go boją. Rodzina pani Teague w ogóle nie zasługiwała na jego uwagę: cztery rozchichotane córki, kilka akrów ziemi i niewielki kapitał ulokowany w trzyprocentowych obligacjach państwowych. Jednak po zawarciu małżeństwa Ruth tak szybko się rozwinęła, że zmienił o niej zdanie. Była twardsza, podobnie jak Ross wśród Poldarków.

– Pani skromność dorównuje urokowi, ale niestety, ja również niewiele wiem na temat etykiety obowiązującej podczas chrzcin – powiedział. – Nie sądzi pani, że powinniśmy po prostu robić to, na co mamy ochotę?

Za ich plecami rozległ się wybuch śmiechu, którym John Treneglos i Patience Teague przyjęli anegdotę opowiedzianą przez Francisa.

– Myślę, że powinieneś się zachowywać bardziej przystojnie – szepnęła teatralnie Ruth do Francisa. – Możemy otrzymać reprimendę. Patrzy na nas ojciec pani Poldark.

– Na razie jesteśmy bezpieczni – odparł Francis. – Odyniec zawsze stroszy sierść przed atakiem. – Goście znów się roześmiali. – Hej, dziewczyno! – zwrócił się do przechodzącej Jinny. – Masz jeszcze trochę madery? Wezmę jeszcze jeden kieliszek. Ładniutka z ciebie dzierlatka, gdzie kapitan Poldark znalazł kogoś takiego jak ty?

Prawie niedostrzegalnie zaakcentował słowo „ty”, ale śmiech Ruth nie pozostawiał wątpliwości, jak zrozumiała to zdanie. Jinny zaczerwieniła się aż po korzonki włosów.

– Nazywam się Jinny Carter, panie. To znaczy Jinny Martin.

– Tak, tak. – Wyraz twarzy Francisa nieco się zmienił. – Teraz sobie przypominam. Przez pewien czas pracowałaś w kopalni Gambler. Jak się miewa twój mąż?

Jinny się rozpogodziła.

– Dobrze, panie, dziękuję, chociaż... chociaż...

– Chociaż możesz nie mieć świeżych wiadomości. Mam nadzieję, że szybko do ciebie wróci.

– Dziękuję, panie. – Jinny dygnęła, ciągle czerwona, i odeszła.

– Niezbyt się interesujesz córką chrzestną, Francisie – zauważyła Ruth, pragnąc zmienić temat. –

Rodzina pani Poldark dokładnie ją obejrzała. Na pewno dziewczynka chętnie wypiłaby łyżeczek madery.

– Podobno plebs od dzieciństwa pije gin – rzekła Patience Teague. – I wcale mu to nie szkodzi. Niedawno czytałam, ile milionów litrów ginu wypito w zeszłym roku.

– Nie wszystko wypili dzieci, szwagierko – odparł Treneglos.

– Cóż, niewątpliwie czasem piją dla odmiany również piwo – powiedziała Patience.

Tom Carne obserwował rozmawiających gości, choć ich nie słyszał. Spojrzał przenikliwym, ostrym wzrokiem na panią Carne.

– To bezbożnicy, żono – rzekł, wydymając wargi. – Dziecko nie powinno przebywać wśród takich ludzi w dniu swojego chrztu. Tegom się właśnie spodziewał. Kobiety w wyuzdanych strojach i młodzi dandysi, którzy piją z nimi i żartują. Gorzej niż w Truro.

Ciotka Chegwiddden lekko się zgarbiła. Nie miała w sobie tyle religijnego zapału i była z natury mniej wojownicza.

– Musimy się za nich modlić, Tom. Módlmy się za nich wszystkich i za twoją córkę. Może nadejdzie dzień, gdy ujrzą światło.

Julia ciągle płakała, a Demelza przeprosiła gości i zabrała ją do domu. Była w rozpaczce.

Zdawała sobie sprawę, że cokolwiek nastąpi, przyjęcie okaże się straszliwą klęską. Stanie się tematem pikantnych plotek. Cóż, niechaj tak będzie. Nie mogła nic więcej zrobić. Usiłowała udawać damę i poniosła porażkę. Nigdy więcej nie podejmie nowej próby. Niech wszyscy jadą do domów, natychmiast, byle tylko to się wreszcie skończyło. Chciała nareszcie zostać sama.

Chwilę po odejściu Demelzy Ruth udało się ustawić przyjaciół w taki sposób, by mógł ich słyszeć Tom Carne.

– Jeśli o mnie chodzi, przepadam za brandy i porto – powiedziała. – Lubię mocne trunki, o miłym smaku i bez goryczki. Zgadzasz się ze mną, Francisie?

– Przypominasz mi ciotkę Agathę – odpowiedział. – Kobiety bywają wybredne.

Znów się roześmiano, tym razem z Ruth.

Mijali Toma Carne'a, który zrobił krok do przodu, jak tego oczekiwała Ruth.

– Jeden z was jest ojcem chrzestnym dziecka?

Francis skłonił się lekko. Wzmagający się wiatr szarpał połami jego surduta, co miało w sobie coś komicznego.

– Ja.

Tom Carne popatrzył na niego.

– Jakim prawem?

– Słucham?

– Jakim prawem trzymał pan do chrztu to dziecko w świątyni Pana Naszego?

Poprzedniego wieczoru Francis wygrał sporą sumę w faraona i był w wyrozumiałym nastroju.

– Bo mnie poproszono.

– Poproszono? – powtórzył Carne. – Ach, może i poproszono. Czy został pan zbawiony?

– Zbawiony?

– Tak, zbawiony.

– Zbawiony od czego?

– Od diabła i ognia piekielnego.

– Nie otrzymałem żadnych wieści na ten temat.

John Treneglos parsknął śmiechem.

– Cóż, panie, i właśnie na tym polega pana błąd – odparł Carne. – Kto nie słucha głosu Pana Naszego, słucha diabła. Albo jedno, albo drugie. Nie ma trzeciej drogi. Albo niebiosa i anioły, albo piekło i płonąca siarka!

– Jest wśród nas kaznodzieja – mruknął George Warleggan.

Ciotka Chegwidden pociągnęła męża za rękaw. Chociaż nie lubiła ziemiaństwa, nie czuła do niego takiej pogardy jak Carne. Wiedziała, że ludzie należący do wyższych sfer rządzą światem materialnym, choć nie mają wpływu na jej kółko modlitewne.

– Daj spokój, Tom – powiedziała. – Zostaw ich w spokoju. Żyją w dolinie mroku i nic nie zmięczy ich serc.

Carne strząsnął rękę żony.

– Cztery lata nazad grzeszyłem przeciwko Bogu! – oznajmił gromkim głosem, słyszalnym w całym ogrodzie. – Służyłem diabłu, oddawałem się rozpuście i pijaństwu! Czułem zapach siarki, zmierzałem prosto do piekła! Ale Pan Bóg ukazał mi światłość i drogę do zbawienia, do chwały i rozkoszy niebios! Ale ci, co żyją w nieprawości i złości, co nie otrzymali błogosławieństwa, nie mają prawa trzymać do chrztu niewinnego dziecięcia!

– Mam nadzieję, że uznajesz słuszność tej reprimendy – odezwała się Ruth.

Francis nie dał się sprowokować.

– Jeśli o mnie chodzi, jestem przeciwny wytyczaniu tak ostrych granic między dobrem a złem, choć wiem, że osoby o pańskich poglądach często tego dokonują. Co jest oznaką zbawienia? Czym się tak naprawdę różnimy, że po śmierci trafi pan do nieba, a ja do piekła? Kto może mieć pewność, że byłby pan lepszym opiekunem religijnym dziecka ode mnie? Pytam ze szczerzej ciekawości. Twierdzi pan, że zostanie zbawiony. To pana słowa, ale czy potrafi pan tego dowieść? Ja też mógłbym powiedzieć, że jestem wielkim wezyrem i strażnikiem siedmiu pieczęci, prawda? Ja też mógłbym opowiadać, że jestem zbawiony, że należy do mnie Królestwo Niebieskie i że czeka pana potępienie; że ja pójdę do nieba, a pan do piekła.

John Treneglos wybuchnął gromkim śmiechem, a mięsista twarz Carne'a spurpurowiała z wściekłości.

– Zostaw ich w spokoju! – powtórzyła ostro pani Carne, znów ciągnąc męża za rękaw. – To diabeł cię kusi do próżnych debat!

Uczestnicy przyjęcia, jak przyciągani przez magnes, zaczęli się zbliżać do miejsca, gdzie toczono hałaśliwą rozmowę.

Ross podszedł od tyłu do grupy gości.

– Wiatr się wzmaga – powiedział. – Lepiej, by damy weszły do domu. Może pomógłbyś ciotce Agacie, Francisie? – Skinął w stronę staruszki, która dzięki wieloletniemu doświadczeniu nieomylnie wyczuła, że dzieje się coś niedobrego, po czym wstała z fotela przy drzwiach tarasu i bez niczyjej pomocy kuśtykała po trawniku.

– Nie! – rzucił Carne. – Nie będę przebywał pod jednym dachem z ludźmi, co głoszą herezje. – Popatrzył ostro na Ruth. – Zasłoń pierś, kobieto, to hańba i grzech tak się obnażać! Niejedną publicznie wychłostano za mniejsze występki!

Zapadła martwa cisza.

– Cóż za bezczelny prostak! – zawołała Ruth, oblewając się rumieńcem. – Jeśli ktoś zostanie wychłostany, to ty, chamie! John? Słyszałeś, co on powiedział?!

Jej mąż nie odznaczał się zbyt wielką bystrością i początkowo uznał incydent za zabawny, lecz uwaga

żony przywołała go do porządku i stłumił śmiech.

– Ty bezczelny stary wieprzu! – krzyknął. – Wiesz, do kogo mówisz?! Przepróż natychmiast panią Treneglos albo, do licha, skuję ci pysk!

Carne splunął na trawę.

– Prawda w oczy kole, ale to nie wina prawdy. Niewiasta powinna się odziewać przyzwoicie, a nie bezwstydnie kusić mężczyzn. Gdyby to była moja żona, na Boga...

Ross szybko stanął między nimi i chwycił Treneglosa za rękę. Przez chwilę spoglądał na zaczerwienioną, wściekłą twarz sąsiada.

– Mój drogi Johnie, pospolita bójka?! W obecności dam?!

– Pilnuj swoich spraw, Ross! Ten drab jest tak bezczelny...

– Puść go pan – przerwał Carne. – Ostatni raz walczyłem na ringu dwa lata temu, ale zamierzam mu pokazać kilka sztuczek. Jeśli Pan Bóg...

– Zostaw go w spokoju, Tom! – wtrąciła pani Carne. – Zostaw go!

– To jest również moja sprawa, John – odezwał się Ross, w dalszym ciągu patrząc na Treneglosa. – Nie zapominaj, że obaj jesteście moimi gośćmi. I nie mogę pozwolić, byś uderzył mojego teścia.

Zapadło zdumione milczenie. Wydawało się, że dopiero słowa Rossa uświadomiły uczestnikom przyjęcia, że Carne to ojciec jego żony. Goście wydawali się wstrząśnięci.

Treneglos usiłował wyrwać rękę trzymaną przez Rossa. Bez powodzenia. Jego twarz stała się jeszcze bardziej czerwona.

– Naturalnie chciałbym być w dobrych stosunkach z sąsiadami, ale nie za cenę bójki przed drzwiami mego domu – rzekł Ross, puszczając rękę Treneglosa. – Damy nie lubią patrzeć na podarte koszule i zakrwawione nosy. – Spojrzał na Ruth, której twarz pokryła się różowymi plamami, widocznymi pod makijażem. – Przynajmniej niektóre.

– Po zawarciu małżeństwa w zadziwiający sposób zmieniłeś poglądy, Ross – powiedziała Ruth. – Przedtem nie brakowało ci kurtuazji. Nie ośmielam się zgadywać, co mogło sprawić, że stałeś się takim prostakiem.

– Żądam przeprosin! – zawołał Treneglos. – Ten łajdak w skandaliczny sposób obraził moją żonę! Nieważne, czy to twój teść, czy nie! Do licha, gdyby pochodził z mojej sfery, wyzwałbym go na pojedynek! Przełknąłbyś taką bezczelność, Ross?! Jestem pewien, że nigdy! Niech mnie diabli porwą, jeśli się zadowolę...

– Prawda to prawda! – warknął Carne. – Błuznierstwa niczego nie zmieniają...

– Milcz, człowieku! – zwrócił się do niego Ross. – Jeśli będziemy chcieli wysłuchać twojego zdania, poprosimy cię o nie w odpowiednim czasie. – Carne umilkł, zdumiony, natomiast Ross odezwał się ponownie do Treneglosa: – Maniery zależą od wychowania, John, a ludzie wyznający te same zasady mówią tym samym językiem. Czy pozwolisz, abym jako gospodarz przeprosił cię za despekt, jaki spotkał twoją małżonkę?

John się zawahał, nieco udobruchany, po czym odchrząknął i spojrzał na żonę stojącą z boku.

– Cóż, Ross, ładnie to wyraziłeś. Nie chciałbym się z tobą sprzeczać. Jeśli Ruth uważa...

– Przyznaję, że powinnam przyjąć to spokojniej – odpowiedziała Ruth, czując, że ją wymanewrowano.

– Naturalnie jeśli Ross pragnie chronić nowego członka swojej rodziny... Należy być wyrozumiałym wobec ignorancji.

Nagle w pobliżu rozległ się przeciągły pisk, który sprawił, że wszyscy spojrzeli w tamtą stronę. Ciotka Agatha, o której zapomniano w czasie sprzeczki, posuwała się szybko po trawniku, gdy nagle uderzył w nią silny powiew wiatru. Zobaczyli kołyszącą się staruszkę z rozczochranymi siwymi włosami, a fioletowy czepek i peruka toczyły się w stronę strumienia. Kilku dżentelmenów natychmiast rzuciło się

w pościg, między innymi Francis. Jednocześnie wiatr przyniósł potok archaicznych przekleństw z epoki Karolingów, których nikt z obecnych nigdy nie słyszał. Ciotce Agacie nie potrafiłaby dorównać nawet lady Bodrugan.

Godzinę później Ross poszedł na górę i zastał Demelzę leżącą na łóżku. Była zrozpaczona, lecz nie płakała. Goście opuścili Namparę w najlepszej zgodzie, pieszo lub konno, przytrzymując kapelusze, suknie i poły surdutów szarpane przez wiatr.

Demelza żegnała ich po kolei, uśmiechając się grzecznie, aż wreszcie zniknęli. Później wymamrotała przeprosiny i uciekła do domu.

– Prudie cię szuka – powiedział Ross. – Nie mogliśmy cię znaleźć. Pyta, co zrobić z niektórymi potrawami.

Nie odpowiedziała.

– Demelzo...

– Och, Ross... – westchnęła. – Czuję się okropnie.

Usiadł na skraju łóżka.

– Nie martw się, kochanie.

– Będzie o nas plotkował cały okręg. Zadba o to Ruth Treneglos, pani Teague i jej córki.

– Nie ma się czym przejmować. To tylko czcze gadanie. Skoro nie mają nic lepszego do roboty, niż mleć językami...

– Jest mi bardzo smutno. Chciałam im pokazać, że się nadaję na twoją żonę, że potrafię nosić piękne stroje, zachowywać się jak dama i nie przyniosę ci wstydu. A zamiast tego wrócę do domów, zaśmiewając się ze mnie: „Słyszeliście, co powiedział ojciec tej kuchty, żony kapitana Poldarka?”. Och, wolabym umrzeć!

– Sprawiliby mi to znacznie większą przykrość od sprzeczki z Johnem Treneglosem. – Dotknął dłonią kostki Demelzy. – Po raz pierwszy skrzyżowaliśmy z nimi szpady, dziecko. Odparowali nasz sztych. Cóż, możemy znowu spróbować. Tylko tchórze rezygnują po pierwszym niepowodzeniu.

– Więc uważasz mnie za tchórza... – Demelza cofnęła kostkę, dziwnie zirytowana słowami Rossa. Zdawała sobie sprawę, że tego popołudnia wypadł najlepiej ze wszystkich uczestników przyjęcia. Trochę jej się to nie podobało, bo czuła, że naprawdę zakochany człowiek nie powinien być tak nieporuszony; z tego samego powodu jego obecne zachowanie budziło w niej złość, bo dostrzegała w nim protekcyjność, a nie współczucie. Szczególnie rozdrażniło ją słowo „dziecko”, jakby przemawiała przez niego pycha, nie miłość.

A w tle cały czas była Elizabeth. Odniosła dziś zwycięstwo. Wyglądała tak pięknie, tak wdzięcznie; stała nieco z tyłu, nie brała udziału w sprzeczce. Po prostu była. Samo jej istnienie wystarczało, przez kontrast, by demonstrować, kim nie jest żona Rossa. Ross siedział na łóżku, gładził ją po stopie i pocieszał, a jednocześnie ciągle myślał o Elizabeth.

– Twój ojciec nie bez powodu został metodystą – zauważył Ross. – Umiarkowanie nie jest jego silną stroną. Ciekawe, co powiedziałyby na to wielebny Wesley.

– To wina Juda, że powiedział mu o dwóch przyjęciach! – zawołała Demelza. – Zabiję go za to!

– Moja droga, za tydzień wszyscy o tym zapomną. Nikomu to nie zaszkodzi. A jutro mamy przyjęcie dla Martinów, Danielów, Joego i Betty Triggsów, Willa Nanfana i wszystkich wieśniaków z okolicy. Nie trzeba ich zachęcać, by się dobrze bawili. Będą tańczyć na trawie i nie zapominaj, że przyjadą wędrowni aktorzy i dadzą przedstawienie.

Demelza przewróciła się na brzuch.

– Nie potrafię udawać damy, Ross – powiedziała. Jej głos był odległy i stłumiony. – Powiedz im

o tym. Robiłam wszystko, co w mojej mocy, ale to nie wystarczy. Może to moja wina, ale nie potrafię być kimś, kim nigdy się nie stanę. Cóż, skończone. Nie wytrzymam znowu czegoś takiego. Nie mam serca.

Rozdział czwarty

Trzy dni przed chrzcinami odbyło się burzliwe zebranie udziałowców kopalni Wheal Leisure, na którym Ross i doktor Choake ponownie się spierali. Ross opowiadał się za poszukiwaniem nowych złóż, a Choake nazywał to hazardem i proponował spokojną eksploatację istniejących zasobów, co z kolei Ross nazwał obstrukcją. W końcu Poldark wyszedł z propozycją, że wykupi udziały doktora za trzykrotność ich wartości nominalnej. Choake z wielką godnością przyjął ofertę i nazajutrz po chrzcinach Ross pojechał do Truro porozmawiać ze swoim bankierem o kredycie.

Harris Pascoe, niski mężczyzna w nieokreślonym wieku noszący stalowe okulary i lekko się jękający, zgodził się pożyczyć niezbędną kwotę pod zastaw hipoteki Nampary, jednak uważał transakcję za całkowicie nieopłacalną ze względu na wysoką cenę udziałów. Miedź kosztowała obecnie siedemdziesiąt jeden funtów za tonę i nikt nie wiedział, ile jeszcze spadnie. Wszyscy krytykowali odlewnie za zaniżanie ceny rudy, lecz trudno było im się dziwić, skoro często musiały mieszać metal przed znalezieniem kupca. Ross lubił Harrisa Pascoe'a i nie widział sensu sprzecznania się z nim.

W drodze do domu minął młodego człowieka. Widział go wcześniej na chrzcinach. Uchylił kapelusza i zamierzał jechać dalej, lecz mężczyzna przystanął.

– Miło mi pana widzieć, kapitanie Poldark. Byłem wczoraj państwa gościem. Jestem obcy w tych stronach i doceniam pana gościnność.

Dwight Enys, którego Joan Pascoe przyprowadziła na przyjęcie. Miał kształtną głowę i ładną twarz: chłopięcy zarys policzków i podbródek znamionujący odwagę. Ross nigdy nie przeszedł przez ten etap. Wyjechał do Ameryki jako kanciasty wyrostek, a wrócił jako weteran wojenny.

– Pana nazwisko sugeruje, że pochodzi pan z Kornwalii.

– Mam tu dalekich krewnych, lecz nie chcę się powoływać na koligacje rodzinne. Mój ojciec pochodził z Penzance, a ja studiowałem medycynę w Londynie.

– Zamierza pan rozpocząć praktykę lekarską?

– Na początku tego roku skończyłem studia. Ale życie w Londynie jest kosztowne. Postanowiłem zamieszkać na pewien czas w tej okolicy, kontynuować badania i zarabiać na życie, prowadząc prywatną praktykę.

– Jeśli interesuje się pan niedożywieniem lub chorobami górników, znajdzie tu pan dużo materiału do studiów.

Enys wydawał się zdziwiony.

– Ktoś panu powiedział?

– Nikt mi nic nie mówił.

– Interesuję się chorobami płuc. Wydało mi się, że jeśli mam prowadzić praktykę, powinienem leczyć górników, gdzie często występują suchoty. – Młody człowiek stopniowo wyzbywał się nieśmiałości. – Poza tym ciekawi mnie febra. To ogromne pole do badań, można przeprowadzić wiele eksperymentów... Ale na pewno pana nudzę. Często za dużo o tym mówię...

– Medycy, których znam, wolą opisywać swoje sukcesy łowieckie. Musimy kiedyś o tym porozmawiać.

Po przejściu kilku kroków przystanął i zawołał do Enysa:

– Gdzie pan zamierza mieszkać?!

– Zatrzymałem się na miesiąc u Harrisa Pascoe. Zamierzam wynająć niewielki dom gdzieś między Namparą a Chacewater. W okolicy nie ma innego lekarza.

– Może pan wie, że mam udziały w kopalni, którą wczoraj mógł pan widzieć z mojego domu?

– Zauważyłem budynki. Ale nie, nic nie słyszałem...

– W tej chwili wolna jest posada chirurga w kopalni. Myślę, że mógłbym ją panu załatwić, gdyby był pan zainteresowany. Oczywiście to niewielka kopalnia. Obecnie pracuje w niej około osiemdziesięciu górników, ale zarobiłby pan jakieś czternaście szylingów tygodniowo, a poza tym zdobył trochę doświadczenia.

Dwight Enys zarumienił się z radości i zażenowania.

– Mam nadzieję, że pan nie myślał...

– Gdybym tak uważał, nie składałbym panu tej propozycji.

– Bardzo by mi to pomogło. Marzę o takiej pracy. Ale... to bardzo daleko.

– Rozumiem, że nie wynajął pan jeszcze domu. Coś mogłoby się trafić w naszej okolicy.

– Jest tu medyk o dobrej reputacji...

– Choake? Och, znajdzie się miejsce i dla pana. Ma własny majątek i nie lubi się przepracowywać.

Proszę się nad tym zastanowić i dać mi znać.

– Dziękuję panu. To bardzo uprzejmie z pana strony.

Skręcając w ulicę, Ross pomyślał, że jeśli Enys coś potrafi, zadba o to, by zaczął leczyć Jima po jego wyjściu z więzienia. Choake na pewno nie potrafiłby mu pomóc. Carter przebywał w więzieniu już od przeszło roku, a skoro żył mimo choroby płuc, istniała nadzieja, że wytrzyma jeszcze dziesięć miesięcy, po czym wróci do żony i rodziny. Ross widział go w styczniu; chłopak był chudy i słaby, lecz w Bodmin panowały znośne warunki. Dwukrotnie odwiedzili go Jinny i jejojciec Zacky Martin. Wyruszyli jednego dnia i wrócili następnego, lecz pokonanie czterdziestu pięciu kilometrów w jedną stronę było zbyt wielkim wysiłkiem dla karmiącej kobiety. Ross zamierzał zabrać ją kiedyś do Bodmin.

Po kłótni z Choakiem pozostało mu irytująco mało pieniędzy, choć jeszcze niedawno mógł sporo wydawać na luksusy. Czekają go liczne wydatki: bardzo potrzebował jeszcze jednego konia. Narodziny Julii wymogły niezbędne zakupy, których nie mógł i nie chciał uniknąć.

Zżywał się na siebie, że nierozważnie zaproponował kupno udziałów medyka.

Wszedł do załoczonej gospody Pod Czerwonym Lwem i zajął miejsce w niszy przy drzwiach. Jego pojawienie się zwróciło czyjąś uwagę i po odejściu sługi, który przyjął zamówienie, Ross usłyszał w pobliżu ciche kroki.

– Kapitan Poldark? Dzień dobry panu. Rzadko widzujemy pana w mieście.

Ross uniósł wzrok, lecz jego oczy nie miały zbyt serdecznego wyrazu. Był to Blewett, zarządca i udziałowiec Wheal Maiden, jednej z kopalni miedzi w dolinie Idless.

– Odwiedzam Truro tylko w interesach.

– Mógłbym się przysiąść? Nie mam o czym rozmawiać z handlarzami wełną. Dziękuję. Słyszałem, że cena miedzi znowu spadła.

– Ja też niedawno się o tym dowiedziałem.

– To się musi szybko skończyć albo wszyscy zbankrutujemy.

– Nikt nie ubolewa nad tym bardziej ode mnie – odparł Ross, zdając sobie sprawę, że ma wspólne interesy z tym mężczyzną, który zakłócił tok jego myśli.

– Wszyscy mamy nadzieję, że ta tendencja się odwróci – ciągnął Blewett. Odstawił szklaneczkę i poruszył się niespokojnie. – W tym roku straciliśmy osiemset funtów. To wielka suma dla ludzi takich jak my.

Ross znów uniósł wzrok. Blewett naprawdę wyglądał na zatroskanego: miał ciemne kręgi pod oczami i skrzywione wargi. Groziło mu więzienie za długi, a jego rodzinie głód. Właśnie dlatego zaryzykował, chociaż mógł go spotkać afront ze strony człowieka, który uchodził za nietowarzyskiego. Może niedawno wrócił ze spotkania z udziałowcami kopalni i czuł, że koniecznie musi z kimś porozmawiać?

– Moim zdaniem taka sytuacja nie może trwać długo – powiedział Ross. – Do produkcji maszyn używa się coraz więcej miedzi. Miasta również jej potrzebują i z czasem ceny muszą wzrosnąć.

– W dłuższej perspektywie może ma pan rację, ale niestety musimy płacić odsetki od kredytu. Sprzedajemy rudę za grosze, by nie zbankrutować. Gdyby odlewnie działały uczciwie, moglibyśmy przetrwać trudny okres. Ale czy mamy jakieś szanse?

– Moim zdaniem utrzymanie niskich cen nie leży w interesie odlewni – rzekł Ross.

– Nie ceny rynkowej, ale ceny, jaką płacą nam. Są w znowie, kapitanie Poldark, i wszyscy o tym wiemy – odparł Blewett. – Czy mamy szanse na normalne zyski, skoro odlewnie nie przebijają swoich ofert?!

Ross skinął głową i patrzył na ludzi wchodzących do gospody i wychodzących z niej. W stronę szynkwasu posuwał się po omacku ślepiec.

– Są dwa sposoby walki ze złem.

Blewett nadstawił uszu w nadziei, że Ross zaproponuje jakieś rozwiązanie.

– Co pan proponuje?

– Rozwiązanie kwadratury koła. Odlewnie nie konkurują między sobą i nie przebijają swoich ofert. Gdyby kopalnie zawarły podobny sojusz, mogłyby wstrzymać dostawy rudy, aż odlewnie byłyby gotowe więcej zapłacić. W końcu nie mogą bez nas istnieć, to my dostarczamy im materiałów.

– Tak, tak. Rozumiem, co pan ma na myśli. Proszę mówić dalej.

W tej samej chwili za niskim oknem gospody przeszedł mężczyzna, po czym stanął w drzwiach. Ross skupiał się na temacie rozmowy i z początku nie poznał znajomej barczystej postaci o nieco rozkołysanym chodzie. Ale nagle sobie przypomniał. Po raz ostatni widział tego mężczyznę przed kilku laty, kiedy odjeżdżał on doliną Nampary po pojedynku z Francisem, a Verity stała i patrzyła za nim.

Ross pochylił głowę i wbił wzrok w blat stołu.

Widział w wyobraźni człowieka, którego przed chwilą ujrzał. Piękny granatowy mundur, schludny czarny halsztuk, koronkowe mankiety, imponująca, barczysta sylwetka. Jednak twarz wydawała się inna niż dawniej: usta były otoczone głębokimi zmarszczkami, wargi zaciśnięte, a oczy zdradzały pewność siebie.

Kapitan przeszedł przez główną salę gospody, nie rozglądając się, i wszedł do jednego z bocznych pomieszczeń. Szczęśliwa ucieczka.

– Potrzebujemy przywódcy, kapitanie Poldark – rzekł z entuzjazmem Blewett. – Poważnego, uczciwego człowieka, który mógłby działać w imieniu nas wszystkich. Kogoś takiego jak pan, jeśli wolno mi tak powiedzieć.

– Słucham? – spytał Ross.

– Ufam, że wybaczy mi pan tę propozycję, ale w górnictwie każdy dba tylko o własne interesy. Potrzebujemy przywódcy, który potrafiłby zjednoczyć właścicieli kopalni, by działali solidarnie. Konkurencja jest dobra w okresie rozkwitu, lecz nie możemy sobie na nią pozwolić w obecnej sytuacji. Odlewnie miedzi są chciwe. Trudno to inaczej określić. Żądają gigantycznych rabatów ze względu na zanieczyszczenia rudy. Gdybyśmy mieli przywódcę, kapitanie Poldark...

Ross słuchał z coraz większą uwagą.

– Jaka jest pańska druga sugestia? – spytał Blewett.

– Sugestia?

– Wspomniał pan, że istnieją dwa sposoby walki ze złem, które nas gnębi.

– Druga możliwość polega na tym, że kopalnie same wybudują odlewnię, zaczną przerabiać rudę i sprzedawać czystą miedź.

Blewett nerwowo bębnił palcami po stole.

– Chce pan powiedzieć, że... że...

– Można by stworzyć spółkę, która kupowałaby rudę miedzi po uczciwych cenach i pozwalała zatrzymać zyski właścicielom kopalni. W tej chwili zyski trafiają do South Wales Smelting Company albo do pośredników takich jak Warlegganowie, którzy prowadzą wiele różnych interesów.

Blewett pokręcił głową.

– Wymagałoby to ogromnego kapitału. Chciałbym, żeby to było możliwe...

– Kapitał mógłby się znaleźć. Najważniejsza jest jedność i zdecydowanie.

– To byłoby wspaniałe – odparł Blewett. – Kapitanie Poldark, ma pan, jeśli wolno mi tak powiedzieć, charakter urodzonego przywódcy i dar jednoczenia ludzi. Odlewnie z pewnością próbowałyby zniszczyć nowe przedsiębiorstwo, ale byłoby ono nadzieją dla tych, którym grozi ruina.

Desperacja sprawiła, że Harry Blewett stał się elokwentny. Ross słuchał częściowo ze sceptycyzmem, częściowo poważnie. Przedstawiając swoje propozycje, zdołał je jaśniej sformułować, lecz z pewnością nie wyobrażał sobie siebie w roli przywódcy właścicieli kornwalijskich kopalni miedzi. Znał ludzi, wśród których się obracał, ich niezależność i uporczywą niechęć do nowych idei, toteż rozumiał, że podjęcie rzeczywistych działań wymagałoby ogromnych wysiłków.

Popijali przez jakiś czas brandy i dyskutowali o sytuacji w górnictwie. Banalna rozmowa wydawała się uspokajać Blewetta. Opowiedział o swoich lękach, co przyniosło mu pewną ulgę. Ross słuchał nieuważnie, rozglądając się za Andrew Blameyem.

Powinien już wracać. Demelza, choć nieszczęśliwa, dała się poprzedniego wieczoru przekonać do wydania drugiego przyjęcia. Blewett przyprowadził do stołu drugiego mężczyznę, Williama Auketta, zarządcę kopalni w dolinie Ponsanooth, i z entuzjazmem wyjaśnił mu istotę planu. Aukett, inteligentny człowiek z zezem w jednym oku, stwierdził, że mogłoby to uratować przemysł górniczy – ale skąd wziąć kapitał, jeśli nie z banków powiązanych z odlewniami miedzi?

Ross, sprowokowany do obrony swojego pomysłu, oznajmił, że istnieją wpływowi ludzie spoza kręgu odlewni. Oczywiście nie byłoby to niewielkie przedsięwzięcie spekulacyjne, które można rozkręcić, inwestując pięćset lub sześćset funtów. Potrzeba raczej trzydziestu tysięcy, z perspektywą ogromnych zysków lub całkowitego fiaska. Najważniejsze to widzieć cały plan we właściwej skali.

Uwagi te, zamiast wprawić Blewetta w przygnębienie, jeszcze zwiększyły jego entuzjazm, lecz gdy wyjął arkusz przybrudzonego papieru i zamierzał poprosić o pióro i inkaust, cynowe naczynia stojące na półkach na ścianach gospody zadygotały i gwar panujący we wnętrzu nagle ucichł.

Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegł hurgot, jakby ktoś tarzał się po podłodze. Rozległ się tupot, mignęła czerwona kamizelka i nadbiegł zaniepokojony oberżysta.

– To nie miejsce na bójki, panie! Kiedy pan przychodzi, zawsze zaczynają się kłopoty. Nie życzę sobie tego. Ja... ja...

Głos ucichł. Zastąpił go inny, należący do Andrew Blameya, w którym brzmiała wściekłość.

Kapitan wyszedł z bocznego pomieszczenia i zaczął się przeciskać przez tłum ludzi zmierzających do drzwi. Nie był pijany. Ross zastanawiał się, czy jego problem rzeczywiście polega na słabości do mocnych trunków. Blameyem rządził potężniejszy demon: własny temperament.

Francis i Charles mieli mimo wszystko rację. Pierwsze spostrzeżenia Rossa były trafne. Powierzyć łagodną, wrażliwą Verity takiemu człowiekowi...

Musi o tym powiedzieć Demelzie. Przestanie go wreszcie zdręzczać.

– Znam tego człowieka – rzekł Aukett. – To kapitan żaglowca „Caroline”, brygu kursującego jako statek pocztowy na trasie Falmouth–Lizbona. Surowo traktuje marynarzy, podobno zamordował żonę i dzieci, choć jeśli to prawda, nie mam pojęcia, dlaczego jest na wolności.

– Pokłócił się z brzemienną żoną i ją przewrócił – odparł Ross. – Zmarła. Z moich informacji wynika,

że dwójka jego dzieci nie ma z tym nic wspólnego.

Blewett i Aukett spoglądali na niego przez chwilę.

– Podobno zdążył się już pokłócić ze wszystkimi w Falmouth – zauważył Aukett. – Unikam tego człowieka. Wygląda, jakby dręczyły go demony.

Ross poszedł po klacz, którą zostawił w oberży Pod Walecznym Kogutem. Nie widział więcej Blameya. Minał pałac Warlegganów i przyglądał się przez chwilę ich powozowi zatrzymującemu się przed głównym wejściem. Był to wspaniały pojazd z lśniącego politurowanego drewna z biało-zielonymi kołami, ciągnięty przez cztery piękne siwki. Pocztylion, woźnica i lokaj nosili biało-zielone liberie, bardziej eleganckie od strojów arystokratów pokroju Boscawenów czy Dunstanville'ów.

Lokaj zeskoczył na ziemię i otworzył drzwiczki. Z karety wysiadła matka George'a, gruba kobieta w średnim wieku spowita w koronki i jedwabie. Z otwartych drzwi wielkiego budynku wyszli służby, by ją powitać. Przechodnie zatrzymywali się i patrzyli. Kobieta zniknęła w pałacu. Wspaniała kareta odjechała.

Ross nie starałby się imponować innym zamożnością, nawet gdyby mógł sobie na to pozwolić, lecz tego dnia szczególnie silnie odczuł ironię tego, co zobaczył. Nie chodziło o to, że Warlegganów stać na karete z poczwórnym zaprzęgiem, choć on sam nie może kupić drugiego konia, by załatwiać niezbędne sprawy – uderzające było to, że ci bankierzy i lichwiarze, których przodkowie sprzed dwóch pokoleń nie potrafili nawet pisać i czytać, mogą się afiszować bogactwem w czasie kryzysu, gdy tymczasem wartościowym ludziom takim jak Blewett, Aukett i setkom innych grozi bankructwo.

Rozdział piąty

Drugie przyjęcie z okazji chrzcin minęło bez przeszkód. Górnicy, drobni dzierżawcy i ich żony lubili dobrą zabawę. Było zresztą święto Sawle i gdyby nie zaproszono ich do Nampary, spędziliby popołudnie w wiosce, tańcząc, uczestnicząc w konkursach lub pijąc w jednej z gospód.

W ciągu pierwszych trzydziestu minut panowało lekkie skrępowanie, bo goście pamiętali, że przebywają w towarzystwie ziemiaństwa, lecz wkrótce zapomnieli o nieśmiałości.

Było to letnie przyjęcie w starym stylu, bez nowomodnych udziwnień, które mogłyby kogoś zawstydzić. Demelza, Verity i Prudie przygotowywały je od wczesnego ranka. Podano ogromne zapiekanki z wołowiny i ciasta, ułożone warstwami, z wierzchu polane śmietaną. Upieczono cztery zielone gęsi i dwanaście dorodnych kapłonów; ciasta przypominały kamienie młyńskie. Był miód pitny, domowe piwo, cydr i porto. Ross obliczał, że na jednego mężczyznę powinno wypadać półtora garnca cydru, a na kobietę garniec; uznał, że to powinno wystarczyć.

Po posiłku wszyscy wyszli na murawę, gdzie kobiety brały udział w wyścigach, a dzieci tańczyły przy słupie majowym. Bawiły się w ciuciubabkę, łapanie chusteczki i polowanie na pantofelek, natomiast mężczyźni urządzili zawody zapaśnicze. W walce finałowej uczestniczyli bracia Danielowie, Mark i Paul. Zgodnie z oczekiwaniami wygrał Mark. Później, nabrawszy znowu apetytu, goście pili herbatę i jedli ciasta z szafranem oraz imbirem.

Głównym wydarzeniem wieczoru był występ wędrownych aktorów. Tydzień wcześniej Ross zauważył w Redruth przybity do drzwi podarty plakat, który głosił, że miasto odwiedzi trupa aktorska Aarona Otwaya mająca w repertuarze ciekawe dramy autorów starożytnych i współczesnych, z muzyką i tańcami.

Ross odszukał szefa trupy, który mieszkał w większym z dwóch odrapanych wozów, jakimi przyjechali aktorzy. Umówili się, że w następną środę trupa da przedstawienie w bibliotece w Namparze. Rupiecie zawalające bibliotekę przełożono pod jedną ze ścian, zamieciono podłogę i ustawiono na niej skrzynki i deski, na których miała siedzieć publiczność. Scenę stanowiło kilka kotar związanych sznurkiem i rozpiętych w jednym z końców pomieszczenia.

Aktorzy wystawili tragedię Johnsona Hilla zatytułowaną *Elfrida, czyli zbłąkana żona*, a później komedię *Jatka*. Z boku stał Jud Paynter i gasił świece, gdy zaczynały zanadto kopcić.

Dla wieśniaków przedstawienie było równie ekscytujące jak najlepsze występy w londyńskich teatrach na Drury Lane. W skład trupy wchodziło siedmiu aktorów: pół-Cyganów, amatorskich komików i wędrownych śpiewaków. Aaron Otway, ich szef, gruby mężczyzna o spiczastym nosie i szklanym oku, z ogromnym przekonaniem recytował prologi oraz *entr'acte*. W pierwszej sztuce grał rolę kalekiego ojca, w drugiej zaś skrytobójcy, odziany w czarną pelerynę i ciężką czarną perukę, z oczami podkreślonymi czernidłem. Miał maniery przekupnia z targowiska i było jasne, że utopił swój talent w alkoholu. Główną rolę żeńską odgrywała czterdziestopięcioletnia blondynka o grubej szyi i tłustych, upierścienionych palcach, lecz najlepszą aktorką trupy była ciemnowłosa, niebrzydka, skośnooka dziewczyna w wieku około dziewiętnastu lat, która nieprzekonująco grała cnotliwą córkę i świetnie ulicznicę.

Ross doszedł do wniosku, że gdyby miała okazję się podszkolić, mogłaby daleko zajść. Wydawało jednak się mało prawdopodobne, by mogła liczyć na naukę lub uśmiech losu. Zapewne skończy jako trzeciorzędna dziwka albo zawiśnie na szubienicy za kradzież zegarka dżentelmena.

Ale siedzący w pobliżu mężczyzna myślał inaczej. Kościsty Mark Daniel, wysoki i potężnie zbudowany, miał trzydzieści lat i nigdy w życiu nie widział nikogo podobnego do tej dziewczyny. Była smukła, gibka, olśniewająca, delikatna, kiedy stała na palcach, wyginając szyję, i śpiewała miękkiem głosem, a w jej oczach odbijało się czerwono-światło świec. Dla Marka jej skromne miny nie miały w sobie

nic sztucznego. Płomienie kopających świec oświetlały miękkie krzywizny dziewczęcych policzków; tanie, krzykliwe kostiumy wydawały się egzotyczne i nierzeczywiste. Różniła się od innych kobiet, jakby pochodziła z czystszej, wspanialszej świata. W czasie przedstawienia Mark siedział, milczał i słuchał piosenek, nie spuszczać z dziewczyny ciemnych celtyckich oczu, a potem patrzył pustym wzrokiem na czarne płótno, gdy za nim zniknęła.

Kiedy sztuka się skończyła i goście wzięli do rąk kieliszki, Will Nanfan wyjął skrzypce, Nick Vigus flet, a Pally Rogers drewnianą trąbkę. Ławki odsunięto pod ściany i zaczęły się tańce. Nie były to dostojne, wdzięczne menuety, ale żwawe tańce wsi angielskiej. Tańczono *Rogaczu, rogaczu, W zielonym ogrodzie* i *Kości posłaniem staruszka*. Ktoś zaproponował *Taniec z poduszką*. Jeden z młodych mężczyzn zaczął tańczyć wokół sali z poduszką w ręku, po czym zatrzymał się i zaśpiewał: „Nie będę więcej tańczył!”, a trzech muzyków spytało chórem: „Dlaczego, dobry panie, dlaczego?”. Tancerz odpowiedział: „Bo nie chce ze mną tańczyć Betty Prowse!”, muzycy zaś krzyknęli: „Musi zatańczyć, czy chce, czy nie!”. Mężczyzna kładł poduszkę przed wybraną dziewczyną, ona klękała na poduszce, a on całował wybrankę. Później okrążali salę, trzymając się za ręce i śpiewając: „Prinkum, prankum, piękny taniec, więc zatańczmy jeszcze raz!”. Następnie tańczyła z poduszką dziewczyna.

Czas szybko mijał na zabawie, przy akompaniamencie śmiechów, aż wreszcie nawet starzy postanowili zatańczyć. W końcu Zacky Martin zaprosił dla żartu ciotkę Betsy Triggs. Ciotka Betsy, znana z talentu komediowego, tańczyła z Zackym, furkocąc spódnicą, jakby miała szesnaście, a nie sześćdziesiąt pięć lat. Później okrążyła salę z poduszką i zatrzymała się w kącie. Rozległ się wybuch śmiechu, bo siedział tam tylko jeden mężczyzna.

– Nie będę więcej tańczyła! – zaskrzeczała.

– Dlaczego, dobra pani, dlaczego? – spytało wszyscy chórem.

– Bo nie chce ze mną tańczyć Jud Paynter! – odpowiedziała ciotka Betsy.

Kolejny ryk śmiechu, po czym cała sala zawołała:

– Musi zatańczyć, czy chce, czy nie!

Pośród śmiechów i tupotu nóg kilku mężczyzn rzuciło się na Juda, który próbował się wymknąć. Protestował, usiłował się wyrwać i nie chciał uklęknąć na poduszce, toteż go na niej posadzono. Ciotka Betsy zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała go z takim impetem, że oboje stracili równowagę i upadli na podłogę. Po kolejnym wybuchu wesołości wstali i okrążyli razem bibliotekę. Jud nieśmiało rozglądał się po sali, a w jego przekrwionych oczach buldoga płonęły złośliwe ogniki. Teraz wybór należał do niego. Chociaż Prudie nie spuszczała z niego wzroku, nie mogła nic zrobić, bo była to tylko zabawa.

Jud krążył powoli po pomieszczeniu, usiłując sobie przypomnieć to, co powinien zaśpiewać. Wreszcie przystanął.

– Tutaj zostanę! – zawołał.

– Dlaczego, dobry panie, dlaczego?

– Bo chcę Char Nanfan, właśnie dlatego! – Jud rozejrzał się wyzywająco, jakby spodziewał się protestów, ukazując dwa wielkie zęby.

Druga żona Willa Nanfana była jedną z najładniejszych kobiet na przyjęciu. Miała jasne włosy splecione w gruby warkocz. Wszyscy spojrzeli na nią, żeby się przekonać, jak to przyjmie, ale zrobiła zabawną minę, roześmiała się i potulnie uklęknęła na poduszce. Jud patrzył na nią przez chwilę z zadowoleniem, po czym powoli otarł rękawem wargi.

Pocałował ją z wyraźną przyjemnością, a wszyscy młodzi mężczyźni w sali wydali głośny jęk.

Jud przyciskał wargi do ust Char Nanfan, gdy wtem rozległ się ogłuszający krzyk Prudie, która nie mogła dłużej tego znieść:

– Zostaw ją, stary capie! Nie dla ciebie te frykasy!

Jud szybko się wyprostował przy wtórze głośnych śmiechów i wrócił do swojego rogu, z dala od żony.

Po chwili zabawa się skończyła i znów zaczęły się tańce. Mark Daniel nie uczestniczył w powszechnej wesołości. Zawsze uważał, że taniec ma w sobie coś zniewieściałego (był wysokim, małomównym mężczyzną o ogromnej sile fizycznej), lecz teraz zobaczył, że kilku członków trupy skończyło jeść kolację i przyłączyło się do tańczących.

Nie mógł dłużej wytrzymać i zaryzykował irlandzki reel, który miał nieskomplikowane kroki. Później potarł się dłonią po brodzie, żałując, że się lepiej nie ogolił, i przyłączył się do następnego tańca. Na drugim końcu długiej linii tancerzy zauważył młodą aktorkę; podobno nazywała się Keren Smith. Nie mógł oderwać od niej wzroku i wydawało się, że nie widzi ludzi znajdujących się naprzeciwko niego.

Dziewczyna wyczuła, że Mark na nią patrzy. Nigdy na niego nie spojrzała, ale wyraz jej twarzy sugerował, że zdaje sobie z tego sprawę, o czym świadczył sposób, w jaki zaciskała czerwone wargi, odrzucała włosy i poruszała głową. Kiedy Mark zorientował się, że za chwilę mają tańczyć w jednej parze, zachwiał się i oblał potem. Zbliżał się ten moment, następna para odchodziła na swoje miejsce, a Mark znalazł się na końcu rzędu i dziewczyna podeszła do niego. Spotkali się, ujął jej dłonie i zatoczyli krąg. Popatrzyła mu przez chwilę w oczy; miała rozwiane włosy, a jej spojrzenie było oślepiające jak słońce. Później rozdzielili się i wrócili na swoje miejsca. Jej dłonie były chłodne, lecz zszokowany Mark miał wrażenie, jakby dotknął jednocześnie lodu i ognia.

Taniec się skończył. Mark wrócił do swojego kąta. Inni uczestnicy przyjęcia rozmawiali i śmiali się, nie zauważając żadnej zmiany. Usiadł, otarł pot z czoła i ze stwardniałych dłoni, dwukrotnie większych od dłoni dziewczyny, tak że bez trudu mógłby je zmiażdżyć. Obserwował ją ukradkiem w nadziei, że znowu na niego spojrzy, lecz tak się nie stało. Wiedział jednak, że kobiety potrafią patrzeć, nie patrząc.

Znów dołączył do tańczących w nadziei, że znajdzie się blisko Keren, lecz tak się nie stało. Rozmawiał z nią Joe Nanfan, syn Willa Nanfana, choć nie powinien tego robić. Poza tym zamieniła kilka słów z małym pomarszczonym człowieczkiem należącym do trupy aktorskiej.

Przyjęcie dobiegało końca. Nim uczestnicy wyszli, Zacky Martin, najbardziej uczony człowiek w okolicy, wstał i wygłosił mowę. Powiedział, że wszyscy świetnie się bawili, najedli się na cały tydzień, napili na dwa tygodnie i natańczyli na cały miesiąc. Podziękował kapitanowi Poldarkowi, pani Poldark i pannie Verity Poldark za wspaniałe przyjęcie i życzył im długich lat życia, bogactwa i szczęścia. Wyraził nadzieję, że mała panna Julia wyrośnie na chlubę ojca i matki, następnie jeszcze raz podziękował i życzył wszystkim dobrej nocy.

Ross kazał podać gościom po kieliszku brandy z melasą. Kiedy wypili, powiedział:

– Wasze życzenia dużo dla mnie znaczą. Chcę, by moja córka Julia dorastała w tej okolicy jako wasza przyjaciółka. Chcę, by odziedziczyła po mnie ziemię i waszą przyjaźń. Życzę zdrowia i szczęścia wszystkim waszym dzieciom. Obyśmy doczekali lepszych czasów, gdy kraj stanie się zamożniejszy.

Słowa Rossa przyjęto głośnymi wiwatami.

Martinowie zostali w Namparze, bo żona Zacky'ego miała pomóc córce w sprzątanii po przyjęciu, toteż Danielowie wrócili do domu sami.

Z przodu szli babcia Daniel i żona Paula Daniela, wspierając starszego brata Marka, a z tyłu, niczym fregaty za okrętami liniowymi, podążało troje dzieci Paula. Nieco po lewej, rozmawiając ze sobą szepcąc z nachylnymi ku sobie głowami, szły Mary i Ena, dwie siostry Marka, a pochód zamykali Mark i kuśtykający dziadek Daniel, który parskał od czasu do czasu.

Była ładna lipcowa noc, a na zachodzie w dalszym ciągu lśniły resztki pomarańczowej łuny niczym odbicie oświetlonego okna. Niekiedy obok przelatywał chrabąszcz lub nietoperz trzepocący skrzydłami w ciemności.

Gdy zostawili za sobą strumień, słycać było tylko paplaninę babci Daniel, żywej staruszki zbliżającej się do osiemdziesiątki.

Ciemne postacie ledwo widoczne w półmroku wspięły się na szczyt wzgórza, przez kilka sekund rysowały się niewyraźnie na tle nieba, a potem zaczęły schodzić w stronę przysiółka Mellin. Zniknęły w kotlinie i pozostały tylko nieme gwiazdy i nocne niebo nad morzem.

Mark Daniel leżał cicho na swoim pościeliu i nasłuchiwał. Chata Danielów, stojąca między chatami Martinów i Vigusów, miała tylko dwie izby do spania. Mniejszą zajmowali dziadek Daniel, jego matka i najstarsze z trojga dzieci Paula. W drugiej spali Paul, jego żona Beth i dwoje młodszych dzieci, a Mary i Ena zajmowały przybudówkę na tyłach domu. Mark spał na słomianym sienniku w kuchni.

Wszyscy bardzo długo układali się do snu, a kiedy w chacie w końcu zapanowała cisza, Mark wstał i ponownie włożył bryczesy i surdut. Wciągnął buty dopiero na dworze.

W domu było bardzo cicho, lecz na otwartym powietrzu rozlegało się mnóstwo cichych dźwięków. Mark ruszył w stronę Nampary.

Nie wiedział, co zamierza zrobić, ale nie mógł spać, mając w sobie to coś.

Tym razem na tle nieba nie pojawiła się ludzka sylwetka, tylko pień drzewa stał się na chwilę grubszy i obok zrujnowanej maszynowni Wheal Grace przemknął czyjś cień.

Nampara nie była jeszcze pogrążona w ciemności. Za zasłonami sypialni kapitana Poldarka płonęły świece, na parterze także migotało światło. Ale nie tego wypatrywał Mark. W górnej części doliny za strumieniem stały dwa wozy należące do wędrownych aktorów.

Kiedy się zbliżył, zauważył, że w wozach również płoną światła, choć zasłaniały je krzaki głogu i dzikie leszczyny. Poruszał się cicho jak na tak potężnego mężczyznę i podszedł ukradkiem do większego z wozów.

Nikt tu nie spał ani nie myślał o spaniu. Płonęły świece, a aktorzy siedzieli przy długim stole. Rozmawiali, śmiali się, rozlegał się brzęk monet. Mark podpełzł bliżej, rozglądając się bacznie w obawie przed psem.

Okna wozu znajdowały się dosyć wysoko, ale Mark mógł zajrzeć do środka dzięki swojemu wzrostowi. Byli tu wszyscy: tłuścioch ze szklanym okiem, tęga aktorka o grubej szyi, chudy, jasnowłosy mężczyzna grający główne role męskie, pomarszczony niski komik... i dziewczyna. Grali zatłuszczonymi kartami w jakąś grę. Dziewczyna rozdawała, a gdy położyła kartę przed chudym, jasnowłosym mężczyzną, powiedziała coś, co sprawiło, że wszyscy się roześmiali. Miała na sobie strój przypominający kimono, a jej włosy były rozczochrane, jakby zmierzwiła je rękami. Siedziała z kartami w ręku, opierając nagi łokieć o blat stołu, a zmarszczone brwi świadczyły o narastającej niecierpliwości.

Ale nawet niedoskonałość może mieć dziwny urok. W pewien sposób Mark był wdzięczny, że dziewczyna już nie wygląda jak bogini. Stał, zaglądając do wnętrza wozu. Odginał wielką dłonią ciernistą gałąź głogu, a przyćmione światło padające z okna rzucało na jego twarz dziwne cienie.

Nagle gracze ryknęli śmiechem i po chwili komik zgarnął pensy leżące na stole. Dziewczyna wydawała się zła, bo rzuciła karty i wstała. Jasnowłosy mężczyzna uśmiechnął się do niej i o coś zapytał. Wzruszyła ramionami i pokręciła głową, ale nagle jej nastrój się zmienił i z niewiarygodnym wdziękiem okrążyła stół, gibka jak trzcina, a następnie pochyliła się i pocałowała komika w łysą głowę, jednocześnie wyjmując dwa pensy z jego uniesionych palców.

Zauważył to zbyt późno i próbował chwycić jej dłoń, ale odsunęła się zgrabnie, ukazując w uśmiechu piękne zęby, i schowała się za jasnowłosym mężczyzną, który odepchnął rozgniewanego komika. Zanim Mark się zorientował, wyszła z wozu i zatrzasnęła drzwi, śmiejąc się triumfalnie. Zbyt zaferowana, by zauważyć w mroku intruza, pobiegła w stronę własnego wozu stojącego w dolinie w odległości pięćdzie-

sięciu kroków.

Mark ukrył się w cieniu, a tymczasem komik wyskoczył za dziewczyną. Krzyczał i przeklinał Keren, lecz nie pobiegł za nią, bo podeszła do niego gruba kobieta.

– Zostaw ją, Tupper – powiedziała. – Pamiętaj, że to ciągle dziecko. Nie znosi przegrywać w karty.

– Dziecko czy nie dziecko, ukradła dwa pensy, a za to można kupić kieliszek ginu! Widziałem ludzi wychłostanych za mniejsze przestępstwa! Za kogo ona się uważa?! Zadziera nosa, jakby była królową Saby! Niech diabli porwą kobity! Dopadnę ją rano. Słyszysz, Kerenhappuch? Dopadnę cię rano, podstępna laleczko!

Odpowiedziało mu trzaśnięcie drzwiami. Do kobiety podszedł szef trupy.

– Uciszcie się! Nie zapominajcie, że ciągle jesteśmy na ziemi Poldarka, przyjaciele, a chociaż dobrze nas przyjęła, nie powinniśmy mu się narażać, bo możemy mieć kłopoty. Zostaw tę małą Cyganekę, Tupper.

Mężczyźni weszli z powrotem do pierwszego wozu, gderając i rozmawiając, a kobieta podążyła w stronę drugiego.

Mark w dalszym ciągu czaił się w krzakach. Nie mógł nic więcej zrobić ani zobaczyć, ale zamierzał zaczekać, aż wszystko się uspokoi. Gdyby wrócił do domu, nie zdołałby zasnąć, a o szóstej rano rozpoczął pracę w kopalni Gambler.

W drugim wozie zapaliło się światło. Mark wyprostował się i ruszył w jego kierunku. Nagle drzwi się otworzyły i ktoś wyszedł na zewnątrz. Rozległ się grzechot wiadra i Mark zauważył zbliżającą się postać. Dał nura w krzaki.

Była to Keren.

Minęła go i poszła dalej, cicho pogwizdując jakąś melodię. Mark słyszał dźwięki niesionego przez nią wiadra, wyraźne w cichym zagajniku.

Ruszył za dziewczyną. Zmierzała do strumienia.

Zbliżył się do niej, gdy uklękała, by nabrać wody. Znajdowali się w pewnej odległości od wozu; patrzył na nią i słyszał, jak przeklina zniecierpliwiona, ponieważ strumień był płytki i mogła napęlić wiadro tylko w jednej trzeciej.

Wyszedł z krzaków.

– Potrzeba rondla albo patelni, żeby...

Obróciła się i wydała stłumiony okrzyk.

– Zostaw mnie w spokoju, ty... – Kiedy zauważyła, że to nie komik, krzyknęła głośniej.

– Nie zrobię ci nic złego – powiedział Mark cichym, zdecydowanym głosem. – Nie wrzeszcz, bo obudzisz całą dolinę!

Przestała krzyczeć równie nagle, jak zaczęła, i popatrzyła na niego.

– Och... to ty...

Spojrzał na delikatny owal jej twarzy, trochę zadowolony, że go poznała, a trochę pełen wątpliwości.

– Tak. – Nad strumieniem, z dala od rozłożystych drzew było nieco jaśniej. Dolna warga Keren lśniła lekko.

– Czego chcesz?

– Zamierzałem ci pomóc – odpowiedział.

Wziął wiadro i poszedł na środek strumienia, gdzie było głębiej. Napęlił wiadro i przyniósł je Keren.

– Dlaczego zakradasz się do obozu o tak późnej porze? – spytała ostro.

– Bardzo mi się podobała twoja gra dziś wieczorem – wybąkał. – Naprawdę.

– Mieszkaś... we dworze?

– Nie. Trochę dalej.

- Gdzie?
- W kotlinie Mellin.
- Czym się zajmujesz?
- Ja? Jestem górnikiem.

Z niesmakiem wzruszyła ramionami.

- Niezbyt czysta praca, co?
- Podobają mi się twoja gra – powtórzył.

Popatrzyła na niego z ukosa, oceniając jego wzrost, kształt ramion. Zacieniona twarz skierowana w jej stronę była pozbawiona wyrazu.

- To ty wygrałeś zapasy?

Skinął głową, nie okazując zadowolenia.

- Ale ciebie tam...
- Och, nie było mnie. Ale słyszałam.
- Tamta drama... – zaczął.
- A, drama... – Wyduła wargi, zwracając się profilem do poświaty na niebie. – Podobałam ci się?
- Tak... – odpowiedział z wysiłkiem.
- Lepiej już idź – doradziła.

Zawahał się, nie wiedząc, co zrobić z rękami.

- Nie zostaniesz jeszcze trochę? Moglibyśmy porozmawiać.

Roześmiała się cicho.

- Po co? Znam lepsze sposoby spędzania czasu. Trochę mnie zdziwiłeś. Jest bardzo późno.
- Tak, wiem – odparł.
- Lepiej idź, nim zaczną mnie szukać.
- Będziesz jutro wieczorem w wiosce Grambler?
- O tak, na pewno.
- Ja też tam będę – rzekł.

Odwróciła się i uniosła wiadro.

- Zaniose je – zaproponował.
- Co takiego? Z powrotem do obozu? O nie!
- Poszukam cię jutro – powiedział.
- Ja ciebie też – rzuciła niedbale przez ramię.
- Naprawdę?
- Tak... może. – Ostatnie słowo było ledwo dosłyszalne, bo już odeszła. Skrzypienie wiadra powoli cichło.

Stał przez chwilę.

- Dobrze! – zawołał.

Odwrócił się i poszedł do domu, mając nad sobą ciche gwiazdy. Jego zdecydowane kroki były dłuższe niż kiedykolwiek, a stateczny, ostrożny umysł wędrował po nieznanym morzach.

Rozdział szósty

Kilka dni później Demelza jadła w milczeniu śniadanie i knuła. Ross wiedział już, że cisza w trakcie posiłku to zły znak. Po nieudanych chrzcinach Demelza była przez jakiś czas przygaszona, lecz przygnębienie szybko minęło. Chociaż początkowo wpadła w ponury nastrój, jej wrodzona żywotność wzięła górę.

– Kiedy zamierzasz pojechać do Jima? – spytała.

– Jima? – powtórzył, przestając myśleć o nieuczciwych praktykach odlewni miedzi.

– Jima Cartera. Wspominałeś, że następnym razem chciałbyś zabrać ze sobą Jinny.

– To prawda. Chyba w przyszłym tygodniu. Pod warunkiem, że dasz sobie bez niej radę i nie masz nic przeciwko temu.

Zerknęła na męża.

– Jest mi wszystko jedno – odpowiedziała niepewnie. – Spędzisz jedną noc poza domem?

– Ludzie mają brudną wyobraźnię i natychmiast pojawią się plotki o moim wyjeździe w towarzystwie służącej. Hm... – Umilkł.

– Kolejnej służącej?

– Cóż, jeśli chcesz to tak nazwać. Jinny jest niebrzydka, a moje dobre imię znowu ucierpi.

Demelza uniosła dłoń i odgarnęła dwoma palcami kosmyk włosów.

– Co cię gnębi, Ross?

Uśmiechnął się lekko.

– Mogą plotkować, aż im spuchną języki. Zresztą i tak plotkują.

– Więc jedź – odpowiedziała. – Nie obawiam się Jinny Carter ani starych bab.

Po ustaleniu dnia drugą rzeczą do zrobienia było załatwienie sprawy z Verity. Kiedy w poniedziałek rano Ross był zajęty w kopalni, Demelza poszła do odległego o pięć kilometrów dworu w Trenwith.

Jak dotąd odwiedziła dom kuzynów męża tylko raz i kiedy zobaczyła łukowate okna starego kamiennego budynku z epoki elżbietańskiej, skromnie go obeszła, by wejść od tyłu.

Znalazła Verity w spiżarni.

– Wszystko dobrze, jesteśmy zdrowi – powiedziała. – Droga Verity, przyszedłam cię poprosić o pożyczenie konia. To sekret, nie chcę, żeby Ross o tym wiedział. W przyszły czwartek jedzie do Bodmin odwiedzić w więzieniu Jima Cartera i bierze ze sobą Jinny Carter, więc nie będę miała konia, na którym mogłabym pojechać do Truro, a chciałabym coś załatwić pod nieobecność Rossa.

Ich oczy się spotkały. Demelza, choć nieco zdyszana, wydawała się absolutnie szczerą.

– Pożyczę ci Fuksa, jeśli chcesz. Czy to sekret również przede mną?

– Oczywiście, że nie – odpowiedziała Demelza. – Nie mogłabym pożyczyć od ciebie konia, gdyby miał to być sekret przed tobą, prawda?

Verity się uśmiechnęła.

– Bardzo dobrze, moja droga. Nie będę cię wypytywać. Ale nie możesz pojechać do Truro sama. Mamy kuca, którego możemy ci pożyczyć dla Juda.

– Nie wiadomo, o której godzinie Ross wyjedzie w czwartek, więc przyjdziemy pieszo po konie, jeśli nie robi ci to różnicy, Verity. Może moglibyśmy wyjść tylnymi drzwiami, żeby Francis i Elizabeth się nie dowiedzieli?

– Brzmi to niezwykle tajemniczo, doprawdy. Mam nadzieję, że nie będę uczestniczyła w jakimś występku?

– Nie, nie, skądże! To po prostu... po prostu coś, co od dawna zamierzam zrobić.

– Bardzo dobrze, moja droga.

Verity wygładziła niebieską bawełnianą suknię. Tego ranka wydawała się przesadnie schludna, nieco usztywniona. Jeden z jej staropanieńskich dni. Demelza czuła, że prawie zamiera jej serce, gdy myślała o potworności tego, co zamierza zrobić.

Wczesnym rankiem w czwartek, jadąc doliną z Jinny Carter, która dosiadała niemal już zupełnie ślepego Ramotha, Ross rozglądał się wokół zadowolonym wzrokiem. Cienka warstwa gleby szybko się wyjałowiała i po zebraniu plonów należało dać ziemi dużo czasu, by odzyskała żyzność, ale w tym roku dobrze wybrał pola. Pokrywała je gama barw, od jasnej zieleni do jasnego brązu. Dobre zbiory trochę zrekompensują wiosenne szkody wywołane przez sztorm.

Kiedy Ross zniknął za grzbietem wzgórza, Demelza odwróciła się i weszła do domu. Miała do dyspozycji cały dzisiejszy dzień i część jutra, gdyby to było konieczne, jednak musiała się też opiekować Julią. Gdyby nakarmiła ją o siódmej, Prudie mogłaby dać małej w południe trochę wody z cukrem, co wystarczyłoby do piątej.

Dziesięć godzin. Miała w tym czasie mnóstwo do zrobienia.

– Jud!

– No?

– Jesteś gotów?

– Nie pali się, pan Ross dopiero co wybył.

– Mamy bardzo mało czasu. Jeśli... nie wrócę przed piątą, mała Julia zacznie marudzić, a ja mogę być wtedy jeszcze bardzo daleko.

– Diabelsko głupi koncept od początku do końca – odrzekł Jud, wystawiając przez drzwi łąsą głowę otoczoną wianuszkami włosów. – Niejeden by powiedział, że nie trza mi mieszać się do takich głupstw. To naprzeciw prawu, to niedobre, to nieludzkie...

– Nie rezonuj, czarny smoku! – wtrąciła Prudie, która pojawiła się za plecami męża. – Demelza mówi, że masz jechać, to jedź i siedź cicho. Jak pan Ross robi awanture, to jej, nie tobie.

– Nie jestem taki pewny – stwierdził Jud. – Nie wiem. Z babami nigdy nie wiadomo. Nie da się zmiarkować, co im strzeli do łba. To cwane bestie. Ostrzegam cie, stara. Mogo gadać, że to moja wina, i wyjde na głupka. – Wciąż gderając, odszedł, by włożyć swój najlepszy surdut.

Opuścili Namparę tuż po siódmej i udali się do dworu w Trenwith po konia i kuca. Demelza włożyła nowy, niebieski strój do jazdy konnej, obcisły, o męskim kroju, z jasnoblękitnym gorsetem, oraz niewielki trójrożny kapelusz. Pocałowała Verity i bardzo serdecznie ją uściskała, jakby sądziła, że zatrze w ten sposób złe wrażenie wywołane tajemniczą prośbą.

Obecność Juda bardzo się przydała, bo potrafił dojechać do Falmouth wąskimi polnymi drogami i ścieżkami mułów; ominęli dzięki temu miasteczka i wioski, gdzie ktoś mógłby ich rozpoznać.

Mieszkańcy okolicznych wiosek zauważyliby ich przejazd, podobnie jak pojawienie się każdego obcego. Płukacze cyny i parobcy przerywaliby pracę i wsparci pod boki, patrzyliby na dziwną parę: Juda na niewielkim kudłatym kucyku oraz młodą, urodziwą kobietę na dużym, siwym koniu. W oknie każdej mijanej chaty pojawiałyby się zaintrygowane twarze.

Jud i Demelza nie zwracali szczególnej uwagi na okolicę, lecz dwie lub trzy godziny przed południem dostrzegli na horyzoncie srebrzystoszarą rzekę i wiedzieli, że zbliżają się do celu podróży.

Rzeka znikła wśród drzew, oni zaś zjechali z piaszczystego wzgórza pokrytego koleinami wyżłobionymi przez wozy, aż znaleźli się między chatami. Ujrzeni za nimi wielką zatokę i las masztów zakotwiczonych żaglowców. Demelzie zabiło serce. Zaczynała się niebezpieczna część dnia. Wszystko, co wyobrażała sobie w nocnej ciszy, miało się zderzyć z twardą rzeczywistością. Z pozoru kochanek Verity wyda-

wał się miłym, przystojnym żeglarzem w średnim wieku, jednak Ross opisał jej scenę awantury w gospodzie w Truro. Należało pogodzić te dwa obrazy przed podjęciem dalszych działań.

Po kilku minutach dotarli do wybrukowanego kocimi łbami placu. Między wysokimi domami widać było lśniąca wodę zatoki. Na ulicach roiło się od ludzi, którzy nie śpieszyli się, by zejść z drogi dwójce jeźdźców. Jud przepychał się między nimi, pokrzykując i przeklinając.

W końcu dotarli do nabrzeża, gdzie piętrzyły się stopy towarów wyładowanych z barkasa okrętowego. Demelza rozglądała się wokół jak zahipnotyzowana. Grupa marynarzy w niebieskich bluzach, z włosami związanymi w kucyki spoglądała na dziewczynę na koniu. Obok przeszła gruba Murzynka. Dwa psy walczyły o skórę chleba. Ktoś wychylił się z okna na piętrze i wyrzucił na ulicę stertę śmieci.

– Co tera? – burknął Jud, po czym zdjął kapelusz i podrapał się po głowie.

– Spytaj kogoś – odpowiedziała Demelza. – To odpowiedni sposób.

– Ni ma nikogo – odparł Jud i rozejrzał się po zatłoczonym placu. Minęło ich trzech oficerów marynarki ze złotymi galonami na mundurach, lecz Demelza za późno podjęła decyzję, by się do nich zwrócić. Jud ssał swoje dwa wielkie zęby. Skierowała konia między kilku łobuziaków bawiących się w rysztoke i podjechała do czterech grubych mężczyzn w perukach rozmawiających na schodach jednego z dużych domów. Byli to zamożni kupcy.

Zdawała sobie sprawę, że powinien się do nich zwrócić Jud, ale nie ufała jego manierom. W tym samym momencie Fuks postanowił przesunąć się w bok i nagły stukot kopyt na kocich łbach zwrócił uwagę mężczyzn.

– Przepraszam, że przeszkadzam – rzekła grzecznie Demelza. – Czy mogliby panowie wskazać nam drogę do domu kapitana Andrew Blameya?

Wszyscy zdjęli kapelusze. Nic takiego nie przytrafiło się nigdy Demelzie. Wzięli ją za damę. Oblała się rumieńcem.

– Przepraszam panią, ale nie dosłyszałem nazwiska – powiedział jeden z kupców.

– Szukam domu kapitana Andrew Blameya, dowódcy statku pocztowego pływającego do Lizbony.

Zauważyła, że wymienili spojrzenia.

– Mieszka na końcu miasta, pani. Trzeba jechać tą ulicą. To jakieś pięćset metrów stąd. Drogę wskazałby również agent statków pocztowych, gdyby odwiedziła pani jego biuro. Mógłby udzielić informacji, czy kapitan Blamey jest na lądzie, czy na morzu.

– Jest w Falmouth – wtrącił jeden z mężczyzn. – „Caroline” odpływa w sobotę rano.

– Jestem panom bardzo zobowiązana – rzekła Demelza. – Trzeba jechać tą ulicą, tak? Dziękuję. Życzę miłego dnia.

Znów się skłonili, a Demelza strząsnęła wodze, dając koniowi znak do ruszenia, i odjechała. Jud, który słuchał rozmowy z otwartymi ustami, podążył za nią powoli, mrużąc coś o tym, że nie strój decyduje o wartości człowieka.

Jechali długą, wąską ulicą, przy której znajdowały się brudne chaty, nieliczne domy i maleńkie sklepiki. Po prawej stronie wznosiło się strome, zalesione wzgórze. W zatoce kotwiczyło kilkadziesiąt żaglowców – Demelza nigdy nie widziała tylu statków jednocześnie, bo u północnych wybrzeży Kornwalii pojawiały się od czasu do czasu tylko pojedyncze brygi albo słupy, z dala omijające niebezpieczne urwiska.

Wskazano im jeden z lepszych domów z drewnianym gankiem z kolumnkami. Wyglądał ładniej, niż się spodziewała.

Zsiadła sztywno z Fuksa i kazała Judowi potrzymać konia. Była pokryta kurzem, ale nie wiedziała, gdzie mogłaby się odświeżyć.

– Niedługo wrócę – powiedziała. – Nie odchodź ani nie upij się, bo pojedę do domu bez ciebie.

– Upić sie?! – zdumiał się Jud, ocierając czoło. – Nikt nie może mnie oskarżyć o pijaństwo. Już pare tygodni żem nie miał kropli trunku w gębie. Tak mi wyschło gardło, że nie mogę nawet pluć. Upić sie, upić... Ha, pamiętam, jak onegdaj jedna służąca z Nampary znalazła gąsior grogu, a potem...

– Zostań tutaj – przerwała Demelza i odwróciła się plecami. – Niedługo wrócę.

Pociągnęła za sznurek dzwonka. Jud był zjawą z dawnych czasów. Trzeba o nim zapomnieć i zająć się Blameyem. Co powiedziałby Ross, gdyby ją teraz zobaczył? I Verity. Zarzuciliby jej podłą zdradę. Żałowała, że przyjechała. Powinna...

Drzwi się otworzyły i gderanie Juda ucichło.

– Chciałabym się zobaczyć z kapitanem Blameyem.

– Nie ma go, pani. Powiedział, że wróci przed południem. Chce pani poczekać?

– Tak – odpowiedziała Demelza. Przełknęła ślinę i weszła.

Gospodyni, nie przestając mówić, wprowadziła ją do miłego kwadratowego pokoju na pierwszym piętrze, wyłożonego drewnianą boazerią, która była pomalowana na kremowy kolor. Na pokrytym papierami biurku stał model żaglowca.

– Jakie nazwisko mam podać panu kapitanowi? – spytała gospodyni.

Demelza już miała powiedzieć, jak się nazywa, lecz w ostatniej chwili ugryzła się w język.

– Wolę sama się przedstawić. Niech pani powie, że... że ma gościa.

– Bardzo dobrze, pani.

Drzwi się zamknęły. Demelza słyszała bicie swojego serca i oddalające się kroki starej kobiety, która powoli zeszła po schodach. Zaciekały ją papiery leżące na biurku, ale bała się podejść i na nie popatrzeć, a poza tym ciągle jeszcze czytała bardzo powoli.

Miniatura przy oknie. Nie Verity. Czy to pierwsza żona, której śmierć spowodował? Małe oprawione rysunki przedstawiające chłopca i dziewczynkę. Zapomniała o jego dzieciach. Obraz przedstawiający statek wyglądał jak okręt wojenny. Z okna widać było ulicę.

Zbliżyła się do parapetu. Lśniący głowa Juda. Kobieta sprzedająca pomarańcze. Obrzucił ją przekleństwami. Teraz ona zaczęła go przeklinać. Jud wydawał się wstrząśnięty, że ktoś może mu odpowiedzieć równie brzydkimi słowami. „Kapitanie Blamey – powie Demelza – przyjechałam z panem porozmawiać o swojej kuzynce”. Nie, najpierw powinna sprawdzić, czy nie jest znowu żonaty. „Kapitanie Blamey – zacznij. – Czy jest pan znowu żonaty?”. Nie może tego powiedzieć. Co ma nadzieję osiągnąć? „Zostaw to, ostrzegał Ross. Niebezpiecznie się mieszać w życie innych ludzi”. Właśnie to robiła, wbrew zakazom, wbrew radom.

Na biurku leżała mapa z liniami narysowanymi czerwonym tuszem. Właśnie zamierzała ją obejrzeć, gdy jej uwagę przyciągnął hałas na ulicy.

W odległości stu metrów stała pod drzewem grupa marynarzy.

Brodaci, nieokrzesani, niechlujni mężczyźni, lecz w środku stał oficer w trójrożnym kapeluszu i przemawiał do nich lekko zirytowany. Tłoczyli się wokół niego, gestykulując gniewnie, i na chwilę zniknął między nimi. Później znów ukazał się jego kapelusz. Marynarze cofnęli się, by go przepuścić; kilku w dalszym ciągu krzychało i wygrażało pięściami. Grupa patrzyła za odchodzącym mężczyzną. Jeden z marynarzy podniósł kamień, ale drugi chwycił go za ramię i powstrzymał przed rzuceniem. Oficer w trójrożnym kapeluszu odszedł, nie oglądając się za siebie.

Kiedy zbliżył się do domu, Demelza poczuła ściskanie w żołądku. Instynktownie domyśliła się, że widzi człowieka, który stał się przyczyną jej intrygi i dla którego przejechała trzydzieści kilometrów.

Mimo ostrzeżeń Rossa nigdy nie wyobrażała go sobie w ten sposób. Czy zawsze się z kimś kłócił? Czy to przez niego Verity zwiędła i miała ziemistą cerę? Przez chwilę Demelza dostrzegła drugą stronę medalu, która jak dotychczas jej umykała. Przyszło jej do głowy, że być może rację mieli Francis, Ross

i stary Charles, a Verity zawiodła intuicja.

Spojrzała w panice na drzwi, by ocenić szanse ucieczki, lecz rozległ się trzask drzwi frontowych i wiedziała, że jest już za późno. Usłyszała kroki na schodach.

Wszedł do pokoju z twarzą ciągle stężoną po kłótni z marynarzami. Na początku pomyślała, że jest stary. Zdjął trójrożny kapelusz i okazało się, że nie nosi peruki. Miał posiwiałe skronie i szpakowate włosy na czubku głowy. Musiał mieć przeszło czterdzieści lat. Skóra wokół błękitnych, gniewnych oczu pomarszczyła się od patrzenia w słońce. Były to oczy człowieka, który szykuje się do startu w biegu.

Podszedł do biurka, położył na nim kapelusz i spojrzał na Demelzę.

– Nazywam się Blamey, pani – powiedział twardym, czystym głosem. – Czym mogę pani służyć?

Demelza zapomniała o przemowie, którą sobie przygotowała. Władcza postawa kapitana wytrąciła ją z równowagi. Oblizła wargi.

– Nazywam się Poldark – powiedziała.

Miała wrażenie, że w tajemnych mechanizmach umysłu tego twardego mężczyzny obrócił się klucz, blokując możliwość okazania zdziwienia lub emocji.

Skłonił się lekko.

– Nie miałem zaszczytu pani poznać.

– Nie, kapitanie, nie – odparła Demelza. – Ale zna pan mojego męża, kapitana Rossa Poldarka.

W twarzy Blameya było coś, co przywodziło na myśl żaglowiec. Wydawała się agresywna, silna, wychłostana przez wiatr, lecz niepokonana.

– Miałem przyjemność go poznać przed kilku laty.

Demelza nie mogła wydusić następnego zdania. Dotknęła dłonią fotela za swoimi plecami i usiadła na nim.

– Przejechałam trzydzieści kilometrów, by się z panem zobaczyć.

– Czuję się zaszczycony.

– Ross nie wie, że tu jestem – ciągnęła. – Nikomu o tym nie wspomniałam.

Blamey przestał na chwilę spoglądać twardym wzrokiem na Demelzę i zerknął na jej zakurzoną suknię.

– Czy miałaby pani ochotę na coś do picia?

– Nie... nie... Muszę odjechać za kilka minut. – Może popełniła błąd, bo herbata pozwoliłaby jej się uspokoić, i miałaby więcej czasu.

Zapadło niezręczne milczenie. Pod oknem Jud znów kłócił się z pomarańczarką.

– Czy to pani służący stoi przy drzwiach?

– Tak.

– Miałem wrażenie, że go poznaję. Powinienem był się domyślić.

Głos Blameya nie pozostawiał żadnych złudzeń co do jego uczuć. Demelza podjęła kolejną próbę.

– Ja... może nie powinnam przyjeżdżać, ale czułam, że muszę. Chciałam się z panem zobaczyć.

– Tak?

– Chodzi o Verity.

Przez chwilę wydawał się zawstydzony. Tego imienia nie wolno było wymieniać. Potem nagle zerknął na zegar.

– Mogę pani poświęcić trzy minuty.

Coś w jego spojrzeniu sprawiło, że Demelza straciła resztki nadziei.

– Popełniłam błąd, przyjeżdżając tutaj – rzekła. – Chyba nie mam panu nic do powiedzenia. Popełniłam błąd, to wszystko.

– Cóż, na czym polegał ten błąd? Skoro już tu pani jest, może pani mi powiedzieć.

– Nie ma sensu mówić czegokolwiek człowiekowi pańskiego pokroju.

Spojrzał na nią wściekłym wzrokiem.

– Proszę, by mi pani powiedziała.

Znowu popatrzyła mu w oczy.

– Chodzi o Verity. Ross poślubił mnie w zeszłym roku. Wcześniej nie znałam Verity. A ona nigdy nic nie mówiła. Dowiedziałam się od Rossa. O panu. Kocham Verity. Zrobiłabym wszystko, żeby była szczęśliwa. A nie jest szczęśliwa. Nigdy tego nie przeboleła. Nie może dojsć do siebie. Ross mówił, że niebezpiecznie się w to mieszać. Powiedział, że powinnam to zostawić. Ale nie mogłam tego zostawić, nie porozmawiawszy z panem. Myślałam... myślałam, że Verity ma rację, a oni się mylą. Ja... nie mogłam tego zostawić, najpierw musiałam się przekonać, że to oni mają rację.

Demelza miała wrażenie, że jej głos rozbrzmiewa na jałowym pustkowiu.

– Znów się pan ożenił? – spytała.

– Nie.

– Dziś zrealizowałam swój plan. Ross pojechał do Bodmin. Wzięłam konie i przyjechałam z Judem. Powinnam wracać, bo mam w domu małe dziecko.

Wstała i ruszyła powoli w stronę drzwi. Kiedy go mijala, chwycił ją za rękę.

– Verity jest chora?

– Nie – odpowiedziała gniewnie Demelza. – Źle się czuje, ale nie jest chora. Wygląda dziesięć lat starszej niż w rzeczywistości.

W oczach Blameya nagle pojawił się ból.

– Nie zna pani całej historii? Nie mogli nie opowiedzieć pani całej historii.

– Tak, o pańskiej pierwszej żonie. Ale na miejscu Verity...

– Nie jest pani Verity. Skąd pani wie, co ona czuje?

– Nie wiem, ale...

– Nie przysłała mi ani jednego słowa...

– Pan też nie.

– Mówiła coś?

– Nie.

– Więc to żalosne... Pani próba... To... to wtrącanie się...

– Wiem – odpowiedziała Demelza, bliska płaczu. – Teraz już wiem. Chciałam pomóc Verity, ale teraz tego żałuję. Nic z tego nie rozumiem. Jeśli ludzie się kochają, to wystarczający powód, żeby się ze sobą spotkać, i nawet alkohol nie może być przeszkodą. Sprzeciw ojca to jakiś powód, ale teraz ojciec nie żyje, a Verity jest zbyt dumna, by zrobić pierwszy krok. A pan... pan... Myślałam, że jest pan inny. Myślałam...

– Myślała pani, że siedzę i piję gin. Cała pani rodzina na pewno uważa mnie za skończonego pijaka spędzającego czas w gospodach, a Verity zgadza się ze swoim gogusiowatym bratem, że lepiej zapomnieć o kapitanie Blameyu. A może...

– Jak pan śmie mówić w ten sposób o Verity! – zawołała z oburzeniem Demelza. – Jak pan śmie! I pomyśleć, że przejechałam szmat drogi, by tego słuchać! Pomyśleć, że intrygowałam, kłamałam, pożyczam konie! Mówi pan takie rzeczy o Verity, która za panem tęskni! Mój Boże!

Zastąpił jej drogę.

– Proszę zaczekać.

Jego epolety i złote szamerowania przestały mieć znaczenie.

– Zaczekać na co?! Na nowe wyzwiska? Niech pan mnie przepuści albo zawołam Juda!

Znów ujął ją za ramię.

– Nie chodzi o panią, dziewczyno. Przyznaję, że miała pani dobre intencje. Przyznaję, że pani dobra wola...

Demelza drżała, ale wielkim wysiłkiem woli powstrzymała się przed wyrwaniem ręki.

Blamey milczał przez chwilę, przyglądając jej się badawczo, jakby chciał odgadnąć to, czego nie powiedziała. Nagle opuścił go gniew.

– Od tamtej pory zmieniliśmy się, dojrzeliliśmy. Wszystko odeszło w niepamięć, ale pozostała gorycz. Zdarzało się, że zachowywałem się jak wariat. Mam nadzieję, że pani to rozumie. Gdyby wiedziała pani o wszystkim, byłoby to jasne. Kiedy ktoś przypomina o dawnych wydarzeniach, o których najlepiej zapomnieć, często porusza także błoto, jakie przyłgnęło do tych spraw.

– Proszę puścić moją rękę – rzekła.

Skłonił się niezgrabnie i odwrócił. Demelza podeszła sztywno do drzwi i chwyciła klamkę.

Obejrzała się. Blamey spoglądał w stronę portu. Wahała się przez chwilę i nagle rozległo się pukanie do drzwi.

Kapitan nie odpowiedział. Demelza odstąpiła na bok i patrzyła na poruszającą się klamkę. W progu stała gospodyni.

– Przepraszam, życzy pan sobie czegoś?

– Nie – odpowiedział Blamey.

– Obiad gotowy, kapitanie.

Blamey spojrzał na Demelzę.

– Zje pani ze mną?

– Nie, dziękuję – odparła. – Powinnam wracać.

– W takim razie proszę odprowadzić panią Poldark do drzwi.

Gospodyni dygnęła.

– Tak, kapitanie.

Kobieta zeszła z Demelzą po schodach, nie przestając paplać. Ostrzegła ją, by uważała na stopniach, bo światło jest marne: zasłony są zaciągnięte, by dywan nie płowiał, ponieważ okno wychodzi na południe. Powiedziała, że dzień jest ciepły i że może nadejść burza z piorunami. Przyłodek St Anthony's Head jest bardzo wyraźnie widoczny, co stanowi zły znak. Otworzyła drzwi frontowe, nie przestając mówić, po czym życzyła pani Poldark miłego dnia.

Na ulicy Jud gapił się bezmyślnie w kamienny mur, przy którym stał jego kuc. Żuł kawałki pomarańczy podkradzonej z wozu pomarańczarki.

– Skończone, pani? – spytał. – Jużem się bał, co panią zabije. No, wszystko dobre, co się dobrze kończy.

Demelza nie odpowiedziała. Kapitan Blamey w dalszym ciągu obserwował ją z okna na piętrze.

Rozdział siódmy

Julię męczyły kolki i była rozdrażniona, a Demelza odparzyła sobie pośladki i czuła głębokie rozczarowanie; w końcu obie ogarnęła apatia. Jud odprowadził konia i kuca do Trenwith, Prudie zaś przygotowywała wieczerzę i zrzędziła.

Julia, nakarmiona i przewinięta, zapadła w niespokojny sen. Demelza, która po raz pierwszy jadła samotnie wieczerzę w salonie, przelykała pośpiesznie jedzenie. Była zła z powodu własnej porażki i zdawała sobie sprawę, że jest ona ostateczna. Ross miał rację. Nawet Francis miał rację. Verity nigdy nie wyjdzie szczęśliwie za mąż. A jednak...

Ach, cóż...

Nagle w pobliżu pojawił się gruby, bezkształtny Kaliban rodzaju żeńskiego, przerywając tok myśli Demelzy. Prudie stała obok talerza z gotowaną wołowiną i coś mówiła, próbując przyciągnąć uwagę pani, która musiała się nią wreszcie zainteresować.

– Co się stało? – spytała.

Spojrzała na Demelzę i zrozumiała, że ta nie słucha.

– Frasujesz się, co?

– Nie, Prudie, jestem po prostu zmęczona i zdenerwowana. Odparzyłam sobie pośladki i ledwo siedzę. Boli mnie przy każdym dotknięciu!

– Nie dziwota, dziewczyno... Zawsze gadam, że konie nie są dobre do jazdy, czy w siodle, czy na oklep, po męsku, czy po babsku. Ciąganie wozu to zupełnie co innego. Ale do tego są dobre i woły, co są dwa razy spokojniejsze. Tylko raz w życiu siedziałam na koniu, jak Jud przywiózł mnie z Bedruthan szesnaście roków temu. Trzęsło jak diabli, ani na chwilę nie było odpoczynku. Wieczorem cała się nasmarowałam smarem do osi, bo inaczej skóra by ze mnie zlazła. Wiem, co może ulżyć. Na twoim miejscu bym się rozebrała, a potem natarła balsamem z targu w Marasanvose.

– Nic mi nie będzie – odpowiedziała Demelza. – Zostaw mnie. Będę dziś spała na brzuchu.

– No, jak chcesz. Przyszłam powiedzieć, że przed drzwiami do kuchni stoi Mark Daniel. Pyta, czy może wejść i porozmawiać.

Demelza usiadła i zmarszczyła brwi.

– Mark Daniel? Czego chce?

– Nie wiem. Najpierw przylazł w południe. Powiedziałam, że cie nie ma i że wrócisz przed wieczerzą, a pan Ross dopiero jutro przed zmrokiem. Zipnął i poszedł, a potem wrócił i jeszcze raz pytał, kiedy wróci pani Poldark. Rzekłam, że dziś na wieczerzę, a potem znowu polazł na swoich długich nogach.

– Pytał o mnie dziś wieczorem?

– Ano, a ja rzekłam, że wieczorasz i nie wolno ci przeszkadzać. Bóg jeden wie, że i tak wkoło się tu szwendają górnicy z całego okręgu, żeby się przywitać.

– Musi mieć jakąś prośbę – odpowiedziała Demelza i ziewnęła. Wygładziła suknię i poprawiła włosy.

– Najlepiej go przyprowadź.

Kiedy poprzednim razem Ross pojechał do Bodmin, w domu towarzyszyła jej Verity. Tego wieczoru została w Namparze sama i czuła się odpowiedzialna za dwór.

Mark wszedł do salonu, mnąc w rękach czapkę. Wydawał się olbrzymi w niskim pomieszczeniu.

– Och, Mark, chciałeś się zobaczyć z Rossem? – spytała. – Nie ma go w domu i spędzi tę noc w Bodmin. To coś ważnego czy może poczekać do jutra?

W wieczornym świetle i bez czapki wyglądał młodziej. Stał z pochyloną głową, bojąc się zawadzić o belki powały.

– Trudno to wytłumaczyć, pani Poldark. Powiniennem przyjść do kapitana Rossa wczoraj, ale wtedy nic nie było zdecydowane i nie chciałem jeszcze nic mówić. A teraz... teraz muszę się śpieszyć, bo...

Demelza wstała, starając się nie uśmiechnąć, i podeszła do okna. Zmrok zapadnie dopiero za godzinę, ale słońce chowało się już za zachodnim grzbietem doliny i cienie drzew były coraz dłuższe. Wiedziała, że Mark jest zaprzyjaźniony z Rossem, który darzył podobną sympatią tylko Zacky'ego Martina, i była zaniepokojona wizytą górnika.

Mark patrzył na Demelzę i czekał, żeby coś powiedziała.

– Dlaczego nie usiądziesz, Mark, i nie powiesz, co cię gnębi? – Obejrzała się i zobaczyła, że Mark ciągle stoi. – A zatem, o co chodzi?

Jego pociągła, śniada twarz wykrzywiła się lekko.

– Pani Poldark, zamierzam się ożenić.

Demelza uśmiechnęła się z ulgą.

– Cóż, bardzo się cieszę, Mark. Ale dlaczego cię to martwi? – Ponieważ się nie odezwał, ciągnęła: – Jak się nazywa wybranka?

– Keren Smith – odparł.

– Keren Smith?

– Dziewczyna z trupy aktorskiej, pani. Śniada, z długimi włosami i gładką skórą.

Demelza przypomniała sobie.

– Och... – westchnęła. – Wiem. – Nie chciała, aby zabrzmiało to nieprzyjemnie. – Co ona na to? Trupa ciągle jest tutaj?

Aktorzy obozowali w okolicy. Stojąc przy drzwiach, Mark z posępną miną opowiedział Demelzie całą historię. Można się było domyślić tego, co pominął milczeniem. Prawie każdej nocy po pierwszym spotkaniu z Keren śledził aktorów, obserwował dziewczynę, później się z nią spotykał, przekonywał ją o swojej szczerzej miłości. Z początku tylko się śmiała, ale jego potężna postura i pieniądze, które jej wsunął do ręki, w końcu wzbudziły zainteresowanie Keren. Niemal dla żartu przyjęła jego zaloty i nagle zrozumiała, że propozycja Marka to coś naprawdę poważnego. Nigdy nie miała domu i nikt nigdy nie prosił jej o rękę.

Zeszłego wieczoru Mark widział się z Keren w Ladock. W niedzielę aktorzy zatrzymają się w St Dennis na skraju wrzosowisk. Keren przyrzekła, że poślubi Marka, ale pod jednym warunkiem. Musi znaleźć miejsce, gdzie mogliby zamieszkać, bo nie chce spędzić ani jednego dnia w chacie jego ojca, i tak bardzo zatłoczonej. Jeśli do niedzieli znajdzie jakieś miejsce, gdzie mogliby być sami, ucieknie z nim, lecz nie zrobi tego, jeśli trupa opuści St Dennis. Jak powiedziała, nie miałyby do tego serca. Aktorzy zamierzali wyruszyć w długą drogę do Bodmin i nawet gdyby Mark znalazł dla niej kucyka z kopalni, nie chciałyby jechać po raz drugi przez wrzosowiska. Mogła uciec tylko z St Dennis. Wszystko zależało od niego.

– I co zamierzasz zrobić? – spytała Demelza.

Do dawnej chaty Clemmowów wprowadzili się Cobbledickowie, więc w Mellin nie było żadnego wolnego domu. Mark zamierzał zbudować chatę do niedzieli. Obiecali mu pomóc przyjaciele. Wybrali miejsce, kawałek ugoru w pobliżu granicy majątku Treneglosów, lecz na terenie posiadłości Poldarków. Ale skoro kapitana Rossa nie ma...

– Co powinnam zrobić? – zapytała.

Mark wyjaśnił. Potrzebował pozwolenia na rozpoczęcie budowy. Uważał, że stać go na dzierżawę gruntu. Ale jeśli będzie czekać do jutra, straci cały dzień.

– Nie jest już za późno? – powątpiewała. – Nie zdążycie wybudować domu do niedzieli.

– Myślę, że dalibyśmy radę – odrzekł. – Mamy glinę i nocami zbierałem różne rzeczy, które mogą się przydać. Ned Bottrell z Sawle ma dobrą słomę na strzechy. Poradzimy sobie, to tylko cztery ściany

i dach.

Demelza już miała powiedzieć, że kobieta, która stawia takie warunki, powinna dostać odprawę, na jaką zasługuje, lecz wyraz twarzy Marka świadczył, że to nie pomoże.

– Który kawałek ziemi chcesz, Mark?

– Za szczytem wzgórza Reath od strony Mellin. Jest tam płacheć ziemi porośnięta chwastami i kolcolistem, z hałdami kamieni ze starego kanału odpływowego kopalni. Koło koryta potoku, który wysechł przed wielu laty.

– Znam to miejsce... – zastanowiła się. – Cóż, tak naprawdę nie mam prawa dać ci tej ziemi. A co by było, gdybyś pomyślał tak: ja i kapitan Poldark jesteśmy starymi przyjaciółmi, czy nie dałby mi kawałka ugoru na wybudowanie chaty?

Mark Daniel spoglądał na nią przez chwilę, a następnie powoli pokręcił głową.

– Nie mogę sam decydować, pani Poldark. Ja i pan Ross przez całe życie byliśmy w jakiś sposób przyjaciółmi. Dorastaliśmy razem, żeglowaliśmy, przemycaliśmy rum i gin, łowiliśmy ryby na plaży Hendrawna, uprawialiśmy zapasy jako chłopcy. Ale pan Ross jest dziedzicem, a ja tylko wieśniakiem i nigdy nie wzięlbym jego rzeczy bez pozwolenia, to niemożliwe.

Cały ogród znajdował się w tej chwili w cieniu. Jasne niebo kontrastowało z pogrążoną w mroku doliną; ziemia wpadła w otchłań wieczoru, a w górze dalej trwał dzień. Drozd schwytał ślimaka i jedynym dźwiękiem było stukanie, gdy próbował rozbić skorupę o kamień.

– Jeśli nie może mi pani pomóc, muszę szukać kawałka ziemi gdzieś indziej – rzekł Mark.

Demelza wiedziała, że ma niewielkie szanse. Domyśliła się tego, kiedy przestała patrzeć w niebo i zobaczyła oczy Marka oraz mocny zarys jego kości policzkowych. Podeszła do stołu i wzięła krzesiwo. Chwilę później zapłonęła, skwiercząc, pierwsza świeca, która oświetliła jej twarz i włosy.

– Weź pół hektara przy korycie wyschniętego potoku, Mark – powiedziała. – To wszystko, co mogę dla ciebie zrobić. Nie mam pojęcia, jak załatwić formalności związane z dzierżawą, bo się na tym nie znam. Musisz to uzgodnić z Rossem. Ale obiecuję, że nikt cię stamtąd nie wyrzuci.

Mężczyzna stojący przy drzwiach milczał, a Demelza zapaliła kolejne dwie świece. Usłyszała, że Mark się porusza i przestępuje z nogi na nogę.

– Nie wiem, jak pani dziękować – rzekł nagle. – Jeśli mogę coś zrobić dla pani lub pani rodziny, proszę tylko powiedzieć.

Uniosła głowę i uśmiechnęła się do niego.

– Wiem, Mark – odparła.

Odszedł i Demelza została sama. W pokoju coraz jaśniej płonęły świece.

Rozdział ósmy

O zmroku pojawiła się mgła i tej nocy księżyc przypominał głowę starego łysego Indianina wyglądającego zza szczytu wzgórza. Jego światło padało na kotlinę Mellin i wzgórze Reath, gdzie wśród błysków latarni poruszały się figurki ludzi. Z dala przypominały mrówki wykonujące z pozoru bezcelowe ruchy – biegały tam i z powrotem po porośniętym wrzosami wzgórzu za chatą Joego Triggsa i kamienistym stoku opadającym na wschód.

Budowano chatę.

Markowi pomagało dziewięciu ludzi: jego brat Paul, Ena Daniel, Zacky Martin i dwaj jego najstarsi synowie, Ned Bottrell, kuzyn z Sawle, a ponadto Jack Cobbledick i Will Nanfan.

Na początku należało wybrać miejsce, które powinno być dostatecznie płaskie, by utrzymać cztery ściany. Znaleźli odpowiedni skrawek gruntu i oczyścili go z kamieni; znajdował się około stu metrów od koryta wyschniętego potoku Reath. Później wytyczyli na nim prostokąt i przystąpili do pracy. Ściany należało zbudować z ubitej gliny zmieszanej ze słomą i drobnymi kamykami. Kiedy Ross zabił byczka na chrzciny, pomagał mu Zacky, który dostał potem worek z sierścią zwierzęcia. W tej chwili sierść dodano do gliny wraz z kamykami i słomą, by wzmocnić zaprawę. W narożnikach umieszczono cztery wielkie głazy, a następnie wykopano między nimi doły o głębokości sześćdziesięciu i szerokości trzydziestu centymetrów. Wrzucono do nich glinę i kamienie, ubito i przygotowano nową porcję zaprawy.

O jedenastej trzej najmłodszy mężczyźni poszli do domów spać, bo następnego dnia mieli poranną szychcę, a o północy Cobbledick ruszył długimi krokami do Nampary. Zacky Martin i Will Nanfan zostali do trzeciej, Paul Daniel do piątej, po czym wrócił do siebie, zjadł talerz krupniku i poszedł do kopalni. Ned Bottrell, prowadzący w Sawle mały warsztat, został do ósmej. Mark pracował ciężko, gdy Beth Daniel przyniosła mu miskę wodnistej zupy, sardynki i kawałek chleba. Harował blisko czternaście godzin bez przerwy. Teraz usiadł, by zjeść posiłek, i patrzył na rezultaty pracy. Skończono kłaść fundamenty i zaczęto wznosić ściany. Powierzchnia chaty była nieco większa, niż planowano, ale miało to dużo zalet. Będzie można ją podzielić na kilka pomieszczeń, gdy Keren już się wprowadzi. Mark obsesyjnie marzył o ulokowaniu dziewczyny w chacie.

Rankiem pomagały mu dzieci idące do pracy na polach, a później przez godzinę kilka kobiet, które zatrzymały się w drodze do kopalni. Wszyscy wzięli sobie do serca tę budowę i nikt nie wątpił, że chata powstanie do niedzieli. Małżeństwo z Keren nie budziło w nich entuzjazmu, bo nikt nie chciał, aby w okolicy osiedliła się Cyganka, jednak Mark Daniel cieszył się taką sympatią, że ludzie byli gotowi zapomnieć o uprzedzeniach.

O siódmej wieczorem, przespawszy kilka godzin, pojawili się znowu Zacky Martin, Will Nanfan i Paul Daniel. Potem dołączyli do nich Ned Bottrell i Jack Cobbledick. O dziesiątej w mroku pojawiła się wysoka postać i Mark zorientował się, że to Ross. Zszedł z drabiny i poszedł go powitać.

Kiedy stali w pewnej odległości, wydawali się do siebie podobni. Byli w tym samym wieku, wysocy, szczupli, ciemnowłosi, długonodzy, pełni witalności. Jednak z bliska bardziej rzucały się w oczy różnice. Daniel, którego śniada cera zbieiała od pracy pod ziemią, był nieco sztywniejszy od Rossa; miał szerszą szczękę, węższe skronie i proste, czarne, krótko ostrzyżone włosy bez miedzianego połysku. Mogli być dalekimi krewnymi pochodzącymi od wspólnego przodka.

– Więc to twój dom, Mark? – spytał Ross, zbliżywszy się do chaty.

– Tak, kapitanie. – Mężczyzna się odwrócił i popatrzył na prawie gotowe cztery ściany i puste miejsca na okna. – Tyleśmy zbudowali.

– Masz materiał na legary?

– Jest dość belek wyrzuconych przez morze. I deski z kopalni. Strysek zrobi się później.

– Strysek?

– Tak. Chyba można go zbudować w strzesze. Oszczędzimy trochę słomy i czasu.

– Nie masz czasu na nic. A co z oknami i drzwiami?

– Ojciec pożyczycy nam swoje drzwi, dopóki nie zrobię własnych. W tej chwili zbija dla nas okiennice, choć męczy go reumatyzm. To wystarczy na pewien czas.

– Mam nadzieję, że nie popełniasz błędu, Mark – powiedział Ross. – Uważasz, że ta dziewczyna naprawdę zechce tu osiąść? Poprzednio wędrowała po całym kraju.

– Nigdy nie miała domu. Powinno jej na nim zależeć.

– Kiedy weźmiecie ślub?

– W poniedziałek z samego rana, jeśli wszystko pójdzie dobrze.

– Zdążysz?

– Myślę, że tak. Dwa tygodnie temu obiecała, że za mnie wyjdzie, i poprosiłem pastora, by ogłosił zapowiedzi. Potem się rozmyśliła. W tę niedzielę będą trzecie zapowiedzi. W poniedziałek, jak tylko wrócimy, zabiorę ją do wielebnego Odgersa.

Słowa Marka zdradzały, że przez dwa tygodnie rozpaczliwie przekonywał Keren, by za niego wyszła, a ona kilkakrotnie zmieniała zdanie. W jednej chwili nagroda wydawała się w zasięgu ręki, a w drugiej była nieosiągalna.

– Pani Poldark mówiła panu – ciągnął Mark.

– Mówiła.

– Dobrze zrobiłem, że ją spytałem?

– Naturalnie. Weź więcej ziemi na dnie kotliny, jeśli chcesz ją zagospodarować.

Mark pochylił głowę.

– Dziękuję, kapitanie.

– Jutro wypiszę umowę dzierżawy. – Ross popatrzył na bezkształtny żółty zwal gliny. – Może uda mi się znaleźć dla ciebie drzwi.

Aktorzy nie grali w St Dennis, lecz odpoczywali przed długą podróżą do Bodmin, którą mieli rozpocząć następnego dnia. W tym tygodniu zostawili za sobą cywilizowaną, zachodnią część Kornwalii i ruszyli w stronę pustkowi leżących na północy. Dla Keren każdy dzień był coraz gorszy, bo dokuczał jej skwar lub deszcz. W stodołach, w których występowali, nie dawało się grać z powodu szczerów, przeciekających dachów lub ciasnoty. Zarobili tak niewiele, że prawie przymierali głodem, a Aaron Otway, który w trudnych chwilach jak zwykle pocieszał się alkoholem, czasem nie mógł ustać na nogach.

Występ w St Michael poprzedniego wieczoru okazał się katastrofą, co przyśpieszyło decyzję Keren. Z powodu ulewy na widowni pojawiło się zaledwie siedmiu dorosłych i dwoje dzieci, aktorzy występowali na mokrej, śmierzdzącej słomie, na ich głowy kapała woda. Tupper dostał gorączki i stracił zdolność (lub chęć) rozśmieszania ludzi, toteż widzowie po prostu siedzieli i gapili się w milczeniu na scenę.

Początkowo aktorzy planowali poświęcić resztę niedzieli na czyszczenie wozów i przygotowania do triumfalnego wjazdu do Bodmin. Otway zamierzał przyciągnąć publiczność na występ w poniedziałkowy wieczór, lecz przez cały dzień był pijany, a pozostali członkowie trupy źle się czuli lub ogarnęła ich apatia, dlatego gdy znaleźli odpowiednie pole, wyprzęgli konie, pozwalając im się posilić, i pogrążyli się w nieróbstwie. Jeśli jutro odpadnie jedno z kół albo złamie się nienaoliwiona oś, trzeba będzie to przyjąć z filozoficznym spokojem.

Keren spakowała swoje rzeczy do koszyka, około północy cicho wstała ze swojej pryczy i ruszyła do drzwi. Noc była pogodna. Zarzuciła na głowę szal, przykucnęła obok koła wozu i czekała na Marka.

Czekanie bardzo jej się dłużyło, a nie była cierpliwą dziewczyną, jednak tej nocy koniecznie chciała opuścić trupe, z którą tak długo jeździła do Anglii. Trwała na swoim miejscu, przeklinając chłód letniej nocy i marząc, by Mark się pośpieszył. Minuty wydawały się dniami, a godziny miesiącami. W końcu zapadła w sen, oparta głową o oś wozu.

Obudziła się zeszywniała i zziębnięta. Za kościołem na wzgórzu niebo lekko pojaśniało. Zbliżał się świt.

Wstała. A jednak wystawił ją do wiatru! Przez cały czas się nią bawił, składał obietnice, których nie zamierzał dotrzymać. W oczach Keren pojawiły się łzy wściekłości i zawodu. Nie przejmując się hałasem, odwróciła się, by wejść do wozu, ale kiedy dotknęła dłonią klamki, zauważyła wysoką postać podążającą śpiesznie przez pole.

Mark biegł ciężkim truchtem w stronę Keren. Stała nieruchomo, aż dotarł do niej i zatrzymał się, łapiąc oddech, oparty o wóz.

– Keren...

– Gdzie byłeś?! – spytała z wściekłością. – Czekałam całą noc! Całą noc, rozumiesz?! Gdzie byłeś?!

Spojrzał na okno wozu.

– Masz swoje ubrania? Chodź!

Mówił tak dziwnym tonem, bez typowego dla niego unżenia, że bez sprzeciwu ruszyła za nim przez pole. Szedł normalnie, chociaż nieco sztywno, jakby nie mógł się pochylić. Dotarli do polnej drogi.

Przy kościele Keren spytała gniewnie:

– Gdzie byłeś, Mark?! Przemarzałam do szpiku kości! Czekałam całą noc!

Obrócił głowę w jej stronę.

– Co mówisz?

– Co się z tobą dzieje? – powtórzyła. – Dlaczego się spóźniłeś?

– Późno wyruszyłem, Keren. Późno. Niełatwo zbudować dom... W końcu... Musieliśmy zrobić ostatnie rzeczy... Wyruszyłem dopiero o dziesiątej. Myślałem, że nadrobię stracony czas, jak będę biegł... Ale pomyliłem drogi, Keren. Skręciłem w złą stronę... Pobiegłem gościńcem dla dyliżansów, zamiast skręcić w stronę St Dennis... Biegłem wiele kilometrów... Właśnie dlatego zaszedłem cię od tyłu... Mój Boże, już myślałem, że nie zdążę!

Mówił bardzo powoli i wreszcie zauważyła, że jest śmiertelnie zmęczony. Ledwo trzymał się na nogach. Zaskoczenie i rozczarowanie sprawiło, że zaczęła na niego krzyczeć, jednak zawsze imponowała jej siła Marka. Trochę ją zawiódł, ale dotarł na miejsce. Była to najważniejsza chwila jego życia i dał z siebie wszystko.

Szli w milczeniu, aż wstał dzień, a rzeński wiatr wiejący od strony morza zdawał się przywracać Markowi siły. Powoli dochodził do siebie. Keren zachowała kilka placków z wczorajszej kolacji, więc posili się nimi na poboczu drogi. Zanim dotarli do St Michael, Mark był w lepszej formie niż Keren.

Zatrzymali się w zajeździe koło rogatek, zjedli śniadanie i odpoczęli. Widok brzęczącej sakiewki Marka sprawił Keren w dobry humor i kiedy znów wyruszyli w drogę, wzięła go pod rękę. Zostało do przejścia tylko kilkanaście kilometrów. Powinni dotrzeć na miejsce przed południem. Była bardzo podniekształcona, bo lubiła doświadczać nowego. Chociaż nawet w najczarniejszych snach nie przyśniło jej się, że może poślubić górnika. Mimo to było w tym wszystkim coś romantycznego: ucieczka z trupy aktorskiej, uroczysta przysięga w kościele, nowy dom zbudowany specjalnie dla niej, dla nich. Historia jak z bajki, jednego z dramatów, w których występowała.

W końcu zaczęła kuleć, gdyż na stopach porobiły jej się bąble. Odpoczęli, a Keren umyła nogi w strumieniu, co przyniosło pewną ulgę. Ruszyli w dalszą drogę, lecz po jakimś czasie Mark musiał ją wziąć na plecy.

Była z tego zadowolona, bo nie musiała się męczyć, a dotyk silnych ramion Marka sprawiał jej przyjemność. Czowała miarowy rytm jego oddechów. Ludzie się na nich gapili, lecz nie zwracała na to uwagi. Ostatecznie dotarli do wioski i przeszli krętą, błotnistą drogą między chatami, ścigani przez gromadkę półnagich, wrzeszczących dzieci. Oburzona Keren chciała, by Mark je odpędził, ale uparcie maszerował naprzód z niewzruszonym wyrazem twarzy.

Kiedy znaleźli się wśród pól i w dali ukazało się skupisko chat, postawił ją na ziemi. Szli powoli obok siebie, a kiedy dotarli do bramy dworu Mongoose, świecące między chmurami słońce stało wysoko na niebie.

Dwa i pół kilometra do Mellin, później jeszcze trzy kilometry do kościoła w Sawle. Jeśli nie dotrą tam do południa, ślub trzeba będzie przełożyć na jutro.

Mark przyśpieszył kroku i w końcu znaleźli się na ścieżce z Marasanvose. Mellin znajdowało się za następnym wzniesieniem. Nie mieli czasu obejrzeć chaty. Keren obmyła twarz w niewielkim stawie. Mark zrobił to samo. Uczesała włosy grzebieniem, który od kogoś „pożyczyła”, i pokuśtykali w stronę Mellin.

Pierwsza spostrzegła ich mała Maggie Martin i pobiegła do matki, krzycząc, że wreszcie przyszli. Gdy dotarli do pierwszej chaty, wyszło im na spotkanie wielu mieszkańców wioski. Większość ludzi w pełni sił spała albo pracowała, ale dzieci, starcy i kilka kobiet starali się jak najserdeczniej powitać przybyłych. Nie było czasu na rozmowy. Mark Daniel i jego narzeczona natychmiast wyruszyli do Sawle. Teraz stanowili głowę komety z długim ogonem, złożonym z babci Daniel, ciotki Betsy Triggs, żony Zacky'ego Martina, Sue Vigus i kilkunastu podnieconych dzieciaków.

Śpieszyli się i pod koniec drogi Mark stawiał prawie dwa razy dłuższe kroki niż Keren. Dotarli do kościoła w Sawle za dwadzieścia dwunasta. Z początku nie mogli znaleźć wielebnego Odgersa. Kiedy pani Odgers zobaczyła czarnowłosego, kościstego, nieogolonego mężczyznę o zdesperowanym wyglądzie, powiedziała załęczonym tonem, iż wielebny Odgers uznał, że nie przyjdą, i że ostatnio widziała go wychodzącego do ogrodu. Za dziesięć dwunasta ciotka Betsy znalazła pastora za krzakiem czarnej porzeczki. Próbował oponować, kwestionując legalność ceremonii, aż wreszcie żona Zacky'ego Martina, w okularach na płaskiej twarzy, ujęła go za chude ramię i z szacunkiem zaprowadziła do kościoła.

W ten sposób małżeństwo zostało zawarte, a Mark włożył mosiężną obrączkę na smukły palec Keren. Stało się to w chwili, gdy zegar w zakrystii wybijał dwunastą.

Po zwyczajowych formalnościach (Mark Daniel postawił krzyżyk, a Kerenhappuch Smith dumnie podpisała się własnym imieniem i nazwiskiem) młoda para odwiedziła chatę Neda Bottrella w pobliżu kościoła, gdzie wzniesiono za jej zdrowie toasty cydrem i piwem. Minęło trochę czasu, nim ruszyli w drogę powrotną do Mellin. Spacer zmienił się w triumfalną procesję, ponieważ był akurat koniec porannej szychty. Uporczywe zaloty Marka i budowa chaty zrobiły wielkie wrażenie na górnikach i dziewczętach pracujących w kopalni; duża grupa odprowadziła nowożeńców do Mellin.

Keren nie wiedziała, co o tym wszystkim sądzić i jak traktować ludzi, wśród których miała żyć. Czowała niechęć do starej babci Daniel i doszła do wniosku, że Beth Daniel, żona Paula, to głupia zazdrośnica. Ale niektórzy mężczyźni wydawali się mili. Okazywali jej sympatię w szorstki, lecz pełen szacunku sposób. Zerknęła na nich kątem oka, dając do zrozumienia, że lubi ich bardziej od kobiet.

Nowożeńców przyjęto herbatą, pierożkami nadziewanymi króliczym mięsem z porami i plackami owsianymi, które okazały się bardzo smaczne. Wieśniacy nagle zaczęli rozmawiać, a potem milki i patrzyli na siebie. Widzieli Keren po raz pierwszy i czuli się trochę skrępowani.

Przyjęcie zakończyło się wieczorem. Na prośbę Marka nikt nie towarzyszył nowożeńcom w drodze do nowego domu, nie robił żartów. Zasłużyli na chwilę spokoju.

Ciepłe słońce świeciło Markowi i Keren w plecy, gdy wspinali się po stoku, opuszczając kotlinę Mel-

lin. Niebo na zachodzie wypełniało złociste światło, silnie kontrastując z kobaltowym morzem.

Schodzili w stronę chaty. Nagle Keren się zatrzymała.

– To nasz dom?

– Tak.

Mark czekał.

– Och... – westchnęła i ruszyła naprzód.

Dotarli do drzwi. Mark popatrzył na dziewczynę, którą poślubił, i pomyślał, że chata wygląda biednie i prymitywnie. Wszystko wydawało się toporne, może przygotowane z miłością, lecz toporne i nędzne. Miłość to nie wszystko; potrzebne są jeszcze umiejętności i czas.

Weszli do środka i Mark zobaczył, że ktoś rozpałił wielki ogień w wybudowanym przez niego kominku. Trzaskające płomienie sprawiały, że pokój wyglądał wesoło i przytulnie.

– To robota Beth – rzekł z wdzięcznością Mark.

– Co takiego?

– To ona rozpałiła ogień. Wymknęła się wcześniej, a ja zastanawiałem się dlaczego. Dobra z niej dziewczyna.

– Nie lubi mnie – odparła Keren, dotykając stopą suchą słomę leżącą na podłodze.

– Bardzo cię lubi, Keren. Ale to metodystka i nie przepada za teatrem.

– Nie lubi teatru – powiedziała groźnie Keren. – Co ona może wiedzieć o teatrze?!

Mark rozejrzał się po chacie.

– Bardzo... bardzo prymitywnie jak dla ciebie, Keren. Wybudowaliśmy ten dom w cztery dni i minie wiele tygodni, nim doprowadzimy go do porządku.

Popatrzył wyczekująco na żonę.

– Och, ładny, naprawdę – odpowiedziała. – Moim zdaniem to ładna chata. Pięćdziesiąt razy ładniejsza od tamtych starych domów za wzgórzem.

Ciemna twarz Marka się rozpromieniła.

– Sprawimy, że będzie jeszcze ładniejsza. Jest wiele do zrobienia. Chciałem po prostu, żebyś miała dach nad głową.

Nieśmiało ją objął, a kiedy uniosła twarz, pocałował ją. Przypominało to całowanie motyla, miękkiego, kruchego, nieuchwytnego.

Obróciła głowę.

– Co tam jest?

– Tam będziemy spać – odpowiedział. – Chciałem urządzić sypialnię na górze, ale jeszcze nie jest skończona. Dlatego na razie przygotowałem to miejsce.

Weszła do drugiego pomieszczenia i znów poczuła słomę pod stopami. Chata przypominała oborę. Cóż, wszystko można poprawić, jak powiedział Mark.

Zbliżył się i otworzył okiennicę, wpuszczając światło. W jednym z rogów pomieszczenia znajdowała się duża drewniana półka wisząca trzydzieści centymetrów nad podłogą. Leżał na niej słomiany siennik i dwa cienkie koce.

– Powinieneś zbudować front od strony zachodniej – powiedziała. – Wtedy pod wieczór mielibyśmy słońce.

– Nie pomyślałem o tym – odparł przygnębionym głosem.

Dom należał do Keren. Mogła w nim robić, co chciała, a to już coś.

– Chcesz powiedzieć, że zbudowałeś tę chatę po naszym ostatnim spotkaniu? – spytała.

– Tak.

– Boże, nie mogę w to uwierzyć...

Mark był zachwycony i znów ją pocałował. W końcu wyslizgnęła się z jego ramion.

– Zostaw mnie teraz, Mark. Usiądź przy ogniu, przyjdę za chwilę. Chcę ci zrobić niespodziankę.

Wyszedł, pochylając głowę w drzwiach.

Przez pewien czas spoglądała przez okno na wyschnięte koryto potoku i kopalniane hałdy. Po drugiej stronie doliny ziemia wyglądała lepiej. Nad drzewami wznosiła się wieżyczka dworu. Dlaczego nie zbudował chaty w tamtym miejscu?

Podeszła do łóżka i dotknęła go palcami. Cóż, słoma jest sucha. Jeszcze nie tak dawno spała na mokrej słomie. Wszystko można ulepszyć. Po pierwszym rozczarowaniu poczuła przypływ nadziei. Koniec awantur z Tupperem i cuchnącego oddechu Otwaya. Koniec z głodem, z koszmarnymi podróżami przez moczary i pustkowia. Koniec z występami w pustych chlewach przed tępyimi prostakami. Miała własny dom.

Podeszła do okna i zamknęła jedną z okiennic. Na wschodzie leciało stadko mew, złocistych i różowych w promieniach wieczornego słońca. Ta część doliny znajdowała się w głębokim cieniu, zwłaszcza chata – okna wychodziły na złą stronę i zawsze będzie w niej panował półmrok.

Wiedziała, że Mark na nią czeka. Nie uchylała się od wypełnienia swojej części umowy, lecz czuła lekkie znudzenie. Powoli się rozebrała. Kiedy zdjęła wszystko, zadrżała lekko i zamknęła drugą okiennicę. Przesunęła w półmroku dłonie wzdłuż swoich gładkich boków, przeciągnęła się i ziewnęła, po czym włożyła czarno-różową sukienkę i zmierzwiła włosy. To wystarczy. Będzie zachwycony. To wystarczy.

Przeszła do kuchni, szeleszcząc bosymi stopami w słomie, i przez chwilę myślała, że Mark zniknął. Nagle zauważyła, że siedzi w półmroku na podłodze, opierając głowę o drewnianą ławę. Spał.

Natychmiast wpadła w gniew.

– Mark! – szepnęła.

Nie odpowiedział. Zbliżyła się, uklękła obok niego i popatrzyła na jego śniadą twarz. Ogolił się w Mellin, lecz mocne włosy na brodzie już odrastały. Jego twarz była skurczona ze zmęczenia, miał rozchylone usta. Pomyślała, że jest okropnie brzydki.

– Mark! – powtórzyła głośniejszym głosem. Oddychał miarowo. – Mark! – Chwyciła go za kołnierz bluzy i gwałtownie potrząsnęła. Jego głowa uderzyła w ławę i przestał na chwilę oddychać, lecz się nie obudził.

Wstała i spojrzała na niego. Gniew zmienił się w pogardę. Był równie beznadziejny jak ten dureń Tupper, bezwładny, niezdolny do czegokolwiek. Wyszła za męża za człowieka, który zasnął jak kamień we własną noc poślubną. Nie potrafił wykrzesać z siebie odrobiny podniecenia, tylko chrapał! Obraził ją, strasznie obraził!

Cóż, jak sobie chce. Nic jej to nie obchodzi. Skoro woli spać na ziemi jak wielki czarny pies, jego strata. Wywiązała się z umowy. Niech śpi. Zaśmiała się cicho, a potem zaczęła chichotać, dostrzegając komizm sytuacji. Chichocąc, ruszyła powoli w stronę drugiego pokoju. W tym momencie śmiała się ciszej, by go nie obudzić.

Rozdział dziewiąty

Kiedy Ross odwiedził chatę Marka w Reath, również zauważył w dali wieżyczkę pośród drzew. Była to jedna ze stróżówek dworu w Mongoose, obecnie w złym stanie, lecz kilka pokoi w dalszym ciągu nadawało się do użytku i Ross wpadł na pewien pomysł.

Przedstawił go Horace'owi Treneglosowi, który obecnie, gdy Wheal Leisure zaczęła przynosić zyski, regularnie odwiedzał kopalnię.

– Kim właściwie jest ten Dwight Enys?! – zawołał starszy mężczyzna. – Myśli pan, że należy mu pomóc? Uważa go pan za doświadczonego medyka?

– Jest pracowity i inteligentny. Warto popierać młodych ludzi, a wygląda na to, że Choake nie ma ochoty dla nas pracować, odkąd się z nim pokłóciłem.

– Wolałbym, żeby pańska żyła rudy miedzi znajdowała się w spokojniejszym miejscu – powiedział Treneglos, przytrzymując kapelusz. – Zawsze strasznie tu wieje. Jeśli chodzi o mnie, jak pan wie, nie przepadam za medykami, starymi i młodymi. Ale chętnie sprawię panu przyjemność i jeśli ten młodzian zadowolony się stróżówką, może tam zamieszkać, płacąc symboliczny czynsz.

Tydzień później w Truro odbyła się kolejna aukcja rudy miedzi, na którą Wheal Leisure wysłała dwie partie towaru. Ross przyjechał wcześniej do miasta i przed rozpoczęciem aukcji odwiedził Harrisa Pascoe'a. Dwight Enys był nieobecny, ale Ross zostawił dla niego list i wyszedł.

Agenci odlewni obejrzeliby już próbki rudy i przedyskutowali ich jakość. W aukcjach rudy uczestniczyły tylko odlewnie i odbywały się one inaczej niż zwykłe licytacje, których uczestnicy przebijają swoje oferty, aż zwycięży najwyższa. Każda odlewnia składała oferty na piśmie, a przewodniczący zebrania otwierał koperty i ruda trafiała do odlewni proponującej najwyższą cenę.

Tego dnia oferty były jeszcze gorsze niż poprzednio i niektóre partie rudy sprzedano za mniej niż połowę rzeczywistej wartości. Jeśli któraś z odlewni nie chciała zakupić jakiejś partii, zwykle składała bardzo niską ofertę, a jeśli, co często się zdarzało, inne spółki robiły to samo, jedna z tych niskich ofert wygrywała aukcję. Oznaczało to duże straty dla kopalni, na co w obecnej sytuacji nikt nie mógł sobie pozwolić.

Po zakończeniu aukcji w gospodzie odbywał się uroczysty obiad wydawany przez kopalnię, gdy kupujący i sprzedający – wilki i jagnięta, jak określił to złośliwie pewien dowcipniś – zasiadali razem przy jednym stole. Tego dnia uczestnicy posiłku wyraźnie byli w złych humorach. Ross ze zdziwieniem zauważył na aukcji Francis'a – zwykle uczestniczył w niej zarządca kopalni Grambler – i zrozumiał, że stryjeczny brat podjął ostatnią próbę ratowania zakładu, który przynosił coraz większe straty.

Tego dnia Francis wydawał się nieobecny duchem i zdenerwowany, jakby prześladowały go zjawy żyjące w zakamarkach jego umysłu.

Po lewej ręce Rossa siedział Richard Tonkin, zarządca i jeden z udziałowców United Mines, największej spółki angielskiej wydobywającej miedź i cynę. W połowie posiłku Tonkin szepnął Rossowi na ucho:

– Ufam, że poczynił pan postępy w realizacji swojego planu.

Ross popatrzył na niego.

– Ma pan na myśli rozbudowę Wheal Leisure?

Tonkin się uśmiechnął.

– Nie, panie. Mówię o projekcie stworzenia odlewni miedzi, by bronić interesów kopalni.

Ross spojrział na niego uważniej.

– Nie zajmuję się takim projektem, panie Tonkin.

Na twarzy mężczyzny pojawiło się lekkie niedowierzanie.

– Mam nadzieję, że pan żartuje, kapitanie. Pan Blewett wspomniał... i pan Aukett... że istnieją plany powołania takiego przedsiębiorstwa. Bardzo chętnie bym się przyłączył.

– Panowie Blewett i Aukett nadali zbyt duże znaczenie przypadkowej rozmowie – odparł Ross. – Później w ogóle się nad tym nie zastanawiałem.

– To dla mnie wielkie rozczarowanie. Miałem nadzieję... inni również mieli nadzieję... że coś z tego wyniknie. Nie ma wątpliwości, że potrzebujemy takiego przedsiębiorstwa.

Obiad dobiegł końca. Niektórzy mężczyźni rozeszli się dwójkami lub trójkami, by odnaleźć swoje konie i wrócić przed zmrokiem do domów, a kilku zostało przy stole, by wypić ostatni kieliszek porto albo zażyć tabaki. Część gości dyskutowała przy drzwiach gospody.

Ross został, żeby porozmawiać z Francisem. Chociaż obecnie nie było między nimi animozji, rzadko się widywali. Ross dowiedział się, że kopalnia Gambler została na razie uratowana, ale starał się rozmawiać głównie o sprawach rodzinnych z obawy, że poruszy jeden z drażliwych tematów, które zdenerwują Francisca.

Przyjacielsko gawędząc, zeszli na dół, gdzie właściciel gospody dotknął ramienia Rossa.

– Bardzo przepraszam, panie, ale czy zechciałby pan łaskawie wstąpić na chwilę do bocznej sali? I pan także, jeśli byłby pan tak uprzejmy.

Ross spojrział na oberżystę, po czym wszedł po dwóch schodkach do prywatnego gabinetu. Było to niewielkie, ponure pomieszczenie, którego okna wychodziły na wysoki mur. W gabinecie przebywało czternastu mężczyzn siedzących w różnych miejscach.

Francis, idący za kuzynem, potknął się o kota, zaklął i już miał go kopnąć, gdy zorientował się, że to zwierzę domowe. Wziął kota za kark i wszedł do sali tuż za Rossem, popychając go przed sobą.

– Wielki Boże... – westchnął, rozglądając się po pomieszczeniu.

Kiedy Ross zauważył wśród obecnych Tonkina, Blewetta i Auketta, domyślił się, o co chodzi.

– Proszę usiąść, kapitanie Poldark – rzekł Harry Blewett, wstając z fotela pod oknem. – Jesteśmy radzi, że zaprosiliśmy pana, nim pan odjechał.

– Dziękuję – odparł Ross. – Wolę stać.

– Niech mnie kule biją, czy to jakieś cholerne spotkanie biblijne?! – zdziwił się Francis. – Bądź przewodniczącym, kocie, i pamiętaj, by przywoływać nas do porządku! – Pochylił się i położył zwierzę na pustym fotelu.

– Kapitanie Poldark – zaczął Tonkin. – Szczęśliwie się złożyło, że przybył pan nieco później, ponieważ mieliśmy możliwość porozmawiać o pewnych kwestiach. Widząc osoby obecne w tym pokoju, niewątpliwie domyśla się pan, o co chodzi.

– Domyślałam się – odparł Ross.

– A ja nie mam zielonego pojęcia – zauważył Francis.

– Chcielibyśmy prosić pana o słowo, że zatrzyma pan w tajemnicy wszystko, co zostanie tu powiedziane – rzekł do Francisca potężny mężczyzna o nazwisku Johnson, pochylając się do przodu.

– Bardzo dobrze.

– Czy możemy przyjąć, że nie jest pan zadowolony z dokonanych dziś transakcji? – spytał Richard Tonkin.

Kopalnia Gambler poniosła ogromne straty.

– Może pan to przyjąć – odparł Francis. – Nikt nie jest zadowolony z niskich cen rudy.

– Cóż, wielu z nas czuje dokładnie to samo. Spotkaliśmy się tutaj, by wspólnie się zastanowić, jak można to zmienić.

– A zatem zamierzamy naprawić świat – rzekł Francis. – Nasze zebranie może się przeciągnąć.

– Bynajmniej, panie Poldark, bo mamy konkretny plan – ciągnął cicho Tonkin. – Zamierzamy zbudować własną odlewnię miedzi, która nie będzie zaniżać cen, zapłaci uczciwe ceny za rudę, przerobi ją na czysty metal, a następnie będzie go sprzedawać na wolnym rynku. Wszyscy tu obecni, razem kilkanaście osób, chcą się przyłączyć do tego przedsięwzięcia. Reprezentujemy dużą część kopalni w tym rejonie i nawet teraz, w trudnym okresie, mamy do dyspozycji znaczne zasoby gotówki. Ale wystarczy ich tylko na skromny początek, panie Poldark, gdyby nasz projekt wszedł w fazę realizacji. Nie ma wśród nas przedstawicieli niektórych największych kopalni. W okresie dobrej koniunktury można się pogodzić z niesprawiedliwymi cenami, bo wyrównują je inne zyski. Jednak w dzisiejszych trudnych czasach połowie z nas zagraża bankructwo!

Mężczyźni obecni w pokoju wyrazili aprobatę głębokimi pomrukami. Ross zauważył wszystkich głównych uczestników dzisiejszej aukcji. Zdał sobie sprawę, że dzieje się coś, czego nie można powstrzymać. Tonkin okazał się elokwentny. Potrafił wyrazić w słowach uczucia innych.

– Cóż, z pozoru wszystko brzmi dobrze – rzekł Francis – ale tak czy inaczej, taka akcja doprowadziłaby do poważnych kłopotów. Odlewnie nie chcą mieć konkurencji, poprą je banki. Niektórzy ludzie...

– Kłopoty są lepsze od głodu – przerwał Blewett.

– Tak, nie boimy się kłopotów!

Francis lekko uniósł brwi.

– Nie ośmieliłbym się kwestionować panów opinii.

– Proszę pamiętać, że to dopiero początek – rzekł Tonkin. – Wiem, wszyscy wiemy, że czeka nas trudna walka. Czasem sprawiedliwość wymaga ofiar. Ale skoro się tu zebraliśmy, warto zdecydować, że wcielamy ten plan w życie. Przede wszystkim powinniśmy się zorientować, kto popiera nasz projekt. Kto nie jest z nami...

– Jest przeciwko wam? – Francis pokręcił głową. – Bynajmniej. Ludzie, którzy was nie popierają, mogą mieć własne zobowiązania. Ale to nie znaczy, że nie życzą wam powodzenia. – Popatrzył na Rossa. – Co sądzi o tej sprawie mój brat stryjeczny?

– Zaproponował to jako pierwszy – odparł Tonkin.

Francis wydawał się zdziwiony.

– Cóż, Ross, nie miałem pojęcia. Nigdy bym się nie domyślił, bo twoja własna kopalnia...

Ross nie odpowiedział. Jego twarz była pozbawiona wyrazu.

– Zdajemy sobie sprawę z negatywnych aspektów projektu – ciągnął Tonkin – ale jeśli wcielimy plan w życie, zniknie wiele anomalii. Jeśli nic się nie zmieni, w ciągu roku wszyscy zbankrutujemy. Moim zdaniem powinniśmy jak najszybciej przystąpić do realizacji planu. Wolę ponieść klęskę, walcząc, niż beczynn timer czekać na koniec!

– Nie wątpię, że postawi to odlewnie w trudnej sytuacji – rzekł Francis i wygładził koronkę na mankencie. – Życzę panom powodzenia, bo, na Boga, ostatnio bardzo go nam brakuje. Ja sam wolałbym jednak rozważyć tę sprawę dokładniej przed podjęciem decyzji. Ale dobrze wam życzę, panowie, dobrze wam życzę. Nawiasem mówiąc, kto zamierza uczestniczyć w przedsięwzięciu? Musi być jakiś przywódca, prawda? Czy to pan, panie Tonkin?

Tonkin pokręcił głową.

– Nie, mój panie. Nie jestem odpowiednim człowiekiem do pełnienia tej funkcji. Ale wszyscy się zgadzamy, kto powinien nim być, prawda, panowie?

Rozdział dziesiąty

Demelza spodziewała się, że Ross wróci po piątej. O piątej przygotowała kolację, lżejszą niż zwykle, bo wiedziała, że po aukcjach rudy miedzi Ross wraca do domu najedzony, lekko podchmielony i marudzi, że zmarnował mnóstwo czasu.

Przed siódmą zjadła kolację i zastanawiała się, czy iść w górę doliny, może go spotka po drodze. Nakarmiła Julię. W ogrodzie nie było nic pilnego do zrobienia. Tuż przed obiadem ćwiczyła na szpince; miała spokojny umysł. Bardzo dobrze. Przespaceruje się.

Rzadko oddawała się lenistwu i nie straciło ono jeszcze uroku nowości. Była to jedna z największych przyjemności życia w roli damy. W dzieciństwie zawsze pracowała aż do późnego wieczora, po czym mogła tylko iść spać, aż obudził ją kopniak lub krzyki. Jako służąca w Namparze miała niekiedy trochę czasu dla siebie, lecz zawsze wtedy czuła, że zaniedbuje swoje obowiązki, i nawet w trakcie najlepszych chwil zakradała się nerwowość. Teraz, jeśli chciała, jeśli miała na to ochotę, mogła nic nie robić i niczym się nie przejmować. To, że była niezwykle żywotna, czyniło te momenty jeszcze przyjemniejszymi. Była damą, żoną Rossa Poldarka, którego ród mieszkał w tych stronach od setek lat. Dzieci Demelzy, poczynając od Julii, będą nosić nazwisko Poldark i mieć związane z tym przywileje: dwór, pieniądze, pochodzenie, przyzwoite wychowanie, obycie. Kiedy o tym myślała, ogarniała ją duma.

Szła w górę doliny, słuchając pierwszych świerszczy śpiewających w zaroślach, i przystawała od czasu do czasu, by popatrzeć na młode ptaki na gałęziach wiązów i na żaby skaczące na brzegu strumienia. Na szczycie wzgórza usiadła na kamiennym murku obok ruin Wheal Maiden. Nuciła melodię i rozglądała się, zastanawiając się, czy zobaczy gdzieś znajomą sylwetkę. Za dymiącymi kominami kopalni Grambler wznosiła się wieża kościoła w Sawle. Z tego miejsca wydawała się pochylona ku południowemu zachodowi jak człowiek idący pod wiatr w czasie huraganu. Wszystkie drzewa pochylały się w przeciwną stronę.

– Pani Poldark – odezwał się głos za jej plecami.

Zerwała się z miejsca.

Przyjechał Andrew Blamey.

– Proszę mi wybaczyć, pani. Nie przypuszczałem, że panią przestraszę.

Stał obok niej, mając wrażenie, że o mało nie zemdlą, ale Demelza musiałaby przeżyć znacznie silniejszy wstrząs, by stracić przytomność. Podtrzymawał ją za łokieć, aż znowu usiadła na murku. Kątem oka zauważyła, że twarz Blameya nie ma aroganckiego wyrazu.

Instynktownie zakłęta, zapominając o dobrych manierach, i już po chwili była na sobie zła z tego powodu.

– Niezbyt dobry początek – powiedział. – Przyjechałem panią przeprosić i od razu muszę składać kolejne przeprosiny.

– Nie spodziewałam się tu pana spotkać.

– Ja także nie przypuszczałem, że tu kiedykolwiek przyjadę.

– Więc co pana sprowadza, kapitanie?

– Po pani wizycie nie miałem ani chwili spokoju.

Stale oblizywał wargi i marszczył brwi, jakby coś go bolało.

– Jak... Przyszedł pan z Falmouth na piechotę? – spytała.

– Przyszedłem pieszo z wioski Grambler, by mniej rzucać się w oczy, gdyby ktoś pani towarzyszył. Byłem dziś rano w Truro i widziałem pani męża oraz... Francisa Poldarka. W tej sytuacji pokusa była zbyt silna.

– Spodziewam się, że Ross lada chwila wróci.

– W takim razie powiem to, co chcę powiedzieć, dopóki jest jeszcze czas. Niewątpliwie zrobiłem na pani złe wrażenie podczas naszej ostatniej rozmowy.

Demelza wbiła wzrok w swoje stopy.

– To nic wielkiego.

– Pani wizyta mnie zaskoczyła. Zapomniałem już o tej sprawie... Pani... pani nagłe pojawienie się przypomniało mi całą gorycz. – Położył kapelusz na murku. – Przyznaję, że jestem człowiekiem o porywczym temperamencie. Uczę się nad nim panować przez całe życie. Czasem są chwile, gdy muszę się z nim zmagać. Ale niech Bóg broni, bym miał się kłócić z ludźmi, którzy mi dobrze życzą.

– Nawet własnymi marynarzami? – spytała nieco złośliwie.

Milczał.

– Proszę odpowiedzieć – rzekła.

– W tej chwili trwa konflikt między marynarzami a kapitanami statków. Przez wiele lat dorabiali sobie do nędznych zarobków, szmuglując towary w czasie rejsów. Ale obecnie władze obwiniają o to dowódców. Kapitana Clarke'a ze „Swan of Flushing” aresztowano na Jamajce i czeka na rozprawę sądową. Inni mogą skończyć tak samo. Dlatego uzgodniliśmy, co każdy z marynarzy może zabrać na statek. Nic dziwnego, że im się to nie podoba, ale nie są to osobiste pretensje między załogą a mną. Takie spory toczą się na wszystkich statkach pocztowych.

– Przepraszam – powiedziała Demelza.

– Kiedy spotkałem panią tamtego dnia, byłem zły po zamieszkach na statku. Na początku wydawało mi się, że wtrąca się pani w cudze sprawy. Dopiero później zrozumiałem pani dobre intencje i zapragnąłem podziękować za to, co pani zrobiła i powiedziała.

– Och, to nic. Nie chodziło mi o podziękowania.

– Od tamtego czasu straciłem spokój ducha – ciągnął. – W trakcie całego rejsu do Lizbony i z powrotem bez przerwy myślałem o tym, co pani mówiła o Verity. Ale... Verity nigdy się z tego nie otrząsnęła. Tak pani mówiła, prawda? I że wygląda o dziesięć lat starzej. Jakże często myślałem o tym, co to znaczy... Choruje, ale nie jest chora, powiedziała pani. Z mojego powodu. Choruje, ale nie jest chora. Dziesięć lat starzej. Wie pani, że tak naprawdę nigdy nie znałem wieku Verity. Kochałem ją, a ona mnie. Nie myśleliśmy o takich rzeczach. Kiedy się z nią spotykałem, nie wyglądała staro. Czy to właśnie zgotowali jej ojciec i brat? Nie odzyskam spokoju, dopóki jej nie zobaczę. Jakkolwiek się to skończy, tyle zdołała pani osiągnąć, pani Poldark. Teraz ruch należy do pani. Przyszedłem to pani powiedzieć.

Mówiąc, nie spuszczał wzroku z Demelzy, ona zaś nie mogła oderwać od niego oczu. W końcu spojrziała na równinę Gambler i wstała.

– Wraca mój mąż, kapitanie Blamey. Nie powinien tu pana zobaczyć.

Blamey popatrzył na Demelzę zmrużonymi oczyma.

– Jest teraz przeciwko mnie? Wtedy nie był.

– Nie jest przeciwko panu. Nie chce wracać do sprawy, która jego zdaniem powinna odejść w przeszłość. Złościłby się na mnie, gdyby wiedział, że z panem rozmawiam.

Blamey ponownie spojrział na Demelzę.

– Verity ma w pani dobrą przyjaciółkę. Podejmuje pani ryzyko dla przyjaciół.

– To ja mam przyjaciółkę w Verity – odparła. – Niech pan tam nie stoi, bo Ross pana zobaczy. Schowajmy się za murem.

– Jaka jest najlepsza droga powrotna?

– Między tamtymi sosnami. Proszę tam zaczekać, aż ja i mąż odejdziemy.

– Kiedy mogę się z panią znowu zobaczyć? Jak się umówimy?

Zastanawiała się gorączkowo nad odpowiedzią.

– Nie mogę teraz odpowiedzieć. To zależy... zależy od Verity. Jeśli...

– Powie jej pani? – spytał z nadzieją.

– Nie sędzę. Nie od razu. Nie zastanawiałam się nad tym, bo straciłam nadzieję, że coś się da zrobić... po powrocie z Falmouth. Wszystko zależy od tego, jak mogłabym zaaranżować...

– Proszę do mnie napisać – powiedział. – Do biura linii statków pocztowych. Przyjadę.

Przygryzła wargi, bo z trudem pisała listy.

– Dobrze – obiecała. – Teraz pana zostawię. A jeśli pan wyjedzie?

– Odpływam w sobotę, nie mogę tego zmienić. Proszę wyznaczyć termin na trzeci tydzień przyszłego miesiąca, jeśli to możliwe. Tak będzie bezpieczniej. Jeżeli...

– Niech pan posłucha – przerwała. – Najbezpieczniejsze jest Truro. Wyślę panu wiadomość, podam czas i miejsce. Nie mogę nic więcej zrobić. Potem wszystko będzie zależeć od was.

– Niech panią Bóg błogosławi – rzekł, pochylił się i pocałował jej dłoń. – Nie zawiodę pani.

Demelza patrzyła, jak Blamey wychodzi z cienia budynku kopalni i szybko biegnie w stronę drzew. Podczas pierwszego spotkania w Falmouth zupełnie nie rozumiała, co Verity widzi w tym mężczyźnie, że tak za nim tęskni. Teraz pojmowała to trochę lepiej.

Słońce zaszło, nim Ross dotarł do żony. Nad okolicą unosił się dym z kopalni Grambler, który płynął nad chatami wioski w stronę Sawle. W ruinach wśród traw i kamieni bardzo głośno grały świerszcze.

Zobaczywszy żonę, Ross zeskoczył z Czarnulki i na jego zatroskanej twarzy pojawił się uśmiech.

– To dla mnie zaszczyt, kochanie. Mam nadzieję, że nie czekasz długo.

– Spóźniłeś się cztery godziny – odpowiedziała. – Gdybym tu przyszła o piątej, zmieniłabym się w kamień.

– Ale ponieważ nie zmieniłaś się w kamień, twoje przywiązanie do mnie jest takie samo jak przedtem.

– Roześmiał się i popatrzył na Demelzę. – Co się stało?

Uniosła rękę i pogłaskała klacz po miękkich chrapach.

– Nic. Po prostu wyobraziłam sobie, że Czarnulka cię zrzuciła albo że napadli cię rozbójnicy.

– Bardzo błyszczą ci oczy. Z daleka wyglądały jak świetliki.

Pogładziła go po dłoni, lecz w dalszym ciągu patrzyła na Czarnulkę.

– Nie naśmiewaj się ze mnie, Ross. Cieszę się z twojego powrotu, to wszystko.

– Pochlebne, lecz mało przekonujące – zauważył. – Coś cię podekscytowało. Pocałuj mnie.

Spełniła prośbę.

– Teraz wiem, że to nie rum – dodał.

– O Boże! – Otarła usta z niesmakiem. – Jak jeszcze zamierzasz mnie znieważyć?! Jeśli całujesz mnie tylko po to, by się przekonać, czy piłam...

– To najpewniejszy sposób.

– W takim razie wypróbuj go na Judzie następnym razem, gdy będziesz podejrzewał, że pił. Powie: „Tak, panie kapitanie, chętnie pana pocałuje”, a potem obejmie cię rękami za szyję. A może Prudie? Dlaczego nie wypróbujesz tego sposobu na Prudie? Nie ma brody i jest przyjemnie miękka. Nie miała okazji cię całować w czasie przyjęcia, a jej zamiłowanie do cebuli na pewno ci nie przeszkadza...

Podniósł ją i posadził bokiem na siodle, aż musiała chwycić go za rękę z obawy, że spadnie do tyłu. W konsekwencji spojrziała prosto w szare oczy Rossa.

– Myślę, że jesteś dziś wyjątkowo podniecony – rzekła, wyprzedzając jego atak. – Założę się, że coś spociłeś. Wrzuciłeś doktora Choake’a do stawu albo obrabowałeś bank George’a Warleggana?

Odwrócił się i skierował konia w dół doliny, trzymając rękę na kolanie Demelzy.

– Mam nowiny, ale to sprawy związane z kopalnią i niezbyt cię obchodzą – rzekł. – Najpierw opowiedz, jak spędziłaś dzień.

– Jakie nowiny?

– Ty pierwsza.

– Och... Przed południem odwiedziłam Keren Daniel, by odnowić z nią znajomość...

– Lubisz ją?

– Cóż, ma ładną wąską kibić. I ładne małe uszy...

– I ładny mały mózdzek?

– Trudno powiedzieć. Ma wysokie mniemanie o sobie. Zamierza zrobić karierę. Chyba uważa, że gdyby cię spotkała przede mną, nie miałabym żadnych szans.

Ross się roześmiał.

– Rzeczywiście nie miałabym szans? – spytała z zaciekawieniem.

– Przyzwyczaiałem się do inwektyw, ale jestem bezbronny wobec głupoty.

– Ależ wyszukany językiem się posługujesz, dziaduniu! – odparła Demelza z udawanym podziwem.

Zjeżdżali w dolinę. Zachodziło słońce, ale ptaki wciąż ćwierkały. Bładozielone morze kontrastowało z brązowymi klifami i żółtym piaskiem plaży Hendrawna.

– Co to za nowiny? – spytała Demelza.

– Powstał projekt stworzenia konkurencji dla odlewni miedzi i powołania własnej spółki. Mam nią kierować.

Zerknęła na męża.

– Co to znaczy, Ross?

Zaczął wyjaśniać. Przejechali przez strumień i dotarli do Nampary. Z dworu wyszedł Jud, by odprowadzić Czarnulkę do stajni, a Ross i Demelza podążyli do salonu, gdzie czekała na nich kolacja. Demelza zamierzała zapalić świece, lecz Ross ją powstrzymał. Usiadła na dywanie, oparta plecami o jego kolana, on zaś gładził ją po policzkach i włosach. Opowiadał o planie budowy odlewni, gdy na dworze zapadał zmrok.

– Na początku Francis nie chciał się przyłączyć – powiedział. – Nie mam do niego pretensji, bo dalsze istnienie kopalni Grambler zależy od dobrej woli George’a Warleggana. Wielu ludzi wpadło w kłopoty. Myślą o swoich hipotekach i długach, więc nie ośmielią się narazić swoim wierzycielom. Jednak zaproponowano kompromis i nasza spółka ma być tajna.

– Tajna? – zdziwiła się Demelza.

– Założycielami przedsiębiorstwa będą ludzie działający w imieniu innych, którzy nie chcą ujawniać swoich nazwisk. Moim zdaniem to się uda.

– Ty też będziesz się ukrywał?

Ross przesunął palcami po podbródku Demelzy.

– Nie. Niczym nie ryzykuję. Nie mogą mi nic zrobić.

– Czy Wheal Leisure nie jest winna pieniędzy bankowi?

– Bankowi Pascoe’a, tak. Ale nie ma on związków z odlewniami, więc jestem bezpieczny.

– Dlaczego masz brać na siebie całe ryzyko, gdy inni będą się kryli za twoimi plecami?

– Nie, nie. Są też ludzie, którzy wystąpią otwarcie. Mężczyzna o nazwisku Richard Tonkin. I drugi, Johnson. Wielu ludzi.

Demelza poruszyła się niespokojnie.

– Jak to wpłynie na nasze życie?

– Ja... Mogę częściej przebywać poza domem. Trudno powiedzieć.

Znów się poruszyła.

– Nie jestem pewna, czy mi się to podoba, Ross.

– Perspektywa wyjazdów też mi się nie podoba. Ale nie chcieli wybrać na przywódcę nikogo innego.

Próbowałam...

– Powinniśmy być z tego zadowoleni.

– Ten wybór to wyróżnienie. Niewątpliwie będę jeszcze przeklinał swoją słabość, że się zgodziłem.

To przedsięwzięcie jest potrzebne, Demelzo. Nie chciałem im przewodzić, ale nie mogłem odmówić.

– W takim razie postępuj tak, jak uważasz za słuszne – rzekła cicho.

Przez pewien czas milczeli. Ross trzymał dłonie na policzkach Demelzy. Opuściło ją ożywienie, napięcie, ta czarodziejska witalność, którą zawsze wyczuwał, gdy zajmowała się czymś szczególnym lub wpadała w jeden ze swoich humorów. Wiadomości trochę ją przygnębiły, bo nie chciała, by opuszczał dom. Pragnęła mieć go obok siebie częściej, nie rzadziej.

Pochylił się i dotknął policzkiem jej włosów. Wiły się wokół jego twarzy, pełne tajemniczej energii, podobnie jak Demelza. Lekko pachniały morzem. Pomyślał o jej tajemniczej osobowości. Włosy, głowa, całe ciało tej młodej kobiety należały do niego dzięki małżeństwu i jej nagłej, spontanicznej decyzji. Ciemne kręcone włosy i głowa Demelzy znaczyły dla niego więcej niż cokolwiek innego, bo w jakiś tajemniczy sposób były kluczem, który otwierał w nim ciekawość, pożądanie i miłość. Nieustannie przebywali w swoim towarzystwie, bliscy, związani myślami i uczuciami, a jednak byli odrębnymi istotami, odległymi mimo wszelkich prób przerzucenia mostu nad przepaścią. Przekroczywszy pewien punkt, zawsze napotykali pustkę. Ross nie wiedział, co w tej chwili Demelza myśli i co czuje. Tylko zewnętrzne oznaki, które nauczył się rozumieć, świadczyły, że wcześniej była podniecona i zdenerwowana, lecz teraz to już przeszłość. W tej chwili zastanawiała się nad nowymi rzeczami, o których jej powiedział, i próbowała przewidzieć to, czego nie umiał przewidzieć nawet mąż, który wiedział i rozumiał znacznie więcej.

– Dziś po południu przyszedł do ciebie list – powiedziała. – Nie wiem, od kogo.

– Och, od George’a Warleggana. Spotkałem go dziś rano. Powiedział, że przesłał mi zaproszenie na jedno ze swoich przyjęć i że powinno czekać na mnie w domu.

Demelza milczała. Gdzieś w głębi dworu sprzeczali się Jud i Prudie. Słysząc było wypowiedane basem skargi Prudie i nieco wyższe tony w odpowiedzi Juda. Przypominali dwa warczące na siebie psy: sukę mastyfa i półkrwi buldoga.

– Doprowadzi to do konfliktu między tobą a George’em Warlegganem?

– Bardzo prawdopodobne.

– Nie wiem, czy to dobrze. Jest bardzo bogaty, prawda?

– Dość bogaty. Ale w Kornwalii są starsze i potężniejsze siły. Mam nadzieję, że uda je się zmobilizować.

Z kuchni dobiegł dźwięk trzaskania rondlem.

– Powiedz mi, dlaczego byłaś taka podekscytowana, gdy się spotkaliśmy w Wheal Maiden? – spytał Ross.

Demelza wstała.

– Te dwie stare wrony obudzą Julię. Muszę ich rozdzielić.

Rozdział jedenasty

Dwight Enys, bardzo wdzięczny Rossowi, przybył do Nampary następnego dnia. Razem pojechali obejrzeć stróżówkę w zagajniku w pobliżu chaty w Reath, a Keren Daniel stała przy oknie i patrzyła na nich, snując dziwne myśli. Demelza była bliższa odgadnięcia, co chodzi jej po głowie, niż Keren sobie wyobrażała.

Ross ze zdziwieniem dowiedział się, że Enysa również zaproszono na przyjęcie u Warlegganów, i po przybyciu wkrótce spostrzegł medyka, który stał nieśmiało pod ścianą w sali bankietowej.

Wśród gości było kilka dam, toteż Ross miał oczy i uszy otwarte. Całe towarzystwo szeptało o jakiejś kobiecie, do której zalecał się Francis, lecz Ross nigdy wcześniej nie słyszał jej nazwiska. Na przyjęcie przybył również Cary Warleggan, stryj George'a. Cary nie był tak szanowany jak jego brat Nicholas i bratanek George; wszyscy trzej wywierali ogromny wpływ na finanse zachodniej Kornwalii, lecz Cary zwykle trzymał się w cieniu. Był wysoki, chudy i blady, miał długi nos i szerokie zaciśnięte usta. Ross zauważył także młynarza o nazwisku Sanson, o tłustych rękach i podstępym, złośliwym wyrazie twarzy, który starał się zamaskować, nieustannie mrugając.

Ross spacerował przez jakiś czas z Dwightem. Przeszli przez sale bankietowe i znaleźli się w dochodzącym aż do rzeki ogrodzie na tyłach pałacu. Ross wspomniał o Jimie Carterze, przebywającym w więzieniu w Bodmin, a Enys powiedział, że w każdej chwili chętnie go odwiedzi.

Kiedy wrócili do jasno oświetlonego budynku, Ross zauważył, że Francis gra w kości, a obok niego stoi wysoka młoda kobieta z połyskliwymi długimi włosami. Przymilne zachowanie kuzyna nie pozostawiało wątpliwości, co ich łączy.

– Jako żywo, dwanaście! Ty diable! – zawołała kobieta. Jej niski głos miał miłe brzmienie. – Zazdroszczę ci, Francisie! Zawsze masz szczęście w grze!

Odwróciła głowę i rozejrzała się po sali. Ross miał wrażenie, jakby dotknął rozpalonego metalu.

Kilka lat temu, gdy zrozpaczony i nieszczęśliwy wyszedł z gmachu Assembly Rooms i wstąpił do gospody Pod Niedźwiedziem, by utopić smutek w alkoholu, przysiadła się do niego wysoka, młoda, chuda dziewczyna. Spoglądała na niego dużymi, śmiałymi oczyma i prosiła, by postawił jej szklaneczkę trunku, on zaś potem udał się do jej ubogiej chaty i próbował zapomnieć o miłości do Elizabeth w żalostnej namiastce pożądania.

Znał tylko jej imię: Margaret. Nic o niej nie wiedział. W najśmielszych snach nie przypuszczał, że ją tu spotka.

Zniknęły wszystkie oznaki ubóstwa. Była upudrowana, uperfumowana i tak obwieszona biżuterią, że brzęczała przy każdym ruchu.

W tej samej chwili do sali wszedł George Warleggan, elegancko ubrany, spokojny, o byczym karku. Zatrzymał się obok dwóch dżentelmenów stojących przy drzwiach. Margaret spojrzała na gospodarza i zauważyła Rossa. Z tej strony, z widoczną blizną na policzku, był nie do pomylenia. Jej oczy się rozszerzyły. Po chwili wybuchnęła serdecznym śmiechem.

– Co się stało, kochanie? – spytał Francis. – Nie widzę nic śmiesznego w czwórce i trójce, gdy potrzebujemy dziesiątki, by mieć szansę na wygraną.

– Pani Cartland – odezwał się George – proszę mi pozwolić przedstawić kapitana Poldarka, brata stryjecznego Francisca. Pani Margaret Cartland.

– Do pani usług – odpowiedział Ross.

Margaret podała mu dłoń, w której trzymała kubek do kości. Jak dobrze pamiętał mocne białe zęby, szerokie ramiona, kocie, pożądliwe, ciemne oczy.

– Panie – odezwała się, śmiało zwracając się do niego tak jak w przeszłości – od lat marzę o poznaniu pana. Słyszałam o panu niezwykle historie!

– Pani, powinnaś wierzyć tylko w te najbardziej przypadkowe lub najdowcipniejsze – odparł.

– Czyż historie o panu mogą nie mieć tych cech, kapitanie? – spytała.

Spojrzał na jej twarz.

– Nie, pani, jeśli ty je opowiadasz.

Roześmiała się.

– Cóż, najzabawniejsze wydają mi się historie, których nie można opowiedzieć.

Ross złożył ukłon.

– Istota dobrego żartu polega na tym, że rozumieją go tylko dwie osoby.

– Myślałem, że to istota dobrego łóżka – wtrącił Francis i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Później Ross grał w wista, lecz pod koniec wieczoru spotkał Margaret stojącą samotnie u stóp schodów.

Ukloniła się przed nim ze złośliwym uśmieszkiem, aż zaszeleścił jedwab i zabrzęczały bransolety.

– Cóż za szczęśliwe spotkanie, kapitanie Poldark!

– Zaskakujące.

– To nieuprzejme oddalać się od towarzystwa.

– Och, nie zamierzam być nieuprzejmy wobec starej przyjaciółki.

– Przyjaciółki? Nie zasługuję na cieplejsze określenie?

Ross zauważył, że oczy Margaret, które zawsze uważał za czarne, są w rzeczywistości ciemnogrnatowe.

– Cieplejsze czy chłodniejsze, nie ma to znaczenia – odparł. – Nie lubię dzielić włosów na czworo.

– Tak, zawsze był pan mężczyzną lubiącym kobiety. A teraz jest pan żonaty?

Ross przytaknął.

– Koszmarne! Co za nuda... – W głosie Margaret zabrzmiał sarkazm, który sprowokował Rossa.

– Gardzi pani małżeństwem, choć sama pani je zawarła?

– Och, Cartland – mruknęła. – Żonaty i martwy.

– Wyrzyła mu to pani na grobie?

Roześmiała się kocim śmiechem.

– Zmarł na kolkę, ale nie przedwcześnie, miał już czterdzieści lat. Może śpi spokojniej, wiedząc, że wydałam jego pieniądze.

Po schodach zszedł George Warleggan.

– Nasz nowy gość wydaje ci się interesujący, Margaret?

Ziewnęła.

– Szczerze mówiąc, po tak dobrym posiłku prawie wszystko wydaje mi się interesujące.

– A ja jeszcze nic nie jadłem – zauważył Ross. – Niewątpliwie tłumaczy to rozbieżność w naszych odczuciach, pani.

George popatrzył uważnie na Margaret i Rossa, lecz się nie odezwał.

Ross wyszedł dopiero o północy, lecz Francis został. Stracił dużo pieniędzy w faraona i ciągle grał. Przy stoliku zostały cztery osoby: Cary Warleggan, który również przegrywał, Sanson, bankier, wygrywający przez cały wieczór, i George, który późno usiadł przy stoliku. Margaret obserwowała grę, opierając dłoń na ramieniu Francisca. Nie podniosła wzroku, gdy Ross wychodził.

Dwight Enys wprowadził się do częściowo zrujnowanej stróżówki i zaczął pracować jako chirurg w kopalni Wheal Leisure, a Keren Daniel z tłumionym niezadowoleniem odgrywała rolę żony górnik.

Demelza, rzekomo pod wpływem niespodziewanego kaprysu, z pasją ćwiczyła się w pisaniu, a Ross spędził dużo czasu poza domem w towarzystwie utalentowanego i elokwentnego Richarda Tonkina. Prowadzili rozmowy, dyskutowali, planowali, przeprowadzali kalkulacje, sporządzali kosztorysy – starali się przekuć marzenia w rzeczywistość.

Życie się toczyło. Julia rosła i matka dotykała jej dziąseł, próbując wyczuć pierwsze ząbki. Cena miedzi spadła do sześćdziesięciu siedmiu funtów za tonę i zamknięto dwie kolejne kopalnie. W Paryżu doszło do zamieszek. Na prowincji panował głód. Geoffrey Charles Poldark przeszedł wreszcie odrę, a lekarze opiekujący się królem z trudem pojmowali jego obliczenia matematyczne dotyczące much.

Przyszła pora, by Demelza napisała list, i z ogromnym trudem, po wielu nieudanych próbach, skleciła odpowiedni tekst:

Drogi Kapitanie Blamy!

Bądź łaskaw spotkać się z nami u pani Trelask krawcowej na Kenwyn Street dwudziestego października rano. Verity nie wie więc proszę żeby to był przypadek.

Czcigodny Panie,

pozostaję Pana przyjacielem i uniżonym sługą

Demelza Poldark

Nie była pewna zakończenia, ale skopiowała je z podręcznika epistolografii pożyczonego od Verity, więc musiało być dobre.

Następnego dnia w Namparze miał się pojawić Lobb, mężczyzna zajmujący się roznoszeniem listów, toteż po wielokrotnym przeczytaniu wiadomości Demelza wreszcie zapieczętowała kopertę i zaadresowała ją wielkimi kulfonami: *Kapitan Blamy, Biuro Statków Poczтовых, Falmouth.*

Do spotkania został jeszcze tydzień i w tym czasie mogło dojść do niespodziewanych komplikacji. Verity obiecała pojechać z nią do Truro, bo Demelza poprosiła o radę w sprawie zakupu zimowego płaszcza.

Wracała do Nampary z „Sherborne Mercury” pod pachą, a obok biegł Garrick, wydając brzydkie młaskające dźwięki, gdy nagle spostrzegła Keren Daniel idącą w poprzek doliny. Ich drogi miały się za chwilę skrzyżować.

Była to ziemia należąca do Rossa. Posiadłość nie była ogrodzona, gdyż Joshua zadowolili się ustawieniem kilku kamiennych słupów wyznaczających granice majątku, jednak dolinę Nampary ogólnie uznawano za teren prywatny; trzydziestu lub czterdziestu dzierżawców nigdy się tam nie zapuszczało, chyba że ich zaproszono.

Było jasne, że Keren o tym nie wie.

Tego ranka nie włożyła kapelusza i jej kręcone czarne włosy rozwiewał wiatr. Miała na sobie jaskrawą czerwoną sukienkę z taniego cienkiego materiału podkradzoną z garderoby trupy aktorskiej. Jej kształtną sylwetkę owiewał wiatr; zielona szarfa wokół smukłej kibici prowokująco podkreślała zarys bioder. Był to ten rodzaj sukienki, który sprawia, że mężczyźni się gapią, a kobiety szepczą między sobą.

– Dzień dobry! – przywitała się Demelza.

– Dzień dobry! – odpowiedziała Keren, zerkając krytycznym wzrokiem na żonę Rossa i mimo woli porównując ją ze sobą. – Co za wichura! Nie znoszę wichur. Czy tu zawsze tak wieje?

– Rzadko – odparła Demelza. – Ja sama lubię lekki wietrzyk. Zbiera zapachy i sprawia, że ludzie wydają się bardziej interesujący. Miejsce, gdzie nie wieje wiatr, jest jak chleb bez drożdży, nie ma lekko-

ści. Robiła pani zakupy?

Keren przez chwilę spoglądała uważnie na Demelzę, by się zorientować, o co jej chodzi. Nie udało jej się to, więc popatrzyła na swój koszyk i powiedziała:

– Byłam w Sawle. Okropna dziura, prawda? Przypuszczam, że robi pani wszystkie sprawunki w Truro?

– Och, lubię kupować u ciotki Mary Rogers, gdy to możliwe. Dzielna, dobra kobieta mimo swojej tuszy. Mogłabym opowiedzieć ciekawe rzeczy o ciotce Mary Rogers...

Keren nie wydawała się zainteresowana.

– A poza tym są tam sardynki – ciągnęła Demelza. – Sardynki z Sawle są najlepsze w Anglii. W tym roku połów się nie udał, ale w zeszłym były wspaniałe. Solę je na zimę. Nie mam pojęcia, co ludzie poczną tej zimy.

– Pani Poldark, nie sądzi pani, że Mark zasługuje na lepszą pracę? – odezwała się Keren. – W tej chwili jest tylko zwykłym górnikiem. To niesprawiedliwe, prawda?

Demelza, zaskoczona niespodziewanym pytaniem, popatrzyła na dziewczynę.

– Tak, może. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

– No właśnie. Proszę na niego spojrzeć: jest silny jak tur, bystry, pracowity. Kopalnia Grambler to ślepa uliczka. Będzie przez całe życie harować za głodowe stawki, aż się zestarzeje i zostanie inwalidą jak jego ojciec. I co się wtedy z nami stanie?

– Nie wiedziałam, że zarabia głodową stawkę – odparła Demelza. – Myślałam, że dostaje godziwe wynagrodzenie. Jest sztygarem zmianowym, prawda?

– Wystarcza nam na utrzymanie, ale na nic więcej.

Demelza zauważyła jeźdźca na wzgórzu.

– Mój ojciec był górnikiem – powiedziała. – Sztygarem zmianowym tak jak Mark. Ciągłe nim jest. Dostawał godziwą płacę. Oczywiście czasem więcej, czasem mniej, zależnie od urobku, i nie jakieś kokosy. Ale dalibyśmy sobie radę, gdyby nie przepijał wszystkiego po gospodach. Mark nie pije, prawda?

Keren trąciła nogą kamyk.

– Zastanawiałam się, czy w kopalni kapitana Poldarka nie znalazłaby się wolna posada, rozumie pani. Jakieś lepsze zajęcie. Tak sobie po prostu myślałam. Sztygar zmianowy nieźle zarabia, ale może znalazłoby się coś lepszego?

– Nie zajmuję się sprawami kopalni, ale wspomnę o tym mężowi – odrzekła Demelza. Jeźdźcem nie był Ross.

– Oczywiście niczego nam nie brakuje – ciągnęła Keren, odrzucając włosy do tyłu. – Mamy wszystko, czego nam potrzeba, i nie musimy żebrać. Ale Mark jest taki nieporadny. Powiedziałam mu któregoś dnia: „Dlaczego nie pójdziesz do kapitana Rossa i nie poprosisz o lepszą pracę? Jesteś jego przyjacielem. Nie ugryzie cię, może po prostu nigdy o tobie nie myślał? Kto nie ryzykuje, ten traci”. Ale tylko pokręcił głową i nie odpowiedział. Złości mnie, kiedy nie odpowiada na moje pytania.

– Rozumiem – odparła Demelza.

Jeździec znajdował się teraz wśród drzew, a Keren usłyszała tętent konia i obejrzała się przez ramię. Miała lekko zarumienioną twarz, na której malowała się irytacja, jakby to ją proszono o przysługę. Był to Dwight Enys.

– Och, pani Poldark! Byłem w Truro i postanowiłem państwa odwiedzić w drodze do domu. Kapitan Poldark jest u siebie?

– Nie, w Redruth. Tak mi się zdaje.

Przystojny i młody Dwight zsiadł z konia. Keren zerknęła na lekarza, a później z powrotem na

Demelzę.

– Mam list, to wszystko. Harris Pascoe poprosił mnie o jego przekazanie. Mógłbym go pani zostawić?

– Dziękuję. – Demelza wzięła list. – To pani Keren Daniel, żona Marka Daniela. Doktor Enys.

Dwight się skłonił.

– Do usług, pani. – Nie mógł się zorientować po stroju, do jakiej sfery należy dziewczyna, i nie pamiętał, kim jest Mark Daniel.

Keren rozkwitła pod wpływem jego spojrzenia niczym kwiat, na który padły promienie słońca. Wbiła wzrok w ziemię, opuszczając długie czarne rzęsy na aksamitne policzki. Znała młodego lekarza z widzenia. Pierwszy raz zobaczyła go, jak jechał z Rossem, a potem obserwowała go kilka razy z okna chaty. Wiedziała, że mieszka w domu z wieżyczką, ukrytym w kępie drzew po drugiej stronie doliny. Wiedziała, że wcześniej jej nie widział. Znała wartość pierwszego wrażenia.

Ruszyli razem w stronę dworu w Namparze. Keren postanowiła iść z nimi, jak długo się da. W domu Demelza zaprosiła ich na kieliszek wina, lecz ku wielkiemu rozczarowaniu Keren lekarz odmówił. Dziewczyna szybko doszła do wniosku, że spędzenie kilku minut sam na sam z Enysem jest bardziej opłacalne niż obejrzenie wnętrza dworu, dlatego również odmówiła i oboje odeszli. Dwight szedł obok Keren, prowadząc konia.

Dwudziestego października wiał wiatr niosący pył i suche liście. Zanosilo się na deszcz. Demelza była zdenerwowana, jakby gdzieś się śpieszyła. Koniecznie chciała dotrzeć do Truro przed jedenastą, co bawiło Verity. Demelza wyjaśniła, że niepokoi się o Julię, która budziła się w nocy. Córka mogła mieć gorączkę.

Verity zaproponowała, żeby przełożyć wycieczkę. Mogły wybrać się do Truro w inny, dogodniejszy dzień. Pasowałoby jej to, bo właśnie miało się odbyć kwartalne zebranie udziałowców kopalni Grambler. Lecz Demelza koniecznie chciała jechać...

Tym razem towarzyszył im Bartle, bo na Judzie coraz mniej można było polegać.

W połowie drogi lunął deszcz. Ziemię spowijała delikatna mżawka niczym jedwabna przeźroczysta tkanina opadająca z nisko zawieszonych chmur. Około pięciu kilometrów od Truro Demelza i Verity zobaczyły na gościńcu tłum ludzi. Był to tak dziwny widok w środku dnia, że ściągnęły wodze.

– To chyba górnicy, pani – powiedział Bartle. – Może obchodzą jakieś święto, o którym zapomnieliśmy?

Verity się pochyliła. Na jej twarzy malowało się powątpiewanie. Ludzie na drodze na pewno nie byli w świątecznym nastroju.

Na wozie stał mężczyzna i przemawiał do tłumu. Patrzyli na niego z daleka, lecz było jasne, że przeciwko czemuś protestuje. Inni górnicy siedzieli na ziemi i rozmawiali. Tłum składał się z biednie ubranych mężczyzn i kobiet, niekiedy z małymi dziećmi. Ludzie wyglądali na wściekłych, zziębniętych i zdeperowanych. Część stała na drodze biegnącej w tym miejscu między dwoma żywopłotami. Popatrzyli z niechęcią na dwie elegancko ubrane kobiety na koniach i dobrze odżywionego służącego.

Verity śmiało przejechała między górnikami, którzy spoglądali na nich w ponurym milczeniu.

W końcu zostawili tłum za sobą.

– Brrr! Kto to był, Bartle? – spytała Demelza.

– Górnicy z Idless i Chacewater. Głodują, pani.

Demelza podjechała do Verity.

– Bałaś się?

– Trochę. Myślałam, że mogą nas zaczepić.

Demelza milczała przez chwilę.

– Pamiętam, jak raz w Illuggan zabrakło nam mąki. Przez tydzień mieliśmy tylko kartofle i wodę. Bar-

dzo mało kartofli.

Na moment odsunęła myśli o romansie przyjaciółki, lecz kiedy dotarli do Truro, zapomniała o górnikach i skupiła całą uwagę na Andrew Blameyu i swoim planie.

Rozdział dwunasty

Truro wyglądało jak zwykle w czwartek rano, bardziej niechlujnie niż każdego innego dnia, z powodu targu bydłęcego, który odbył się poprzedniego popołudnia. Zostawiły Bartle'a w środku miasta i udały się na piechotę, omijając błotniste kałuże i stosy śmieci leżące na wybrukowanych kocimi łbami ulicach.

Nie zauważyły nigdzie barczystego mężczyzny w granatowym mundurze ozdobionym złotymi galonami i weszły do niewielkiego zakładu krawieckiego pani Trelask. Demelza była tego ranka wyjątkowo wybredna, lecz w końcu Verity namówiła ją do zakupu ciemnozielonej tkaniny, pasującej do strojów, które już miała, i do jej karnacji.

Kiedy skończyły, Demelza spytała o godzinę. Szwaczka poszła sprawdzić i okazało się, że jest południe. Cóż... Demelza spełniła swoje zadanie. Nie mogła zrobić nic więcej. Na pewno pomyliły datę i Blamey jest ciągle na morzu.

Nagle hałaśliwie zabrzączał dzwonek przy drzwiach i Demelzie забиło mocniej serce, lecz okazało się, że to tylko czarnoskóry paż, który przyszedł zapytać, czy jest już gotowy czepek zamówiony przez lady Marię Agar.

Demelza ociągała się, długo przeglądając jedwabne wstążki, i Verity się zaniepokoiła, że nie zdąży załatwić własnych sprawunków. Umówiły się, że zjedzą obiad u Joan Pascoe – Demelza z przerażeniem myślała o tej torturze – i będą miały niewiele czasu na zakupy.

Kiedy wyszły od krawcowej, na ulicy było więcej ludzi. Przed pobliską gospodą stał wóz zaprzężony w woły, z którego wyładowywano baryłki z piwem. Wśród stosów śmieci biegało kilkunastu urwisów. Byli bosy, parchaci i odziani w stare przerobione męskie ubrania związane sznurkiem. Na końcu ulicy w pobliżu mostu jakiś poważny kupiec poślizgnął się w błocie i upadł. Pomagało mu wstać dwóch żebraków. Kilkanaście kobiet robiło sprawunki, większość w sabotach i z pętelkami na nadgarstkach, by podtrzymywać suknie, chroniąc je w ten sposób przed zabrudzeniem.

– Panno Verity... – rozległ się z tyłu męski głos.

O Boże, pomyślała Demelza, wreszcie się zaczęło.

Verity się obejrzała. Jazda konna i sprawunki nieco zaróżowiły jej policzki. Ale kiedy zobaczyła Andrew Blameya, z jej czoła, warg i szyi odpłynęła cała krew. Na śmiertelnie bladej twarzy widać było tylko niebieskoszare oczy.

Demelza wzięła ją pod rękę.

– Panno Verity, pani. – Blamey spoglądał przez chwilę na Demelzę. Jego oczy miały głębszy niebieski odcień, przypominający stopiony lód. – Przez wiele lat ośmielałem się mieć nadzieję, lecz nie nadarzyła się żadna sposobność. Już straciłem wiarę, że któregoś dnia...

– Kapitanie Blamey – odezwała się Verity głosem, który zdawał się dobiegać z bardzo daleka – proszę pozwolić mi przedstawić moją kuzynkę, panią Demelzę Poldark, żonę Rossa Poldarka.

– Jestem zaszczycony, pani.

– Ja także, panie.

– Robią panie zakupy? – spytał Blamey. – Czy mają panie wolną godzinę? Byłby to dla mnie ogromny zaszczyt...

Demelza zauważyła, że twarz Verity stopniowo odzyskuje normalny wygląd. Wraz z nim powróciły wątpliwości ostatnich lat.

– Sądzę, że z naszego spotkania nie wyniknie nic dobrego, kapitanie Blamey – powiedziała. – Nie czuję do pana niechęci... Ale po tylu latach lepiej nie rozdrapywać dawnych ran, niczego nie zakładać, na nic nie liczyć...

– Stanowczo kwestionuję ten pogląd – odparł Andrew. – To spotkanie to wyjątkowo szczęśliwy zbieg okoliczności. Daje mi nadzieję na... co najmniej na przyjaźń, gdy nie ma nadziei na nic innego. Gdybyś zechciała...

Verity pokręciła głową.

– Wszystko skończone, Andrew. Pogodziliśmy się z tym wiele lat temu. Wybacz, ale jesteśmy bardzo zajęte. Do widzenia.

Chciała iść dalej, lecz Demelza się nie poruszyła.

– Nie przejmuj się mną, kuzynko. Mogę zrobić zakupy sama, naprawdę. Jeśli twój przyjaciel chciałby z tobą porozmawiać, uprzejmość nakazuje spełnić jego prośbę.

– Nie, musi pani z nami iść, pani Poldark, bo inaczej zaczną się plotki – rzekł kapitan. – Tak się składa, że mam w gospodzie prywatny gabinet. Moglibyśmy tam pójść, wypić kawę albo kordiał. Przez wzgląd na dawne czasy...

Verity wyrwała rękę trzymaną przez Demelzę.

– Nie! – zawołała histerycznie. – Nie! Odmawiam!

Odwróciła się i poszła szybko ulicą w stronę mostu. Demelza zerknęła z rozpaczą na Blameya, po czym ruszyła za nią. Była wściekła na Verity, ale gdy ją dogoniła i znowu wzięła pod rękę, zdała sobie sprawę, że Andrew Blamey był przygotowany do tego spotkania, a Verity nie. Zwolniły. Verity czuła to samo co Blamey, gdy Demelza spotkała się z nim tamtego ranka w Falmouth: nie chciała rozdrapywać starych ran i zareagowała złością na widok człowieka, który mógł sprawić jej ból. Demelza żałowała, że nie uprzedziła Verity. Ale jak miała to zrobić, skoro Verity...

Słyszała hałasy i krzyki. Zdenerwowanie sprawiło, że łączyła je z Blameyem.

– Zostawiłyśmy go daleko z tyłu – powiedziała. – Nie musimy się śpieszyć. Och, Verity, moim zdaniem powinnaś go wysłuchać, naprawdę...

Verity odwróciła głowę. Nie mogła wykrztusić słowa z powodu łez, czuła je w gardle, choć miała zupełnie suche oczy. Prawie dotarła do mostu i usiłowała się przepchnąć w jego stronę, ale drogę blokowało masa ludzi, którzy rozmawiali i patrzyli w kierunku, skąd przybyły. Demelza również starała się zatrzymać Verity.

Zorientowała się, że ci ludzie to górnicy. W rejonie mostu znajdował się plac otoczony starymi domami, od którego promieniście odchodziły wąskie uliczki. Na placu tłoczyli się górnicy, którzy przyszli River Street – popychali się, krzyczeli i potrząsali kijami trzymanymi w rękach. Podążali w stronę gmachu urzędu stemplowego, lecz zgubili drogę w labiryncie ulic Truro. Ci napierający z tyłu popchnęli kilkunastu górników i zwykłych przechodniów. Inni walczyli w błocie, by nie dać się wciągnąć przez tłum. Stary kamienny most był pełen ludzi, którzy usiłowali przejść na drugą stronę. Demelza i Verity znalazły się na skraju gigantycznego wiru, który mógł je w każdej chwili wciągnąć. Po chwili Demelza zerknęła przez ramię i zobaczyła, że Kenwyn Street zbliża się tłum szarych, zakurzonych i wściekłych górników. Znalazły się w pułapce.

– Verity, patrz!

– Tutaj! – odezwał się czyjś głos i ktoś chwycił Demelzę za ramię. Andrew Blamey pociągnął je w stronę ganku jednego z domów po przeciwnej stronie ulicy. Ganek był malutki, zmieściłyby się na nim zaledwie trzy osoby, lecz mogli tam znaleźć schronienie.

Verity stawiała lekki opór, lecz w końcu dotarła do ganku. Blamey stanął w wejściu. Za plecami miał Demelzę, a obok siebie Verity, którą osłaniał ramieniem.

Minęła ich pierwsza fala górników. Przebiegli obok ganku, krzycząc i wymachując pięściami. Później tłum dotarł do mostu i zwolnił jak strumień wody wpadający do wąskiego kanału. Na ulicy panował coraz większy ścisk i niektóre kobiety zaczęły krzyczeć. Całą Kenwyn Street wypełniała rozwścieczona

horda górników. Mężczyzn przyciskano do ścian domów, pękały szyby w oknach. Blamey blokował wejście na ganek, wyężając wszystkie siły.

Nikt nie miał pojęcia, co się dzieje, ale ludzie znajdujący się na czele pochodu musieli odnaleźć właściwą drogę, bo ścisk za mostem był mniejszy. Tłum przelewał się leniwie przez most i podążał w stronę centrum miasta.

Po chwili ganek zaczęły mijać nierówne szeregi górników. Demelza, Verity i Blamey byli bezpieczni. Kapitan opuścił rękę.

– Verity, błagam, zastanów się... – Spojrzał na nią. – O Boże, proszę...

Przepchnęła się obok niego i weszła między górników. Jej ruch był tak szybki i nagły, że ani Blamey, ani Demelza nie zdążyli zareagować.

Blamey pobiegł naprzód, krzycząc: „Verity! Verity!” nad głowami ludzi, którzy ich rozdzielali. Demelza ruszyła za nim.

W jednej chwili rozdzielili ich ludzie. Blamey z całych sił przepychał się do przodu, by dogonić Verity, i Demelza szybko straciła go z oczu.

Była dość wysoka, ale otaczali ją rośli mężczyźni. Na próżno próbowała się obracać i wyciągać szyję. Kiedy zbliżyli się do wąskiego mostu, nie mogła już szukać Blameya i Verity, bo musiała walczyć, by nie zepchnięto jej do rzeki. Ze wszystkich stron napierali na nią mężczyźni i kobiety, uderzano ją łokciami i kijami. Znalazła się w straszliwym uścisku nierówno posuwającego się tłumu. Przez chwilę stali, krzycząc, pocąc się i klnąc, później ruszali w ponurym milczeniu w którąś stronę. Otaczający Demelzę ludzie kilkakrotnie unosili ją w powietrze i nie dotykała nogami ziemi. Musiała czepiać się sąsiadów, by nie upaść na ziemię. W pobliżu stratowano jedną z kobiet. Inna zemdłała, lecz podniósł ją i pociągnął za sobą idący obok niej mężczyzna. Demelza słyszała plusk wody, rozpaczliwe okrzyki i uderzenia pałek.

Nawet za mostem na wąskiej ulicy panował straszliwy ścisk.

Kiedy górnicy znaleźli się w pobliżu celu swojej wyprawy, ogarnęła ich jeszcze większa wściekłość. Wydawało się, że powietrze pulsuje gorącem i przemocą. Przed oczami Demelzy tańczyły błyski światła i czarne plamki, walczyła, by jej nie zmiażdżono. W końcu wydostali się z miejsca, gdzie panował największy tłok, i ruszyli Coinagehall Street. Tłum zmierzał do wielkich magazynów zboża stojących w pobliżu strumienia.

Kapitan Blamey znajdował się po prawej stronie Demelzy – nagle go zauważyła – i gdy doszła do siebie, próbowała skrócić w jego stronę.

Ścisk był teraz większy i tłum poniósł ją naprzód. Później zastygła w bezruchu, otoczona przez rozgniewanych, spoconych górników i ich żony. Jej przyzwoite ubranie zanadto rzucało się w oczy.

Przed wielką bramą pierwszego magazynu zebrali się kupcy z Truro, chcący bronić swojej własności. Gruby, ubrany na czarno sędzia miejski wszedł na mur i krzyczał do rozwrzeszczanego tłumu, lecz jego słowa utonęły w hałasie. Za nim stało dwóch lub trzech miejskich konstabli i gruby mężczyzna nieustannie mrugający powiekami. Był to młynarz, właściciel magazynu. Żołnierze jeszcze się nie pojawili, bo szturm górników zaskoczył władze miasta.

Kiedy Demelza przepychała się w stronę narożnika, gdzie stał Blamey, zauważyła Verity. Kapitan ją odnalazł. Stali razem oparci o bramę stajni, nie mogąc się ruszyć z powodu ścisku.

Sędzia zaczął grozić uczestnikom zamieszek. Powinni pamiętać, że jeśli ktoś złamie prawo, zostanie ukarany. Przypomniawszy o rozruchach w Redruth w zeszłym miesiącu, kiedy jednego z uczestników skazano na śmierć, a wielu wtrącono do więzienia.

Odpowiedziały mu krzyki: „Wstyd!” i „Łajdacy!”.

– Chcemy tylko tego, co nam się należy! – wrzasnął niski górnik. – Bez zboża zdechniemy z głodu! Sprzedajcie nam zboże za uczciwą cenę, a spokojnie rozejdziemy się do domów. Niech pan poda cenę,

uczciwą cenę dla głodujących ludzi!

Sędzia się odwrócił i zadał pytanie młynarzowi stojącemu przed bramą magazynu.

Demelza przepchnęła się między dwoma górnikiemami, którzy popatrzyli na nią gniewnym wzrokiem. Przez moment miała ochotę krzyknąć do Verity, lecz zmieniła zdanie.

– Pan Sanson sprzeda wam zboże po piętnaście szylingów za buszel, by wspomóc wasze ubogie rodziny znajdujące się w potrzebie – oznajmił sędzia. – To hojna propozycja.

Tłum wydał z siebie gniewny pomruk, a niski górnik zaczął się naradzać z otaczającymi go mężczyznami.

Demelza znalazła się w końcu w pobliżu Verity i Blameya, lecz oddzielał ją od nich wózek, na którym siedziało kilka kobiet, i nie mogła się precyzyjnie. Andrew i Verity jej nie zauważyli, bo spoglądali na bramę magazynu i słuchali toczących się negocjacji, choć w ogóle ich one nie obchodziły.

– Osiem szylingów. Zapłacimy osiem szylingów za buszel. Na więcej nas nie stać. Nasze rodziny i tak będą głodować!

Młynarz wykonał lekceważący gest, nim sędzia zdążył spytać go o zdanie. Tłum zaryczał wściekle, po czym nagle zapadła cisza, w której Demelza usłyszała Blameya mówiącego szybko do Verity:

– ...życ, kochana. Czy w czasie tych pustych lat nie odpokutowałem swoich grzechów, niczego się nie nauczyłem?! Jeśli dzieli nas przelana krew, to już stara historia. Wiem, że Francis się zmienił, choć z nim nie rozmawiałem. Ale ty się nie zmieniłaś, w głębi serca...

Tłum znowu ryknął z wściekłością.

– Osiem szylingów albo nic! – krzyknął górnik. – Niech pan odpowie, bo nie będziem czekać!

Verity uniosła do oczu dłoń odzianą w rękawiczkę.

– Och, Andrew, co mam powiedzieć? Mamy to wszystko przeżywać na nowo? Spotkania, rozstanie, ból serca...

– Nie, kochanie, przysięgam. Nie rozstanie...

Dalszy ciąg utonął w ryku, którym górnicy przywitali upartą odmowę Sansona. Niski górnik błyskawicznie zeskoczył z podwyższenia i tłum rzucił się do przodu. Kupcy i konstable na schodach przed magazynem usiłowali stawiać opór, ale rozproszyli się jak liście zdmuchnięte przez wiatr. Po kilku minutach górnicy zaczęli walić pałkami w kłódkę na bramie składu, następnie otworzyli drzwi i wpadli do środka.

Demelza chwyciła się dyszla wózka, by tłum nie pociągnął jej w stronę magazynu, lecz mężczyźni postanowili załadować na wózek zboże, dlatego musiała puścić dyszel i przywarła do bramy stajni.

– Demelza! – Verity ją zauważyła. – Andrew, pomóż jej! Przewróć ją!

Verity z rozpaczliwą siłą złapała Demelzę za rękę. Na twarzy kuzynki widać było brzydkie smugi po łzach. Miała rozczochrane włosy i podartą suknię. Wydawała się nieszczęśliwa i obolała, lecz nic jej się nie stało.

Górnicy znajdujący się wewnątrz magazynu podawali worki ze zbożem ludziom stojącym na zewnątrz, a ulicą zbliżały się muły, na które zamierzano załadować łup. Skład przyciągał wszystkich jak magnes, więc ścisk wokół Demelzy i Verity się zmniejszył.

– Tędy! – zawołał Blamey. – Mamy duże szanse. Lepiej teraz niż później, bo po wyniesieniu zboża pewnie będą pić!

Poprowadził je z powrotem do Coinagehall Street, gdzie nie było górników. Ale na ulicy znajdowało się wielu mieszkańców miasta, którzy rozmawiali ze sobą i zastanawiali się, jak powstrzymać plądrowanie. Górnicy przybyli do Truro z powodu uzasadnionych pretensji, lecz ich apetyt rósł w miarę jedzenia i mogli zacząć rabować domy.

– Gdzie są pań konie? – spytał Blamey.

- Miałyśmy zjeść obiad u Harrisa Pascoe’a.
- Radziłbym przełożyć to na inny dzień.
- Dlaczego? – spytała Demelza. – Nie mógłby pan nam towarzyszyć?

Blamey zerknął na nią. Szli wokół Middle Row.

– Nie, pani, to wykluczone. Nie ulega wątpliwości, że gmach banku jest solidny i byłyby panie w nim bezpieczne, jednak później trudno byłoby go opuścić i wrócić do Nampary, ponieważ na ulicach może zapanować chaos. Jeśli zjedzą panie obiad u Harrisa Pascoe’a, muszą być panie przygotowane na spędzenie tam nocy.

– Och, nie mogę tam nocować! – zawołała Demelza. – Trzeba nakarmić Julię, a Prudie nie da sobie rady!

– Mógłbyś nas tu zostawić, Andrew? – spytała Verity, zwalniając. – Jeśli Bartle cię zobaczy, wiadomość o naszym spotkaniu może dotrzeć do Francisa, a on uzna to za celową, celową...

– Nie zostawię was – przerwał kapitan. – W pobliżu mogą być inni rabusie. Będę paniom towarzyszył, dopóki nie znajdą się panie w bezpiecznym miejscu.

Bartle czekał w stajni i gdy siodłano konie, wysłał wiadomość Harrisowi Pascoe’owi. Potem wyruszyli w drogę.

Na Pydar Street nie było górników, ale ludzie wyszli z domów i spoglądali z lękiem w dół wzgórza. Niektórzy byli uzbrojeni w kije.

Na szczycie wzgórza ulica była zbyt wąska, by mogły nią jechać trzy konie, toteż Demelza przejęła dowodzenie i wysłała Bartle’a naprzód, żeby sprawdził, czy w pobliżu są górnicy. Po chwili spięła konia ostrogami i ruszyła za nim.

Wracali do domu w milczeniu, dwójkami. Demelza usiłowała nawiązać rozmowę z Bartle’em, a jednocześnie próbowała podsłuchiwać Verity i Blameya. Nie była w stanie wiele wychwycić, tylko czasem, gdy zamieniali głośniejsze kilka słów. Wyobraziła sobie pustynię, która nieśmiało zaczyna się zielenić po deszczu.

Rozdział trzynasty

Jud tak długo przyzwyczaił się zachowywać, że Prudie nie zauważyła oznak zmiany. Spokojny tryb życia we dworze w Namparze – zupełnie inny niż za czasów Joshui – uciszył jej instynkty i sądziła, że to samo odnosi się do Juda. Ross wychodził wczesnym rankiem – w tej chwili przebywał poza domem trzy lub cztery dni w tygodniu – i kiedy Demelzy nie było w pobliżu, Prudie siadała w kuchni, parzyła sobie herbatę i plotkowała o skandalach ostatniego tygodnia z Jinny Carter, nie pamiętając o tym, że godzinę wcześniej przyłapała Juda na popijaniu ginu w czasie dojenia krów.

Jinny w dziwny sposób zaczęła pełnić podobną funkcję jak poprzednio Demelza. Krótko mówiąc, wykonywała większość ciężkich prac domowych, a Prudie parzyła herbatę, plotkowała i skarżyła się na ból nóg. W obecności Demelzy nie było to takie proste, ale gdy ta wychodziła, Prudie prowadziła bardzo wygodne życie.

Tego dnia Jinny opowiadała o Jimie, że jest chudy i chory, że ona co wieczór się modli, by następnym miesiącem minęło jak najszybciej i mógł wreszcie wrócić do domu. Prudie ucieszyła się, że Jinny nie zamierza zrezygnować z pracy w Namparze. Dziewczyna mówiła, że Jim nigdy więcej nie pójdzie do kopalni. Kazała mu obiecać, że po powrocie będzie pracować na farmie. Kiedy pracował w Namparze, świetnie się czuł i byli bardzo szczęśliwi. Nie zarabiał tak dobrze jak w kopalni, ale czy to ważne? Jeśli ona również pracowała, jakoś wiąźali koniec z końcem.

Prudie odpowiedziała, że nigdy nic nie wiadomo. Czasy są trudne i może się okazać, że ludziom pracującym na farmach niedługo będzie się lepiej powodzić niż górnikom, bo słyszała różne rzeczy o tym, co się dzieje w kopalniach. Kapitan Ross galopuje po okolicy, jakby gonił go diabeł, i co z tego ma? Czy warto próbować ożywić trupa? Lepiej gdyby się zajął uprawą kartofli. Mniej by wydawał na podkuwanie koni.

Jinny kilkakrotnie wychodziła z kuchni i kiedy wróciła po raz ostatni, na jej szczupłej, młodej twarzy malowało się zatroskanie.

– Ktoś jest w piwnicy, Prudie. Naprawdę. Kiedy mijalam drzwi...

– Nie – odpowiedziała starsza kobieta, poruszając palcami nóg. – Coś ci się przywidziało. Pewnikiem to szczur. Albo mała Julia zapłakała w łóžeczku, co? Zajrzyj do niej i oszczędź moje biedne stopy.

– To na pewno nie szczur ani Julia – odrzekła Jinny. – Słyszałam na schodach do piwnicy męski głos. Ktoś nucił pod nosem jakąś piosenkę i bez przerwy ją powtarzał, jakby się kręciło koło od wozu...

Prudie już miała zaprzeczyć, lecz po chwili na jej twarzy pojawił się zamyślony wyraz. Włożyła buty i powoli wstała z fotela, który zaskrzypiał głośno. Poczłapała do sieni, otworzyła znajdujące się koło schodów drzwi i zajrzała do środka.

Przez chwilę słyszała tylko niewyraźne mamrotanie, lecz zaraz zrozumiała słowa:

Baba stara i dziad stary,

Razem biedę klepali...

– To Jud – wyjaśniła zaniepokojonej Jinny. – Chleje najlepszy gin kapitana Rossa. Zaczekaj, wykurze tego nicponia. – Poczłapała z powrotem do kuchni. – Gdzie miotła?

– W stajni – odparła Jinny. – Widziałam ją tam dziś rano.

Prudie ruszyła po miotłę, a Jinny podążyła za nią, lecz kiedy wróciły, piosenka w piwnicy ucichła. Zapaliły świecę od ognia w kuchni i Prudie zeszła po schodach. Znalazła kilka potłuczonych butelek, lecz ani śladu Juda.

– Ten cholernik wylaz stamtąd, jak nas nie było!

– Zaczekaj – poprosiła Jinny.

Nasłuchiwały.

Ktoś śpiewał cicho w salonie.

Jud siedział w najlepszym fotelu Rossa, opierając nogi na gzymsie kominka. Na głowie miał jeden z kapeluszy Poldarka, czarny do konnej jazdy z podwiniętym rondem. W jednej ręce trzymał dzban ginu, a w drugiej szpicrutę i delikatnie poruszał nią kołyskę, w której spała Julia.

– Wstawaj z fotela, Jud! – rozkazała Prudie.

– Ach – odpowiedział wesołym tonem – wejdźta, dobre kobiety, wejdźta, wejdźta... Gość w dom, Bóg w dom. Do diabła, zanie, żeśta mnie odwiedziły. Nie spodziewałem się tego po takich sukach... Ale trza przyznać, co piękne z was suki. Rasowe, jak mi Bóg miły! Nigdy nie widział takich rasowych suk. Dość popatrzeć na wasze dupy i widać, że płynie w was szlachetna krew, nie ma co. – Trącił kołyskę szpicrutą, by nie przestała się poruszać.

Prudie chwyciła miotłę.

– Idź skończyć prace, kochanie – odezwała się do Jinny. – Ja się tym zajme.

– Dasz sobie radę? – spytała z niepokojem Jinny.

– Rade? Posiekam go na talarki! Martwie się tylko o Julię. Nie chce budzić dzieciny.

Kiedy Jinny wyszła, Jud się odezwał:

– Co, tylko jedna się wyniosła?! Sprytna z ciebie diablca, pani Paynter, żeś się jej pozbyła, coby mieć więcej ginu. – Małe oczka Juda, przekrwione od trunku, lśniły przebiegle. – Chodź tu, stara, i rozłóż nogi. Ja tu rządzę, Jud Paynter, pan na Namparze, główny łowczy, mistrz cmentarny, sędzia pokoju. Napij się, stara!

– Zaśmiejesz się inaczej, jak kapitan Ross przyłapie cie w swoim najlepszym fotelu. Ty stary pijanico!

Jud przyłożył do ust dzban i pił gin wielkimi łykami.

– Nie zrzedź... mam jeszcze dwa takie dzbany. Nie taki ważny ten Ross i ta jego kuchta. Łyknij se!

Jud wyciągnął rękę i odstawił w połowie pusty dzban na stół za swoimi plecami. Prudie popatrzyła na naczynie.

– Posłuchaj! – wysyczała. – Złaż z fotela albo rozwale ci łeb kijem od miotły! I zostaw dziecko w spokoju! – Ostatnie słowa zagłuszyło skrzypnięcie, bo Jud znów poruszył kołyską.

Odwrócił się i popatrzył na Prudie w zamyśleniu. Usiłował się zorientować, jak bardzo zagrożona jest jego głowa. Kapelusz Rossa dodał mu pewności siebie.

– Daj spokój, stara! W kredensie jest brandy. Przynieś i zrobie ci sampsona.

Był to niegdyś jeden z ulubionych napitków Prudie: brandy zmieszana z cydrem i cukrem. Popatrzyła na Juda jak na diabła namawiającego ją do zaprzędania własnej duszy.

– Jak bede miała chęć się napić, sama se naleje. Nie bede prosić ciebie ani nikogo innego. – Podeszła do kredensu i przygotowała sobie sampsona. Jud obserwował ją głodnymi, szklistymi oczyma.

– A tera złaż z fotela! – rzuciła wściekle.

Jud otarł twarz wierzchem dłoni.

– Na Boga, chce mi się płakać, jak cie widze! Napij się i zrób mi włochaty sampsona. Bądź dobra żona, stara!

Włochaty sampson miał ten sam skład, lecz zawierał podwójną dawkę brandy. Prudie zlekceważyła prośbę Juda i wypiła trunek. Później przygotowała sobie następną szklaneczkę.

– Sam się sobą zajmuj – powiedziała. – Nigdy nie byłam twoja ślubna i dobrze o tym wiesz, łachudro. Nigdy nie poszłam z tobą do kościoła jak uczciwa dziewczyna. Nie pobłogosławił nas pastor, nie było muzyki ani wesela. Wsadziłeś mnie na konia, to wszystko. Ciekawe, czy po nocach nie gryzie cie sumienie?

– Ech, byłaś bardzo ciężka – odparł Jud. – A potem zrobiłaś się jeszcze tłustsza. Gruba jak bela. To ty

nie chciałaś ślubu. Napij się.

Prudie wyciągnęła rękę i wzięła do połowy opróżniony dzban.

– Mojej starej matence by sie to nie podobało – stwierdziła. – Lepiej, że nie żyje, można tak powiedzieć. Wychowała tylko mnie. Z tuzina dzieci. Smutno o tym myśleć po tylu latach.

– Jedno na tuzin to dość – rzekł Jud, znów wprawiając w ruch kołyskę. – Na świecie jest za dużo bachorów i niektóre trza potopić. Jakbym mógł robić, co chce... Pewnikiem to sie nigdy nie stanie, a szkoda, bo jest takich, co ma na karku taki tęgi łeb jak Jud Paynter, choć zazdrosne ludziska gadają co innego. Ale przyjdzie taki dzień, co sie diabelnie zdziwią, jak Jud Paynter im pokaże, co ma łeb na karku i zasługuje na lepszy los. Jakby mnie należycie traktowali, to kim bym naonczas był, co?

– Katem moich braciszków i siostrzyczek... – chlipnęła Prudie.

– Ano – mruknął Jud. – Jedno na tuzin. Właśnie to powiadam, jedno na tuzin wystarczy. Nie horda bachorów jak u Martinów, Vigusów i Danielów, jak pewnikiem niedługo w tym domu. Bym potopił je jak kociaki.

Wielki nos Prudie się zaczerwienił.

– Nie życzę sobie takiego gadania w mojej kuchni! – zaprotestowała.

– Nie jesteśmy w twojej kuchni, więc stul pysk, gruba krowo!

– Sameś krowa – odpowiedziała Prudie. – I nie tylko! Brudny stary dureń! Brudny stary cap! Brudny stary wół! Podaj mi tamten dzban. Ten jest pusty.

Jinny czekała w kuchni, aż rozlegną się łomoty i krzyki świadczące, że Jud został ukarany. Jednak panowała cisza i dziewczyna zabrała się z powrotem do pracy. Ponieważ jej najmłodsza córeczka Kate zaczęła chodzić po domu i psocić, przestała zabierać ją do Nampary. Zostawiała ją teraz pod opieką matki wraz z pozostałą dwójką i młodszymi dziećmi pani Martin. Dlatego była w kuchni sama.

Skończyła i zastanawiała się, co jeszcze powinna zrobić. Szyby w oknach były brudne. Wzięła wiadro, by napełnić je wodą przy pompie, i zobaczyła swojego najstarszego syna, Bengy'ego Rossa, który biegł przez pola z Mellin.

Natychmiast się domyśliła, o co chodzi. Zacky obiecał córce, że ją zawiadomi.

Wyszła naprzeciw chłopcu, wycierając ręce w fartuch.

Bengy, który miał teraz trzy i pół roku, był duży jak na swój wiek i zdawał się nie pamiętać koszmarnego epizodu z wczesnego dzieciństwa, choć jego policzek przecinała długa, biała blizna. Jinny spotkała się z nim na skraju ogrodu koło pierwszych jabłoni.

– No i co, kochanie? – spytała. – Co powiedział Gramfer?

Bengy spojrzał na matkę jasnymi oczyma.

– Gramfer powiedział, że w przyszłym miesiącu zamkną kopalnię, mammo!

Jinny przestała wycierać ręce.

– Naprawdę? Całą kopalnię?

– Tak. Gramfer mówi, że mają zamknąć w przyszłym miesiącu. Mogę zjeść jabłko, mammo?

Jinny nie spodziewała się tak złych wiadomości. Myślała, że zamkną połowę kopalni i będą eksploatować bogatszą część żyły. Jeśli zamkną całą kopalnię Grambler, będzie to oznaczało koniec wszystkiego. Kilku szczęściarzy może ma oszczędności na zimę. Reszta musi znaleźć inną pracę lub głodować. W pobliżu nie było innej pracy, chyba że w kopalni Wheal Leisure, która mogła zatrudnić tylko nielicznych. Część górników wyruszy do kopalni ołowiu w Walii albo kopalni węgla w środkowej Anglii, pozostawiając rodziny, by radziły sobie same. Oznaczało to rozstanie z najbliższymi, kres dotychczasowego życia.

Teraz, gdy Jim wyjdzie z więzienia, czeka go trudny okres. Będzie miał szczęście, jeśli znajdzie pracę

choćby na farmie. Jinny od najmłodszych lat żyła w cieniu kopalni Grambler. Nie była to firma założona przez spekulantów, którzy szybko zaczynają przedsięwzięcie i równie szybko je kończą. Zdarzały się lepsze i gorsze okresy, lecz kopalnia zawsze działała, nigdy jej nie zamykano. Jinny nie miała pojęcia, od jak dawna istnieje, ale funkcjonowała wiele lat przed narodzeniem jej matki. Przed powstaniem kopalni nie było wioski Grambler. Wyrosła wokół kopalni, która stała się najważniejszą pracodawcą w okręgu, jego stolicą.

Jinny weszła do spiżarni, wybrała dojrzałe jabłko i dała Bengy'emu.

Musi powiedzieć Judowi i Prudie – a przynajmniej Prudie, jeśli Jud nie odzyskał jeszcze przytomności.

Podążyła wraz z Bengym do salonu.

Ross usłyszał nowiny, gdy wracał ze spotkania z Richardem Tonkinem, Rayem Penvenenem i sir Johnem Trevaunance'em. Przekazał mu je stary górnik, Fred Pandarves, gdy Ross mijał szubienicę na rozstajach w Bargas. Ross pojechał dalej i przyszło mu do głowy, że jeśli taki stan rzeczy się utrzyma, nie będzie kopalni, które mogłyby skorzystać na planie budowy odlewni. Wracał z Place House, dworu Trevaunance'a, w dobrym nastroju, ponieważ sir John obiecał im poparcie i fundusze, jeśli zbudują odlewnię na terenie jego posiadłości, ale wieść o zamknięciu kopalni Grambler sprawiła, że opuścił go optymizm.

Zjechał powoli w dolinę Nampary i dotarł do dworu, lecz nie zaprowadził Czarnulki od razu do stajni. Zastanawiał się, czy odwiedzić Francisa.

Przystanął w sieni i słuchał podniesionych głosów dochodzących z salonu. Czy Demelza przyjmuje gości? Nie miał ochoty na towarzystwo.

Zorientował się, że to głos Juda. I Jinny Carter. Krzyczała! Podeszedł do lekko uchylonych drzwi.

– To kłamstwo! – Jinny płakała. – Wstrętne, brudne kłamstwo! Powinni cię wychłostać, Judzie Paynterze! Siedzisz w fotelu swojego pana, żłopiesz jego brandy i łziesz jak pies! Powinni cię wychłostać basaljkami, jak mówi Biblia! ¹ Ty ohydna, plugawa bestio, ty...

– Trzepnij tego gada, kochanie! – wtrąciła Prudie. – Walnij go w łeb moją miotłą!

– Wracaj do stajni, stara kobyło! – zawołał Jud. – Powtarzam tylko, co ludzie gadają! Popatrz na szrame chłopaka. Biedny dzieciak, to nie jego wina. Wszyscy gadają, że to znak samego Belzebuba, by cały świat wiedział, kto jest prawdziwym ojcem. Gadają – i czy można ich za to winić? – że obie bliźny są kubek w kubek takie same! Syn wdał się w ojca, mówią. Ross i Bengy Ross. I gadają jeszcze: „Słuchajta, w zeszły miesiąc pan Ross pojechał z nio do Bodmin i zostali tam na noc!”. To nie moje gadki, ale nie dziwota, co ludzie gadają. I nie zmienio tego żadne płacze ani krzyki!

– Nie chcę tego więcej słuchać! – zawołała Jinny. – Przyszłam wam powiedzieć o kopalni Grambler, a ten straszny stary pijak opowiada wstrętne rzeczy! Nie powinnaś w to wierzyć, Prudie, bo to brudne kłamstwa!

– Ciii! Nie denerwuj się, dziewczyno. Ot, siedze i pilnuje, żeby Jud czego nie zbroił. Ale tak po prawdzie...

– Ale nie trza winić dzieciaka – przerwał Jud. – To nieuczciwe, to naprzeciw sprawiedliwości, tak się nie godzi...

– Szkoda, że nie ma tu Jima! Bengy, odejdz od tej bestii...

Wybiegła z salonu z dzikim wyrazem na zapłakanej twarzy, trzymając najstarszego syna za rękę. Ross się odsunął, lecz go zauważyła. Natychmiast pobladła jak kreda, choć na policzkach wciąż płonęły czerwone rumieńce. Spojrzała ze strachem i złością w oczy Rossa, po czym wpadła do kuchni.

Wkrótce potem dotarła do domu Demelza, wróciwszy z Trenwith ścieżką biegnącą wzdłuż klifu. Julia nie

obudziła się mimo hałasu, a Prudie siedziała obok kołyski z głową owiniętą fartuchem i głośno płakała. W salonie śmierdziało ginem, a na podłodze leżały dwa rozbite dzbany. Demelza zauważyła przewrócone fotele i domyśliła się, co zaszło.

Nie mogła dowiedzieć się niczego od Prudie. Kiedy jej dotknęła, gruba służąca zaczęła zawodzić jeszcze głośniej i jęknęła, że nadszedł ostatni dzień Juda.

Demelza pobiegła do kuchni. Ani śladu Payntera.

Hałasy na dziedzińcu.

Ross stał przy pompie. Jedną ręką poruszał dźwignię, a w drugiej trzymał szpicrutę. Jud siedział pod pompą.

Gdy próbował wyjść z wody, Ross uderzał go szpicrutą. W końcu Jud przestał się bronić i cierpliwie znosił strugi lodowatej wody.

– Ross, Ross! Co się stało?! Co on zrobił?!

Ross popatrzył na Demelzę.

– Następnym razem, kiedy wyjedziesz na cały dzień robić zakupy, naszą córką będą się zajmowali lepsi opiekunowie! – rzucił.

Demelza zamarła. Słowa Rossa wydały jej się niesprawiedliwe.

– Nic z tego nie rozumiem – wyjąkała. – O co chodzi? Julii nic nie jest.

Ross uderzył Juda szpicrutą.

– Siedź pod pompą! Ucz się pływać! Ucz się pływać! Zobaczymy, czy oczyścimy twoje cielsko z plugawych humorów!

Demelza nie dosłyszała ostatniego słowa. Odwróciła się gwałtownie i wbiegła do domu.

Verity wróciła do Trenwith, nie mając żadnych wiadomości o decyzji w sprawie zamknięcia kopalni Gumbler. Pożegnały się z kapitanem Blameyem na rozstajach w St Ann's, po czym Demelza zsiadła z konia przy bramie dworu, a Verity pojechała do domu w towarzystwie Bartle'a.

Kiedy weszła do salonu, tylko Elizabeth uniosła wzrok. Ciotka Agatha jej nie usłyszała, a Francis nie zwrócił uwagi na pojawienie się siostry.

Elizabeth uśmiechnęła się boleśnie.

– Harris Pascoe pozwolił wam tak szybko odjechać?

– Nie pojechałyśmy do Harrisa Pascoe'a – odpowiedziała Verity, zdejmując rękawiczki. – W mieście trwały rozruchy górników i doszłyśmy do wniosku, że lepiej wyjechać, nim sytuacja wymknie się spod kontroli.

– Ha! – rzucił Francis od okna. – Rozruchy, doprawdy! Niebawem dojdzie do rozruchów i w innych miejscowościach.

– Z tego powodu nie zdążyłam kupić ci broszki, Elizabeth. Bardzo mi przykro, ale może pojedę w przyszłym tygodniu...

– Tyle lat... – westchnęła ciotka Agatha. – Niech mnie diabli, to było długo przed moim narodzeniem! Dobrze pamiętam, jak stara babcia Trenwith opowiadała, że jej dziadek ze strony matki, John Trenwith, wykonał pierwszy wykop na rok przed śmiercią.

– Kiedy to było? – spytał ponuro Francis.

– Gdybyście mnie spytali o datę, nie potrafiłabym odpowiedzieć. Najlepiej zajrzeć do Biblii. Ale działa się to jeszcze za panowania królowej Elżbiety.

Verity bardzo powoli zrozumiała znaczenie rozmowy. Zapomniała o porannym spotkaniu udziałowców kopalni. Przed wyjazdem z Trenwith gorączkowo myślała o decyzjach, które miano podjąć pod jej nieobecność, lecz po powrocie zupełnie wyleciało jej to z głowy.

– Chcesz powiedzieć...

– A siedemdziesiąt lub osiemdziesiąt lat później inny John wydrążył pierwszą sztolnię. To właśnie jego poślubiła babcia Trenwith. Od tamtego czasu kopalnia działa bez chwili przerwy. Jeszcze niedawno przynosiła nam tysiąc funtów rocznie. Nie należy się jej pozbywać.

Verity wreszcie domyśliła się, co się stało.

– To, co mówicie, sugeruje... – zaczęła. – Nie byłam do końca pewna... Cała kopalnia? Wszystko?

– Jak może być inaczej? – Francis odwrócił się od okna. – Nie możemy odwadniać tylko połowy wyrobisk.

– Kiedy dorastałam, rodzice mieli mnóstwo pieniędzy – rzekła ciotka Agatha. – Tata umarł, gdy miałam osiem lat, i pamiętam, jak mama wybudowała mu pomnik w kościele w Sawle. „Nie będziemy szczęśliwi z pieniędzy”, mówiła. Ciągle słyszę jej słowa: „Cena nie gra roli. Ojciec zmarł od ran, jakby poległ w bitwie. Zasługuje na piękny pomnik”. Ach, Verity, wróciłaś? Jesteś zarumieniona. Dlaczego tak się zarumieniłaś? To niedobra wiadomość, powinna mrozić krew w żyłach. Zamknięcie kopalni Grambler to upadek rodu Poldarków.

– Co to oznacza, Francisie? – spytała Verity. – Jak to wpłynie na naszą rodzinę? Czy będziemy mogli żyć jak dotychczas?

– Nie odczujemy tego jako udziałowcy, choć zniknie nadzieja na poprawę i przestaniemy wydawać pieniądze na nieopłacalny projekt. Od pięciu lat nie pobieramy dywidend. Otrzymywaliśmy przeszło osiemset funtów rocznie za prawo eksploatacji złoża leżącego na terenie naszej posiadłości. Te pieniądze przestaną napływać. Na tym polega różnica.

– W takim razie nie będziemy mogli dalej... – zaczęła Verity.

– Wszystko zależy od pozostałych dochodów i wydatków – przerwał z irytacją Francis. – Mamy ziemię, którą możemy uprawiać. Należy do nas cała wioska Grambler i połowa Sawle, choć teraz czynsze na pewno się zmniejszą. Jeśli nasi wierzyciele okażą się wyrozumiali, pozostaną nam minimalne wpływy pozwalające skromnie żyć.

Elizabeth wstała i cicho postawiła Geoffreya Charlesa na podłodze.

– Damy sobie radę – rzekła cicho. – Inni są w gorszej sytuacji. Możemy oszczędzać na wielu rzeczach. To nie może trwać wiecznie. Musimy po prostu wytrzymać przez pewien czas.

Francis z lekkim zdziwieniem zerknął na żonę. Może się spodziewał, że zareaguje inaczej: zacznie się skarżyć i go obwiniać. Ale w chwilach kryzysu zawsze okazywała się dzielna.

– Mogę teraz hałasować, mam? – spytał Geoffrey Charles, zerkając gniewnie na ojca. – Mogę hałasować?

– Jeszcze nie, kochanie – odparła Elizabeth.

Verity cicho przeprosiła zebranych i wyszła.

Powoli wspięła się po szerokich schodach, patrząc na wszystko wokół inaczej niż dotychczas. Ruszyła niskim, kwadratowym korytarzem z ładnymi gotyckimi oknami w stylu epoki Tudorów, wychodzącymi na mały wewnętrzny dziedziniec, gdzie rosły pnące róże i znajdowała się nieczynna fontanna. Środkiem biegła ścieżka wyłożona dużymi kamiennymi płytami. Cały dwór zbudowano bardzo solidnie i pięknie, z myślą, by przetrwał wiele wieków. Verity zaczęła się modlić, by nigdy nie legł w ruinie.

Znalazszy się w swoim pokoju, unikała spoglądania w lustro, by nie dostrzec w swojej twarzy tego, co zauważyła ciotka Agatha starymi, przenikliwymi oczyma.

Z okna widać było cisowy żywopłot i herbarium. Cztery lata wcześniej, w gorzkim okresie, Verity często na nie patrzyła. Dostarczało jej pociechy w czasie wielkiej tragedii życiowej.

Nie wiedziała, czy tym razem tragedia jest wielka, czy nie. Może, z pewnej perspektywy, wcale nie okaże się istotna? Zamknięcie kopalni Grambler całkowicie zmieni życie okręgu. Wydawało się to oczy-

wiste.

A może powinna uczciwie przyznać, że to nie jej tragedia? Będzie miała mniej pieniędzy, ale prowadzi taki tryb życia, że pieniądze nie odgrywają większej roli. Zamknięcie kopalni dotknie rodzinę. Tak, bardzo boleśnie. Sprawa dotyczy wszystkich ludzi, których Verity zna i lubi, nie tylko w domu, ale i w całym okręgu. Wpływie na chór, z którym Verity prowadzi ćwiczenia, i straszliwie utrudni niesienie pomocy ubogim. Tego ranka, tego ranka byli jej rodziną. Co się zatem zmieniło?

Dlaczego nie jest bardziej wytrącona z równowagi od nich? Dlaczego nie jest tak nieszczęśliwa, jak powinna być? Dlaczego? Dlaczego?

Przycisnęła gorące czoło do szyby i słuchała bicia swojego serca.

Rozdział czternasty

Jud i Prudie musieli odejść. Ross nie dał się ubłagać. Był wyrozumiały i gotowy przymykać oko na wybryki ludzi, których uważał za wierne sługi ojca. Przyzwyczał się do pijaństwa Juda, jednak pod żadnym pozorem nie zamierzał tolerować niełojalności. Poza tym musiał myśleć o Julii. Nie mógł nigdy więcej powierzyć jej Paynterom.

Wezwał ich do siebie nazajutrz rano i kazał opuścić Namparę w ciągu tygodnia. Prudie była bliska płaczu, a Jud miał ponurą minę. Uważał, że w ciągu tygodnia namówi Rossa do zmiany zdania, jak to już się zdarzało w przeszłości. Przeliczył się i dopiero wtedy wpadł w prawdziwy popłoch. Na dwa dni przed wyznaczonym terminem Demelza, współczując Prudie, zasugerowała, że spróbuje przekonać męża, by pozwolił jej zostać, jeśli Jud odejdzie sam, jednak Prudie okazała się wierną partnerką i postanowiła towarzyszyć swojemu mężczyźnie.

W końcu opuścili Namparę, dźwigając swój dobytek. Znaleźli zrujnowaną chatę, a raczej szopę, na skraju wioski Grambler. Była brudna i nędzna, lecz niesłychanie tania, a tuż obok znajdowała się gospoda, co miało ogromne zalety.

Ich odejściu towarzyszył straszliwy zamęt, a kiedy zniknęli, Nampara wydawała się dziwnie cicha. Brakowało człapania Prudie i nieustannych skarg Juda, wygłaszanych ochryłym głosem. Byli niechlujni, leniwi i nieokrzesani, jednak wrosli w to miejsce i wszyscy odczuli ich nieobecność. Demelza cieszyła się, że przeprowadzili się niedaleko, bo zbyt długo przyjaźniła się z Prudie, by zapomnieć o niej w ciągu kilku dni.

Ross zatrudnił na ich miejsce Johna i Jane Gimlettów, małżeństwo w wieku czterdziestu kilku lat. Oboje byli pulchni. Pięć lub sześć lat wcześniej przybyli z północnej Kornwalii do wioski Grambler, szukając pracy w zachodniej części regionu, w owym czasie jeszcze zamożnej, i zostali wędrownymi szewcami. Ale nie powodziło im się dobrze i przez rok pracowali w stemplowni cyny. Wydawali się bardzo chętni do pracy, kompetentni, czyści, uprzejmi i pełni szacunku – całkowite przeciwieństwo Juda i Prudie. Czas pokaże, czy się nie zmienią.

Dwa dni po pijackiej awanturze Ross miał kłopoty z resztą służby.

– Gdzie jest Jinny?

– Odeszła – odpowiedziała ponuro Demelza.

– Odeszła?

– Wczoraj wieczorem. Chciałam ci powiedzieć, ale bardzo późno wróciłeś. Nic z tego nie rozumiem.

– Co powiedziała?

– Że będzie szczęśliwsza, opiekując się trójką swoich dzieci. Tłumaczyłam jej, że cała rodzina jej matki niedługo zostanie bez pracy, ale po prostu zacisnęła wargi i odrzekła, że chce odejść.

– Och... – westchnął Ross, mieszając kawę.

– To ma coś wspólnego z awanturą w czwartkowe popołudnie – rzekła Demelza. – Może gdybym wiedziała, o co chodzi, mogłabym coś zrobić. Jinny nie była pijana. Dlaczego postanowiła odejść?

– Chyba się domyślam – powiedział Ross.

– Nie rozumiem, dlaczego miałabym być jedyną osobą, która nie ma o niczym pojęcia, Ross. Jeśli coś wiesz, powinieneś mi powiedzieć.

– Pamiętasz, jak zabrałem Jinny do Bodmin? – spytał Ross. – Mówiłem, że zaczną się plotki, prawda?

– Tak.

– Rzeczywiście się pojawiły i Jud je powtarzał, gdy wróciłem do domu. Do tego przypomniał złośliwe pogłoski z dawnych czasów. Właśnie dlatego go wyrzuciłem. Drugi powód to Julia.

- Ach, rozumiem – odparła Demelza.
- Może Jinny nie wie, że Jud odchodzi – dodał po chwili Ross. – Kiedy...
- Wie. Prudie wczoraj jej powiedziała.
- Cóż, pójdę i porozmawiam z Zackym, jeśli chcesz, by wróciła.
- Oczywiście, że chcę.

– I tak muszę się zobaczyć z Zackym. Chcę mu zaproponować pracę.

– To pocieszy jego żonę. Nigdy wcześniej nie widziałam jej smutnej. Jaką pracę zamierzasz mu zaproponować?

– Jako udziałowcy odlewni kupujący rudę miedzi na aukcjach potrzebujemy agenta, człowieka, którego nie znają inni przedsiębiorcy i który będzie występował w naszym imieniu. Myślę, że uda mi się załatwić Zacky'emu tę posesję. Nie jest zwykłym górnikiem, sama o tym wiesz.

– A co z Markiem Danielem?

– Co masz na myśli?

– Pamiętasz, kiedyś wspomniałam, że Keren pytała, czy nie miałbyś dla niego jakiejś dobrej pracy.

– Taak... Ale on się nie nadaje, Demelzo. Potrzebujemy człowieka, który potrafi czytać i pisać, jest wyrobiony w obracaniu pieniędzmi. I zorientowany w świecie. Zacky spełnia te warunki. Poza tym potrzebujemy kogoś, komu możemy całkowicie ufać. Zależy nam na zachowaniu absolutnej dyskrecji. Jej niedotrzymanie mogłoby mieć fatalne skutki. Oczywiście powierzyłbym Markowi własne życie, ale nie jest on już wolnym człowiekiem. Chociaż to człowiek wiarygodny, kocha kobietę, która nie budzi zaufania, co mogłoby mieć groźne konsekwencje.

– Nie wiem, co powiedziałaaby Keren, gdyby to usłyszała – odparła Demelza. – Nie przyszłoby jej do głowy, że może utrudniać życie Markowi.

– Cóż, nigdy tego nie usłyszy, więc nie powinnaś się tym przejmować.

W tym momencie Keren stała na drabinie. Od dwóch dni padało i deszcz przesiąkał przez strzechę zbudowaną przez Marka. Woda zaczęła kapać najpierw w kuchni, a potem w sypialni; ostatniej nocy ciekła prosto na ich nogi.

Keren była wściekła. Naturalnie w czasie deszczu Mark spędzał większość wolnego czasu na drabinie, lecz jej zdaniem w ciągu dwóch miesięcy małżeństwa powinien lepiej uszczelnić strzechę. Zamiast tego w każdy deszczowy dzień pracował w domu, a w każdy pogodny dzień zajmował się ogrodem.

Dokonał cudów. Usunął mnóstwo kamieni i zbudował z nich murek otaczający wydzierżawioną działkę. Murek, pomnik niewyczerpanej energii jednego człowieka, miał kształt koła. Zakończywszy budowę, Mark zabrał się do oczyszczania ziemi z chwastów, żeby posadzić rośliny na następny rok. W jednym z narożników chaty sklecił przybudówkę z niewielką zagrodą otoczoną kamiennym murkiem, gdzie w przyszłości zamierzał hodować świnie.

Małżeństwo rozczarowało Keren. W łóżku Mark, choć namiętny, okazał się niezręczny, pozbawiony romantyzmu i subtelności; poza tym prawie się nie odzywał. Spędzał wiele godzin w kopalni, a pora rozpoczęcia szychty co tydzień się zmieniała. W jednym tygodniu jadł śniadanie o piątej, w drugim wracał do domu o szóstej trzydzieści rano, budził Keren i kładł się spać, lecz później nie wstawał, gdy ona sama się budziła. A kiedy szedł do kopalni na drugą po południu, spędzała cały wieczór sama. Początkowo były to najbardziej ekscytujące dni, bo Mark wracał do domu tuż przed jedenastą, mył się, golił, a potem szli do łóżka. Ale miłość wkrótce spowszedniała i Keren zwykle znajdowała pretekst, by uniknąć niezgrabnych pieszczot męża. To, co przeżywała, bardzo różniło się od roli, którą grała w sztuce *Narzęczona młynarza*.

Mark przed chwilą wyszedł, śpiesząc się, by zdążyć na początek szychty, więc Keren miała spędzić

dziewięć godzin sama. Mąż nie odstawił drabiny i postanowiła dalej naprawiać strzechę. Uważała, że zdolność przystosowania się pozwala rozwiązać większość problemów. Znalazła miejsce, gdzie wcześniej pracował Mark, i zaczęła uszczelniać strzechę. Zastanawiała się, jaką będzie miał minę, gdy wieczorem wróci przemoczony z kopalni i zobaczy, że w domu znowu jest sucho.

Z miejsca, w którym się znajdowała, dobrze widziała zwieńczony wieżyczką dom doktora Enysa i żałowała, że otaczające go drzewa nie zrzuciły liści na zimę. Po spotkaniu w Namparze widziała lekarza jeszcze trzykrotnie, lecz nie zamienili ani słowa. Czasami zastanawiała się, czy sama nie zapomni mówić po angielsku, bo odwiedzało ją niewielu sąsiadów z Mellin, ale gdy już się pojawiali, nie przyjmowała ich zbyt miło. Zaprzyjaźniła się tylko z małym Charliem Baragwanathem, który zwykle wpadał do niej w drodze powrotnej z pracy.

Od jakiegoś czasu miała wątpliwości, czy postąpiła słusznie, zamieniając życie w trupie wędrownych aktorów na samotną egzystencję w chacie na odludziu. Niekiedy przypominała sobie trudy i nieprzyjemne strony życia aktorki, by dodać sobie otuchy, lecz upływ czasu sprawiał, że traciła poczucie perspektywy. Nawet pieniądze, na które liczyła, okazały się mniejsze od oczekiwanych. Mark miał trochę grosza i na swój sposób był hojny, ale przyzwyczajenia nabyte przez całe życie nie zmieniają się po tygodniu. Dawał jej określone kwoty na różne zakupy, lecz nie lubił zwyczajowego wydawania pieniędzy, trwonienia ich. Jasno oświadczył, że jego sakiewka nie jest bez dna, a po opróżnieniu mógł ją napełnić tylko dzięki oszczędnościom.

Teraz, po zamknięciu kopalni Gambler, mogło się to okazać trudne.

Keren wychyliła się, by umieścić w strzesze wiązkę słomy, a następnie ją związać. Nagle straciła równowagę i powoli zsunęła się z dachu.

– Cóż, to bardzo miło z pana strony, kapitanie – powiedział Zacky, gładząc się po brodzie. – Nie będę udawał, że nie zależy mi na tej pracy. Matka będzie zachwycona, że nie przestanę zarabiać. Ale nie mogę przyjąć tak dużych pieniędzy, nie na początku. Niech pan mi płaci tyle, ile dostaję w kopalni, tak będzie uczciwie.

– Będziesz otrzymywał pobory wyznaczone przez przedsiębiorstwo. Zadbam, byś dowiadywał się z wyprzedzeniem, kiedy będziesz potrzebny. Może to oznaczać, że w ostatnim tygodniu zwolnisz się kilka razy z kopalni.

– To nieważne. Kopalnia powoli umiera. Nie wiem, co połowa ludzi robi w zimie.

– A teraz chciałbym zamienić kilka słów z Jinny – powiedział Ross.

Na twarzy Zacky'ego pojawiło się zmieszanie.

– Jest w chałupie z matką. Nie wiem, co w nią wstąpiło, ale robi wszystko po swojemu. Nie możemy jej rozkazywać jak wtedy, kiedy była panną. Jinny! Jinny! Wyjdź na dwór! Ktoś chce z tobą porozmawiać.

Zapadła długa cisza. Wreszcie drzwi chaty się otworzyły. Jinny stanęła w progu, ale nie wyszła na zewnątrz.

Ross zbliżył się do niej. Zacky stał w miejscu i obserwował całą scenę, drapiąc się kciukiem po podbródku.

– Kapitan Poldark – odezwała się Jinny. Dygnęła lekko, lecz nie uniosła oczu.

Ross natychmiast przeszedł do rzeczy.

– Wiem, że od nas odeszłaś, Jinny, i rozumiem twoje uczucia. Ale w ten sposób kapitulujesz przed złymi ludźmi, przyznajesz, że potrafili cię dotknąć. Pijackie brednie Juda Payntera sprawiły, że udało im się rzucić cień na mój dom i moją reputację. Dlatego go wyrzuciłem. Popełniłabyś błąd, zwracając uwagę na te ohydne plotki. Chciałbym, żebyś jutro przyszła do Nampary jak zwykle.

Uniosła wzrok i popatrzyła Rossowi w oczy.

– Lepiej nie, panie. Skoro krążą takie opowieści, Bóg jeden wie, co jeszcze wymyślą.

– Nie ma co się przejmować rynsztokiem.

Była tak bardzo zawstydzona, że Rossowi zrobiło jej się żal. Zostawił ją i wrócił do Zacky’ego, do którego podeszła żona.

– Pozwól jej dojść do siebie, panie – powiedziała pani Martin. – Jeszcze jej się odmieni. Niedługo wrócę, Zacky. Idę do chaty w Reath. Bobby mówił, że Keren, żona Marka Daniela, miała wypadek.

– Co się stało?

– Spadła z dachu. Chyba złamała rękę. Pomyślałam, że pójdę i zobaczę, czy mogę jakoś pomóc. Nie przepadam za tą dziewczyną, ale powinnam tam iść, bo Mark jest w kopalni.

– Jest sama? – spytał Ross. – Pójdę z panią, jeśli Keren potrzebuje pomocy.

– Nie, panie. Bobbie mówi, że jest z nią doktor Enys.

Dwight spędził z Keren dwadzieścia minut. Szczęśliwym trafem usłyszał jej krzyki i pojawił się na miejscu wypadku jako pierwszy.

Po upadku Keren przez kilka minut leżała zemdlna, a kiedy przyszła do siebie i próbowała poruszyć ręką, omal znowu nie straciła przytomności z bólu.

Siedziała koło chaty przez całą wieczność. Pękała jej głowa, miała sucho w ustach i czuła mdłości, aż wreszcie Enys usłyszał jej wołania, przeszedł przez koryto wyschniętego potoku i zbliżył się do niej.

Mimo bólu ogarnęła ją fala szczęścia. Lekarz zaniósł ją do domu i położył na łóżku, po czym szybkimi, fachowymi ruchami zbadał jej ciało, a ona miała wrażenie, że dotykają jej dłonie kochanka, którego nie mogła się doczekać.

– Ma pani złamaną rękę – powiedział. – Kostka może trochę boleć, ale szybko odzyska pani sprawność. Teraz muszę nastawić rękę. Będzie bolało, postaram się to zrobić jak najzręczniejsz.

– Niech pan zaczyna – odparła, patrząc mu w oczy.

Miał w kieszeni bandaż i znalazł w chacie dwa kije mogące służyć jako łupki. Później dał Keren trochę brandy i nastawił rękę. Zacisnęła zęby i nawet nie jęknęła. Oczy zaszkliły jej się łzami, które popłynęły po policzkach, kiedy skończył. Wytarła je dłonią.

– Była pani bardzo dzielna – powiedział Enys. – Proszę się jeszcze napić.

Łyknęła odrobinę brandy tylko dlatego, że mogła się napić z piersiówki lekarza, i poczuła się nieco lepiej. Dwight usłyszał za drzwiami kroki, poszedł do wejścia i kazał Bobbiemu Martinowi przyprowadzić matkę. W ciągu niespełna miesiąca nauczył się, że jeśli ktoś w okolicy potrzebuje pomocy, trzeba posłać po żonę Zacky’ego Martina, która, choć miała dwanaścioro własnych dzieci, opiekowała się sąsiadami niczym matka.

Później usiadł na łóżku, obmył drugi łokieć i kostkę Keren, a następnie je zabandażował. Sprawilo jej to nieziemską rozkosz. Dostrzegłby to w jej oczach, gdyby nie zajmował się opatrunkiem. Zakończywszy pracę, rozmawiał z Keren tonem, który w ciągu ostatnich dziesięciu minut był coraz bardziej bezosobowy. W końcu zasugerował, że powinna wezwać męża z kopalni.

Uważała to za zbyt ciche, a kiedy w drzwiach pojawiła się płaska twarz i okulary żony Zacky’ego Martina, powitała ją tak słodko, że starsza kobieta zaczęła się zastanawiać, czy sąsiedzi nie ocenili żony Marka zbyt pochopnie i niesprawiedliwie.

Dwight Enys został trochę dłużej i powiedział żonie Zacky’ego Martina, co robić. Jego przystojna, młodzieńcza twarz miała poważny wyraz. Później wziął Keren za rękę i obiecał wrócić rano.

– Dziękuję, doktorze – odpowiedziała miękko dziewczyna. – Był pan niezwykle miły.

Lekko się zarumieniła.

– Okrutny, lecz tylko tak mogłem pani pomóc. Dzielnie to pani zniosła. Dziś w nocy będzie panią boleć ręka. Proszę leżeć w łóżku. Jeśli zacznie pani chodzić, może pani dostać gorączki, a wtedy choroba

potrwa dłużej.

- Jestem pewna, że wyzdrowieję – odparła Keren. – Zrobię wszystko, co pan każe.
- Bardzo dobrze. Do widzenia. Do widzenia, pani Martin.

Rozdział piętnasty

Kopalnia Grambler miała zostać zamknięta dwunastego listopada. Nadszedł mglisty i wilgotny dzień. Zanościło się na deszcz. Doktor Choake orzekł, że pogoda jest niezdrowa i powoduje napływ szkodliwych humorów. Maszyny parowej nie zatrzymano do ostatniej chwili, by wyczerpać zapasy węgla.

W kopalni pracowały trzy pompy, dwie maszyny parowe – obie zmodernizowane, lecz beznadziejnie przestarzałe po wynalezieniu przez Watta oddzielnego kondensatora skraplającego parę – oraz wielkie koło wodne o średnicy dziesięciu metrów, poruszane przez wody strumienia Mellinsey.

W południe w wielkiej maszynowni pośrodku kopalni zebrała się grupa ludzi. Przybyli Francis Poldark, nadsztygar Henshawe, sztygar Dunstan, który nadzorował prace na powierzchni, doktor Choake, dwóch głównych maszynistów, Brown i Trewinnard, a ponadto skarbnik i kilku innych urzędników. Stali, pokaszali i nie patrzyli sobie w oczy. W końcu Francis wyjął zegarek kieszonkowy.

Ramię olbrzymiego tłoka poruszało się w górę i w dół, brzęczały łańcuchy, huczało palenisko i bulgotała woda przepływająca przez skórzaną zawór. Wokół budynku biura rozciągała się kopalnia, przywołując na myśl olbrzymią niekształną bestię przyczajoną na brzegu morza. Drewniane szopy, kamienne budynki, szyby wentylacyjne osłonięte strzechami, koła wodne, sortownie rudy, kołowroty poruszane przez konie, hałdy płonnej skały, kamieni i żużlu, które gromadziły się przez wiele lat. Wokół wznosiły się chaty wioski Grambler, biegnące długimi rzędami w głąb łądu.

Francis spojrzął na zegarek.

– Cóż, panowie, przyszła pora zamknięcia naszej kopalni – powiedział, unosząc głos. – Pracowaliśmy razem przez wiele lat, ale pokonały nas przeciwności losu. Może któregoś dnia wznowimy wydobywanie i wszyscy ponownie się tu spotkamy? A jeśli nie dopisze nam fortuna, może to szczęście spotka naszych synów. Jest południe.

Wyciągnął rękę w stronę dźwigni zamykającej dopływ pary z gigantycznego kotła i pociągnął. Wielkie ramię tłoka zwolniło i znieruchomiało. Tymczasem maszynista otworzył zawór i rozległ się syk uchodzącej pary, której biały obłok unosił się przez chwilę w nieruchomym, zamglonym powietrzu. Wydawało się, że nie chce się rozproszyć.

Zapadła cisza. Maszyna parowa nie zatrzymała się po raz pierwszy: co miesiąc czyszczono kocioł, czasem zdarzały się awarie. Ale tym razem wszyscy wiedzieli, że to koniec.

Francis, ulegając nietypowemu dla siebie impulsowi, wyjął z kieszeni kawałek kredy i napisał na boku kotła jedno słowo: RESURGAM.

Później wyszli z maszynowni.

Na końcu kopalni od strony Sawle w dalszym ciągu turkotała druga, mniejsza maszyna nazywana Kitty. Nadsztygar Henshawe uniósł rękę. Obsługa zauważyła jego znak i po kilku sekundach Kitty również stanęła.

W tej chwili działała tylko pompa wodna, ale nie potrzebowała węgla i była łatwa w obsłudze, więc pozwolono jej pracować.

Ostatniej zmianie robotników kazano przyjść na dwunastą, a kiedy grupa mężczyzn szła powoli w stronę biur, z szybu zaczęli wychodzić dwójkami i trójkami górnicy, po raz ostatni niosąc oskardy, łopaty i świdry.

Ustawili się w kolejce do skarbnika i otrzymali ostatnią wypłatę. Brodaci lub ogoleni, młodzi lub w średnim wieku, chudzi lub barczyści, złani potem lub pokryci skalnym pyłem, wzięli zarobione szylingi i postawili krzyżyki w księdze wypłat.

Francis stał za skarbnikiem, zamieniał po kilka słów z niektórymi górnikami, aż wszystkim zapłacono.

Później uściśnął dłoń nadsztygarowi Henshawe'owi i samotnie wyruszył pieszo do Trenwith.

Maszyniści wrócili do maszyn, by je przejrzeć i zdecydować, które można rozebrać i sprzedać na części. Skarbnik sumował kwoty w księgach, a zarządca i szef robót powierzchniowych obchodzili budynki, by po raz ostatni sprawdzić zapasy pozostałe w kopalni. Henshawe przebrał się w stare ubranie, włożył górniczy kaszkiet i rozpoczął ostatnią inspekcję wyrobisk.

Bez żadnego trudu zszedł w dół szybu na głębokość czterdziestu sążni, a później ruszył chodnikiem w kierunku bogatszej z dwóch żył kruszcowych na poziomie sześćdziesięciu sążni.

Kiedy przeszedł około czterystu metrów, tunel zaczął biec w dół. Henshawe omijał stopy płonnej skały, schodził po drabinach i kroczył po śliskich wzniesieniach w labiryncie drewnianych stempli podpierających stropy. Przez pewien czas brodził po kolana w wodzie i wreszcie usłyszał rytmiczne uderzenia oskardów. Na przodku ciągle pracowali górnicy.

Zostało ich około dwudziestu. Jeśli uda im się zarobić jeszcze po kilka szylingów, zostaną one doliczone do ostatniej wypłaty i pomogą zmagać się z biedą, która wkrótce czeka ich rodziny.

Był tam Zacky Martin, Paul Daniel, Jack Carter, młodszy brat Jima, a także Pally Rogers. Wszyscy mieli obnażone torsy i obficie się pocili, bo na przodku było gorąco jak w upalny dzień.

– Cóż, chłopcy, przyszedłem powiedzieć, że Wielki Bill i Kitty stoją – rzekł Henshawe.

Pally Rogers uniósł wzrok i przesunął dłonią po wielkiej czarnej brodzie.

– Domyślaliśmy się, że już czas.

– Uznałem, że powinniście wiedzieć – ciągnął Henshawe.

– Zostało jeszcze parę dni – odezwał się Zacky. – Nie było dużo deszczu.

– Nie jestem pewny. To zawsze była mokra kopalnia. Jak wyciągniecie rudę na powierzchnię?

– Wschodnim szybem. Bracia Curnow uruchomią kołowrót konny. Musimy jakoś przetransportować rudę do szybu.

Henshawe zostawił ich i ruszył naprzód, aż dotarł do zalanego poziomym osiemdziesięciu sążni. Następnie wrócił, przeszedł przez wodę do uboższej zachodniej żyły i upewnił się, że nie pozostawiono nic wartościowego. Kilka zardzewiałych narzędzi, glinianą fajkę, zepsutą taczkę.

Wyszedł z kopalni dopiero o drugiej. Powitała go nienaturalna cisza. Kilku mężczyzn kręciło się obok budynków, a około dwudziestu kobiet prało ubrania w gorącej wodzie z maszyny parowej.

Henshawe wszedł do cechowni, by się przebrać, i zauważył sześciu ludzi stojących przy wejściu do szybu. Już chciał do nich krzyknąć, gdy zdał sobie sprawę, że zamierzają zmienić ludzi pracujących na dole. Wzruszył ramionami i się odwrócił. Górnicy to twardzi ludzie.

O ósmej wieczorem następnego dnia poziom wody znacznie się podniósł, lecz żyła nie była jeszcze zalana. Mark Daniel wysłał jednego z górników na powierzchnię, by powiedział następnym, że mogą ich zmienić.

Noc, ciemna i wilgotna, miała w sobie coś widmowego. Wśród budynków kopalni panowała niesamowita cisza. Zwykle w cechowni roiło się od ludzi, w maszynowniach paliły się światła, można było pogawędzić z maszynistami, porozmawiać z przyjaciółmi. Teraz budynki były puste i ciemne. Na terenie kopalni znajdowała się tylko grupa górników z dwiema latarniami.

Zgasili je, zapalili świece na kaskach i schodzili w głąb szybu: Nick Vigus, Fred Martin, John i Joe Nanfanowie, Ed Bartle oraz szesnastu innych.

O czwartej rano część żyły była już zalana. Pracowali w wodzie, bo w niższych częściach wyrobiska utworzyły się głębokie jeziorka. Mimo to ciągle dawało się je obejść po półce pod ścianą chodnika i wycofać się wschodnim szybem. Nick Vigus poszedł naprzód, by powiedzieć nowo przybyłym, jak wygląda sytuacja. Po krótkiej naradzie Zacky Martin i inni postanowili zejść na dół, by popracować jesz-

cze kilka godzin.

O siódmej obwał kamieni do jednego z jeziorok spowodował, że musieli przerwać pracę. Spędzili kolejną godzinę, przeciągając chodnikiem kilka ostatnich wiader rudy, aż wreszcie przymocowali do nich liny, by wydobyto je na powierzchnię wschodnim szybem. Później usiedli na niewielkim podwyższeniu i patrzyli, jak woda wypełnia długą czarną jaskinię, która w poprzednich miesiącach była ich miejscem pracy.

Jeden po drugim ruszyli przez labirynt starych wyrobisk i opuścili kopalnię.

Ostatni wyszedł Zacky Martin. Siedział na skraju podziemnego szybu, palił fajkę i spoglądał na wodę, która przybierała tak powoli, że prawie nie było tego widać. Przez niemal godzinę pykał fajkę, gładził się po podbródku i od czasu do czasu splotwał, bacznie obserwując poziom wody.

Mogą upłynąć długie tygodnie, nim woda zaleje całą kopalnię, lecz poziom położony na głębokości sześćdziesięciu sążni jest już stracony. A on był najlepszy.

Zacky wstał, westchnął i ruszył za pozostałymi górnikami, obok porzuconych kołowrotów, połamanych drabin, kawałków belek i stosów kamieni. Górna część kopalni przypominała plaster miodu: kręte chodniki biegły we wszystkich kierunkach, większość kończyła się ślepo w miejscach, gdzie bez powodzenia poszukiwano nowych żył rudy. Gdzieniegdzie znajdowały się pionowe sztolnie przecinające kilka poziomów oraz wielkie puste pieczary, z których stropów kapała woda.

Zacky dotarł w końcu do głównego szybu na poziomie trzydziestu sążni. Trzymając na ramieniu oskard i łopatę, po raz ostatni wspinał się po drabinach, spokojnie przechodząc z platformy na platformę, jak przystało na weterana. Znow uderzyła go cisza panująca w kopalni.

Kiedy dotarł na powierzchnię, okazało się, że pojawiła się mgła. Zacky zszedł pod ziemię o świcie, a teraz okoliczne wzgórza tonęły w białym тумanie i widział wyraźnie tylko najbliższą okolicę.

Wszyscy rozeszli się do domów. Bracia Curnow zatrzymali pompę wodną. Wokół szybu leżały stosy rudy, którą wydobyto w ciągu ostatnich dwóch dni. Należało oszacować jej wartość, lecz nikt nie miał ochoty robić tego natychmiast. Nawet gruby skarbnik gdzieś się zapodział.

Zacky odpoczywał przez kilka minut. Wreszcie wziął oskard i łopatę, by ruszyć w drogę powrotną do domu. Nagle zauważył Paula Daniela stojącego obok maszynowni.

– Chciałem się upewnić, że wyszedłeś – powiedział przepraszająco Paul, gdy Zacky się do niego zbliżył. – Długo cię nie było.

– Tak – odpowiedział Zacky. – Po prostu trochę się rozejrzałem.

Ruszyli razem w stronę Mellin.

Opuszczona kopalnia tonęła we mgle. Cisza bezwietrznego listopadowego dnia i nieobecność ludzi sprawiły, że okolica wydawała się okryta żalobnym całunem. Na ścieżce między biurami a cechownią nie chrzęściły niczyje podkute buty. Nikt nie krzyczał z okna maszynowni ani nie żartował u wylotu szybu. Wokół maszyny parowej nie krzątały się kobiety piorące ubrania w gorącej wodzie. Nie słychać było głosów plotkujących dziewcząt płuczących rudę ani huku młotów robotników, którzy zajmowali się jej kruszeniem. Z pozoru nic się nie zmieniło, ale panowała cisza. Gambler istniało, lecz nie żyło. W głębi ziemi woda stopniowo wypełniała tunele i pieczary wydrążone w ciągu ostatnich dwustu lat.

W kopalni panowała cisza, dzień był cichy, ludzie się rozeszli. Tylko gdzieś we mgle leciała mewa i piszcziała, piszcziała, piszcziała...

KSIEGA DRUGA

Rozdział pierwszy

W piątek, trzeciego kwietnia 1789 roku w wyłożonej boazerią sali jadalnej na pierwszym piętrze gospody Pod Czerwonym Lwem odbyła się aukcja rudy miedzi. Poczyniono już przygotowania do obiadu mającego jak zwykle nastąpić po zakończeniu transakcji.

W pomieszczeniu znajdowało się około trzydziestu mężczyzn, którzy siedzieli w fotelach wokół owalnego stołu na podwyższeniu w pobliżu okna. Ośmiu reprezentowało odlewnie miedzi, a pozostali byli zarządcami lub skarbnikami kopalni sprzedających rudę. Zgodnie ze zwyczajem przewodniczył zarządca kopalni mającej do zaoferowania największą partię. Tym razem rola ta przypadła Richardowi Tonkinowi.

Siedział pośrodku stołu, mając przed sobą stosiki ofert sprzedaży rudy. Po jego prawej stronie zajmował miejsce przedstawiciel odlewni, a po lewej reprezentant kopalni. Mężczyźni mieli poważne oblicza i prawie nie słyhać było radosnego przekomarzania się jak za czasów dobrej koniunktury. Tona czystej miedzi kosztowała obecnie pięćdziesiąt siedem funtów.

Kiedy zegar wybił pierwszą, Tonkin wstał i odchrząknął.

– Przystępujemy do licytacji, panowie. Nie ma innych ofert? Bardzo dobrze. Rozpoczniemy od ładunku rudy z kopalni Wheal Busy.

Dwaj mężczyźni siedzący obok Tonkina zapisywali w księdze handlowej kolejne oferty. Kilku uczestników aukcji zaszurało stopami, a skarbnik Wheal Busy wyjął notatnik. Na jego twarzy malowało się oczekiwanie.

Po chwili Tonkin uniósł wzrok.

– Ruda z kopalni Wheal Busy zostaje sprzedana odlewni Carnmore. Cena za tonę to sześć funtów siedemnaście szylingów i sześć pensów.

Zapadło milczenie. Kilku mężczyzn rozejrzało się po sali. Ross zauważył, że jeden z agentów odlewni marszczy brwi, a drugi szepce coś do sąsiada.

– Kopalnia Tresavean – ogłosił Tonkin. – Sześćdziesiąt ton.

Odczytywano kolejne oferty. Pomocnicy przewodniczącego zapisywali w księdze ich wysokość. Po chwili Tonkin odchrząknął.

– Ruda z kopalni Tresavean zostaje sprzedana odlewni Carnmore. Cena za tonę to sześć funtów i siedem szylingów.

Przedstawiciel South Wales Copper Company nosił nazwisko Blight. Uniósł się z miejsca.

– Jaką nazwę pan wymienił, panie Tonkin?

– Tresavean.

– Mam na myśli nazwę kupującego.

– Odlewnia Carnmore, Carnmore Copper Company.

– Och – westchnął Blight. Zawahał się i usiadł.

Tonkin ponownie wziął listę i wrócił do prowadzenia licytacji.

– Wheal Leisure – rzekł po kilku minutach. – Partia czerwonej miedzi, czterdzieści pięć ton.

Mężczyźni siedzący po prawej stronie Tonkina pochylił się i spojrział na oferty.

– Ruda z kopalni Wheal Leisure zostaje sprzedana odlewni Carnmore. Cena za tonę to osiem funtów i dwa szylingi.

Kilku mężczyzn popatrzyło na Rossa, który wbił wzrok w końcówkę swojej szpicruty i wygładził postrzępioną skórę. Na dziedzińcu stajenny przeklinał konia.

Mężczyźni siedzący przy stole rozmawiali przez chwilę, po czym Tonkin odczytał nazwę następnej kopalni. Wreszcie się uciszyło.

– United Mines – rzekł. – Trzy partie rudy, każda po pięćdziesiąt ton.

Zapisy w księdze.

– United Mines – podjął Tonkin. – Pierwsza partia dla odlewni Carnmore po siedem funtów i jeden szyling za tonę. Druga partia dla odlewni Carnmore po sześć funtów dziewiętnaście szylingów i sześć pensów za tonę. Trzecia partia dla South Wales Smelting Company po pięć funtów dziewięć szylingów i dziewięć pensów za tonę.

Blight znów wstał, ze skurczoną ze złości twarzą. Wyglądał jak terier, którego przez dłuższy czas szczuto.

– Niezmiernie mi przykro, że przerywam, szanowny panie, ale nigdy nie słyszałem o przedsiębiorstwie odlewniczym o nazwie Carnmore Copper Company.

– Och, mam pewność, że ta firma istnieje – odparł Tonkin.

– Od jak dawna? – spytał inny mężczyzna.

– Nie mogę powiedzieć.

– Jakże ma pan dowody, że to wiarygodne przedsiębiorstwo?

– Bardzo szybko się o tym przekonamy.

– Nie wcześniej niż w przyszłym miesiącu, gdy nadejdzie pora zapłaty – rzucił Blight. – Może się wtedy okazać, że zostanie pan z rudą.

– Tak, tak! Albo ktoś ją odbierze i nie zapłaci!

Tonkin znów wstał.

– Myślę, panowie, że nie powinniśmy brać pod uwagę ostatniej możliwości. Osobiście uważam, że jako przedstawiciele kopalni nie powinniśmy obrażać nowego klienta, podając w wątpliwość jego dobrą wiarę. W naszej branży pojawiały się już nowe przedsiębiorstwa. Zawsze traktowaliśmy je dobrze i nie doznaliśmy zawodu. Zaledwie pięć lat temu powitaliśmy w naszym gronie South Wales Copper Smelting Company i stała się ona jednym z największych nabywców rudy.

– Po głodowych cenach... – wtrącił ktoś półgłosem.

Blight znowu zerwał się z miejsca.

– Chciałbym przypomnieć panu Tonkinowi, że kiedy pojawiliśmy się na rynku, poręczyły za nas dwie inne firmy i dysponowaliśmy gwarancją Banku Warlegganów. Kto udziela gwarancji temu przedsiębiorstwu?

Nikt nie odpowiedział.

– Kto jest jego przedstawicielem? – spytał ostro Blight. – Musiał się pan z kimś kontaktować. Jeśli znajduje się na tej sali, niechaj się przyzna.

Panowało milczenie.

– Ach – odezwał się Blight. – Właśnie tak myślałem.

– Ja jestem przedstawicielem odlewni Carnmore – rozległ się głos za jego plecami. Blight odwrócił się i spojrzał na niskiego, niedbale odzianego mężczyznę stojącego w rogu obok okna. Miał szarobłękitne oczy, piegi na grzbiecie wydatnego, inteligentnego nosa i uśmiechnięte usta. Nie nosił peruki, a jego rudosiwe włosy były krótko ostrzyżone jak u robotnika.

Blight obejrzał go od stóp do głów. Zrozumiał, że ma do czynienia z człowiekiem z niższej klasy społecznej.

– Jak się nazywacie, dobry człowieku?

– Martin.

– I co tu robicie?

– Jestem agentem Carnmore Copper Company.

– Nigdy o niej nie słyszałem.

– Cóż, to dla mnie niespodzianka. Pan prezes przyszedł tu o pierwszej i rozmawiał o interesach.

Jeden z agentów odlewni siedzących obok Tonkina wstał.

– W jakim celu kupuje pan na aukcji tak duże ilości rudy miedzi?

– Zamierzamy zajmować się tym samym co pańska firma – odpowiedział z szacunkiem Zacky. – Przerabiać rudę, odlewać miedź i sprzedawać ją na wolnym rynku.

– Rozumiem, że reprezentuje pan niedawno utworzone przedsiębiorstwo?

– W istocie.

– Kim są pańscy mocodawcy? Kto dostarcza środków finansowych?

– Carnmore Copper Company.

– Tak, ale to tylko nazwa – przerwał Blight. – Kim są ludzie, którzy tworzą i kontrolują tę spółkę?

Znając odpowiedź, będziemy wiedzieć, z kim mamy do czynienia.

Zacky Martin miał w dłoniach czapkę.

– Uważam, że to oni powinni zdecydować, czy ujawnić swoje nazwiska. Jestem tylko agentem, podobnie jak panowie, i uczestniczę w aukcji w imieniu właścicieli spółki. Kupują rudę, by ją przerobić i odlać miedź, podobnie jak panowie.

Harry Blewett nie mógł dłużej usiedzieć.

– Czy znamy nazwiska udziałowców South Wales Smelting Company, Blight?

Blight spoglądał na niego przez chwilę, mrugając.

– Stoi pan za tą intrygą, Blewett?

– Nie, proszę najpierw odpowiedzieć na pytanie! – zawołał inny zarządca kopalni.

Blight odwrócił się w jego stronę.

– Doskonale pan wie, że pojawiliśmy się na rynku, mając pełne gwarancje naszych przyjaciół. Nie chodzi o naszą reputację i...

– Ich reputacji też nie należy kwestionować. Jeśli nie wywiążą się ze zobowiązań, wtedy będzie pan mógł ich krytykować!

Tonkin uderzył w blat stołu.

– Panowie, panowie, nie powinniśmy się zachowywać w ten sposób...

– Kiedy kontrolowali próbki rudy, Tonkin? – spytał Blight. – Nie wtedy, gdy robili to inni agenci. To zmowa. Kiedy sprawdzaliśmy jakość rudy, nie było wśród nas nikogo obcego.

– Pomyliłem daty – odparł Zacky. – Przyszedłem następnego dnia i łaskawie pozwolono mi obejrzeć rudę. Nie miało to nic wspólnego z kopalniami.

– To nieuczciwe, panie Tonkin. Doszło do intrygi...

– Wręcz przeciwnie! – przerwał Aukett, wykrzywiając twarz z podniecenia. – Nie ma w tym niczego złego! Niektórym osobom obecnym na tej sali można by zarzucić o wiele groźniejszą znowę...

– Kim pan jest...

– Bardzo przepraszam – przerwał cicho Zacky i zgromadzeni stopniowo umilkli, by go wysłuchać. – Bardzo przepraszam, panie Blight. Również inni dżentelmeni wydają się nieco wytrąceni z równowagi moimi działaniami. Nie chciałbym sprawiać panom kłopotów ani utrudniać prowadzenia interesów. Chciałbym, by wszystko odbywało się uczciwie i w przyjacielskiej atmosferze. Ja i moi przyjaciele zamierzamy założyć niewielką odlewnię, więc postanowiliśmy kupić dziś trochę rudy, by mieć odpowiednie zapasy.

– Odlewnię? Gdzie?

– Ale nie chcielibyśmy narażać innych przedsiębiorstw na trudności. W żadnym razie. Nie mamy takich zamiarów. Tak się składa, że kupiliśmy dziś sporo rudy, więc sędzę, że moglibyśmy odsprzedać kilka partii przedsiębiorstwom, które byłyby zainteresowane zakupem. Byłby to z naszej strony przyja-

cielski gest świadczący o naszej dobrej woli. Po cenach, które dziś wylicytowałem, bez żadnego zysku. Będę na następnej aukcji i wtedy kupię więcej.

Ross zauważył, że wyraz twarzy Blighta się zmienił. Jeden z agentów zaczął coś mówić, lecz Blight mu przerwał:

– Więc o to chodzi, tak? Coraz bardziej wygląda to na znowę. Sprytną intrygę, by podnieść ceny i postawić uczciwych kupców w trudnej sytuacji! Nie, mój dobry człowieku, ty i twoi przyjaciele, a bez wątpienia część z nich jest dziś na tej sali, musicie wymyślić jakiś inny podstęp, by oszukać takich wytrawnych kupców jak my. Zatrzymajcie swoją rudę, zawieźcie ją do nowej odlewni i zapłaćcie za nią pod koniec miesiąca, bo inaczej następnego dnia rzucą się na was wszyscy zarządcy kopalni!

Johnson wstał z miejsca, o mało nie uderzając wielką głową w belkę powały.

– Wypraszamy sobie takie uwagi, Blight! Jeśli zabraknie pieniędzy, nie będziemy żebrać o nie u ciebie!

Richard Tonkin znów uderzył w stół.

– Zakończmy aukcję.

Tym razem postawił na swoim i na sali panowała cisza, dopóki nie sprzedano całej rudy. Mniej więcej dwie trzecie – surowiec najwyższej jakości – zakupiła Carnmore Copper Company. Koszt wynosił około pięciu tysięcy funtów.

Później wszyscy zasiedli do wieczerzy.

Była to pierwsza prawdziwa bitwa między kopalniami a odlewniami. Agenci kopalni rozmawiali ze sobą po kątach, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Odlewnie miedzi kupowały od nich rudę i nie należało z nimi zadzierać.

Zacky Martin siedział w pewnej odległości od Rossa. Raz pochwycili swoje spojrzenia, lecz nie zdradzili, że się znają.

Rozmawiano mniej niż zwykle. Goście mówili ściszonymi głosami i z pewnym skrępowaniem. Jednak wino rozluźniło atmosferę i sprawiło, że na razie zapomniano o sporze (i głębokich podziałach stanowiących przyczynę sporu). Nie dyskutowano o tym, co dzieje się za granicą. Anglia miała własne, bardzo poważne problemy. Kraj dochodził do siebie po najgorszej zimie, jaką pamiętali najstarsi ludzie – zarówno pod względem warunków życia, jak i pogody. W styczniu i lutym cała Europa była skuta lodem. Przez długie tygodnie nawet w Kornwalii panował mróz i wiały zimne wschodnie wiatry. Teraz, w kwietniu, gdy najgorsze minęło, ludzie myśleli o przyjemniejszych rzeczach. O lecie i perspektywie lepszego życia. Nikt nie dostrzegał oznak poprawy, lecz przynajmniej zaczęła się wiosna.

Agent jednej ze starszych odlewni miedzi, barczysty, szorstki mężczyzna nazwiskiem Voigt, opowiedział o rozruchach, które wybuchły w Bodmin w zeszłym tygodniu.

– Znalazłem się tam przez przypadek – rzekł. – Przejeżdżałem przez miasto dyliżansem. To cud, że żyję, zapewniam panów. Zatrzymali dyliżans, nim dotarł do gospody, bo słyszeli, że w środku jest handlarz zbożem. Na szczęście z nami nie jechał, ale potraktowali nas bardzo brutalnie. Bezceremonialnie wyciągnęli nas na drogę i zniszczyli dyliżans. Potłukli szyby, porąbali drewno. Dwóch łajdaków rozbiło młotami koła. Miałem szczęście, że nie nosiłem bogatego stroju, więc nie wzięli mnie za człowieka, którego szukali, ale brutalnie potraktowali kupca z Helston, nim zrozumieli, że się pomylili. Kamień spadł mi z serca, gdy w końcu nas puścili.

– W mieście było dużo zniszczeń?

– O tak, ale niewielkich. Pobito ludzi, którzy chcieli powstrzymać plądrowanie. Kiedy do akcji wkroczyło wojsko, tłum stawiał opór i doszło do regularnej bitwy.

– Niektórzy zawisną za to na stryczku – rzekł Blight. – Trzeba dać nauczkę tym łotrom.

– Aresztowano pięćdziesięciu – powiedział Voigt. – Więzienie jest przepełnione.

Ross po raz drugi tego dnia spojrzął Zacky'emu w oczy. Obaj pomyśleli o Jimie Carterze, który miał wkrótce zostać zwolniony. Więzienie już wcześniej było zatłoczone.

Ross nie spojrzął już na Zacky'ego, a po obiedzie nie rozmawiał z Richardem Tonkinem, Blewettem ani Johnsonem. Obserwowałyby ich ciekawe oczy.

Po opuszczeniu gospody poszedł porozmawiać z Harrisem Pascoe'em. Bankier wstał na powitanie i nieśmiało spytał, jak przebiegła aukcja.

– W przyszłym miesiącu otrzyma pan do wykupu weksle na jakieś cztery tysiące osiemset funtów wystawione przez odlewnię Carnmore.

Pascoe zacisnął wargi.

– Kupiliście więcej, niż planowaliście?

– Kupiliśmy tyle rudy, ile się dało, dopóki cena jest niska. Kiedy zrozumieją, że stanowimy poważną konkurencję, będą próbowali nas przelicytować. Z tymi zapasami mamy spokój na kilka miesięcy.

– Zadawano jakieś pytania?

Ross opisał przebieg aukcji. Pascoe nerwowo miał palcami poplamiony tabaką halsztuk z jedwabiu. Uczestniczył w przedsięwzięciu jako bankier, lecz nie lubił konfliktów. Był spokojnym człowiekiem wykorzystującym pieniądze w szlachetnych celach i nie miał ochoty walczyć z ludźmi pozbawionymi szlachetności. Traktował pieniądze w sposób akademicki: jako sumowanie liczb, zamykanie bilansów. Najbardziej lubił matematyczną stronę swojego fachu. Chociaż popierał ideę utworzenia odlewni Carnmore, niepokoił się, że cała sprawa stanie się kłopotliwa i zburzy jego spokój.

– Cóż, to pierwsza reakcja agentów i innych płotek – rzekł w końcu. – Wyobrażam sobie, że ich pryncypałowie wyrażą swoje niezadowolenie w sposób bardziej subtelny. Wszystko rozstrzygnie się w czasie następnej aukcji rudy miedzi. Wątpię, czy znów dojdzie do otwartych protestów.

– Najważniejsze to zachować wszystko w tajemnicy – powiedział Ross. – Nazwiska niektórych udziałowców wkrótce wyjdą na jaw, ponieważ Zacky Martin mieszka w moim majątku, a odlewnia powstaje w posiadłości Trevaunance'a.

– Dziwne, że tak długo udało się utrzymać w sekrecie budowę odlewni.

– Wszystkie części przywieziono statkiem i zmagazynowano w starych piwnicach na sardynki, a sir John opowiadał, że to nowe maszyny do jego kopalni.

Pascoe wziął arkusz papieru i napisał gęsim piórem dwie krótkie notatki. Był to pierwszy rachunek Carnmore Copper Company i bankier umieścił w nim dane spółki. Zaczął od listy głównych udziałowców:

Lord Devoran

Sir John Michael Trevaunance, baronet

Alfred Barbary, dżentelmen

Ray Penvenen, dżentelmen

Ross Vennor Poldark, dżentelmen

Peter St Aubyn Tresize, dżentelmen

Richard Paul Cowdray Tonkin

Henry Blewett

William Trencrom

Thomas Johnson

Imponująca lista. Kapitał założycielski spółki wynosił dwadzieścia tysięcy funtów, z czego dwanaście tysięcy wpłacono, a reszta stanowiła rezerwę. Przedsiębiorstwo miało się również zajmować zaopatrywaniem kopalń w sprzęt górniczy, co powinno zapewnić stałe, dodatkowe wpływy niezwiązane z głównym obszarem działalności.

Pascoe zdawał sobie sprawę, że istnieją ludzie, którzy bardzo chcieliby obejrzeć ten arkusz papieru. Powinien spoczywać w bezpiecznym miejscu. Wstał i podszedł do sejfu w rogu pokoju.

– Napije się pan z nami herbaty, kapitanie Poldark? Moja żona i córka oczekują pana.

Ross podziękował za zaproszenie, lecz odmówił.

– Proszę mi wybaczyć, ale od dawna marzę o powrocie do domu o normalnej godzinie. Przez całą zimę nieustannie jeździłem konno. Moja żona się skarży, że prawie mnie nie widuje.

Pascoe uśmiechnął się łagodnie, przekręcając klucz w zamku sejfu.

– Skargi żony to coś, co warto brać sobie do serca. Szkoda, że pański kuzyn Francis nie został udziałowcem przedsiębiorstwa.

– Ma zbyt wielkie zobowiązania wobec Warlegganów. Prywatnie nam sprzyja.

Bankier kichnął.

– Na początku tego tygodnia miała u nas przenocować Verity. Wydaje się, że jej zdrowie się poprawiło, prawda?

– Ona i Francis znieśli zamknięcie kopalni lepiej, niż się spodziewałem.

Pascoe odprowadził Rossa do drzwi.

– Domyślam się, że pan słyszał o nowych plotkach związanych z panną Verity?

Ross się zatrzymał.

– Nic nie słyszałem.

– Może nie powinienem o tym wspominać, ale pomyślałem, że chciałby pan je znać. Pan i Verity zawsze byliście bliskimi przyjaciółmi.

– Co to za plotki? – spytał niecierpliwie Ross. Pascoe nie wiedział, dlaczego jego klient tak bardzo nienawidzi tego słowa.

– Ach, to ma związek z tym kapitanem Blameyem. Kilka osób wspomniało, że znowu się spotykają.

– Verity i Blamey? Kto to panu powiedział?

– Proszę zapomnieć, że o tym wspomniałem. Nie chcę rozpowszechniać niesprawdzonych pogłosek.

– Dziękuję za informacje – odparł Ross. – Postaram się je sprawdzić.

Rozdział drugi

Jadąc do domu, nie mógł się uspokoić. Półtora roku wcześniej uważał się za szczęśliwego człowieka i pragnął, by ten stan trwał jak najdłużej. W tej chwili nie był niezadowolony, lecz zbyt niespokojny, wytracony z równowagi. Każdy dzień bezlitośnie zmierzał do następnego, wszystkim rządziły przyczyna i skutek, oczekiwanie i rezultat, przygotowanie i wynik. Przypadkowa uwaga rzucona do Blewetta dziewięć miesięcy wcześniej sprawiła, że Ross znalazł się w labiryncie nowych doświadczeń.

Verity i Blamey? Arogancki mężczyzna, którego Ross widział nazajutrz po chrzcinach Julii, absolutnie nie pasował do łagodnej, opanowanej Verity. To niemożliwe. Wymyśliła to jakaś stara, złośliwa jędra. Jest w tym tyle samo prawdy co w obraźliwych uwagach Juda na temat dziecka Jinny.

Nie mógł się pogodzić z Paynterami. Demelza niekiedy odwiedzała Prudie, ale to wszystko. Jud od czasu do czasu pracował dla Trencroma, który zawsze potrafił wykorzystać pozbawionego skrupułów człowieka o umiejętnościach żeglarskich. Poza tym krążył po gospodach i wygłaszał kazania o ludzkich grzechach.

Jeśli chodzi o Gimlettów, okazali się świetnymi służącymi. Tędy i dobroduszni, krążyli po domu i majątku. Często pracowali dla czystej przyjemności. Po Bożym Narodzeniu Jinny wróciła do Nampary. W końcu sama o to poprosiła. Zdrowy rozsądek i brak pieniędzy pokonały nieśmiałość.

Ross nie widział się z Jimem, choć przez całą zimę myślał o pojechaniu do Bodmin z Dwightem Enysem. Całkowicie go pochłonęła budowa odlewni miedzi. Wiele razy żałował, że nie może się wycofać. Nie miał dość taktu i cierpliwości, by zdobyć poparcie ludzi dysponujących dużymi majątkami, podtrzymać ich zaangażowanie i schlebiać ich próżności. Pomoc Richarda Tonkina okazała się bezcenna. Bez Richarda Tonkina ponieśliby klęskę.

Ale bez Rossa przedsięwzięcie również zakończyłoby się fiaskiem, choć on sam nie zdawał sobie z tego sprawy. Stał się w dużej mierze motorem projektu, siłą nadającą mu impet. Ludzie akceptowali jego rolę, mimo że gdyby chodziło o kogoś innego, pytaliby: „Co on na tym zyska?”.

Cóż, firma powstała, działała i była gotowa do walki. Skończyła się zima, mężczyźni i kobiety jakoś ją przeżyli (większość), a dzieci płakały i również przeżyły (niektóre). Przepisy utrudniały mieszkańcom opuszczanie własnego okręgu – aby nie stali się ciężarem dla innych parafii – lecz część powędrowała na wybrzeże, do Falmouth i Plymouth, lub szukała nędznie płatnej pracy w miastach położonych w głębi łądu. Szybki wzrost liczby ludności okręgów górniczych został zahamowany w ciągu jednego roku.

Król postradał rozum, walczył ze swoimi strażnikami, był przez nich źle traktowany i darł kotary. Pitt, pozbawiony protektora, zamierzał się wycofać ze służby publicznej, pogodził się z kaprysmi losu i zastanawiał się nad karierą adwokacką. Księżę Walii wrócił z Brighton w towarzystwie hamującej jego dziwactwa pani Fitzherbert, by objąć funkcję regenta, co spotkało się z beczelną opozycją młodego Pitta.

Król wyzdrowiał na tyle szybko, by pokrzyżować nadzieje syna, toteż wszystko wróciło do pierwotnego stanu, choć niechęć króla Jerzego do wigów była mniejsza od niechęci do własnej rodziny.

Hastings stanął wreszcie przed sądem, a duchowny o nazwisku Cartwright wynalazł niezwykle urządzenie: krosno napędzane przez maszynę parową.

„Sherborne Mercury” pisał, że w Ameryce powstało nowe państwo i nowy naród liczący cztery miliony ludzi, w tym milion Murzynów, który kiedyś może się stać potęgą. W zimie Prusy zlikwidowały wolność prasy i zawarły sojusz z Polską, by osłaniać swoje tyły w razie ataku na Francję. Francja trwała w beczynności. Króla i dworzan ogarnął paraliż, a tymczasem na ulicach ludzie umierali z głodu.

Zimą Wheal Leisure radziła sobie dość dobrze, choć pieniądze zarobione przez Rossa szybko się roz-

chodzący, głównie na finansowanie odlewni Carnmore. Część poszła na zakup konia dla Demelzy, a ponadto Ross zachował dwieście funtów na nieprzewidziane wydatki.

Kiedy zbliżał się do wioski Grambler, zauważył, że idzie ku niemu Verity.

– Ach, Ross, cóż za spotkanie! – powiedziała. – Odwiedziłam Demelzę. Skarży się, że ją zaniedbujesz. Długo rozmawialiśmy. Pewnie siedziałybyśmy do wieczora, gdyby Garrick nie przewrócił kikutem ogona tacy z herbatą, co obudziło Julię z popołudniowej drzemki. Gawędziłyśmy jak dwie handlarki ryb czekające na zakończenie połowu.

Ross popatrzył ze zdziwieniem na stryjeczną siostrę. Miała błyszczące oczy, mówiła z ożywieniem. Zsiadł z konia, pełen niepokoju.

– Co knułyście w moim domu dziś po południu?

Pytanie było tak trafne, że Verity się zarumieniła.

– Pojechałam sprawdzić, czy kolporter „Sherborne Mercury” dostarczył wam zaproszenie, podobnie jak nam. Ciekawość, mój drogi. Kobiety nigdy nie są zadowolone, jeśli nie wiedzą, co się dzieje u sąsiadów.

– I przywiózł?

– Tak.

– Zaproszenie na co?

Verity poprawiła kosmyk włosów.

– Cóż, kuzynie, list czeka na ciebie w domu. Nie chciałam o nim wspominać, ale mnie zaskoczyłeś.

– Więc zaskocz mnie do końca, żebym wiedział, o co chodzi.

Verity popatrzyła Rossowi w oczy i się uśmiechnęła.

– Cierpliwości, mój drogi. Teraz to sekret Demelzy.

Ross prychnął.

– Nie widziałem Francisa ani Elizabeth. Wszystko z nimi w porządku?

– „W porządku” to niedobre określenie, mój drogi. Francis ma tyle długów, że chyba nigdy się z nich nie wygrzebie. Ale przynajmniej odważył się przestać przyjmować zaproszenia George’a Warleggana. Elizabeth... cóż, Elizabeth jest wobec niego bardzo wyrozumiała. Moim zdaniem jest rada, że Francis spędza więcej czasu w domu, ale wolałabym... Może jej cierpliwość odnosiłaby lepszy skutek, gdyby okazywała więcej zrozumienia? Można być miłym, ale nie okazywać współczucia. Ja... Może to niesprawiedliwe. – Na twarzy Verity nagle pojawiła się troska. – Nie staję po stronie Francisa, bo to mój brat. Tak naprawdę to wszystko jego wina... a przynajmniej tak się wydaje... trwonił pieniądze, kiedy je miał... Gdyby w dalszym ciągu dysponował sumami, które przepuścił, mógłby jeszcze przez jakiś czas finansować kopalnię...

Ross wiedział, dlaczego Francis unika Warlegganów i pije w domu. Margaret Cartland zorientowała się, że jest bez grosza, i w końcu go rzuciła.

– Demelza będzie miała do mnie pretensje, że cię zatrzymuję, Ross. Ruszaj w drogę, kochany. Musisz być zmęczony.

Przez chwilę trzymał rękę na ramieniu Verity i spoglądał jej w oczy.

– Zmęczony słuchaniem ludzi, którzy mówią o swoich kopalniach i cenie miedzi. Rozmowy z tobą są ciekawsze i nigdy się nimi nie męczę. Dziel się swoimi sekretami z Demelzą i uciekaj, nim wrócę do domu.

Verity znów się zarumieniła.

– Doprawdy, Ross, odwiedzam Namparę pod twoją nieobecność, bo uważam, że Demelza może się czuć samotna, a wracam do domu przed twoim przyjazdem, ponieważ sądzę, że chciałbyś być z nią sam na sam. Obrażasz mnie.

Roześmiał się.

– Niechaj Bóg ma cię w swojej opiece! Na pewno nie!

Ruszył naprzód. Tak, Verity się zmieniła. Już dwa razy o mało nie wspomniał o Blameyu i dwa razy zrezygnował z tego pomysłu. Teraz był z tego zadowolony. Jeśli coś w tym jest, nie powinien o tym wiedzieć. Już raz dźwigał odpowiedzialność wynikającą z wiedzy.

Przyjrzał się kopalni Gambler, gdy ją mijał. W budynku biura wybito kilka szyb, a na kamiennej ścieżce wyrosły kępy chwastów. Wszystkie elementy wykonane z metalu pokryła warstwa brązowej rdzy. Trawa wokół kopalni miała dziwny jaskrawozielony kolor, gdzieniegdzie widać było góry nawianego piasku. Dzieci zrobiły prymitywną huśtawkę z kawałka starej liny i powiesiły ją na belce płuczkarni. W pobliżu maszynowni pasło się spokojnie kilkanaście owiec.

Ruszył dalej, dotarł do granicy swojej posiadłości i zjechał w dolinę. Z daleka usłyszał Demelzę grającą na szpinecie. Dźwięki muzyki miały przyjemne, melancholijne brzmienie. Na drzewach zawiązały się zielone pąki, pojawiły się bazie, a w mokrej trawie kwitło kilka pierwiosnków. Muzyka wydawała się srebrną nicią wplecioną w wiosnę.

Postanowił zrobić żonie niespodziankę i uwiązał Czarnulkę przy mostku na strumieniu. Ruszył pieszo do dworu i wszedł niezauważony do sieni. Drzwi do salonu były otwarte.

Demelza siedziała przy szpinecie w białej muslinowej sukni ze szczególnym wyrazem twarzy, który zawsze pojawiał się w czasie gry – wyglądała, jakby za chwilę miała ugryźć jabłko. Przez całą zimę pobierała lekcje od starszej kobiety, która niegdyś była niańką pięciu sióstr Teague. Pani Kemp przychodziła raz w tygodniu i Demelza zrobiła ogromne postępy.

Ross wślizgnął się do pokoju. Grała melodię z jednej z oper Thomasa Arne’a. Słuchał przez kilka minut, ciesząc się muzyką i spokojem. Właśnie po to wrócił do domu.

Przeszedł cicho przez salon i niespodziewanie pocałował Demelzę w szyję.

Pisnęła, przerywając grę.

– Naciskasz zły klawisz, a potem siup i trup! – rzekł Ross głosem Juda.

– Jezu! Przestraszyłeś mnie, Ross! Wszyscy mnie straszą. Nic dziwnego, że jestem kłębkim nerwów. Podkradłeś się jak kot. To coś nowego.

Chwycił ją za ucho.

– Kto wpuścił do salonu Garricka, żeby tłukł nasz nowy serwis Wedgwooda? Twój pies, jeśli można go tak nazwać, jest wielki jak ciele...

– A więc widziałeś się z Verity? Mówiła ci o... o...

Popatrzył na jej ożywioną, pełną oczekiwania twarz.

– O czym?

– O zaproszeniu!

– Nie. Jakim zaproszeniu?

– Ha! – Wstała zadowolona i podbiegła do okna. – Na razie to tajemnica. Powiem ci jutro. Albo pojutrze. Zgadzasz się?

Rozejrzał się uważnie po pokoju i natychmiast zauważył zwinięty arkusz papieru pod słojem z korzeniami stojącym na stole.

– To jest to zaproszenie?

– Nie, Ross! Nie czytaj go! Zostaw! – Pobiegnęła w stronę stołu i oboje dotarli do niego jednocześnie. Mocowali się, śmiali, palce Demelzy dotknęły dłoni Rossa. Pergamin przedarł się na dwie części i każde z nich trzymało połowę.

– Och, zniszczyliśmy je! – zawołała Demelza.

Ross zaczął czytać:

– Z okazji Narodowego Jego Królewskiej Mości i burmistrz wydają...
– Stój! Stój! – przerwała Demelza. – W środku jest moja część! Zacznij od początku.
– Z okazji Narodowego...
– Święta Dziękczynienia, aby uczcić powrót do zdrowia Jego... Teraz twoja kolej.
– Królewskiej Mości, w dniu dwudziestego trzeciego kwietnia, lord...
– ...namiestnik Kornwalii, szeryf królewski, członkowie rady miejskiej...
– ...i burmistrz Truro wydają wielki bal w Assembly Rooms...
– ...który rozpocznie się o godzinie dziewiątej wieczorem, poprzedzony przez...
– ...ogniska i radosne zabawy. – Ross spojrział na swoją część pergaminu. Kapitan Poldark są zaproszeni.

– I pani! – zawołała Demelza. – Kapitan i pani Poldark są zaproszeni.

– Na mojej części nie ma nic takiego – zaprotestował Ross.

– Patrz! Patrz! – Podbiegła do niego i przyłożyła urwany fragment pergaminu do jego kawałka. –

I pani, widzisz?! Tym razem oboje jesteśmy zaproszeni!

– Każde z nas ma zabrać własny kawałek? – spytał Ross. – Nie wpuszczą cię, widząc tylko słowo „pani”. To zbyt niejasne.

– Nie dziwię się, że zrobili cię zarządcą odlewni. Każdego byś przegadał.

– Tak czy inaczej, zaproszenie jest w tej chwili bezużyteczne – odparł Ross, po czym wykonał ruch, jakby chciał wyrzucić swoją część do kominka.

– Nie, Ross, nie! – Demelza chwyciła rękę Rossa i próbowała go powstrzymać. Po chwili jego nastrój się zmienił. Przestał się mocować, przytulił ją do siebie i pocałował.

Demelza nagle umilkła, oddychając szybko jak zwierzę, które zrozumiało, że znalazło się w potrzasku.

– Nie powinieneś tego robić, Ross – powiedziała. – Nie w ciągu dnia.

– Ile porcelany potłukł Garrick?

– Och... tylko dwa spodki.

– A ile filiżanek?

– Chyba jedną... Ross, pojedziemy na bal?

– Kto go tu wpuścił?

– Moim zdaniem sam się wkradł. Wiesz, jaki jest Garrick. Nie można go powstrzymać. Siedzi na dworku i nagle wskakuje do środka. – Wiła się w objęciach Rossa, lecz tym razem trzymał ją mocno. Jej zarumieniony policzek znalazł się obok jego nosa i przycisnął go do przyjemnie pachnącej skóry żony.

– A co z Verity? Przyniosła jakieś wiadomości? – spytał.

– Czy jestem mleczem, żebyś mnie wachał? – spytała Demelza. – A może marchewką, która wisi... wisi...

– Przed nosem osła? – Ross wybuchnął zaraźliwym śmiechem i Demelza również się roześmiała.

Usiedli na ławie i chichotali.

– Włożę zielono-fioletową suknię – powiedziała Demelza. – Tę, którą miałam na sobie w Trenwith na Boże Narodzenie dwa lata temu. Chyba nie jestem jeszcze za gruba.

– Ja włożę używaną perukę z lokami na czole, czerwone pończochy i zielony jedwabny surdut haftowany w polne myszy.

Demelza znów zachichotała.

– Myślisz, że wpuszczą nas jako pana i panią Poldark?

– Albo dwa końce osła – odpowiedział. – Rzucimy losy, kto ma być ogonem.

Kilka minut później w drzwiach pojawiła się pulchna, mała twarz Jane Gimlett. Ross i Demelza siedzieli na ławie i uśmiechali się do niej.

– Och, bardzo przepraszam – rzekła pośpiesznie. – Nie wiedziałam, że pan wrócił. Myślałam, że coś się stało.

– Mamy zaproszenie na bal i przypadkiem je podarliśmy – wyjaśnił Ross. – Jeden kawałek jest tu, a drugi tam. Zastanawiamy się, co zrobić.

– Och, panie, przykleiłabym oba kawałki do starej gazety klejem z mąki. Bez tego nikt nic nie zrozumie.

Popatrzyli na siebie i się roześmiali, jakby Jane Gimlett powiedziała coś bardzo zabawnego.

Tego wieczoru przed pójściem spać Ross zwrócił się do Demelzy:

– Teraz, gdy już się pogodziliśmy, powiedz mi, czy Verity wspominała niedawno o kapitanie Blameyu?

Pytanie wytrąciło Demelzę z równowagi. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia.

– Dlaczego pytasz?

– Krążą plotki, że się z nim spotyka!

– Doprawdy? – Demelza westchnęła.

– Co ty na to? – spytał po chwili milczenia.

– Nie chciałabym o tym mówić, Ross. Nie chcę powiedzieć, że się z nim nie spotyka, i nie chcę powiedzieć, że się spotyka.

– Krótko mówiąc, nie chcesz nic powiedzieć.

– Cóż, jeśli dowiedziałam się czegoś w sekrecie, nie powinnam tego powtarzać nawet tobie.

Ross się zastanawiał.

– Ciekawe, w jaki sposób znowu się z nim spotkała. To wyjątkowo niefortunne.

Demelza nie odpowiedziała, ale skrzyżowała palce w ciemności.

– To nie może być nic poważnego – ciągnął niepewnie. – Ponury awanturnik... Verity byłaby szalona, gdyby podtrzymywała tę znajomość, choćby liczyła na znalezienie męża. Jeśli Francis się dowie, znowu zaczną się kłopoty.

Demelza w dalszym ciągu milczała, lecz tym razem skrzyżowała nogi.

– Kiedy o tym usłyszałem, uznałem, że to nieprawda. Nie chciało mi się wierzyć, że Verity mogłaby być tak nierozsądna. Nic nie mówisz.

– Jeśli po tylu latach ciągle się kochają, nie powinni ze sobą zrywać – odpowiedziała cicho Demelza.

– Cóż, skoro nie możesz mi powiedzieć, co się dzieje, nie ma na to rady – odparł po chwili Ross. – Nie będę udawał, że nie czuję niepokoju. Jestem rad, że to nie ja ich skojarzyłem. Bardzo współczuję Verity.

– Tak, Ross – rzekła Demelza. – Wiem, co czujesz. Jestem okropnie senna. Mogę już iść spać?

Rozdział trzeci

Padało przez całą noc, ale o ósmej niebo się przejaśniło i z południowego zachodu zaczął wiać lekki, świeży wietrzyk. Mark Daniel spędził cały ranek w ogrodzie i o wpół do pierwszej wszedł do chaty, by zjeść obiad i przygotować się do pójścia do kopalni. Keren zrobiła zapiekankę z mięsa z dwóch króliczych udźców, które kupiła od pani Vigus, i przyprawiła ją zebranych przez siebie ziołami.

Jakiś czas jedli w milczeniu. Mark zwykle nie odzywał się w trakcie posiłków, lecz jeśli Keren nic nie mówiła, oznaczało to, że znowu ma o coś pretensje lub rozpamiętuje dawne żale. Zerknął na nią kilka razy i zastanawiał się, co mógłby powiedzieć, by się przekonać, w jakim jest nastroju.

– Za szybko robi się ciepło, wszystko wygląda tak, jakby od dwóch miesięcy trwała wiosna. Mam nadzieję, że nie pojawią się przymrozki albo lodowaty wiatr jak w zeszłym roku.

Keren ziewnęła.

– Po mrozach w styczniu i lutym trochę ciepła nam nie zaszkodzi. Jeszcze nigdy nie przeżyłam takiej lodowatej zimy.

(W tej chwili obwiniała Marka o pogodę, jakby kornwalijski klimat stanowił część wielkiego oszustwa, którym okazało się małżeństwo).

– Drozdom na głogach lada chwila wylęgną się pisklęta – ciągnął. – Chyba będą miały w tym roku drugi lęg.

Znowu cisza.

– Groch i fasola też będą miesiąc wcześniej – ciągnął Mark. – Powinniśmy być wdzięczni kapitanowi Poldarkowi za nasiona.

– Lepiej by było, gdyby ci znalazł dobrą pracę. – Keren zawsze źle się wyrażała o Poldarkach.

– Cóż, mam robotę w Wheal Leisure. Nic więcej nie mógł zrobić.

– Bardzo kiepska ta robota. Zarabiasz połowę mniej niż w kopalni Grambler.

– Wszystkie najlepsze miejsca były już zajęte, Keren. Ktoś mógłby powiedzieć, że to moja wina, bo kapitan proponował mi kontrakt. Paul jest szczęśliwy, że w ogóle ma pracę, mówił mi to wczoraj po południu.

– Och, Paul... – odparła pogardliwie Keren. – Ciekawe, co robi Zacky Martin. Pracuje dla kapitana Poldarka, prawda? Założę się, że nie pracuje jako górnik za kilka szylingów tygodniowo. Martinom nigdy tak dobrze się nie powiodło. Zacky od czasu do czasu wyjeżdża, dostaje wtedy kuca. Dlaczego kapitan Poldark nie może ci dać takiej roboty?

– Zacky jest bardziej uczony ode mnie – odpowiedział Mark. – Jego ojciec wydzierżawił trochę ziemi i wysyłał go do szkoły do dziewiątego roku życia. Wszyscy w okolicy wiedzą, że Zacky jest mądrzejszy od nas.

– Mów za siebie – prychnęła Keren. – Łatwo się nauczyć czytać i pisać. Każdy może to zrobić, jeśli chce. Zacky wydaje się bystry tylko dlatego, że wy wszyscy jesteście leniwi i głupi.

– Mówię tylko za siebie – odparł cicho Mark. – Dobrze wiem, że ty jesteś inna, Keren. Inteligentniejsza od Zacky'ego i reszty wsi. Może ludzie nie uczą się z powodu lenistwa, a może nie. Przyznaj, że łatwiej nauczyć się czytać i pisać w szkole niż później, gdy człowiek jest sam i nikt mu nie pomaga. Jak miałem sześć lat, poszedłem pracować do kopalni jako pomocnik starszego górnika. Po powrocie do domu nie obchodziły mnie litery. Od tamtego czasu bez przerwy haruję, z wyjątkiem świąt. Może powinienem był się uczyć, zamiast uprawiać zapasy, ale tak właśnie wygląda życie. I nie możesz powiedzieć, że nic nie robię w domu.

Keren zmarszczyła nos.

– Nikt nie mówi, że się lenisz, ale harujesz i nic z tego nie masz. Nawet Vigusowie są bogatsi od nas, a przecież Nick w ogóle nie pracuje.

– Nick Vigus to śliski łotr, wpakował Jima Cartera w kabałę. Chciałabyś, żebym kłusował albo mieszał różne trutki i sprzedawał je jako gin?

– Chciałabym, żebyś zarabiał więcej pieniędzy – odpowiedziała ciszej dziewczyna. Podeszła do otwartych drzwi i spoglądała na dolinę.

Mark skończył posiłek.

– Prawie nic nie zjadłaś – rzekł. – Opadniesz z sił.

– Mam dość sił – odrzekła z roztargnieniem.

– Poza tym nie wolno marnować jedzenia.

– Och, sam je zjedz! – rzuciła.

Mark się zawahał, po czym powoli przełożył na cynowy talerz kawałek niedojedzonej zapiekanki.

– Postoi do jutra.

Zerknęła niecierpliwie na północ. Grzbietem wzgórza posuwało się kilka ludzkich postaci.

– Pora, byś szedł do kopalni.

Stała w drzwiach, patrząc, jak Mark wkłada ciężkie buty i szorstką opończę wiertacza. Kiedy podeszedł do drzwi, wyszła na dwór, by go przepuścić.

Popatrzył na żonę. Słońce oświetlało jej czarne, kędzierzawe włosy, a ciemne, psotne oczy spoglądały w dal.

– Nie przejmuj się, Keren – powiedział. – Damy sobie radę, nie bój się. Złe czasy nie będą trwać wiecznie i wkrótce znowu staniemy na nogi.

Pochylił się i pocałował ją w szyję. Nieco sztywno ruszył w kierunku kopalni.

Keren patrzyła za nim. Damy sobie radę, pomyślała. Tylko po co? Ta chata, dzieci i starość? Wkrótce znowu staniemy na nogi. Po co? Mark będzie pracował w kopalni, zarabiał trochę więcej albo trochę mniej, aż się zestarzeje i upodobni do staruchów mieszkających w Mellin. Później będzie przez cały dzień siedział w domu, podobnie jak oni, a ja będę wychowywać najmłodsze dzieci i pracować w Namparze, by związać koniec z końcem.

Nie mogła liczyć na nic lepszego. Była głupia, że miała nadzieję, że go zmieni. Nie chciał się zmienić. Urodził się w górniczej rodzinie, nie wyobrażał sobie innego życia niż harówka w kopalni cyny lub miedzi. Chociaż był niezwykle pracowity i dobry jako rzemieślnik, nie miał wykształcenia ani chęci, by zrobić karierę nawet w kopalni. Keren jasno to rozumiała. Marka krępował własny charakter, obracał się w ciasnym kręgu swoich ograniczonych możliwości, a Keren miała pozostać w tym świecie na resztę życia...

Do oczu napłynęły jej łzy i wróciła do chaty. W zimie Mark znacznie poprawił wnętrze, lecz nie zwróciła na to uwagi. Weszła do izby, w której spali, zdjęła prostą bawełnianą sukienkę i włożyła wyzywającą suknię z cienkiego czerwonego płótna przepasaną zieloną szarfą, uczesała włosy.

Po dziesięciu minutach, upudrowana i w efektownych aktorskich sandałach na bosych stopach, była gotowa.

Wyślizgnęła się z chaty, zbiegła szybko ze wzgórza do koryta wyschniętego potoku, przeszła przez nie i podążyła w stronę lasu. Wkrótce, szybko oddychając, stanęła przed drzwiami stróżówki.

Otworzył jej Dwight Enys.

Wbrew rozsądkowi w jego oczach pojawił się błysk, gdy zobaczył Keren stojącą na progu z rękami założonymi do tyłu i włosami rozwiewanymi przez wiatr.

– Keren? Co cię tu sprowadza o tej porze?

Obejrzała się przez ramię.

– Mogę wejść, zanim mnie zobaczą wszystkie staruchy z okolicy i będą plotkować?

Zawahał się i otworzył drzwi szerzej.

– Bone wyszedł.

– Wiem. Widziałam go wcześniej rano.

– Keren, narażasz swoją reputację.

Ruszyła ciemnym korytarzem i zaczekała, aż Enys otworzy drzwi salonu.

– Ten dom staje się coraz bardziej przytulny – powiedziała.

Długi, wąski pokój miał trzy smukłe gotyckie okna wychodzące na wzgórze od strony Mongoose.

Wyglądał mniej średniowiecznie niż pozostałe pomieszczenia, a Dwight przekształcił go w bawialnię. Umebłowanie stanowił przywoity turecki dywan, kilka wygodnych starych foteli i szafa na książki. Był to również jedyny pokój, gdzie znajdował się dobry kominek. Płonął w nim teraz jasny ogień, na którym Enys ugotował sobie posiłek.

– Kiedy wróci Bone?

– Och, nieprędko. Poszedł odwiedzić ojca, który miał wypadek. Jak zauważyłaś, że wychodzi?

– Wyjrzałam przypadkiem przez okno – odpowiedziała, podeszła do kominka i uklękła.

Popatrzył na nią. Przerwała mu lekturę. Nie była to pierwsza wizyta ani nawet piąta, choć złamana ręka już od dawna była w lepszym stanie. Z jednej strony był niezadowolony, oburzony, a z drugiej nie. Spojrzał na wdzięczną krzywiznę pleców Keren, przypominającą lekko napięty łuk, który w każdej chwili może się wyprostować, na delikatną szyję, na krzykliwą sukienkę. Podobała mu się w niej najbardziej (i chyba zdawała sobie z tego sprawę). Ale przyjąć tu dzisiaj, specjalnie...

– To się musi skończyć, Keren – powiedział. – Twoje wizyty...

Łuk się wyprostował. Popatrzyła na niego.

– Jak mogłabym przestać przychodzić, Dwight?! Jak?! Nie mogę się doczekać naszych spotkań. I co z tego, że ktoś mnie zobaczy? Co z tego?! Nic nie szkodzi. Te wizyty to dla mnie najważniejsza rzecz w życiu.

Był zaskoczony i nieco wzruszony gwałtownością jej słów. Podeszedł do kominka, położył rękę na gzymsie i spojrzał na Keren.

– Twój mąż się dowie. Nie spodoba mu się, że mnie odwiedzasz.

– A to czemu?! – spytała ze złością. – To jedyna ciekawa rzecz w moim życiu. Nie mam żadnego towarzystwa. Nie znoszę prostych ludzi, którzy tu mieszkają. Żaden z nich nie był dalej niż pięć kilometrów od swojego miejsca urodzenia! Są tacy ograniczeni, tacy głupi... Myślą tylko o pracy, jedzeniu i spaniu, jak zwierzęta na farmie. Granicą ich świata jest latarnia morska w St Ann's. To nie życie, tylko nędzna wegetacja!

Zastanawiał się, na co liczyła, poślubiając górnika.

– Myślę, że jeśli spojrzysz bardziej przenikliwie, dostrzeżesz w swoich sąsiadach wiele dobrych cech – rzekł łagodnie. – W Marku również, jeśli jesteś nim rozczarowana. Są ograniczeni, przyznaję, ale jest w nich mimo wszystko jakaś głębia. Nie rozumieją ludzi spoza swojego świata, lecz w swoim wąskim kręgu potrafią być lojalni, serdeczni, uczciwi, pobożni, odważni. Przekonałem się o tym w czasie krótkiego pobytu w tych stronach. Wybacz mi, jeśli mówię jak kaznodzieja, Keren, ale spróbuj dla odmiany ich zrozumieć, spojrzeć na życie ich oczyma...

– I stać się jedną z nich...

– Bynajmniej. Użyj swojej wyobraźni. Aby kogoś rozumieć, nie trzeba się nim stawać. Krytykujesz ich ograniczenia. Udowodnij, że jesteś inna, że sama nie jesteś pozbawiona ograniczeń. Uważam, że większość z nich to wspaniali ludzie. Nasze stosunki dobrze się układają. Oczywiście zdaję sobie sprawę z tego, że mam przewagę, bo jestem medykiem...

– I mężczyzną. – Nie dodała: „I do tego bardzo przystojnym”. – Bardzo dobrze, Dwight, ale nie posłubięś miejscowej kobiety. Akceptują cię, bo twoja pozycja społeczna jest znacznie wyższa. Moja sytuacja jest inna. Jestem jedną z nich, a jednocześnie kimś obcym. Zawsze pozostanę obca. Gdybym nie umiała czytać ani pisać, gdybym nie widziała świata, z czasem mogliby mi wybaczyć, lecz jestem taka, jaka jestem, i nigdy mi tego nie wybaczą. Będą mnie podle traktować do końca moich dni. – Westchnęła lekko. – Czuję się bardzo nieszczęśliwa...

Spojrzał na książki, marszcząc brwi.

– Cóż, nie mam wielu przyjaciół...

Wstała z ożywieniem na twarzy.

– Więc mogę przychodzić, Dwight? Posiedzieć czasem u ciebie? Rozmowa ze mną nie sprawia ci przykrości? Obiecuję, że nie będę cię zanudzać swoimi zmartwieniami. Powiedz, co teraz robisz. Co studiujesz?

Uśmiechnął się.

– W ogóle by cię to nie zainteresowało. Ja...

– Wszystko mnie interesuje, Dwight, naprawdę. Mogę dziś zostać na kilka godzin? Mark przed chwilą poszedł do kopalni. Obiecuję, że nie będę gadać, przeszkadzać. Mogę ugotować obiad i pomóc ci w pracy.

Znów się uśmiechnął, tym razem nieco melancholijnie. Wiedział z doświadczenia, co oznacza ta propozycja: entuzjastyczne zainteresowanie jego studiami medycznymi okazywane przez dziewczynę, która w subtelny kobiecy sposób potrafi sprawić, że to jego zainteresowanie skupia się na niej. Już się to zdarzało. Podobnie będzie dziś. Nie przejmował się tym. W istocie rzeczy pragnął tego w głębi serca.

Minęły dwie godziny i nie wydarzyło się nic szczególnego.

W chwili pojawienia się Keren Enys przygotowywał tabelę opisującą choroby płuc leczone przez niego po przyjeździe do Kornwalii, rodzaj kuracji i jej rezultaty. Przynajmniej raz Keren nie straciła zainteresowania. Zapisywała odczytywane przez niego historie chorób, więc trzygodzinną pracę wykonał dwa razy szybciej.

Miała niewyrobiony, lecz wyraźny charakter pisma. Bez trudu rozumiała to, co mówi, nawet gdy posługiwał się terminologią medyczną.

– Bardzo mi dziś pomogłaś, Keren – powiedział, gdy skończyli. – Jestem ci wdzięczny. To miło z twojej strony, że poświęciłaś tyle czasu na moje nudne notatki.

Po raz pierwszy nie zwróciła uwagi na jego pochwały. Czytała jeden z podyktowanych opisów i jej ładna, nadąsana buzia miała poważny, skupiony wyraz.

– O co chodzi z tą zimną wodą, Dwight? – spytała. – Popatrz: zapisałeś temu Kempthorne’owi tylko zimną wodę i kozie mleko. Jak mu to może pomóc? Nie dostanie żadnych prawdziwych lekarstw?

– Och, zrobiłem również pigułki – odparł Dwight. – Powinien czuć się po nich lepiej, choć są z razowej mąki.

– Dlaczego go naprawdę nie leczysz? Zrobił ci coś złego?

Enys uśmiechnął się i podszedł do Keren.

– Oba płuca są zaatakowane w górnej części, ale to na razie nic poważnego. Zaleciłem mu surową dyscyplinę, czyli dziesięciokilometrowy spacer codziennie rano, kozie mleko do posiłków, spanie na otwartym powietrzu w czasie ładnej pogody. Mam trochę dziwaczne poglądy na medycynę, Keren, ale to jak dotąd jeden z moich największych sukcesów, bo Kempthorne czuje się coraz lepiej. Jestem pewien, że moja kuracja pomaga mu bardziej niż pijawki, antymon i inne tradycyjne lekarstwa.

Włosy opadły jej na policzek. Obróciła głowę i popatrzyła na niego. Między lekko rozchylonymi czer-

wonymi wargami lśniły białe zęby.

– Och, Dwight... – westchnęła.

Położył rękę na dłoni Keren leżącej na blacie stołu. Leciutko drżały mu palce.

– Dlaczego tu przychodzisz? – spytał ostro, unikając jej wzroku, jakby się czegoś wstydził.

Obróciła się w jego stronę, nie cofając dłoni.

– Och, Dwight, bardzo mi przykro...

– Wcale nie jest ci przykro. Wiem, że nie jest ci przykro.

– Nie, nie jest mi przykro – odparła. – Nigdy nie będzie mi przykro.

– Więc dlaczego to mówisz?

– Byłoby mi przykro tylko wtedy, gdybyś mnie nie lubił.

– Nie... nie o to chodzi – powiedział, patrząc na nią, jakby nie usłyszał jej słów.

Położył ręce na jej ramionach, pochylił głowę i pocałował ją. Przytuliła się do niego, a on znów ją pocałował.

Odsunął się.

Patrzyła, jak idzie w stronę okien. Był chłopięcy, delikatny, szczery. Keren pomyślała, że Enys to dziwny człowiek. Doktor medycyny, błyskotliwy uczony, chodził po domach, rozmawiał z wieśniakami stanowczym głosem, operował, nastawiał złamane kończyny, leczył febrę, asystował przy porodach. Ale we własnym życiu, gdy chodziło o prywatne sprawy, takie jak miłość, był niedoświadczony i nieśmiały jak wyrostek.

Zawahała się, spoglądając na jego plecy, nie mając pewności, co teraz robić. Milczeli. Od tej chwili wszystko było między nimi inne. Nie istniały żadne drogowskazy, utarte ścieżki.

Wszystko stało się nowe i wszystko się zmieniło. Lecz niewłaściwe słowo lub gest mogły cofnąć ich relacje do punktu wyjścia albo nawet je pogorszyć. Ta chwila mogła doprowadzić do cudownych rzeczy bądź wpędzić ich w ślepią uliczkę, sprawić, że przestaną się widywać. Instykt podpowiadał Keren, by wykorzystać okazję, która mogła się nie powtórzyć w ciągu wielu miesięcy, może nigdy. Zwykle gdzieś w pobliżu znajdował się Bone; pogwizdywał lub człapał po domu. Pomyślała, że teraz, gdy go nie ma, nic ich nie powstrzymuje.

Jednak w dziwny sposób wyczuwała emocje Enysa i rozumiała, że gdyby to zrobiła, gdyby wszystko stało się pod wpływem chwili, mógłby niemal natychmiast tego pożałować, zniechęciłby ją lub ją gardził jako frywolną kobietą, która go uwiodła. Gdyby dać mu trochę czasu, pożądanie narastałoby w nim stopniowo. Posiadłby ją z własnej woli i wtedy nie mógłby jej niczego zarzucić. Sam podjąłby decyzję i nigdy by jej nie żałował.

Poza tym otwierało to nieograniczone możliwości.

Keren podeszła powoli do Enysa i stanęła obok niego przy oknie. Na jego twarzy malowało się napięcie, jakby nie był siebie pewien.

Dotknęła jego dłoni.

– Jestem z ciebie bardzo dumna – szepnęła, przypominając sobie kwestię z *Elfridy*, odwróciła się, wyszła z pokoju i opuściła dom.

Rozdział czwarty

W tym tygodniu Poldarkowie otrzymali jeszcze jedno zaproszenie. George Warleggan postanowił zorganizować przyjęcie w dniu oficjalnego balu z okazji powrotu monarchy do zdrowia. Goście mieli spożyć wieczerzę w jego pałacu Warleggan House, a następnie udać się do gmachu Assembly Rooms, spędzić tam wieczór, wrócić do pałacu George'a i przenocować. George byłby rad, gdyby Ross i jego małżonka również zechcieli przybyć.

Poldark zamierzał odmówić. Między nim a Warlegganem konflikt był oczywisty, dlatego nie chciał korzystać z jego uprzejmości. Jednak wizyta w domu George'a byłaby spełnieniem ambicji Demelzy i chociaż po nieudanym przyjęciu z okazji chrzcin Julii była pełna niepokoju i obaw, nieobecność na przyjęciu sprawiłaby jej ogromny zawód.

Dlatego Ross postanowił ustąpić i kiedy wysłał już list przyjmujący zaproszenie, nie mógł się doczekać nadejścia wyznaczonego dnia, jak zawsze, gdy miał pojawić się w towarzystwie z żoną. Pani Kemp, zamiast gry na szpince, uczyła teraz Demelzę kroków najpopularniejszych tańców i zasad etykiety.

Dobry humor Demelzy łatwo się udzielał wszystkim domownikom, toteż w Namparze zapanowała atmosfera przyjemnego oczekiwania. Julia wierzyła w łóżeczku, gruchała i śmiała się radośnie.

Szesnastego kwietnia Ross poszedł do Wheal Leisure, a Demelza, Jinny i Jane warzyły miód. Świetnie się bawiły. Rozpuściły trzy kilogramy miodu w dziesięciu litrach wody, dodały trochę imbiru i suszonych kwiatów czarnego bzu. Gotowały płyn w kotle, a Jane mieszała go łyżką, gdy na powierzchni pojawiał się pianisty kożuch.

Na tę domową scenerię nagle padł rzucany przez popołudniowe słońce cień postaci Zacky'ego Martina. Kiedy Demelza go zauważyła, natychmiast się domyśliła, że coś się stało. Nie, kapitana Poldarka nie ma w domu, powinien być w kopalni. Zacky podziękował poważnie i odszedł.

Jinny pobiegła za nim do drzwi.

– Co się stało, ojczy?! Czy chodzi o Jima?!

– Nie, nie powinnaś się martwić – odparł Zacky. – Po prostu chciałbym się zobaczyć z kapitanem Rossem w pewnej sprawie.

– Cóż, myślałam... – rzekła Jinny, trochę uspokojona. – Myślałam, że...

– Powinnaś się przyzwyczaić, że będę się teraz często pojawiać w Namparze, Jinny. Pracuję dla kapitana Rossa, powinnaś o tym wiedzieć.

Spoglądała za odchodzącym ojcem, po czym z zatroskaną twarzą wróciła do kuchni.

Zacky odnalazł Rossa rozmawiającego z nadsztygarem Henshawe'em wśród budynków kopalni na szczycie klifu. Poldark spojrzał na niego pytająco.

– Chodzi o Jima, panie kapitanie. Pamięta pan, jak w czasie aukcji powiedziano, że więzienie w Bodmin jest przepełnione, bo umieszczono tam uczestników rozruchów, którzy oczekują na rozprawę sądową?

Ross skinął głową.

– Cóż, dziś rano słyszałem, że wielu dawnych więźniów ma zostać przeniesionych do innych miast, by zmniejszyć tłok.

– Sądysz, że to wiarygodna wiadomość?

– Tak, panie. Przeniesiono brata Joego Trelaska, a Peter Mawes powiedział, że cała cela Jima ma trafić do Launceston.

– Launceston! – Ross gwizdnął cicho.

– Mówią, że to niedobre więzienie, co?

– Ma złą opinię. – Nie trzeba jeszcze bardziej niepokoić Zacky’ego. – Ale przeniesienie człowieka, który ma wkrótce zostać zwolniony, to kompletny absurd. Kto wydał taki rozkaz? Ciekawe, czy to prawda.

– Peter Mawes przyjechał prosto z Bodmin. Postanowiłem pana zawiadomić. Przyszło mi do głowy, że chciałby pan o tym wiedzieć.

– Zastanowię się nad tym, Zacky. Może istnieje jakiś sposób, by szybko zdobyć informacje.

– Pomyślałem, że chciałby pan o tym wiedzieć – powtórzył Zacky, zbierając się do odejścia. – Przyjdę rano, kapitanie, by dopilnować rabatów za zanieczyszczenia rudy.

Ross wrócił do Henshawe’a, ale nie mógł się skupić na rozmowie. Zawsze darzył Jima dziwną sympatią, dlatego zirytowała go i zaniepokoiła myśl, że chłopak mógł zostać przeniesiony trzydzieści kilometrów dalej od domu do najgorszego więzienia w zachodniej Kornwalii, prawdopodobnie na podstawie decyzji jakiegoś nadętego urzędnika.

Przez resztę popołudnia był zajęty w kopalni, a po pracy poszedł zobaczyć się z Dwightem Enysem.

Kiedy dotarł do stróżówki, zauważył, że Enys doprowadził budynek do porządku. Przechodząc pod otwartymi oknami salonu Dwighta, usłyszał czyjś śpiew. Ze zdziwieniem zauważył, że to głos dziewczyny, dość cichy, lecz wyraźny.

Nie zatrzymał się, ale gdy skręcał za róg do drzwi frontowych, doszły go słowa:

Szalona jest miłość ma,

Leżę samotnie i płaczę,

Spokoju znaleźć nie mogąc...

Jakże szczęśliwa jest Polly!

Kto cierpiał tak strasznie jak ja?!

Ze złości czerwoną mam twarz...

Zastukał do drzwi trzymaną w rękę lekką laską.

Śpiew umilkł. Odwrócił się plecami do drzwi i patrzył na rudzika szukającego między kamieniami mchu na gniazdo.

Po chwili drzwi się otworzyły. Kiedy Dwight zobaczył gościa, jego lekko zaczerwieniona twarz pokryła się głębokim rumieńcem.

– Ach, kapitan Poldark! Co za niespodzianka! Proszę wejść!

– Dziękuję. – Ross wszedł za Enysem do salonu, z którego trzy minuty wcześniej dobiegał dziewczęcy śpiew. Nie było tam nikogo.

Mimo to intuicyjnie wyczuwał, że w pomieszczeniu ktoś przed chwilą przebywał.

Przekazał medykowi nowiny o Jimie Carterze, po czym oznajmił, że nazajutrz zamierza pojechać dyliżansem do Launceston i dowiedzieć się, co się naprawdę stało. Spytał, czy Enys chciałby mu towarzyszyć.

Dwight skwapliwie się zgodził, starając się ukryć zażenowanie. Umówili się, że spotkają się nazajutrz rano i pojedą do Truro.

Wracając do Nampary, Ross zastanawiał się, gdzie wcześniej słyszał ten dziewczęcy głos.

Jinny nic nie powiedziano, żeby się nie martwiła, lecz Demelza niepokoiła się o męża. Nie podobało jej się, że Ross odwiedzi więzienie, gdzie można się zarazić groźnymi chorobami. Ponadto droga do odległego Launceston przez puste wrzosowiska otaczające Bodmin wydawała się pełna niebezpieczeństw.

Zjedli wczesne śniadanie i wyruszyli w drogę, a gdy dotarli do Truro, Ross wybrał się do krawcowej.

Pani Trelask, zaabsorbowana cięciem kuponu materiału, była zaskoczona przybyciem wysokiego,

poważnego dżentelmena, który oświadczył, że jego małżonka jest stałą klientką zakładu, więc właścicielka zna jej wymiary. Chciał zamówić dla żony nową suknię wieczorową; powinna być gotowa na uroczysty bal.

Pani Trelask biegła tam i z powrotem jak wystraszona kura po kurniku, pośpiesznie przynosząc coraz to nowe kupony połyskliwego jedwabiu, brokatu, aksamitu i weluru. W końcu jedna z cierpkich uwag gościa sprawiła, że wyraziła poważne wątpliwości, czy zdoła zrealizować zamówienie na czas, ponieważ ma mnóstwo pilnych zleceń. Usłyszawszy te słowa, gość, który wcześniej wyraził zainteresowanie kosztownym jedwabiem haftowanym srebrną nicią, wziął kapelusz i grzecznie się pożegnał.

Wówczas pani Trelask wpadła w jeszcze większe zdenerwowanie i zawołała córkę. Rozmawiały, robiły notatki, przekładały szpilki, a tymczasem gość czekał, niecierpliwie stukając butem w podłogę. W końcu powiedziały, że zobaczą, co się da zrobić.

– Jeśli nie dotrzymają panie terminu, nie zapłacę za suknię. Czy to jasne?

– Tak, panie – odparła panna Trelask, ocierając łzę. – Rozumiemy.

– Bardzo dobrze, przejdźmy do konkretów. Muszą mi panie pomóc, bo nie znam się na kobiecych strojach. Chciałbym zamówić coś modnego i najwyższej jakości.

– Uszyjemy najmodniejszą suknię – odpowiedziała pani Trelask. – Kiedy pani Poldark mogłaby przybyć na przymiarce?

– Nie będzie przymiarki, chyba że w dniu balu – rzekł Ross. – To niespodzianka. Jeśli coś nie będzie pasować, moja żona może odwiedzić panie po południu.

Kobiety znów zaczęły z ożywieniem dyskutować, lecz stały się skłonne do ustępstw i wkrótce zawarto porozumienie.

Później Ross wszedł do niewielkiego sklepiku, nad którym wisiał skrzypiący szyld z napisem: S. Solomon, złotnik i konwisarz.

– Poszukuję klejnotu dla damy – powiedział. – Czegoś, co mogłaby nosić we włosach albo na szyi. Nie mam czasu na oglądanie wielu przedmiotów.

Wysoki starzec pochylił głowę, zaprowadził Rossa do ciemnego pomieszczenia na tyłach sklepu i wyjął tacę, na której leżało sześć naszyjników, trzy kamee, kilka bransoletek wysadzanych perłami, osiem par kolczyków. Nic nie zwróciło uwagi Rossa. Największy z naszyjników z perłami kosztował trzydzieści funtów, co wydawało się zbyt wysoką ceną za klejnot tego rodzaju.

– Perły są bardzo modne, panie. Trudno je zdobyć. Wszystkie mniejsze są wykorzystywane do ozdabiania sukni i kapeluszy.

– Nie masz nic innego?

– Nie opłaca mi się kupować lepszych rzeczy, panie. Może mógłbym coś wykonać na specjalne zamówienie?

– Potrzebuję tego klejnotu na przyszły tydzień.

– Mam jedno cacko kupione od żeglarza – rzekł jubiler. – Może by pana zainteresowało?

Wyjął złotą filigranową broszkę z dużym rubinem otoczonym małymi perłami. Cudzoziemska robota, wenecka albo florentyńska. Obserwował oczy Rossa, gdy ten wziął broszkę do ręki.

– Ile kosztuje?

– Jest warta co najmniej sto dwadzieścia funtów, ale mógłbym długo czekać na kupca, a nie chcę ryzykować wysyłania jej pocztą do Plymouth. Jestem gotów ją sprzedać za sto gwinei.

– Nie mam zamiaru się targować, ale przeznaczyłem na ten wydatek dziewięćdziesiąt funtów – stwierdził Ross.

Jubiler lekko się skłonił.

– Ja również się nie targuję. Proszę mi wybaczyć, panie, ale czy zamierza pan zapłacić gotówką?

– Wekslem. Wykupi go bank Pascoe’a. Wystawię go dziś i odbiorę broszkę za tydzień.

– Bardzo dobrze, panie. Wezmę dziewięćdziesiąt... dziewięćdziesiąt gwinei.

Ross spotkał się z Dwightem, wsiedli do dylizansu i dotarli do Bodmin wczesnym popołudniem. Dylizans zatrzymał się tam na tyle długo, że pasażerowie mieli czas spożyć posiłek, a Rossowi udało się potwierdzić prawdziwość informacji, że Jima nie ma w miejscowym więzieniu. Rzeczywiście go przeniesiono.

Nie zjedli obiadu, ale zdążyli na dylizans, który wyruszył w ostatni etap podróży. Jechali przez wrzosowiska otaczające Bodmin, wśród jałowych wzgórz i dolin pozbawionych drzew. Ross zauważył, że woźnica i pocztylion są uzbrojeni w muszkiety.

Jednak tego dnia podróż przebiegła spokojnie i mogli podziwiać krajobrazy. Niebieskie niebo zasnuwały obłoki. Dotarli do Launceston tuż po siódmej i zatrzymali się w gospodzie Pod Białym Jeleniem.

Więzienie znajdowało się na wzgórzu na terenie starego, zrujnowanego normañskiego zamku. Ruszyli w jego stronę przez labirynt wąskich uliczek, a następnie wspięli się ścieżką biegnącą wśród wawrzynów i jeżyn, aż dotarli do zewnętrznego muru obronnego. Do wnętrza zamku prowadziła łukowata żelazna brama zamknięta na kłódkę. Walili w bramę i krzyczeli, lecz nikt nie odpowiedział. Na karłowatym drzewie ćwierkał drozd, a wysoko na nocnym niebie śpiewał skowronek.

Dwight rozglądał się po okolicy. Z wysoko położonego miejsca rozciągał się widok na wrzosowiska docierające na północy do morza, które lśniło w promieniach zachodzącego słońca niczym ostrze noża. Na wschodzie i południu wrzosowiska ciągnęły się wzdłuż rzeki Tamar aż do hrabstwa Devon, do fioletowych pustkowi Dartmoor. Nic dziwnego, że Wilhelm Zdobywca postanowił zbudować tu zamek strzegący zachodnich rubieży królestwa. Rezydował tu jego przyrodni brat Robert. Pilnował otrzymanej w lenno obcej ziemi, którą należało zasiedlić i okiełznać.

– Koło przewróconego płotu widzę pastucha – powiedział Dwight. – Zapytam go.

Ross walił w bramę, a tymczasem Enys podszedł do ogorzałego mężczyzny w płóciennym kapeluszu i bluzie. Zamienił z nim kilka słów i wrócił.

– Z początku w ogóle nie mogłem go zrozumieć. Mieszkańcy tych stron posługują się zupełnie innym dialektem. Twierdzi, że wszyscy więźniowie chorują na febrę. Więzienie znajduje się w budynku na dziedzińcu, po prawej stronie bramy. Uważa, że nie powinniśmy tam wchodzić dziś wieczorem.

Ross popatrzył przez kraty.

– A strażnik więzienny?

– Mieszka daleko stąd. Mam jego adres. Za Southgate Street.

Ross spojrział na mur i zmarszczył brwi.

– Można by się tam wdrapać, Dwight. Kolce są zardzewiałe i dalibyśmy radę je wyciągnąć.

– Tak, ale to nic nie da, jeśli samo więzienie jest zamknięte.

– Cóż, nie ma czasu do stracenia, bo za godzinę się ściemni.

Odwrócili się i zeszli ze wzgórza.

Odnalezienie chaty strażnika zajęło im sporo czasu. Walili przez kilka minut w drzwi, zanim uchyliły się na kilka centymetrów i ukazał się w nich obszarpany, brodaty mężczyzna o twarzy pokrytej brodawkami. Kiedy zauważył przyzwoity ubiór gości, z jego twarzy zniknął gniew.

– Jesteś strażnikiem więziennym? – spytał Ross.

– Tak.

– Jest u was więzień o nazwisku Carter, niedawno przeniesiony z Bodmin?

Strażnik zamrugął.

– Może.

– Chcę się natychmiast zobaczyć z Carterem.

– To nie pora na odwiedzin.

Ross szybko włożył nogę między drzwi a framugę.

– Bierz klucze albo każę cię zwolnić za zaniechywanie obowiązków.

– Nie – odpowiedział strażnik. – Zapada noc. W więzieniu szaleje febra. Nie jest bezpiecznie zbliżać się do...

Ross otworzył drzwi, napierając na nie barkiem. Wnętrze chaty wypełniał mocny zapach taniego ginu. Dwight wszedł za nim do pokoju. Przy palenisku kucała stara, powykęcana przez artretyzm kobieta w łachmanach.

– Klucze! – rzucił Ross. – Chodź z nami albo sami tam pójdziemy.

Strażnik otarł ramieniem nos.

– Kto wam dał prawo? Potrzebny jest rozkaz...

Ross chwycił go za kołnierz.

– Mamy rozkaz. Bierz klucze!

Po około dziesięciu minutach ruszyli gęsiego w stronę zamku. Szli zaułkami pokrytymi kocimi łbami, obszarpany strażnik na czele, z czterema wielkimi kluczami na kółku. Patrzyli się na nich ludzie.

Kiedy wspinali się na wzgórze, zaszło słońce i zapadał zmrok.

Pastuch i krowy zniknęły, ruiny były ciemne i ciche. Dotarli do żelaznej bramy i przeszli przez nią pod kamiennym łukiem. Strażnik ruszył powoli w stronę średniej wielkości kwadratowego budynku znajdującego się w środku dziedzińca.

Nieśpieszne kroki mężczyzny ucichły.

– Za późno, by tam wchodzić. Muszą panowie pokazać rozkaz. Więźniowie chorują na febrę. Wczoraj jeden umarł. Nie wiem który. Mój zmiennik...

– Kiedy ostatnio byłeś w środku?

– Przedwczoraj. Zajrzałbym i dziś, ale moja matka zachorowała. Wysłałem im jedzenie. Muszą panowie pokazać rozkaz...

Z budynku nagle dobiegły krzyki, coraz głośniejsze i liczniejsze, zwierzęce, nieludzkie: szczekania, wycia, jęki. Więźniowie ich usłyszeli.

– No widzi pan – odezwał się strażnik, gdy Ross zrobił krok do tyłu. – Szanujący się dżentelmeni nie powinni się do nich zbliżać. Jest febra...

Ross się cofnął, szukając okna, i zobaczył je wysoko po prawej stronie. Budynek składał się z dwóch kondygnacji, a cele znajdowały się na parterze. Okno wpuszczało do środka trochę światła i świeżego powietrza. Miało metr długości i pół metra wysokości. Znajdowała się w nim masywna krata. Krzyki dobiegały właśnie stamtąd, lecz brzmiały głucho i było oczywiste, że więźniowie nie mogą dosięgnąć okna.

– Otwórz drzwi, człowieku – rozkazał Ross. – No już, daj klucze!

– Nie tędy! – zaprotestował strażnik. – Tych drzwi nigdy się nie otwiera. Chodźmy do kaplicy na górze, to otworzę klapę w podłodze, gdzie spuszcza się jedzenie. Nawet wtedy można się zarazić febrą, niech mi panowie wierzą. Rozsądni ludzie nigdy...

– Za dziesięć minut zapadnie zmrok – przerwał Dwight. – Jeśli chcemy go dziś zobaczyć, nie ma czasu do stracenia.

– Ten dżentelmen jest chirurgiem i musi natychmiast zobaczyć Cartera, rozumiesz? – zwrócił się Ross do strażnika. – Otwórz te drzwi albo rozwalę ci łeb i zrobię to sam!

Klucznik skulił się ze strachu.

– Może mnie to kosztować posadę, do licha... Dobrze, otworzę... Ale proszę pamiętać, że to nie moja wina. Wśród więźniów szaleje febra...

Wielkie drzwi otworzyły się ze zgrzytem zardzewiałych zawiasów. W środku panował półmrok, a kiedy weszli, poczuli straszliwy smród. Ross był przyzwyczajony do brudu i podróżował po dzikich miejscach, a Dwight pracował jako lekarz, lecz jeszcze nie spotkali się z czymś takim. Strażnik wyszedł na zewnątrz, kaszłał i pluł, kaszłał i pluł. Ross chwycił go za kark i wepchnął do środka.

– Jest tu latarnia?

– Chyba tak. Za drzwiami.

Dygocąc, wymacał ręką latarnię. Później zaczął krzesać ogień, by zapalić świecę.

Krzyki umilkły. Panowała martwa cisza. Niewątpliwie więźniowie sądzili, że przywieziono kolejnych przestępców.

Kiedy oczy Rossa przyzwyczały się do ciemności, spostrzegł, że są w korytarzu. Po jednej stronie znajdowało się okno, przez które wpadało słabe światło, a po drugiej cele lub klatki. Były tylko trzy lub cztery, wszystkie małe. Gdy wreszcie hubka się zatliła i zapalił świecę, spostrzegł, że największa z klatek to kwadrat o boku długości trzech metrów. W każdej z klatek znajdowało się około dwunastu więźniów. Spomiędzy krat spoglądały na nich przerażające twarze.

– Zaraza! – odezwał się Dwight, idąc korytarzem z chustką przyciśniętą do nosa. – Boże, to obraza ludzkiej godności! Macie tu wychodki, człowieku? Ktoś leczy tych ludzi? Jest tu choćby komin?!

– W więzieniu pojawiła się febra, panie! – odpowiedział strażnik od drzwi. – Wszyscy niedługo zachorujemy! Odejdźmy i wróćmy jutro!

– W której celi jest Carter?

– Nie wiem, panie, na litość boską! Nie odróżniam jednego od drugiego! Najlepiej znajdź go sam, panie!

Ross ruszył za Dwightem, popychając przed sobą strażnika z kołyszącą się latarnią. W ostatniej, najmniejszej klatce znajdowało się kilkanaście kobiet. Była tak mała, że ledwo mogły się położyć. Brudne, wychudzone, w łachmanach, błagały o pieniądze lub chleb, jeśli tylko mogły wstać.

Rossa ogarnęły mdłości. Czuł przerażenie. Wrócił do Enysa i strażnika.

– Cisza! – krzyknął wśród narastającego hałasu. Więźniowie powoli się uspokoili.

– Jest wśród was Jim Carter? – zawołał. – Jim, jesteś tam?!

Żadnej odpowiedzi.

Nagle zabrzęczały łańcuchy i odezwał się czyjś głos:

– Tu jest. Ale nie może mówić.

Ross podszedł do środkowej klatki.

– Gdzie?

– Tutaj. – Piekielne demony odsunęły się od krat i światło latarni strażnika padło na kilka postaci leżących na ziemi.

– Nie żyje?

– Nie, ale ten drugi zdechł. Carter ma febrę. Jego ręka...

– Przysuńcie go do krat.

Spełnili polecenie, a Ross spojrział na człowieka, którego inaczej by nie rozpoznał. Wychudzoną twarz, na której wyrosła długa, zmierzwiona broda, pokrywała czerwona wysypka. Jim poruszał się od czasu do czasu i bełkotał coś w malignie.

– To żółta febra z wybroczynami – mruknął Enys. – Najgorsze chyba już minęło. Jak długo choruje?

– Nie wiem – odpowiedział drugi więzień. – Tracimy rachubę czasu, jak się domyślasz, panie. Może tydzień.

– Co się stało z jego ramieniem? – spytał ostro Enys.

– Puściliśmy mu krew, by powstrzymać febrę – wyjaśnił więzień. – Niestety, ręka zaropiała.

Dwight przez dłuższą chwilę spoglądał na majaczącego Jima, po czym przeniósł wzrok na więźnia.

– Za co tu trafiłeś?

– Och, nie wydaje mi się, by moje losy cię zainteresowały, panie, choć w weselszych okolicznościach mógłbym cię zabawić ciekawymi opowieściami. Jeśli człowiek nie odziedziczył majątku, musi czasem zarabiać na życie w sposób, który ludzie pańskiej profesji uważają za zastrzeżony tylko dla siebie. Naturalnie...

Ross wstał.

– Otwórz drzwi.

– Co takiego?! – zdziwił się strażnik. – Po co?!

– Zabieram tego człowieka. Potrzebuje opieki lekarza.

– Tak, ale odsiaduje wyrok i nic...

– Niech cię piekło pochłonie! – Ross poczuł, że ogarnia go wściekłość. – Otwieraj!

Strażnik cofnął się w stronę klatki i rozejrzał się, szukając drogi ucieczki. Nie znalazł jej i spojrzał w oczy stojącego przed nim mężczyzny. Odwrócił się, wyszperał jeden z wielkich kluczy, pośpiesznie otworzył drzwi klatki i stanął obok nich, ociekając potem.

– Wynieście go na korytarz – rozkazał Ross.

Dwight i strażnik weszli do klatki, ślizgając się na ekskrementach pokrywających wilgotną ziemię. Na szczęście Jim nie był przykuty łańcuchami do innego więźnia. Chwycili go za nogi i ramiona, po czym wynieśli z klatki i więzienia. Ross podążył z tyłu. Położyli Cartera na bujnej trawie rosnącej przed budynkiem, a strażnik wrócił, by zamknąć drzwi.

Dwight otarł czoło.

– Co teraz?

Ross popatrzył na wrak człowieka ruszający się w ciemności u ich stóp. Jim głęboko oddychał świeżym wieczornym powietrzem. Od strony morza wiał lekki wiatr.

– Jest jakaś nadzieja, Dwight?

Enys pluł na ziemię.

– Powinien przeżyć febrę, ale ten domorosły medyk... Próbował mu pomóc i ramię jest zaatakowane gangreną.

– Musimy go stąd zabrać, gdzieś pod dach. Nie przeżyje tu nocy.

– Cóż, nie wpuszczą go do gospody Pod Białym Jeleniem. Równie chętnie przyjęliby trędowatego.

Strażnik zamknął więzienie i stał przy drzwiach, obserwując ich złowieszczym wzrokiem. Ale się nie zbliżał.

– Gdzieś musi być jakaś szopa, Dwight. Albo izba. Nie wszyscy są nieludscy.

– Stają się tacy, gdy w grę wchodzi febra. To kwestia przetrwania. Moim zdaniem jedyny sposób to znalezienie jakiejś stajni. Niezbyt blisko więzienia na wypadek, gdyby strażnik doniósł o nas władzom.

– W mieście musi być szpital.

– Żaden nie przyjmie takiego chorego.

– Nic mi nie będzie, Jinny... Nie złapią mnie... – odezwała się ochryple postać leżąca u ich stóp.

Ross się pochylił.

– Proszę mi pomóc. Musimy go natychmiast stąd zabrać!

– Niech nie chucha panu w twarz – powiedział Dwight. – W tej chwili to śmierć!

Rozdział piąty

Jim się śmiał, gdy go rozbierali. Był to dziwny, nienaturalny dźwięk. Niekiedy coś mówił, majaczył. Czasami rozmawiał z więźniem, czasem z Nickiem Vigusem, a czasem z Jinny.

Znaleźli starą oborę – sądząc po architekturze, pozostałość wczesnej historii miasta – i weszli do środka. Pozbyli się kurcząt, wiejskiego wozu i dwóch mułów, a następnie poinformowali o wszystkim farmera i poskromili jego gniew pieniędzmi i groźbami. Dostali od niego dwa koce, dwa kubki i trochę brandy. Rozpalili ognisko na końcu obory – przybiegł farmer i zaczął na nich krzyczeć, lecz nie zrobił nic ze strachu przed febrą.

Dwight zbadał Jima przy świetle dwóch świec i dymiącego ogniska. Ross rozebrał chorego do naga, wyrzucił ubranie przed oborę i patrzył, jak Enys delikatnie dotyka poczerniałej ręki Jima. Uniósł jedną ze świec i przyjrzał się dokładnie. W końcu się wyprostował. Widział wiele takich przypadków w czasie wojny w Ameryce.

– No i jak? – spytał.

– Muszę natychmiast amputować rękę, bo inaczej nie ma żadnych szans, Ross.

– Tak – odparł Ross. – A jakie będą wtedy szanse?

– Moim zdaniem mniejsze niż pięćdziesiąt procent.

– Czy rzeczywiście warto go operować? Straci rękę, a wszystko zacznie się od nowa.

– Niekoniecznie.

Ross podszedł do drzwi i spojrzał w mrok.

– O Boże! – westchnął. – Jest za słaby. Pozwólmy mu spokojnie umrzeć.

Dwight milczał przez chwilę, patrząc na majaczącego Cartera. Dał mu brandy i Jim wypił kilka łyków.

– Moim zdaniem niewiele poczuje. Nie podoba mi się myśl, że nie miałby żadnej szansy.

– Amputował już pan komuś rękę?

– Nie, ale to nie jest skomplikowana operacja. Kwestia znajomości anatomii i zwyczajnych środków ostrożności.

– Jakie środki ostrożności można zastosować? Czym amputuje pan rękę?

– Och, coś zdobędę. Środki ostrożności polegają na tym, by nie dopuścić do znacznego upływu krwi i dalszego zakażenia. Cóż, łatwo przygotować opaskę uciskową... Poza tym mamy ogień i mnóstwo wody.

– A febra?

– Ma się ku końcowi. Tętno jest coraz wolniejsze.

Ross podszedł i popatrzył na wychudzoną postać.

– Przez rok lub dwa był szczęśliwy z Jinny. Dopiero później spotkały ich niepowodzenia. Nigdy nie odznaczał się dobrym zdrowiem. Nawet jeśli przeżyje, zostanie kaleką. Jednak chyba musimy dać mu szansę. Chętnie skreśliłbym komuś za to kark.

Dwight wstał.

– Proszę zauważyć, jak śmierdzą nasze ubrania. Powinniśmy je później spalić. – Spojrzał na Rossa. – Pomoże mi pan podczas operacji?

– Mogę panu pomóc. Raczej nie zemdleję na widok krwi. Niedobrze mi się robi z powodu marnowania młodego życia. Jestem wściekły na sędziów, którzy posłali go do więzienia... Kiedy zaczniemy?

– Jak tylko wszystko przygotuję. Pójdę poszukać jakiegoś cyrulika i pożyczę od niego niezbędne narzędzia. Wstąpię także do gospody Pod Białym Jeleniem i przyniosę swoją torbę.

Dwight wziął kapelusz i wyszedł z obory.

Ross usiadł obok Cartera i nalał brandy do kubka. Zamierzał podać choremu tyle, ile młody człowiek zdoła przełknąć, a potem napić się samemu z innego naczynia. Im bardziej się upiją, tym lepiej. Enys miał rację. Po wizycie w więzieniu wszystko przesiąkło smrodem: buty, rękawice, halsztuk, nawet sakiewka. Może nos płata mu figle? Uroczysty bal na cześć powrotu króla do zdrowia, doprawdy! Wszystkie przygotowania prowadzone wczoraj i w ostatnim tygodniu wydawały się absurdem w porównaniu z horrorem więzienia Launceston.

– Spokojnie, spokojnie... – wymamrotał Jim i zakasłał słabo. – Wytrzymam, na pewno wytrzymam dla swojej rodziny...

Jim zamierzał wytrzymać dla swojej rodziny. Obszarpany strach na wróble leżący na kocu, trawiony przez gorączkę, z trucizną krążącą w ciele, brodaty wrak człowieka zamierzał wytrzymać dla swojej rodziny. Niewątpliwie, jeśli zachowa świadomość, spróbuje wytrzymać dla Jinny, podobnie jak w przeszłości. Jak w przeszłości. To będzie najważniejszy sprawdzian.

Na ścianie za ich plecami poruszały się wielkie cienie. Ross, siedzący na słomie wśród ptasich piór, pochylił się w pełgającym świetle latarni i dał chłopcu jeszcze jeden łyk brandy.

Rankiem dwudziestego drugiego Ross jeszcze nie wrócił i Demelza spędziła bezsenność. Przynajmniej za taką ją uważała, choć w rzeczywistości wielokrotnie zapadała w drzemkę, a później się budziła, mając wrażenie, że słyszy stukot kopyt Czarnulki za oknem swojej sypialni. Julia również była niespokojna, jakby wyczuwała zdenerwowanie matki, choć w jej przypadku wszystko sprowadzało się do bólu dźwięku.

Demelza wolałaby mieć obolałe dźiąsła, niż przeżywać dręczący niepokój. Wstała o pierwszym brzasku i postanowiła wrócić do dawnego zwyczaju wychodzenia na spacer o świcie. Ale tym razem, zamiast iść w górę doliny, by nazbierać kwiatów, ruszyła z Garrickiem wzdłuż plaży Hendrawna.

Przypływ zostawił na brzegu dużo drewna, więc zatrzymywała się od czasu do czasu, by obrócić coś stopą i sprawdzić, czy ma jakąś wartość. Czasami zapominała, że w tej chwili jej status nie pozwala zbierać rzeczy, które jeszcze kilka lat temu wydałyby jej się bardzo wartościowe.

Kiedy się rozwidniło, zauważyła, że w Wheal Leisure zmieniają się szychty i po paru minutach na plaży pojawiło się kilkunastu górników, którzy szukali czegoś, co mogliby zanieść do domów przed śniadaniem. W ostatnich czasach morze wyrzucało niewiele rzeczy i po każdym przypływie brzeg był dokładnie oczyszczany przez poszukiwaczy. Przydawało się wszystko, nawet drobne przedmioty i te z pozoru bezużyteczne. Demelza wiedziała, że tej zimy zbierano ślimaki na polach, by warzyć z nich zupę.

Minęło ją kilku niskich, żyłastych mężczyzn, którzy na powitanie unieśli ręce do czapek. Zauważyła przed sobą Marka Daniela, lecz nie wydawał się zainteresowany przeszukiwaniem plaży.

Szedł po miękkim piasku, wysoki i sztywny, z górniczym oskardem na ramieniu. Ich drogi się skrzyżowały i podniósł oczy, jakby wcześniej jej nie zauważył.

– Co u ciebie słyhać, Mark? – spytała. – Nowa chata jest wygodna?

Zatrzymał się, zerknął na Demelzę, po czym popatrzył flegmatycznie na morze.

– Tak, jest nam wygodnie, pani. Dziękujemy.

Od dnia, gdy przyszedł prosić o ziemię, prawie go nie widywała. Był chudszy, bardziej kościsty – nic dziwnego, prawie wszyscy górnicy tak wyglądali – ale w głębi ciemnych oczu pojawił się dziwny mrok.

– Zdaje się, że dziś rano morze nie wyrzuciło niczego wartościowego – powiedziała.

– Słucham? Nie, pani. Wielu byłoby zadowolonych z dobrego wraku, ale ja nikomu źle nie życzę...

– Jak się miewa Keren, Mark? Nie widziałam jej w tym miesiącu. Szczerze mówiąc, w wiosce Grambler jest taka bieda, że czujemy się bogaczami. Pomagałam panie Verity w opiece nad dzierżawcami z Trenwith.

– Keren to dzielna dziewczyna, pani. – W oczach Marka znów pojawił się posępny błysk. – Przepraszam panią, czy kapitan Poldark już wrócił?

– Nie, nie ma go już od kilku dni.

– Och... chciałem się z nim zobaczyć. Myślałem, że już wrócił. John mówił...

– Czy to coś ważnego?

– Może poczekać. – Odwrócił się, jakby chciał odejść.

– Powtórzę mężowi – rzekła Demelza.

– Pomogła mi pani w sierpniu zeszłego roku i nie zapomniałem o tym – odpowiedział z wahaniem. – Ale to... to sprawa między mężczyznami...

– Spodziewam się, że wróci do jutra rana. Jesteśmy na jutro zaproszeni do Truro.

Rozstali się i Demelza ruszyła powoli wzdłuż plaży. Powinna wracać. Jinny na pewno jest już w Namparze, a Julii wyrzynają się ząbki.

Usłyszała za plecami chrzęst rozgniatanych wodorostów, obróciła się i zobaczyła, że Mark idzie za nią.

Popatrzył na nią czarnymi oczami.

– Pani Poldark, ludzie opowiadają złe rzeczy o Keren. – W jego głosie zabrzmiało wyzwanie.

– Chciałbyś porozmawiać o tym z Rossem?

– Krążą plotki.

– Jakie plotki?

– Że się spotyka z innym mężczyzną.

– W tej okolicy zawsze krążą plotki, Mark. Sam wiesz, że stare baby bez przerwy szepczą coś przy ogniu, bo nie mają nic lepszego do roboty.

– Tak, ale jestem niespokojny – odpowiedział.

Nic dziwnego, ja też martwiłabym się o Keren, pomyślała Demelza.

– Jak Ross mógłby ci pomóc?

– Chciałem go spytać, co mam robić. Pomyślałem, że będzie wiedział lepiej ode mnie.

– Czy... czy mówią o jakimś konkretnym mężczyźnie?

– Tak – odparł Mark.

– Rozmawiałeś z Keren? Wspomniałeś jej o tym?

– Nie. Nie mam serca, pani. Nie mam serca. Jesteśmy małżeństwem dopiero od ośmiu miesięcy. Wybudowałem dla niej chatę. Nie mogę w to uwierzyć.

– Więc nie wierz – powiedziała. – Jeśli nie chcesz jej pytać, daj temu spokój i nic nie mów. W okolicy zawsze są złe języki, ludzie syczą jak węże. Może słyszałeś, co kiedyś opowiadano o mnie...

– Nie – rzekł Mark, unosząc wzrok. – Nigdy nie zwracałem uwagi na takie gadanie... dopiero kiedy...

– To dlaczego teraz zwracasz uwagę? Wiesz, Mark, krążą też plotki, że kapitan Poldark to ojciec pierwszego dziecka Jinny Carter, bo mają bliźny w podobnych miejscach.

– Nie – odparł Mark i splunął. – Za przeproszeniem, to podłe łgarstwo. Wiem o tym, tak samo jak każdy uczciwy człowiek. Złośliwe kłamstwo, pani.

– Cóż, gdybym zaczęła w nie wierzyć, mogłabym być równie nieszczęśliwa jak ty, prawda?

Wysoki mężczyzna popatrzył na Demelzę. Na jego twarzy pojawiła się lekka ulga. Spojrzał na swoje ręce.

– O mało nie udusiłem człowieka, który mi o tym powiedział. Może za bardzo się zdenerwowałem. W ciągu ostatnich dwóch dni prawie nie mogłem pracować w kopalni.

– Wyobrażam sobie, co musiałeś czuć.

Nagle zaczął się tłumaczyć i znów obudziły się w nim podejrzenia.

– Widzi pani... widzi pani... Keren jest ładna i delikatna. Nie pasuje do kogoś takiego jak ja. Może popełniłem błąd, namawiając ją do małżeństwa, ale chciałem, by została moją żoną. Jest za piękna na żonę górnika, a kiedy to zrozumiałem, ogarnął mnie strach. Denerwowałem się, zacząłem ją podejrzewać. A potem pojawiły się plotki i człowiek, którego uważałem za przyjaciela, wziął mnie na bok i powiedział... powiedział... Łatwo się pomylić, pani Poldark, i uwierzyć, że w tych kłamstwach może być ziarno prawdy. – Popatrzył na morze. – Brudnych kłamstwach. Gdyby to była prawda... nie wytrzymałbym. Na Boga, nie wytrzymałbym. Nie to, że się spotyka z innym. Nie... – Przez chwilę poruszał grdyką. – Jeszcze raz dziękuję, pani. Jestem pani dłużnikiem. Zapomnę i zacznę wszystko od nowa. Może przyjdę i porozmawiam z kapitanem Poldarkiem, gdy będzie w domu, a może spróbuję poukładać sobie to wszystko w głowie, jak pani powiedziała. Do widzenia.

– Do widzenia – odpowiedziała i patrzyła na ogromną postać Marka, który szedł długimi krokami w stronę wydm i swojej chaty. Ruszyła w drogę powrotną do Nampary. Z kim mogłaby się spotykać Keren? – pomyślała, instynktownie wierząc w informacje kompromitujące dziewczynę. Czy jest ktoś, z kim mogłaby się zadawać? Keren spoglądała z góry na wszystkich mieszkańców wioski.

Demelza postanowiła wspomnieć o tym Rossowi po jego powrocie. Ciekawe, co powie. Wydawało się, że ktoś powinien ostrzec nie Marka, ale Keren – i jej przyjaciela – że Mark czegoś się domyśla. Trzeba jej powiedzieć, że mąż żywi podejrzenia. Mogłoby ją to przestraszyć, skłonić do zerwania znajomości i zapobiec tragedii. Musi pamiętać, by powiedzieć o tym Rossowi, gdy mąż wróci do domu.

Przeszedłszy przez murek od strony plaży, zauważyła, że Ross zsiada z konia przed drzwiami dworu w Namparze i wchodzi do domu. Pobieгла szybko pod górę, wołając do niego. Zapomniała o Marku Danielu i Keren na długo.

Rozdział szósty

Zastała męża w salonie. Zdejmował rękawiczki.

– Ross! – wykrztusiła. – Nie mogłam się doczekać twojego powrotu! Myślałam...

Odwrócił się.

– Och, Ross... – westchnęła. – Co się stało?

– Jest tu Jinny?

– Nie wiem. Chyba nie.

Usiadł.

– Widziałem się z Zackym. Może zdążył jej powiedzieć, nim wyszła.

– O czym?

Popatrzył na nią.

– Jim nie żyje.

– O mój Boże... Tak mi przykro. Ach, biedna Jinny! Ross, kochany...

– Nie powinnaś się do mnie zbliżać – rzekł. – Miałem kontakt z zarazą.

Nie odpowiedziała. Przysunęła fotel, usiadła obok Rossa i popatrzyła na jego twarz.

– Co się stało? – spytała. – Widziałeś go?

– Masz brandy?

Wstała i przyniosła kieliszek. Widziała, że już sporo wypił.

– Przeniesiono go do Launceston – wyjaśnił. – Znaleźliśmy go w więzieniu chorego na febrę. Powinni spalić to więzienie. To gorsze niż starodawne domy dla ofiar morowego powietrza. Cóż, okazało się, że jest chory, i zabraliśmy go stamtąd...

– Zabraliście go z więzienia?

– Strażnik bał się sprzeciwić. Zanieśliśmy go do obory i Dwight próbował go ratować. Ale jakiś człowiek podszywający się pod lekarza puścił mu krew w więzieniu i wdała się gangrena. Jediną nadzieją było amputowanie ręki, nim zaraza się rozszerzy.

– Amputowanie ręki?

Ross jednym haustem wypił brandy.

– Powinien tam być król i ministrowie: Pitt, Addison, Fox i Wilberforce, który leje łzy nad losem czarnych niewolników, zapominając o mieszkańcach własnego kraju, a także gruby książę Walii ze swoimi gorsetami i faworytami... To widowisko mogłoby rozbawić tych panów i ich upudrowane, uszmińkowane przyjaciółki. Bóg jeden wie, straciłem już nadzieję, że zrozumie ludzi. Cóż, Dwight zrobił wszystko, co możliwe, naprawdę nie szczędził wysiłków. Jim żył do świtu, ale szok był zbyt wielki. Pod koniec chyba mnie poznał. Uśmiechnął się i wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale nie miał sił. Umarł, a my pochowaliśmy go przy kościele w Lawhitton i wróciliśmy do domu.

Zapadło milczenie. Demelza była przerażona gniewem i goryczą Rossa. Na górze rozległo się kwilenie Julii, odgłos domowego świata. Nagle Ross wstał, podszedł do okna i popatrzył na swój wzorowo prowadzony majątek.

– Przez cały czas towarzyszył ci doktor Enys? – spytała Demelza.

– Byliśmy wczoraj tak zmęczeni, że spędziliśmy ostatnią noc w Truro. Dlatego przyjechaliśmy dopiero dziś rano. W drodze do domu spotkałem Zacky'ego. Jechał załatwiać sprawy odlewni, ale zawrócił, kiedy mu powiedziałem.

– Lepiej by było, gdybyś tam nie jeździł, Ross.

– Popełniłem błąd, że nie pojechałem dwa tygodnie wcześniej. Wtedy moglibyśmy go uratować.

– Co powiedzą sędziowie i konstable? Że wdarłeś się do więzienia i pomogłeś więźniowi uciec. Nie będziesz miał kłopotów?

– Kłopoty, owszem. Pszczoły zawsze muszą brzęczeć, bo taką mają naturę.

– A więc...

– Niechaj sobie brzęczą, Demelzo. Życzę im szczęścia. Poszedłbym na jutrzejszy bal z jeszcze większą ochotą, gdybym myślał, że zarażą się ode mnie febrą.

Podeszła do niego zaniepokojona.

– Nie mów tak, Ross. Źle się czujesz? Boisz się, że zaraziłeś się febrą?

– Nie, kochana. Nic mi nie jest. Powinienem być zdrowy, ponieważ Dwight podjął niezwykle środki ostrożności. Wydawało się, że sprawia mu to przyjemność. Uprał nasze ubrania i powiesił je nad beczką z płonąca smołą, by zabić smród więzienia. Ale nie spodziewaj się, że będę tańczył i żartował z tymi ludźmi, pamiętając o tym, co zrobili z Jimem.

Demelza milczała. Czowała ulgę, że Ross wrócił – groziły mu kłopoty, lecz przynajmniej przebywał w domu – i żałowała Jima i Jinny. Nagle ogarnęło ją przygnębienie, bo zrozumiała, że jej plany legły w gruzach. Mogłaby się sprzeczać, ale nie pozwalała jej na to lojalność i nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów.

W owym czasie wydawało jej się to kwestią lojalności. Ross musiał postąpić zgodnie ze swoim sumieniem, ona zaś powinna zaakceptować jego decyzję, mimo rozczarowania.

Przez cały dzień Ross był inny niż zwykle. Demelza, która prawie nie знаła Jima, zastanawiała się, dlaczego czuje taką gorycz z powodu śmierci młodego człowieka. Była to gorycz połączona ze smutkiem. Ross wiedział, że Jim jest wobec niego lojalny, i odpłacał mu jeszcze większą lojalnością. Zawsze próbował pomagać Carterowi, lecz jego wysiłki okazywały się spóźnione. Tym razem podjął ostatnią próbę i poniósł ostateczną klęskę. O piątej poszedł zobaczyć się z Jinny. Nie miał ochoty się z nią spotykać, lecz nie mógł postąpić inaczej.

Nie było go przez godzinę. Kiedy wrócił, Demelza podała mu obiad, ale nie tknął jedzenia. Powoli namówiła go do spróbowania kilku potraw, jakby karmiła rozkapryszone dziecko. Było to dla niej nowe doświadczenie. O siódmej Jane posprzątała ze stołu, a Ross usiadł, wyciągnąwszy nogi, w fotelu przy kominku. Nie opuścił go smutek, jednak trochę się uspokoił i rozluźnił.

A później dostarczono suknię.

Spoglądała ze zmarszczonymi brwiami na wielkie pudło, po czym zniosła je do Rossa. Ledwo zdołała się precyzyjnie przesuwać przez drzwi salonu.

– Bartle przed chwilą przywiózł to z Trenwith – powiedziała. – Wysłali służących po prowiant do Truro i pani Trelask poprosiła o przekazanie nam tego pudła. Co to może być?

– Bartle ciągle tu jest? Daj mu sześć pensów, dobrze?

Ross spoglądał ponuro na pakunek. Po chwili Demelza wróciła do salonu i również patrzyła na pudło, od czasu do czasu zerkając na męża.

– Myślałam, że to pomyłka, że Bartle zawiózł to w złe miejsce. Zamówiłeś coś u pani Trelask, Ross?

– Tak – odpowiedział. – Mam wrażenie, że to się działo rok temu. Wstąpiłem do niej w drodze do Launceston i kazałem uszyć suknię dla ciebie.

– Och... – westchnęła Demelza. Jej ciemne oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

– Na jutrzejszy bal. Wtedy jeszcze myślałem, że na niego pojedziemy.

– Och, Ross, jesteś taki dobry! Mogłabym ją zobaczyć?

– Jeśli cię to interesuje – odrzekł. – Przyda się kiedyś w przyszłości.

Demelza podbiegła do pudła i zaczęła rozwiązywać sznurek. W końcu rozsupłała węzeł i uniosła

wieko. Wyjęła kilka arkuszy papieru i kawałek płótna, po czym zamarła. Dotknęła sukni palcami i ją wyjęła. Zalśniło srebro i szkarłat.

– Och, Ross, nigdy nie przypuszczałam...

Włożyła suknię do pudła, uklękła i się rozpłakała.

– Przyda się kiedyś w przyszłości – powtórzył. – Nie podoba ci się?

Nie odpowiedziała, tylko przycisnęła dłonie do twarzy. Między jej palcami ciekły łzy. Ross sięgnął po butelkę brandy, ale okazała się pusta.

– Nie moglibyśmy dobrze się czuć w czasie jutrzejszego balu, nie teraz, gdy mamy to wszystko świeżo w pamięci. Dobrze byś się bawiła?

Pokręciła głową.

Obserwował ją przez chwilę. Umysł miał zaćmiony alkoholem, lecz nie mógł spokojnie patrzeć na płaczącą żonę.

– Jest jeszcze coś, co mogłabyś obejrzeć, jeśli chcesz. Kazałem uszyć również płaszcz.

Ale ona nie chciała go oglądać. A potem John Gimlett wprowadził Verity.

Demelza szybko wstała, podeszła do okna i popatrzyła na ogród. Nie miała chusteczki, więc otarła policzki dłońmi i koronkowymi mankietami sukni.

– Przyszłam nie w porę – powiedziała Verity. – Cóż, teraz nie ma sensu się wycofywać. Wiem, że nie powinnam przyjeżdżać dziś wieczorem. Och, moja droga, tak mi przykro z powodu Jima!

Demelza odwróciła się i pocałowała kuzynkę, lecz nie spojrzała jej w oczy.

– Jesteśmy... jesteśmy trochę wytrąceni z równowagi, Verity. Śmierć Jima to tragedia, to naprawdę...

– Wyszła z salonu.

Verity popatrzyła na Rossa.

– Wybacz, że pojawiaam się nie w porę. Zamierzałam przyjechać wczoraj, ale pomagałam Elizabeth pakować bagaże.

– Bagaże? Dokąd się wybrała?

– Spędzi z Francisem dwa dni u Warlegganów. Zostałam w Trenwith i pomyślałam sobie, że pozwolisz mi pojechać jutro razem z wami.

– Bardzo mi przykro, ale niestety zrezygnowaliśmy z balu.

– Myślałam, że to od dawna ustalone... Chcesz powiedzieć... – Verity usiadła. – Z powodu Jima...

Ross z ponurą miną kopnął jedno z polan w kominku.

– Mam mocny żołądek, Verity, ale wyrzygałbym się na widok upudrowanej peruki.

Verity kilkakrotnie zerknęła na otwarte pudło.

– Przyniósł je Bartle? To przecież suknia!

Ross wyjaśnił wszystko w kilku słowach. Verity miała rękawiczki i pomyślała, że Ross jest naprawdę dziwnym człowiekiem: cynicznym, a zarazem sentymentalnym, niezwykłym połączeniem swojego ojca i matki z dodatkiem czegoś, co trudno zdefiniować. Jak na standardy swojej epoki nie nadużywał alkoholu, a teraz pił na umór z powodu śmierci młodego człowieka, który przed pójściem do więzienia pracował u niego rok lub trochę dłużej. Każdy inny właściciel ziemski przyjąłby wieść o śmierci Jima ze wzruszeniem ramion i na pewno nie jeździłby do więzienia, żeby go ratować. A gest z suknią... Nic dziwnego, że Demelza płakała.

Verity pomyślała, że wszyscy Poldarkowie są w głębi duszy sentymentalni, i nagle po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że to niebezpieczna cecha, znacznie bardziej niebezpieczna od cynizmu. Ona sama również jest sentymentalna: żyje znowu spełniona, szczęśliwa wśród nędzy i niezadowolenia innych, wikłając się w romans, który mógł w każdej chwili skończyć się katastrofą i sprowadzał się do celowego zamknięcia oczu na jedną ze stron życia, wyrzucenia z pamięci przeszłości i snucia nierealnych planów na

przyszłość. Czasami budziła się w środku nocy, myślała o tym wszystkim i czuła lodowaty chłód. Ale w dzień wciąż była szczęśliwa.

Również Francis jest sentymentalny. Połowa jego nieszczęść bierze się z tego samego źródła. Oczekiwał zbyt wiele od życia, od siebie, od Elizabeth. Zwłaszcza od Elizabeth. Kiedy oczekiwania się nie spełniły, zaczął uprawiać hazard i pić. Nie potrafił się z tym pogodzić. Żaden z Poldarków nie potrafi się pogodzić z rzeczywistością.

– Ross – rzekła w końcu po długim milczeniu. – Moim zdaniem nie postąpiłbyś mądrze, gdybyś nie pojechał na jutrzejszy bal.

– Dlaczego?

– Cóż, sprawiłbyś ogromny zawód Demelzie, bo szykuje się do tego balu od chwili, gdy was zaproszono. Chociaż współczuje Jimowi i Jinny, będzie bardzo nieszczęśliwa, jeśli zostanie w domu. Ta suknia, którą tak nierozważnie kupiłeś, tylko powiększy jej rozczarowanie, choć był to piękny gest. Sprawisz zawód również mnie, bo będę musiała pojechać sama. Ale co najważniejsze, powinieneś się tam pojawić dla własnego dobra. Nie możesz już pomóc biednemu Jimowi. Zrobiłeś wszystko, co możliwe, i nie powinieneś mieć wyrzutów sumienia. Pozostanie w Namparze może ci zaszkodzić. Wdarcie się do więzienia nie przysporzy ci popularności. Jutrzejsze pojawienie się wśród ludzi podkreśli, że należysz do wyższych sfer, a jeśli planują jakieś posunięcie, mogą się zreflektować.

Ross uniósł się z miejsca i przez chwilę stał oparty o gzyms kominka.

– Twoje argumenty budzą we mnie niesmak, Verity.

– W tej chwili, mój drogi, wszystko może się wydawać niesmaczne. Aż za dobrze znam to uczucie. Ale to przypomina stanie na mrozie, Ross. Jeśli człowiek nie idzie naprzód, umiera.

Podszedł do kredensu i szukał drugiej butelki brandy. Nie znalazł jej.

– Dziś wieczorem nie jestem w stanie rozsądnie myśleć – odezwał się nagle, czując zamęt w głowie.

– Demelza powiedziała, że nie chce jechać na bal.

– Cóż, musiała tak powiedzieć.

Zawahał się.

– Przemyślę to, Verity, i rano cię zawiadomię.

Rozdział siódmy

Kiedy w końcu, nie naradzając się z nikim więcej, Ross postanowił pojechać na bal i kiedy po przybyciu do Truro wprowadzono Demelzę do jednej z sypialni Wielkiego Domu, jak nazywano miejski pałac Warlegganów, ogarnęła ją lekka niepewność, która nieco zepsuła początkowe podniecenie.

Po pierwsze, współczuła Jinny, która zeszłej nocy próbowała się powiesić na belce w kuchni swojej chaty. Po drugie, niepokoiła się o Rossa – po powrocie z Bodmin nie trzeźwiał do końca i przypominał beczkę prochu mogącą eksplodować od przypadkowej iskry. Po trzecie, martwiła się o Julię, pozostawioną w Trenwith pod opieką pani Tabb.

Ale wszystkie te kwestie, chociaż istotne, nie zdołały zepsuć przyjemności z wyprawy.

Wrodzony dobry smak podpowiadał Demelzie, że rezydencja Warlegganów nie może się równać z pełnym elżbietańskiego uroku Trenwith, ale podziwiała wspaniałe meble, miękkie dywany, roziskrzzone żyrandole, liczną służbę. Przytłaczała ją duża liczba gości i swoboda, z jaką się witali – patrzyła na kosztowne stroje, upudrowane peruki, muszki na twarzach, złote tabakierki i lśniące pierścienie.

Przyjęcie przypominało audiencję na dworze królewskim przed oficjalnym rozpoczęciem balu, a George Warleggan zadbał, by pojawiła się cała śmietanka towarzyska okręgu. Lub przynajmniej ta jej część, która przyjęła zaproszenie. Lord namiestnik i jego rodzina grzecznie odmówili, podobnie jak Bassetowie, Boscawenowie i St Aubynowie, którzy nie byli jeszcze gotowi przestawać na równej stopie z parweniuszami. Ale ich nieobecność zauważyli tylko baczni obserwatorzy lub złośliwcy. Demelza przypomniała sobie niejasno, że spotkała już gdzieś sir Johna Tego albo lorda Tamtego, po czym w oszołomieniu wspięła się po schodach za służącą do swojej sypialni. Czekwała na przybycie pokojówki, która miała pomóc jej włożyć suknię i upiąć włosy. Myślała o tym z przerażeniem i miała zimne ręce, lecz była to cena przygody. Zdawała sobie sprawę, że znacznie lepiej poradzi sobie z sir Johnem Treneglosem, którego rodowód sięgał czasów Wilhelma Zdobywcy, niż zniesie wścibski wzrok bezczelnej służącej, która nawet gdyby nie wiedziała, kim wcześniej była pani Poldark, szybko się zorientuje.

Siedziała przy toaletce i patrzyła w lustrze na swoją zarumienioną twarz. Cóż, naprawdę tu była. Ross jeszcze nie przyjechał. Wśród gości mignął Dwight Enys, młody i przystojny, oraz stary Nicholas Warleggan, ojciec George'a, wysoki, pompatyczny i bezwzględny. Zauważyła duchownego Halse'a, chudego, zasuszonego, lecz pełnego energii i rozmawiającego z arystokratami jak równy z równym, a nie unizonego jak wielebny Odgers z Sawle i wioski Gambler. Demelza wiedziała, że to właśnie doktor Halse i stary Nicholas Warleggan skazali Jima Cartera. Z lękiem myślała o tym, co może się wydarzyć.

Rozległo się pukanie do drzwi, weszła służąca i Demelza powstrzymała chęć wstania.

– Przed chwilą to przyniesiono, pani. Kazano mi to pani przekazać. Dziękuję, pani. Za chwilę przyjdzie pokojówka, która pomoże się pani ubrać.

Demelza popatrzyła na paczuszkę. Znajdował się na niej napis: „Wielmożny Pan Ross Poldark”, a powyżej Ross nabazgrał pośpiesznie (inkaust nie zdążył jeszcze wyschnąć): „Dostarczyć Pani Demelzie Poldark”.

Rozerwała papier, wyjęła niewielkie pudełeczko, otworzyła je i głęboko zaczerpnęła powietrza. Po chwili delikatnie, jakby się obawiała, że się sparzy, wyjęła kciukiem i palcem wskazującym złotą broszkę.

– Och... – westchnęła.

Uniosła klejnot i przyłożyła do piersi, by zobaczyć go w lustrze. Rubin skrzył się i mrugał do niej. Poraził ją gest Rossa. Ogarnęła ją czułość do niego. Jej czarne, pełne wzruszenia oczy błyszczały nad klejnotem, gdy patrzyła na siebie w lustrze. Ten podarunek doda jej pewności siebie. Kiedy pojawi się na

balu w nowej sukni i z tą broszką, nikt nie będzie spoglądał na nią z góry. Nawet służące.

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła pokojówka.

Demelza zamrugała i szybko zmięła opakowanie broszki. Była zadowolona, że przysłali kobietę w starszym wieku.

Cóż, wreszcie włożyła tę suknię. Nie wyglądała w niej przyzwoicie, nie było co do tego wątpliwości, ale wydawało się, że pokojówka uważa to za normalne. Oczywiście inne kobiety też nosiły podobne stroje, tak nakazywała moda, lecz one były do tego przyzwyczajone, a Demelza nie.

Suknia miała podobny fason do tej, którą zamówiła w towarzystwie Verity, lecz była śmielsza. Dekolt był znacznie głębszy. Wspaniale marszczyła się na biodrach, a dłonie Demelzy otaczały piękne koronki, choć nie były wcale potrzebne. Nie miała pojęcia, skąd Ross wziął tę suknię. Na pewno kosztowała fortunę, to oczywiste. Wydał na nią mnóstwo pieniędzy. Kochany, kochany Ross! Niewiarygodnie kochany! Jakże szczęśliwa byłaby tego wieczoru, gdyby nie zepsuła go śmierć biednego Jima!

Demelza nie przycinała włosów po narodzinach Julii i pozwalała im rosnąć. Pokojówka upięła je wysoko. Ciemne, bujne sploty lśniły delikatnie w blasku świec podkreślających ich urodę. Służąca przyniosła szkatułkę z pudrem, lecz natychmiast przyznała rację Demelzie, która nie wyraziła zgody na jego użycie. Takie włosy nie potrzebowały upudrowania. Jednak nie podzieliła opinii jaśnie pani, że należy zrezygnować z makijażu, i zajmowała się teraz jej twarzą. Demelza niespokojnie poddawała się zabiegom kosmetycznym, co sprawiło, że entuzjazm kobiety nie przekroczył rozsądnych granic. Skończyło się na lekkim przedłużeniu ciemnych brwi, nałożeniu na twarz odrobiny pudru, by skóra nie lśniła, i uróżnianiu ust.

– Jedna czy dwie muszki, jaśnie pani? – spytała pokojówka.

– Nie, dziękuję. Nie lubię muszek!

– Bez muszki makijaż będzie niekompletny, jaśnie pani. Wolno mi zaproponować jedną pod lewym okiem?

– Och, dobrze... – westchnęła Demelza. – Skoro tak uważasz...

Po pięciu minutach przypięła broszkę i spytała:

– Mogłabyś mi powiedzieć, gdzie jest pokój panny Verity Poldark?

– Na końcu korytarza. Drugie drzwi po prawej stronie, jaśnie pani.

Sir Hugh Bodrugan bębnił włochatymi palcami w tabakierkę.

– Niech mnie kule biją! Co to za dzierlatka weszła przed chwilą do sali balowej, Nick? Ta z ciemnymi włosami i ładną szyją. Idzie z panną Poldark, prawda?

– Nigdy wcześniej jej nie widziałem. Smaczny kąsek, przyjemnie na nią popatrzeć.

– Przypomina mi moją klacz Shebę – zauważył sir Hugh. – Ten sam błysk w oczach. Oczywiście wymagałaby tresury, to jasne. Ale chętnie bym się tym zajął.

– Enys, pan zna Poldarków. Kim jest ta sympatyczna ślicznotka, z którą przed chwilą przyszła panna Verity?

– Żona kapitana Poldarka, panie. Są małżeństwem od dwóch lat.

Sir Hugh zmarszczył gęste brwi, usiłując sobie przypomnieć. Myślenie nie było jego ulubioną rozrywką.

– Tak, ale krążyły plotki, że poślubił kogoś z ludu, wiejską dziewczkę lub coś w tym rodzaju?

– Trudno mi powiedzieć – odparł drewnianym tonem Dwight. – Nie było mnie wtedy w tych stronach.

– Cóż, może to ona – wtrącił Nick.

– Na Boga, nie wierzę! Wiejskie dziewczki po prostu tak nie wyglądają. Przynajmniej nie w moim

majątku. Zresztą bardzo żałuję. Nie, to nie dziewczka z ludu, ma zbyt smukłą kibić. Enys, zna pan żonę kapitana Poldarka. Proszę mnie przedstawić.

Demelza spodziewała się, że spotka Rossa, lecz nie zauważyła go w tłumie. Obok niej stał lokaj, więc podobnie jak Verity wzięła kieliszek porto. Do Verity podeszła panna Robartes i wkrótce Demelza została sama. Goście zwracali się do niej, a ona odpowiadała im z roztargnieniem. Porto pomogło, jak zawsze, i pomyślała, że Ross popełnił błąd, nie pozwalając jej go pić w czasie chrzcina. Tego wieczoru było szczególnie potrzebne, bo miała na sobie nową suknię. Po chwili zauważyła idącego w jej stronę Dwighta Enysa i poczuła ulgę. Towarzyszył mu starszy, barczysty dżentelmen o krzaczastych brwiach i włochatych nozdrzach. Dwight przedstawił go jako sir Hugh Bodrugana. Demelza spojrzała na niego z zainteresowaniem i napotkała wzrok, który ją zaskoczył. Już dwukrotnie widziała taki wyraz w oczach mężczyzny: u Johna Treneglosa w czasie przyjęcia na Boże Narodzenie dwa lata wcześniej, a drugi raz tego wieczoru, gdy popatrzył na nią nieznajomy człowiek mijany na schodach.

Zaczerpnęła tchu i dygnęła.

– Do usług, pani!

– Miło mi pana poznać.

– Na Boga, pani, doktor Enys twierdzi, że jest pani małżonką kapitana Poldarka z Nampary. Od dwóch lat jesteśmy sąsiadami i nie mieliśmy okazji się poznać. Cieszę się, że możemy naprawić to niedopatrzenie. – Sir Hugh pstryknął palcami na lokaja. – Wina dla pani, gamoni! Ma pusty kieliszek.

Demelza wypła drugi kieliszek porto.

– Dużo o panu słyszałam, sir Hugh.

– Doprawdy? – Bodrugan wydał wargi. – Ufam, że te opowieści nie przedstawiały mnie w niekorzystnym świetle, pani.

– Nie, bynajmniej. Podobno hoduje pan tłuste bażanty, które sprawiają kłopoty ubogim kłusownikom próbującym je kraść.

Sir Hugh wybuchnął śmiechem.

– Mam również serce, pani, i nikomu jak dotąd nie udało się go skraść.

– Może strzeże go pan równie skutecznie jak bażantów.

Demelza zauważyła, że Dwight patrzy na nią ze zdziwieniem.

– Nie, pani – odparł sir Hugh, pożerając Demelzę wzrokiem. – Moje serce łatwo skraść komuś, kto ma do niego klucz.

– Wielki Boże, Hughie! – wtrąciła macocha Bodrugana, która nagle pojawiła się obok Demelzy. – Myślałam, że odjechałeś beze mnie, stary diable! Zamówiłeś karete, prawda? Nie mogę się zajmować takimi bzdurami. – Wdowa po ojcu sir Hugh, dwadzieścia lat młodsza od pasierba, poprawiła z niezadowoloną miną atlasową suknię, po czym zmierzyła Demelzę wzrokiem od stóp do głów. – Kto to taki? Nie miałam przyjemności, panienko.

– To żona kapitana Rossa. Z Nampary. Niech mnie kule biją, właśnie mówiłem, że postąpiłem bardzo niegrzecznie, nie zapraszając ich na wieczornego wista...

– Poluje pani? – spytała ostro Constance Bodrugan.

– Nie, szanowna pani. – Demelza dopiła porto. – Mam trochę współczucia dla lisów.

Lady Bodrugan wytrzeszczyła oczy.

– Ha! Metodystka czy co?! Od razu to wyczułam. Zaraz, zaraz, nie jest pani córką górnika?

Demelza poczuła, że drży z nagłej wściekłości.

– Tak, pani. Ojca powieszono na szubienicy w Bargus, gdzie rozdziobały go kruki, a matka parała się rabunkiem i spadła z klifu.

Sir Hugh ryknął śmiechem.

– Dobrze ci tak, Connie! Nie zadawaj głupich pytań! Proszę nie zwracać uwagi na moją macochę, pani Poldark. Szczeka jak jej ogary, ale niewiele w tym złości.

– Niech cię diabli, Hugh! Przepraszaj za swoje zachowania. Jeśli ci się wydaje...

– Ach, tu jesteście! – Ku grupce, w której stała Demelza, przepchnął się niezgrabnie sir John Treneglos. Przynajmniej raz był elegancko ubrany, a jego piegowata twarz była już zaczerwieniona od wina. – Hugh i Connie, kłócący się jak zwykle. Powinienem być się domyślić. I pani Demelza! – dodał z udawanym zdziwieniem. – Ach, cóż za miłe spotkanie! Wyczha! Pani Demelzo, proszę mi obiecać pierwszy taniec angielski.

– Cóż, to niemożliwe, John – odezwał się sir Hugh. – Pani Demelza obiecała go mnie. Prawda, pani? – Mrugnął.

Demelza wypła kolejny kieliszek, który ktoś włożył jej do ręki. Widziała Johna Treneglosa po raz pierwszy od czasu awantury z jej ojcem, ale najwyraźniej nie przejmował się tym incydentem lub o nim zapomniał. Kątem oka spostrzegła Ruth Treneglos przeciskającą się przez tłum w stronę męża.

– Wydawało mi się, że obiecałam panu drugi taniec, sir Hugh – odrzekła.

John Treneglos się skłonił i zauważyła w jego oczach ten sam niezwykle wyraz.

– Dziękuję pani. Nie mogę się już doczekać pierwszego tańca.

– Przybył kapitan Poldark – rzekł Dwigth niemal z ulgą.

Demelza odwróciła się i zobaczyła Rossa, Francisca i Elizabeth wchodzących razem do sali. Wielki Boże, za kogo ci mężczyźni się uważają?! – pomyślała. Żaden z nich nawet nie umywa się do Rossa. Tego wieczoru jego mocne kości policzkowe wydawały się bardziej wyraziste, a blizna była prawie niewidoczna. Nie rozglądał się za Demelzą. Francis wydawał się przy nim mały. Krój i barwa ich oczu były podobne, jak u rodzeństwa.

Wyglądali jak bracia wchodzący do sali pełnej wrogów i szykujący się do walki. Demelza zastanawiała się, czy pozostali goście również tak to odbierają, ponieważ gwar nieco przycichł.

Nagle pojawił się George Warleggan, który zaczął krążyć po sali i uprzejmie przypominać, że jest za dziesięć ósma.

Była piękna noc i Demelza namówiła Rossa, by poszli pieszo do gmachu Assembly Rooms. Znajdował się niedaleko, a gdyby starannie wybrali drogę, dotarliby na miejsce czysto. Na ulicach było już wielu ludzi, często pijanych, i Demelza miała ochotę zobaczyć, jak oni się bawią.

W mieście płonęły dwa olbrzymie ogniska, jedno na scenie teatru nad miastem, drugie zaś na placu High Cross naprzeciwko gmachu Assembly Rooms. Szeptano, że w Falmouth ma się odbyć pokaz sztucznych ogni, lecz w Truro nie przewidziano takich wyszukanych atrakcji. Gdzieniedzie w wąskich uliczkach ustawiono latarnie na drągach, a księżyc w ostatniej kwadrze jeszcze nie zaszedł, więc było dość jasno.

Demelza chciała również odbudować kontakt z Rossem. Nagły podziw tylu mężczyzn zaskoczył ją i wprowadził w uniesienie, lecz w rzeczywistości nic dla niej nie znaczyli. Pragnęła być z Rossem, dotrzymać mu towarzystwa, zachęcać do zabawy, być podziwiana. Jednak nie potrafiła przebić muru gniewu i niechęci. Nie były skierowane do Demelzy, ale utrudniały nawiązanie rozmowy. Ross zapomniał nawet o troskach związanych z odlewnią miedzi, które trapiły go przez całą zimę. Próbowwała mu podziękować za wspaniały podarunek, lecz w ogóle nie zareagował.

Jego spojrzenie zmieniło się tylko na chwilę, gdy zobaczył ją w nowej sukni, jednak nie potrafiła utrzymać jego zainteresowania, sprawić, by przestał myśleć o Jimie.

Dotarli do schodów prowadzących do gmachu Assembly Rooms, zatrzymali się i popatrzyli za siebie. Na środku niewielkiego placu strzelały w niebo płomienie ogromnego ogniska. Wokół poruszały się i tań-

czyły żółtozarne postacie oświetlone przez ogień. W wykuszowych oknach domów po przeciwnej stronie placu i po prawej stronie widać było twarze starców i dzieci obserwujących zabawę. Po lewej stronie światło padało na nieme drzewa i białe nagrobki. Przed wejściem zatrzymały się kareta i lektyka, a Ross i Demelza odwrócili się i weszli po schodach.

Rozdział ósmy

Uroczystość, którą zaszczycał swoją obecnością lord namiestnik hrabstwa, była z definicji doniosłym wydarzeniem. Lord namiestnik reprezentował króla w sprawach dużej i małej wagi. Ściśle biorąc, mianował sędziów pokoju, a pełnienie tej funkcji wiązało się z ogromnymi wpływami. Sędziowie pokoju rządzą hrabstwem, nie podlegając żadnej kontroli politycznej ani finansowej. Dlatego lord namiestnik był człowiekiem cieszącym się szacunkiem: schlebiano mu i płaszczono się przed nim.

Tego wieczoru goście mieli grać w karty, wznosić toasty, tańczyć, korzystać z bogato wyposażonego bufetu. Sale ozdobiono czerwonymi, białymi i błękitnymi wstęgami, a za podwyższeniem, na którym grała orkiestra, wisiał portret króla Jerzego.

Kiedy Demelza przybyła na miejsce, natychmiast zauważyła Andrew Blameya. Stał w dyskretnym miejscu, skąd mógł widzieć drzwi, i wiedziała, że wypatruje Verity. Demelzie zabiło mocno serce, bo Verity miała przyjść z Francisem, co mogło doprowadzić do kłopotów.

Po pobycie w pałacu Warlegganów mniej więcej wiedziała, czego oczekiwać, a pojawienie się osób, które tam spotkała, dało jej trochę czasu na nabranie pewności siebie. Czowała niezwykłą przyjemność, wymieniając pozdrowienia z ludźmi poznanymi wcześniej. Nawiązała z nią rozmowę Joan Pascoe i przedstawiła młodego człowieka o nazwisku Paul Carruthers, kadeta marynarki wojennej. Wśród gości byli doktor Choake i jego żona, ale nie podeszli do Demelzy. Niespodziewanie zbliżyła się do niej Patience Teague. Żonie Rossa bardzo to zaimponowało, dopóki nie zaczęła podejrzewać, że powodem jest jej przynależność do grupy George'a Warleggana. Później przez tłum przepchnął się gruby, blady, nieustannie mrugający mężczyzna o nazwisku Sanson (widziała go w czasie rozruchów w Truro) i podjął rozmowę z Rossem. Mówili o jakiejś przegranej w karty. Rozstali się, nim zrozumiała, o co chodzi.

Otoczali ją nieznanymi oraz ludźmi, których znała bardzo słabo. Znowu pojawili się sir Hugh i sir John Treneglos, a także dżentelmen nazwiskiem St John Peter, przystojniejszy od innych i młody. Kilku mężczyzn mówiło do niej jednocześnie, ona zaś odpowiadała z roztargnieniem, skupiając uwagę na czym innym. Na lordzie namiestniku; na tym, w jaki sposób można sprawić, że tyle świec pali się równo; jak dotrzeć do Rossa; czy Andrew Blamey w dalszym ciągu stoi w rogu; jakie kwiaty znajdują się w wysokich wazonach; czy nowa suknia dobrze leży; czy będzie mogła tańczyć z tak wysoko upiętymi włosami? Otaczający ją ludzie kilka razy wybuchali śmiechem i zastanawiała się z niepokojem, czy któryś z nich powiedział coś dowcipnego, czy może w jakiś sposób się zbłąźniła.

Miała ochotę czegoś się napić, nie ulegało wątpliwości. Trzy kieliszki porto wypite w pałacu Warlegganów dodały jej pewności siebie, która teraz powoli ją opuszczała. Należało coś wypić dla kurażu.

Nagle zagrała orkiestra i gwar ucichł. Wszyscy znieruchomieli. Demelza zdała sobie sprawę, że muzycy grają *Boże, chroń króla*. Kiedy hymn się skończył, sala ponownie wypełniła się głosami. Ktoś znalazł dla Demelzy miejsce między Patience Teague a Joan Pascoe. Próbowwała chłodzić się wachlarzem pożyczonym od Verity.

Dwight Enys przybył z jakimś młodym człowiekiem, a ona miała wrażenie, że w tłumie mignęła suknia Verity.

Na końcu sali ktoś przemawiał, lecz nic nie widziała ze swojego fotela i słyszała tylko strzępy zdań: „Jego Królewska Mość”, „Opatrzność Boża”, „cały naród”, „wdzięczne serca”. Mówca umilkł i rozległy się oklaski. W tle słychać było dźwięki viol da gamba strojonych przez muzyków. Do Demelzy podeszło kilku dżentelmenów. Chcieli, by zatańczyła z nimi pierwszego menueta. Gdzie jest Ross? Popatrzyła na otaczające ją twarze i skinęła lekko głową w stronę St Johna Petera. Mężczyzna o nazwisku Whitworth, przystojny i ubrany przesadnie elegancko, poprosił ją o drugi taniec. Zgodziła się, lecz nie przyrzekła

nikomu trzeciego. Ross powinien wrócić.

Orkiestra zaczęła grać i na środek sali wyszła para bardzo dostojnych, starszych państwa, którzy otwierali tańce. Po minucie muzycy przestali grać, rozległy się oklaski i sformowały się pary.

Demelza udała się na środek sali z St Johnem Peterem, który zauważył, że wyraz twarzy partnerki się zmienił. Znikło lekkie roztargnienie i ujmująco zwodniczy niepokój ustąpił miejsca zamyśleniu. St Peter zastanawiał się, dlaczego Demelza marszczy brwi i nie odpowiada na jego uwagi. Nie zdawał sobie sprawy, że jest skupiona na tym, by przypomnieć sobie lekcje udzielane przez panią Kemp.

Okazało się, że sobie radzi. Kiedy taniec się skończył i czekała na następny, wiedziała, że nie ma się czego obawiać.

W pobliżu rozległ się głos Joan Pascoe:

– Nigdy cię nie widzimy, Dwight. Nie odwiedzasz Truro?

– Jestem bardzo zajęty – odpowiedział Enys. Wyrzut brzmiały w głosie Joan sprawił, że Dwight się zarumienił. – Większość czasu zajmuje mi praca, a w okolicy jest mnóstwo ciekawych przypadków.

– Cóż, zawsze możesz u nas przenocować lub zjeść wieczerzę, gdy przyjedziesz po lekarstwa. Mama i papa ucieszą się z twojej wizyty.

– Dziękuję – odpowiedział nieco sztywnym tonem. – Dziękuję, Joan. Będę o tym pamiętał.

Złożyli sobie ukłon i rozeszli się, gdy zmienił się taniec.

– Jerzy jest dziś bardzo popularny – zauważył St John Peter, wskazując ruchem głowy portret na końcu sali. – Dobrze pamiętam, gdy go krytykowano za wojnę w Ameryce.

– Ile ma lat? – spytała Demelza.

– Kto?

– Król.

– Ach, chyba około pięćdziesięciu!

– Zastanawiam się, za kogo może się uważać szalony król – powiedziała Demelza. – Byłoby dziwne, gdyby przez pomyłkę uznał, że jest królem Anglii.

St John Peter wybuchnął śmiechem.

– Wie pani, że jesteśmy kuzynami?

– Kto? Pan i król Jerzy?

– Nie. Pani i ja. Babka Rossa i mój dziadek byli rodzeństwem.

– Babka Rossa nie była przecież moją babką.

– Tak, ale łączy nas powinowactwo. To ciekawe, prawda?

– Owszem, ciekawe – odrzekła z roztargnieniem Demelza. – Jestem wyjątkowo zaciekawiona.

Peter znów się roześmiał i odeszli w przeciwnych kierunkach.

– Nie powinieneś przychodzić tu dziś wieczorem – powiedziała Verity. – Ludzie już nas zauważyli. Za kilka dni będzie o tym plotkował cały okręg.

– Właśnie o to mi chodzi. Nie ma sensu utrzymywać tego w tajemnicy, kochana. Stawmy temu czoło.

– Ale boję się o Francisa. Jeśli dziś cię zobaczy, może zrobić jakieś głupstwo. Jest w złym humorze.

– Czy musimy czekać w nieskończoność, aż będzie w dobrym nastroju? Nie może nas powstrzymać. Prawdopodobnie nie będzie nawet gwałtownie protestował. Dorósł, nie jest już zapalczywym młodzieńcem. Nasza miłość nie ma w sobie nic niestosownego. Dlaczego miałoby tak być? Dlaczego miałby ją skalać mój stary grzech, który wielokrotnie odpokutowałem? Zamierzam porozmawiać dziś z Francisem.

– Nie, nie dziś, Andrew. Nie dziś. Mam... mam złe przeczucia.

Orkiestra złożona z fletu, oboju i smyczków grała stary włoski menuet, wdzięczny i wyrafinowany. Tony muzyki, chociaż ciche, docierały do każdego zakątka sali balowej, przenikały przez ściany do bufetu, gdzie podawano przekąski, do pokoju wypoczynkowego, do sali karcianej...

Kiedy Ross i Sanson spotkali się przy drzwiach, młynarz powiedział:

– Od dawna czekam na sposobność, by znów z panem zagrać, kapitanie Poldark. Dobrzy gracze zdarzają się bardzo rzadko, a pojedynek z mistrzem to wielka przyjemność.

– Dziękuję, nie mam dziś ochoty na grę w karty – odparł Ross.

– Jestem głęboko zawiedziony, kapitanie. Ostatnim razem wygrał pan ze mną i zgarnął okrągłą sumkę, więc liczyłem na możliwość rewanżu. To dla mnie bolesny zawód. – Wypowiedział te słowa znaczącym tonem.

– Towarzyszę swojej żonie. W tej sytuacji nie wypada, bym spędzał wieczór w sali karcianej.

– Która z obecnych dam jest pańską żoną? Chętnie bym ją poznał.

Ross rozejrzał się, lecz Demelzę otaczała grupka osób.

– Stoi tam.

– Wydaje się, że ma towarzystwo, jeśli wolno mi powiedzieć. Może zagramy szybką partyjkę, nim zabawa zacznie się na dobre?

Ross zauważył panią Teague w zdumiewającej sukni z jasnozielonego i złocistego muślinu z naszytymi zielonymi liśćmi i złotymi cekinami. Towarzyszyła jej matka Elizabeth, pani Chynoweth, której nie znosił. W tejże chwili pojawił się George Warleggan z Francisem i Elizabeth.

– Ach, Sanson – rzekł. – Taniec w takim ścisku to żadna przyjemność. Masz stolik?

– Zająłem miejsca. Ale stracimy je, jeśli się nie pośpieszymy. Namawiam kapitana Poldarka, by się do nas przyłączył.

– Serdecznie zapraszamy! – ucieszył się Warleggan. – Z Francisem będzie nas czterech.

– Kapitan Poldark nie ma dziś ochoty na grę – powiedział Sanson. – Przegrałem do niego sześćdziesiąt gwinei i miałem nadzieję, że je odzyskam...

– Albo stracisz następne sześćdziesiąt! – przerwał George. – Daj spokój, Ross, nie możesz odmówić Sansonowi prawa do zemsty. Francis ma wielką ochotę zaczynać. Nie psuj zabawy.

W balu uczestniczyło zbyt wielu ludzi, którzy wysłali Jima do więzienia. Uszmkowane, upudrowane kobiety w pantofelkach na wysokich obcasach, z wachlarzami, mężczyźni szczękający tabakierkami, arystokraci, ludzie marzący o tytułach arystokratycznych, ludzie sprawujący urzędy, ludzie pragnący zdobyć urzędy, bogaci i zubożali właściciele ziemscy, duchowni czerpiący dochody z tłustych prebend, piwowarzy, młynarze, kupcy handlujący żelazem, cyną i miedzią, armatorzy linii żeglugowych, bankierzy. Ludzie należący do klasy społecznej Rossa. Ludzie, którymi gardził.

Odwrócił się.

– Gdzie jest Francis? – z irytacją spytała pani Chynoweth kilka minut wcześniej. – Tańce już się zaczęły, a ty nie masz partnera, Elizabeth. To niedobrze, naprawdę bardzo niedobrze! Mógłby się pojawić przynajmniej po to, by zatańczyć pierwszy taniec z własną żoną. Poszukaj go, Jonathanie.

– Tak, skarbie.

– Usiądź, ojcze, proszę – powiedziała Elizabeth. – Francis jest w sali karcianej z Rossem i George'em. Widziałam, jak tam wchodzili. Nie wróci do sali balowej, nawet jeśli go poprosisz.

– To niedobrze. Naprawdę niedobrze. Skoro Francis nie przyjdzie, dlaczego odmawiasz doktorowi Enysowi i innym dżentelmenom? Jesteś zbyt młoda, by spędzać wieczór pod ścianą. To twój pierwszy bal od wielu lat i nie warto marnować czasu. – Pani Chynoweth wachlowała się energicznie, by okazać frustrację. Ostatnie lata bardzo ją zmieniły. Na ślubie Elizabeth była piękną kobietą, ale choroba i kuracja doktora Choake'a sprawiły, że oślepała na jedno oko, miała opuchniętą i pomarszczoną twarz. Była również głęboko rozczarowana, bo małżeństwo Elizabeth, w którym pokładała tak wielkie nadzieje, potoczyło się podobnie jak jej własne – a nawet gorzej, bo Jonathan nigdy nie posunął się tak daleko, by jego nazwisko łączono z inną kobietą. Od dwudziestu sześciu lat tracił po prostu pieniądze, stale i w irytujący

sposób.

– Elizabeth, czy zgodziłabyś się łaskawie zatańczyć ze mną drugi taniec? – spytał George Warleggan, który nagle pojawił się obok nich.

Uniosła wzrok i się uśmiechnęła.

– Obiecałam ci pierwszy, ale byłeś zajęty hazardem.

– Nie, zajmowałem się pozostałymi gośćmi. Nie zamierzałem się spóźnić. Pani Chynoweth... – pochylił potężne ramiona i złożył ukłon – ...jak uroczo dziś pani wygląda! Nie powinna pani siedzieć obok Elizabeth, która nie dorównuje pani urodą. Przysięgam, że gdy tylko ją zabiorę, ktoś zaraz zajmie jej miejsce. – Pani Chynoweth rozpromieniła się jak dziewczyna słyszająca pierwszy w życiu komplement. Kiedy George zaprowadził Elizabeth na środek sali balowej i ustawił się z nią do tańca, teściowa Francisca westchnęła.

– Szkoda, ogromna szkoda, Jonathanie!

– Co masz na myśli, skarbie?

– Jak mogliśmy pozwolić, by nasza córka wyszła za jednego z Poldarków! Za bardzo się pośpieszyliśmy. Elizabeth byłaby idealną żoną dla George'a!

– To parweniusz, prawda? – odparł Jonathan, gładząc się po jedwabistej brodzie. – Nie ma klasy.

– Ludzie przywiązują zbyt wielką wagę do pochodzenia – powiedziała niecierpliwie jego żona. Miała ochotę dodać, że sama popełniła błąd, poślubiając przedstawiciela starego rodu. – Wystarczy jedno pokolenie, by nabrać klasy. Czasy się zmieniły. Najważniejszy jest majątek.

Goście zaczęli tańczyć.

Demelza odzyskiwała pewność siebie, lecz czuła suchość w ustach.

– Duchowny? – spytała ze zdziwieniem, spoglądając na elegancki dwurzędowy surdut partnera, żółtą haftowaną kamizelkę, brązowe jedwabne spodnie i pończochy w prążki. – Nie, nigdy bym się nie domyśliła.

Niedawno wyświęcony wikariusz St Tudy i St Wen ścisnął lekko jej dłoń.

– Dlaczego nie, pani?

– Pastor z Grambler nosi połatany surdut i słomianą perukę.

– Phi, niewątpliwie jakiś biedny gryzipiórek zastępujący swojego dziekana...

– Kim pan jest? – spytała. – Biskupem?

Whitworth nisko się skłonił.

– Nie, pani, nie miałem jeszcze zaszczytu uzyskać tej godności. Ale dzięki pani zachętom wkrótce nim zostanę.

– Nie wiedziałam, że duchowni tańczą – rzekła.

– Niektórzy z nas posiadają tę umiejętność, pani.

– Tańczą jak niedźwiedzie? – odezwała się, spoglądając na partnera.

Whitworth cicho się zaśmiał.

– Tak, pani. Jesteśmy również znani z niedźwiedziego uścisku.

– Och, jestem bardzo zaniepokojona. – Demelza skłoniła się Whitworthowi z udawanym lękiem.

Oczy młodego człowieka rozbłysły. Chciał dalej rozmawiać i nie mógł się doczekać, aż zbliżą się do siebie.

George i Elizabeth tańczyli w uprzejmym milczeniu. Po chwili George powiedział:

– Elizabeth, wyglądasz prześlicznie w tej sukni! Żałuję, że nie jestem poetą albo malarzem. Taka czystość koloru, takie piękno linii...

Uśmiechnęła się do niego cieplej niż kiedykolwiek przedtem. Myślała o Geoffreyu Charlesie, który pozostał w Trenwith bez macierzyńskiej opieki, lecz słowa Warleggana sprowadziły ją na ziemię.

– Doprawdy, George, jesteś zbyt uprzejmy. Traktowałabym twoje komplementy poważniej, gdybyś nie prawil ich tak łatwo.

– Łatwo? Moja droga, nigdy łatwo nie prawię komplementów. Czy mówię je tak chętnie komuś oprócz ciebie, którą podziwiam i szanuję?

– Mam na myśli szczerść – odpowiedziała. – Czy szczerze prawisz komplementy mojej biednej matce?

Zerknął na państwa Chynoweth siedzących pod ścianą. Nikt nie zajął miejsca Elizabeth.

– Nie, przyznaję, że nie byłem wobec niej szczerzy. Ale mam wielki szacunek dla twojej matki i współczuję jej z powodu choroby. Była piękną kobietą, bliską ideału, przyzwyczajoną do komplementów. Jak musi się teraz czuć, gdy ludzie przyglądają jej się co najwyżej ze współczuciem?

Elizabeth spojrzała szybko na swojego partnera. Po raz pierwszy powiedział do niej coś, co świadczyło o wrażliwości.

– Jesteś bardzo miły, George – odrzekła cicho. – Tak jak zawsze. Obawiam się, że nie potrafię niczym wynagrodzić twojej uwagi. Jestem teraz bardzo nudną istotą.

– Moja nagroda to twoja przyjaźń i zaufanie. A jeśli chodzi o to, czy jesteś nudna, jak może być nudny ktoś, kogo cenimy jak skarb? Jesteś samotna, zgoda. Spędzasz zbyt wiele czasu w Trenwith. Twój syn jest już duży. Powinnaś częściej przyjeżdżać do Truro. Bierz ze sobą Francisa, jeśli...

– Brać Francisa, by znowu grał w karty? Zamknięcie kopalni Gambler ma jedną zaletę: Francis rzadziej siedzi przy zielonym stoliku i spędza więcej czasu z rodziną.

George milczał przez chwilę. Popełnił błąd.

– Czy teraz, kiedy Francis siedzi w domu, jest miłym kompanem?

Elizabeth przygryzła wargę.

– Zajmuję się domem i dzieckiem. Geoffrey Charles nie ma jeszcze pięciu lat. Jest delikatny i ciągle trzeba go pilnować.

– Cóż, przynajmniej obiecaj, że twoja wizyta nie jest ostatnia. Odwiedź mnie jeszcze raz w mieście albo w Cardew. Ja z kolei obiecuję, że nie będę zachęcał Francisa do gry w karty. Jeśli sprawi ci to przyjemność, zobowiążę się nigdy więcej z nim nie grać.

– Właśnie w tej chwili siedzi przy stoliku, George.

– Wiem, moja droga. Niestety, nie można go było powstrzymać.

Rozdział dziewiąty

W sali karcianej mogło dojść do incydentu.

Zajmowano cztery stoliki. Przy pierwszym grano w faraona, przy drugim w bassetę, a przy ostatnich dwóch w wista. Francis zawsze chętnie grał w faraona, ale po wejściu do sali natychmiast zauważył Margaret Cartland z nowym przyjacielem, mężczyzną o nazwisku Vosper. Odwróciła się i pomachała mu ręką z ironicznym uśmiechem, lecz Francis skłonił się i natychmiast ruszył w stronę pustego stolika do wista, ignorując cztery krzesła zarezerwowane dla nich przez Sansona. Ross, któremu nie zależało, w co będzie grać, podążył za Francisem. Usiedli naprzeciwko siebie, a Sanson zajął jedno z pozostałych krzesel. George Warleggan rozmawiał przy drzwiach z mężczyzną ubranym na czarno, który po chwili podszedł do stolika i powiedział, że ustąpi miejsca pozostałym graczom, ponieważ przybyli przed nim. Naturalnie wszyscy znali doktora Halse'a.

W czasie pobytu w pałacu Warlegganów Ross unikał Halse'a. Nie chciał wywoływać awantur, ale ciągle pamiętał okropności Launceston i czuł złość na widok duchownego, dyrektora szkoły i sędziego w jednej osobie, odpowiedzialnego za skazanie Jima.

Kiedy doktor Halse spostrzegł, kto siedzi przy stoliku, zawahał się na moment, po czym podszedł i zajął miejsce naprzeciwko młynarza. Ross milczał.

– Cóż, skoro jesteśmy w komplecie, jakie ustalimy minimalne przebicie? – spytał niecierpliwie Francis.

– Gwineę – zaproponował Sanson. – W innym przypadku pieniądze zbyt wolno zmieniają właścicieli. Zgadza się pan?

– Zwykle gram o niższe stawki – odparł doktor Halse, wachając swoją chusteczkę. – Gra o wysokie kwoty sprawia, że atmosfera staje się zbyt poważna. Nie psujmy sobie przyjemności.

– Może wolałby pan poczekać, aż zwolni się miejsce przy innym stoliku, doktorze? – spytał Ross.

Ton Poldarka nie spodobał się dumnemu duchownemu.

– Nie, nie mam takich intencji – odpowiedział przez nos. – Usiadłem przy tym stole jako pierwszy i zamierzam przy nim pozostać.

– Och, nie zaczynajmy od sprzeczki! – wtrącił Francis. – Pójdźmy na kompromis. Niech będzie pół gwinei.

Do sali karcianej zajrzała Polly Choake i natychmiast się wycofała.

– Co się dzieje z tymi Poldalkami? – szepnęła do pani Teague. – Pysli na bal jak dwa tygłysy polujące na zdobyc. Nawet się z nikim nie psywitani i od laz u posli głać w kalty, chocias lold gubelnatol jesce nie wygłosił przemówienia. Siedzą i gładą w kalty, jakby nic ich nie obchodziło.

Pani Teague przymknęła pomarszczone powieki.

– Nie słyszała pani plotek o Francisie, moja droga? Ta kobieta kompletnie zawróciła mu w głowie. Zmarnował na nią mnóstwo pieniędzy. Co do Rossa, czegoż innego można się spodziewać? Niewątpliwie gorzko żałuje, że poślubił tę prostą dziewczkę, która tak źle dziś się zachowuje. Nie byłabym zdziwiona, gdyby się rozpił.

Polly Choake rozejrzała się po sali. Jak dotąd nie zauważyła Demelzy, ale natychmiast zgodziła się z opinią przyjaciółki.

– Moim zdaniem niektóre zameżne kobiety zachowują się po plostu oklopnie. Stalają się zwlacać na siebie uwagę. A męscyźni jesce je do tego zachęcają. Baldzo się ciesę, ze doktol nigdy nie bieze w tym udziału.

– Kim jest ta młoda dama tańcząca z pani synem, lady Whitworth? – spytała lady Maria Agar, opusz-

czając Iorgnon.

– Nie jestem pewna. Nie miałam przyjemności jej poznać.

– Bardzo piękna, nie sądzi pani? Jest w niej coś... jak to określić?... niezwykłego. Ciekawe, czy przybyła z Londynu.

– Bardzo możliwe. William ma tam wielu przyjaciół.

– Zauważyłam, że tańczy również jakby inaczej, bardziej... jak to określić?... bardziej wygina ciało.

Ciekawe, czy to jakiś nowy styl.

– Na pewno. Powiadają, że w Bath trzeba nieustająco brać lekcje, by znać najnowsze kroki.

– Zastanawiam się, kim jest i z którą grupą przyszła na bal.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała lady Whitworth, choć doskonale zdawała sobie sprawę, że Demelza należy do grupy George’a Warleggana. Postanowiła nie zdradzać tej informacji, dopóki nie dowie się czegoś więcej.

Drugi taniec dobiegł końca. Demelza rozglądała się za Rossem, lecz widziała tylko innych mężczyzn. Tytu chciało ją zaprosić do trzeciego tańca, że przyszło jej do głowy, iż na sali brakuje partnerek. Pragnienie wzięło górę nad dobrymi manierami i oświadczyła, że jest spragniona, po czym prawie natychmiast przyniesiono jej mnóstwo kieliszków. Grzecznie wybrała porto i obiecała trzeci taniec niejakemu Williamowi Hickowi. Kiedy orkiestra zaczęła grać, zorientowała się, że jest to pierwszy taniec angielski. Od razu podszedł do niej John Treneglos i obcesowo wyciągnął ku niej rękę. Doszło do ostrej wymiany zdań z Williamem Hickiem i wydawało się, że Treneglos za chwilę rzuci nim o podłogę.

– Mój Boże, ależ pan warknął na tego młodego człowieka! – zauważyła Demelza, prowadzona przez Johna Treneglosa na środek sali. – Nie wiedziałam, że przebywam w towarzystwie mężczyzn obdarzonych tak gwałtownym temperamentem!

– Doprawdy, skandal! – złościł się Treneglos. – Wyjątkowa bezczelność!

– Sądzi pan, że jestem bezczelna? – spytała Demelza.

– Nie, kwiatuszku. Nie mówię o pani. Mam na myśli młodego Hicka. Nadęty mydłek! Ci miejscy dandysi uważają, że mogą się wszędzie wepchnąć. Przekonał się, że się pomylił. I znowu dostanie po łapach, jeśli zacznie wierzgać w mojej stajni!

– Och, nie podoba mi się to określenie. Czy w czasie balu wypada umieszczać kobiety w stajniach? A może powinny mieszkać w budach? Wtedy mógłby je pan nazywać tak, jak pana zdaniem na to zasługują.

Treneglos zapomniał o złym humorze i wybuchnął głośnym śmiechem, zwracając na siebie uwagę wielu gości. Ruth Treneglos, tańcząca w pobliżu z doktorem Choakiem, obrzuciła Demelzę jadowitym spojrzeniem.

– Nie, pączuszk. Nie wszystkie kobiety zasługują na to określenie, choć przyznaję, że wiele.

– Co pan robi ze swoimi kwiatuskami i pączuszkami? Hoduje je pan w ogrodzie czy przypina szpilkami do arkuszy papieru jak złapane motyle?

– Szanuję je i cenię. Noszę je na piersi, droga dziewczyno. Na piersi.

Demelza westchnęła. Coraz silniej odczuwała działanie porto.

– Pączuszkom musi być bardzo niewygodnie.

– Żaden się jeszcze nie skarżył. Zna pani stare przysłowie: „Kto próbuje, radość czuje”? – Znow się roześmiał.

– Myślałam, że brzmi: „Kto nie próbuje, ten nie żałuje”.

– Może tak się mówi w Illuggan, ale w Mingoosie jesteśmy odważniejsi.

– Nie mieszkam ani w Illuggan, ani w Mingoosie, tylko w Namparze, gdzie mamy własne zasady i zwyczaje.

– I jakież one są?

– Można się ich nauczyć tylko przez doświadczenie – odpowiedziała Demelza.

– Cóż, marzę o tych doświadczeniach – oznajmił Treneglos. – Naucz mnie pani?

Demelza uniosła brwi.

– Nie ośmieliłabym się. Podobno jest pan mistrzem gier.

Verity i Blamey przesiadali ten taniec w bufecie.

– Nic nie stoi nam na drodze – powiedział Andrew. – Niektórzy ludzie nie zapomną, przechowują stare wspomnienia. Ale to nieważne, bo wielu wyrzuciło przeszłość z pamięci albo nigdy nie wiedziało. Nigdy nie będzie między nami goryczy. Musisz tylko się zdecydować. Mam przyzwoite mieszkanie – połowę domu – w centrum Falmouth, bardzo dobrze położone i wygodne. Możemy tam zamieszkać, aż znajdziemy coś lepszego. Pięć lat byłem uboższy, ale obecnie stać mnie na to, by zapewnić ci luksusowe życie, na jakie zasługujesz...

– Nie potrzebuję luksusów, Andrew. Gdybym poślubiła cię wcześniej, chętnie pracowałabym własnymi rękoma, mieszkając w małej chacie. Tak się nie stało. Będę szczęśliwa i dumna, mogąc dzielić z tobą życie. Zawsze... zawsze myślałam, że mogę stworzyć ci dom... którego nigdy nie miałeś. Nadal tego pragnę...

– Moja droga, właśnie to chciałem usłyszeć...

– Tak, ale pozwól mi skończyć. Nie chodzi o luksusy ani o popularność, bo na niej też mi nie zależy. Najważniejszy jest spokój ducha. Zerwaliśmy nasz związek z powodu sprzeciwu mojej rodziny. Mojego ojca i Francisca. Może potrafisz im wybaczyć, a może nie. Cóż, ojciec nie żyje. Nie jest mi przyjemnie, że postępuję wbrew jego woli, że lekceważę jego opinię. Ale to zrobię... Czuję, że potrafię się z tym pogodzić... Czuję, że zrozumiałby mnie i wybaczył. Francis nie.

– Właśnie dlatego chciałbym z nim porozmawiać.

– Nie, nie dzisiaj, Andrew. Wiem, co czujesz, mój drogi. Ale spróbuj zachować cierpliwość. Francis jest dwa lata młodszy ode mnie. Pamiętam... pamiętam go, jak uczył się chodzić. Mama umarła, gdy miałam czternaście lat, a Francis dwanaście. W pewien sposób byłam dla niego kimś więcej niż siostrą. Przez całe życie go rozpieszczano. Często drażnią mnie jego humory, ale kocham go mimo jego wad. Jest zapalczywy, nerwowy i impulsywny, a jednocześnie cudowny. Bardzo dobrze znam jego sarkastyczne poczucie humoru, kiedy potrafi się śmiać z samego siebie, jego wspaniałomyślność, gdy daje komuś pieniądze, których sam bardzo potrzebuje, jego odwagę w trudnych chwilach. Jest w tym wszystkim bardzo podobny do matki. Zauważyłam to i obserwowałam przez te wszystkie lata. Właśnie dlatego, jeśli potrafisz to zrozumieć, chciałabym uzyskać jego zgodę na nasze małżeństwo. Nie chcę się z nim kłócić, nie chcę doprowadzić do gorzkiego zerwania. Zwłaszcza teraz, gdy Francis ma kłopoty. Zaufaj mi i poczekaj jeszcze trochę. Chcę znaleźć odpowiedni moment, by z nim porozmawiać, gdy zostaniemy sami i nikt nam nie przeszkodzi. Myślę, że może wtedy mi się uda.

Kapitan obserwował uczucia pojawiające się w oczach Verity. Poruszył się niespokojnie.

– Ufam ci. Oczywiście, że ci ufam. To się samo przez się rozumie. Ale... ale nie można odkładać pewnych spraw w nieskończoność. Wydarzenia muszą się toczyć, później nie będzie można ich już zatrzymać. Spotkaliśmy się kilka razy i zostało to zauważone. Jeden z moich kolegów kapitanów wie, że widywałam się z kobietą w Truro! Sprawy zaszły bardzo daleko i właśnie dlatego tu dziś przyjechałam. Nie mogę cię narażać na złośliwe spojrzenia i plotki. Jeśli ty nie powiesz o nas Francisowi, zrobi to ktoś inny.

– Wolalabym, żebyś stąd wyszedł, Andrew – wymamrotała Verity. – Mam przeczucie, że jeśli się tu spotkacie, stanie się coś złego.

W sali karcianej Ross i Francis wygrali od przeciwników pięć gwinei.

– Nie odwrócił pan w atu po moim wyjściu, doktorze – rzekł Sanson, zażywając tabaki. – Gdyby pan to zrobił, nie stracilibyśmy gry i robra. Dałoby to nam chwilę wytchnienia.

– Miałem tylko dwa atuty – odparł wyniośle Halse. – I żadnego koloru, który mógłbym wyrobić po ich zgraniu.

– Ale ja miałem piątkę i dobre piki – stwierdził Sanson. – Odwrócenie w kolor partnera to jedna z elementarnych zasad rozgrywki, doktorze.

– Dziękuję za przypomnienie – rzekł Halse. – Znam elementarne zasady.

– Nikt nie może kwestionować faktu, że pański partner doskonale zna elementarne zasady – odezwał się Ross. – Szkoda tylko, że nie czyni z nich użytku.

Doktor Halse wyjął sakiewkę.

– Pan również zna zasady dobrych manier, Poldark, lecz nic z tego nie wynika. Nie może się pan powoływać na ignorancję, która byłaby jakimś usprawiedliwieniem. Wiele razy odzywał się pan do mnie niegrzecznie bez żadnego powodu. Można tylko się zastanawiać, jakie występne czyny wyzwoliły w panu taki zły humor.

– Niegrzecznie? – spytał Ross. – Wobec sędziego pokoju, ucieleśnienia wszelkich cnót wymiaru sprawiedliwości, z wyjątkiem sprawiedliwości i pokoju? Doprawdy, wyrządza mi pan krzywdę, doktorze!

Halse zmarszczył nos. Odliczył pięć złotych monet i wstał.

– Chciałbym panu powiedzieć, Poldark, że te obraźliwe uwagi w niczym nie poprawią pańskiej sytuacji. Obraca się pan wśród gminu, co niewątpliwie stępiło pana zdolność oceny, co można, a czego nie można mówić w kulturalnym towarzystwie. W takich okolicznościach litość wydaje się bardziej stosowna od potępienia.

– Zgadzam się, że towarzystwo prostych ludzi pozwala patrzeć na sprawy z innej perspektywy. Sam powinien pan tego spróbować, doktorze, naprawdę. Rozszerzyłyby to pańskie horyzonty. Nauczyłyby się pan lepiej odczuwać smród.

Rozmowie przysłuchiwało się wiele osób. Francis schował pieniądze do kieszeni i odchrząknął.

– Jesteś dziś bardzo dosadny, Rossie. Niech pan siada, Halse. Hazard dodaje życiu uroku. Zagrajmy jeszcze jednego robra.

– Nie mam zamiaru więcej grać przy tym stoliku – odpowiedział duchowny.

Ross go obserwował.

– Był pan kiedyś w więzieniu, doktorze Halse? To zadziwiające, jak straszliwy smród może wydawać z siebie trzydzieści lub czterdzieści istot ludzkich – umiłowanych przez Boga, jak utrzymują duchowni – gdy siedzą przez wiele tygodni w małym kamiennym budynku bez kanalizacji, wody i opieki. To nie smród, ale wręcz strawa. Strawa dla ducha, jak sam pan rozumie.

– Pańskie zachowanie w Launceston nie przeszło niezauważone – odpowiedział ze złością doktor Halse. Przypominał małego, wściekłego psa z wykrzywionym pyskiem. – Wkrótce się nim zajmiemy. Odbędzie się zebranie sędziów zaangażowanych w tę sprawę, z moim udziałem, i wówczas zdecydujemy...

– Proszę poinformować członków tego szacownego gremium, że okazałem wyjątkową cierpliwość, siedząc przy jednym stole z ich kolegą i nie rozbijając mu głowy – przerwał Ross. – W więzieniach Kornwalii panuje straszliwa febra. Gdyby skazańcy wyszli na wolność, w kraju wybuchłaby epidemia.

– Może pan być pewien, że dokładnie zrelacjonuję pańskie nieuprzejme, ordynarne zachowanie – warknął doktor. – Gdyby nie mój stan duchowny, zażądałbym od pana satysfakcji!

Ross wstał powoli i odsunął się od niskiego stolika.

– Kiedy spotka pan swoich towarzyszy sprawujących wysokie urzędy w wymiarze sprawiedliwości, proszę im przekazać, że z przyjemnością spotkam się z każdym z nich, jeśli znajdą chwilę i nie pojawią

się przeszkody związane ze stanem kapłańskim. Zwłaszcza z tymi, którzy odpowiadają za utrzymanie więzienia w Launceston. Ale chciałbym, by moje zaproszenie było skierowane do wszystkich, ponieważ mam o nich identyczne mniemanie.

– Ty bezczelny chłystku! Jesteś pijany! – Duchowny obrócił się na pięcie i opuścił salę.

Po jego wyjściu przez chwilę panowała cisza, po czym Margaret Cartland wybuchnęła zaraźliwym śmiechem.

– Brawo! Niechaj Kościół zajmuje się sprawami duchownymi, a świeckie pozostawi nam! Nigdy nie słyszałam zabawniejszej sprzeczki przy grze w karty. Co on zrobił: zapomniał przebić atutem?

Ross usiadł naprzeciwko Margaret przy stoliku, gdzie grano w faraona.

– Grajmy dalej, bankierze.

Margaret rozejrzała się po sali śmiałym wzrokiem.

– Chodź, drogi Francisie, idź za przykładem kuzyna! Postaw na królową pik. Ma słaby orszak i powinniśmy być dziś patriotami.

– Dziękuję. – Francis spojrzał jej w oczy. – Nauczyłem się nigdy nie stawiać na kobiety. Jest tu duszno, pójdę odetchnąć świeżym powietrzem.

Zatańczono jeszcze jednego menueta i w sali bufetowej Verity wreszcie przekonała Andrew, by wyszedł. Zależało jej na tym, bo chciała w tym tygodniu porozmawiać z Francisem. Nieco nieostrożnie, może chcąc udowodnić, że jest z nim szczerą, obeszła z nim salę balową, starannie unikając sali karcianej. W końcu dotarli do drzwi frontowych. Służący je otworzył i wyszli. Po schodach wchodził z ulicy Francis.

Rozdział dziesiąty

Demelza czuła się jak pogromczyni lwów, która tresuje zwierzęta i widzi, że wymykają się spod kontroli. Nie wiedziała, czy udawać, że nic się nie dzieje, czy uciekać. Doskonale radziła sobie z mniejszymi lwami: mężczyznami takimi, jak Whitworth, William Hick i St John Peter. Ale wielkie bestie, jak John Treneglos, i stare lwy, jak sir Hugh Bodrugan, to inna sprawa. Kilka kieliszków porto dodało jej odwagi, ale jej zręczność miała swoje granice. Dziękowała Bogu, że wszystko dzieje się w miejscu publicznym, gdzie lwy nie mogły atakować bardziej otwarcie. Gdyby była osobą skłoną do pocenia się, cała by się spociła.

Przed chwilą do towarzystwa dołączył kadet Carruthers, którego przedstawiła Demelzie Joan Pascoe. Pojawił się również młody człowiek o nazwisku Robert Bodrugan, lecz włochaty stryj szybko go odesłał. Wszyscy nieustannie zwracali się do Demelzy, a ona starała się zręcznie odpowiadać. Śmiali się ze wszystkiego, co mówiła, jakby była bardzo dowcipna. W jakiś sposób sprawiało jej to przyjemność, lecz wolałaby nie znajdować się w centrum zainteresowania. Od czasu do czasu wyciągała szyję i rozglądała się ponad ramionami mężczyzn, wypatrując Rossa.

W pewnym momencie zauważyła Verity wchodzącą do sali balowej. Natychmiast zorientowała się po wyrazie jej oczu, że stało się coś bardzo złego.

Po chwili Verity zwolniła i zasłonili ją tancerze ustawiający się do gawota. Demelza również wstała.
– Nie, nie – odpowiedziała kilku mężczyznom i przeszła między nimi. Wreszcie znalazła się na wolnej przestrzeni i się rozejrzała.

– Proszę za mną, pani – odezwał się sir Hugh nad jej ramieniem, lecz nie odpowiedziała i ruszyła naprzód. Verity odwróciła się i udała się szybko w stronę pokoju wypoczynkowego dla dam. Demelza podążyła za nią. Okrążyła salę, stawiając długie kroki i czując pewność siebie, która jeszcze godzinę wcześniej wydawała się niemożliwa.

Kiedy znalazła się w pobliżu Verity, zastąpiły jej drogę Patience Teague, Ruth Treneglos i dwie inne damy.

– Pani Demelzo – rzekła Patience – proszę mi pozwolić przedstawić moje dwie przyjaciółki, które bardzo chciałyby panią poznać. Lady Whitworth i panią Marię Agar. To pani Poldark.

– Bardzo mi miło – odpowiedziała Demelza, spojrzała bacznie na Ruth i dygnęła przed damami, jak nauczyła ją pani Kemp. Poczowała natychmiastową antypatię do wysokiej lady Whitworth i sympatię do niskiej pani Agar.

– Moje drogie dziecko, od początku balu podziwiamy pani suknię – odezwała się lady Whitworth. – Niezwykła. Myślałyśmy, że pochodzi z Londynu, aż pani Treneglos wyjaśniła, że tak nie jest.

– Nie chodzi o suknię, tylko sposób jej noszenia – dodała pani Agar.

– Och, dziękuję pani – odrzekła ciepło Demelza. – Dziękuję pani. Te pochwały sprawiają mi wielką przyjemność. To bardzo miło z pań strony. Niezwykle miło. A teraz, gdyby zechciały mi panie wybaczyć, śpieszę się do kuzynki. Jeśli...

– Jak się miewa pani ojciec, moja droga? – spytała Ruth i zachichotała. – Nie widziałyśmy go od chrzcina.

– Niestety, bardzo mi przykro, ale ojciec jest niezwykle wybredny w doborze towarzystwa i nie spotyka się z każdym – odparła Demelza.

Skłoniła się kobietom, minęła je i weszła do pokoju wypoczynkowego dla dam.

W dusznym pomieszczeniu znajdowały się dwie pokojówki, trzy damy oraz stopy płaszczy i mantylek. Verity stała przed lustrem, lecz nie patrzyła na swoje odbicie, tylko na blat stolika i poruszała rękami.

Demelza podeszła do kuzynki i zobaczyła, że Verity drze na strzępy swoją koronkową chusteczkę.

– Co się stało, Verity? Co się stało?!

Verity pokręciła głową, lecz nie zdołała wykrztusić słowa. Demelza rozejrzała się po pokoju. Pozostałe kobiety niczego nie zauważyły. Zaczęła mówić o byle czym. Widziała, że wargi Verity drżą lekko, zaciskają się i znowu drżą. Jedna z dam wyszła, potem druga. Demelza przysunęła krzesło i zmusiła Verity, by usiadła.

– Powiedz mi wszystko – poprosiła. – Co się stało? Czy się spotkali? Właśnie tego się obawiałam.

Verity ponownie pokręciła głową. Jej włosy, zawsze dość niesforne, rozsypywały się. Do pokoju weszły trzy paplające kobiety, a Demelza szybko stanęła za Verity i powiedziała:

– Pozwól, że poprawię ci włosy. Od tańca rozluźniły się szpilki. Siedź nieruchomo, a ja szybko je ułożę. Jak tu ciepło! Ręka mi się zmęczyła od poruszania wachlarzem.

Nie przestawała mówić, wyjmowała szpilki i umieszczała je we właściwych miejscach, a kiedy głowa Verity zaczynała drżeć, przykładła do jej czoła chłodne, spokojne palce i trzymała je nieruchomo, aż spazmy mijały.

– Nie wytrzymam tego znowu – odezwała się nagle Verity cichym głosem. – Nie potrafię. Wiedziałam, że to się może zdarzyć, ale nie mogę tego znieść. Nie mogę!

– Co się stało? – spytała Demelza. – Opowiedz mi wszystko.

– Spotkali się, gdy... gdy Andrew wychodził. Na szczycie schodów. Wiedziałam, że dziś jest niedobry dzień. Czekałam na odpowiedni moment, ale Francis od tygodni był w złym humorze. Znowu doszło do straszliwej awantury. Andrew próbował zachowywać się ugodowo, a Francis nie chciał słuchać. Uderzył Andrew... Myślałam, że Andrew go zabije... Zamiast tego po prostu popatrzył na Francisca... Miałam wrażenie, że gardzi również mną...

– Och, bzdury...

– Tak właśnie to odczułam. Chciałam mieć ich obu. Zachować miłość Francisca i Andrew, a jednocześnie bałam się powiedzieć Francisowi. Gdybym mu wcześniej powiedziała, nigdy by do tego nie doszło. Nie w taki sposób. Bałam się ujawnić swój sekret. Okazałam się tchórzliwa. Andrew nigdy mi nie wybaczy tej słabości...

– Mylisz się, Verity. Jeśli naprawdę się kochacie, nic nie ma znaczenia...

– A potem odszedł. Nie spojrzał na mnie i nie powiedział ani jednego słowa. To było gorsze niż wtedy, dwa lata temu. Wiem, że nigdy więcej go nie zobaczę...

W sali karcianej Ross przegrał trzydzieści gwinei w ciągu pół godziny, a Francis prawie tyle samo w kwadrans. Po spacerze na świeżym powietrzu Francis wrócił do stolika z twarzą szarą z gniewu.

Usiadł w milczeniu przy stoliku, przy którym grano w faraona. Nikt się do niego nie odzywał, a ponury nastrój obu kuzynów udzielił się pozostałym graczom. Nawet bankier, mężczyzna o nazwisku Page, czuł się wyraźnie nieswojo. Po chwili Margaret Cartland ziewnęła i schowała do torebki kilka sztuk złota.

– Chodź, Luke, gramy już za długo. Przespacerujmy się po sali balowej, nim zaczną się irlandzkie reele.

Jej nowy kochanek posłusznie wstał. Zerknął niespokojnie na Francisca, lecz ten zignorował wychodzącą parę.

Margaret zatrzymała się w drzwiach i przyjrzała się gościom tańczącym na sali balowej, zaborczo trzymając dłoń na ramieniu Vospera. Po chwili taniec się zakończył i jego uczestnicy powoli się rozchodzili. Zebrali się w grupki, a następnie stopniowo się rozproszyli. Część podążyła do bufetu, a część do rogów sali, gdzie stały ogromne paprocie.

– Te dworskie tańce są wyjątkowo nudne – rzekła Margaret. – Tyle wygibasów bez żadnego rezul-

tatu...

– Wolisz robić wygibasy i mieć z tego jakieś rezultaty – odparł Vosper. – Miło mi to słyszeć.

– Och, pst, niegrzeczny chłopcze! – szepnęła. – Pamiętaj, gdzie jesteśmy. O, cholera, chyba zaczyna się przerwa.

– Nieważne, zawsze potrafię się przepchnąć.

Margaret w dalszym ciągu obserwowała salę balową. Jedna grupka gości nie rozchodziła się. Składała się głównie z mężczyzn, lecz w środku zauważyła kobietę lub kobiety. Po chwili grupka podążyła niczym rój pszczół w stronę kilku wolnych foteli, a część trutni wyruszyła na poszukiwanie jedzenia i picia. Margaret spostrzegła, że w środku znajdują się dwie damy: mniej więcej trzydziestoletnia kobieta o miłej, smutnej twarzy i uderzająco piękna dziewczyna w głęboko wciętej sukni z broszką z rubinem. Miała bujne ciemne włosy i wyraziste ramiona.

– Usiądź w sali karcianej, najdroższa – powiedział Vosper. – Przyniosę ci coś do picia.

– Nie, niech walczą między sobą. Powiedz mi: kim jest ta młoda kobieta? W srebrzystej sukni, z uniesionym podbródkiem. Pochodzi z tego okręgu?

Vosper uniósł lorgnon.

– Nie mam pojęcia. Ma ładną figurę. Hm, piękność. Przyniosę ci trochę galaretki i ciasteczka w kształcie serc.

Kiedy odszedł, Margaret zaczęła znajomego mężczyznę i dowiedziała się, kim są dwie kobiety. Na jej ustach ze zdziwienia pojawił się lekki uśmiech. Żona Rossa. On gra w faraona z twarzą pełną gniewu i goryczy, a tymczasem ona flirtuje z tuzinem mężczyzn i nie zwraca na niego żadnej uwagi. Margaret odwróciła się i popatrzyła na Rossa stawiającego pieniądze na kartę. Z tej strony blizna była niewidoczna.

Nie współczuła mu z powodu nieudanego małżeństwa. Zastanawiała się, czy ma pieniądze. Wiedziała, że nie liczy się z drobnymi kwotami, ale tak naprawdę ważne były roczne dochody, a nie przypadkowe wydatki. Przypomniała sobie noc spędzoną z nim w chacie nad rzeką przed pięciu laty i zastanawiała się, czy znów mogłaby go pocieszyć.

Luke Vosper wrócił, ale Margaret nie chciała wejść do sali karcianej. Woląca stać w drzwiach i obserwować graczy. Dziesięć minut później bankier odkrył dwie ostatnie karty rozdania i tym razem Ross wygrał. Kiedy chował pieniądze do kieszeni, zauważył, że pochyła się nad nim Margaret Cartland.

– Panie, zapomniałeś, że masz żonę?

Ross popatrzył na Margaret. Spoglądała na niego rozszerzonymi oczyma.

– Nie żartuję, panie. Wzbudziła sensację. Jeśli nie wierzysz, idź i zobacz.

– Co masz na myśli?

– To, co mówię. Możesz wierzyć albo nie.

Ross wstał i poszedł do drzwi. Jeśli w ciągu ostatniej godziny w ogóle myślał o Demelzie, zakładał, że opiekuje się nią Verity. (Nigdy nie przyszło mu do głowy, że to Demelza może się opiekować Verity).

Przerwa dobiegała końca i czekano na następny taniec. Muzycy siedzieli na podwyższeniu i stroili instrumenty. Po ciszy panującej w sali karcianej gwar i śmiechy zaskoczyły Rossa. Rozejrzał się, zdając sobie sprawę, że obserwują go Margaret i Vosper.

– Tam, panie – powiedziała Margaret. – Tam, między tymi mężczyznami. Powiedziano mi, że to twoja żona, panie, ale może wprowadzono mnie w błąd?

Za chwilę miał się zacząć gawot, mniej dostojny i uroczysty od menueta, na tyle popularny, że większość gości wyszła na środek sali balowej. Wielu mężczyzn w dalszym ciągu zabiegało o względy Demelzy. W czasie przerwy, wzmocniona bordo, wykorzystywała wszystkie swoje talenty konwersacyjne, by odwracać uwagę od Verity, która siedziała, milcząc, tuż obok.

Tym razem to Demelza ponosiła dużą część winy za to, że otaczający ją dżentelmeni niemal zaczęli się kłócić. Myślała o Verity i niepokoiła się o Rossa, więc nie zwracała uwagi na to, co mówi, i obiecała następny taniec co najmniej trzem mężczyznom. Johna Treneglosa na pewien czas odciągnęła jego rozjuszona żona, lecz sir Hugh Bodruga próbował odebrać Demelzę Whitworthowi i chorążemu Carruthersowi. Sir Hugh, najstarszy i najbardziej utytułowany, starał się odstraszyć konkurentów groźnymi grymasami, Whitworth uważał, że ma pierwszeństwo jako duchowny, a Carruthers, choć przestraszony, zgodnie z tradycjami brytyjskiej marynarki wojennej nie chciał opuścić flagi.

Na początku sprzeczali się z Demelzą, potem sprzeczali się między sobą, by w końcu ponownie ją prosić, gdy tymczasem William Hick robił głupie uwagi, pogarszając sytuację. Demelza, trochę przyłoczona, zakołysała kieliszkiem i powiedziała, by rzucili o nią monetę. Carruthers uznał to za sprawiedliwe rozwiązanie, lecz zasugerował kości, jednak sir Hugh wpadł w gniew i oznajmił, że nie zamierza grać w sali balowej o kobietę. Jednocześnie nie chciał zrezygnować. Demelza zaproponowała, by zatańczył z Verity, która westchnęła: „Och, Demelzo...”, po czym sir Hugh skłonił się kuzynce, podziękował i poprosił ją o jeden z następnych tańców.

W tej samej chwili z tyłu pojawił się wysoki mężczyzna, a Demelza poczuła ogarniające ją przerażenie, gdyż pomyślała, że może to być czwarty dżentelmen chcący z nią zatańczyć. Uniosła głowę i zobaczyła, że tak jest w istocie.

– Proszę wybaczyć – powtarzał Ross, przepychając się do przodu. – Przepraszam, proszę wybaczyć. – Dotarł do wnętrza kręgu mężczyzn i skłonił się sztywno Demelzie, z wyraźnym chłodem. – Przyszedłem zobaczyć, czy czegoś nie potrzebujesz, moja droga.

Demelza wstała.

– Wiedziałam, że obiecałam komuś ten taniec – rzekła.

Obecni wybuchnęli śmiechem, lecz sir Hugh nie przyłączył się do ogólnej wesołości. Pił przez cały wieczór i z początku nie poznał Rossa, którego rzadko widywał.

– O nie, panie! O nie! To niesprawiedliwe, na Boga! Taniec obiecano mnie! Mnie, powiadam! Nie zniosę tego! Nie jestem przyzwyczajony, by kwestionowano moje słowa!

Ross popatrzył na niego: na jedwabny gors koszuli poplamiony winem, szeroką, ciężką twarz, kępki włosów w nozdrzach i w uszach, pokrytą lokami perukę nasuniętą na czoło, ciemnofioletowy surdut, czerwoną, haftowaną kamizelkę i jedwabne pończochy sięgające do kolan. Obejrzał go od stóp do głów, ponieważ sir Hugh, podobnie jak inni, ponosił część odpowiedzialności za śmierć Jima. To, że tańczył z Demelzą, wydawało się afrontem.

– Obiecałaś komuś ten taniec? – zwrócił się do Demelzy.

Spojrzała w chłodne oczy Rossa, szukając w nich zrozumienia, lecz go nie znalazła. Poczuła przyływ goryczy.

– Tak – odpowiedziała. – Chyba prosił mnie o niego sir Hugh. Chodźmy, sir. Prawie nie umiem tańczyć gawota, ale może mnie pan nauczyć. Dziękuję, że pokazał mi pan kroki ostatniego tańca.

Odwróciła się i poszła z baronetem na środek sali, gdzie ustawiały się pary, lecz Ross nagle chwycił ją za rękę.

– Tym razem jednak skorzystam z przywileju męża, więc musisz rozczarować swoich wielbicieli.

Sir Hugh już go poznał. Otworzył usta, by zaprotestować.

– Do licha, trochę późno, by nagle okazywać zainteresowanie...

Ale Ross odszedł, a Demelza, wściekła i rozpaczliwie dotknięta, podążyła za nim. Gdy odezwały się pierwsze dźwięki muzyki, złożyli sobie ukłon. Nie potrafili dobrze tańczyć razem.

– Może powinnam poprosić, żebyś się przedstawił, skoro nie widzieliśmy się od tak dawna? – spytała Demelza, drżąc na całym ciele.

- Nie wątpię, że dobrze się bawiłaś pod moją nieobecność – odparł.
- Nie obchodziło cię, co się ze mną dzieje. Nie przyszedłeś sprawdzić.
- Kiedy się pojawiłem, wydawało się, że nie jestem mile widziany.
- Cóż, nie wszyscy są tacy nieuprzejmi jak ty.
- Na takich balach zawsze można spotkać fircyków, którzy rozglądają się za łatwymi kobietami.
- Nie, Ross, jesteś wobec mnie niesprawiedliwy! – odparła z gorzkim triumfem Demelza. – I wobec nich także! Pierwszy to baronet, mieszka w Werry House. Zaprosił mnie na herbatę i karty. Drugi jest duchownym i podróżował po całej Europie, a trzeci to oficer marynarki wojennej. Jeden z nich to nawet twój kuzyn. O nie, Ross, nie możesz tak mówić!

– Mogę i mówię! – Był równie wściekły jak Demelza. – Pierwszy to rozpustny staruch, który ma paskudną opinię w przyzwoitym towarzystwie, a drugi to kretyński, pretensjonalny dandys kompromitujący Kościół, jakby nie był on już dość skompromitowany. Trzeci jest młodym marynarzem szukającym przygody z pierwszą lepszą dziewczką. Polują na kobiety swojego pokroju. Dziwię się, że cię nie mdli od ich komplementów.

Nie rozpłaczę się, pomyślała Demelza. Nie rozpłaczę się, nie rozpłaczę się, nie rozpłaczę się...

Znow złożyli sobie ukłon.

– Nie znoszę tych ludzi – ciągnął Ross w nieco mniej osobisty sposób. – To kompletni durnie. Popatrz na ich grube brzuchy i fioletowe nosy, obwisłe podbródki i podkrążone oczy. Obżarci, przesadnie wystrojeni, podpici, umalowani. Nie rozumiem, jak możesz dobrze się czuć w ich towarzystwie. Nic dziwnego, że Swift opisał ich właśnie takimi. Jeśli to moja sfera, wstydzę się, że do niej należę!

Odeszli od siebie, a kiedy znowu się zbliżyli, Demelza nagle wypaliła:

– Jeśli sądzisz, że głupcy to tylko grubi, brzydacy arystokraci z twojej sfery, bardzo się mylisz! Jim miał pecha i umarł, a jego rodzina to dobrzy ludzie, więc wydaje ci się, że wszyscy ubodzy są dobrzy i mili. To nieprawda, możesz mi wierzyć, wiem to z doświadczenia. To ja wśród nich żyłam, nie ty! Wszędzie są dobrzy i źli ludzie. Nie naprawisz świata, obwiniając wszystkich uczestników tego balu o śmierć Jima...

– Tak, to oni za nią odpowiadają, przez swój egoizm i lenistwo...

– Nie naprawisz świata, pijąc i grając w karty przez cały wieczór. Najpierw zostawiasz mnie samą w czasie mojego pierwszego balu, a potem nagle przychodzisz i zachowujesz się niegrzecznie wobec ludzi, którzy próbowali być dla mnie mili...

– Jeśli będziesz się w ten sposób zachowywać, nie pójdziesz na następny bal.

Zatrzymała się naprzeciwko Rossa.

– A jeśli ty będziesz tak się zachowywał, nie będę miała na to ochoty!

Przestali tańczyć. Tamowali ruch. Po chwili Ross dotknął dłonią policzka Demelzy.

– Oboje za dużo wypiliśmy – powiedział.

– Czy zechciałby pan łaskawie się odsunąć? – spytał ktoś za plecami Rossa.

– Nie chcę się kłócić – rzekła głośno Demelza. – Nigdy się z tobą nie kłóczę, wiesz o tym. Nie możesz się spodziewać, że będę się przejmować śmiercią Jima tak samo jak ty. Prawie go nie znałam i nie byłam w Launceston. Może to dla ciebie pospolita rozrywka, ale to mój pierwszy bal. Byłabym szczęśliwa, gdybyś ty też był szczęśliwy.

– Niech to diabli porwą! – odpowiedział. – Nie powinniśmy tu przyjeżdżać.

– Proszę się odsunąć, panie! – rozległ się drugi zrozpaczony głos. – Mogą państwo rozmawiać w innym miejscu.

– Rozmawiam tam, gdzie mi się podoba! – rzucił Ross i spojrział na mężczyznę, który skulił się i odszedł wraz ze swoją partnerką.

– Chodź, Ross, tańczmy – powiedziała Demelza cichym głosem. – Naucz mnie kroków. Jeden w tę stronę, a drugi w tamtą, prawda? Nigdy nie tańczyłam gawota, ale to ładny, żywy taniec. Chodź, kochany, jeszcze żyjemy, zawsze istnieje jutro. Tańczmy, nim się pokłócimy.

Rozdział jedenasty

Bal się skończył, ale wciąż panowała noc. O północy towarzystwo odśpiewało kilka patriotycznych pieśni i *Boże, chroń króla*, po czym goście Warleggana wyszli.

Kiedy dotarli do pałacu George'a, nie wydawało się, by ktokolwiek zamierzał iść spać. Na gości czekało jedzenie i napoje: gorące paszteciki, ciasta, galarety, syllabuby, owoce, poncz, wino, herbata i kawa. Mężczyźni szybko zasiedli do gry w wista, tryktraka i faraona, a Sanson namówił Rossa, by zagrał z nim we francuską loteryjkę.

Demelza z niepokojem patrzyła na odchodzącego męża. W czasie przyjęcia nikogo nie pobił ani nie obraził lorda namiestnika, lecz w dalszym ciągu był w dziwnym nastroju.

Był to szalony wieczór. Odczuwała wręcz niezdrowe podniecenie. O tak, było jej przyjemnie, ale przez cały czas dręczył ją niepokój.

Chociaż liczba gości się zmniejszyła, w dalszym ciągu otaczali ją mężczyźni. Sir Hugh zapomniał o niedawnym afroncie, John Treneglos uciekł od żony, a Carruthers uporczywie nie chciał się poddać. Verity zniknęła na piętrze. A gdy Ross opuścił Demelzę, nie pozwolono jej iść za kuzynką. Chociaż protestowała, mężczyźni zaprowadzili ją do stolika, gdzie grano w faraona, znaleźli wolne miejsce, położyli na jej kolanach pieniądze, szeptem wyjaśnili zasady. To, że nigdy w życiu nie grała w faraona, nie miało żadnego znaczenia. Powiedzieli, że w tę grę może grać każdy. Wystarczy postawić pieniądze na jedną z kart ze swojej talii, po czym bankier dzieli swoją talię na dwa stosiki i wyklada karty na stół. Gracz wygrywa, jeśli taka sama karta, na którą postawił, w talii bankiera znajduje się w lewym stosiku, a przegrywa, jeśli znajduje się w prawym.

Wydawało się to dość proste. Demelza poruszyła się w fotelu, by się upewnić, że sir Hugh znowu nie położył dłoni na jej nagim ramieniu, i pogodziła się z myślą, że za chwilę przegra pożyczone pieniądze.

Ale zamiast przegrywać, wygrywała. Nie dużo za jednym razem, lecz systematycznie. Unikając brawury. Nigdy nie stawiała na żadną kartę więcej niż gwineę, lecz za każdym razem okazywało się, że inni idą za jej przykładem, a kiedy karta wygrywała, za plecami Demelzy rozlegały się triumfalne pomruki. Obok pojawił się nagle William Hick oraz wysoka, przystojna, nieco zbyt głośna kobieta o imieniu Margaret, której Francis zdawał się nie lubić. W sąsiedniej sali ktoś grał na szpince utworu Händla.

Pożyczono Demelzie dwadzieścia funtów. Starannie zanotowała to w pamięci i postanowiła, że jeśli wygra siedemdziesiąt i zostanie jej pięćdziesiąt na czysto, wstanie od stolika i odejdzie; nie zatrzymają jej wszyscy uprzejmi dżentelmeni na świecie. Doszła do sześćdziesięciu jeden, gdy usłyszała Williama Hicka mówiącego do kogoś półgłosem:

- Poldark przegrywa. I to dużo.
- Doprawdy? Wydawało mi się, że bankier przed chwilą wypłacił jej wygraną.
- Mam na myśli jej męża. Gra z Sansonem.

Demelza poczuła lodowaty chłód.

Postawiła i przegrała, znowu postawiła i przegrała, pośpiesznie postawiła pięć gwinei i przegrała.

Wstała.

– Och, nie! – zaprotestowali widzowie, lecz okazała się nieubłagana, bo tym razem nie był to tylko kaprys, ale paniczna potrzeba natychmiastowego odnalezienia Rossa. Zachowała dość przytomności umysłu, by policzyć należące do niej trzydzieści cztery suwereny, po czym przepchnęła się między widzami i się rozejrzała.

W rogu sąsiedniej sali wokół jednego ze stolików zebrał się tłumek. Ross siedział naprzeciwko grubego młynarza Sansona. Podeszła i nie zważając na suknię, przycisnęła się dostatecznie blisko, by

widzieć karty.

We francuską loteryjkę grano talią złożoną z trzydziestu dwóch kart. Każdy z graczy otrzymywał pięć. Gra przypominała wista, z jednym wyjątkiem: as był najniższą z figur. Najciekawszym elementem gry było to, że przed jej rozpoczęciem każdy z uczestników mógł wyrzucić z ręki dowolną liczbę kart, potem dobrać następne z talii i powtarzać tę czynność wielokrotnie.

Demelza przez jakiś czas obserwowała grę, usiłując zrozumieć jej zasady, co okazało się dość trudne. Gra toczyła się szybko, na końcu każdego robra rozliczano pieniądze, a ponadto robiono zakłady w środku każdego rozdania. Pociągnęła, szczipnęła twarz Rossa nie zdradzała, że dużo wypił, Demelza jednak zauważyła dziwną, głęboką zmarszczkę między brwiami męża.

Ross nauczył się tej gry od wyższego oficera francuskiego w szpitalu w Nowym Jorku. Grali całymi tygodniami i nabrał ogromnej wprawy. Nigdy nie stracił we francuską loteryjkę dużo pieniędzy, ale Sanson okazał się groźnym przeciwnikiem. Grał jak mistrz. Wiele razy wydawało się, że Ross ma dobre karty, i za każdym razem okazywało się, że młynarz ma lepsze. Ross uważał, że nic mu nie grozi, po czym dziwny układ kart sprawiał, że przegrywał. Opuściło go szczęście i zła passa nie chciała się odwrócić.

Kiedy przegrał dwieście funtów, maksymalną kwotę, którą mógł pożyczyć od Harrisa Pascoe'a, i nie mógł już wystawiać weksli, przerwał grę i posłał kamerdynera po następny kieliszek brandy.

– Jestem skończony, Sanson – powiedział. – Wyjątkowo nie dopisuje mi szczęście.

– Szczęście bywa kapryśne – odparł młynarz, zamrugnął i zatarł białe dłonie. – Jeśli chce pan grać dalej, proszę o jakieś zabezpieczenie. Jest jeszcze wcześniej.

Ross zaproponował złoty zegarek, który należał do Joshui i który sam rzadko nosił. Sanson obejrzał go.

– Pięćdziesiąt gwinei?

– Jak pan sobie życzy.

Ross rozdawał. Wylosował karo jako kolor atutowy, następnie dostał dziewiątkę, dziesiątkę i asa karo oraz waleta i dziesiątkę pik.

– Wymieniam karty – rzekł Sanson.

– Ile?

– Całą rękę.

– Dla mnie dwie – powiedział Ross. Sanson otrzymał pięć nowych kart, natomiast Ross wyrzucił dwa piki, a dostał króla kier i ósemkę pik.

– Wymieniamy?

Ross kiwnął głową i znowu wyrzucili karty: Sanson dwie, Ross jedną. Dostał króla pik. Sanson oznajmił, że jest usatysfakcjonowany.

– Dziesięć gwinei.

– Dwadzieścia – przebił Ross.

– Przyjmuję.

Rozegrali partię. Sanson miał króla, damę i ósemkę atu, a ponadto blotkę pik. Wziął cztery lewy, Ross jedną.

– Diabelny pech – szepnął ktoś obok Demelzy.

W ciągu kilku minut Ross przegrał pięćdziesiąt gwinei. Sanson usiadł wygodnie i otarł pot z tłustej twarzy.

– Cóż, dobry zegarek – odezwał się do jednego z przyjaciół. – Dosyć kosztowny. Mam nadzieję, że dobrze chodzi. – Rozległy się śmiechy.

Wrócił służący z tacą, na której stały kieliszki.

– Przynieś nową talię kart – polecił Ross.

– Tak, panie.

– Co pan zamierza postawić? – spytał Sanson. W jego głosie zabrzmiał lekki sarkazm.

– Walory, które mogą spieniężyć.

Demelza wiedziała, że ma na myśli udziały w Wheal Leisure. Przecisnęła się do męża, pochyliła się szybko nad stolikiem i położyła na nim trzydzieści cztery gwinee.

– Mam trochę pieniędzy, Ross.

Ross uniósł ze zdziwieniem wzrok, bo nie wiedział, że Demelza obserwuje grę. Najpierw popatrzył gdzieś przez nią, potem spojrzął na jej twarz, lecz tym razem jego oczy nie były nieprzyjazne. Zerknął na złote monety i zmarszczył brwi.

– Zrób mi tę przyjemność, Ross.

Kamerdynier przyniósł nową talię. Sanson rozdawał. Atutem były kiery, a Ross otrzymał damę, waleta i siódmkę kier oraz dziewiątkę i siódmkę trefl.

– Wymiana? – spytał Ross.

– Nie – odpowiedział Sanson. – Znowu dziesięć gwinei?

Było widać, że dostał dobre karty, lecz odrzucenie propozycji wymiany podwoiłoby wygraną Rossa. Miał dość dobrą rękę, więc skinął głową. Okazało się, że Sanson ma króla, asa i dziesiątkę atu, króla karo i króla pik. W pierwszej lewie Sanson przebił atutem trefla, w którego wyszedł Ross, i wyszedł w króla kier. Ross wyrzucił na niego damę.

Był to bluff, ale się udał. Sanson myślał, że Rossowi skończyły się atuty, i wyszedł w asa, którego Ross zabił waletem. Później wziął dwie lewy na siódmkę kier i siódmkę trefl.

Wszyscy wydawali się zadowoleni, z wyjątkiem Sansona.

Na pewien czas szczęście się odwróciło i Ross zgromadził przed sobą sto funtów. Demelza milczała. Jednak Rossa ponownie zaczął prześladować pech. Sanson raz po raz otrzymywał znakomite karty i wygrywał coraz więcej pieniędzy. Publiczność się przerzedzała. Gdzieś w dali zegar wybił drugą. Ross nie pił od jakiegoś czasu.

Zamówiony kieliszek brandy stał nietknięty. Sanson zatarł ręce i popatrzył na Rossa, mrugając.

– Niech pan przyzna, że pana pokonałem – powiedział. – A może ma pan jeszcze jakieś kosztowności?

– Mam udziały.

– Nie, Ross! Nie, Ross! – szepnęła Demelza. – Daj spokój! Niedługo zapieją koguty.

– Ile są warte?

– Sześćset funtów.

– Wygranie takiej sumy zajmie mi trochę czasu. Nie wolałby pan odłożyć tego do rana?

– Nie jestem senny!

– Ross...

– Proszę. – Popatrzył na nią.

Umilkła. Zauważyła, że Sanson patrzy na broszkę z rubinami kupioną przez Rossa. Cofnęła się o kilka centymetrów i instynktownie zasłoniła ją dłonią.

Ross rozdawał karty. Nagle położyła przed nim broszkę.

– Graj o to, jeśli musisz.

Ross odwrócił głowę i spojrzął na żonę, a Sanson popatrzył na broszkę.

– Prawdziwa? – spytał.

– Nie wtrącaj się, Demelzo – rzekł Ross.

– Nie wolno ci stracić udziałów – szepnęła. – Graj o broszkę. Daję ci ją z własnej woli, jeśli musisz grać dalej.

– Ile jest warta? – spytał Sanson. – Nie znam się na kamieniach.

- Jakież sto funtów – odpowiedział Ross.
- Bardzo dobrze. Zgoda. Ale jest już późno.
- Pan rozdaje.

Tym razem Ross wygrywał. Widzowie, którzy wcześniej nie odeszli, dalej stali wokół stolika. Gracze w wista poszli spać, a stolik, gdzie grano w faraona, wreszcie opustoszał. Niektórzy gracze zbliżyli się do stolika Rossa i Sansona. O trzeciej nad ranem Ross wygrał wystarczająco dużo, by wykupić zegarek. Kwadrans po trzeciej leżała przed nim wygrana Demelzy.

– Nie, nie, musicie wreszcie zakończyć ten maraton – zainterweniował George Warleggan. – Na Boga, Ross, miej dla nas trochę litości! Przerwijcie grę po tym rozdaniu. Jeśli chcecie, jutro możecie zacząć wszystko od nowa.

Ross uniósł wzrok i wypił niewielki łyk brandy.

– Bardzo mi przykro, George. Udaj się na spoczynek, jeśli chcesz, ale gra jest daleka od rozstrzygnięcia. Każ służącym iść spać, sami sobie poradzimy.

Sanson wytarł czoło i rękę.

– Szczerze mówiąc, ja też jestem bardzo zmęczony. Gra sprawiała mi wielką przyjemność, ale nie wyzwałem pana na całonocny pojedynek. Proszę zrezygnować, nim szczęście znów się od pana odwróci.

Ross nie ustępował.

– Grajmy jeszcze godzinę, a potem odpocznę.

Sanson zamrugał.

– Myślę, że nasz gospodarz ma prawo...

– Podwójmy stawki – przerwał Ross. – To powinno przyspieszyć rozstrzygnięcie.

– Myślę, że nasz gospodarz... – upierał się Sanson.

– Nie chcę przerywać gry w tym momencie – rzekł Ross.

Spoglądali na siebie przez chwilę, po czym Sanson wzruszył tłustymi ramionami.

– Bardzo dobrze. Jeszcze godzina. Pan rozdaje.

Wydawało się, że rada Sansona była dobra, bo od tej chwili dopisywało mu szczęście. O wpół do trzeciej Rossowi zostało sześćdziesiąt funtów. Za kwadrans czwarta już je stracił. Młynarz obficie się pocił. Demelza czuła narastające mdłości. Grę obserwowało tylko siedem osób.

Zostało jeszcze pół godziny i rozpoczęły się targi na temat udziałów w Wheal Leisure. Początkowo Sanson nie chciał się zgodzić, żeby Ross je postawił. Wysuwał różnego rodzaju zastrzeżenia. Zachowywał się, jakby to on przegrywał.

Dyskusje zajęły pięć minut, wybiła czwarta i gra toczyła się dalej. Pięć po czwartej Ross dostał króla, dziesiątkę i asa atutowego oraz dwie bezużyteczne karty. W czasie pierwszej wymiany dobrał dwa króle. Postawił pięćdziesiąt funtów, co oznaczało, że wygrałby lub przegrałby sto. W czasie rozgrywki okazało się, że Sanson miał pięć pozostałych atutów i wziął jedną lewę.

Demelza rozejrzała się, szukając wolnego fotela, ale żaden nie stał dostatecznie blisko. Mocniej ścisnęła oparcie krzesła Rossa i usiłowała patrzeć przez mgłę wypełniającą jej oczy.

Ross rozdał karty i otrzymał siódmkę, ósemkę i dziewiątkę karo oraz dziewiątkę i dziesiątkę pik. Atutem były kiery, i to, co miał w ręce, było bezwartościowe.

– Wymieniam karty – rzekł młynarz.

– Ile?

– Jedną.

– A ja wszystkie – powiedział Ross i rzucił na stół pięć kart.

Później z pozoru zapomniał, że Sanson powinien dobrać karty jako pierwszy, i wyciągnął rękę w stronę talii. Ich palce się dotknęły, lecz zamiast dobrać kartę Ross chwycił Sansona za nadgarstek.

Młynarz stęknął, a Ross powoli obrócił jego rękę. Na dłoni leżał król atutowy.

Zapadła kamienna cisza.

– Czy mógłby pan wyjaśnić, jak to się dzieje, że ma pan w ręku kartę, nim pan ją dobrał?

Wydawało się, że Sanson zemdleje.

– Bzdura – odpowiedział. – Dobrałem kartę, nim chwycił mnie pan za rękę.

– Moim zdaniem raczej tak było, Ross – wtrącił George Warleggan. – Jeśli...

– O nie, nie dobrał karty! – odezwali się jednocześnie Hick i Vosper.

Ross nagle puścił nadgarstek grubasa, chwycił go za żabot, wyciągnął z fotela i rzucił na blat stołu.

– Sprawdźmy, czy masz jeszcze jakieś karty!

W cichej sali zapanowało zamieszanie. Po podłodze toczyły się suwereny i gwinee, które spadły z przewróconego stołu. Sanson szamotał się, leżąc na plecach, a Ross rozerwał mu koszulę i zdarł z niego surdut.

W wewnętrznej kieszeni znajdowały się dwie karty. To wszystko.

Ross wstał i zaczął obszukiwać surdut. Wyjmował swoje weksle i kładł je na fotelu. Sanson stał, milcząc, lecz nagle wyciągnął rękę, próbując chwycić surdut. Ross zatrzymał go, po czym upuścił surdut na podłogę i gwałtownie odepchnął młynarza. Sanson przysiadł na fotelu, zakrztusił się, znowu wstał. Ross obrócił go, a następnie ujął za koszulę i siedzenie aksamitnych spodni.

– Otwórz balkon, Francis – powiedział.

– Posłuchaj, Ross... – Obok pojawiła się barczysta sylwetka George'a. – Nie życzymy sobie bójk...

Ross ominął Warleggana i ruszył w stronę drzwi balkonowych, niosąc szamocącego się młynarza. Zszedł po czterech schodkach. Podążyła za nim część gości, lecz George Warleggan zatrzymał się przy wyjściu na balkon.

Stan rzeki był bardzo niski. W świetle blednących gwiazd przypominała czarny wąwóz o spadzistych zboczach. Kiedy Ross zbliżył się do brzegu, Sanson wierzgnął i próbował się wyrwać. Na krawędzi zaczął wołać o pomoc, ale umilkł, gdy Ross potrząsnął nim kilka razy. Ross napiął mięśnie, uniósł kupca, zakołysał nim i cisnął do rzeki, o mało do niej nie wpadając. Piskliwe niczym u dziecka krzyki Sansona zakończył głośny plusk.

Ross odzyskał równowagę i spojrzał w dół. Nic nie widział. Odwrócił się i wszedł do pałacu, nie patrząc na mijanych ludzi. W pobliżu schodów chwycił go za rękę George.

– Wpadł do rzeki?

– Tam, gdzie powinna być rzeka. Wyszła.

– Utopi się w tym błocie, człowieku!

Ross popatrzył na Warleggana. Ich spojrzenia się spotkały i zaśniło w nich dziwne światło, wspomnienie dawnego konfliktu.

– Przepraszam za napaść na twojego gościa i wywołanie awantury – rzekł Ross. – Ale jeśli przyjmiesz pod swoim dachem szulerów, powinieneś zadbać o prostszy sposób wyproszenia ich za drzwi. – Wszedł do pałacu.

Demelza znalazła się w sypialni na dziesięć minut przed Rossem. Rozebrała się, powiesiła swoją śliczną suknię w ogromnej mahoniowej szafie, rozpuściła włosy, uczesała je i włożyła koszulę nocną z koronkowym kołnierzem. Siedziała na łóżku i obserwowała Rossa z czujnym wyrazem twarzy. Wyglądała na szesnaście lat.

Chociaż rozumiała nastrój męża, nie wiedziała, jak zareagować. Tego wieczoru Ross stanowił dla niej zbyt trudny problem.

Zamknął drzwi i popatrzył na Demelzę. Jego oczy miały jasną barwę, jak zawsze, gdy był wściekły.

Oderwał wzrok od żony siedzącej na łóżku i spojrzął na coś trzymanego w dłoni.

– Przyniosłem twoją broszkę – powiedział. Wydawał się zupełnie trzeźwy, jakby przez cały dzień nie wypił ani kropli alkoholu.

– Och, dziękuję.

– Zostawiłaś ją w fotelu.

– Nie chciałam jej dotykać, Ross.

Podszedł do toaletki i położył na niej klejnot.

– Dziękuję za jej pożyczenie.

– Cóż, pomyślałam... pomyślałam o Wheal Leisure. O wszystkich twoich planach, pracy... Odzyska-
łeś wszystko?

– Co?

– To, co dziś przegrałeś.

– O tak. – Zaczął się rozbierać.

– Kiedy po raz pierwszy pomyślałeś, że oszukuje, Ross?

– Nie wiem... Kiedy przyszłaś. Nie, trochę później, ale nie byłem pewny.

– Właśnie dlatego nie chciałeś odejść od stolika?

– Chwilami nie oszukiwałem i wtedy wygrywałem. Wiedziałem, że jeśli będę przedłużał grę, zacznie
znowu oszukiwać. Pociły mu się ręce. Właśnie na to liczyłem.

– Co się z nim stało, Ross? Nie utopił się?

– George ma dwóch kamerdynerów.

– Cieszę się. Nie z jego powodu, ale... – Wstała z łóżka.

– Dokąd idziesz?

– Schować broszkę w bezpiecznym miejscu. Nie mogłabym zasnąć, wiedząc, że leży na toaletce.

– Musi gdzieś leżeć, gdy będziesz spać.

– W takim razie niech leży pod poduszką.

W długiej, białej koszuli nocnej z bawełny wydawała się bardzo młoda i wysoka. Nie przypominała
matki Julii.

Kiedy wróciła, Ross ujął ją za łokcie.

– Demelzo... – zaczął.

Znieruchomiła i ciągle niepewna popatrzyła na napiętą twarz męża.

– Twój debiut w towarzystwie nie wypadł w dobrym momencie.

– Nie – przyznała, opuszczając głowę.

Ujął dłońmi jej szyję i dotknął bujnych włosów opadających na ramiona. Delikatnie obrócił głowę
Demelzy, by spojrzęła mu w oczy.

– To, co mówiłem w sali balowej...

– Tak?

– Nie miałem racji.

– W czym?

– Mogłaś przyjmować hołdy tych mężczyzn, bo cię zaniedbywałem.

– Och... Wiedziałam, dlaczego mnie zaniedbujesz. Nie z powodu lekceważenia, złości. Martwiłam
się. Opadli mnie jak rój pszczół. Nie miałam czasu się zastanowić. A potem, kiedy przyszedłeś...

Weszła z powrotem do wielkiego łoża z kotarami, a Ross siedział na skraju z nogami na stopniu.
Demelza objęła swoje kolana i spojrzęła na męża.

– Rozmawiałam z Verity.

– Verity?

Powiedziała mu.

Zapadło długie milczenie. Była to jedna z częstych chwil, gdy rozumieli się bez słów jak dwoje przyjaciół.

– O Boże, świat jest naprawdę dziwny! – westchnął Ross. Oparł się o kolana Demelzy. – Przez cały tydzień walczyłem z cieniami, bo nie było innych przeciwników. Jak sama wiesz. Ale w tej chwili jestem zbyt zmęczony, by dalej czuć nienawiść.

– Cieszę się – odpowiedziała.

Po kilku minutach położył się obok niej i leżał w milczeniu, patrząc na baldachim. W końcu wychylił się i zdmuchnął świecę.

Objęła go i przytuliła jego głowę do swojego ramienia.

– Pierwszy raz od czterech dni jestem trzeźwy – mruknął.

Leżeli w tej pozycji po raz pierwszy, lecz Demelza tego nie skomentowała.

Rozdział dwunasty

Nazajutrz rano nie ulegało wątpliwości, że Warlegganowie są niezadowoleni z finału awantury przy kartach. Atmosfera była sztywna i napięta. Ross zastanawiał się, czy oczekują, że ich goście dadzą się rujnować bez słowa sprzeciwu.

Jednak nie miał czasu na myślenie o całej sprawie, bo przed powrotem do Nampary spotkał się z Harrisem Pascoem.

W ciągu kilku dni prawie zapomniał o odlewni, ale teraz było wiele spraw do załatwienia. Należało omówić ważne kwestie. Po chwili bankier spytał nerwowo:

– Słyszałem, że jakiś czas temu odwiedził pan Launceston?

– Owszem.

– Wie pan, to dziwne. Bardzo rzadko wychodzę z domu, chyba że na spacer na wzgórze, by utrzymać formę, a jednak słyszę nowiny ze świata. Ufam, że ta przygoda panu nie zaszkodziła...

– Na razie nic mi nie jest. Oczywiście febra może się rozwinąć w ciągu następnych kilku dni.

Pascoe skrzywił się lekko.

– Jak rozumiem, wdarcie się do więzienia nie przysporzyło panu popularności.

– Nie spodziewałem się tego.

– Istotnie... Ten młody człowiek zmarł, prawda? Tak... Uważam, że ta sprawa rozejdzie się po kościach. W czasie śledztwa na temat pańskiego czynu pojawiłyby się pytania o warunki panujące w więzieniu, więc zainteresowani sędziowie z pewnością woleliby nie nadawać tej sprawie rozgłosu. Doprawdy, większość z nich to właściciele ziemscy o dobrych intencjach. Ich największa zbrodnia to apatia. Często potrafią okazywać ogromną troskę o sprawy publiczne. Sądzą, że nie należy przedstawiać angielskich instytucji w złym świetle, bo to mało patriotyczne. Moim zdaniem postanowią zignorować całą sprawę. Oczywiście to tylko moja osobista opinia.

Ross uderzał szpicrutą w but do jazdy konnej.

– To dość niefortunne, że kilku udziałowców Carnmore Copper Company znajduje się po drugiej stronie barykady, jeśli można tak powiedzieć – dodał Pascoe, wyglądając przez okno.

– Co pan ma na myśli?

– Cóż, to przecież sędziowie, prawda? Mogą patrzeć na sprawę z własnego punktu widzenia. St Aubyn Tresize, Alfred Barbary i inni. Jednak może nic z tego nie wyniknie.

Ross prychnął i wstał.

– Mamy zbyt wielu przeciwników, by walczyć między sobą.

Pascoe poprawił okulary i strzepnął z surduta szczyptę tabaki.

– Nie byłem wczoraj na balu, ale podobno wybornie się udał. Jak rozumiem, pana żona odniosła wielki sukces.

Ross szybko uniósł wzrok. Pascoe zwykle nie był sarkastyczny.

– Jaki?

Bankier spojrzał mu w oczy z lekkim zdziwieniem.

– Sukces w jak najbardziej pozytywnym znaczeniu tego słowa. Jeśli istnieją nieprzyjemne sposoby odnoszenia sukcesów, muszą je dopiero poznać.

– Ach tak – odpowiedział Ross. – Wczoraj wieczorem byłem trochę wytrącony z równowagi. Niczego nie zauważyłem.

– Mam nadzieję, że to nie objawy febry?

– Och nie... Co pan powiedział?

– O czym?

– O mojej żonie.

– Ach, po prostu powtórzyłem to, co usłyszałem. Kilka dam zachwycało się jej urodą. Podobno dopytywał się o nią sam lord namiestnik.

– Cóż, to bardzo miłe – odpowiedział Ross, próbując nie okazywać zdziwienia.

Harris Pascoe odprowadził go do drzwi.

– Zatrzymał się pan u Warlegganów?

– Nie mogliśmy odmówić. Chyba nie zostaniemy zaproszeni ponownie, bo wieść o moim udziale w budowie odlewni szybko się rozejdzie.

– Taak. A pana kłótnia z Matthew Sansonem również popsuje wzajemne stosunki.

– Jest pan wyjątkowo dobrze poinformowany.

Pascoe się uśmiechnął.

– Powiedział mi o tym niejaki Vosper. Jednak o takiej awanturze wkrótce zaczniesz mówić całe miasto.

– Nie powinno to rzucać złego światła na Warlegganów. Nie uczestniczyli w grze.

– Tak, ale to ich krewny. Wie pan o tym?

Ross zamarł.

– Krewny Warlegganów? Nie miałem pojęcia.

– Ich dziadek... wie pan, że był kowalem? Tak, i miał troje dzieci. Córka wyszła za mąż za nicponia nazwiskiem Sanson, ojca Matthew Sansona. Najstarszym dzieckiem staruszka jest Nicholas, ojciec George'a, a młodszy syn to Cary.

– Och... – westchnął Ross, zastanawiając się nad tym, co usłyszał. Wymagało to gruntownego przemyślenia. – Sanson to młynarz, prawda?

– Tak go nazywają – odpowiedział Pascoe z dziwnym wyrazem twarzy.

Opuścili pałac Warlegganów o pierwszej, a George wielkodusznie zszedł po schodach, by ich pożegnać. Nie wspomniano ani jednym słowem o awanturze z poprzedniej nocy. Wydawało się, że Sanson nigdy nie istniał. Śmiali się, dziękowali i składali sobie nieszczerze obietnice, że wkrótce znowu się spotkają, po czym pięcioro Poldarków skierowało konie w stronę Princess Street. Kiedy Demelza miała zająć miejsce w siodle, podszedł do niej stajenny z gospody Pod Siedmioma Gwiazdami i wręczył zapieczętowany list, ale z powodu obecności wielu ludzi miała tylko czas wetknąć go do kieszeni stroju do jazdy konnej, licząc, że nikt tego nie zauważył.

Nie opuściło ich skrępowanie, bo od zeszłego wieczoru Francis nie odezwał się do siostry ani słowem i gdy jechali obok siebie, nikt nie miał ochoty rozmawiać. Na wrzosowisku Ross i Francis podążyli przodem, za nimi jechały trzy młode kobiety, a pochód zamykały kuce z bagażami oraz dwóch służących z Trenwith. Bracia stryjeczni nawiązali przyjacielską pogawędkę, co nie zdarzało się już od bardzo dawna, a ponieważ Verity nie miała nic do powiedzenia, Elizabeth i Demelza po raz pierwszy zaczęły rozmawiać ze sobą jak osoby równego stanu.

Ross i Francis, starannie unikając wzmianek o kapitanie Blameyu, skupili się na Matthew Sansonie. Francis nie wiedział, że to krewny Warlegganów.

– Do licha, grałem z tym szubrawcem przez ostatnie trzy lata! – rzekł. – Właśnie to mnie naprawdę niepokoi. Nie ma wątpliwości, że najczęściej wygrywał. Czasem przegrywał, ale rzadko. Zastanawiam się, na ile mnie oszukał.

– Domyślam się, że wygrywał tylko dzięki szulerce. Posłuchaj, Francis: uważam, że nie należy puszczać tego płazem. Sam nie mogę nic na tym zyskać, ale ty tak, podobnie jak inni. Musisz też brać pod uwagę Warlegganów.

– Myślisz, że można zażądać zwrotu części jego wygranej?

– Dlaczego nie? To młynarz i śpi na pieniądzach. Czemu nie miałby zapłacić?

– Szkoda, że nie pomyślałem o tym przed wyjściem. Moglibyśmy wysondować kilka osób, które również ograł. Mam nieprzyjemne uczucie, że opuści Kornwalię, nim zdążymy coś zrobić.

– Cóż, są jeszcze jego młyny. Nie może ich zostawić.

– Nie.

Ross zauważył, że Demelza rozmawia z Elizabeth, i dźwięk ich głosów płynących na wietrze sprawił mu przyjemność. Gdyby te dwie kobiety zostały przyjaciółkami, byłoby to dziwne i miłe. Zawsze tego pragnął.

Po przyjeździe do Trenwith musieli wejść do dworu i napić się herbaty. Należało się zająć Geofreyem Charlesem i Julią, dlatego Ross i Demelza wyruszyli w drogę do Nampary dopiero pod wieczór. Ross trzymał kwilące dziecko na rękach, a Demelza starała się jechać jak najbliżej niego, by patrzeć na buzię córki. Zostało im do pokonania pięć kilometrów.

– Verity strasznie to przeżyła – odezwał się Ross. – Przy herbacie prawie się nie odzywała. Zaniepokoił mnie wyraz jej twarzy. Bogu dzięki, nie mamy z tym nic wspólnego.

– Tak, Ross – odpowiedziała Demelza, pamiętając o liście znajdującym się w jej kieszeni. Zerknęła na niego w Trenwith. Zaczynał się następująco:

Pani Demelzo!

Pomogła nam Pani nawiązać kontakt, więc zwracam się do Pani z prośbą o pomoc w rozwiązaniu tego kryzysu. Francis jest nieustępliwy; zgoda między nami wydaje się niemożliwa. Z tego powodu Verity musi wybrać między nami i zrobić to szybko. Nie obawiam się jej wyboru, lecz nie mogę się z nią porozumieć, by uzgodnić ostateczne kwestie. Proszę o Pani pomoc w tej materii...

– Tak, Ross – powtórzyła.

Kiedy dotarli do zagajnika i skręcili w dolinę, zaświeciło słońce i zatrzymali się na chwilę, by popatrzeć na posiadłość.

– Widok Nampary przypomina mi o nieszczęściu Jinny i o mojej porażce – rzekł nagle Ross. – Przykro mi dziś tu wracać.

Dotknęła jego dłoni.

– Nie mów tak, Ross. Wracamy do naszego szczęścia i sukcesu. Mnie też jest smutno z powodu Jinny, zawsze będzie mi smutno, ale nie możemy pozwolić, by nieszczęścia innych zepsuły nam życie. Brońmy się przed tym, bo inaczej nigdy nie będziemy szczęśliwi. Nie możemy być zależni od innych ludzi w taki sposób. Przecież sam Bóg sprawił, że jesteśmy sobą, a nie nimi, prawda. Musimy się cieszyć swoim szczęściem, bo nie wiadomo, jak długo potrwa.

Popatrzył na żonę.

– Jest nasze i musimy je pielęgnować, Ross – ciągnęła. – Nie ma sensu marzyć, by wszyscy byli szczęśliwi tak samo jak my, bo to mrzonki. Jestem zadowolona z życia i chcę, żebyś ty też był zadowolony. Jeszcze niedawno wydawałeś się szczęśliwy. Czy cię zawiodłam?

– Nie – odpowiedział. – Nie zawiodłaś mnie.

Odetchnęła głęboko.

– Jak przyjemnie jest patrzeć na morze po kilku dniach nieobecności...

Po raz pierwszy od powrotu do domu zaśmiał się lekko.

Od dwóch tygodni wiał południowo-wschodni wiatr. Czasami morze było gładkie i zielone, a kiedy indziej piętrzyły się na nim fale. Dziś morze było wzburzone. Aż po horyzont ciągnęły się rzędy grzywaczy, które posuwały się powoli w stronę wybrzeża, lśniąc w słońcu, aż wreszcie załamywały się

w zatoce, wyrzucając w górę fontanny białej piany.

Kiedy wjechali między drzewa, przybiegł do nich podniecony Garrick z wywieszonym językiem. Z pyska ciekła mu ślina. Czarnulka, przyzwyczajona do psa Demelzy, kompletnie go zignorowała, ale Caerhaysowi, nowemu koniowi Demelzy, bardzo się to nie spodobało. Potrząsał łbem i przysiadł na zadzie, nim się uspokoił. Ruszyli naprzód i po chwili zobaczyli dziewczynę biegnącą w poprzek drogi w stronę przeciwnego stoku doliny. Miała rozwiane włosy i niosła torbę, która kołysała się przy każdym kroku.

– To znowu Keren Daniel – powiedziała Demelza. – Kiedy wybiera się do Sawle, zawsze chodzi na skróty przez mój ogród.

– Chyba nikt jej tego nigdy nie zabronił. Ale, ale... Dziś rano ktoś mnie spytał, czy Dwight Enys spotyka się z kobietą z sąsiedztwa. Słyszałaś taką plotkę?

– Nie – odpowiedziała Demelza, po czym nagle wszystko zrozumiała. – Och...

– Co takiego?

– Nic.

Dotarli do mostka i przejechali przez niego. Ross nagle poczuł, że chce zaspokoić pragnienie szczęścia Demelzy, wynagrodzić jej przykrości poprzedniego wieczoru. Dlaczego nie? To dziwne, jak łatwo czasem wypowiadać gorzkie słowa, a trudno dobre.

– Słyszałaś, co mówiłem o Harrisie Pascoem?

– Twoim bankierze?

– Tak. Wydaje się najlepiej poinformowanym człowiekiem w hrabstwie. Nie był wczoraj na balu w Assembly Rooms, ale wie wszystko o twoim sukcesie.

– Moim sukcesie? – spytała Demelza, zastanawiając się, czy Ross ironizuje.

– Tak. Podobno damy zachwycały się twoją urodą, a lord namiestnik pytał o twoje imię.

– O Boże! – Demelza nagle się zaczerwieniła. – Żartujesz!

– Bynajmniej.

– Kto mu to powiedział?

– Ma dobre źródła informacji.

– O Boże! – powtórzyła. – Nawet nie wiedziałam, który z gości to lord namiestnik.

– Widzisz, nawet jeśli ja nie potrafiłem cię docenić, zrobili to inni.

– Och, Ross, nie mogę w to uwierzyć! – powiedziała, zabawnie podnosząc głos. – W tym tłoku nikt nie mógł nic zauważyć. Pascoe chciał ci sprawić przyjemność.

– Zapewniam cię, że to wszystko prawda.

Dotarli do drzwi dworu. Były otwarte, lecz nikt na nich nie czekał.

– Jestem... bardzo się dziwię – powiedziała Demelza. – To na pewno dzięki tej pięknej sukni od ciebie.

– Obraz nie dlatego jest ładny, że ma ładną ramę.

– Aaa... Dziwnie się czuję...

Za węgła wybiegł truchtem John Gimlett i przeprosił, że nie powitał ich przy drzwiach. Jego lśniąca, okrągła twarz była dobroduszna i przyjazna; poczuli, że są w domu. Ross zamierzał dać służącemu Julię, ale Demelza zaprotestowała i zsiadła z konia pierwsza.

Wzięła od Rossa wierzgającą niemowlę i czekała, aż ułoży się wygodnie w jej ramionach. Dziewczynka natychmiast się zorientowała, kto ją trzyma, i na jej pulchnej buzi pojawił się radosny uśmiech. Zagruchała i uniosła zaciśniętą piąstkę. Demelza pocałowała rączkę córeczki i popatrzyła na jej twarz, szukając oznak zmian. Julia wydawała się nieco brzydsza niż trzydzieści sześć godzin wcześniej. Demelza doszła do wniosku, że w tym wieku żadne dziecko nie może wyglądać schludnie bez opieki

matki. („Damy zachwyciły się twoją urodą, a lord namiestnik pytał...”. „To na pewno dzięki tej pięknej sukni od ciebie”, ale Ross odpowiedział: „Obraz nie dlatego jest ładny, że ma ładną ramę”). Demelza wiedziała, że kiedy Julia dorośnie, będzie dumna z ojca, lecz nie przyszło jej do głowy, że mogłaby być również dumna z matki. Piękna myśl, jak blask słońca na morzu. Postanowiła się postarać. Naucz się być damą, naucz się starzeć z wdziękiem i urokiem. Jesteś jeszcze młoda, więc ciągle możesz się uczyć.

Uniosła głowę i popatrzyła na Rossa zsiadającego z konia. Zeszłej nocy i dwa dni temu bała się o niego. Ale dziś odzyskał równowagę. Jeśli zdoła go przekonać, by przez jakiś czas przebywał w domu, odzyska jego miłość. Wszystko zależy od niej.

Julia przeciągnęła się i zaczęła gaworzyć:

– Na... na... na... – powiedziała. – Du... du... ba... o... na... na... – Roześmiała się z wypowiadanych przez siebie absurdów.

Demelza westchnęła. Czuła, że życie jest skomplikowane, lecz dobre. Odwróciła się i wniosła córeczkę do domu.

Rozdział trzynasty

Keren śpieszyła się z ważnego powodu. Niosła w torbie kolację dla Marka, dwie solone sardynki, za które zapłaciła dwa pensy, i nie chciała się spóźnić z jej przygotowaniem. Przez większą część drogi powrotnej biegła, wpadła zdyszana do chaty i zebrała drewno, by rozpaścić ogień. Mark pracował w niewielkim gospodarstwie Willa Nanfana, by trochę dorobić. Przez cały tydzień miał nocne szychty i jego rozkład dnia wyglądał następująco: od dziesiątej wieczorem do szóstej rano pracował w kopalni, od siódmej do dwunastej spał, przez godzinę uprawiał ogródek, następnie szedł do chaty Nanfana, położonej w odległości półtora kilometra, gdzie pracował od drugiej do siódmej. Wracał do domu o wpół do ósmej, odpoczywał godzinę, po czym jadł kolację i znów szedł do kopalni. Harował, lecz nie miał wyboru, bo Keren okazała się niezbyt dobrą gospodynią. Zawsze wolała kupować jedzenie zamiast przyrządzić coś z własnego ogrodu. Takie nastawienie było zupełnym przeciwieństwem tego, jak zachowywały się jej sąsiadki.

W Sawle straciła trochę czasu, przyglądając się bójce dwóch mężczyzn, którzy pokłócili się o sieć. Jednak w domu okazało się, że wróciła dostatecznie wcześniej i niepotrzebnie się śpieszyła. Ale nie przeklinała w duchu samej siebie ani Marka za to, że zmusza ją do ciągłej punktualności – z bardzo ważnego powodu. Tego dnia wracał Dwight.

Nie widziała go prawie od tygodnia. Miał się pojawić właśnie dziś.

Ugotowała kolację, obudziła Marka i patrzyła, jak je, choć sama ledwo skubała przygotowane potrawy. Jej rozchwianie emocjonalne ujawniało się również w sposobie odżywiania: czasem, gdy nie miała ochoty jeść, prawie głodowała, a kiedy indziej opychała się do tego stopnia, że ledwie mogła się ruszyć.

Siedziała, patrząc na Marka przygotowującego się do pójścia do kopalni, i czuła dziwne napięcie, które ogarniało ją już wiele razy, zawsze z tego samego powodu. Ostatnio stał się ponury, mniej ulegał jej humorom. Czasem miała wrażenie, że ją obserwuje. Nie przejmowała się tym, bo uważała, że zawsze zdoła go przechytryć, i starała się nie robić niczego podejrzanego w jego obecności. Miała swobodę wtedy, gdy Mark pracował w nocy, ale jak dotąd obawiała się z niej korzystać – nie bała się, że ktoś ją przyłapie, lecz co pomyśli o niej Dwight.

Zachodzące słońce skryło się za chmurami i na niebie pojawiła się bladopomarańczowa luna. W chatce panował mrok. Keren zapaliła świecę.

– Lepiej oszczędzaj świece na noc – powiedział Mark. – Kosztują osiemnaście pensów za kilogram, a to spory wydatek.

Zawsze narzekał na ceny. Myślał, że żona będzie siedzieć w ciemności?

– Gdyby okna wychodziły na drugą stronę, wieczorem byłoby znacznie jaśniej – odparła.

Często skarżyła się na usytuowanie chaty. Czy spodziewała się, że Mark ją uniesie, obróci i postawi tyłem do przodu?

– Pamiętaj o ryglowaniu drzwi, jak mnie nie ma – rzekł.

– Wtedy muszę wstawać, by cię wpuścić.

– Nieważne. Rób, co mówię. Nie podoba mi się, że zostaniesz tu sama, tak jak dziś rano. Dziwię się, że nie boisz się siedzieć w nocy w pustym domu.

Wzruszyła ramionami.

– Nikt z miejscowych nie ośmiela się tu zapuszczać. A żebrak albo włóczęga nie wiedziałby, że cię nie ma.

Wstał.

– Tak czy inaczej, zamknij się dzisiaj.

– Dobrze.

Zebrał swoje rzeczy i podszedł do drzwi. Przed wyjściem zerknął na Keren siedzącą przy świecy. Światło padało na jej jasną skórę, blade powieki, ciemne rzęsy i ciemne włosy. Zaciskała usta i patrzyła na Marka. Nagle wstrząsnął nim dreszcz. Targały nim uczucia: miłość, zazdrość i nieufność. Wyglądała rozkosznie, jak pyszny owoc. Poślubił ją, jednak od wielu tygodni coraz częściej przychodziło mu do głowy, że tak naprawdę nie jest stworzona dla niego.

– Keren!

– Tak?

– I nie otwieraj nikomu drzwi, nim nie wrócę.

Popatrzyła mu w oczy.

– Nie, Mark. Nie otworzę nikomu.

Wyszedł, zastanawiając się, dlaczego przyjęła jego słowa tak spokojnie, dlaczego w ogóle jej nie zdziwiły.

Keren przez długi czas siedziała nieruchomo. Później zdmuchnęła świecę, podeszła do drzwi, otworzyła je i usłyszała dzwon obwieszczający zmianę szychty w kopalni. Zamknęła drzwi, ponownie zapaliła świecę i zaniósła ją do sypialni. Położyła się na łóżku, ale nie chciało jej się spać. W głowie kłębiły się myśli, na całym ciele czuła mrowienie.

W końcu usiadła, uczesała włosy, wyskrobała ze szkatułki resztkę pudru, włożyła podniszczoną czarną pelerynę i związała włosy szkarłatną chustą wygraną przez Marka. Później wyszła z chaty. Idąc, zgarbiła plecy i lekko kuśtykała, by nikt jej nie rozpoznał.

Jak się spodziewała, w stróżówce paliło się światło w oknie salonu. Zauważyła również płomyk świecy w jednym z okien wieżyczki. Bone kładł się spać.

Nie zastukała do drzwi, tylko cicho obeszła dom wśród krzaków jeżyn, aż dotarła do oświetlonego okna wychodzącego na wzgórze. Zatrzymała się, zdjęła chustkę i rozpuściła włosy. Wreszcie zastukała w szybę.

Czekała chwilę, lecz nie zapukała drugi raz, ponieważ wiedziała, że Dwight ma świetny słuch. Nagle rozsunęły się zasłony i ukazała się jego ręka. Otworzył okno. Keren zobaczyła przed sobą twarz Enysa.

– Keren! Co się stało? Dobrze się czujesz?!

– Tak – odpowiedziała. – Chciałam... chciałam się z tobą zobaczyć, Dwight.

– Idź do frontowych drzwi – odparł. – Wpuszczę cię.

– Nie, wejdę przez okno, jeśli mi pomożesz.

Wyciągnął rękę, a Keren chwyciła ją i zgrabnie wskoczyła do pokoju. Lekarz pośpiesznie zamknął okno i zaciągnął zasłony.

Na kominku płonął ogień. Pokryty rozłożonymi papierami stół oświetlały dwa lichtarze. Enys był ubrany w podniszczony szlafrok i miał zmierzwione włosy. Wyglądał młodo i przystojnie.

– Wybacz mi, Dwight. Nie mogłam... nie mogłam przyjść o innej porze. Mark ma nocną szychcę. Tak się niepokoiłam...

– Niepokoiłaś?

– Tak, o ciebie. Podobno zachorowałeś na febrę.

Jego twarz się rozpogodziła.

– Ach, to...

– Wiedziałaś, że wróciłeś do domu we wtorek, ale nie mogłam przyjść, a ty nie przesłałeś mi żadnej wiadomości.

– Jak miałem to zrobić?

– Cóż, mogłeś spróbować przed wyjazdem do Truro.

– Nie wiedziałem, kiedy Mark pracuje. Niepotrzebnie się o mnie martwiłaś, moja droga. Przed powrotem do domu bardzo dokładnie się odkazaliśmy. Kiedy wszedłem do więzienia, nawet mój notes przesiąkł smrodem i musiałem go spalić, wiesz?

– I mówisz, że nie było żadnego niebezpieczeństwa!

Popatrzył na Keren.

– Cóż, to miło, że się o mnie martwiłaś. Dziękuję. Ale przychodząc tu w nocy, sama narażasz się na niebezpieczeństwo.

– Dlaczego? – Spojrzała na Dwighta spod opuszczonych powiek. – Mark wyjdzie z kopalni za osiem godzin, a twój służący położył się spać.

Uśmiechnął się z odrobiną zażenowania. Wczoraj, w czasie jazdy do Truro, a nawet w czasie balu myślał o Keren Daniel. Doskonale rozumiał, do czego to wszystko zmierza, i targwały nim sprzeczne uczucia: chciał się zatrzymać, a jednocześnie iść naprzód. Czasem był już bliski decyzji, by ją pojąć, i zdawał sobie sprawę, że nie miałyby nic przeciwko temu, lecz rozumiał, że żaden człowiek na świecie nie jest w stanie przewidzieć, jak to się skończy. Myśl o tym utrudniała mu pracę.

Wczorajszy bal i nagły, odświeżający kontakt z ludźmi z własnej sfery przyniósł mu trochę ulgi. Ucieszył się z ponownego spotkania z Elizabeth Poldark, którą uważał za najpiękniejszą kobietę, jaką kiedykolwiek spotkał. Ucieszył się ze spotkania z Joan Pascoe, jasną, czystą i poważną, zupełnie inną niż kapryśna, impulsywna Keren. Wrócił do domu przekonany, że to nieprawdopodobne igranie z ogniem musi się zakończyć.

Ale kiedy zobaczył Keren, okazało się to trudne. Joan i pozostałe dziewczęta żyły w innym, odległym świecie, były młodymi damami, należały do towarzystwa. Keren wydawała się rzeczywista. Znał już smak jej ust, ciepły dotyk jej ciała.

– Cóż, nie zamierzasz mnie pocałować? – spytała, jakby czytała w jego myślach.

– Tak – odparł. – A potem musisz odejść, Keren.

Zrzuciła pelerynę i stanęła naprzeciwko niego z rękami założonymi do tyłu, czekając w napięciu. Uniosła twarz i przymknęła powieki.

– Teraz – powiedziała. – Tylko raz.

Objął ją i pocałował w chłodne usta, ona zaś próbowała odwzajemnić pocałunek. Nagle zrozumiał, że właśnie tego mu brakowało w ciągu ostatniego tygodnia, bardziej niż czegokolwiek innego.

– Albo tysiąc razy... – szepnęła.

– Co takiego? – spytał.

Zerknęła w bok.

– Ogień jest miły. Dlaczego miałabym wychodzić?

Dwight wiedział, że jest zgubiony. Ona również to rozumiała. Nie mogli nic na to poradzić. Musiał ulec. Musiał.

– Co powiedziałaś? – powtórzył.

– Pocałuj mnie tysiąc razy. Albo dwadzieścia tysięcy razy. Albo milion razy. Zgodzę się na wszystko, o co poprosisz.

Uniół dłoń do jej twarzy, dotknął policzków. Nagle w jego dotyku pojawiła się czułość.

– Jeśli cię raz pocałuję, nie będę więcej prosił.

– Więc całuj – odpowiedziała. – Całuj...

Rozdział czternasty

Rankiem w sobotę drugiego maja w jednej z górnych komnat Wielkiego Domu odbyło się spotkanie trzech najważniejszych członków rodziny Warlegganów odpowiedzialnych za prowadzenie interesów. Nicholas Warleggan, masywny, poważny i twardy, siedział zwrócony plecami do okna w pięknym fotelu w stylu Sheraton. George Warleggan zajmował miejsce w fotelu obok kominka i od czasu do czasu stukał laską w gipsowe ornamenty, a Cary Warleggan siedział przy stole, przeglądał jakieś papiery i oddychał przez nos.

– Trevaunance przekazał niewiele informacji – odezwał się Cary. – Według Smitha nie było uroczystego otwarcia. W południe sir John Trevaunance, kapitan Poldark i pan Tonkin poszli do odlewni, sir John powiedział kilka słów i robotnicy rozpalili paleniska. Później trzej dżentelmeni udali się do jednego z blaszanych baraków, które zbudowano na terenie zakładu, wzniesli toast i rozeszli się do domów.

– Gdzie się znajduje odlewnia? – spytał Nicholas Warleggan.

– W bardzo dobrym miejscu. W czasie przypływu do zatoki Trevaunance może wpłynąć bryg i zacumować przy nabrzeżu. Węgiel wyładowuje się tuż obok palenisk.

George opuścił laskę.

– Jak rozwiązują problem walcowania i cięcia miedzi?

– Niedawno zawarli umowę z udziałowcami Wheal Radiant. Korzystają z ich walcowni i kuźni. Leży w odległości pięciu kilometrów.

– Wheal Radiant – mruknął w zamyśleniu George. – Wheal Radiant...

– A co z aukcją rudy? – spytał Nicholas Warleggan.

Cary zaszeleścił papierami.

– Blight mówi, że uczestniczył w niej tłum ludzi. Należało się tego spodziewać, bo nowiny już się rozeszły. Wszystko poszło zgodnie z planem i Carnmore Company nic nie kupiła. Oczywiście kopalnie były zadowolone z wysokich cen. Aukcja przebiegła bardzo spokojnie.

– Poprzednim razem kupili zapas na trzy miesiące – zauważył George. – Zabawa zacznie się wtedy, gdy im zabraknie rudy.

– Po aukcji Tremail próbował dyskretnie wysondować Martina i sprawdzić, czy jest lojalny wobec firmy – dodał Cary. – Jednak Martin zachowywał się bardzo nieprzyjemnie i rozmowę trzeba było przerwać.

Nicholas Warleggan wstał.

– Nie wiem, czy uczestniczyłeś w tych zabiegach, George, ale jeśli tak, próba przeciągnięcia ich agenta na naszą stronę budzi we mnie dezaprobatę. Prowadzę interesy od czterdziestu lat i większość z tego, co zbudowałeś – a może nawet wszystko – powstało na fundamentach stworzonych przeze mnie. Nasz bank, nasza odlewnia, nasze młyny działają na uczciwych zasadach. Jesteśmy znani z solidności. Mamy dobrą opinię i napełnia mnie to dumą. Staraj się walczyć z Carnmore Copper Company metodami, które nie mogą budzić żadnych zastrzeżeń. Bardzo zależy mi na doprowadzeniu ich do bankructwa, ale uważam, że nie powinniśmy się zniżać do przekupywania ich pracowników.

Wypowiedziawszy te słowa, Nicholas Warleggan odwrócił się plecami i popatrzył na ogród i rzekę. Cary układał papiery. George przesuwiał koniec laski po gipsowych sztukateriach zdobiących kominek.

– Ich absurdalna tajemniczość jest w gruncie rzeczy rodzajem oszustwa – odezwał się Cary. – Jej główny cel to wprowadzenie w błąd opinii publicznej.

– Myślę, że nie możemy wysuwać takiego zarzutu – rzekł powoli Nicholas Warleggan. – Mają takie samo prawo do posługiwania się agentami lub pośrednikami jak my.

Cary wypuścił powietrze przez nos.

– Co o tym sądzisz, George?

George Warleggan wyjął koronkową chusteczkę i strzepnął kawałek gipsu, który spadł mu na kolano.

– Zastanawiam się. Czy głównym udziałowcem Wheal Radiant nie jest Jonathan Tresidder?

– Zadaje się, że tak. I co z tego?

– Cóż, jest klientem naszego banku, prawda?

– Tak.

– I pożyczył od nas trochę pieniędzy. Myślę, że można dać mu jasno do zrozumienia, że powinien wybrać, po której stronie stoi. Jeśli zamierza pomagać Carnmore Copper Company, powinien szukać kredytu gdzie indziej. Nie możemy finansować konkurencji.

– Jakie jest twoje zdanie, Nicholas? – spytał Cary z nutą sarkazmu w głosie.

Stary człowiek stojący przy oknie splótł dłonie za plecami, lecz się nie odwrócił.

– Uważam, że gdyby zrobić to otwarcie, można by to uznać za usprawiedliwione posunięcie o charakterze handlowym.

– W ten sam sposób potraktowałeś właścicieli papierni z Penryn – wtrącił Cary.

Nicholas Warleggan zmarszczył brwi.

– Wstrzymywali wszystkie nasze projekty. Surowość bywa niekiedy usprawiedliwiona, gdy wymaga tego sytuacja.

George odkaslnął.

– Jeśli chodzi o mnie – powiedział – nie potępiam działań Cary’ego (to zbyt nieistotna sprawa, byśmy mieli się nią zbytnio przejmować), lecz skłaniam się do twojej opinii, ojcze, że jesteśmy zbyt poważną rodziną, by stosować wobec nich brutalne środki. Pokonajmy ich uczciwymi metodami.

– Uczciwymi? – powtórzył Cary.

– Cóż, handlowymi. Popierają nas wszyscy odlewnicy i kupcy. Kiedy się dowiemy, kim są ci ludzie, bez trudu ich zniszczymy.

– Słusznie! – przyznał Cary.

– A to pewne, że się dowiemy. Nie mów mi, że w tych stronach można długo utrzymać coś w tajemnicy. Ktoś szepnie słówko... Nie wolno działać pochopnie ani posuwać się za daleko, to wszystko.

Cary wstał.

– Zatem przestać rozpytywać? Tak uważasz?

Nicholas Warleggan milczał.

– Cóż, zachowajmy umiar – odpowiedział George. – Nawet gdyby temu przedsiębiorstwu się udało, to nas przecież nie zrujnuje.

– Kieruje nim człowiek, który sprawił, że Matthew okrył się hańbą – rzekł sucho Cary. – Zdajesz się o tym zapominać.

– Matthew dostał to, na co zasłużył – wtrącił Nicholas. – Byłem wstrząśnięty i przerażony, gdy się dowiedziałem o całej sprawie.

George również wstał, podrapał się po byczym karku i wziął laskę.

– Nie zapominam, Cary.

KSIĘGA TRZECIA

Rozdział pierwszy

– Przeczytaj mi bajkę o górniku, który zabłądził w kopalni, ciociu – poprosił Geoffrey Charles.

– Już ci ją raz czytałam – odpowiedziała Verity.

– No to przeczytaj ją jeszcze raz, proszę. Tak jak ostatnim razem.

Verity wzięła książkę i z roztargnieniem pogłaskała chłopca po kędzierzawych włosach. Nagle poczuła ukłucie bólu na myśl, że jutro o tej samej porze opuści Trenwith i już nigdy nie przeczyta niczego bratan-kowi.

Okna wielkiego salonu były otwarte i wpadało przez nie lipcowe słońce. Elizabeth siedziała w fotelu, haftując kamizelkę, a promienie słońca muskały jej beżową jedwabną suknię. Ciotka Agatha, nie lubiąca świeżego powietrza, drzemała niczym zmęczona kotka przy kominku, w którym rozpalono na jej życzenie niewielki ogień, i jak zwykle w niedzielę trzymała na kolanach otwartą Biblię. W ogóle się nie poruszała, lecz od czasu do czasu otwierała szeroko oczy, jakby usłyszała za boazerią szuranie myszy. Geoffrey Charles, ubrany w aksamitną bluzę i długie aksamitne spodnie, siedział przy oknie na kolanach Verity w cieniu rzucanym przez koronkową zasłonę. Francis gdzieś wyszedł i zajmował się sprawami związa-nymi z gospodarstwem. Na dwóch wysokich bukach na trawniku gruchały gołębie.

Verity skończyła bajkę i delikatnie postawiła bratanka na podłodze.

– Geoffrey ma górnictwo we krwi, Elizabeth – powiedziała. – Nie chce słuchać żadnych innych bajek.

Elizabeth uśmiechnęła się, nie podnosząc wzroku.

– Kiedy dorośnie, sytuacja może się zmienić. – Verity wstała. – Chyba nie pójdę na popołudniowe nabożeństwo. Boli mnie głowa.

– To od siedzenia na słońcu. Za dużo siedzisz na słońcu, Verity.

– Muszę iść i sprawdzić, co z winem. Na Mary nie można polegać, bo zawsze buja w obłokach, gdy powinna być skupiona.

– Pójdę z tobą, ciociu – powiedział Geoffrey Charles. – Pomogę, dobrze?

Kiedy Verity krzątała się w kuchni, nagle w drzwiach pojawił się Francis. Tego lata próbował zajmo-wać się gospodarstwem. Ta praca wyraźnie mu nie służyła. Wprawiała go w ponury nastrój. Geoffrey Charles pobiegł w stronę ojca, ale ujrawszy wyraz jego twarzy, zmienił zdanie i wrócił do Verity.

– Tylko Tabb zna się trochę na uprawie ziemi – powiedział Francis. – Ellery jest kompletnie bezuży-teczny. Kazałem mu naprawić ogrodzenie pastwiska owiec i po tygodniu się przewróciło. Zapędzenie zwierząt z powrotem na pole zajęło nam prawie godzinę. Zwolnię go.

– Ellery pracował w kopalni od dziewiątego roku życia.

– Na tym polega cały kłopot – odparł sarkastycznie Francis. Spojrzał na swoje ręce oblepione ziemią. – Staramy się pomagać miejscowym, ale nie można się spodziewać, że górnicy z dnia na dzień zmienią się w rolników.

– Owce nie zdeptały owsa?

– Na szczęście nie. Dzięki Bogu przewodnik stada skręcił w prawo, a nie w lewo.

Owies miał zostać skoszony w następnym tygodniu. Verity już tu nie będzie. Prawie nie mogła w to uwierzyć.

– Nie pójdę dziś wieczorem do kościoła, Francis. Boli mnie głowa. Chyba od upału.

– Sam mam ochotę nie iść.

– Och, nie możesz tego zrobić. – Usiłowała ukryć niepokój. – Oczekują ciebie.

– Elizabeth może iść sama. Będzie bardzo dobrze reprezentować rodzinę.

Verity pochyliła się nad gąsiorem z winem i potrząsnęła nim.

– Wielebny Odgers będzie niepokieszony. Wspominał mi w zeszłym tygodniu, że na nabożeństwo popołudniowe zawsze wybiera najkrótsze psalmy i wygłasza specjalne kazanie, by sprawić ci przyjemność.

Francis wyszedł bez słowa, a Verity zauważyła, że drżą jej ręce. Paplanina Geoffreya Charlesa, który po wyjściu ojca znów zaczął mówić, wydawała się dobiegać z daleka. Verity mogła być pewna, że Francis nie będzie w domu tylko w niedzielę o czwartej po południu. W ciągu ostatnich miesięcy jego rozkład dnia stał się nieprzewidywalny, lecz on pozostał wierny temu konwencjonalnemu przyzwyczajeniu.

– Ciociu Verity! – zawołał chłopiec. – Ciociu Verity! Dlaczego nie odpowiadasz?

– Nie jestem w stanie z tobą rozmawiać, kochany – odpowiedziała gwałtownie. – Proszę, zostaw mnie samą. – Usiłowała nad sobą zapanować, przeszła do drugiej części kuchni, gdzie siedziała Mary Bartle, i porozmawiała z nią kilka minut.

– Ciociu Verity, ciociu Verity, dlaczego nie idziesz dziś po południu do kościoła?

– Nie mogę. Będą tam twój ojciec i matka.

– Ale tata przed chwilą powiedział, że nie pójdzie.

– Nieważne. Zostań w kuchni i pomóż Mary. Ale staraj się jej nie przeszkadzać.

– Ale jeśli...

Opuściła szybko kuchnię, lecz nie przeszła przez dom, tylko przez dziedziniec, na którym znajdowała się nieczynna fontanna. Dotarła do wielkiej sieni i wbiegła po schodach. Niewykluczone, że widziała Geoffreya Charlesa ostatni raz w życiu, ale nie mogła się z nim pożegnać.

Kiedy znalazła się w swojej sypialni, podeszła do okna. Przycisnąwszy policzek do szyby, widziała część podjazdu, którym Francis i Elizabeth będą szli do kościoła – jeśli się tam wybierają.

W oddali rozległ się cichy dźwięk dzwonów. Jeden z nich był pęknięty i Francis zawsze powtarzał, że bolą go zęby, gdy słyszy jego bicie. Przebranie się w czystą odzież zwykle zajmowało bratu od dziesięciu do piętnastu minut. Verity domyślała się, że w tej chwili Francis i Elizabeth dyskutują, czy iść do kościoła, czy nie. Elizabeth chciała, by poszli. Powinna go do tego namówić.

Verity usiadła sztywno w fotelu przy oknie. Dotyk szkła sprawił, że ogarnął ją dziwny chłód. Nie mogła oderwać oczu od podjazdu.

Wyobrażała sobie spoconych dzwonników pociągających za sznury w wieży. Wyobrażała sobie członków chóru, którzy szukają psalterzy, rozmawiają szeptem, a potem bardziej otwarcie, gdy zauważają, że Verity się nie pojawiła. Wokół krząta się w komży wielebny Odgers, biedny, chudy, zaszczuty człowieczek. Wszystkim będzie jej brakować, nie tylko dziś, lecz również w przyszłości. Na pewno będą za nią tęsknić ludzie, których odwiedzała: chorzy, kaleki, kobiety zmagające się z kłopotami rodzinnymi...

Niepokoila się o rodzinę. Gdyby wszystko układało się dobrze, opuściłaby Trenwith z lżejszym sercem. Elizabeth nie jest zbyt silna, więc pani Tabb będzie potrzebować kobiety do pomocy. Dodatkowy wydatek, gdy liczy się każdy szyling. Nikt nie zdoła zastąpić Verity, oszczędnie kierować całym gospodarstwem, panować nad wszystkim w rozsądny sposób.

Cóż, czy istnieje inna możliwość? Trudno się spodziewać, że Andrew będzie dłużej czekał. Ostatni raz widziała go przed trzema miesiącami, na balu, i komunikowali się tylko za pośrednictwem Demelzy. Już raz odłożyła ucieczkę z powodu choroby Geoffreya Charlesa. Teraz sytuacja była prawie tak samo trudna, ale musiała wreszcie odejść albo zostać na zawsze.

Zabiło jej serce. Podjazdem szła Elizabeth, wysoka, szczupła, urocza, ubrana w jedwabną suknię i słomkowy kapelusz. W rękę trzymała kremową parasolkę. Z pewnością nie może iść sama.

Zobaczyła też Francisę...

Wstała z fotela pod oknem. Poczula lekkie mrowienie w zdrętwiałym policzku, który przyciskała do szyby. Uklękła i wyjęła spod łóżka torbę. Geoffrey Charles ciągle biegał po domu, ale wiedziała, jak go

uniknąć.

Podeszła z torbą do drzwi i rozejrzała się po sypialni. Przez wysokie, stare okno świeciło słońce. Wyślizgnęła się na korytarz i oparła o drzwi, usiłując złapać oddech, a potem ruszyła w stronę schodów prowadzących do tylnego wejścia.

Ustąpiwszy Elizabeth i poszedłszy do kościoła, Francis poczuł, że jego nastrój powoli się zmienia. Życie prowincjonalnego ziemianina sprawiało, że był śmiertelnie znudzony i sfrustrowany. Tęsknił za dawnymi dniami. Ale ponieważ wszystko jest względne, od czasu do czasu uczucie nudy słabło i zapomniał o frustracji. Tego dnia wszystko przebiegało jeszcze dziwniej, bo wcześniej wściekał się z powodu owiec, jednak popołudnie okazało się tak piękne, że nikt nie mógł odczuwać niezadowolenia. Czuł na twarzy ciepły wiatr i doszedł do wniosku, że dobrze jest żyć.

Z pewną przyjemnością spostrzegł, że większość osób przybyłych na nabożeństwo czeka na nich przed kościołem. Kobiety dygały, a mężczyźni pozdrawiali ich, unosząc dłonie do czapek. Francis przez cały tydzień zajmował się gospodarstwem i ta oznaka szacunku sprawiła mu dziwną satysfakcję.

Nie zdenerwował się nawet na widok Juda Payntera, który siedział w swobodnej pozie na jednym z nagrobków z kuflem piwa w ręku.

Chociaż w kościele było ciepło, zapach pleśni, korników i nieświeżych oddechów nie był tak silny jak zwykle. Chudy, niski duchowny przypominający skorka nie budził irytacji. Joe Permewan, grający na violi da gamba ze zręcznością drwala piłującego pień drzewa, wydawał się sympatyczny i śmieszny. Wszyscy wiedzieli, że Joe bynajmniej nie jest aniołem i że upija się w sobotnie wieczory, lecz w niedzielę rano zawsze myślał o zbawieniu swojej duszy.

Wyrecytowano psalmy, odczytano fragmenty Biblii, odmówiono modlitwy, a Francis powoli zapadał w drzemkę, gdy nagle obudził go trzask drzwi kościoła. Do świątyni wszedł nowy wierny.

Jud spędził kilka dni we Francji i teraz przepuszczał zarobione pieniądze. Kiedy był trzeźwy, nigdy nie myślał o Bogu, lecz po pijanemu zawsze miał potrzebę odnowy moralnej. Nie tylko siebie, lecz także całej ludzkości. Czuł, że wszyscy są braćmi. Tego popołudnia wyszedł z gospody pełen kaznodziejskiego zapału.

Wielebny Odgers recytował psalm, a tymczasem Jud zbliżał się powoli do ołtarza, mnąc w rękach czapkę i rozglądając się w półmroku. Usiadł w ławce, upuścił czapkę, pochylił się, by ją podnieść, i przewrócił łaskę siedzącej obok pani Carkeek. Kiedy stukot ucichł, wyciągnął duży czerwony gałgan i wytarł czoło.

– Ale gorąc... – rzekł do kobiety, uważając, że wymaga tego grzeczność.

Nie zwróciła na niego uwagi. Wstała i zaczęła śpiewać.

Wszyscy uczestnicy nabożeństwa śpiewali, a chórzyci siedzący na galerii obok schodów prowadzących do prezbiterium śpiewali najgłośniej. Kilku grało na instrumentach jak na przyjęciu. Jud siedział na swoim miejscu, ocierając czoło i rozglądając się po kościele. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widział. Przyglądał się zgromadzeniu w mdłym świetle świec.

Po odśpiewaniu psalmu wszyscy usiedli. Jud w dalszym ciągu patrzył na chór.

– Co tam robio te baby? – wymamrotał. Pochylił się ku pani Carkeek, zionąc alkoholem.

– Pss! To chór – szepnęła.

– Co, chór?! Bliżej nieba niż my, zwykłe ludzie?! – Jud umilkł i pogrążył się na chwilę w ponurym zamyśleniu. Był w dobrodusznym nastroju, ale nie aż tak dobrodusznym. – Mary Ann Tregaskis. Co ona takiego zrobiła, że jest bliżej nieba niż my?!

– Pss! Pss! – szepnęło wokół kilka osób.

Nie zauważył, że wielebny Odgers ponownie stanął na ambonie.

Jud wysmarkał nos i schował czerwony gałgan do kieszeni. Popatrzył na panią Carkeek, która siedziała sztywno, mnąc bawełniane rękawiczki.

– Jak sie miewa pani stara krowa? – szepnął. – Już sie ocieliła, co?

Wydawało się, że pani Carkeek znalazła dziurę w jednej ze swoich rękawiczek. Skupiła na nich całą uwagę.

– Cherlawa jakaś, co? Oj, niedobrze pani zrobiła, że kupiła takiego zdechlaka od starego wuja Bena. Chytry stary nicpoń, a do tego w chórze...

Nagle tuż nad głową Juda rozległ się donośny głos. Bardzo się zdziwił, że wszyscy ludzie siedzący obok boją się cokolwiek powiedzieć.

– Temat dzisiejszego kazania to werset trzydziesty pierwszy i trzydziesty drugi rozdziału dwudziestego trzeciego Księgi Przypowieści: „Nie patrz na wino, gdy się rumieni, gdy się rozjaśni w szklenicy barwa jego: łagodnie wchodzi: Ale w końcu ukąsi jako wąż, a jako żmija jad rozpuści”².

Jud uniósł głowę i ujrzał wielebnego Odgersa w czymś w rodzaju drewnianej skrzyni. Duchowny trzymał w ręku plik papierów i miał na nosie stare okulary.

– Drodzy bracia i siostry! – zaczął proboszcz, rozglądając się po świątyni. – Wybrałem dzisiejszy cytat z Pisma Świętego po długim namyśle i żarliwej modlitwie. Przyczyną jest to, że w przyszłym tygodniu obchodzimy święto Sawle. Jak wszyscy wiecie, uroczystość ta od dawna jest nie tylko okazją do niewinnej zabawy, lecz również do nadużywania alkoholu...

– Słuchajta, ludziska! – przerwał donośnym głosem Jud.

Wielebny Odgers umilkł i spojrzał surowo na starego łysego człowieka siedzącego pod amboną. Po chwili, nie doczekawszy się dalszej wypowiedzi, podjął:

– Nieumiarkowanego spożycia mocnych trunków. Dlatego dziś wieczorem gorąco proszę członków tego zgromadzenia, by w następny czwartek świecili przykładem dla całej parafii. Musimy pamiętać, drodzy bracia i siostry, że święto to nie okazja, by pić i oddawać się rozpuście, ponieważ ustanowiono je na pamiątkę zejścia na ląd naszego patrona, świętego Sawlego, który przybył z Irlandii, by nawracać pogan w zachodniej Kornwalii. W czwartym wieku przepłynął morze na kamieniu młyńskim, a następnie...

– Na czym?! – spytał Jud.

– Na kamieniu młyńskim! – powtórzył wielebny Odgers, bliski utraty panowania nad sobą. – To fakt historyczny, że wylądował...

– No co, tyłkom pytał! – szepnął z irytacją Jud do mężczyzny siedzącego z tyłu, który stuknął go w bark.

– *Sanctus Sawlus* to patron naszej świątyni, a jego nauki powinny kierować naszym codziennym życiem – ciągnął wielebny Odgers. – To, co przekazał naszym przodkom święty Sawle, to nieoceniony...

– Na kamieniu młyńskim! – mruknął Jud do pani Carkeek. – Kto kiedy słyszał, coby pływać na kamieniu młyńskim?! To bzdury! To głupie, to nierozumne, to naprzeciw naturze! To wierutne łgarstwo!

– Spójrzcie na tego grzesznika, który jest dziś z nami w świątyni! – powiedział wielebny Odgers, nierozważnie przyjmując wyzwanie. – Nieustannie opija się winem i wstępuje w niego diabeł, po czym każe mu iść do Domu Bożego, by gorszyć wiernych swoją nieprawością...

– Wcale żem nie inny od reszty! – odparł Jud. – A kto siedzi w chórze, co? Pijusy i latawice! Popatrza na starego wuja Bena Tregeagle’a i te jego cnotliwo mine! A kto oszukał biedno staro wdowe i sprzedał jej choro krowe?!

Mężczyzna siedzący z tyłu chwycił Juda za ramię.

– Hej, wynoś się stąd!

Jud popchnął go na ławkę.

– Nie robie nic złego! To ten klecha jest zły! On i latawice, co je wzięł do chóru! Opowiada okropne

stare bajdy o człowieku, co pływał na kamieniu młyńskim!

– Uspokój się, Paynter – przerwał Francis, którego poprosiła o interwencję Elizabeth. – Opowiadaj swoje historyjki na zewnątrz. Jeśli będziesz przeszkadzał w nabożeństwie, możesz skończyć w więzieniu.

Jud popatrzył na Francisca przekrwionymi oczyma.

– Za co to chce mnie pan wyrzucić z Domu Bożego, panie Poldark? – spytał z wyrzutem. – Jestem tera rybak, nie sługa, i wiem, że koła młyńskie nie płyną. A może jeszcze fruwać?!

Francis ujął go za ramię.

– Chodź, człowieku.

Jud wyswobodził rękę.

– Pójdę – oznajmił z godnością i dodał głośnie: – Błądzi ten, kto chce odpokutować swoje grzechy i naśladuje takich jak ten klecha. Pójdzieta do piekła, jakem Jud Paynter. Spali was ogień i wytopi z was sadło. Zwłaszcza ze starej pani Grubb, która jest taka gruba, że potrzebuje dwa miejsca! I z Char Nanfan w chórze, co chodzi z brzuchem już z trzecim bachorem!

Dwóch barczystych mężczyzn poprowadziło Juda nawą w stronę wyjścia.

– Dzień dobry, pani Metz, znowu pochowała pani męża? O, to Johnnie Kimber, co ukradł świnie! I mała Betty Coad. Ciągłe latasz za chłopami, Betty? Pora wyjść za mąż...

Mężczyźni doprowadzili Juda do drzwi. Wyrwał im się i wygłosił ostatnią tyradę:

– Wszystko niedługo się zmieni, przyjaciele! We Francji dzieje się wielkie rzeczy, przyjaciele! Rozruchy, morderstwa, grabież! Rozbili więzienie i nadziali na żerdź głowe naczelnika! Niektóre ludzie zobaczcie wielkie pożary, nim umro! Zaprawde, powiadam wam...

Za Judem zatrzasnęły się drzwi i słychać było tylko odległe krzyki, gdy prowadzono go do zwieńczonej daszkiem bramy wychodzącej na dziedziniec kościoła.

Ludzie znowu siadali. Francis, na wpół zirytowany, na wpół rozbawiony, wziął dwa modlitewniki i wrócił do swojej ławki.

– A zatem – podjął wielebny Odgers, ocierając czoło – jak mówiłem, niezależnie od... eee... legendy albo... cudu świętego Sawlego...

Rozdział drugi

Wrócili do Trenwith z wielebnym Odgersem i jego małżonką. Francis zgadzał się z argumentami Elizabeth i Verity, że dla Odgersów, mających do wykarmienia dziesięcioro dzieci, był to prawdopodobnie jedyny porządny posiłek w ciągu całego tygodnia (choć nie tak porządny jak niegdyś), jednak nie czyniło ich to miłymi towarzyszami. Wolałby, żeby nie zachowywali się tak przypochebnie. Czasami celowo wygłaszał kontrowersyjne opinie i z rozbawieniem obserwował, jak Odgersowie wiją się jak piskorz, próbując nie oponować. Zależało im przede wszystkim na jednym – nie wypaść z łask Poldarków.

Szli do domu parami: damy z przodu, panowie z tyłu. O Boże, gdyby tylko Odgers potrafił grać w karty i miał trochę pieniędzy do stracenia, pomyślał Francis.

– Ten Paynter schodzi na psy – zauważył. – Zastanawiam się, dlaczego mój brat stryjeczny go wyrzucił. Przez wiele lat znosił jego bezczelne zachowania, aż nagle kazał mu się wynieść.

– Podobno rozpuszczał skandaliczne plotki. To szubrawiec, panie. Zasługuje, by go zakuto w dyby. Po jego wyjściu parafianie tak naprawdę się nie uspokoili.

Francis stłumił śmiech.

– Zastanawiam się nad tym, co mówił o Francji. Ciekawe, czy sam to wszystko wymyślił.

– Krążą różne historie na temat Francji, panie Poldark. W czasie swoich obowiązków parafialnych moja żona miała okazję odwiedzić panią Janet Trencrom, spowinowaconą z panem Trencromem. Pani Trencrom powiedziała... Jak brzmiały jej słowa? Mario! Co powiedziała pani Trencrom?

– Ach, ponoć w Cherbourgu dużo się o tym mówi, choć prawdopodobnie wiele z tych opowieści to zmyślenia. Twierdzi, że w zeszły wtorek lub środę motłoch zdobył więzienie we Francji – jak ono się nazywa? – i że zabito naczelnika oraz wielu jego ludzi.

– Wątpię, czy to prawda – odezwał się po chwili Francis.

– Mam nadzieję, że kłamstwo! – rzekł gwałtownie wielebny Odgers. – Motłoch lubuje się w samosądach. Na przykład ten Paynter to niebezpieczna kreatura. Chętnie podburzyłby ludzi, by napadli na nasze domy.

– Kiedy w kraju wybuchają rozruchy, ich przywódcami nie są starzy pijacy. Odgers, niech pan spojrzy na pole owsa. Jeśli pogoda się utrzyma, jutro zaczniemy kosić.

W Trenwith Francis zaprowadził niskiego proboszcza do ogrodu, a tymczasem damy się odświeżyły. Później goście udali się do salonu zimowego na kolację i drobne, niespokojne oczka pani Odgers rozblęskły na widok obfitego jedzenia.

– Gdzie Verity? – spytał Francis.

– Po powrocie zajrzałam do jej sypialni, ale jej nie zastałam – odpowiedziała Elizabeth.

Francis zbliżył usta do długiego, spiczastego ucha ciotki Agathy.

– Widziałaś Verity, ciociu?

– Co takiego? Słucham? – Staruszka oparła się na swoich łaskach. – Chyba wyszła.

– Wyszła? Po co miałyby wychodzić o tej porze?

– Tak przynajmniej sędzę. Przed godziną zajrzała do salonu i pocałowała mnie, miała na sobie płaszcz. Nie zrozumiałam, co powiedziała. W dzisiejszych czasach ludzie tak mamroczą. Gdyby nauczyli się mówić jasno i wyraźnie jak za moich młodych dni, na świecie byłoby mniej nieszczęść. Wszystkie kopalnie zamknięte. Mówię ci, Francis, świat schodzi na psy. Starzy ludzie wymierają, nie ma dla nich przyszłości. Ach, pastorze, wiem z doświadczenia, że trudno znaleźć pociechę w...

– Mówiła, dokąd się wybiera?

– Co takiego? Verity? Nie rozumiałam ani jednego słowa. Ale zostawiła dla was list.

– List?! – zdziwiła się Elizabeth, domyślając się prawdy szybciej od Francisa. – Gdzie on jest?

– Cóż, musicie o niego poprosić, żeby go przeczytać. Do licha, co za osobliwe czasy. Zastanawiam się, co z nim zrobiłam. Zdaje się, że schowałam go w swoim szalu. – Pokuśtykała do stołu, usiadła i zaczęła obmacywać koronkowy szal pomarszczonymi rękami. Wielebny Odgers niecierpliwie czekał, aż będzie mógł zająć miejsce przy stole, i wpatrywał się pożądliwie w wędliny oraz ciasto agrestowe.

Z początku ciotka Agatha znalazła tylko dwie wszy, lecz po chwili wyjęła zalakowaną kopertę.

– Ten lak odrobinę mnie obraża – powiedziała, trzymając papier między kciukiem a palcem wskazującym. – Co wy na to? Jakby mnie obchodziły sekrety panny Verity... Doskonale pamiętam dzień, gdy się urodziła. Zimą pięćdziesiątego dziewiątego roku. Niedługo po zdobyciu Quebecu. Pojechałam z ojcem do St Ann's popatrzeć, jak szczują niedźwiedzia, i ledwo wróciliśmy do domu...

– Przeczytaj – przerwał Francis i podał list Elizabeth. Jego drobna twarz nagle skurczyła się z gniewu. Szybko przebiegła oczami treść:

Znałam Cię i kochałam przez całe swoje życie, drogi Francisie, a Ciebie, Elizabeth, przez ponad siedem lat, modłę się więc, byście zrozumieli, jaki smutek i żal czuję z powodu rozstania. Od przeszło trzech miesięcy walczą we mnie lojalność i uczucie. Są one równie silne i w szczęśliwszych okolicznościach mogłyby istnieć bez konfliktu. W końcu postanowiłam wybrać własne życie i przeznaczenie, łącząc się z mężczyzną, któremu nie ufacie. Może się to Wam wydać szaleństwem, ale błagam, nie traktujcie tego jako zdrady. Zamieszkałam w Falmouth. Och, kochani, byłabym taka szczęśliwa, gdyby dzieliła nas tylko odległość...

– Francisie, dokąd idziesz? – spytała Elizabeth.

– Sprawdzić, kiedy wyjechała. Może jeszcze uda się ją zawrócić! – Obrócił się na pięcie i szybko wyszedł z salonu.

– Co się stało? – spytała ciotka Agatha. – Co w niego wstąpiło? Co jest w liście?

– Niech nam państwo wybaczą – zwróciła się Elizabeth do Odgersów, którzy wpatrywali się w nią wybałuszonymi oczyma. – Obawiam się, że mamy kłopoty rodzinne. Proszę usiąść i spożyć kolację. Niech państwo na nas nie czekają. – Wyszła za Francisem.

W wielkiej kuchni przebywało czworo służących. Tabbowie, którzy niedawno wrócili z kościoła, opowiadali Bartle'om o Judzie Paynterze. Śmiech ucichł nagle, gdy zobaczyli Francisa.

– Kiedy panna Verity wyszła z domu?

– Och, półtorej godziny temu, panie – odpowiedział Bartle, zerkając z ciekawością na twarz dzieci. – Tuż po pana wyjściu do kościoła, panie.

– Którego konia wzięła?

– Swojego, panie. Pojechał z nią Ellery.

– Ellery... Niosła coś?

– Nie wiem, panie. Ellery wrócił i jest teraz w stajni, karmi konie.

– Wrócił...? – Francis opanował się i poszedł szybko do stajni. Były tam wszystkie konie. – Ellery! – zawołał. W bramie pojawiła się zaskoczona twarz służącego.

– Tak, panie?

– Rozumiem, że wyjeżdżałeś z panną Verity. Wróciła z tobą?

– Nie, panie. Zmieniła konie przy krzyżu w Bargus. Czekał tam na nią dżentelmen z innym koniem. Panna Verity przesiadła się na niego i odesłała mnie do dworu.

– Jaki dżentelmen?

– Oficer marynarki, jak się domyślam, panie. Nosił mundur...

Półtorej godziny. Na pewno są już za Truro. Mogli pojechać dwiema lub trzema trasami. Więc Verity

się zdecydowała. Postanowiła uciec do pijaka, który bił żonę, i nic nie zdołało jej powstrzymać. Blamey opętał ją jak diabeł. Wystarczyło, że zagwizdał, a ona za nim pobiegła, nie zważając na to, co o nim wiedziała.

Kiedy Francis wrócił do kuchni, zastał tam Elizabeth.

– Nie, pani – mówiła Mary Bartle. – Nic o tym nie wiem, pani.

– Ellery wrócił bez Verity – powiedział Francis. – Tabb, Bartle i wy, kobiety, chcę znać prawdę. Czy przekazywaliście panie Verity jakieś listy?

– Nie, panie! Och, nie! – rozległ się chór głosów.

– Daj spokój, porozmawiajmy o tym na osobności – zasugerowała Elizabeth. – W tej chwili nie możemy nic zrobić.

Ale rozgoryczony Francis zupełnie nie zważał na pozory. Zdawał sobie sprawę, że za dzień lub dwa sprawa wyjdzie na jaw, a on stanie się pośmiewiskiem całego okręgu jako człowiek, który próbował położyć kres romansowi siostry, aż pewnego dnia uciekła, korzystając z okazji, gdy on poszedł do kościoła.

– Musieli się kontaktować za naszymi plecami – rzekł ostro do Elizabeth. – Czy widzieliście jakiegoś marynarza kręcącego się wokół majątku?

Nie, służba niczego nie widziała.

– Wyjeżdżała odwiedzać ubogich w Sawle i wiosce Grambler – zauważyła Elizabeth.

– Czy do Trenwith przyjeżdżał ktoś nieznajomy? – dopytywał się Francis. – Ktoś, kto mógł się spotykać z panną Verity i przekazywać jej wiadomości?

Nie, nikogo nie zauważyli.

– Często przyjeżdżała do nas pani Poldark z Nampary – powiedziała Mary Bartle. – Wchodziła kuchennymi drzwiami...

Pani Tabb nadepnęła jej na stopę, ale było już za późno. Francis spoglądał przez chwilę na Mary Bartle, po czym wyszedł, trzaskając drzwiami.

Elizabeth znalazła go w dużym salonie. Stał przy oknie z rękami splecionymi z tyłu i patrzył na ogród.

Zamknęła drzwi, by dać mu znać, że weszła, lecz się nie odezwał.

– Musimy się pogodzić z jej ucieczką, Francis – powiedziała. – To jej wybór. Jest dorosła i ma prawo o sobie decydować. Skoro postanowiła odejść, nie mogliśmy jej zatrzymać. Żałuję tylko, że nie wyjechała otwarcie, skoro podjęła taką decyzję.

– Niech diabli porwą Rossa! – wycedził Francis. – To jego sprawka i tej bezczelnej dziewczuchy, którą poślubił! Nie rozumiesz?! Wszystko zaczęło się pięć lat temu. Pięć lat temu, zdając sobie sprawę, że tego nie aprobujemy, pozwolił im się spotykać w swoim domu! Zachęcał Verity wbrew wszystkiemu, co mówiliśmy. Nigdy nie pogodził się z porażką. Nigdy nie lubił przegrywać. Zastanawiałem się, jak Verity znów spotkała tego drania. Niewątpliwie doprowadził do tego Ross. W ostatnich miesiącach, wiedząc, że uniemożliwiłem Verity spotkania z Blameyem, kontaktował się z nim i wykorzystywał Demelzę jako posłańca!

– Moim zdaniem wyciągasz zbyt pochopne wnioski – rzekła Elizabeth. – Jak dotąd nie wiemy, czy Demelza miała w tym jakiś udział, zresztą podobnie jak Ross.

– Naturalnie zawsze będziesz popierać Rossa, we wszystkim! – odpowiedział impulsywnie, ciągle stojąc przy oknie odwrócony plecami. – Nie potrafisz sobie wyobrazić, że Ross mógłby zrobić coś przeciwko nam!

– Nikogo nie popieram – zaoponowała, a w jej głosie zabrzmiał gniew. – Po prostu nie wolno nikogo potępiać, nie dając mu możliwości obrony.

– Sprawa jest oczywista dla każdego, kto się nad tym zastanowi. Blamey nie mógł zaaranżować

ucieczki Verity w żaden inny sposób. Nie otrzymywała listów, zadbałem o to. Sama Demelza nie mogła tego zrobić, bo wcześniej nie знаła Blameya. Ross jeździ po całej okolicy, zajmując się sprawami tej przeklętej odlewni. Nic prostszego niż wpaść od czasu do czasu do Falmouth i przekazać kilka listów.

– Cóż, w tej chwili nie możemy już nic zrobić. Uciekła. Nie wiem, jak sobie bez niej poradzimy. O tej porze roku w domu jest mnóstwo pracy, a Geoffrey Charles będzie bardzo za nią tęsknił.

– Damy sobie radę, możesz być pewna.

– Powinniśmy wrócić do Odgersów – stwierdziła. – Uznają, że jesteśmy grubiańscy. Dziś wieczorem nie możemy nic więcej zrobić, Francisie.

– Nie mam w tej chwili ochoty na kolację. Dopóki jedzą, nawet nie zauważą naszej nieobecności.

– Co im powiedzieć?

– Prawdę. Za dzień lub dwa i tak dowie się o tym cały okręg. Ross powinien być zachwycony.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi i Elizabeth spojrzała w tamtą stronę.

– Bardzo przepraszam – powiedziała Mary Bartle. – Przybył pan Warleggan.

– Kto?! – zdziwił się Francis. – Niech to diabli! Ciekawe, czy już słyszał o Verity.

Do salonu wszedł George, elegancko ubrany, grzeczny, szeroki w barach i groźny. Ostatnio rzadko pojawiał się w Trenwith.

– Ach, rad jestem, że skończyliście już kolację. Elizabeth, ta prosta suknia bardzo...

– Wielki Boże, nawet nie zaczęliśmy kolacji! – zawołał Francis. – Masz jakieś wiadomości o Verity?

– Wyjechała?

– Dwie godziny temu. Uciekła do tego bydlaka Blameya!

George zerknął szybko na Francisa i Elizabeth, by się zorientować, w jakim są nastroju. Nie podobało mu się szorstkie powitanie.

– Przykro mi. Czy mógłbym coś zrobić?

– Nie, to beznadziejna sprawa – odparła Elizabeth. – Powiedziałam Francisowi, że musimy się z tym pogodzić. Jest wściekły. W salonie są Odgersowie i pomyślą, że postradaliśmy rozum. Wybacz mi, George, muszę sprawdzić, czy jedzą kolację.

Minęła Warleggana, który spojrzał za nią zachwyconym wzrokiem.

– Powinieneś wiedzieć, Francisie, że z kobietami nie można dyskutować – rzekł w końcu. – Są zbyt uparte. Pozwól jej robić, co chce, drogi chłopcze. Jeśli poparzy sobie palce, sama będzie sobie winna.

Francis pociągnął za sznur dzwonka.

– Nie jestem w stanie siedzieć przy jednym stole z tymi potulnymi owieczkami. Twoje pojawienie się w sobotni wieczór jest tak nieoczekiwane, że przez chwilę miałem nadzieję... Jestem wściekły, że temu łajdakowi udało się mimo wszystko zbałamucić Verity!

– Spędziłem cały dzień u Teague'ów i miałem już dość paplaniny starszej pani, więc postanowiłem wpaść do Trenwith i spełnić miły obowiązek towarzyski. Biedna Patience. Wije się na haczyku jak kusząca przynęta. Na swój sposób to dość miła dziewczyna, ale bez prawdziwej klasy. Przysięgam, że ma za krótkie nogi. Poślubię tylko taką kobietę, po której będzie widać, że w jej żyłach płynie arystokratyczna krew!

– Cóż, w naszym domu nie możemy ci dziś zaoferować miłego towarzystwa, George. Pani Tabb, proszę przynieść kolację do tego salonu. Pół gotowanej kuropatwy, jeśli Odgersowie jeszcze jej nie zjedli, trochę szynki i pasztet. Wierz mi, George, ucieczka Verity wyjątkowo mnie rozwścieczyła.

George pogładził swoją jedwabną kamizelkę w kwiaty.

– Nie wątpię, drogi chłopcze. Widzę, że przybyłem w wyjątkowo niestosownym momencie. Ale skoro obecnie tak rzadko widzujemy cię w Truro, jestem zmuszony cię odwiedzać w Trenwith, łącząc obowiązek z przyjemnością.

Francis, napięty i zdenerwowany, zrozumiał wreszcie, że George do czegoś zmierza. Warleggan posiadał niebezpieczną władzę jako główny wierzyciel Francisa, a po kwietniowej awanturze w czasie gry w karty ich stosunki znacznie się ochłodziły.

– Obowiązek?

– Cóż, można to tak określić. Jest to związane z Sansonem i kwestią, którą podniosłeś jakiś czas temu.

Jak dotychczas ani Francis, ani nikt inny nie dostał od młynarza nawet pensa. Sanson opuścił Truro nazajutrz po zdemaskowaniu przez Rossa i podobno przebywał w Londynie. Okazało się, że jego młyny są własnością spółki, która z kolei należy do innych spółek.

George wyjął złotą tabakierkę i lekko stuknął nią w stół.

– Kilkakrotnie rozmawiałem o tym z ojcem. Nie mamy żadnych formalnych zobowiązań, ale czujemy, że Sanson splamił nasz honor. Jak wiesz, nie mamy arystokratycznych przodków i musimy sami dbać o swoją reputację.

– Tak, tak, wyrażasz się jasno – odparł krótko Francis. George rzadko wspominał o skromnym pochodzeniu swojej rodziny.

– Cóż, jak wspominałem w maju, wiele twoich weksli przekazanych Matthew Sansonowi trafiło w ręce Cary’ego. Zawsze pełnił w naszej rodzinie funkcję skarbnika, a Matthew był czarną owcą. Cary wykupił twoje weksle od Matthew.

– Czy to coś zmienia? – spytał Francis.

– Ależ tak, zmienia. Postanowiliśmy umorzyć połowę weksli, które Cary otrzymał od Sansona. Nie zniszczy to nas finansowo i naprawimy choć część zła wyrządzonego przez Sansona. Nie jest to ogromna kwota. Chodzi o jakieś tysiąc dwieście funtów.

Francis oblał się rumieńcem.

– Nie mogę przyjąć jałmużny, George.

– Niech diabli porwą jałmużnę! Mogłeś zostać oszukany w grze. Chcemy odbudować reputację rodziny. W gruncie rzeczy nie ma to nic wspólnego z tobą.

Pani Tabb przyniosła kolację. Nakryła stół pod oknem, postawiła na nim tacę i przysunęła dwa fotele. Francis patrzył na nią, ciągle myśląc o ucieczce Verity i perfidii Rossa, a jednocześnie zastanawiał się nad wielkopańskim gestem człowieka, do którego stracił zaufanie. Rzeczywiście był to wielkopański gest i Francis nie mógł sobie pozwolić na jego odrzucenie pod wpływem dumy.

– Chcesz powiedzieć, że ta kwota zmniejszy mój dług wobec ciebie? – zapytał, gdy pani Tabb wyszła.

– Ty o tym decydujesz. Sugerowałbym, żeby połowę odjąć od długu, a drugą połowę wypłacić w gotówce.

Francis zaczerwienił się jeszcze bardziej.

– To bardzo miło z twojej strony. Nie wiem, co powiedzieć.

– Nie mów o tym więcej. Nie jest to miły temat rozmów między przyjaciółmi, ale musiałem wszystko wytłumaczyć.

Francis opadł na fotel.

– Zjedz coś, George. Później otworzę butelkę brandy ojca, by uczcić dzisiejszy dzień. Na pewno złagodzi mój gniew z powodu Verity i uczyni mnie miłszym kompanem. Zostaniesz na noc?

– Dziękuję – odparł George.

Usiedli do kolacji.

W zimowym salonie Elizabeth przeprosiła gości i ponownie wyszła. Wielebny Odgers kończył malinowy syllabub, a pani Odgers ciasto z migdałami. Przebywali tylko w towarzystwie ciotki Agathy i nieco się odprężyli.

– Zastanawiam się, czy zamierza postąpić z nią uczciwie – odezwała się pani Odgers. – Nie wezmą

ślubu dziś wieczorem, a z marynarzami nigdy nic nie wiadomo. Może ma żonę w Portugalii? Co o tym sądzisz, Clarence?

– Uhm – odparł wielebny Odgers z pełnymi ustami.

– Mała Verity... – westchnęła ciotka Agatha. – Mała Verity... Żeby mała Verity uciekła w taki sposób...

– Zastanawiam się, co powiedzą ludzie w Falmouth – ciągnęła pani Odgers. – Naturalnie w miastach portowych panują swobodniejsze obyczaje. Mogą urządzić jakąś ceremonię ślubną, by zamydlić ludziom oczy. Mężczyzna, który zamordował żonę, nie powinien mieć prawa znowu się żenić, prawda? Zgadzasz się ze mną, Clarence?

– Uhm... – odpowiedział wielebny Odgers.

– Mała Verity... – powtórzyła ciotka Agatha. – Zawsze była uparta jak jej matka. Pamiętam, że kiedy miała pięć lub sześć lat, urządziliśmy bal maskowy, a potem...

W dużym salonie mężczyźni pili brandy.

– Kiedy myślę o tych podstępnych knowaniach, ogarnia mnie obrzydzenie – rzekł z goryczą Francis. – Gdyby miał odwagę tu przyjechać i spojrzeć mi w oczy, może byłbym niezadowolony, ale nie czułbym do niego takiej śmiertelnej pogardy!

Powoli zapominał o niechęci do George'a i wracał do dawnego przyjacielskiego tonu. Miał otrzymać sześćset funtów, których nie spodziewał się nigdy zobaczyć – i o tyle samo zmniejszą się jego długi. Pieniądze te nie mogły się pojawić w bardziej dogodnym momencie. W najbliższych miesiącach wszystko mogło od nich zależeć. Oznaczały, że życie stanie się łatwiejsze i że nie będą musieli rozpaczliwie oszczędzać. Wspaniałomyślny gest, który należy docenić.

– Przez cały czas zachowywał się jak podstępny łotr – ciągnął. – Na początku za naszymi plecami spotykał się z Verity w Namparze za zgodą Rossa. Bez przerwy knuł, intrygował. Zastanawiałem się, czy nie pojechać jutro do Falmouth i nie dopaść ich w miłosnym gniazdku.

– Niewątpliwie okazałoby się, że kilka godzin wcześniej odpłynął do Lizbony, a Verity razem z nim. – George posmakował brandy. – Nie, Francisie, zostaw tę sprawę. Nie ma sensu zmuszać jej do powrotu. Mleko już się rozlało. Może niedługo sama zapragnie wrócić?

Francis wstał i zaczął zapalać świece.

– Nigdy tu nie wróci, choćby błagała przez cały rok! Niech idzie do Nampary, gdzie przygotowano tę intrygę! Niech diabli porwą Rossa, George! – Francis się odwrócił i światło świec padło na jego rozgniewaną twarz. – Jedna rzecz dotyka mnie w tym wszystkim do żywego. Podstępny udział Rossa w całej sprawie. Do licha, mogłem się spodziewać większej lojalności i przyjaźni ze strony jedyne go stryjeczne go brata! Co mu zrobiłem, że działał za moimi plecami?!

– Cóż, poślubiłeś kobietę, z którą chciał się ożenić, prawda? – zauważył George.

Francis zatrzymał się i popatrzył na Warleggana.

– O tak, tak... dawne czasy... – Zdmuchnął świecę. – To w tej chwili bez znaczenia. Jest szczęśliwy w małżeństwie, szczęśliwszy ode mnie... Nie powinien czuć do mnie urazy z tego powodu.

George spojrział na ciemniejący ogród. Świece rzucały na ścianę jego wielki cień.

– Znasz Rossa lepiej ode mnie, Francisie, więc nie mogę ci nic doradzić. Ale wielu ludzi, których uważamy za normalnych, skrywa tajemnice. Już się o tym przekonałem. Może Ross jest właśnie taki? Trudno mi to ocenić, lecz wszystkie moje miłe gesty w stosunku do niego zostały odrzucone.

Francis wrócił do stołu.

– Nie jesteście zaprzyjaźnieni? Nie, chyba nie. Czym go uraziłeś?

– Nie potrafię tego zrozumieć. Ale wiem, że kiedy stworzył kopalnię i wszyscy pozostali udziałowcy chcieli, by obsługiwał ją nasz bank, gwałtownie się sprzeciwiał, aż wreszcie przekonał ich, by wybrali

Bank Pascoe'a. Później powtarzano mi jego uwagi. Były to słowa człowieka żywiącego do mnie ukrytą niechęć. W końcu ten zwariowany plan, by uruchomić odlewnię miedzi, został skierowany przeciwko nam.

– Och, mam na ten temat inne zdanie niż ty – odparł Francis. – Cel to uczciwsze ceny za rudę.

George zerknął spod oka na Francisa.

– Nie martwię się tym, bo ten projekt i tak zakończy się fiaskiem z powodu braku funduszy. Mimo to czuję, że świadczy o wrogości Rossa w stosunku do mnie, na którą w moim przekonaniu nie zasługuję, podobnie jak ty nie zasługujesz na zdradę interesów swojej rodziny.

Francis popatrzył na George'a. Zapadło długie milczenie. Zegar w rogu wybił siódmą.

– Nie sądzę, by ten projekt musiał się zakończyć fiaskiem wskutek braku pieniędzy – rzekł beznamietnie Francis. – Popierają go potężne siły.

Rozdział trzeci

Na niebie płonęła łuna i kiedy dotarli do Falmouth, zachodzące słońce przypominało chiński lampion – wielki, czerwony, groźny, otoczony strzępiastymi obłokami. Miasto wyglądało jak szara smuga ciągnąca się wzdłuż brzegu zatoki.

– W ostatnim liście napisałaś, że pozostawiasz wszystko w moich rękach, kochana – rzekł Andrew, gdy zjeżdżali ze wzgórza. – Ufam, że moje starania spotkają się z twoją aprobatą.

– Postąpię zgodnie z twoją wolą.

– Ślub odbędzie się jutro o jedenastej w kościele pod wezwaniem Króla Karola Męczennika. Świadkami będą moja dawna gospodyni i kapitan Brigg. Uroczystość odbędzie się bez żadnego rozgłosu.

– Dziękuję.

– Jeśli chodzi o dzisiejszą noc, najpierw myślałem, że powinnaś wynająć pokój w jednej z gospód. Ale kiedy je obszedłem, wydały mi się zbyt pospolite, byś tam mieszkała.

– Nie mam nic przeciwko temu.

– Nie podobała mi się myśl, że będziesz sama wśród hałaśliwych, może pijanych mężczyzn. – Spojrzał na Verity błękitnymi oczyma. – To się nie godzi.

Zarumieniła się.

– Nie przejęłabym się tym.

– Zamiast tego proponuję, żebyś pojechała do swojego nowego domu, gdzie może ci usługiwać pani Stevens. Ja spędzę noc na statku.

– Wybacz mi, jeśli wydaję się apatyczna... Nie jestem chora. Po prostu trudno mi nagle zostawić wszystko, co kochałam.

– Moja droga, wiem, co czujesz. Ale mamy przed sobą cały tydzień, nim wypłynę w morze. Wierzę, że wkrótce spojrzysz na wszystko inaczej.

Znów zapadło milczenie.

– Francis jest nieprzewidywalny – rzekła nagle Verity. – Chociaż będę bardzo za nimi tęskniła, wolałabym być sto kilometrów stąd. Falmouth jest za blisko i Francis może tu przyjechać pod wpływem jakiegoś impulsu, by wywołać awanturę.

– Jeśli przyjedzie, postaram się go uspokoić.

– Wiem, Andrew. Ale bardzo bym tego nie chciała.

Uśmiechnął się lekko.

– Byłem bardzo cierpliwy na balu. W razie potrzeby znowu mogę być cierpliwy.

Na niebie latały z piskiem mewy. Morze pachniało inaczej niż w Trenwith. W powietrzu unosiła się woń soli, wodorostów i ryb. Zanim dotarli do wąskiej uliczki, zaszło słońce i w wodach zatoki odbijała się pomarańczowa łuna.

Miała wrażenie, że ludzie na nich patrzą. Niewątpliwie Andrew był dobrze znany w mieście. Czy ciągle budzi niechęć? Jeśli tak, trzeba to zmienić. Z pewnością ona sama nie powinna wywoływać negatywnych uczuć.

Zerknęła z ukosa na Andrew i przyszło jej do głowy, że w całym swoim życiu spotkali się zaledwie około trzydziestu razy. Czy dowie się czegoś, o czym jak dotąd nie miała pojęcia? Cóż, skoro się kochają, reszta jest nieważna.

Zatrzymali się. Blamey pomógł Verity zsiąść z konia i weszli do domu z portykiem. Przy drzwiach czekała pani Stevens, która powitała Verity dość miło, choć nie bez oznak zazdrości i podejrzeń.

Verity obejrzała jadalnię i kuchnię na parterze, ładny salon i sypialnię na pierwszym piętrze oraz dwie

sypialnie na poddaszu, gdzie zatrzymywały się dzieci Blameya. Nigdy wcześniej ich nie widziała. Szesnastoletnia Esther mieszkała u krewnych i uczyła się, a piętnastoletni James służył jako kadet w marynarce wojennej. Verity poświęciła mnóstwo energii na zmaganie się z niechęcią własnej rodziny, więc jak dotychczas w ogóle nie przyszło jej do głowy, że rodzina Andrew również może mieć jakieś zastrzeżenia.

Blamey czekał w salonie, spoglądając na lśniącą zatokę. Popatrzył na Verity, która weszła do pokoju i stanęła obok niego. Wziął ją za rękę. Ogarnął ją spokój.

– Który statek jest twój, Andrew?

– Kotwiczony z tyłu, w St Just's Pool. Jest najwyższy z tamtych trzech. Wątpię, czy go rozpoznasz w tym świetle.

– O tak, wygląda pięknie. Będę mogła go kiedyś odwiedzić?

– Jutro, jeśli chcesz. – Nagle poczuła, że jest szczęśliwy. – Pójdę już, Verity. Poprosiłem panią Stevens, by jak najszybciej podała ci kolację. Na pewno jesteś zmęczona po podróży i wolałabyś zostać sama.

– Nie możesz zostać na kolacji?

Zawahał się.

– Jeśli chcesz.

– Proszę. Port jest naprawdę przepiękny! Będę mogła patrzeć z okna na odpływające statki i czekać na twój powrót.

Po kilku minutach zeszli do niewielkiej jadalni. Na kolację podano karkówkę baranią z kaparami oraz maliny ze śmietaną. Przed godziną zachowywali się jak ludzie, którzy zdecydowali się na nierozważny krok, lecz mimo wszystko są bardzo ostrożni, jakby nie potrafili się uwolnić od ograniczeń i wahań powstałych w ciągu wielu lat. Jednak światło świec sprawiło, że złagodnieli, zapomnieli o wątpliwościach i poczuli dumę ze wspólnej przygody.

Jeszcze nigdy nie spożywali razem posiłku.

Okno zasłonięto półprzejrzystymi firanami, przez które widać było cienie ludzi idących ulicą. Jadalnia znajdowała się tuż pod poziomem jezdni wybrukowanej kocimi łbami i kiedy przed domem przejeżdżał z turkotem wóz, widzieli jego koła, lecz nie woźnicę.

Rozmawiali o statku Blameya. Opowiadał Verity o Lizbonie, dzwonach kościelnych, blasku słońca, niewiarygodnie brudnych ulicach, drzewach pomarańczowych, gajach oliwnych. Musi kiedyś popłynąć razem z nim. Czy Verity zna się na żeglarstwie?

Skinęła z entuzjazmem głową, choć nigdy wcześniej nie płynęła po morzu.

Roześmiali się. Zegar w mieście wybijał dziesiątą. Blamey wstał.

– Powinniśmy się wstydzić, kochanie. Kompromitujemy się w oczach pani Stevens. Pomyśli, że zjedliśmy wszystkie ciastka.

– Gdybyś wcześniej wyszedł, dziwnie czułabym się tu sama – odpowiedziała Verity.

Opanowana twarz Blameya była pełna wyrazu.

– Zeszłego wieczoru zerwałem ze swoim dawnym życiem, Verity. Jutro rozpoczniemy nowe. Musimy je stworzyć razem.

– Właśnie tego pragnę – rzekła. – Wcale się nie boję.

Podszedł do drzwi, po czym spojrział na Verity ciągle siedzącą przy stole. Wrócił.

– Dobrej nocy.

Pochylił się, by pocałować ją w policzek, ale podała mu usta. Pocałowali się i położył jej dłoń na ramieniu.

– Jeśli spotka cię coś złego, Verity, to nie z mojego powodu, przysięgam. Dobranoc, kochana.

– Dobranoc, Andrew, kochany. Dobranoc.

Odsunął się i zostawił Verity samą. Słyszała, jak wbiega po schodach po kapelusz, następnie podąża w dół i wychodzi. Widziała, jak mija okno. Przez długi czas siedziała z półprzymkniętymi oczyma i głową opartą o wysoki zagłówek fotela.

Rozdział czwarty

Kiedy Verity wspinała się po schodach ze świecą w ręku, by spędzić noc w nowym łóżku, Mark Daniel rozpoczynał kolejną szychtę w kopalni Wheal Leisure.

Towarzyszył mu jeden z chłopców z rodziny Martinów: Matthew Mark, który miał wywozić skałę płoną i wyrzucać ją do szybu w pobliskiej jaskini. Powietrze było tak złe, że świece konopne ledwo się tliły, więc pracowali w półmroku. Po ścianach chodnika spływała woda, która chlupotała pod stopami. Jednak Matthew Mark uważał się za szczęściarza, mogąc pracować za sześć pensów dziennie z tak doświadczonym górnikiem – tyle samo otrzymywał za noc – i szybko się uczył. Za kilka lat zostanie pełnoprawnym górnikiem.

Mark zwykle rzadko się odzywał w czasie pracy, lecz tego dnia milczał jak zakłęty. Chłopiec nie wiedział, o co chodzi, i bał się pytać. Miał zaledwie dziewięć lat i mógłby nie zrozumieć, co dręczy dorosłego towarzysza, nawet gdyby ten zechciał mu coś powiedzieć.

Mark od dawna czuł, że dzieje się coś złego. Dręczyło go to od wielu tygodni, ale nie chciał się do tego przyznać. Stopniowo dochodziły do niego drobne sygnały. W przypływie odwagi znajomi robili aluzje, rzucali ukradkowe spojrzenia – wszystkie te z pozoru nieistotne rzeczy przypominały płatki śniegu, które padają na dach, aż wreszcie tworzy się na nim tak gruba warstwa lodu, że dach się łamie.

Teraz już wiedział, z kim go zdradza.

Keren była sprytna. Zawsze szukał w chacie śladów obecności mężczyzny, lecz nigdy ich nie znalazł. Próbował ją przyłapać, ale potrafiła wszystko przewidzieć. Miała bystry umysł. Pantera śnieżna okazała się bardziej inteligentna od niedźwiedzia czarnego.

Ale deszcze padające w zeszłym tygodniu sprawiły, że wreszcie się zdradziła. Ziemia rozmiękła i choć Keren starała się iść po kamieniach, gdzieś tam pozostały ślady jej stóp.

Mark czuł trwogę na myśl o tygodniu pracy na nocnych szychtach, ponieważ wiedział, że coś się w końcu stanie. Ogarnął go lęk, bo mimo że był wściekły na Keren, w dalszym ciągu ją kochał i miał wrażenie, że szarpie się w niewidzialnej sieci.

Należało wysadzić skałę za pomocą ładunku prochowego. Nie mógł dłużej pracować oskardem. Powiedział o tym Matthew, po czym wziął wielki młot i stalowy świder. Dzięki długoletniemu doświadczeniu z łatwością wybrał odpowiednie miejsce, wywiercił w twardej skale głęboki otwór, wyjął świder, oczyścił i osuszył kanał. Wsypał do środka proch, wcisnął do otworu długi żelazny pręt przypominający gwóźdź, zalepił ujście kanału gliną i uderzył ją końcem świdra. Później wyciągnął gwóźdź i wsunął do niewielkiego otworu pustą trzcinę wypełnioną prochem, która służyła za lont.

Zdjął kask, delikatnymi dmuchnięciami rozniecił tłącą się hubkę i zapalił lont. Następnie obaj wycofali się za najbliższy zakręt chodnika.

Mark policzył do dwudziestu. Nic. Znów policzył do dwudziestu. Potem do pięćdziesięciu. Podniósł swoją torbę i zaklął. Postawił ją w ciemności pod ścianą chodnika, a na dnie znajdowała się woda.

– Lont zamókł – powiedział.

– Niech pan będzie ostrożny, panie Daniel! – ostrzegł Matthew, który nie lubił wysadzania skał. – Warto jeszcze poczekać.

Mark prychnął i ruszył w stronę przodka. Chłopiec podążył za nim.

Kiedy Daniel wyciągał ze ściany trzcinową rurkę z prochem, doszło do eksplozji. Zobaczył oślepiający błysk i w twarz trafiły go odłamki skał. Uniósł ręce do oczu i upadł do tyłu. Przodek zmienił się w skalne rumowisko.

Chłopiec dał się ponieść nerwom, odwrócił się i zaczął uciekać, wołając o pomoc. Po chwili się opa-

nował i wrócił do miejsca, gdzie Mark usiłował się wyczołgać spomiędzy skał. Wokół wirowały kłęby czarnego, duszącego dymu.

Chwycił mężczyznę za ramię.

– Panie Daniel! Panie Daniel!

– Odsuń się, chłopcze! Poszła tylko część ściany.

Jednak Matthew nie chciał zostawić towarzysza i razem dotarli do zakrętu, szukając po omacku drogi w ciemności.

Matthew zapalił świecę i popatrzył na Marka w drżącym świetle. Koścista twarz była czarna od prochu i pokryta krwią, a włosy i brwi opalone.

– Pana oczy, panie Daniel. Wszystko w porządku?

Mark spojrział na świecę.

– Tak, widzę. – W chodniku rozległ się kolejny huk, gdy eksplodowała reszta ładunku. Otoczyły ich kłęby czarnego dymu. – Pamiętaj, chłopcze, z prochem trzeba zawsze bardzo uważać...

– Ma pan krew na twarzy...

Mark spojrział na swoje ręce.

– Poharatało mi dłoń. – Miał zakrwawione palce. Przyczyną wypadku był wilgotny proch, lecz jednocześnie uratował mu on życie. Mark wyjął brudny gałganek i owinął sobie lewą rękę.

– Zaczekajmy, aż dym się rozejdzie, a potem zobaczymy, jak wygląda przodek.

Matthew przykucnął i patrzył na zalanego krwią górnika.

– Powinien pan iść do chirurga. Opatrzyłby panu rany.

Mark wyprostował się gwałtownie.

– Nie! Nie poszedłbym do niego, nawet gdybym zdychał! – Odwrócił się i zniknął w kłębach dymu.

Pracowali przez pewien czas, lecz Mark z trudem posługiwał się zranioną ręką, która nie przestawała krwawić. Piekła go twarz.

– Chyba wyjdę na powierzchnię – powiedział po godzinie. – Lepiej idź ze mną, chłopcze. Nie warto oddychać tym zatrutym powietrzem, jeśli nie ma potrzeby.

Matthew chętnie podążył za Markiem. Nocne szychty bardzo go męczyły, choć nie chciał się do tego przyznać.

Dotarli do głównego szybu i wspięli się po drabinach. Było dość płytko w porównaniu z kopalnią Grambler, toteż szybko poczuli podmuchy świeżego nocnego powietrza i usłyszeli szum fal. Po wyjściu na powierzchnię oddychali głęboko, rozkoszując się rześką bryzą wiejącą znad oceanu. Do Marka podeszło kilku ludzi i zaczęło udzielać mu rad.

Zamierzał zabandażować rękę i znów zejść na dół, ale kiedy rozmawiał z mężczyznami i pozwolił opatrzeć sobie dłoń, przypomniał sobie o Keren i w przyływie złości połączonej z lękiem zrozumiał, że nadszedł czas próby.

Przez chwilę nie chciał wracać do chaty, bo czuł, że jest jeszcze za wcześnie, że powinien się przygotować. Potem odwrócił się w stronę Matthew i powiedział:

– Biegnij do domu, chłopcze. Lepiej, żebym dziś w nocy nie wracał na dół.

Kiedy Matthew Mark przychodził do pracy, nie pozwalał sobie myśleć o śnie – nie należało tego robić – ale teraz był uszczęśliwiony. Całe sześć godzin w łóżku! Czekał z szacunkiem, by towarzyszyć Markowi w drodze do domu, ale starszy górnik szorstko rozkazał mu pędzić do Mellin.

Mark patrzył na odchodzącego chłopca, pożegnał się z pozostałymi górnikami i ruszył za Matthew. Powiedział, że nie wie, czy warto zawracać głowę doktorowi Enysowi, lecz w głębi duszy podjął już decyzję. Dobrze wiedział, co zamierza zrobić.

Szedł cicho do domu. Kiedy w świetle gwiazd ukazała się chata na wzgórzu Reath, poczuł ściskanie

w piersi. Gdyby był człowiekiem religijnym, zacząłby się modlić – o to, że się pomylił, że Keren jest mu wierna, że mogą sobie ufać. Dotarł do drzwi, wyciągnął rękę do klamki, chwycił ją, nacisnął.

Drzwi się otworzyły.

Niezgrabnie wszedł do środka, mimo woli ciężko dysząc, jakby przebiegł całą drogę z kopalni. Nie zatrzymał się, żeby skrzesać ogień, tylko ruszył prosto do sypialni. Okiennice były zamknięte, lecz szybko wymacał zdrową ręką drogę do łóżka, posuwając się wzdłuż ścian. Narożnik, szorstki koc. Usiadł na łóżku i wyciągnął dłoń w stronę Keren – swojej Keren. Nie było jej.

Jęknął z bólu i siedział na łóżku, wiedząc, że to koniec. Siedział i szlochał, dyszał ciężko i szlochał... Wreszcie wstał.

Wyszedł na dwór, otarł dłonią oczy, spojrział w prawo i w lewo, pociągnął nosem i ruszył w stronę Mongoose.

W mroku ukazała się sylwetka stróżówki. Mark okrążył budynek, przyglądając mu się uważnie. W jednym z górnych okien paliło się światło.

Zatrzymał się, patrzył i starał się zdusić w sobie ból. Słyszał bicie swojego serca. Drzwi.

Znieruchomiał. Gdyby zaczął się dobijać, ostrzegłby ich. Mieliby czas do namysłu. Keren mogłaby się wymknąć inną drogą. I ona, i Enys myśleli szybciej od Marka. Później zaprzeczą w żywe oczy. Tym razem musi mieć dowód.

Zaczekam, pomyślał.

Powoli, ze zgarbionymi plecami, oddalił się od domu, aż znalazł się w miejscu, skąd mógł obserwować drzwi od frontu i od tyłu.

Ukucnę i zaczekam.

Po niebie przesuwawały się gwiazdy w swojej wiecznej wędrówce. Szeleściły paprocie, poruszone łagodnym wiatrem. Falowały przez chwilę, a później znów nieruchomiały. Wśród kolcolistów grał świerszcz, a w górze odezwał się lelczyk: widmowy dźwięk ducha dawno zmarłego górnika wędrującego w ciemności w miejscu, gdzie kiedyś żył. W poszyciu szeleściły drobne zwierzęta. Na dachu usiadła sowa i zaczęła pohukiwać.

Zaczekam.

Na wschodzie ukazało się słabe żółtawe światło i pojawił się sierp księżyca. Wisiał przez jakiś czas nad horyzontem, a potem zaszedł.

Drzwi stróżówki uchyliły się na kilka centymetrów i z domu wyslizgnęła się Keren.

Była szczęśliwa. Cieszyła się, że to dopiero pierwszy dzień tygodnia, gdy Mark ma nocne szychty. Ona i Dwight wciąż dopiero się poznawali, odkrywali rzeczy, o których nigdy wcześniej nie myśleli. Zaborcza i nieco zazdrosna, musiała się pogodzić z tym, że nie jest jego jedyną miłością. Przede wszystkim kochał swoją pracę. Zdobyła go, okazując zainteresowanie medycyną. Utrzymała go przy sobie, bo stale je manifestowała.

Nie miała nic przeciwko temu, a funkcja poważnej asystentki lekarza sprawiała jej pewną przyjemność. Przypominała dawną rolę w sztuce *Hilary Tempest*. Czasami wyobrażała sobie, że uwolniła się od Marka i została żoną Enysa – że nosi wdzięczną, choć prostą suknię i pomaga mężowi w wyleczeniu trudnego przypadku. Zdawała sobie sprawę, że ma zręczne, silne dłonie i że potrafi zachowywać zimną krew. Dwight podziwiałby ją, a wraz z nim wszyscy właściciele ziemscy z okolicy. Wszędzie by o niej mówiono. Słyszała, że pani Poldark odniosła wielki sukces podczas balu na cześć powrotu króla do zdrowia i później wielu ludzi przyjeżdżało do niej w odwiedzin. Keren nie pojmowała dlaczego.

Sukces uderzył Demelzie Poldark do głowy, bo w zeszłym miesiącu, udając damę, zasugerowała Keren, by uważała, jak się zachowuje. Keren była wściekła. Skoro Demelza odniosła taki sukces towa-

rzyski, Keren jako żona lekarza osiągnęłaby znacznie więcej. Może nie pozostałaby żoną lekarza przez całe życie? Wszystko jest możliwe. Kiedy pewnego dnia przechodziła przez dolinę Nampary, zauważył ją potężnie zbudowany, kudłaty, starszy dżentelmen i bardzo uważnie się jej przyglądał. Kiedy się dowiedziała, że to baronet i kawaler, była zadowolona, że miała wówczas na sobie cienką sukienkę.

Wracała do chaty, przedzierając się przez chwasty. Zegar Dwighta wskazywał wpół do czwartej, więc miała mnóstwo czasu. Nie powinna ryzykować. W kotlinie między obydwojma domami unosiła się mgła. Keren weszła w nią jak do wody. Poczuła wilgoć. Na jej twarzy i na włosach lśniły kropelki rosy. Na ziemi rosły wilce i Keren zerwała jeden. Przeszła przez koryto wyschniętego strumienia, wdrapała się na przeciwległy brzeg i znów otoczyło ją czyste, chłodne powietrze.

Kiedy dziś w nocy leżała naga w ramionach Dwighta, zachęcała go do mówienia: o pracy wykonanej w ciągu dnia, o małym chłopcu, który zmarł na krup w Marasanvose, o rezultatach kuracji kobiety cierpiącej na czyraki, o jego planach na przyszłość. Wszystko to cementowało ich namiętność. Przynajmniej z jego punktu widzenia, bo Keren tak naprawdę w ogóle to nie obchodziło.

Kiedy dotarła do chaty, księżyc skrył się za horyzontem i na wschodzie wstawał świt. Koryto strumienia wypełniała mlecznobiała mgła, ale poza tym powietrze było czyste.

Weszła do środka i odwróciła się, by zamknąć drzwi. W tej samej chwili pchnęła je od zewnątrz czyjaś ręka.

– Keren...

Zamarło jej serce, a potem zaczęło walić. Biło coraz szybciej i mocniej, aż Keren miała wrażenie, że za chwilę pęknie jej głowa.

– Mark! – szepnęła. – Wróciłeś wcześniej do domu! Coś się stało?!

– Keren...

– Jak śmiesz tak mnie straszyć?! O mało nie umarłam!

Myślała szybciej od niego, zamierzała przejść do ataku i w ten sposób odeprzeć jego zarzuty. Jednak tym razem miał dowody.

– Gdzie byłaś, Keren?

– Ja? Nie mogłam spać – odpowiedziała. – Bolała mnie głowa. Och, Mark, strasznie bolała mnie głowa. Tęskniłam za tobą i płakałam. Myślałam, że mógłbyś mi zrobić gorący okład i poczułabym się lepiej. Ale byłam zupełnie sama. Nie wiedziałam, co robić. Pomyślałam, że spacer dobrze mi zrobi. Gdybym wiedziała, że wrócisz wcześniej do domu, poszłabym w stronę kopalni, by cię spotkać. – W półmroku dostrzegła bandaż na jego ręce. – Och, Mark, jesteś ranny! Miałeś wypadek! Pokaż!

Ruszyła ku niemu, on zaś uderzył ją w usta zranioną ręką i przewrócił na podłogę. Przypominała szmacianą lalkę ciśniętą na ziemię.

– Ty brudna kłamczucho! Ty brudna kłamczucho! – Oddychał spazmatycznie.

Keren rozplakała się z bólu. Wydawała z siebie dziwne, piskliwe, kocie dźwięki.

Zbliżył się do niej.

– Byłaś z Enysem! – rzekł strasznym głosem.

Uniosła głowę.

– Brudas! Brudny tchórz! Uderzyłeś kobietę! Ohydna bestia! Odejdź ode mnie! Zostaw mnie! Wsadzę cię do więzienia, bydlaku! Wynoś się!

Przez okno wpadły pierwsze promienie słońca, oświetlając twarz Marka, pokrytą brudem i sadzą. Keren patrzyła na niego spomiędzy palców i przez rozsypane włosy. Znów się rozplakała.

– Byłaś z Enysem, spałaś z Enysem! – krzyczał coraz głośniej.

– Nie! Nie! – wrzasnęła. – Kłamiesz! Poszłam do niego, bo mnie bolało! To lekarz, prawda? Ty wstrętny brutalu! Bardzo mnie bolało...

Szybko wymyślone kłamstwo sprawiło, że Mark mimo wszystko się zawahał. Przede wszystkim chciał być sprawiedliwy, traktować Keren uczciwie.

– Jak długo tam byłaś?

– Och... trochę ponad godzinę. Dał mi jakieś lekarstwo, a potem musiał poczekać, żeby...

– Czekałem ponad trzy godziny – przerwał.

Zrozumiała, że musi uciekać, i to natychmiast.

– Mark, nie jest tak, jak myślisz, przysięgam na Boga! – zawołała z desperacją. – Jeśli z nim porozmawiasz, wszystko ci wytłumaczy! Chodźmy do niego, Mark! Przyczepił się do mnie jak rzep do psiego ogona, bez przerwy mnie nagabywał! Stale, stale i stale! A potem, kiedy raz ustąpiłam, zagroził, że ci powie, jeśli nie będę posłuszna. Przysięgam na Boga i na pamięć matki! Nienawidzę go, Mark! Kocham tylko ciebie! Idź i zabij go, jeśli chcesz! Zasłużył na to, Mark! Przysięgam na Boga, że mnie wykorzystał!

Krzyczała dalej i szlochała, zasypując go słowami, potokami słów. Przypominało to rzucanie kamieniami w olbrzyma, lecz nie mogła się inaczej bronić. Wyrzucała z siebie słowa, usiłując zapanować nad jego wściekłością, wpłynąć na jego myśli. Kiedy spostrzegła, że nic to nie daje, przemknęła pod jego ramieniem i skoczyła jak kotka w stronę drzwi.

Wyciągnął wielką rękę, chwycił ją za włosy i przyciągnął do siebie. Zawyla.

Walczyła z całych sił, wierzgała, gryzła, drapała. Nie pozwolił, by wbiła mu paznokcie w oczy, lecz nie zważał na ugryzienia. Wydawało się, że nie odczuwa bólu. Odsłonił jej szyję i ścisnął.

Przestała krzyczeć. Jej oczy wypełniły się łzami, rozszerzyły się, zmartwiały. Wiedziała, że istnieje śmierć, lecz wzywało ją życie, piękne życie, słodka młodość, która jeszcze nie minęła. Dwight, baronet, lata triumfu, płacz, śmierć.

Szarpnęła się, oboje stracili równowagę i upadli na okiennicę, której słabe zamknięcie puściło. Wychylili się z okna, Mark na górze, a Keren pod nim.

Letni poranek. Szkliste oczy dziewczyny, którą kochał, kobiety, którą znienawidził, opuchnięta twarz. Czuł mdłości i wściekłość, jego łzy kapały na twarz Keren.

Przestał ścisnąć jej szyję, lecz ciągle spoglądała na niego wytrzeszczonymi oczyma. Nakrył jej twarz ogromną dłonią i odepchnął.

Pod jego dłonią rozległ się cichy trzask.

Upadł na podłogę chaty, wił się, jęczał.

Nie poruszała się.

Niebo było bezchmurne. Nie wiał wiatr. Ćwierkały ptaki. Wcześniej Mark zauważył, że na karłowatym głogu wykluł się drugi lęg drozdów, lecz teraz w gnieździe znajdowało się tylko jedno pisklę. Pozostałe siedziały na ziemi, stroszyły pióra i potrząsały łebkami, spoglądając ze zdziwieniem na nowy świat, który oferował tyle możliwości.

W wąwozie wciąż zalegała mlecznobiała mgła. Ciągnęła się aż do morza, a wirujące obłoczki nad wydmami przypominały parę buchającą z czajnika.

Kiedy się rozwidniło, morze było spokojne, choć w nocy szumiały fale. Ocean miał jasnoniebieską barwę, natomiast nad widnokregiem unosiła się brązowawa mgiełka. Na brzegu pojawiały się gdzieś karminowe błyski, gdy słońce padało na szczyty nadciągających fal.

Widać było wyraźnie brzydkie zabudowania Wheal Leisure, a nielicznych krążących wśród nich ludzi oświetlało różowawe światło poranka.

Ciepłe promienie słońca powoli rozproszyły mgłę, która odpłynęła w stronę niskich klifów, gdzie powoli rozwiął ją wiatr.

Rudzik oswojony przez Keren i Marka pofrunął do drzwi, usiadł na progu, wypiął pierś i wskoczył do

chaty. Nie podobała mu się panująca w niej cisza. Dziobnął kilka razy podłogę i wyszedł na dwór. Zauważył znajome oblicze kobiety wychylonej przez okno, lecz nie wydała przyjaznego dźwięku, więc odleciał.

Nad chatą wzeszło słońce, oświetlając posypane piaskiem deski pokryte zadrapaniami i rysami. Obok przewróconego krzesła leżały hubka i krzesiwo, ogarek świecy i górniczy kask.

Wilec zerwany przez Keren złamał się w czasie walki. Porzucony na progu, miał białe, wilgotne i świeże płatki. Wkrótce zwiędnie.

Rozdział piąty

Rossowi śniło się, że sprzecza się o odlewnię miedzi z sir Johnem Trevaunance'em i pozostałymi udziałowcami. Nie był to rzadki sen ani niezgodny z tym, co działo się na jawie. Poświęcał połowę swojego czasu na obronę Carnmore Copper Company przed zatargami wśród wspólników lub zewnętrznymi atakami. Wojnę prowadzono w sposób przemyślany i nikt nie wiedział, jak się zakończy.

Nie cofano się przed żadnymi metodami. Wywarto naciski na United Mines i Richard Tonkin musiał zrezygnować z zasiadania w zarządzie. Sir John Trevaunance miał przewlekły proces sądowy w Swansea związany z jego statkami do przewozu węgla.

Rossowi przyśniło się, że spotkanie odbywa się w domu Trevaunance'a, gdzie rzeczywiście za kilka dni wyznaczono zgromadzenie wspólników, i że wszyscy się kłócą. Bez przerwy walił w stół, prosząc o ciszę. Ale nikt go nie słuchał – im głośniej walił, tym hałaśliwiej zachowywali się uczestnicy spotkania, aż nagle zapadło milczenie i obudził się w cichej sypialni, słysząc stukanie do frontowych drzwi.

Było już jasno i do połowy zaciągnięte zasłony oświetlało słońce. Gimlettowie powinni wkrótce wstać. Ross sięgnął po zegarek, lecz jak zwykle zapomniał go nakręcić. Słyszał lekki oddech Demelzy. Jej ciemne włosy rozsypały się na poduszce. Nigdy nie miała kłopotów ze snem. Gdyby Julia nagle się obudziła, Demelza wstałaby i z powrotem zasnęła w ciągu pięciu minut.

Na schodach rozległy się pośpieszne kroki i pukanie ucichło. Wyślizgnął się z łóżka, a Demelza usiadła, jak zwykle zupełnie przytomna, jakby w ogóle nie spała.

– Co się stało?

– Nie wiem, moja droga.

Ktoś zastukał do drzwi sypialni i Ross otworzył. W takich niespodziewanych sytuacjach w dalszym ciągu odruchowo spodziewał się zobaczyć przed sobą Juda.

– Przepraszam, panie, ale przyszedł chłopiec, który prosi o rozmowę – powiedział Gimlett. – Charlie Baragwanath, pomocnik ogrodnika w Mongoose. Jest okropnie zdenerwowany.

– Zaraz zejść.

Demelza cicho westchnęła w kołdrę. Obawiała się, że to coś związanego z Verity. Myślała o niej przez cały wczorajszy dzień, piękny wczorajszy dzień, który w większości spędzili na zalanej słońcem plaży, chodząc brzegiem morza. Nadszedł dzień wyzwolenia Verity. Demelza przygotowywała go od przeszło roku. Zastanawiała się i czekała.

Z twarzą zasłoniętą kołdrą po same oczy patrzyła, jak Ross się ubiera i wychodzi. Pragnęła, by ludzie zostawili ich w spokoju. Chciała zostać sama z Rossem i Julią. Ale pojawiało się coraz więcej gości, zwłaszcza jej adoratorów, jak żartobliwie nazywał ich Ross. Sir Hugh Bodrugan przybył kilka razy na herbatę.

Ross wrócił. Zorientowała się, że coś się stało.

– Trudno go zrozumieć. Chyba coś w kopalni.

Usiadła.

– Wypadek?

– Nie. Pośpij jeszcze. Dopiero po piątej.

Znów podążył na dół i podszedł do małego chłopca, który czekał zębami, jakby było mu zimno. Ross dał mu kilka łyków brandy i ruszyli wśród jabłoni porastających stok wzgórza.

– Byłeś tam pierwszy? – spytał Ross.

– Tak, panie... Przychodzę tam, jak idę do pracy. O tej porze roku czasem jeszcze śpią, gdy jestem za wcześnie, ale zawsze przychodzę. Myślałem, że wszyscy wyszli... A potem ją zobaczyłem... potem ją

zobaczyłem... – Zakrył twarz dłońmi. – Naprawdę, panie, o mało nie zemdlałem. Zakręciło mi się w głowie...

Kiedy zbliżyli się do chaty, ujrzeni stojących przed nią trzech mężczyzn. Paula Daniela, Zacky’ego Martina i Nicka Vigusa.

– Jest tak, jak mówi chłopiec? – spytał Ross.

Zacky skinął głową.

– Ktoś... ktoś jest w środku?

– Nie, panie.

– Ktoś wie, gdzie jest Mark?

– Nie, panie.

– Posłaliście po doktora Enysa?

– Przed chwilą, panie.

– Tak, posłaliśmy po niego, jasne – dodał gorzko Paul Daniel. Ross zerknął na niego.

– Wejdiesz ze mną, Zacky? – spytał.

Zbliżyli się do otwartych drzwi, a Ross pochylił głowę i wszedł do środka.

Keren leżała na podłodze przykryta kocem. Oświetlały ją złociste promienie słońca wpadające przez okno.

– Charlie mówił...

– Tak... Położyliśmy ją na podłodze. Nie chcieliśmy jej tak zostawić.

Ross uklęknął i uniósł koc. Keren miała na ramionach czerwoną chustę, którą Mark wygrał w czasie zawodów zapaśniczych dwadzieścia miesięcy wcześniej. Przykrył ją z powrotem kocem, wstał i wytarł ręce.

– Gdzie był Mark, kiedy to się stało, Zacky? – spytał cicho, jakby nie chciał, żeby go ktoś usłyszał.

– Powinien być w kopalni, panie kapitanie, i w tej chwili kończyć szychtë. Ale wcześniej w jego grupie był wypadek. Matthew Mark wrócił do domu przed pierwszą i później nikt nie widział Marka Daniela.

– Domyślasz się, gdzie może być?

– Nie mam pojęcia.

– Posłaliście po gminnego konstabla?

– Kogo? Starego Vage’a? Powinniśmy to zrobić?

– Nie, Jenkinsa. To gmina Mongoose.

Na pokój padł cień. Wszedł Dwight Enys. Miał bladą twarz i rozgorączkowane oczy.

– Ja... – Zerknął na Rossa, a później na postać leżącą na podłodze. – Przyjechałem...

– Cholernie nieprzyjemna sprawa, Dwight. – Ross odsunął się od młodego przyjaciela i podszedł do Paula Daniela, który wszedł do chaty za lekarzem. – Powinniśmy zostawić doktora Enysa samego, by mógł przeprowadzić oględziny.

Wydawało się, że Paul zamierza się sprzeciwić, jednak Ross miał zbyt wielki autorytet, więc wyszedł z nim na słońce. Ross obejrzał się i zobaczył, że Enys pochyła się, by zdjąć koc. Drżała mu ręka i wyglądał, jakby miał za chwilę zemdleć.

Przez cały dzień nie było żadnych wiadomości o Marku Danielu. Wszedł z kopalni o północy, czarny od dymu i ranny, a w poniedziałek rano o świcie wymierzył żonie karę za niewierność i kłamstwa. Później zniknął, rozpułnął się w ciepłym powietrzu.

Tyle wiedziano. Wieści o zdradzie Keren rozeszły się po okolicznych wioskach i przysiółkach niczym ciche poddmuchy wiatru i nikt nie miał wątpliwości, że właśnie dlatego zginęła. I, co dziwne, wszyscy

uwawali to za sprawiedliwe. Spotkała ją biblijna kara. Od pojawienia się w okolicy prowokowała mężczyzn, obnażając swoje ciało. Jeden z nich – wszyscy wiedzieli, o kogo chodzi – dał się skusić. Każda rozsądna kobieta czuła, że Mark Daniel nie jest człowiekiem, któremu można bezkarnie przyprawić rogi. Keren rozumiała ryzyko i zdecydowała się na nie. Próbowwała przechytryć męża, mniej bystrego, lecz silnego. Przez jakiś czas wszystko szło po jej myśli, ale wreszcie powinęła jej się noga i nadszedł koniec. Nie było to zgodne z prawem, lecz sprawiedliwe.

Człowiek, z którym zdradzała Marka, miał wielkie szczęście, że również nie skończył na podłodze chaty ze skrzyconym karkiem. Powinien się pilnować, żeby go to nie spotkało. Na jego miejscu każdy wskoczyłby na konia, odjechał i trzymał się z dala od tego miejsca, dopóki Mark Daniel jest na wolności. Mimo swojego wykształcenia był tylko chuchrem i Mark Daniel złamałby go jak suchą gałązkę.

Ludzie nie mieli pretensji do Enysa, choć byłyby one uzasadnione. Przebywał w tych stronach od kilku miesięcy. Polubili i zaczęli darzyć szacunkiem, a poza tym nie znosili Keren. Mogliby go zniechęcić jako sprawcę rozbicia cudzej rodziny, lecz zamiast tego postrzegali Keren jako kusicielkę, która sprowadziła go na manowce. Wiele kobiet widziało, jak Keren patrzy na ich mężów. To nie wina chirurga, mówiły. Ale i tak nikt nie chciałby być na jego miejscu. Musiał wejść do domu i dokonać oględzin. Podobno wyszedł zlanym potem.

O szóstej wieczorem Ross poszedł zobaczyć się z Dwightem.

Na początku Bone nie chciał go wpuścić, bo pan doktor powiedział, że pod żadnym pozorem nie wolno mu przeszkadzać. Ale Ross odepchnął służącego.

Enys siedział przy stole przed stosem papierów z wyrazem beznadziejnej rozpacz na twarzy. Od rana nie zmienił ubrania ani się nie golił. Zerknął na Rossa i wstał.

– Coś ważnego?

– Nie ma żadnych wiadomości. To najważniejsze, Dwight. Na twoim miejscu nie siedziałbym tutaj do zmroku. Jedź i spędź kilka dni z rodziną Harrisa Pascoe'a.

– Po co? – spytał głupawo.

– Mark Daniel to niebezpieczny człowiek. Myślisz, że gdy postanowi tu przyjść, powstrzyma go Bone i kilkoro zamkniętych drzwi?

Dwight zakrył twarz dłońmi.

– Więc wszyscy znają prawdę...

– Wystarczająco dużo, by dopowiedzieć sobie resztę. Na wsi trudno utrzymać coś w tajemnicy. Tymczasem...

– Nigdy nie zapomnę jej twarzy! – wybuchnął Enys. – Całowałem ją dwie godziny temu!

Ross podszedł i nalał mu kieliszek brandy.

– Wypij to. Masz szczęście, że żyjesz. Musimy dbać, byś dalej żył.

– Nie widzę żadnego powodu.

Ross starał się panować nad sobą.

– Posłuchaj, chłopcze – rzekł z naciskiem. – Musisz wziąć się w garść. Co się stało, to się nie odstanie. Przede wszystkim chciałbym zapobiec kolejnym nieszczęściom. Nie chcę cię osądzać.

– Wiem – odpowiedział młody człowiek. – Wiem, Ross. Sam siebie osądzam.

– Bez wątpienia zbyt surowo. Wszyscy rozumieją, że prawdziwą przyczyną tragedii była ta dziewczyna. Nie wiem, co tak naprawdę do niej czułeś.

Dwight wyglądał na załamanego.

– Sam nie wiem, Ross. Sam nie wiem. Kiedy zobaczyłem ją leżącą na podłodze, pomyślałem, że ją kochałem.

Ross nalał sobie brandy. Kiedy się odwrócił, Dwight częściowo przyszedł do siebie.

– Najważniejsze, żebyś wyjechał na jakiś czas. Sędziowie wydali nakaz aresztowania Marka i szukają go konstable. W tej chwili nie można nic więcej zrobić, może to wystarczy. Ale jeśli Mark będzie się ukrywał, sytuacja może się skomplikować. Zgodnie z prawem każdy wieśniak ma obowiązek pomóc w jego schwytaniu, lecz moim zdaniem żaden z nich nawet nie kiwnie palcem.

– Stoją po jego stronie, i słusznie.

– Ale nie potępiają cię, Dwight. Za dzień lub dwa sędziowie podejmą odpowiednie kroki, za tydzień Mark znajdzie się pod kluczem i będziesz mógł bezpiecznie wrócić.

Enys wstał, trzymając do połowy napełniony kieliszek.

– Nie, Ross! Za kogo mnie uważasz?! Miałbym uciekać w bezpieczne miejsce, gdy go tropią, a potem wracać z podwiniętym ogonem?! Wolałbym się z nim spotkać twarzą w twarz i stawić czoło konsekwencjom. – Zaczął chodzić po pokoju. Nagle się zatrzymał. – Spójrz na sprawę z mojego punktu widzenia. Zawiodłem tych ludzi pod każdym względem. Przybyłem do nich jako obcy człowiek i jako lekarz. Przyjęto mnie dobrze, co najwyżej nieco podejrzliwie. Dostawałem od nich jajka z wdzięczności za rzekome zasługi. Drobnymi gestami dobrej woli nawet ze strony pacjentów Choake’a. Zaufanie, sympatia. W zamian za to przyczyniłem się do zniszczenia życia jednego z nich. Gdybym teraz wyjechał, zachowałbym się jak oszust, poniósłbym klęskę.

Ross milczał.

– Istnieje także inna, trudniejsza droga. Powinienem zostać i stawić czoło sytuacji. Posłuchaj, Ross, w Marasanvose jest kolejny przypadek krup. W wiosce Grambler jedna z kobiet o mało nie umarła w czasie porodu wskutek błędów położnej. Poprawia się stan czterech górników chorych na gruźlicę. Są ludzie, którzy ciągle darzą mnie zaufaniem. Zdradziłem ich, to prawda, ale gdybym wyjechał i zostawił ich Choake’owi z jego wiejskimi metodami, byłaby to jeszcze większa zdrada.

– Nie mówię, że powinieneś wyjechać na zawsze.

Dwight pokręcił głową.

– To niemożliwe.

– Wobec tego spędź kilka dni w Namparze. Mamy wolny pokój. Przywieź swojego służącego.

– Nie. Dziękuję ci za dobroć. Jutro zamierzam pracować jak zwykle.

Ross spojrzał ponuro na lekarza.

– W takim razie bierzesz na siebie odpowiedzialność za to, co cię może spotkać.

Dwight uniósł dłoń do oczu.

– Jestem już odpowiedzialny za to, co spotkało Keren.

Ze stróżówki Ross pojechał do domu Danielów. Siedzieli w półmroku jak żałobnicy w czasie stypy. Ross zastał wszystkich dorosłych członków rodziny z wyjątkiem Beth, żony Paula, która samotnie czuwała nad ciałem Keren w chacie na wzgórzu. Zapomniała o pogardzie okazywanej przez Keren i nie mogła znieść myśli, że przez cały wieczór ciało będzie leżeć bez opieki.

Stary Daniel pykał glinianą fajkę i gadał, gadał. Nikt go nie słuchał, lecz staruszek się tym nie przejmował. Próbował zapomnieć o żalu i lęku.

– Pamiętam, że w sześćdziesiątym dziewiątym nad Jeziorem Górnym była podobna historia. Nad Jeziorem Górnym w sześćdziesiątym dziewiątym – a może to był siedemdziesiąty? – pewien mężczyzna uciekł z żoną sklepikarza. Doskonale to pamiętam. Ale nikt nie ponosił żadnej winy...

Powitali Rossa z szacunkiem. Babcia Daniel zeszła z rozklekotanego stołka i poprosiła, żeby usiadł. Ross zawsze odnosił się bardzo uprzejmie do babci Daniel, ona zaś starała się zachowywać podobnie. Podziękował i oznajmił, że chciałby porozmawiać z Pauliem na osobności.

– Nie była to jego wina. Pewien mężczyzna uciekł z żoną sklepikarza, a on wziął łopatę i pobiegł za

nimi. Po prostu łopate, nic więcej...

Paul się wyprostował i w milczeniu wyszedł z Rossem na słońce. Zamknął drzwi i oparł się o nie plecami z nieco niepewną miną. Wokół znajdowali się inni ludzie, którzy stali w drzwiach swoich chat i rozmawiali, ale byli poza zasięgiem słuchu.

– Żadnych wieści o Marku?

– Nie, panie.

– Wiesz, gdzie może być?

– Nie, panie.

– Domyślam się, że Jenkins cię przesłuchiwał?

– Tak, panie. I innych z Mellin. Ale nic nie wiemy.

– I tak nic byście nie powiedzieli, prawda?

Paul wbił wzrok w swoje stopy.

– Możliwe.

– To poważniejsze przestępstwo niż drobna kradzież, Paul. Gdyby Marka przyłapano na kradzieży w sklepie, mógłby zostać skazany na deportację, ale gdyby przez jakiś czas się ukrywał, wszystko poszłoby w niepamięć. Morderstwo to co innego.

– Skąd mamy mieć pewność, że to zrobił, panie?

– Jeśli nie zrobił, to dlaczego uciekł?

Paul wzruszył potężnymi ramionami i zmrużył oczy w zachodzącym słońcu.

– Chyba powinienem ci powiedzieć, co się może stać, Paul. Sędziowie wydali nakaz aresztowania i wysłali konstabla. Będzie mu pomagał stary kowal Jenkins z Marasanvose, a także Vage z Sawle. Moim zdaniem nie zdołają go znaleźć.

– Może nie.

– Wtedy sędziowie zarządzą obławę. Polowanie na człowieka to okropna rzecz. Powinniśmy tego uniknąć.

Paul Daniel przestąpił z nogi na nogę, lecz milczał.

– Znam Marka od dzieciństwa, Paul – ciągnął Ross. – Byłbym bardzo nieszczęśliwy, gdyby zorganizowano na niego obławę, może z psami, a potem zawisłby na szubienicy.

– Zawisnie na szubienicy, jeśli się ujawni – odpowiedział Paul.

– Wiesz, gdzie jest?

– Nic nie wiem. Ale mogę coś przypuszczać.

– Tak, oczywiście. – Ross dowiedział się tego, czego chciał. – Posłuchaj, Paul. Znasz zatokę Nampara? Naturalnie, że znasz. Są tam dwie pieczary. W jednej jest łódź.

Daniel szybko spojrzał na Rossa.

– Tak?

– To niewielka łódź. Używam jej do połowu ryb przy brzegu. Wiosła trzymam na półce skalnej w tylnej części jaskini. Dulki są w domu, żeby nikt nie pływał łodzią bez mojego pozwolenia.

Paul obliznął wargi.

– Tak?

– Tak. W domu mam także maszt i dwa żagle, bo łódź może też służyć za żaglówkę. Wiem z doświadczenia, że dobrze się nią steruje. Nie nadaje się do pływania po oceanie przy dużej fali, ale w lecie odważny człowiek jakoś sobie poradzi. W Anglii Mark jest skończony, ale na północy jest Irlandia, a na południu Francja, gdzie w tej chwili trwają rozruchy. Ma znajomych w Bretanii i już tam pływał.

– Tak? – odezwał się Paul, który zaczął się pocić.

– Tak – odparł Ross.

– A żagle i dulki?

– Mogłyby się znaleźć w pieczarze po zmroku. I trochę jedzenia, by człowiek płynący łodzią przeżył.

To tylko pomysł.

Paul otarł czoło przedramieniem.

– Dziękuję za ten pomysł, panie. Przecież jeśli...

– Stawiam jeden warunek – przerwał Ross, stukając Paula w pierś długim palcem wskazującym. – To sekret, który mogą znać tylko dwie lub trzy osoby. Współudział w morderstwie to brzydka sprawa. Nie wtajemniczałbym Vigusów, bo Nick ma niedobry zwyczaj zdradzania różnych rzeczy, które mogą zaszkodzić innym. Pewnym ludziom lepiej smakowałoby jedzenie, gdybym zadyndał na szubienicy. Cóż, nie mam na to ochoty, nie chcę też tego ani dla ciebie, ani twojego brata, ani wszystkich złamanych serc w Mellin. Dlatego musisz być ostrożny. Może ci pomóc Zacky Martin, gdybyś potrzebował kogoś spoza rodziny.

– Nie, zachowam to w sekrecie, panie. Nie ma potrzeby wciągać w to innych. Gdyby Marka powiesili, staruszkowi pękłoby serce. Może też babci, choć potrafi wiele wytrzymać. Ale ta hańba... Wtedy...

– Wiesz, gdzie teraz jest?

– Wiem, gdzie zostawić wiadomość, bawiliśmy się tam jako chłopcy. Ale myślę, że da się coś zrobić dopiero jutro wieczorem. Najpierw umówię się z nim na spotkanie, a potem muszę go przekonać, że musi uciekać. Podobno jest załamany.

– Więc ktoś go widział?

Paul zerknął szybko na Rossa.

– Tak.

– Myślę, że nie odmówi, jak mu powiesz o jego ojcu. Ale musisz się śpieszyć. Powinien wypłynąć już jutro.

– Tak zrobię. Dziś wieczorem dam panu znać. Dziękuję, panie. Jego rodzina też nie wie, jak panu dziękować, ale jest bardzo, bardzo wdzięczna!

Ross ruszył w drogę powrotną do Nampary. Paul wszedł do chaty. W środku stary Daniel ciągle gadał drżącym, zardzewiałym głosem, jakby nie chciał dopuścić, by zapadła cisza.

Rozdział szósty

Ross wracał zamyślony do Nampary. Zastał Johna Gimletta myjącego okna w bibliotece. Wcześniej pani Gimlett zrobiła na szydełku koronkowe firany. Rossa zawsze zdumiewała pracowitość Gimlettów, którzy bardzo różnili się od leniwych Paynterów. Ogród wyglądał wspaniale. W zeszłym roku Demelza kupiła trochę nasion malwy i w czasie bezwietrznego lata wzdłuż ścian dworu zakwitły fioletowe i czerwone kwiaty. Julia leżała w łóżeczku w cieniu drzew. Ross zobaczył, że dziewczynka nie śpi, więc podszedł i wziął ją na ręce. Gaworzyła i śmiała się, usiłując chwycić go za włosy.

Demelza wracała z ogrodu, którym się zajmowała, i Ross wybiegł jej na spotkanie, wzięwszy córkę na barana. Żona miała na sobie białą muślinową suknię i z dziwnym zadowoleniem zauważył, że włożyła rękawiczki. Stopniowo, bez pretensjonalności ani pośpiechu, nabierała zwyczajów damy.

Dojrzała tego lata. Wrodzona psotna witalność nigdy jej nie opuszczała, lecz bardziej nad sobą panowała. Pogodziła się także ze zdumiewającą prawdą, że mężczyźni uważają ją za atrakcyjną.

Julia zagruchała radośnie, a Demelza wzięła ją od Rossa.

– Wyrzyna się jej następny ząbek, zobacz! Dotknij palcem. Masz czyste ręce? Dobrze, spróbuj.

– Tak, rzeczywiście. Niedługo będzie mogła gryźć jak Garrick.

– Są jakieś wieści o Marku?

Ross cicho opowiedział o swoim planie.

– Czy to nie za wielkie ryzyko? – spytała, zerkając na Gimletta.

– Nie, jeśli wszystko odbędzie się szybko. Domyślam się, że Paul wie więcej, niż mi powiedział, i że Mark przyjdzie dziś wieczorem.

– Boję się o ciebie. Obawiałabym się komuś o tym wspomnieć.

– Mam tylko nadzieję, że Dwight będzie siedział w domu, dopóki Mark nie opuści tej okolicy.

– Ach, jest dla ciebie list od Elizabeth – powiedziała Demelza, jakby nagle sobie o tym przypomniała.

Wsunęła dłoń do kieszeni fartucha i wyjęła list. Ross złamał pieczęć. Tekst brzmiał:

Drogi Rossie!

Jak może wiesz, Verity opuściła nas wczoraj wieczorem, gdy uczestniczyliśmy w nabożeństwie. Pojechała z kapitanem Blameyem do Falmouth. Dziś mają wziąć ślub.

Elizabeth

– A zatem w końcu to zrobiła! – odezwał się Ross. – Wielce się tego obawiałem.

Demelza przeczytała list.

– Dlaczego nie mieliby być szczęśliwi? Zawsze uważałam, że lepiej podjąć ryzyko niż prowadzić nudne, wygodne i bezużyteczne życie.

– Dlaczego napisała „jak może wiesz”? Dlaczego przypuszcza, że mogę o tym wiedzieć?

– Może wszyscy już o tym mówią?

– Nie podoba mi się myśl, że zostanie żoną Blameya. Ale możesz mieć rację, sądząc, że będzie z nim szczęśliwa. Modłę się o to. – Wyjął drugą dłoń z rączki Julii. – Nieszczęścia zawsze chodzą parami. Muszę pojechać do Trenwith i zobaczyć się z Francisem i Elizabeth. List brzmi dość obcesowo. Domyślam się, że są wytrąceni z równowagi.

Stało się, pomyślała Demelza, Verity jest już żoną Blameya. Ja również się modłę, by byli szczęśliwi, bo inaczej nie zdołam zasnąć.

– Za niespełną godzinę zajdzie słońce – rzekł Ross. – Muszę się śpieszyć. – Popatrzył na Demelzę. –

A może chcesz pojechać zamiast mnie i porozmawiać z nimi?

– Z Elizabeth i Francisem?! Boże, nie! O nie, Ross! Dużo bym dla ciebie zrobiła, ale nie to!

– Nie rozumiem, dlaczego tak cię to przeraża. Ale ja muszę pojechać. Zastanawiam się, co sprawiło, że Verity nagle się na to zdecydowała po tylu latach. Myślę, że mogła zostawić dla mnie list.

Kiedy Ross odjechał, Demelza postawiła Julię i pozwoliła jej chodzić po ogrodzie w szelkach. Dziewczynka myszkowała wśród grządek, gruchając z zachwytu i próbując zrywać kwiaty. Tymczasem Gimlett skończył myć okna, wziął wiadro i wszedł do dworu, a Demelza myślała i patrzyła na zachodzące słońce. Choć w ciągu dnia panowała piękna pogoda, wieczór wyglądał dziwnie. Jasne niebo pokryły smugi obłoków i światło szybko przyblakło.

Kiedy pojawiła się rosa, Demelza podniosła córeczkę i zabrała do domu. Gimlett wniósł już łóżeczko dziewczynki, a jego żona zapalała świece. Odejście Paynterów pomogło Demelzie w dążeniu do roli damy.

Nakarmiła Julię chlebem i rosółem, położyła spać i nagle zdała sobie sprawę, że Ross długo nie wraca.

Zeszła po schodach i zbliżyła się do otwartych drzwi frontowych. Po zmroku niebo się zachmurzyło i pośród drzew wiał lekki chłodny wiatr. Zmieniała się pogoda. W dali usłyszała dziwny śmiech pardwy.

Nagle dostrzegła Rossa jadącego między drzewami.

Czarnulka zarżała, zauważywszy Demelzę przy drzwiach. Ross zeskoczył na ziemię i obwiązał wodze wokół pnia bzu.

– Ktoś przychodził?

– Nie. Długo cię nie było.

– Rozmawiałem z Jenkinsem i Willem Nanfanem, który zawsze wszystko wie. Jenkinsowi mają pomóc dwaj inni konstable. Przynieś świecę, dobrze? Chcę natychmiast zanieść żagle do jaskini.

Demelza poszła z Rossem do biblioteki.

– Wiatr przybiera na sile. Musi popłynąć dziś w nocy, bo inaczej będzie to niemożliwe. Jutro może być za późno jeszcze z innego powodu.

– Jakiego, Ross?

– Jednym z sędziów jest sir Hugh i nalega, by wezwać wojsko. Wygląda na to, że Keren... Wygląda na to, że sir Hugh zwrócił na nią uwagę, spostrzegł, że krąży po okolicy, uznał za atrakcyjną, a sama wiesz, jaki to rozpustnik...

– Tak, Ross...

– Więc jest osobiście zainteresowany tą sprawą. To niedobrze dla Marka. Poza tym jest kolejny powód.

– Jaki?

– Pamiętasz, że w zeszłym tygodniu w St Ann's pobito celnika? Władze wysłały tam dziś oddział dragonów. Mają stacjonować w St Ann's przez jakiś czas, by zapobiec dalszym rozruchom, i mogą przeprowadzać rewizje w poszukiwaniu kontrabandy. Jak wiesz, sir Hugh to przyjaciel pana Trencroma; kupuje od niego trunki. Żołnierzy można by odkomenderować na jeden dzień, żeby pomogli w poszukiwaniach mordercy. Byłoby to dość naturalne.

– Mam iść z tobą do pieczary?

– Nie. Wrócę za pół godziny.

– A Verity?

Ross zatrzymał się przy drzwiach biblioteki, trzymając maszt na ramieniu.

– Och... Verity rzeczywiście odjechała. Miałem nieprawdopodobną kłótnię z Francisem.

– Kłótnię? – Demelza wyczuła, że tak naprawdę chodzi o coś innego.

– Oskarżył mnie, że zaaranżowałem jej ucieczkę, i nie chciał wierzyć w moje zaprzeczenia. Jeszcze nigdy nie byłem tak zdumiony. Zawsze uważałem go za człowieka obdarzonego pewną dozą inteligencji.

Demelza szybko przestąpiła z nogi na nogę, czując lodowaty dreszcz.

– Ależ... Dlaczego oskarżał właśnie ciebie?

– Och, doszli do wniosku, że posługiwałem się tobą jako pośrednikiem, że na moje polecenie odbierałaś listy Blameya i przekazywałaś Verity. O mało go nie uderzyłem. Tak czy inaczej, pokłóciliśmy się. Po tym, co sobie powiedzieliśmy, nie będzie łatwo się pogodzić.

– Och, Ross... Tak... tak mi przykro... Ja...

– Zostań w domu, a ja pójdę do jaskini – odparł lekkim tonem, usiłując ukryć niepokój. – Powiedz Gimlettowi, że zaraz wrócę. Niech się zajmie Czarnulką.

Po kilku minutach Demelza znowu została sama. Odprowadziła Rossa brzegiem strumienia i patrzyła na jego postać znikającą w ciemności. Dotarła do miejsca, skąd słychać było fale rozbijające się o skały w zatoce.

Wcześniej była niespokojna, trochę zdenerwowana i załękiona, ponieważ nie miała ochoty pomagać mordercy w ucieczce. Teraz czuła się nieszczęśliwa w inny sposób, dotkliwy i osobisty, związany z jej relacjami z Rossem. Przez cały rok bardzo się starała, aby Verity mogła być wreszcie szczęśliwa, zdając sobie sprawę, że Ross, a tym bardziej Francis i Elizabeth potępiliby jej starania. Jednak nigdy nie przypuszczała, że doprowadzi to do konfliktu między Rossem a jego bratem stryjecznym. Nie miało to żadnego sensu. Demelza bardzo się martwiła.

Była tak głęboko zatopiona w myślach, że nie zauważyła mężczyzny idącego po trawniku w stronę drzwi. Weszła do środka i zamykała drzwi, gdy rozległ się jego głos. Stała z boku, by światło latarni znajdującej się w sieni padało na zewnątrz.

– Doktor Enys!

– Nie chciałem pani przestraszyć, pani Poldark... Czy zastałem męża?

Demelzie mocno biło serce i nie mogła się uspokoić. Obecność lekarza wiązała się z niebezpieczeństwem.

– Nie, w tej chwili go nie ma.

Demelza popatrzyła na chirurga. Ten schludny, przystojny, ubrany w czarny surdut młody człowiek wydawał się dziś zupełnie inny niż zwykle. Był rozczochrany i niespokojny. Wyglądał, jakby od tygodnia nie zmrużył oka. Stał niezdecydowany na progu, zdając sobie sprawę, że Demelza nie zaprosiła go do środka. Zauważył, że żona Rossa ma się na baczności, lecz źle zinterpretował jej rezerwę.

– Kiedy wróci, jak pani uważa?

– Za około pół godziny.

Odwrócił się, zamierzając odejść, i nagle się zatrzymał.

– Czy pozwoliłaby mi pani poczekać? Proszę mi wybaczyć.

– Naturalnie.

Wprowadziła go do salonu. Nie mogła uniknąć niebezpieczeństwa, niezależnie od tego, czy istniało, czy nie.

Medyk stał sztywno w progu.

– Na pewno jest pani zajęta. Nie chciałbym przeszkadzać. Proszę mi wybaczyć.

– Nie, nie mam nic do roboty – odpowiedziała cicho. Podeszła do okna i zaciągnęła zasłony, starając się nie pozostawić szpar. – Jak pan widzi, jeszcze nie jedliśmy kolacji, ale Ross był zajęty. Ma pan ochotę na kieliszek porto?

– Nie, dziękuję. Ja... – Kiedy Demelza odwróciła się od okna, odezwał się impulsywnie: – Potępia

mnie pani za moją rolę w tragedii dzisiejszego ranka?

Zarumieniła się lekko.

– Jak mogę kogokolwiek potępić, skoro tak mało o tym wiem?

– Nie powinienem o tym wspominać. Ale myślałem... Przez cały dzisiejszy dzień myślałem i z nikim nie rozmawiałem. Wieczorem poczułem, że muszę wyjść, iść gdzieś. Nampara to jedyne miejsce...

– Wychodząc dziś wieczorem z domu, naraża się pan na niebezpieczeństwo.

– Bardzo sobie cenię pani zdanie – odrzekł. – Pani i Rossa. Przyjechałem tutaj, bo obdarzył mnie zaufaniem. Gdybym uznał, że je straciłem, odszedłbym i zakończył sprawę.

– Myślę, że nie stracił pan zaufania Rossa. Ale moim zdaniem będzie niezadowolony, że przyszedł pan tutaj dziś wieczorem.

– Dlaczego?

– Wolałabym tego nie wyjaśniać.

– Chce pani powiedzieć, że powinienem odejść?

– Sądzę, że tak byłoby lepiej. – Wzięła talerz ze stołu i postawiła go w innym miejscu.

Dwight spojrział na Demelzę.

– Musiałem mieć jakieś zapewnienie o państwa przyjaźni, mimo wszystko. Wieczorem siedziałem samotnie w stróżówce i byłem już bliski... bliski... – Nie dokończył.

Demelza popatrzyła mu w oczy.

– Więc niech pan zostanie, Dwight – powiedziała. – Proszę usiąść i nie przejmować się mną.

Opadł ciężko na fotel i przesunął dłońmi po twarzy. Demelza krążyła po salonie, wychodziła z niego i wracała, a tymczasem młody lekarz bezładnie próbował opowiadać, wyjaśniać, argumentować. W jego słowach nie było uzalania się nad sobą. Wydawało się, że próbuje usprawiedliwić Keren. Zachowywał się tak, jakby zbyt surowo ją oceniono, a ona nie mogła się bronić. Musiał zrobić to sam.

Kiedy Demelza po raz trzeci wyszła z salonu i wróciła, zastała go milczącego. Zerknęła na młodego lekarza i zauważyła, że jest bardzo spięty.

– Co się stało?

– Chyba słyszałem pukanie w okno.

Serce Demelzy przestało na chwilę bić.

– Och, wiem, o co chodzi. Niech pan nie wstaje. Sama się tym zajmę.

Nim Enys zdążył się sprzeciwić, wyszła do sieni i zamknęła drzwi salonu. Stało się to, czego się obawiała. Byle tylko Ross wrócił jak najszybciej... Na razie musiała radzić sobie sama.

Zbliżyła się do drzwi frontowych i wyjrzała na zewnątrz. W słabym świetle latarni widać było pusty trawnik. Koło kępy bzów coś się poruszyło.

– Bardzo przepraszam, pani – odezwał się Paul Daniel.

Demelza spojrziała mu w oczy, a potem rozejrzała się po dziedzińcu.

– Kapitan zszedł do zatoki. Czy... czy ktoś jest z tobą?

Zawahał się.

– Wie pani?

– Tak.

Gwizdnął cicho. Od ściany dworu oderwała się ciemna postać. Paul pochylił się za plecami Demelzy i przytknął drzwi do sieni, żeby latarnia nie świeciła na zewnątrz...

Stał przed nimi Mark. Jego twarz pozostawała w cieniu, lecz Demelza widziała zapadnięte oczy.

– Kapitan Ross jest w zatoce – rzekł Paul. – Lepiej idźmy do niego.

– Bob Baragawanath i Bob Nanfan czasami chodzą tam na ryby w czasie przyływu – powiedziała Demelza.

– W takim razie zaczekamy pod tamtymi jabłoniemi – odparł Paul. – Będziemy go stamtąd widzieć.

Paul i Mark zauważyliby z tego miejsca każdą osobę wychodzącą z dworu.

– Będziecie bezpieczniejsi w środku. Zwłaszcza w bibliotece.

Otworzyła drzwi i weszła do sieni, ale mężczyźni cofnęli się i zaczęli szeptać.

– Mark nie chce państwa w to wplątywać bardziej niż potrzeba. Woli poczekać na zewnątrz.

– Nie, Mark. Nie dbamy o to. Wejź natychmiast.

Paul wślizgnął się do sieni. Podążył za nim Mark, pochylając głowę w drzwiach. Demelza zauważyła rany na jego czole, poszarzałą twarz, zabandażowaną rękę. Otworzyła drzwi do sypialni przylegającej do biblioteki, a kiedy wzięła latarnię, by wejść do środka, po przeciwległej stronie sieni coś się poruszyło. Spozobiegła Dwighta Enysa stojącego w progu salonu.

Rozdział siódmy

W sieni narastało napięcie. Po chwili eksplodowało.

Paul Daniel zatrzasnął drzwi wejściowe i oparł się o nie plecami. Ogromny, wymęczony Mark stał w całkowitym bezruchu, z nabrzmiałymi żyłami na karku, zaciskając wielkie pięści.

Demelza ruszyła śpiesznie w stronę Danielów.

– Dwight, niech pan wróci do salonu! Natychmiast! Mark, słyszysz mnie?! Mark! – Jej głos brzmiał zupełnie inaczej niż zwykle.

– A więc to pułapka! – warknął Mark.

Demelza stała przed nim, drobna i krucha.

– Jak śmiesz tak mówić?! Paul, zachowuj się rozsądnie! Zabierz go! Tędy, natychmiast!

– Ty sukinsynu, ty... – syknął Mark, patrząc ponad jej głową.

– Powinieneś do mnie przyjść, nim ją zabiłeś! – rzucił Dwight.

– Przekłęty, plugawy cudzołożnik! Wykorzystywałeś swoją pracę! Kalałeś domy ludzi, których miałeś leczyć!

– Powinieneś do mnie przyjść! – powtórzył lekarz. – A nie łamać kark dziewczynie, która nie mogła się bronić!

– Tak, na Boga...

Mark ruszył naprzód, lecz Demelza szybko zastąpiła mu drogę. Próbował ją odepchnąć, nie patrząc na nią, ale nie pozwoliła na to i uderzyła go w pierś zaciśniętymi pięściami. Spojrzał na nią roziskrzonymi oczyma.

– Zdajecie sobie sprawę, co chcecie nam zrobić? – spytała bez tchu, z płonącym wzrokiem. – Nie jesteśmy niczemu winni. Próbujemy pomóc, pomóc wam obu. Będziecie walczyć i pozabijacie się w naszym domu, na naszej ziemi. Czy lojalność i przyjaźń nic dla was nie znaczą?! Dlaczego dziś tu przyszedłeś, Mark? Być może nie chcesz ocalić własnej skóry, ale oszczędź przynajmniej hańby ojcu i rodzinie. Twój ojciec by tego nie przeżył. Co jest dla ciebie ważniejsze: życie ojca czy tego człowieka? Dwight, wracaj do salonu! Natychmiast!

– Nie mogę – odpowiedział Dwight. – Muszę zostać, jeśli Daniel chce, żebym został.

– Co on tu robi? – zwrócił się do Demelzy Paul.

– Pani Poldark chciała mnie wyrzucić – odparł Dwight.

– Ty sukinsynu! – powtórzył Mark.

Demelza chwyciła go za rękę, którą już unosił.

– Wejdźcie tutaj, bo inaczej przyjdą służący i wszystko się wyda!

Daniel nie poruszył się nawet o milimetr.

– Jeśli on wszystko wie, nie będzie żadnej tajemnicy. Wyjdź na zewnątrz, Enys. Wykończę cię przed domem!

– Nie, to nie ma sensu, Mark – wtrącił Paul, który postanowił zainterweniować. – Nienawidzę tego bydlaka tak samo jak ty, ale jeśli zaczniesz z nim walczyć, wszystko będzie skończone.

– Wszystko i tak jest skończone.

– Wcale nie jest! – zawołała Demelza. – Wcale nie jest, mówię wam! Enys was nie zdradzi, bo musiałby zdradzić nas, nie rozumiecie?!

Dwight się zawahał, targany sprzecznymi uczuciami.

– Nikogo nie zdradzę – rzekł.

– Wierzę mu tak samo jak żmii! – wyrzucił z siebie Mark.

Paul podszedł do brata.

– Niedobrze, żeśmy go spotkali, Mark, ale nie możemy nic uczynić. Chodź, bracie, musimy zrobić, jak gada pani Poldark.

Dwight uniósł dłonie do twarzy.

– Nie zdradzę was. Następny zły uczynek niczego nie naprawi. To, co zrobiłeś Keren, to sprawa twojego sumienia, a ja ponoszę odpowiedzialność za swoje winy.

Paul wolno popychał Marka w stronę drzwi do sypialni. Nagle Mark strącił jego rękę i znów się zatrzymał. Jego straszna, wymizerowana twarz wykrzywiła się na chwilę.

– Może to niedobry czas, żeby się z tobą policzyć, Enys. Ale przyjdzie jeszcze taki dzień, nie bój się!

Dwight stał ze spuszczoną głową.

Mark spojrzał na Demelzę, która trwała obok niego niczym anioł stróż, starając się powstrzymać jego gniew.

– Nie, pani, nie splamię krwią tego domu. Nie chcę wyrządzić krzywdy pani rodzinie... Dokąd mam iść?

Kiedy Ross wrócił do dworu, Dwight siedział w salonie, obejmując głowę rękami. Mark i Paul czekali w bibliotece. Mark od czasu do czasu dygotał z gniewu. W sieni stała na straży Demelza. Kiedy zobaczyła Rossa, usiadła na najbliższym krześle i wybuchnęła płaczem.

– Co, u licha... – zaczął Ross, a Demelza w kilku nieskładnych słowach wyjaśniła, co się stało. Położył żagiel w rogu sieni. – Gdzie teraz są? A ty...

Pokręciła głową i wyciągnęła rękę. Podszedł do niej.

– I nie doszło do rozlewu krwi? Na Boga, przysięgam, że nigdy nie byliśmy bliżej...

– Naprawdę możesz to przysiąc – powiedziała.

Objął ją ramieniem.

– Udało ci się ich powstrzymać, kochanie? Powiedz mi, jak to zrobiłaś.

– Dlaczego przyniosłeś z powrotem żagiel? – spytała.

– Bo nie da się dziś płynąć. Fale są za duże. Przewróciłyby łódź, nim zdążyłaby wypłynąć.

Godzinę przed świtem zeszli do zatoki brzegiem szemrzącego strumienia. Gdzieniedzie w ciemności niczym klejnoty świeciły na zielono robaczki świętojańskie. Zaczął się odpływ, lecz morze było w dalszym ciągu wzburzone i o brzeg uderzały z hukiem ogromne fale. Ocean na północnym wybrzeżu Kornwalii jest kapryśny. Pogoda mogła się zmienić bez ostrzeżenia i stać się przyczyną tragedii.

Kiedy na wschodzie świtało, a blady księżyc chylił się ku zachodowi, rzucając ostatnie blaski, wrócili powoli do Nampary. Dwadzieścia cztery godziny wcześniej Mark był pełen strasznego gniewu, gorzkiego, palącego i niszczycielskiego, lecz teraz wszelkie uczucia zamarły. Miał głęboko zapadnięte oczy.

– Pójdę swoją drogą – rzekł, gdy zbliżyli się do dworu.

– Zostaniesz u nas do jutra – odparł Ross.

– Nie. Nie chcę pana jeszcze bardziej w to wciągać.

Ross się zatrzymał.

– Posłuchaj, człowieku. Miejscowi są po twojej stronie, ale sprowadzisz na nich kłopoty, jeśli się wśród nich ukryjesz. Będziesz bezpieczny w bibliotece. Być może wieczorem fale będą mniejsze, bo nie ma wiatru.

– Ten człowiek może go zdradzić – odezwał się Paul Daniel.

– Kto, Enys? Nie, krzywdzicie go takimi podejrzeniami.

Szli dalej.

– Niech pan posłucha, kapitanie – rzekł Mark. – Nie obchodzi mnie, czy zadyndam na szubienicy. Dla

mnie to nieważne, ale na pewno nie chcę sprowadzać kłopotów na przyjaciół. Przysięgam na Boga. Jak mają przyjść żołnierze, niechaj przychodzą.

Dotarli w milczeniu do dworu.

– Zawsze byłeś uparty jak osioł – powiedział Ross.

– Posłuchaj, Mark – odezwał się Paul. – Myślałem...

Z domu ktoś wyszedł.

– Och, Demelza – odezwał się z lekką irytacją Ross. – Mówiłem ci, żebyś poszła spać. Nie powinnaś się martwić.

– Przygotowałam herbatę. Spodziewałam się, że wrócicie.

Weszli do salonu. Demelza naląła im herbaty z wielkiego cynowego imbryka. Mężczyźni pili ją niezgrabnie, wokół ich twarzy unosiła się para, dwóch unikało swojego wzroku, a trzeci wpatrywał się ślepo w przeciwległą ścianę. Paul ogrzewał dłonie kubkiem.

– Słyszałam ryk wiatru, kiedy byłam na piętrze – powiedziała Demelza. – Spodziewałam się, że wrócicie.

– Zeszłej nocy, gdy wyszedłem z kopalni, też była wichura – rzekł nagle Mark. – Niech Bóg się nademną zlituje, wtedy dopiero wiało...

Zapadło ponure milczenie.

– Zostaniecie dziś u nas na noc? – spytała Demelza.

– Już to proponowałem, ale Mark nie chce o tym słyszeć – odrzekł Ross.

Demelza zerknęła na Daniela i nie odezwała się. Nie można było z nim dyskutować. Mark opuścił kubek.

– Zastanawiam się nad zejściem do kopalni Grambler.

Znowu zapadła cisza. Demelza zadrżała.

Paul zgarbił potężne ramiona. Miał niepewną minę.

– Powietrze może być nieczyste. Wiesz, jak tam bywało. Są lepsze miejsca, gdzie można przeczekać.

– Zastanawiam się nad zejściem do kopalni Grambler – powtórzył Mark.

Ross wyjrzał przez okno.

– Nie dotrzesz tam przed świtem.

Demelza również spojrzała przez okno. Zobaczyła ruiny na tle nieba.

– A Wheal Grace? Jest tam ciągle drabina?

Ross zerknął na Marka.

– Sześć lat temu była solidna. Mógłbyś się obwiązać liną.

– Zastanawiam się nad zejściem do kopalni Grambler – powtórzył kolejny raz Mark.

– Nonsens, człowieku! Nikt nie mógłby mnie winić za to, że ukryłeś się w Wheal Grace. Zgadzasz się, Paul?

– Myślę, że to bezpieczne miejsce. Co ty na to, bracie? Rozwidnia się. Żaden żołnierz nie będzie cię tam szukał.

– Nie podoba mi się to – odpowiedział Mark. – Za blisko dworu. Ludzie mogą coś podejrzewać.

– Pójdę i przygotuję coś do jedzenia – odezwała się Demelza.

Po godzinie wstał świt. Był to nieszczęśliwy dzień dla Demelzy, która wpadła w ponury nastrój.

O dziewiątej barczysty Sam Jenkins wsiadł przed swoją kuźnią na kuca i pojechał do Mingoose. Po drodze zatrzymał się, by porozmawiać z doktorem Enysem. Za kwadrans dziesiąta do Mingoose przybył również sir Hugh Bodrugan, a następnie wielebny pastor Faber, pleban kościoła w St Minver. Naradzali się do jedenastej, po czym posłano po doktora Enysa. W południe zebrani się pożegnali. Sir Hugh Bodrugan udał się do Trenwith na spotkanie z Francisem Poldarkiem, a następnie ruszył do St Ann's, gdzie

odbył rozmowę z panem Trencromem. Później obaj pojechali do kapitana dragonów. Spotkanie miało nieco burzliwy przebieg, ponieważ kapitan nie był głupcem. Kiedy sir Hugh wracał do domu na obiad, na jego rozpaloną twarz padały krople deszczu, osiadając na bujnych bokobrodach. Przez kilka godzin panował spokój. O czwartej Ross wyszedł, by spojrzeć na morze. Po lekkim deszczu fale zmalowały, lecz ciągle były dość wysokie. Oba odpływy wypadły w ciągu dnia. Łódź można było spuścić na wodę po północy. O piątej nadeszła wiadomość, że żołnierze zamiast tropić mordercę przez całe popołudnie przeszukiwali domy w St Ann's i odkryli duże zapasy kontrabandy. Ross wybuchnął śmiechem.

O szóstej wąską drogą prowadzącą do dworu w Namparze przyjechało trzech dragonów w towarzystwie mężczyzny w cywilnym ubraniu. Zdarzyło się to po raz pierwszy w historii.

Najpierw zauważyła ich Demelza. Wpadła do salonu, gdzie Ross rozmyślał o swojej kłótni z Franci-sem.

– To z pewnością wizyta kurtuazyjna – rzekł.

– Ale dlaczego przyjeżdżają właśnie do nas, Ross, dlaczego?! Myślisz, że ktoś nas zdradził?!

Uśmiechnął się.

– Przebierz się w suknię, kochanie, i przygotuj do odgrywania roli damy.

Demelza wybiegła z salonu. Drzwi frontowe były uchylone i zauważyła, że cywil to konstabl Jenkins. Przebrała się pośpiesznie na górze, słuchając stukotu kopyt i cichego brzęku szabel i uprzęży. Zastukali do drzwi i weszli do dworu. Rozległy się ciche głosy. Czekwała pełna niepokoju. Wiedziała, że Ross potrafi się zachowywać bardzo uprzejmie, lecz знаła również jego drugą stronę. Jednak nie usłyszała odgłosów awantury.

Uczesała i ułożyła włosy, zerknęła zza zasłony i zobaczyła, że tylko jeden z wojskowych wszedł do domu. Pozostali dwaj, we wspaniałych czarno-białych czakach i czerwonych mundurach, czekali przy koniach.

Kiedy zeszła na dół i dotarła do drzwi salonu, usłyszała wybuch śmiechu. Nabrała pewności i naci-snęła kłamkę.

– O, moja droga, to kapitan McNeil z regimentu Scots Greys.

McNeil był olbrzymem. Miał na sobie czerwono-złoty mundur, ciemne spodnie ze złotymi lampasami i lśniące buty z ostrogami do jazdy konnej. Na stole stało gigantyczne czako, a obok leżała para długich rękawic ze skóry łosia. Był dość młodym, pulchnym, eleganckim mężczyzną z wielkimi jasnymi wąsami. Odstawił kieliszek trzymany w dłoni i skłonił się Demelzie po wojskowemu. Kiedy się wyprostował, jego bystre brązowe oczy zdawały się mówić: „Ci prowincjonalni ziemianie mają ładne żony”.

– Jak sądzę, znasz konstabla Jenkinsa.

Mężczyźni odczekali, aż Demelza usiądzie, po czym sami zajęli miejsca.

– Kapitan McNeil opisywał uroki naszych gospód – rzekł Ross. – Twierdzi, że kornwalijskie pluskwy są wyjątkowo żarłoczne.

Oficer zaśmiał się cicho.

– Nie, nie posunąłbym się do takiego twierdzenia. Może jest ich po prostu więcej?

– Zaproponowałem, by kapitan u nas przenocował – ciągnął Ross. – Warunki w Namparze nie są komfortowe, lecz nie ma również wielu „krówek”. (Demelza zarumieniła się lekko, gdy Ross użył jej dawnego określenia na wszy).

– Dziękuję. Bardzo dziękuję. – McNeil podkreślał koniec wąsa, jakby to była śruba, którą należy przymocować do twarzy. – Byłoby mi bardzo miło ze względu na dawne czasy. Okazuje się, pani, że w osiemdziesiątym pierwszym kapitan Poldark i ja braliśmy udział w potyczce nad rzeką James. Można powiedzieć, że jesteśmy dawnymi towarzyszami broni. Ale chociaż znalazłbym się blisko miejsca zbrodni, to byłbym zbyt daleko od miejsca kontrabandy, które odkryliśmy dziś w południe. A przysłano

mnie w te strony, żebym zwalczał przemytników. – Zaśmiał się.

– Rzeczywiście... – odrzekła Demelza. (Zastanawiała się, co by czuła, gdyby pocałował ją mężczyzna z takim wąsem).

– Hmm... hmm... – odchrząknął niepewnie konstabl Jenkins. – Jeśli chodzi o to morderstwo...

– O tak. Nie wolno zapominać...

– Proszę pozwolić dolać sobie wina – zaproponował Ross.

– Dziękuję... Jak tłumaczyłem pani mężowi, to rutynowe śledztwo. Rozumiem, że wraz z innymi osobami odnalazł ciało. Mówi się także, że zbiega widziano w najbliższej okolicy...

– Doprawdy? – zdziwiła się Demelza. – Nic o tym nie słyszałam.

– Cóż, tak utrzymuje konstabl.

– Krążą takie pogłoski, pani – wtrącił śpiesznie Jenkins. – Nie wiemy, skąd się wzięły.

– Złożyłem państwu wizytę, by spytać o tego człowieka. Kapitan Poldark zna go od dzieciństwa i przyszło mi do głowy, że może się domyśla, gdzie on się ukrywa.

– Może pan szukać przez cały rok, a i tak nie zajrzy pan do wszystkich sztolni i pieczar w okolicy – odpowiedział Ross. – Ale nie sądzę, że Daniel tu zostanie. Przypuszczam, że ucieknie do Plymouth i zaciągnie się do marynarki wojennej.

Kapitan McNeil obserwował Rossa.

– Jest dobrym żeglarzem?

– Nie mam pojęcia. Wszyscy mieszkańcy tej okolicy mają jakiś związek z morzem.

– Niech pan mi powie, kapitanie Poldark, czy na tym wybrzeżu jest wiele miejsc, skąd można wypłynąć w morze?

– Okrętem wojennym?

– Nie, nie, niewielką łodzią z załogą złożoną z jednego lub dwóch ludzi.

– Na płaskim wybrzeżu jest pięćdziesiąt takich miejsc. W czasie burzowej pogody nie da się tego zrobić nigdzie między Padstow a St Ann's.

– A w taki dzień jak dziś?

– Fala jest średnia, zdaje się, że wiatr trochę słabnie. Sądzę, że jutro wieczorem można by wypłynąć łodzią z Sawle. Dlaczego pan pyta?

Kapitan McNeil w dalszym ciągu podkręcał wąsa.

– Czy jest tu wiele łodzi, na których ktoś mógłby próbować ucieczki?

– Och, rozumiem, o co panu chodzi. Nie, nie ma żadnej, którą mógłby obsługiwać jeden człowiek.

– Zna pan kogoś, kto w ogóle miałby odpowiednią łódź?

– Jest kilka osób. Sam mam łódź. Stoi w jaskini w zatoce Nampara.

– Gdzie pan trzyma wiosła, panie? – spytał konstabl Jenkins.

Ross wstał.

– Czy mógłbym panów namówić do pozostania na kolacji? Zaraz wydam odpowiednie dyspozycje.

Wydawało się, że kowal ma ochotę przyjąć zaproszenie, ale kapitan McNeil wstał i odmówił.

– Któregoś dnia znów pana odwiedzę i pogawędzimy o dawnych czasach. Ale teraz byłbym wdzięczny, gdyby zechciał mi pan pokazać zatokę i jaskinię, jeśli może mi pan poświęcić trochę czasu. Wydaje mi się, że w jakiś sposób by mi to pomogło. Czasem, jak powiadają, można upiec dwie pieczenie na jednym ogniu...

– Cóż, nie musimy się śpieszyć – odparł Ross. – Proszę najpierw spróbować tej brandy. Jestem pewien, że potrafi pan poznać po smaku, czy zapłacono za nią cło.

Oficer wybuchnął rubasznym śmiechem.

Gawędzili jeszcze przez chwilę, po czym kapitan pożegnał się z Demelzą. Stuknął obcasami, skłonił

się nisko i ucałował jej dłoń, muskając palce wąsami. Przez chwilę spoglądał na nią z nieskrywanym podziwem w brązowych oczach. Później wziął rękawice do jazdy konnej, wielkie czako i wyszedł z brzękiem ostróg.

Ross pokazał mu zatokę i nadmorskie urwiska, a następnie wrócił do Nampary.

– Uff, jestem zadowolona, że tak to się skończyło – powiedziała Demelza. – Byłeś bardzo wiarygodny. Nikt by się nie domyślił, że coś wiesz. Jaki miły oficer! Nie miałabym nic przeciwko temu, by mnie aresztował.

– Nie lekceważ go – odparł Ross. – To Szkot.

Rozdział ósmy

O zmroku zaczął padać ulewny deszcz. Było bezwietrznie.

O dziesiątej, gdy przyptyw osiągnął niemal najwyższy poziom, Ross zszedł do zatoki i stwierdził, że morze nieco się uspokoiło. Noc była wyjątkowo sprzyjająca. Panowała absolutna ciemność, niebo przypominało czarną otchłań.

O północy w pozbawionej dachu maszynowni Wheal Grace czekało dwóch ludzi. Paul Daniel, w starym filcowym kapeluszu, z workiem na ramieniu, i Ross, w długiej, czarnej, sięgającej do kostek pelerynie, która sprawiała, że przypominał nietoperza. Nagle w głębi szybu zamigotało światło.

Czekali i patrzyli, słuchając nieustającego plusku deszczu uderzającego w kapelusze, płaszcze i wysoką, mokrą trawę.

W pobliżu krawędzi szybu światło zgasło. Ukazała się głowa i ramiona mężczyzny, który wygramolił się na zewnątrz. Kucał przez chwilę na ziemi, gdy tymczasem deszcz uderzał o trawę.

– Myślałem, że zbliża się świt – powiedział. – Zaczął się przyptyw?

– Tak.

Ruszyli w dół doliny w stronę Nampary.

– Bardzo zasobna kopalnia – odezwał się Mark. – Obszedłem wszystkie chodniki, żeby nie zwariować.

– Może któregoś dnia... – mruknął Ross.

– Miedź... Nigdy nie widziałem lepszej żyły... I gniazda srebra.

– Gdzie?

– Na wschodzie. Przez większą część dnia jest pod wodą.

W salonie płonęło jasne światło, ale Ross obszedł budynek i dotarł do ściany biblioteki. Otworzył drzwi i weszli w mroku do środka. Rozległ się trzask krzesiwa i po chwili w odległym narożniku zapłonęło światło. Niegdyś w tym samym miejscu tańczyła Keren.

Na stole stało jedzenie.

– Niepotrzebnie narażacie się na niebezpieczeństwo – powiedział Mark. Mimo to zaczął jeść z apetytem, a dwaj pozostali mężczyźni stali na straży.

Światło w salonie miało odwracać uwagę. W sypialni na piętrze siedziała Demelza, obserwując dolinę. Po wizycie żołnierzy Ross postanowił nie ryzykować.

Mark zjadł bardzo szybko. Tej nocy wyglądał okropnie. Był zarośnięty, a ubrudzoną ziemią twarz pokrywały smugi po deszczu.

– Weź te rzeczy – powiedział Ross i wręczył mu paczkę z jedzeniem i stary płaszcz. – To wszystko, co możemy zrobić. Musisz koniecznie wypłynąć do świtu na pełne morze, by nikt cię nie zauważył z brzegu, a nie ma wiatru, który mógłby ci pomóc.

– Jeśli podziękowania mogłyby sprawić... – zaczął Mark. – Ale proszę posłuchać...

– Powiesz mi w drodze.

– Myślałem o swojej chacie na wzgórzu Reath, którą dla niej zbudowałem. Nie pozwoli pan, żeby się zniszczyła?

– Nie, Mark.

– W ogrodzie są warzywa. To dla ciebie, Paul. Ładnie wyrosły.

– Zajmę się nimi – odrzekł Paul.

– Jest... jest jeszcze jedna sprawa... – ciągnął Mark, obracając wzrok na Rossa. – Czy... czy dopilnuje pan, żeby miała godny pogrzeb? Nie w grobie dla ubogich... Nie zasługuje na to...

– Dopilnuję – powiedział Ross.

– Pod łóżkiem w chacie są pieniądze. Wystarczy... chciałbym, żeby miała kamienny nagrobek...

– Tak, Mark. Zajmiemy się tym.

Mark wziął swoje rzeczy, jedzenie i płaszcz.

– Z imieniem Keren – wymamrotał. – Nigdy nie lubiła imienia Kerenhappuch. Keren Daniel. Po prostu Keren Daniel...

Ruszyli do zatoki. Mimo deszczu wokół krążyły świetliki. Tego wieczoru morze było spokojniejsze, szumiało i pluskało, uderzając o skały. Na brzegu nie panował całkowity mrok, bo lśniąca piana przyboju łagodziła ciężar nocy. Ross zatrzymał się w odległości kilku kroków od jaskini. Wyciągnął do tyłu rękę i dotknął Paula.

– Co to? – szepnął.

Paul odłożył maszt i spojrzał w ciemność. Miał bardzo dobry wzrok, przyzwyczajony do mroku. Pochylił się lekko i wyprostował.

– Mężczyzna.

– Żołnierz – odparł Ross. – Słyszałem skrzywienie jego pasa. – Przykucnęli.

– Lepiej odejdę – szepnął Mark.

– Nie. Uciszę go – zaoponował Paul. – Mają słabe głowy i miękkie czapki.

– Nie zabijaj go – rzekł Ross. – Ja się tym zajmę...

Ale starszy z braci Danielów już zniknął.

Ross skulił się na piasku i przyciągnął do siebie maszt. Mark coś cicho mruczał. Nie zamierzał się poddać. Ross pomyślał, że McNeil rozstawił podkomendnych wzdłuż klifu, próbując upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. W ten sposób może schwytać zarówno mordercę, jak i przemytników. Ale jeśli żołnierze pilnują całego brzegu od Nampary do St Ann's, muszą pełnić straż w dużych odstępach.

Poczołgał się do przodu.

Nagły szybki ruch. Popędzili naprzód. Przy wejściu do jaskini rozległ się wystrzał muszkietu, który odbił się echem od skalnych urwisk. Zobaczyli człowieka osuwającego się na piasek.

– Wszystko w porządku! – wysapał zdyszany Paul. – Niestety, zdążył narobić hałasu!

– Łódź, szybko!

Wbiegli do jaskini. Ross wrzucił do łodzi maszt i żagiel, a Mark szukał wiosła.

– Ja wezmę wiosła, a wy wyciągnijcie łódź!

Bracia odsunęli na bok nieprzytomnego dragona, by zepchnąć łódź po miękkim piasku. Ross przyniósł wiosła i wrzucił do łodzi sunącej w stronę brzegu.

Gdzieś w dali rozległ się tupot butów i krzyki. Zbliżali się żołnierze.

– Tam, koło jaskini! – wrzasnął ktoś.

Poldark i Danielowie dotarli do wody. Mogli być widoczni na tle białej piany przyboju.

– Wsiadaj! – rzucił przez zęby Ross.

– Dulki! – szepnął Mark.

Ross wyjął je z kieszeni i podał Markowi, który wskoczył do łodzi. Pchnęli ją; zakołysała się na fali i o mało się nie wywróciła, lecz po chwili osiadła. Mark umieścił dulki w otworach w burcie i chwycił wiosła.

– Teraz!

Robili mnóstwo hałasu. Pędzili ku nim żołnierze. Razem! Jeszcze raz! Łódź nagle ożyła i odpłynęła w mrok. Paul upadł na kolana i stanął na czworakach, a Ross ujął go za ramiona i postawił na nogi. Z tyłu pojawił się mężczyzna i chwycił go za płaszcz. Ross uderzył żołnierza i powalił na piasek. Popędzili wzdłuż plaży. Skręcili w stronę strumienia, ścigani przez dragonów. Ross skoczył w bok i zaczął się

wspinać po stoku porośniętym przez ogromne paprocie. W tej części doliny mogą go szukać przez całą noc. Bez pochodni byli bezsilni.

Leżał przez kilka minut na brzuchu, łapiąc oddech, i słuchał krzyków żołnierzy, którzy przeszukiwali okolicę. Czy Paul jest bezpieczny? Ruszył naprzód. Musiał stawić czoło jeszcze jednemu niebezpieczeństwu.

Była to okrężna droga do Nampary. Najpierw należało wspiąć się między paprociami i przejść przez pole porośnięte kępami kolcolistu, a później poczołgać się rowem wzdłuż długiego pola i skręcić w stronę tylnego wejścia do dworu.

To właśnie zrobił. Gimlettowie od wielu godzin leżeli w łóżkach, więc wślizgnął się przez kuchnię, zajrzał do salonu, zdmuchnął świece i szybko wszedł po schodach do sypialni.

– Wszystko w porządku?

– Ciii! Nie obudź Julii. Opowiedział Demelzie, co się stało. Zdjął płaszcz i rozwiązał halsztuk.

– Żołnierze! Oni...

Nagle usiadł.

– Pomóż mi, kochanie. Mogą do nas przyjść.

Uklękła i zaczęła rozwiązywać w ciemności wysokie buty.

– Zastanawiam się, kto cię zdradził, Ross. Może Dwight Enys?

– Wielkie nieba, nie! Wygląda na to, że nasz uroczy McNeil po prostu się domyślił.

– Och, Ross, twoje ręce!

Ross przyjrzał się swoim dłoniom.

– Musiałem poranić sobie kostki, gdy uderzyłem jednego z żołnierzy. – Objął palcami nadgarstek Demelzy. – Drżysz, kochanie.

– Nic dziwnego – odpowiedziała. – Siedzę tu sama w ciemności, a potem te strzały...

Nagle umilkła, słysząc pukanie do drzwi frontowych.

– Spokojnie, kochanie, spokojnie. Nie śpiesz się. To pukanie nie jest bardzo natarczywe, prawda? Nie są pewni, czy dobrze trafili. Zaczekamy, aż zapukają znowu, nim zapalimy świece.

Wstał, zebrał zrzucone ubranie i ruszył w stronę szafy.

– Nie, schowajmy to wszystko pod łóżeczko Julii – zaproponowała Demelza. – Podnieś je, a ja wsunę ubranie pod spód.

Kiedy skończyli, znów rozległo się pukanie, tym razem głośniejsze.

– To powinno obudzić Gimletta – powiedział Ross, zapalając świece. – Będzie zły, że stale musi wstawać w ciągu nocy.

W pokoju znajdował się dzban z wodą i Demelza pośpiesznie napełniła misę. Kiedy płomień świecy się powiększył, wzięła flanelową szmatkę i wytarła mężowi twarz i ręce. Za drzwiami rozległy się kroki Gimletta. Ross włożył szlafrok.

– Co tam?

– Za przeproszeniem, panie, na dole jest sierżant dragonów i domaga się rozmowy z panem kapitanem.

– Niech to diabli! O tej porze?! Zaprowadź go do salonu, John. Niebawem zejdę.

Rozdział dziewiąty

Wielebny Odgers z pewnością sądził, że jego apele okazały się skuteczne, ponieważ święto Sawle przebiegło spokojnie. W rzeczywistości skuteczniejsi od kazania okazali się dragoni.

W dalszym ciągu przebywali w okolicy. Wszyscy mieli nadzieję, że wkrótce odjadą, lecz zamiast tego przybyli do Sawle i wyglądało na to, że czują się jak u siebie w domu. Rozbili obóz na pustym polu tuż za domem doktora Choake'a, a okoliczni mieszkańcy byli bardzo rozczarowani, gdy znów się rozpogodziło i żołnierzom nie dokuczał w nocy zimny wiatr.

Ross przeżył kilka niespokojnych dni. Mógł mieć kłopoty związane z Markiem Danielem. Ponadto pokłócił się z Francisem. Nigdy wcześniej się tak nie posprzeczali. W ciągu ostatnich lat, mimo wzlotów i upadków, zawsze darzyli się szacunkiem. Ross nie miał Francisowi za złe, że podejrzewa go o udzielenie Verity pomocy w ucieczce, ale zabolowało go, gdy kuzyn nie uwierzył w jego zaprzeczenia. Ross nigdy nie wątpiłby w słowo Francisa. Wydawało się jednak, że Francis po prostu nie chce wierzyć, niemal jakby się obawiał, że mu uwierzy. Było to niezrozumiałe i pozostawiło po sobie nieprzyjemne wrażenie.

W piątek Ross miał pojechać do Trevaunance, spotkać się z Richardem Tonkinem i przejrzeć z nimi rachunki spółki przed zgromadzeniem udziałowców. Od otwarcia odlewni starano się utrudniać jej działalność wszelkimi możliwymi sposobami. Wywierano naciski na kopalnie, by ją bojkotowały, próbowano wypchnąć z rynku miedzi, w czasie aukcji nieustannie przebijano oferty.

Mimo to jak dotychczas stawiali czoło przeciwnościom.

Ross opuścił dom po raz pierwszy od czwartkowego wieczoru, a kiedy dotarł do wioski Grambler, z przyjemnością zauważył nadjeżdżającego z przeciwka wysokiego oficera dragonów.

– Ach, kapitan Poldark! – McNeil zatrzymał konia i lekko się skłonił. – Zamierzałem się z panem zobaczyć. Czy mógłby pan zawrócić do domu i poświęcić mi pół godziny?

– Z wielką przyjemnością – odparł Ross. – Od dawna mam wielką ochotę na spotkanie z panem, ale wybieram się dziś na spotkanie w Trevaunance. Mógłby pan ze mną tam pojechać?

McNeil zawrócił konia.

– Cóż, możemy porozmawiać w czasie jazdy. Zamierzałem odwiedzić pana wcześniej, ale byłem zajęty kilkoma sprawami.

– Tak, przemytnikami – odparł Ross.

– Nie tylko przemytnikami. Jak pan pamięta, jest również sprawa ucieczki mordercy.

– Myśli pan, że uciekł?

Kapitan McNeil podkręcił węża.

– Tak, uciekł! Z pana zatoki, kapitanie, w pańskiej łodzi!

– Ach, chodzi o sprawę tamtego incydentu. Podejrzewam, że pana ludzie starli się z przemytnikami. Sierżant...

– Zdaje się, że sierżant Drummond jasno przedstawił panu swoje poglądy.

– Moim zdaniem się myli.

– Wolno spytać dlaczego?

– Cóż, rozumiem, że brało w tym udział tylko kilku ludzi. Mordercy nie grasują bandami.

– Tak, ale zabójca jest lubiany przez okolicznych mieszkańców.

Jechali obok siebie w milczeniu.

– Szkoda, że nie schwytał pan jednego z tych łajdaków. Czy któryś z żołnierzy został ranny?

– Nic poważnego. Naruszono tylko jego godność. Przestępcy mogliby mieć kłopoty, gdyby ich schwytano.

– Ach... – westchnął Ross. – Lubi pan kościoły, kapitanie? Kościół w Sawle przypomina mi jedną ze świątyń, jakie widziałem w Connecticut, choć jest w bardzo złym stanie.

– Jest jeszcze kwestia dulek – odpowiedział oficer. – Jak przestępca je zdobył?

– Moim zdaniem Daniel, jeśli to rzeczywiście on, musiał gdzieś je ukraść. Wszyscy mieszkańcy tych stron w wolnych chwilach zajmują się rybactwem. Dulki łatwo zdobyć.

– Wygląda na to, że nie przejął się pan zbyt utratą łodzi, kapitanie Poldark.

– Staram się podchodzić do tego filozoficznie – odparł Ross. – Moim zdaniem to bardzo pożądana umiejętność, kiedy się ma trzydzieści lat. Stoickie podejście do życia chroni człowieka przed rozczarowaniem, gdy zdaje sobie sprawę z tego, jak wiele stracił – czas, godność, młodzieńcze ideały. Nie jestem zadowolony, że skradziono mi dobrą łódź, ale nawet jeśli będę się martwić jej stratą, i tak jej nie odzyskam, podobnie jak młodości.

– Pańskie poglądy przynoszą panu zaszczyt – odparł sucho McNeil. – Czy mógłbym udzielić panu pewnej rady jako człowiek, który jest od pana nieco starszy?

– Naturalnie.

– Proszę uważać na prawo, kapitanie. Jest kapryśne, pokrętne, może je pan zlekceważyć kilka razy. Ale kiedy wreszcie pochwyci pana swoimi straszliwymi mackami, nie uwolni się pan od niego jak od potwornej ośmiornicy. Oczywiście rozumiem pański punkt widzenia. Służba w wojsku ma w sobie coś takiego, że wymiar sprawiedliwości i gminni konstable zaczynają w końcu drażnić człowieka. Sam to czuję, naprawdę... – Nagle zaśmiał się lekko. – Ale to... – Urwał.

– Proszę spojrzeć na te dzieci, McNeil – rzekł Ross. – To jedyny zagajnik bukowy w okolicy, a one zbierają liście, by zanieść je do domu i ugotować. To niezbyt pożywne danie. Puchną im od niego brzuchy.

– Tak, widzę – odpowiedział ponuro kapitan.

– Przyznaję, że często drażni mnie wiele rzeczy – ciągnął Ross. – Na przykład gminni konstable i miejscowi sędziowie. Czuję to już we wczesnej młodości. Właśnie dlatego wstąpiłem do sześćdziesiątego drugiego regimentu piechoty.

– To się zdarza. Kto raz został buntownikiem, zawsze nim pozostanie. Ale istnieją różne formy buntu, kapitanie, podobnie jak różne wykroczenia, a kiedy gminnego konstabla wspiera szwadron kawalerii Jego Królewskiej Mości...

– Na dodatek z elitarnego pułku.

– Elitarnego, właśnie. W tej sytuacji nieostrożność staje się szaleństwem i może prowadzić do groźnych konsekwencji. Oficer w stanie spoczynku może traktować wszystkich jednakowo. Oficer w służbie czynnej musi.

Zostawili za sobą kościół w Sawle i pojechali gościńcem biegnącym obok Trenwith.

– Mam wrażenie, że wiele nas łączy, kapitanie McNeil – odezwał się Ross.

– Można to tak określić.

– Cóż, przez całe życie wdawałem się w bójki i wyobrażam sobie, że pan też.

Kapitan wybuchnął śmiechem, płosząc stado ptaków na sąsiednim polu.

– Być może zgodzi się pan – powiedział Ross – że chociaż w teorii powinniśmy szanować prawo, w praktyce istnieją kwestie mające pierwszeństwo.

– Na przykład?

– Przyjaźń.

Jechali w milczeniu.

– Prawo nie uwzględnia takich okoliczności.

– Och, nie oczekuję, by prawo brało pod uwagę przyjaźń. Prosiłem, by to pan wziął ją pod uwagę.

Szkot podkręcił wąsa.

– Nie, nie, kapitanie Poldark. Mój Boże, nie. Odszedł pan z wojska, a ja ciągle służę w armii. Nie zapędzi mnie pan w kozi róg argumentami o charakterze moralnym.

– Argumenty moralne to najpotężniejsza siła na świecie, kapitanie. W Ameryce pokonało nas nie tylko wojsko.

– Cóż, następnym razem musi pan wypróbować siłę swoich argumentów moralnych na moich żołnierzach. Z pewnością uznają to za ciekawe doświadczenie. – McNeil ściągnął wodze. – Myślę, że dotarliśmy dostatecznie daleko, kapitanie.

– Do Trevaunance zostało jeszcze półtora kilometra.

– Ale wątpię, czy osiągniemy porozumienie. Czas się pożegnać. Byłbym wdzięczny, gdyby wziął pan sobie do serca moje ostrzeżenie...

– Och, wziąłem je sobie do serca, zapewniam pana, kapitanie.

– Więc nie trzeba nic więcej mówić – tym razem. Mam nadzieję, że spotkamy się kiedyś w przyjemniejszych okolicznościach.

– Będzie mi bardzo miło – odparł Ross. – Gdyby znów przybył pan w te strony, mój dom jest do pańskiej dyspozycji.

– Dziękuję. – McNeil wyciągnął rękę.

Ross zdjął rękawicę i uścisnęli sobie dłonie.

– Zranił się pan w rękę? – spytał Szkot, patrząc na pokrwawione kostki Rossa.

– Tak – odpowiedział Poldark. – Przytrzasnęła mi ją pułapka na króliki.

Zasalutowali i rozstali się. Ross ruszył w dalszą drogę, a McNeil skręcił w stronę Sawle. Odjeżdżając, oficer zamasyżycie podkręcał wąsa i od czasu do czasu trząsał się ze śmiechu.

Odlewnia znajdowała się na skraju zatoki Trevaunance.

Ogromne kłęby dymu buchające z palenisk widać było już z daleka. W bezwietrzne dni dym zasnuwał całą dolinę, nie dopuszczając promieni słońca. Wokół trwała gorączkowa praca: wśród stosów węgla i popiołu kroczyły karawany mułów, a ludzie byli zajęci przetwarzaniem rudy i krzatali się na nabrzeżu.

Ross zsiadł z konia koło odlewni, by się jej przyjrzeć.

Rudę prażono w kilku piecach płomiennych, po czym wytapiano z niej miedź. Od czasu do czasu usuwano szlakę. Po dwunastu godzinach ciekły metal wlewano do koryta wypełnionego wodą. Nagła zmiana temperatury sprawiała, że masa zmieniała się w drobne ziarenka, które następnie prażono przez kolejną dobę, po czym znowu topiono i wlewano do wody. W końcu surową miedź wlewano do piaskowych form i pozostawiano do ostygnięcia. Rafinację powtarzano kilka razy, aż metal osiągnął odpowiedni stopień czystości. Cały proces trwał około dwóch tygodni. Trudno się dziwić, że na uzyskanie tony miedzi potrzeba trzy razy więcej węgla niż na uzyskanie tony cyny, pomyślał Ross. A węgiel kosztował pięćdziesiąt szylingów za cetnar.

Chociaż odlewnię otwarto zaledwie trzy miesiące temu, zauważył, że wielu robotników wygląda na chorych i osłabionych. Straszliwy żar i trujące wyziewy wytrzymywali tylko najsilniejsi. Liczba chorych była znacznie większa niż w kopalniach. Nie przewidział tego czynnika. Ciężko pracował, by stworzyć odlewnię, wierząc, że zapewni dobrobyt okolicznym mieszkańcom i pozwoli ocalić kopalnie miedzi przed bankructwem, jednak zatrudnieni tam nieszczęśnicy nie wydawali się zadowoleni.

Trujące opary zniszczyły roślinność w okolicach pięknej zatoki. Paprocie zbrązowiały miesiąc wcześniej niż zwykle, a liście drzew były poskręcane i odbarwione. Ross w zamyśleniu pojechał do Place House znajdującego się na drugim krańcu doliny.

Kiedy go wprowadzono, sir John Trevaunance jadł śniadanie i czytał „Spectatora”.

– Ach, Poldark, niech pan siada. Wcześniej pan przybywa. A może to ja późno wstałem, co? Spodziewam się Tonkina dopiero za pół godziny. – Potrząsnął gazetą. – Okropna historia, prawda?

– Ma pan na myśli rozruchy w Paryżu? – spytał Ross. – Rzeczywiście, niesłychane.

Sir John włożył do ust ostatni kęs wołowiny.

– Nie mogę uwierzyć, że król ustąpił przed tą hołotą! Boże, co za tchórz! Wystarczyłoby kilka salw kartaczy. Podobno hrabia Artois uciekł z Francji wraz z innymi. Dali drapaka po pierwszym grzmocie zwiastującym burzę!

– Przypuszczam, że teraz Francuzi będą zajęci własnymi sprawami – odpowiedział Ross. – Anglia powinna wyciągnąć wnioski z tych wydarzeń i zrobić porządek u siebie.

Sir John przez jakiś czas jadł i czytał w milczeniu. Później zmiął gazetę i cisnął ją ze zniecierpliwieniem na podłogę. Wielki dog niemiecki leżący przy kominku wstał, powąchał gazetę i odszedł, ponieważ zapach nie przypadł mu do gustu.

– Ten cały Fox! – zawołał baronet. – Niech mnie kule biją, to kompletny dureń! Chwalić taką hałastre?! Ktoś mógłby pomyśleć, że otworzyły się bramy niebios!

Ross wstał i podszedł do okna. Trevaunance popatrzył za nim.

– Niech pan da spokój, człowieku, proszę nie mówić, że jest pan wigiem! Nikt z pańskiej rodziny nigdy nie popierał wigów!

– Nie jestem ani wigiem, ani torysem – odparł Ross.

– Cóż, do kata, kimś pan musi być! Na kogo pan głosuje?

Ross milczał przez chwilę, następnie pochylił się i pogłaskał psa. Rzadko się zastanawiał nad polityką.

– Nie jestem wigiem – odpowiedział. – Nie mógłbym popierać partii, która nieustannie zniesławia własny kraj i wychwala cnoty innego. Na samą myśl o tym robi mi się niedobrze.

– Bardzo słusznie! – odezwał się sir John, dłubiąc w zębach. – Bardzo słusznie!

– Ale nie mógłbym również należeć do partii, która spokojnie patrzy na obecny stan Anglii. Rozumie pan teraz, w jak trudnej sytuacji się znajduję.

– Och, nie sądzę...

– Nie należy też zapominać, że zaledwie przed kilkoma miesiącami wdarłem się do jednego z angielskich więzień – ciągnął Ross. – Było w nim znacznie więcej więźniów niż w Bastylji, gdzie ponoć znajdowało się sześciu ludzi. To prawda, że nie chodziłem po ulicach Launceston z głową strażnika nadzianą na pikę, lecz nie można powiedzieć, że nie miałem na to ochoty.

– Hm! – mruknął z zażenowaniem sir John. – Hm! Cóż, proszę mi wybaczyć, panie Poldark, ale muszę się przebrać na przybycie Tonkina.

Pośpiesznie opuścił pokój, podczas gdy Ross w dalszym ciągu gładził łeb doga.

Rozdział dziesiąty

Od poniedziałkowego wieczoru Demelzę dręczyły wyrzuty sumienia, a kiedy w piątek Ross wyjechał, zrozumiała, że nie zazna spokoju, nim wszystkiego z siebie nie wyrzuci.

Dlatego po jego odjeździe poszła do Trenwith. Była wyjątkowo zdenerwowana, lecz nie miała wyjścia. Liczyła, że wczoraj wraz z „Sherborne Mercury” nadejdzie list od Verity, ale się nie pojawił.

Wstała wczesnym rankiem i kiedy dotarła na miejsce, ze zdziwieniem spostrzegła, że dwór w Trenwith wygląda, jakby jego mieszkańcy jeszcze spali. Pociągnęła za sznur dzwonka. Mary Bartle, która otworzyła drzwi, powiedziała, że pani Poldark leży w łóżku, a pan Poldark je samotnie śniadanie w salonie zimowym.

To była niezwykle sprzyjająca okazja, której Demelza się nie spodziewała.

– Czy mogłabym się z nim zobaczyć? – spytała.

– Pójdę zapytać. Proszę łaskawie poczekać.

Demelza spacerowała po wspaniałej sieni, spoglądając na portrety. Nigdy wcześniej nie miała okazji tak dokładnie się im przyjrzeć. Dziwne zbiorowisko, mówił Ross, ponad połowa to członkowie rodu Trenwithów. Przyszło jej do głowy, że potrafi rozpoznać cechy charakterystyczne dla Poldarków: mocno zarysowane kości policzkowe, błękitne oczy o ciężkich powiekach, szerokie usta. Trenwithowie byli przystojni, mieli ciemne, kędzierzawe brody i delikatne twarze, a rudowłosa młoda dama w fioletowej sukni w stylu końca siedemnastego wieku... jednak Poldarkowie odznaczali się dziwną energią. Czy to oni są odpowiedzialni za rodzinne ciągoty do porywczosci? Elizabeth jeszcze nie namalowano. Demelza musiała oddać jej sprawiedliwość i przyznać, że to szkoda.

We dworze panowała głucha cisza, wydawało się, że czegoś w nim brakuje. Demelza nagle uświadomiła sobie, że brakuje Verity. Stała w bezruchu i po raz pierwszy zrozumiała, że pozbawiła ten dom osoby o największej witalności. Przyczyniła się do kradzieży, której ofiarami padli Francis i Elizabeth.

Nigdy wcześniej nie patrzyła na to w ten sposób. Zawsze uważała, że życie Verity jest niekompletne. Spoglądała na nie z punktu widzenia Andrew Blameya, a nie Francis i Elizabeth. Jeśli w ogóle o nich myślała, uważała, że chcą zatrzymać Verity w Trenwith z egoistycznych pobudek, bo jest dla nich użyteczna. Nie przyszło jej do głowy, że mieszkańcy Trenwith mogli po prostu kochać Verity i odczuć osobistą stratę – Demelza zrozumiała to dopiero teraz, stojąc w sieni, która dzisiaj wydawała się ogromna i opustoszała. Zastanawiała się, jak to możliwe, że zdobyła się na przyjazd tutaj.

– Pan Poldark za chwilę panią przyjmie – rzekła za jej plecami Mary Bartle.

Podczas gdy sir John Trevaunance rozmawiał z Rossem w czasie śniadania, Francis przyjmował Demelzę.

Wstał, kiedy weszła do salonu. W odróżnieniu od sir Johna był w pełni ubrany, miał na sobie brązowy poranny surdut z aksamitnymi wyłogami, jedwabną koszulę i brązowe spodnie. Jego mina nie była przyjazna.

– Przepraszam – rzekł – ale Elizabeth jeszcze nie zeszła. Jada teraz śniadania na górze.

– Nie przyjechałam zobaczyć się z Elizabeth – odpowiedziała, oblewając się rumieńcem. – Chcę porozmawiać z tobą.

– Och, w takim razie usiądź.

– Nie chcę przerywać ci śniadania.

– Już skończyłem.

– Och... – Usiadła, lecz Francis stał, trzymając rękę na oparciu krzesła.

– A zatem?

– Przyszłam coś ci powiedzieć. Zdaje się, że pokłóciłeś się z Rossem w związku z ucieczką Verity. Uważasz, że to jego wina.

– To on cię tu przysłał dziś rano?

– Nie, Francisie. Wiesz, że nigdy by tego nie zrobił. Ale muszę... muszę to wszystko wyjaśnić, nawet jeśli mnie znienawidzisz. Ross nie miał nic wspólnego z ucieczką Verity. Wiem to na pewno.

Spojrzał na nią gniewnym wzrokiem. Ich oczy się spotkały.

– Dlaczego miałbym ci wierzyć, skoro nie uwierzyłem jemu?

– Bo mogę ci powiedzieć, kto jej pomógł.

Zaśmiała się krótko.

– Bardzo ciekawe.

– Tak, mogę. To ja pomogłam Verity, a nie Ross. Nic o tym nie wiedział. Nie aprobował jej ucieczki tak samo jak ty.

Francis przez chwilę spoglądał na Demelzę ze zmarszczonymi brwiami, po czym odwrócił się szybko, jakby nie mógł znieść jej widoku, i podszedł do okna.

– Uważałam, że... uważałam, że Verity będzie dzięki temu szczęśliwa – wyjąkała. Zamierzała mu powiedzieć całą prawdę, lecz zabrakło jej odwagi. – Po balu zaproponowałam, że im pomogę. Kapitan Blamey wysłał do mnie listy, a ja przekazywałam je Verity. Ona wręczała mi swoje listy, a ja dawałam je kolporterowi „Sherborne Mercury”. Ross nic o tym nie wiedział.

Zapadło milczenie. W pokoju tykał zegar. Francis odetchnął głęboko, odwrócony plecami do Demelzy.

– Twoje przekłete wtrącanie się... – Urwał.

Demelza wstała.

– Nie jest mi przyjemnie tu przychodzić i się przyznawać. Wiem, co teraz do mnie czujesz. Ale nie mogłam pozwolić, byś pokłócił się z Rossem z mojej winy. Nie chciałam zranić ciebie ani Elizabeth, proszę, pamiętaj o tym. Masz rację, wtrącałam się w cudze sprawy, ale nawet jeśli popełniłam błąd, kierowała mną miłość do Verity, a nie chęć wyrządzenia wam krzywdy...

– Wyjdz! – rzucił.

Poczuła ogarniające ją mdłości. Nie przypuszczała, że rozmowa z Francisem okaże się tak nieprzyjemna. Próbowała naprawić błąd, ale wydawało się, że niczego nie osiągnęła. Czy Francis przestał się złościć na Rossa?

– Przyszłam wziąć na siebie winę – powiedziała. – Jeśli mnie nienawidzisz, może na to zasługuję, ale proszę, nie kłóć się z Rossem. Czułabym się...

Unióśł rękę do okna, jakby chciał je otworzyć. Zauważyła, że drży mu dłoń. Co się z nim działo?

– Wyjdz i nigdy więcej nie wracaj do tego domu – powiedział. – Pamiętaj, że dopóki żyję, masz więcej nie zbliżać się do Trenwith. I Ross także. Skoro poślubił taką nieokrzesaną dziewczynę jak ty, musi ponieść konsekwencje.

Tak bardzo starał się panować nad głosem, że ledwo słyszała jego słowa. Odwróciła się, wyszła do sieni, wzięła płaszcz, przekroczyła próg i znalazła się na słońcu. Pod ścianą dworu stała ławka. Usiadła na niej. Było jej słabo, kręciło się jej w głowie.

Po kilku minutach ochłonęła, owiewana lekkim wiatrem. Wstała i ruszyła z powrotem do Nampary.

Lord Devoran był nieobecny z powodu ataku duszności. Pan Trencrom również się nie pojawił, ponieważ w dalszym ciągu zajmował się roszczeniami swoich pechowych pracowników, u których znaleziono kontrabandę ukrytą na strychach i w piwnicach.

Ross od początku czuł, że coś jest nie tak. Było to walne zgromadzenie udziałowców i z zasady powinno się odbywać po zmroku. W ciągu dnia nie zorganizowano jeszcze ani jednego zebrania, bo jakiś szpieg mógłby podpatrzeć, kto w nim uczestniczy, obserwując wchodzących i wychodzących.

Przybyło kilkanaście osób. Główny przedmiot dyskusji stanowiła propozycja Raya Penvenena, by wybudować walcownię miedzi na szczycie wzgórza, gdzie jego posiadłość graniczy z majątkiem sir Johna; pokryłby połowę kosztów, a przedsiębiorstwo drugą połowę. Sprawa była pilna, gdyż udziałowcy Wheal Radiant nagle odmówili przedłużenia umowy dzierżawy walcowni. Gdyby firma nie zbudowała własnego zakładu, musiałaby sprzedawać miedź wyłącznie w postaci sztab.

Jedynym punktem spornym była kwestia lokalizacji zakładu. Mimo to Ross uważał, że należy iść na rękę Penvenenowi, ponieważ dysponował on rzadko spotykanym dobrem – wolną gotówką. Spodziewał się sprzeciwu ze strony Alfreda Barbary'ego. Jego przewidywania się sprawdziły. Rozpoczęła się długa dyskusja, w czasie której wskazywano, że udziałowcy z północnego wybrzeża Kornwalii odniosą największe korzyści.

Ross słuchał toczącego się sporu, lecz zauważył, że zezowaty Aukett się nie odzywa, gładząc dolną wargę. Producent dywanów o nazwisku Fox wyglądał, jakby zmienił się w kamień. Tonkin, starający się pełnić funkcję idealnego przewodniczącego, powiedział w końcu:

– Uważam, że powinniśmy wysłuchać opinii pozostałych udziałowców.

Po pewnych wahaniach kilka osób opowiedziało się za budową walcowni w pobliżu odlewni. Później głos zabrał Aukett:

– Bardzo dobrze, panowie, ale skąd będzie pochodzić nasza część kapitału? Chciałbym to wiedzieć.

– Cóż, zawiązując spółkę, przyjęliśmy, że udziałowcy mogą być zmuszeni do dokonywania dodatkowych wpłat. Wszyscy się na to zgodziliśmy. Potrzeba jest bardzo pilna. Jeśli zrezygnujemy z walcowania miedzi, stracimy prawie wszystkie małe rynki. A małe rynki mogą zdecydować o powodzeniu przedsięwzięcia. Nie jesteśmy w stanie zmusić rządu, by kupował naszą miedź dla mennicy, ale możemy oczekiwać, że nasi przyjaciele będą się zaopatrywali właśnie u nas.

Rozległy się pomruki aprobaty.

– Cóż, bardzo dobrze, jednak obawiam się, że nasza kopalnia nie będzie w stanie dokonać dopłaty – ciągnął Aukett, zezując bardziej niż zwykle wskutek podniecenia. – Wygląda na to, że ktoś będzie musiał przejąć nasze udziały.

Tonkin popatrzył na niego ostro.

– Decyzja o sprzedaży udziałów należy do pana, ale dopóki je pan posiada, musi pan honorować zobowiązania, które pan na siebie wziął.

– Bardzo bym chciał, lecz nie da się wycisnąć wody z kamienia – odparł Aukett. – Nasza kopalnia jest zmuszona wycofać się z przedsięwzięcia.

– Ma pan na myśli bankructwo?

– Nie, w żadnym razie. Udziały zostały spłacone. W dalszym ciągu popieramy ten projekt, ale...

– Co się stało? – spytał Blewett. – Wspominał mi pan we wtorek, że wyższe ceny w czasie ostatniej aukcji sprawiły, że udziałowcy Wheal Mexico już od lat nie byli w tak dobrych nastrojach.

– Owszem. – Aukett skinął głową. – Ale wczoraj otrzymałem list z banku Warleggana. Napisali, że nie mogą dłużej udzielać nam kredytu i że powinniśmy przenieść swój rachunek gdzie indziej. A to oznacza...

– Dostał pan taki list?! – przerwał Fox.

– To oznacza ruinę, jeśli Pascoe nie przejmie finansowania, a mam co do tego wątpliwości, bo Pascoe zawsze był ostrożny i wymagał solidniejszych zabezpieczeń. Odwiedzę Warleggana w drodze do domu, by się przekonać, czy dadzą się nakłonić do zmiany decyzji. Takie nagłe cofnięcie kredytu to niesłychana sprawa...

– Podali jakiś powód? – spytał Ross.

– Otrzymałem bardzo podobny list – przerwał Fox. – Jak panowie wiedzą, prowadzę różnorodne interesy i w ciągu ostatniego roku pożyczyłem dużo pieniędzy. Wczoraj wieczorem udałem się na spotkanie

z panem Nicholasem Warlegganem i wyjaśniłem mu, że cofnięcie kredytu oznacza fiasko moich planów. Nie udało mi się go przekonać. Moim zdaniem wie, że jestem udziałowcem odlewni Carnmore, i jest wściekły z tego powodu. Sądzę, że to rzeczywista przyczyna cofnięcia kredytu.

– To prawda. – Wszyscy spojrzeli na St Aubyna Tresize’a. – Nie chcę omawiać przy tym stole swoich prywatnych interesów, panowie, ale w ciągu ostatnich kilku lat zaciągałem kredyty w banku Warlegganów. Otrzymali najlepsze zabezpieczenie na świecie – ziemię – lecz nie zamierzam jej tracić. Jeśli cofną mi kredyt i zażądają spłaty długu, stanę do walki i nie dostanę mojego majątku. Jednak przejmą większość moich aktywów, w tym udziały w Carnmore Copper Company.

– Skąd, do licha, znają nasze nazwiska?! – spytał nerwowo Blewett. – Ponad połowa osób obecnych na tej sali ma długi, których spłaty można zażądać.

– Ktoś zaczął mówić – odezwał się głos na końcu stołu.

Richard Tonkin zastukał w blat.

– Czy ktoś jeszcze otrzymał list od Warlegganów?

Zapanowało milczenie.

– Na razie nie – zauważył Johnson.

– Ech, niech to diabli porwą! – rzekł Trevaunance. – Wszyscy powinniście korzystać z usług banku Pascoe’a, podobnie jak ja. Wtedy nie byłoby kłopotów. Poproście Pascoe’a, by przejął wasze rachunki.

– Łatwiej powiedzieć niż zrobić – rzucił ostro Fox. – Aukett ma rację. Pascoe żąda solidniejszych zabezpieczeń. Miałem u niego rachunek i nie mogłem otrzymać wystarczającej ilości gotówki, więc przeszedłem do banku Warlegganów. Jest niewielka szansa, że Pascoe znowu się zgodzi przejąć moje rachunki.

Ray Penvenen prychnął niecierpliwie.

– Cóż, to pańska prywatna sprawa. Nie możemy tu opowiadać o swoich osobistych kłopotach, bo inaczej to zebranie zacznie przypominać spotkanie metodystów. Wróćmy do kwestii walcowni.

W końcu uzgodniono, że walcownia powinna powstać jako samodzielne przedsięwzięcie Penvenena na wybranym przez niego terenie. Odlewnia Carnmore miała zachować jedynie trzydzieści procent udziałów. Uczestnicy zebrania czuli, że zdarzyło się coś niezwykłego. Dobrze prosperujące interesy Penvenena powodowały, że mógł zlekceważyć sprawę Warlegganów, ale kopalnie działały na kredyt i nie mogły sobie pozwolić na jego cofnięcie. Ross widział ten sam wyraz na wielu twarzach. Ktoś ich zdradził. Skoro ujawniono trzy nazwiska, dlaczego nie wszystkie?

Spotkanie szybko dobiegło końca. Podjęto uchwały, zaakceptowano propozycje. Nikt więcej nie wspominał o Warlegganach. Ross zastanawiał się, ile decyzji wejdzie w końcu w życie oraz czy ich uparta walka nie zakończy się klęską.

Po zakończeniu zebrania uściskał dłonie wszystkim udziałowcom i wyszedł jako jeden z pierwszych. Musiał pomyśleć. Zastanowić się, jak mogło dojść do przecieku. Kiedy jechał konno do domu, nagle przysłała mu do głowy bardzo nieprzyjemna i bardzo niepokojąca myśl.

Rozdział jedenasty

Demelza leżała w łóżku, lecz nie spała. Gdy się odezwała, Ross zrezygnował z próby rozebrania się w mroku.

– Wcześniej chodzisz spać – zauważył. – Mam nadzieję, że to oznaka postanowienia, by lepiej się sprawować.

Jej oczy zaślnęły nienaturalnie w świetle zapalanej świecy.

– Masz jakieś wieści o Marku?

– Nie, za wcześnie.

– Krążą różne plotki o Francji.

– Tak, wiem.

– Jak zebranie udziałowców?

Ross opowiedział.

– To znaczy, że możesz mieć nowe kłopoty?

– Niewykluczone.

Leżała w milczeniu z włosami rozrzuconymi na poduszce, a tymczasem Ross skończył się rozbierać. Jeden z pukli jej włosów leżał na jego poduszce. Chwycił kosmyk i trzymał przez chwilę w ręce, nim położył go na poduszce żony.

– Nie gaś świecy – rzekła Demelza. – Muszę ci coś powiedzieć.

– Nie możesz mówić w ciemności?

– Nie tym razem. Mrok jest czasem taki ciężki... Ross, moim zdaniem w takie ciepłe noce powinniśmy spać w łóżku bez kotar.

– Jak chcesz. – Postawił świecę obok łóżka, skąd rzucała dziwne cienie na zasłony u ich stóp.

– Słyszałaś coś nowego o Verity? – spytała.

– Przez cały dzień siedziałem w zatoce Trevaunance.

– Och, Ross... – westchnęła.

– O co chodzi?

– Dzisiaj... dzisiaj poszłam do Trenwith i rozmawiałam z Francisem.

– Niech cię diabli! Nie jesteś tam mile widziana! I na pewno nie dowiesz się niczego o Verity!

– Nie chodziło mi o wiadomości o Verity. Musiałam powiedzieć Francisowi, że to nie ty namówiłaś ją do ucieczki.

– Po co? Wyniknie z tego coś dobrego?

– Nie chciałam, by mnie obwiniał, że doprowadziłam do kłótni między wami. Powiedziałam mu prawdę, że to ja pomogłam Verity bez twojej wiedzy.

Leżała nieruchomo i czekała.

W głębi duszy Ross czuł irytację, ale nie dał jej po sobie poznać. Uciekł w zmęczeniu.

– O Boże... – westchnął w końcu ze znużeniem. – Czy to ma jakieś znaczenie?

Demelza leżała bez ruchu. Milczała. Istota tego, co powiedziała, dotarła powoli do świadomości Rossa i obudziła w nim nowe myśli i uczucia.

– Jak zareagował?

– Wyrzucił... wyrzucił mnie z domu. Kazał mi się wynosić i... Był wściekły... Nigdy nie przypuszczałam...

– Jeśli znowu wyładuje na tobie zły humor... – Ross umilkł. – W poniedziałek zupełnie nie rozumiałem, co się z nim dzieje. Zachowywał się tak samo szaleńczo i nieroztropnie, jak mówisz.

– Nie, Ross, nie, Ross! – szepnęła szybko. – Nie o to chodzi. Nie powinieneś się gniewać na Francisa, tylko na mnie. To ja jestem winna. Ale i tak nie powiedziałam mu wszystkiego...

– Co mu powiedziałaś?

– Że... że przekazywałam Verity listy od Andrew Blameya i wysyłałam mu jej listy od czasu balu w Assembly Rooms w kwietniu.

– A czego mu nie powiedziałaś?

Zapadło milczenie.

– Boję się, że mnie uderzysz, Ross.

– Doprawdy?

– Kochałam Verity i nie mogłam znieść myśli, że jest nieszczęśliwa.

– I co dalej?

Wszystko mu opowiedziała. O potajemnej wizycie w Falmouth w czasie jego nieobecności, o zaaranżowanym spotkaniu z Blameyem i co się później stało.

Ani razu nie przerwał. Zacinając się lekko, opisała przebieg wydarzeń. Koniecznie chciała to z siebie wyrzucić. Ross słuchał z dziwnym poczuciem niedowierzania. I przez cały czas nie mógł się uwolnić od podejrzeń. Sprawa wyglądała następująco: Francis musiał zdać sobie sprawę, że ktoś celowo skojarzył Verity i Blameya. Francis podejrzewał jego. Francis znał wszystkich udziałowców Carnmore Copper Company.

Płomień świecy się zakołysał i cienie rzucane na łóżko zmieniły kształt. Przyczyną zdrady tajemnic spółki była Demelza. Poczłł gniew.

– Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś – rzekł w końcu. – Gdyby ktoś mi to powiedział, nazwałbym go łgarzem. Nigdy bym w to nie uwierzył! Myślałem, że mogę ci ufać, że jesteś lojalną żoną!

Demelza milczała.

Ogarniała go wściekłość. Nie mógł się powstrzymać.

– Robiłaś to wszystko za moimi plecami! To nie do przyjęcia! Ciągle nie mogę uwierzyć! Takie oszustwo...

– Próbowałam robić to otwarcie, ale mi nie pozwoliłeś.

Zdradziła go i stała się przyczyną jeszcze większej zdrady. Wszystkie elementy łamigłówwki ułożyły się w całość.

– Więc zaczęłaś działać potajemnie, tak? Nic nie miało znaczenia, lojalność ani zaufanie, byle tylko postawić na swoim!

– Nie robiłam tego dla siebie, tylko dla Verity.

– Oszustwa, kłamstwa... – ciągnął z pogardą. – Nieustanne kłamstwa przez ponad dwanaście miesięcy. Nie jesteśmy małżeństwem od wielu lat, ale szczyliem się, że nasz związek jest czymś stałym w moim życiu. Czymś niezmiennym i nietykalnym. Wierzyłem, że mógłbym powierzyć ci swoje życie, że jesteś uczciwa do szpiku kości. Że nie ma w tobie brudu... W tym przeklętym świecie...

– Och, Ross... – jęknęła i z jej piersi wyrwał się szloch. – Łamiesz mi serce...

– Spodziewałaś się, że cię uderzę? – spytał. – Właśnie taki język rozumiesz. Dobre lanie i sprawa załatwiona. Ale nie jesteś psem ani koniem, którego można wytresować za pomocą bata. Jesteś kobietą, powinnaś rozumieć, czym jest dobro i zło. Lojalności nie da się kupić. Można ją ofiarować albo... Cóż, na Boga, postanowiłaś być wobec mnie nielojalna...!

Demelza wyszła po omacku z łóżka. Stała na podłodze, szlochając, chwyciła kotarę, potem ją puściła i obeszyła łóżko. Dygotała na całym cieie.

Kiedy dotarła do drzwi, Ross usiadł. Wciąż był zagniewany.

– Chodź tu, Demelzo!

Wyszła z sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

Wstał, wziął świecę i otworzył drzwi. Nie było jej na schodach. Zszedł na dół i dotarł do salonu. Stopiony wosk kapał na podłogę. Usiłowała zamknąć drzwi, lecz otworzył je z trzaskiem.

Uciekła przed nim w stronę drugich drzwi, ale postawił świecę na stole, chwycił żonę w pobliżu kominka i przyciągnął do siebie. Szarpała się słabo w jego ramionach, jakby żal odebrał jej siły. Chwycił ją za włosy i odchylił jej głowę do tyłu. Potrząsnął nią.

– Puść mnie, Ross! Puść...

Trzymał ją, patrząc na łzy spływające po jej twarzy, po czym puścił włosy. Stała w milczeniu oparta o niego i płakała.

Zasługuje na to, pomyślał. Powinna dostać baty, o tak! Niech cierpi! Powinienem ją uderzyć, złoić jej skórę pasem. Blamey i Verity. Pijak skłonny do wpadania w szal i wrażliwa dziewczyna harująca jak wół. Co za idiotyczny związek! Kompletny nonsens!

Niech ją diabli porwą! Bezczelna smarkula! Skojarzyła Verity z Blameyem, wywołując ogromne kłopoty. Miał ochotę z całych sił nią potrząsnąć.

Jednak powoli odzywało się w nim poczucie sprawiedliwości. Popełniła błąd, ale nie ponosi odpowiedzialności za to, co się później stało. Małżeństwo Verity z Blameyem to stosunkowo błaha sprawa w porównaniu ze sprawą odlewni. Przekłety Francis! Niewiarygodna zdrada! (Czy wyciąga pochopne wnioski? Nie, wszystko pasuje).

– Chodź, przeziębisz się – rzucił szorstko. Demelza puściła jego słowa mimo uszu.

Wcześniej pokłóciła się z Francisem i z pewnością wytrąciło ją to z równowagi, bo po powrocie Rossa do domu była w bardzo złym nastroju. Dziwne, że tak ją to zdenerwowało.

Gniew powoli słabł. Nie znikł zupełnie, ale przybrał właściwe proporcje. Demelza nie mogła znieść jego wyrzutów. Co powiedział? Jakim tonem mówił? Poldarkowie potrafili być bardzo nieprzyjemni, gdy coś ich zirykowało. Przekłety Francis, to on ponosi winę za większość kłopotów. Zmusił Verity do zerwania z Blameyem, a potem uparcie nie chciał zmienić zdania! Nie ulega wątpliwości, że Demelza miała dobre chęci. Wybrukowane jest nimi piekło.

Ale nie powinna była tak postąpić, niezależnie od wszystkiego. W żadnym wypadku. Wtrącała się w cudze sprawy, okłamywała męża. Chociaż teraz wydaje się zrozpaczona, za dzień lub dwa znowu będzie szczęśliwa i uśmiechnięta. Ale konsekwencje wpłyną na całe ich dalsze życie, stale wracając niczym echo.

Odsunęła się od Rossa.

– Nic mi nie będzie – rzekła.

– Nie siedź tutaj przez całą noc.

– Idź na górę. Za chwilę przyjdę.

Zostawił jej świecę i wrócił do sypialni. Zapalił drugą świecę i podszedł do łóżeczka córki. Julia była całkowicie odkryta. Przypominała muzułmanina w czasie modlitwy: dotykała czołem prześcieradła i uniosła pupę do góry. Już miał ją przykryć, gdy do pokoju weszła Demelza.

– Popatrz – powiedział.

Zbliżyła się. Kiedy zobaczyła córkę, z jej piersi wyrwało się westchnienie. Przełknęła ślinę i przewróciła dziewczynkę na plecy. Kędzierzawe, brązowe włosy Julii otaczały niewinną, anielską buzię niczym aureola. Demelza cicho odeszła od łóżeczka.

Ross spoglądał przez jakiś czas na śpiące dziecko, a kiedy wrócił do łóżka, żona już w nim była. Siedziała z tyłu między kotarami i widział tylko jej kolana.

Położył się obok niej i zdmuchnął świecę. Demelza przez długi czas się nie poruszała. Pomyślał, że jest bardzo kapryśna, przekorna, przeżywa konflikty lojalności. Bez mrugnienia okiem zdradza mnie

i oszukuje z miłości do Verity. Czy powinienem ją obwiniać? Sam wiem bardzo dużo o konfliktach lojalności.

Doprowadziła do kłótni między mną a Francisem. Może przez to zbankrutować odlewnia.

– Ross, czy to, co zrobiłam, było naprawdę takie złe? – spytała nagle.

– Żadnego gadania w tej chwili.

– Muszę wiedzieć. Wtedy nie wydawało mi się to złe. Rozumiałam, że cię oszukuję, ale wierzyłam, że pomagam Verity. Naprawdę tak sądziłam. Może się myliłam, ale tak właśnie myślałam.

– Wiem, że tak myślałaś – odpowiedział. – Ale to nie wszystko. To znacznie bardziej skomplikowana sprawa.

– Dlaczego?

– Na razie nie mogę ci powiedzieć.

– Bardzo mi przykro – rzekła. – W najgorszych snach nie wyśniłam, że skłócę cię z Francisem. Nawet nie przyszło mi to do głowy, Ross. Gdybym to przewidziała, nigdy bym tego nie zrobiła.

Westchnął.

– Stałaś się członkiem dość szczególnej rodziny. Nigdy nie należy się spodziewać, że Poldarkowie będą się zachowywać w racjonalny sposób. Dawno przestałem tego oczekiwać. Jesteśmy popędliwi – wręcz niewiarygodnie popędliwi – i łatwo wpadamy w złość. Nasze sympatie i antypatie są silne, działamy pochopnie – bardziej pochopnie, niż kiedykolwiek przypuszczałem. Może po prostu podchodziłaś do tej sprawy zgodnie z zasadami zdrowego rozsądku? Jeśli ludzie się kochają, powinni wziąć ślub i szukać szczęścia, nie zważając na przeszłość ani na konsekwencje...

Znów zapadło długie milczenie.

– Ale... ciągle nic nie rozumiem – powiedziała Demelza. – Mówisz zagadkami, Ross. Tak okropnie się czuję... jak oszustka...

– W tej chwili nie mogę nic więcej wyjaśnić. Najpierw muszę uzyskać pewność. A jeśli chodzi o to, co mówiłem... mówiłem w gniewie. Spróbuj o tym zapomnieć i idź spać.

Demelza przesunęła się na łóżku i odetchnęła przeciągle.

– Chciałabym... Bardzo bym chciała, żebyś się szybko pogodził z Francisem.

– Możesz długo na to czekać.

Zapadła cisza i tym razem nikt jej nie przerwał. Ale ani Ross, ani Demelza nie zasnęli. Ona była zdenerwowana po kłótni, bardzo przybita, i płacz nie przyniósł jej ulgi. Czowała niepewność i dezorientację. Wiedziała, że złość Rossa ma inne przyczyny, lecz nie potrafiła się ich domyślić. Nienawidziła niejasnych sytuacji, a zwłaszcza nierozwiązanych kłopotów. Jednak zdawała sobie sprawę, że tego wieczoru nie może posunąć się dalej. Była zdenerwowana, zmęczona, dręczyła ją niepewność. Przez jej głowę przebiegały niekończące się myśli. Po pewnym czasie zamknęła oczy i starała się zasnąć. Ross nawet nie próbował.

KSIĘGA CZWARTA

Rozdział pierwszy

W Wigilię Bożego Narodzenia Demelza otworzyła list od Verity, który brzmiał następująco:

Moja Droga Kuzynko!

Wczoraj rano otrzymałam Twój długo wyczekiwany list i odpowiadam – szybko jak na mnie! Jestem niezmiernie rada, że wszyscy cieszą się dobrym zdrowiem, bo tu, w Falmouth, szaleją choroby. Jest naprawdę okropnie i ciągle słyszę, że ktoś zachorował. Na szczęście, Bogu dzięki, nic nam nie jest. W niedzielę kościół był tylko w połowie wypełniony wskutek epidemii, a później odwiedziliśmy panią Daubuz, żonę burmistrza, by złożyć jej kondolencje z powodu śmierci małego synka. Była bardzo smutna, lecz pogodzona z losem. To wspinała kobieta.

Niezmiernie mnie ucieszyła nowina, że Mark Daniel jest bezpieczny we Francji – oczywiście jeśli ktokolwiek może być w tej chwili bezpieczny na kontynencie. Stała się straszna rzecz, często myślę o tej tragedii. Współczuję Markowi, lecz nie usprawiedliwiam jego czynu.

W ciągu ostatniego tygodnia byliśmy bardzo zajęci. Flota Indii Wschodnich składa się z trzech pięknych żaglowców i fregaty. Poza tym do portu zawinęły statki płynące z Indii Zachodnich i jeden z Porto. Wszystkie wracają do Anglii, z wyjątkiem kilku brygów z Wysp Zawietrznych – one wyruszyły na wschód. Z naszego domu widać port, w którym kotwiczy przeszło dwieście żaglowców. Miasto roi się od pasażerów.

Cóż, moja kochana, jestem bardzo szczęśliwa. Kiedy miałam trzydzieści jeden lat i spodziewałam się, że zostanę starą panną, czułam się stara, ale teraz, gdy jestem mężatką, wszystko się zmieniło. Po przybyciu do Falmouth przybrałam na wadze i nie mam już kataru. Może służy mi łagodniejszy klimat, ale myślę, że jednak nie o to chodzi. Andrew też jest szczęśliwy i stale pogwizduje w domu. To dziwne, bo w Trenwith nikt nigdy nie gwizdał. Bardzo brakuje mi niektórych rzeczy, dawnej pracy, i często tęsknię za bliskimi, zwłaszcza gdy Andrew jest na morzu, ale jak dotąd, kochanie, Twoja wiara w naszą miłość okazała się mądra. Niechaj Cię Bóg błogosławi za wszystko, co dla nas zrobiłaś.

Chciałabym, żeby na Boże Narodzenie wszyscy się pogodzili i spotkali, cała szóstka, oczywiście również Julia i Geoffrey Charles. Byłoby to wspaniałe, ale obawiam się, że Francis nigdy nie przestanie się na mnie gniewać. Wierzę, że Ross pogodzi się z tym, co się stało, i wiosną, gdy poprawi się pogoda, a Twój mąż będzie mniej zajęty, chciałabym, żebyście do mnie przyjechali i spędzili ze mną cały tydzień. Mamy wielu przyjaciół i ludzie, którzy dobrze znają Andrew, bardzo go lubią.

Moja kochana, przykro mi, że praca Rossa idzie na marne. To źle i wielka szkoda, bo kopalnie potrzebują pomocy. W zeszłym tygodniu w mieście doszło do rozruchów wywołanych przez bezrobotnych górników. Jak dotychczas zima jest ciężka, tylu ludzi głoduje, a ja modłę się, by nie wydarzyło się u nas to, co we Francji. Nie pozwól, by Ross brał sobie do serca niepowodzenia, bo czasami za bardzo się nimi przejmuję. Jeśli zdarzy się najgorsze i zamkną odlewnię, kłopoty potrwać tylko kilka lat, a potem nadejdą szczęśliwsze czasy. Pan Millet, kapitan jednej z fregat, powiedział wczoraj w czasie kolacji, że potrzebujemy nowej wojny. Straszliwa perspektywa, ale kilka osób przyznało mu rację. Moim zdaniem lepsza bieda niż wojna.

Żałuję tylko, że Andrew tak często jest poza domem. Odpływa dziś wieczorem i nie będzie go przez całe Boże Narodzenie, aż do Nowego Roku. Często się zastanawiałam, czy z nim nie popłynąć, jednak mówi, by poczekać do lata, kiedy Zatoka Biskajska będzie spokojniejsza. Bardzo kocha morze, ale wszyscy mówią, że zmusza marynarzy do ciężkiej pracy. Po powrocie do domu zawsze jest trochę zdemolowany i melancholijny, łatwo się irtuje. Przypuszczam, że w czasie rejsów popija, zresztą nic

dziwnego, bo potrzebuje czegoś, co pomogłoby mu zachować równowagę, lecz po zejściu na ląd nie bierze do ust ani kropli. Uspokaja się dopiero następnego dnia po powrocie, ale wkrótce znowu musi wyruszać w morze.

Nie poznałam jeszcze dzieci Andrew. Ta tortura może mnie czekać na Wielkanoc, gdy do Anglii przybędzie „The Thunderer”, na którym służy jako kadet James Blamey. Esther Blamey mieszka z siostrą Andrew w pobliżu Plymouth i chodzi do szkoły dla dziewcząt. Może odwiedzi nas na wiosnę. Módl się wtedy za mnie! Bardzo chciałabym stworzyć im dom, w którym byliby szczęśliwi, jeśli tylko nasze wzajemne stosunki na to pozwolą. Czasami myślę, że jestem nietowarzyska, i żałuję, że nie mam gładkich manier, jak niektórzy.

Nasza gospodyni, pani Stevens, dostała zeszłej nocy tak silnych bólów brzucha, że posłaliśmy po doktora Silveya, ale powiedział, że to skurcz, i dał jej siarkowy kamień zaszyty w płótno, by przykładała go w razie bólu. Antidotum natychmiast podziałało. Moim zdaniem pani Stevens je za mało rabarbaru.

Będę o Was myśleć w czasie Bożego Narodzenia. Jestem bardzo, bardzo rada, że dodałaś mi odwagi, bym rozpoczęła samodzielne życie.

Niechaj Was Bóg błogosławi i zachowa w zdrowiu

Verity

Rozdział drugi

Ross wrócił do Nampary dopiero po dziesiątej. Była piękna noc i za godzinę do drzwi mieli zapukać kołędnicy, czyli chórzyści z kościoła w Sawle. Demelza nigdy nie odznaczała się przesadną religijnością, lecz w dalszym ciągu odmawiała modlitwy, których nauczyła ją matka, dodając coś od siebie w zależności od aktualnej sytuacji, a w czasie Bożego Narodzenia zawsze odczuwała wewnętrzną potrzebę pójścia do kościoła. Starożytna mądrość historii opisanych w Nowym Testamencie i czarodziejskie piękno kolęd oddziaływały na jej emocje. Zawsze chętnie przyłączała się do chóru, jeśli ją zapraszano. Kiedy uszczuplony chór z trudem śpiewał pieśń *Pamiętaj, Panie*, żałowała, że nie może mu pomóc. Chociaż bardzo lubiła kolędy, nie była pewna, czy potrafi się właściwie zachować, gdy kołędnicy zapukają do drzwi. Posłała Jane Gimlett po ciastka, które służąca upiekła tego popołudnia, i wyjęła z szafy Rossa dwie butelki madery.

W końcu weszli do dworu, onieśmieleni, niepewni, źle ubrani i niedożywieni. Na czele podążał wuj Ben Tregeagle, mrugając w świetle świec. Przyprowadził tylko osiem osób, ponieważ dwóch członków chóru chorowało na krup, troje na grypę, a Sue Baker dostała konwulsji. Wuj Ben powiedział o tym wszystkim Demelzie, a ona spoglądała na jego przebiegłą, cudzoziemską twarz, haczykowany nos i długie czarne włosy opadające na barki.

Zdenerwowana poczęstowała chórzystów winem i sama wypiła kieliszek. Wolałaby gościć sir Hugh Bodrugana niż tych skromnych wieśniaków. Przynajmniej wiedziała, o co mu chodzi. Częstowała ich ciastkami, dolewała wina, a kiedy wstali, dała im garść srebrnych monet – około dziewięciu szylingów – po czym wyszli ze dworu, zarumienieni, weseli i bogatsi. Na nocnym niebie świecił księżyc, a powietrze było lekko zamglone. Zebrali się wokół latarni, zaśpiewali jeszcze jedną kolędę, a później ruszyli gęsiego w stronę wioski Grambler.

Demelza roześmiała się ze swoich absurdalnych lęków, które nie przeszkodziły jej dobrze wypaść, wróciła do salonu i zagrała na szpinecie prostą melodię *In dulci jubilo*. Po chwili usiadła i zagrała ją drugą ręką. Zrobiła znaczne postępy, choć pani Kemp z niezadowoleniem marszczyła brwi i mówiła, że to w ogóle nie jest muzyka.

W trakcie gry usłyszała, że wrócił Ross. Powitała go przy drzwiach i od razu się zorientowała, jak przebiegło spotkanie z udziałowcami odlewni.

– Zostawiłam dla ciebie trochę zapiekanki – powiedziała. – Jest też zimny kurczak, gdybyś miał ochotę. I smaczne świeże ciastka.

Usiadł w fotelu, a Demelza pomogła mu zdjąć buty.

– Jadłem kolację z Tonkinem. Niezbyt obfita, ale nie jestem głodny. Wystarczy kieliszek rumu i kilka twoich ciastek. Miałaś gości?

Opowiedziała o kołędnikach.

– Jest list od Verity. Przyniesiono go dziś rano.

Ross przeczytał powoli list, mrużąc oczy, jakby był zmęczony. Oparła dłoń na jego ramieniu i czytała razem z nim, a on położył rękę na jej palcach.

Ich kłótnia w lipcowy wieczór nie miała w tej chwili znaczenia, lecz nigdy o niej nie zapomnieli. Nie miała znaczenia, choć Demelza przypominała ją sobie częściej niż Ross, ponieważ nie lubiła niedomówień i niejasności. Przez ostatnie miesiące Ross zajmował się interesami i rzadko bywał w domu. Stopniowo zdała sobie sprawę, że podejrzewa Francisa o zdradę, a później domyśliła się toku jego rozumowania. Czasem czuła się odpowiedzialna za kłótnię Rossa z bratem stryjecznym i za coraz większe kłopoty Carnmore Copper Company. Nie było to przyjemne i bardzo jej ciążyło, choć starała się tego nie

okazywać. Na ich związek po raz pierwszy padł cień i przez całą jesień niszczył ich szczęście. Ale z pozoru nic się nie zmieniło.

– Twój eksperyment z Verity udał się lepiej niż mój z odlewnią – powiedział Ross. – Może miałaś lepszy instynkt?

– Niedobre wiadomości?

– Johnson, Tonkin i ja dokładnie przejrzelśmy księgi. Sir John doszedł do wniosku, że lepiej ograniczyć straty niż uporczywie odmawiać przyznania się do porażki. Moim zdaniem większość udziałowców podzieli ten pogląd. Po aukcji w poniedziałek odbędzie się ostatnie zebranie wspólników. Jeśli zostaniemy przegłosowani, spędzę wtorek na likwidowaniu interesu.

– Wiesz, kto jest za dalszym prowadzeniem działalności?

– Oczywiście Tonkin, a także Blewett i Johnson. Ludzie dobrej woli, lecz bez pieniędzy. Lord Devoran chciałby, żeby odlewnia działała dalej, ale pod warunkiem, że nie musiałby dopłacać. Penvenen zastanawia się, jak wykorzystać walcownię w inny sposób.

Demelza usiadła obok Rossa.

– Jesteś wolny do poniedziałku?

– Tak. Mogę się cieszyć Bożym Narodzeniem.

– Nie bądź sarkastyczny, Ross. Zobacz, co pisze Verity.

Westchnął, a później ziewnął.

– ...mówi, że za bardzo wszystko przeżywasz, i moim zdaniem to prawda. Jak to wpłynie na nasze dochody?

– Może będę musiał sprzedać część udziałów w Wheal Leisure.

– O nie!

– Prawdopodobnie tylko połowę kupioną od Choake'a.

– Ale one przynoszą... dywidendę, tak to się nazywa, prawda? To byłaby wielka strata! Czy Harris Pascoe nie jest twoim przyjacielem?

– To bankier, moja droga. Przede wszystkim ma zobowiązania wobec depozytariuszy wkładów.

– Ale na pewno trzyma w skarbcu stopy pieniędzy! Nie są mu do niczego potrzebne! Wie, że dotrzymasz obietnicy i spłacisz dług. W ciągu kilku lat zdołasz go spłacić z tej dywi... dywidendy, jeśli tylko da ci dość czasu.

Ross się uśmiechnął.

– Porozmawiam z nim o tym. Spędzę dwa dni w Truro. Pascoe zaproponował, bym się u niego zatrzymał. Nie powinien być zbyt nieustępliwy wobec gościa.

Demelza siedziała, milcząc ponuro i obejmując rękami kolana.

– Nie podoba mi się to – powiedziała w końcu. – To niesprawiedliwe, Ross! To złe i nieludzkie. Czy bankierzy nie mają chrześcijańskich uczuć? Czy nigdy nie myślą: Jak bym się czuł, gdybym to ja miał długi?

– Daj spokój, moja droga. Nie wpadaj w posępny nastrój, bo będziemy zbyt smutni, by życzyć sobie wesołych świąt.

– A może moglibyśmy zaciągnąć pożyczkę pod zastaw domu, Ross.

– Już to zrobiłem.

– Albo sprzedać konie lub woły? Nie mam nic przeciwko chodzeniu na piechotę i mogę się obejść bez niektórych potraw, których wcześniej nigdy nie jadłam. Jest jeszcze moja najlepsza srebrna suknia i broszka z rubinami. Mówiłeś, że jest warta sto funtów.

Pokręcił głową.

– To wszystko nie pokryłoby nawet połowy długu. Musimy się pogodzić z rzeczywistością.

– Jest jakaś szansa, że odlewnia nie zbankrutuje?

– Sporo zależy od poniedziałkowej aukcji. Jest też propozycja, by zamknąć odlewnię i zająć się wyłącznie handlem. Nie lubię takich półśrodków.

Demelza popatrzyła na Rossa. Cieszyła się, że w nadchodzącym roku będzie spędzał więcej czasu w domu, i zastanawiała się, czy to egoizm z jej strony. Jeśli bankructwo odlewni miało oznaczać powrót do dawnego życia, nawet klęska miała pozytywne strony.

Boże Narodzenie przebiegło spokojnie – panowała cisza przed burzą. Od powstania Carnmore Company Ross harował prawie bez odpoczynku. W lecie brakowało mu parobków do pracy w gospodarstwie, bo starał się ograniczać wydatki. Oszczędzał każdy grosz, by inwestować w odlewnię, a teraz okazało się, że równie dobrze mógłby wyrzucać pieniądze do morza ze szczytu klifu.

Gorzka myśl, lecz należało się z nią pogodzić. Od pamiętnego spotkania udziałowców w lipcu Ross i jego wspólnicy coraz bardziej tracili grunt pod nogami. St Aubyn Tresize, Aukett i Fox wycofali się z przedsięwzięcia. A potem niemal co tydzień dołączali do nich inni. Ludzie, których Warlegganowie nie mogli zaatakować wprost, byli atakowani pośrednio. Właściciele kopalni dowiadywali się nagle, że cofnięto im kredyt lub wstrzymano dostawy węgla. Sir John w dalszym ciągu procesował się w Swansea. Zakwestionowano tytuł prawny Alfreda Barbary’ego do nabrzeży portowych w Truro i grożono procesem, jeśli nie wycofa się z udziału w Carnmore. Nawet Ray Penvenen miał słabe punkty.

Oczywiście nie wszystko robili sami Warlegganowie. Często ataki przeprowadzali ich klienci. Gdyby mieli pełną kontrolę nad sytuacją, odlewnia nie przetrwałaby miesiąca, lecz w ich knowaniach były niedociągnięcia. Warlegganowie bezpośrednio kontrolowali tylko jedną trzecią odlewni miedzi, pozostałe współpracowały ze sobą po przyjacielsku ze względu na wspólne interesy.

W drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, jedyny wietrzny dzień w całym tygodniu, Ross i Demelza pojechali do Werry House odwiedzić sir Hugh Bodrugana. Ross nie przepadał za sąsiadem, lecz wiedział, że żona w sekrecie marzy o wizycie w Werry House, odkąd po raz pierwszy ją tam zaproszono dziewięć miesięcy temu, i chciał sprawić jej przyjemność. Kiedy przyjechali, sir Hugh rozlewał gin do butelek, ale łaskawie przerwał tę czynność i zaprosił ich do wielkiego salonu, gdzie wśród swoich szczeniaków siedziała lady Constance Bodrugan.

Nie zachowywała się tak wulgarnie jak zwykle i tym razem nie przeklinała. Przyzwyczaiała się do myśli, że pasierb odczuwa dziwną sympatię do żony Rossa Poldarka pochodzącej z nizin społecznych. Wypili herbatę w bezpiecznej odległości od największego kominka, jaki Demelza kiedykolwiek widziała, otoczeni przez spaniele, szczeniaki dogów niemieckich i inne psy, które Constance karmiła ciastkami ze stołu. Prowadzili uprzejmą konwersację, przerywaną przez warczenie i kłapanie zębami zwierząt. Od czasu do czasu z kominka buchał wielki kłęb dymu, ale sala była tak wysoka, że zawisał nad głowami gości niczym baldachim, po czym ulatywał przez szczeliny w suficie. W tej szczególnej atmosferze Demelza popijała mocną herbatę i usiłowała dosłyszeć uwagi Constance na temat metod leczenia nosówki. Ross, wysoki i szczupły, siedział w zbyt niskim dla siebie fotelu z inteligentnym wyrazem na szczupłej twarzy, kiwał głową i zadawał grzeczne pytania Bodruganowi, który drapał się po gorsie koszuli i zastanawiał, jak byłoby mu w łóżku z Demelzą.

Po wypiciu herbaty sir Hugh postanowił pokazać Poldarkom dwór i stajnie, mimo że zbliżał się już zmierzch. Chodzili zimnymi korytarzami w towarzystwie dwóch stajennych z latarniami. Wspięli się po schodach na pierwsze piętro do wielkiej sali, niegdyś pokrytej pięknymi freskami, lecz teraz wilgotnej i cuchnącej stęchlizną, z trzeszczącą podłogą i popękаныmi oknami. Lady Bodrugan trzymała w niej żółte króliki w wielkich skrzyniach stojących pod jedną ze ścian. W skrzyniach po przeciwnej stronie znajdowały się szczenięta. Zaduch był trudny do zniesienia. W sąsiednim pomieszczeniu zobaczyli rodzinę sów,

kilka koszatek, chorą małpę i dwa szopy. Znów podążyli na dół i znaleźli się w korytarzu pełnym klatek z drozdami, szczygłami, kanarkami i kardynałami. Sir Hugh tak często ścisnął rękę Demelzy, że zastanawiała się, czy ta wycieczka nie jest pretekstem, by przebywać z nią w ciemnych, zimnych pomieszczeniach. W jednym z pokoi, gdzie hulały tak silne przeciągi, jakby przebywali na dworze, tylna latarnia zgasła i sir Hugh objął krótkim, grubym ramieniem kibić Demelzy. Wyślizgnęła się z lekkim szelestem jedwabiu i szybko podeszła do Rossa.

Stajnie były najlepiej utrzymaną częścią posiadłości. Znajdowało się tam wiele pięknych rumaków i sfera ogarów, lecz lady Bodrugan szybko stamtąd wyszła. Nie dbała o komfort gości, tylko myślała o koniach, które mogły się niepotrzebnie spłoszyć.

Wrócili do wielkiego salonu, gdzie od czasu ich wyjścia dym wyraźnie zgęstniał. Demelza nie opanowała jeszcze zasad wista, więc grali przez godzinę w kadryla i wygrała pięć szylingów. Później Ross wstał i powiedział, że muszą wracać, nim zerwie się wichura. Sir Hugh, mając być może niejasną nadzieję na dalsze poufałości, zaproponował, by przenocowali, lecz podziękowali i odmówili.

W drodze do domu Demelza uparcie milczała, czego nie tłumaczył nawet porywisty wiatr. Kiedy znaleźli się w osłoniętej kotlinie w pobliżu Nampary, powiedziała:

– Największe domy nie zawsze są najwygodniejsze, prawda, Ross?

– A arystokraci nie zawsze są czyści!

Roześmiała się.

– Nie miałam ochoty zostawać tam na noc. Koszmarne przeciągi! I bałam się, że zastanę w łóżku tę starą, chorą małpę!

– Och, moim zdaniem sir Hugh wcale nie jest chory...

Znów rozległ się perlisty śmiech Demelzy, natychmiast porwany przez wiatr.

– A mówiąc poważnie, po co mieć wielki dom, skoro nie można sprawić, żeby był przytulny? Brakuje im pieniędzy?

– Nie rozpaczliwie, ale stary sir Bob przepuścił większość, z wyjątkiem majoratu.

– To trochę dziwne mieć pasierba, który mógłby być twoim ojcem. – Demelza w dalszym ciągu leciutko chichotała. – Czy zechciałby ci pożyczyć dość pieniędzy, by odlewnia mogła na razie działać?

– Bardzo dziękuję. Wolałbym zlikwidować firmę w przyzwoity sposób.

– Nie ma nikogo innego? Stary pan Treneglos zgodziłby się pomóc? Dużo zarobił na kopalni, którą otworzyłeś. Ile potrzebujesz, by dalej działać?

– Co najmniej trzy tysiące funtów.

Demelza złożyła wargi w dziobek, jakby chciała zagwizdać, po czym powiedziała:

– Najbardziej martwię się o to, żebyś nie musiał sprzedawać udziałów w Wheal Leisure, Ross.

– Będę wiedział coś więcej, gdy porozmawiam z Harrisem Pascoem – odparł wymijająco. – Tak czy inaczej, nie zamierzam pożyczać od przyjaciół.

Rozdział trzeci

Nie chciał pożyczać pieniędzy od przyjaciół.

Powtarzał to sobie, wyjeżdżając do Truro w poniedziałek rano. W głębi serca zgadzał się z Demelzą, że jego szczęście polega na życiu z żoną i małą Julią, na pracy we własnej posiadłości i dbaniu o jej rozkwit. Niegdyś tak właśnie uważał i nic nie mogło tego zmienić. Powinien uznać ostatni rok za koszmar, który się wreszcie skończył i o którym najlepiej zapomnieć. Nic jednak nie mogło zatrzeć piętna klęski, nic nie mogło ukoić wściekłości z powodu triumfu Warlegganów.

I nic nie mogło złagodzić gorzkiego rozczarowania z powodu konieczności sprzedaży wszystkich udziałów w Wheal Leisure. Ross wiedział, że to nieodzowne, choć ukrywał ten fakt przed Demelzą. Utrata kopalni była najboleśniejszym ciosem.

Przy kępie sosen czekał Zacky Martin.

Kuc i koń w naturalny sposób szły w równym rytmie, ponieważ odbyły razem wiele podróży. Ross starał się zapomnieć o bieżących sprawach i spytał Zacky'ego o rodzinę. Martinowie byli twardymi ludźmi. Żona Zacky'ego kazała wszystkim pić w zimie obrzydliwie śmierdzący tran z sardynek; wydawało się, że im służy. Zacky powiedział, że troje dzieci Jinny czuje się dobrze, ona sama również jest w lepszym nastroju. W Wheal Leisure pracuje górnik o nazwisku Scoble, wdowiec w wieku trzydziestu pięciu lat, mieszka za Marasanvose, kapitan Poldark na pewno go zna.

– Masz na myśli Białą Głowę?

– Tak, jego. Nazywają go tak z powodu siwych włosów. Podoba mu się Jinny, tylko że ona nie chce o tym słyszeć. Nie żeby go nie lubiła, mówi, ale nie wyobraża sobie, by ktoś mógł zająć miejsce Jima. Matka na to: „Cóż, bardzo słusznie, ale musisz myśleć o trojgu małych dzieci, a to miły, spokojny człowiek, właściciel małej chaty, jeszcze nie stary i nie ma własnych dzieci”. Jinny mówi, że może za rok, że może się nad tym zastanowi, chociaż jeszcze nie teraz, na razie to niemożliwe. Matka na to: „Cóż, bardzo słusznie, ale on jest samotny i ty jesteś samotna, a mężczyźni nie zawsze czekają w nieskończoność, są też inne kobiety, które mogą skorzystać z okazji, bo nie mają mężów”.

– Twoja żona ma dużo racji – odpowiedział Ross. – I nie ma co się martwić o pozory. Znam pastora z Truro, nazywa się Halse, poślubił drugą żonę dwa miesiące po śmierci pierwszej. To normalne w wyższych sferach.

– Powtórzę Jinny. Może pomoże jej to podjąć decyzję. Niedobrze wychodzić za mężczyznę, którego się nie lubi, ale moim zdaniem Jinny nie ma nic przeciwko Białej Głowie. Myślę, że to małżeństwo dobrze by jej zrobiło, skoro pierwsze lody zostały przełamane.

Kiedy dotarli do rozwidlenia dróg w pobliżu kościoła w Sawle, zauważyli Dwighta Enysa. Ross mu pomachał i skręciłby w stronę rozstajów w Bargus, lecz Dwight dał mu znak, by się zatrzymał. Zacky pojechał do przodu, żeby nie przysłuchiwać się rozmowie.

Dwight zbliżył się i Ross spostrzegł, że młody człowiek jest blady jak trup.

Praca w czasie jesiennych epidemii ospy sprawiła, że stał się szanowanym lekarzem. Wszyscy pamiętali sprawę Keren i część okolicznych mieszkańców ciągle szeptała o tym za jego plecami, lecz nikt nie chciał, by się wyprowadził. Lubili młodego medyka, cenili jego pracę, potrzebowali jego pomocy. Po zamknięciu kopalni Grambler wielu dawnych pacjentów Choake'a zaczęło się leczyć u Enysa. Nie przynosiło to prawie żadnych dochodów, ale nigdy nie odmawiał. Próbował zmyć z siebie piętno hańby. Najczęściej spędzał czas samotnie.

– Wyglądasz jak człowiek potrzebujący wypoczynku – powiedział Ross. – Wybieram się dziś wieczorem do Harrisa Pascoe'a. Na pewno z radością cię powita.

Dwight pokręcił głową.

– Wykluczone, Ross. Mam mnóstwo pracy. Byłem nieobecny przez trzy dni i nie nadrobię zaległości nawet przez trzy miesiące.

– Powinieneś zostawić coś dla Choake’a. To niesprawiedliwy podział, bo ty leczysz stu biednych chorych, a on dziesięciu bogatych.

– Daję sobie radę – odpowiedział Enys. – W zeszłym tygodniu stary pan Treneglos wezwał mnie z powodu podagry, a wiesz, jak nie ufa medykom. – Uśmiech Dwighta zbladł. – Ale mam dla ciebie nie-dobre wiadomości. Chodzi o Francisca Poldarka. Słyszałeś? Podobno zachorował, on i jego mały synek.

– Och... nic o tym nie wiem. Widziałeś ich?

– Naturalnie zajmuje się nimi doktor Choake. Podobno cierpią na *Morbus strangulatorius*. Dusząca choroba. Krup.

Ross popatrzył na lekarza. Choroba ta pojawiała się w okolicy od blisko dziewięciu miesięcy. Nigdy nie przybrała postaci epidemii podobnie jak ospa lub febra, ale wybuchała w przypadkowych miejscach, niosąc straszliwe skutki. Czasami umierały na nią całe rodziny. Pojawiała się w którejś z wiosek, po czym na jakiś czas wygasiała.

– Zachorowali w zeszłym tygodniu – rzekł Dwight, marszcząc brwi, jakby czytał w myślach Rossa. – Szukałem informacji o poprzednich przypadkach. Podobno krup szalał w Kornwalii w czterdziestym ósmym. Od tamtego czasu panował względny spokój.

– Jaka jest przyczyna?

– Nikt nie wie. Niektórzy przypisują chorobę morowemu powietrzu, zwłaszcza w pobliżu wody. Trwają gorące dyskusje na ten temat, zwłaszcza odkąd Cavendish udowodnił, że powietrze palne jest flogistonem.

– Chciałbym, żebyś ich zbadał, Dwight. – Ross myślał o Elizabeth.

Młody lekarz pokręcił głową.

– Chyba że zostanę wezwany... Poza tym nie twierdzą, że znam remedium. Rezultaty zawsze są nie-przewidywalne. Czasami silni umierają, a słabi przeżywają. Choake wie tyle samo co ja.

– Nie umniejszaj swoich zdolności. – Ross zawahał się i zastanowił, czy powinien ulec impulsowi i natychmiast pojechać do Elizabeth. Byłby to chrześcijański uczynek. Zapomnieliby o dawnych urazach. Jednak nie mógł tego zrobić w chwili, gdy odlewnia upadała na jego oczach. Aukcja nie mogła czekać. I tak z trudem na nią zdąży.

Zastanawiał się nad tym wszystkim, gdy na szczycie wzgórza pojawił się doktor Choake i ruszył w ich stronę.

– Proszę mi wybaczyć – odezwał się Dwight. – Ten człowiek nieustannie próbuje podważyć moje kompetencje. Nie chcę się z nim spotykać. – Uchylił kapelusza i odjechał.

Ross czekał, aż Choake się zbliży. Gdyby koń Rossa nie blokował drogi, medyk minąłby go bez słowa.

– Dzień dobry, doktorze!

Lekarz popatrzył na niego spod nastroszonych brwi.

– Bylibyśmy wdzięczni, gdyby zechciał nas pan przepuścić, panie Poldark. Jedziemy w pilnej sprawie.

– Nie będę pana zatrzymywał. Ale słyszałem, że mój brat stryjeczny jest ciężko chory.

– Ciężko chory? – Choake spojrzał w stronę odjeżdżającego rywala. – Mój Boże, na pana miejscu nie wierzyłbym w każdą opowieść, jaka do pana dociera.

– Czy to prawda, że Francis cierpi na krup? – spytał sucho Ross.

– Wczoraj dokładnie go zbadałem. Wraca do zdrowia.

– Tak szybko?

– W porę powstrzymaliśmy gorączkę. Oczyszciliśmy panu Poldarkowi żołądek za pomocą środka wymiotnego i zaaplikowałem dużą dawkę kory peruwiańskiej. Wszystko zależy od fachowej kuracji. Może pan zasięgnąć informacji w Trenwith. – Choake podjął próbę przejechania obok Rossa. Czarnulka parsknęła i uderzyła kopytami w ziemię.

– A Geoffrey Charles?

– W ogóle nie choruje na gardło. Lekki atak malarii. Pozostali domownicy cierpią na owrzodzenia w gardle, czyli zupełnie inną dolegliwość. A teraz życzę panu miłego dnia.

Choake odjechał, a Ross spoglądał za nim przez chwilę, następnie zawrócił i ruszył za Zackym.

Aukcja dobiegła końca i zbliżał się obiad.

Wszystko poszło zgodnie z planem, cudzym planem. Jak zwykle postarano się, by Carnmore Copper Company nie zakupiła ani kilograma rudy miedzi. Kopalnie dobrze na tym wychodziły – dopóki odlewnia Carnmore stanowiła zagrożenie. Gdyby Zacky nie brał udziału w licytacji, ceny znów by spadły.

Ross zastanawiał się, czy kopalnie – pozostałe kopalnie – są rzeczywiście tak bezbronne, jak mogłoby się wydawać. Nie potrafiły się zjednoczyć przeciwko Warlegganom, więc musiały upadać po kolei. Było to okropne i przygnębiające.

Zajął miejsce przy długim stole jadalnym, mając po jednej stronie Zacky’ego, a po drugiej nadsztygara Henshawe’a, reprezentującego Wheal Leisure. Kiedy podano posiłek, nagle zauważył wchodzącego George’a Warleggana.

Jeszcze nigdy nie spotkał go na obiedzie odbywającym się po aukcji. Warleggan nie miał tu nic do roboty, bo chociaż posiadał pakiety kontrolne udziałów w wielu przedsiębiorstwach, zawsze działał za pośrednictwem agentów lub zarządców. Dziwne, że dziś raczył przybyć osobiście. Im był potężniejszy, tym bardziej trzymał się w cieniu. W sali zapadła cisza. Wszyscy słyszeli o panu Warlegganie. Wiedzieli, że potrafi bez litości niszczyć przeciwników i bywa hojny dla przyjaciół. George Warleggan uniósł wzrok i pochwycił spojrzenie Rossa. Uśmiechnął się lekko i skinął wypielęgnowaną dłonią w geście pozdrowienia.

Był to znak do rozpoczęcia obiadu.

Ross umówił się z Richardem Tonkinem w gospodzie Pod Siedmioma Gwiazdami przed przybyciem pozostałych udziałowców Carnmore Copper Company. Kiedy wyszedł z gospody Pod Czerwonym Lwem, zauważył obok siebie Warleggana. Ruszyli w tym samym kierunku.

– Cóż, Ross, rzadko cię teraz widzimy w Truro – rzekł przyjaźnie George, jakby nie istniał między nimi konflikt. – Wczoraj wieczorem Margaret Vosper wyraziła żal, że nie przychodzisz na nasze przyjęcia karciane.

– Margaret Vosper?

– Nie słyszałeś? Przed czterema miesiącami Margaret Cartland stała się Margaret Vosper i biedny Luke już gaśnie. Jest w niej coś zgubnego. Jej mężowie nie są w stanie wytrzymać tempa. Wspina się coraz wyżej i w końcu poślubi lorda albo baroneta.

– Nie ma w niej nic zgubnego – odparł Ross. – To po prostu apetyt na życie. Chciwość jest zawsze niebezpieczna.

– A ten apetyt sprawia, że wysysa życie ze swoich kochanków? Cóż, powinieneś coś o tym wiedzieć. Wspominała, że kiedyś miała ochotę cię poślubić. Byłby to ciekawy eksperyment, na Boga! Wyobrażam sobie, że miałyby twardy orzech do zgryzienia.

Ross zerknął na swojego towarzysza, gdy przechodzili przez ulicę. Nie widzieli się od ośmiu miesięcy i Ross pomyślał, że George staje się coraz swobodniejszy. Za młodu starał się ukrywać swoje cechy

związane z niskim pochodzeniem, usiłował naśladować typowego arystokratę, wyrafinowanego, beznamiętnego, kurtuazyjnego. Teraz, gdy odniósł sukces i zdobył rzeczywistą władzę, znajdował przyjemność w epatowaniu prostactwem. Zawsze próbował ukrywać byczy kark pod eleganckimi halsztukami, a obecnie wręcz go podkreślał, chodząc z głową wysuniętą do przodu i nosząc długą laskę. Niegdyś mówił nieco piskliwym głosem, choć z natury dysponował basem. Obecnie przestał go kontrolować, a elegancie zwroty, którymi nauczył się posługiwać, brzmiały dziwacznie. Miał wielką głowę, wydatny nos, grube wargi, duże oczy. Dysponował ogromnym majątkiem i w tej chwili zależało mu tylko na władzy. Uwielbiał, gdy ludzie wskazywali go palcami na ulicy. Cieszył się, że budzi strach.

– Jak się miewa twoja żona? – spytał. – Rzadko się pokazujecie. Wywarła na wszystkich wielkie wrażenie w czasie balu, a potem nikt jej nie widział.

– Nie mamy czasu na życie towarzyskie – odparł Ross. – I tak nie zjednalibyśmy żadnego ze swoich wrogów.

George puścił uwagę Rossa mimo uszu.

– Naturalnie jesteś bardzo zajęty. Prowadzenie odlewni zajmuje mnóstwo czasu. – Zręczna odpowiedź.

– Odlewni i Wheal Leisure.

– Szcześciarz z ciebie. Wheal Leisure to dobra kopalnia. Znakomita ruda i łatwo odwadniać wyrobiska. Jedna z nielicznych kopalni w dalszym ciągu przynoszących zyski. Zdaje się, że wkrótce na rynku pojawi się trochę udziałów.

– Doprawdy? Czyich?

– Rozumiem, że twoich – odparł cicho George.

Dotarli do drzwi gospody Pod Siedmioma Gwiazdami. Ross zatrzymał się i obrócił w stronę Warleggana. Już w szkole niezbyt się lubili, lecz nigdy nie doszło między nimi do otwartego konfliktu. Ziarna wrogości, zasiane w różnych okresach, nie wydały jeszcze owoców. W tej chwili minione lata stały się nieznośnym ciężarem.

– Wybacz mi, jeśli wprowadzono mnie w błąd – rzekł chłodnym tonem George. – Słyszałem pogłoski na ten temat.

Odpowiedź Warleggana nieco rozładowała atmosferę. George nie obawiał się fizycznie Rossa, ale nie mógł sobie pozwolić na to, że spotka go despekt. Poza tym kłótnia z dżentelmenem mogła się nie zakończyć na bójce, lecz mieć znacznie poważniejsze konsekwencje.

– Wprowadzono cię w błąd – stwierdził Ross, spoglądając na Warleggana ponurym wzrokiem.

George zgarbił ramiona, wsparty na lasce.

– Szkoda. Zawsze szukam korzystnych inwestycji. Jeśli kiedykolwiek usłyszysz, że ktoś zamierza sprzedać udziały Wheal Leisure, daj mi znać. Zapłacę trzynaście funtów i piętnaście szylingów za udział, czego w obecnej sytuacji nie uzyskałbyś... czego nikt nie uzyskałby na wolnym rynku. – Zerknął ze złością na wyższego mężczyznę.

– Nie mam kontroli nad swoimi wspólnikami – odparł Ross. – Najlepiej, gdybyś sam się do nich zwrócił. Co do mnie, wolałbym raczej spalić swoje udziały.

George spojrział na drugą stronę ulicy.

– Jest tylko jeden kłopot z Poldarkami – rzekł po chwili. – Nie potrafią się przyznać do porażki.

– Kłopot z Warlegganami polega na tym, że nigdy nie wiedzą, kiedy są niemile widziani – odparł Ross.

George oblał się rumieńcem.

– Jednak potrafią zapamiętać afront.

– Cóż, mam nadzieję, że ten zapadnie ci w pamięć – odparł Ross i szedł po schodkach do gospody.

Rozdział czwarty

Złe nowiny z Trenwith dotarły do Demelzy dopiero po południu. Betty Prowse powiedziała, że zachorowało troje młodszych członków rodziny Poldarków, z wyjątkiem ciotki Agathy, a ponadto troje spośród czworga służących. Podobno Geoffrey Charles był bliski śmierci i nikt nie wiedział, co robić. Demelza dopytywała się o szczegóły, lecz Betty nie wiedziała nic więcej. Demelza zajęła się pieczeniem ciasta.

Jednak nie na długo. Wzięła na ręce Julię, która raczkowała u jej stóp, i zaniósła dziewczynkę do salonu. Usiadła na dywanie przed kominkiem i bawiła się z córką, zmagając się z dręczącymi myślami.

Nie miała żadnych zobowiązań wobec Poldarków z Trenwith. Francis zabronił jej zbliżyć się do dworu i zdradził ich Warlegganom. Zachował się wstrętne, zasługiwał na pogardę.

Poproszą o pomoc kogoś innego, może państwa Teague'ów lub jednego z kuzynów Tremeneheere mieszkających dalej na zachodzie. Zajmie się tym doktor Choake. Dadzą sobie radę.

Demelza potoczyła szmaccianą piłkę do Julii, a dziewczynka chwyciła ją i usiłowała rozerwać, zapomniawszy o matce.

Nie istniały żadne powody, żeby Demelza jechała do Trenwith. Wszyscy pomyślą, że usiłuje się wkraść w łaski rodziny Rossa i zakończyć spór. Dlaczego miałyby go kończyć, skoro Elizabeth jest jej rywalką? W ciągu ostatniego roku Elizabeth nie zachowywała się prowokująco, lecz mimo wszystko stanowi zagrożenie. Kiedy Ross zobaczy jej kruche piękno, jasne włosy... Elizabeth to zagadka, nieosiągalny szczyt marzeń. Demelza wiedziała, że sama zawsze pozostanie tylko żoną, kobietą pozbawioną tajemniczości, wierną jak pies pasterski, śpiącą każdej nocy w tym samym łóżku co mąż. Byli sobie bliscy, lecz ich związek stał się mniej podniecający. Wyobrażała sobie, że tak traktuje to Ross. Nie, lepiej to zostawić. I tak za bardzo się wtrąca w sprawy rodziny męża.

– Ach, niegrzeczna dziewczynka! – zawołała. – Nie psuj piłki, Julio! Rzuć ją mamusi. No już! Pchnij rączką! O tak!

Ale właśnie to, że się wtrącała, nakładało na Demelzę szczególne zobowiązania. Gdyby nie zaaranżowała małżeństwa Verity, siostra Rossa opiekowałaby się całą rodziną. Gdyby nie intrygowała, Francis nie pokłóciłby się z Rossem i go nie zdradził. Czy to wszystko jej wina? Czasami podejrzewała, że Ross tak uważa. Kiedy budziła się w środku nocy, ogarniało ją poczucie winy. Wyrzała przez okno. Dwie godziny do zachodu słońca. Aukcja już się skończyła. Ross nie wróci dziś wieczorem do domu, więc Demelza nie może go poprosić o radę. Lecz nie potrzebuje jego rad. Wiedziała to, co wiedziała.

Julia bawiła się na dywanie, a Demelza podeszła do dzwonka. Ale nie pociągnęła za sznur. Nie mogła się przyzwyczaić, że ma służbę.

Ruszyła do kuchni.

– Jane, wychodzę na chwilę, spodziewam się wrócić przed zmrokiem. Jeśli mnie nie będzie, czy mogłabyś położyć Julię spać? Zagotuj mleko i nakarm ją.

– Tak, pani.

Demelza poszła na górę po pelerynę.

Udziałowcy zgromadzili się w prywatnej sali gospody Pod Siedmioma Gwiazdami. Było ich niewielu. Panował przygnębiający nastrój. Przewodniczył lord Devoran, gruby mężczyzna w tabaczkowym surducie, zakatarzony z powodu częstego zdejmowania peruki.

– Cóż, panowie – zaczął wyniośle – bilans przedstawiony nam przed chwilą przez pana Johnsona wydaje się bardzo rozczarowujący. Przedsiębiorstwo powstało zaledwie czternaście miesięcy temu i wiązaliśmy z nim wielkie nadzieje. Zainwestowałem w nie sporą sumę i podejrzewam, że większość z nas straciła na tym interesie. Prawda jest taka, że ugryźliśmy więcej, niż jesteśmy w stanie przełknąć,

i musimy się z tym pogodzić. Wiem, że niektóre osoby czują rozgoryczenie z powodu taktyki, jaką przyjęto w walce z nami, i ja również nie jestem zadowolony. Ale wszystko odbyło się zgodnie z prawem i niczego nie da się zmienić. Nie mamy środków, by dalej prowadzić działalność. – Devoran umilkł i zażył szczyptę tabaki.

– Jeśli ktoś zakłada przedsiębiorstwo mające dobre perspektywy, z łatwością może znaleźć wiele osób chcących zainwestować niewielkie kwoty – stwierdził Tonkin. – O wiele trudniej znaleźć ludzi gotowych wesprzeć firmę, która popadła w tarapaty, albo kupić jej udziały nagle rzucone na rynek. Inwestorzy wiedzą, że przedsiębiorstwo ma trudności, i nie chcą ryzykować.

– Nasza spółka miałaby znacznie większe szanse osiągnięcia sukcesu, gdyby udziałowcami były tylko osoby o pewnym kredycie – zauważył sir John Trevaunance.

– Trudno prowadzić śledztwo w sprawie sytuacji finansowej ludzi mających dobre intencje – odparł Tonkin. – I oczywiście nikt się nigdy nie spodziewał, że lista udziałowców stanie się publicznie znana.

– Och, wie pan, jak to jest w naszych stronach – zauważył sir John. – Nikt nie potrafi utrzymać niczego w tajemnicy nawet przez pięć minut. Wierzę, że to coś w powietrzu. Może wilgoć skłania do zwierzeń.

– Cóż, czyjeś zwierzenia wiele nas kosztowały – rzekł Tonkin. – Straciłem posadę i większość oszczędności życia.

– Mnie czeka bankructwo – powiedział Harry Blewett. – W tym miesiącu musimy zamknąć Wheal Maid. Prawdopodobnie trafię do więzienia za długi.

– Gdzie jest dziś wieczorem Penvenen? – spytał Ross.

Zapadło milczenie.

– Cóż, nie patrzcie na mnie – odezwał się sir John. – Nie jestem jego opiekunem.

– Przestał się interesować tonącym okrętem – zauważył z goryczą Tonkin.

– Jest bardziej zainteresowany walcownią niż odlewnią – dodał Johnson.

– Skoro już mówimy o tonącym okręcie, moim zdaniem można uznać, że okręt już zatonął. To nie dezercja. Kiedy ktoś wpada do wody, jest zrozumiałe, że stara się dopłynąć do brzegu.

Ross obserwował twarze współników. Na obliczu sir Johna malowało się leciutkie zadowolenie, którego nie zauważył przed Bożym Narodzeniem. W tym przedsięwzięciu sir John miał najwięcej do stracenia – choć nie tak wiele w porównaniu ze swoim majątkiem. Ogromne piece hutnicze należące do odlewni stały na jego ziemi. W krótkim okresie istnienia przedsiębiorstwa tylko on uzyskał jakiś zwrot włożonego kapitału w postaci opłat portowych, dodatkowych dochodów z węglowców, dzierżawy ziemi i innych źródeł. Ta zmiana wydawała się zdumiewająca. Czyżby w czasie Bożego Narodzenia zauważył możliwość ratunku, której inni nie dostrzegli?

Ross przez cały czas starał się wyczuć nastroj współników. Miał nadzieję, że część z nich okaże większą wolę walki, ale nawet Tonkin wydawał się zrezygnowany. Mimo to Ross postanowił podjąć ostatnią próbę podtrzymania ich morale.

– Nie zgadzam się z opinią, że przegraliśmy – powiedział. – Chciałbym przedstawić pewną sugestię. Jej realizacja mogłaby sprawić, że przetrwamy trudne miesiące do wiosny.

Tego popołudnia dwór w Trenwith wydawał się szary i zimny. Może to tylko wyobraźnia Demelzy, pamiętającej ostatnią wizytę? A może wiedziała, co teraz kryje się w domu?

Pociągnęła za sznur dzwonka przy drzwiach frontowych i wyobraziła sobie, że słyszy go gdzieś w kuchni po drugiej stronie wewnętrznego dziedzińca. Ogród był zarośnięty, trawnik opadał aż do strumienia, a zielony staw pokrywała rześa. Demelza zauważyła w nim dwa kuliki, które na jej widok pochyliły czubate łebki i odleciały.

Znów pociągnęła za dzwonek. Cisza. Nacisnęła wielką klamkę i ciężkie drzwi otworzyły się ze zgrzy-

tem.

Duża sień była pusta. Chociaż wysokie okna podzielone szprosami wychodziły na południe, we dworze panował już półmrok. Rzędy portretów rodzinnych na końcu sieni i na schodach były ciemne z wyjątkiem jednego. Snop bladego światła z okna padał na portret rudowłosej Anny-Marii Trenwith, która, jak mówiła ciotka Agatha, urodziła się w okresie panowania starego Rowleya, czyli Karola II. Miała owalną twarz, a jej błękitne oczy spoglądały na trawnik za oknem.

Demelza zadygotała. Dotknęła długiego stołu i na palcu pozostał ślad kurzu. Wnętrze dworu pachniało ziołami. Postąpiłaby rozsądniej, gdyby zgodnie ze swoim starym zwyczajem weszła od tyłu. W tej samej chwili gdzieś na górze trzasnęły drzwi.

Weszła do wielkiego salonu i zastukała. Drzwi były uchylone. Otworzyła je szerzej. Meble znajdujące się w pustym, zimnym pomieszczeniu przykrywały zakurzone pokrowce.

A zatem była to nieużywana część dworu. Zaledwie dwa lata temu po raz pierwszy przyjechała do Trenwith przed narodzinami Julii, czuła mdłości, wypita pięć szklaneczek porto i śpiewała dla dam i dżentelmenów, których nigdy wcześniej nie widziała. Był tam podchmielony John Trenegłos, jego złośliwa żona Ruth, George Warleggan i kochana Verity. Dwór, czysty i oświetlony płomieniami świec, wydawał się wtedy ogromny i wspaniały jak zamek z baśni. Od tamtej pory widziała pałac Warlegganów w Truro, gmach Assembly Rooms, Werry House. Była teraz doświadczona i dorosła. Ale wtedy czuła się szczęśliwsza.

Usłyszała kroki na schodach i szybko wróciła do sieni.

W półmroku niepewnie schodziła stara kobieta, trzymając się kurczowo poręczy. Miała na sobie suknię z czarnej satyny i białą mantylkę nasuniętą na perukę.

Demelza szybko ruszyła naprzód.

Ciotka Agatha przystanęła. Starcze drżenie ustało. Spojrzała na Demelzę oczami, wokół których było mnóstwo zmarszczek.

– Eee... co? To ty, Verity? Wróciłaś, prawda? Najwyższa pora...

– Nie, to ja, Demelza. – Podniosła głos. – Demelza, żona Rossa. Przyszłam spytać, co się dzieje.

– Co takiego? Ach tak, kwiatusek Rossa. Niezbyt dobra pora na wizyty. Wszyscy chorują, wszyscy z wyjątkiem mnie i Mary Bartle. Ma z nimi tyle roboty, że nie zawraca sobie głowy starą kobietą. Mogę głodować! Nic ich nie obchodzi! Do licha, stary człowiek potrzebuje takiej samej opieki jak młodzi! – Trzymała się kurczowo poręczy, a po jej policzku spłynęła łza, która po chwili utonęła wśród zmarszczek. – Dwór jest źle prowadzony, ot co! Po odejściu Verity zapanował bałagan. Nigdy nie powinna się wyprowadzać, rozumiesz? Postąpiła samolubnie, uciekając do tamtego mężczyzny. Miała obowiązek zostać. Jej ojciec zawsze tak uważał. Nigdy mnie nie słuchała. Zawsze była uparta. Pamiętam, jak miała pięć lat...

Demelza prześlizgnęła się obok ciotki Agathy i wbiegła po schodach.

Wiedziała, gdzie się znajdują sypialnie, a kiedy skręciła za róg korytarza, z jednego z pokoi wyszła starsza kobieta o czarnych włosach, niosąc miskę z wodą. Demelza zorientowała się, że to ciotka Sarah Tregeagle, żyjąca bez ślubu z wujem Benem. Kobieta dygnęła na jej widok.

– Są tam?

– Tak, proszę pani.

– Opiekujesz się nimi?

– Wezwał mnie doktor Tommy, proszę pani. Ale tak naprawdę jestem położną, jak pani wie. Przycho-dzę, bo nie ma nikogo innego. Zwykle zajmuję się odbieraniem porodów.

Demelza popatrzyła na odchodzącą kobietę, trzymając dłoń na klamce. Ciotka Sarah nieuważnie rozle-wała wodę na podłogę. Nie nadawała się na pielęgniarkę dla arystokratów. Zapach ziół się nasilił.

Otworzyła cicho drzwi i weszła do pokoju.

Ross nie poszedł do Harrisa Pascoe'a natychmiast po zebraniu udziałowców. Pascoe jadł kolację dopiero o ósmej, a Ross nie miał ochoty spędzać godziny na uprzejmej rozmowie z damami.

Spacerował bocznymi uliczkami niewielkiego miasta. Nie zastanawiał się nad sprawami odlewni. Zamiast tego myślał o sobie i swojej rodzinie, o ojcu hulace, który stale wpadał w kłopoty, uwodził kolejne kobiety, pojedynkował się z mężami i ojcami, by umrzeć jako cyniczny, pozbawiony złudzeń, uparty człowiek. Myślał o Demelzie i o tym, jak kłótnia z Francisem wpłynęła na ich stosunki małżeńskie. Nie powinno to nastąpić, lecz jednak nastąpiło – pojawił się między nimi cień rezerwy, bariera utrudniająca osiągnięcie prawdziwej bliskości. Myślał o Garricku, o Julii, śmiejącej się radośnie, pochłoniętej zabawami, wolnej od trosk spowodowanych złożonością świata. Myślał o Marku Danielu przebywającym w obcym kraju i zastanawiał się, czy osiedli się tam na stałe, czy też pewnego dnia tęsknota za ojczyzną skusi go do powrotu w cień szubienicy. Myślał o chorobie w Trenwith i o Verity.

Znalazł się za miastem i ruszył w stronę wezbranej rzeki, patrząc na światła statków i latarnie poruszające się w porcie. Przy nabrzeżu cumowały trzy żaglowce: dwa niewielkie szkunery i spora brygantyna. Zbliżywszy się, Ross dostrzegł reje grotmasztu. Był to ładny, nowy statek, niedawno odmalowany, z rufówką z lśniącymi mosiężnymi ozdobami. Pomyślał, że z powodu dużego zanurzenia brygantyna może bezpiecznie wpływać do Truro tylko w czasie przyływu. Właśnie dlatego na pokładzie panowała w tej chwili gorączkowa krzątanina.

Podążył w kierunku drzew rosnących na brzegu rzeki, po czym zawrócił. Chociaż na niebie nie świecił księżyc, widział z tego miejsca zatokę, maszty żaglowców, a za nimi światła Truro błyskające w ciemności.

Kiedy zbliżył się do brygantyny, zauważył kilku ludzi wchodzących na pokład. Na szczycie trapu stali marynarze z latarniami, a gdy jeden z mężczyzn dotarł do furty w burcie, na jego twarz padło światło. Ross instynktownie ruszył za nim, lecz natychmiast się zatrzymał. Nie mógł nic zrobić temu człowiekowi.

Odszedł w zamyśleniu. Po chwili obejrzał się i spojrzał na żaglowiec, ale mężczyźni znikli pod pokładem. Minął go marynarz.

– Jesteś z „Queen Charlotte”? – spytał Ross pod wpływem impulsu.

Marynarz zatrzymał się i obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem.

– Nie, panie. Z „Fairy Vale”. Dowódca kapitan Hodges.

– „Queen Charlotte” to piękny statek – ciągnął Ross. – Przy pływał już do nas?

– Tak, zawija do Truro trzy czy cztery razy do roku.

– Jak się nazywa dowódca?

– Kapitan Bray, panie. Zdaje się, że zaraz wychodzi w morze.

– Wiesz, co wiezie?

– Głównie zboże. I sardynki. – Marynarz odszedł.

Ross spoglądał na statek jeszcze przez chwilę, potem się odwrócił i ruszył w stronę miasta.

Na środku sypialni stał niewielki koksownik, na którym bulgotał napar z odkażających ziół, wypełniając pomieszczenie ciężką wonią kadzidła. Demelza zastała wszystkich w jednym pokoju. Geoffrey Charles spał w małym łóżeczku w alkowie. Elizabeth siedziała obok.

Ulga z powodu przybycia Demelzy sprawiła, że nawet jeśli Elizabeth czuła do niej pewną niechęć, w tej chwili poszła ona w niepamięć.

– Ach, Demelzo, jak to miło z twojej strony! Jestem... Jestem zrozpaczona. Mamy straszne kłopoty. Jak to miło z twojej strony... Mój biedny mały synek...

Demelza popatrzyła na chłopca. Geoffrey Charles z trudem łapał powietrze. Rzęził i wydawało się, że każdy oddech sprawia mu ból. Miał zaczerwienioną, skurczoną buzię i półprzymknięte powieki. Za uszami i na karku widać było czerwone plamki. Jedna rączka zaciskała się i otwierała w rytm oddechów.

– Dostaje... dostaje konwulsji, a potem kaszle albo wymiotuje – wymamrotała Elizabeth. – Przynosi mu to ulgę, ale... ale tylko na krótko i wszystko zaczyna się od początku.

Mówiła łamiącym się, zrozpaczonym głosem. Demelza popatrzyła na jej zarumienioną twarz, rozczochrane jasne włosy, wielkie lśniące szare oczy.

– Ty też jesteś chora, Elizabeth. Powinnaś leżeć w łóżku.

– To tylko lekka gorączka, nic poważnego. Mogę chodzić. Och, mój biedny synek... Bez przerwy się modłę...

– A Francis?

Elizabeth rozkasłała się i z trudem przełknęła ślinę.

– Czuje się... czuje się trochę lepiej. Och, moje biedne kochanie... gdybym tylko mogła mu jakoś pomóc... Smarujemy mu gardło szałwią, ale to przynosi tylko niewielką ulgę...

– Kto to taki? – spytał z łóżka Francis. Jego głos był prawie nie do rozpoznania.

– Demelza. Przyszła nam pomóc.

Zapadło milczenie.

– Dobrze, że zapomniała o dawnych kłótniach... – wychrypiał wreszcie Francis.

Demelza odetchnęła.

– Gdyby... gdyby służba nie była chora, dalibyśmy sobie jakoś radę... – ciągnęła Elizabeth. – Ale jest tylko Mary Bartle... Tom Choake przekonał ciotkę Sarah... To nie jest przyjemne zajęcie... Nie znalazł nikogo innego...

– Nie mów więcej – przerwała Demelza. – Powinnaś leżeć w łóżku. Posłuchaj, Elizabeth, ja... nie wiedziałam, czy przychodząc tu, będę musiała zostać na dłużej. Nie wiedziałam, jak sobie radzicie...

– Ale...

– Ale ponieważ potrzebujecie pomocy, zostanę tak długo, jak będę mogła. Ale najpierw... niedługo... bardzo niedługo... muszę szybko iść do Nampary, porozmawiać z Jane Gimlett i kazać jej zająć się Julią. Potem wrócę.

– Dziękuję. Gdybyś mogła zostać choćby na jedną noc. To wielka ulga mieć kogoś do pomocy. Jeszcze raz dziękuję. Słyszałeś, Francis? Demelza pomoże nam dziś w nocy.

Otworzyły się drzwi i do pokoju weszła ciotka Sarah Tregeagle z miską czystej wody.

– Ciotko Sarah, pomóż mi położyć panią Poldark do łóżka – powiedziała Demelza. – Powinna leżeć.

Ross zjadł kolację w domu Harrisa Pascoe'a. Kiedy damy opuściły jadalnię, gospodarz poczęstował Rossa portem i spytał:

– Cóż, jakie dziś nowiny?

Ross popatrzył na ciemne wino wypełniające kieliszek.

– Jesteśmy skończeni. Jutro zamkniemy odlewnię.

Bankier pokiwał głową.

– Jeszcze raz próbowałem ich przekonać do zmiany decyzji – ciągnął Ross. – Cena miedzi wzrosła po raz pierwszy od kilku lat. Zasugerowałem, że powinniśmy wytrzymać jeszcze pół roku. Zaproponowałem, by robotnicy obsługujący piece mieli udział w zyskach. Każda kopalnia to robi, gdy zawiera umowy ze sztygarami zmianowymi. Namawiałem do podjęcia ostatniego wysiłku. Kilka osób skłaniało się do mojego zdania, ale wpływowi udziałowcy nie chcieli o tym słyszeć.

– Zwłaszcza sir John Trevaunance – domyślił się bankier.

– Tak. Skąd pan wie?

– Ma pan rację co do ceny miedzi. Dziś dostałem wiadomość: znowu wzrosła o trzy funty.

– Czyli o sześć funtów w sześć tygodni.

– Ale niech pan pamięta, że mogą upłynąć lata, nim cena osiągnie opłaczalny poziom.

– Skąd pan wiedział, że sir John sprzeciwił się mojej propozycji?

Harris Pascoe oblizał wargi i zrobił niewinną minę.

– Nie tyle pańskiej propozycji, ile planom kontynuacji przedsięwzięcia. Domyśliłem się tego na podstawie pogłosek.

– Jakich?

– Że sir John, który przez rok próbował płynąć pod wiatr, teraz zamierza żeglować z wiatrem. Stracił okrągłą sumkę i ma wielką ochotę ją sobie odbić. Nie chce, żeby odlewnia była wiecznie nieczynna.

Ross przypomniał sobie głos sir Johna na wieczornym zebraniu, a także nieobecność Raya Penvenena.

Wstał.

– Chce pan powiedzieć, że sprzeda ją Warlegganom?

Niski bankier sięgnął po kieliszek z winem.

– Sądzę, że zamierza zawrzeć z nimi pewien układ. Poza tym nie mam żadnych wiadomości.

– Trevaunance i Penvenen odrobią straty, a reszta udziałowców splajtuje.

– Moim zdaniem jest dość prawdopodobne, że powstanie tymczasowa spółka i że Warlegganowie będą w niej mieli swojego przedstawiciela.

Ross milczał, wpatrując się w książki na półkach gabinetu.

– Proszę mi powiedzieć – rzekł. – Dziś wieczorem wydawało mi się, że widziałem w porcie Matthew Sansona wchodzącego na pokład statku. Czy to możliwe?

– Tak, wrócił do Truro przed kilkoma miesiącami.

– Pozwolono mu wrócić i prowadzić handel, jakby nic się nie stało? Czy Warlegganowie są absolutnymi panami tego okręgu?

– Nikt nie przejmuje się Sansonem na tyle, by wywoływać awanturę. Oszukał tylko czterech lub pięciu ludzi, a do tego niezbyt wpływowych.

– A statek, na którym pływa?

– Należy do spółki Warlegganów. Mają dwa żaglowce: „Queen Charlotte” i „Lady Lyson”. Dochodowa działalność uboczna, nie ma co do tego wątpliwości.

– Na pańskim miejscu drżałbym o własną duszę – powiedział Ross. – Czy jest w tym mieście inny człowiek, którego nie kontrolują?

Pascoe się zaczerwienił.

– Lubię ich trochę bardziej niż pan. W tej chwili przemawia przez pana gorycz. Przeciętny mieszkaniec okręgu uważa ich po prostu za bogatych, wpływowych ludzi. Pan zna ich od innej strony, ponieważ postanowił pan rzucić im wyzwanie. Przykro mi, bardzo przykro, że przedsięwzięcie się nie powiodło. Gdyby wystarczyła tylko dobra wola, niewątpliwie odniósłby pan sukces.

– Ale dobra wola nie wystarczyła – odparł Ross. – Potrzebne były pieniądze.

– To nie było moim zamierzeniem – rzekł po chwili bankier. – Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, i poniosłem straty.

– Wiem – odparł Ross. – Fiasko sprawia, że człowieka ogarnia gorycz. – Znowu usiadł. – Cóż, w końcu przychodzi czas rozliczeń. Miejmy to wreszcie za sobą. Przedsiębiorstwo wyjdzie prawie na zero, co oznacza, że pozostają tylko moje prywatne długi. Ile jestem panu winien?

Harris Pascoe poprawił okulary w stalowej oprawie.

– Niezbyt wielką sumę. Jakieś... dziewięćset funtów lub trochę mniej. Zabezpieczeniem jest hipoteka

pańskiej posiadłości.

– Pokryje to sprzedaż moich udziałów w Wheal Leisure wraz z dywidendą, którą niedawno ustaliliśmy.

– Pokryje z nawiązką. Tak się składa, że zaledwie wczoraj ktoś pytał o udziały Wheal Leisure. Propo- nował osiemset dwadzieścia pięć funtów za sześćdziesiąt udziałów.

– Jest jeszcze jedna drobna kwestia – rzekł Ross. – Harry Blewett z Wheal Maid jest w znacznie gor- szej sytuacji ode mnie. Boi się, że trafi do więzienia za długi, i wcale mnie to nie dziwi. Udziały i dywi- denda to mniej więcej tysiąc funtów. Chciałbym przekazać mu to, co zostanie po spłacie moich długów. Może uda mu się dzięki temu przetrwać.

– Więc chce pan, żebyśmy sprzedał udziały za tę cenę?

– Jeśli nie da się wyciągnąć więcej.

– Cena na otwartym rynku byłaby niższa. Trzyście funtów i pięć szylingów za akcję to niezły grosz jak na dzisiejsze czasy.

– Trzyście funtów... – Kieliszek nagle pękł w dłoni Rossa i czerwone wino spłynęło mu po ręce.

Pascoe zbliżył się do niego.

– Co się stało? Jest pan chory?

– Nie – odpowiedział Ross. – Zupełnie zdrowy. Pański kieliszek miał delikatną nóżkę. Mam nadzieję, że to nie pamiątka rodowa.

– Nie. Ale coś...

– Zmieniłem zdanie – oświadczył Ross. – Nie sprzedam udziałów.

– Zwrócił się do mnie człowiek nazwiskiem Coke...

Ross wyjął chusteczkę i wytarł dłonie.

– Człowiek nazwiskiem Warleggan.

– Nie, nie, zapewniam pana. Skąd to panu...

– Nie obchodzi mnie, kto ich reprezentuje. To ich pieniądze i nie dostaną udziałów.

Podając Rossowi następną kieliszek, Pascoe wydawał się nieco zdziwiony.

– Nic o tym nie wiem. Rozumiem, co pan czuje. Ale to dobra propozycja.

– Nie zostanie przyjęta – odparł Ross. – Wolałbym sprzedać dwór i ziemię. Przykro mi, Harris. Musi pan poczekać na swoje pieniądze jeszcze miesiąc lub dwa. Jakoś je zdobędę. A co do mojej kopalni, Warlegganowie mogą się obejść smakiem, nawet gdybym miał iść do więzienia za długi.

Rozdział piąty

Kiedy zaanonsowano Rossa, notariusz Pearce grał z córką w cribbage. Panna Pearce, elegancka młoda kobieta w wieku dwudziestu pięciu lat, która nie potrafiła eksponować swojej urody, natychmiast wstała i wyszła, a Pearce odsunął stolik, poprawił ogromnym pogrzebaczem polana w kominku i poprosił, by Ross usiadł.

– Cóż, kapitanie, pana wizyta jest wielką niespodzianką. Czy miałby pan ochotę zagrać w cribbage? Gra z Grace jest zawsze trochę nudna, bo nie chce zaryzykować ani pensa.

Ross odsunął fotel od ognia.

– Potrzebuję pańskiej rady i pomocy.

– Cóż, drogi panie, zrobię wszystko, co w mojej mocy.

– Potrzebuję tysiąca funtów pożyczki bez zabezpieczenia.

Pan Pearce uniósł brwi. Podobnie jak inni udziałowcy Wheal Leisure, nie zaangażował się w wojnę z odlewniami miedzi. Ale doskonale zdawał sobie sprawę z jej przebiegu.

– Hm. To dość nietypowa prośba. Bez zabezpieczenia, tak pan powiedział? Zwracał się pan do Cary’ego Warleggana?

– Nie – odparł Ross. – I nie zamierzam.

– Rozumiem, rozumiem... Ale to bardzo trudna sprawa. Jeśli nie ma pan zabezpieczenia, co może pan zaoferować?

– Słowo honoru.

– Tak, tak. Tak, tak... Ale to w gruncie rzeczy przyjacielska umowa. Zwracał się pan do swoich przyjaciół?

– Nie. Chciałbym, by pozostało to transakcją handlową. Zapłacę za pożyczkę.

– Zapłaci pan? Ma pan na myśli procent? Tak... Ale kredytodawca może się niepokoić o swój kapitał. Dlaczego nie sprzeda pan udziałów w Wheal Leisure, skoro tak bardzo potrzebuje pan gotówki?

– Właśnie tego staram się uniknąć.

– Ach tak... – Purpurowa twarz pana Pearce’a nie miała zachęcającego wyrazu. – A pański majątek?

– Już jest zadłużony.

– Na jaką kwotę?

Ross wymienił sumę, a Pearce zażył szczyptę tabaki.

– Myślę, że Warlegganowie zgromadziliby tę kwotę, gdyby przeniósł pan na nich dług hipoteczny.

– W ostatnich latach Warlegganowie kilkakrotnie próbowali się wtrącać do moich spraw – odparł Ross. – Nie zamierzam tego tolerować.

Pearce miał na końcu języka ripostę, że biedacy nie mogą być zbyt wybredni, lecz nic nie powiedział.

– Zastanawiał się pan nad utworzeniem drugiej hipoteki? Istnieją ludzie... znam kilka osób, którzy byliby zainteresowani udzieleniem ryzykownej pożyczki o charakterze spekulacyjnym.

– Udałoby się zebrać wystarczającą kwotę?

– Niewykluczone. Naturalnie taka ryzykowna pożyczka musiałaby być krótkoterminowa, udzielona na rok lub dwa lata...

– To by mi odpowiadało.

– ...i byłaby bardzo wysoko oprocentowana. Na czterdzieści procent.

Otrzymawszy tysiąc funtów, za rok Ross musiałby zapłacić tysiąc czterysta, a ponadto pokryć inne swoje długi. Nie miał na to żadnych szans, chyba że cena miedzi w dalszym ciągu by rosła, a w Wheal Leisure odkryto by nową żyłę równie bogatą jak poprzednia.

- Czy mógłby pan załatwić taką pożyczkę?
- Mógłbym spróbować. To niedobry okres na takie przedsięwzięcia. Trudno zdobyć tanie pieniądze.
- To nie są tanie pieniądze.
- Naturalnie, naturalnie, całkowicie się zgadzam. Cóż, dam panu znać za kilka dni.
- Chciałbym otrzymać wiadomość jutro.

Pearce z wysiłkiem wstał z fotela.

– Mój Boże, mój Boże, ależ zeszywniałem... Ostatnio czuję się lepiej, ale jeszcze nie pozbyłem się zupełnie artretyzmu. Może uda mi się poinformować pana jutro, ale zdobycie pieniędzy zajmie jakiś tydzień.

– Dobrze – odpowiedział Ross. – Zgadzam się.

We wtorek odłożył wyjazd z miasta do piątej po południu.

Przed obiadem Ross, Johnson, Tonkin i Blewett zlikwidowali Carnmore Copper Company. Ross nie przekazał wspólnikom wczorajszej sugestii Harrisa Pascoe'a. Żaden z nich nie mógł odwiedzić sir Johna od zawarcia umowy z Warlegganami, jeśli miał on taki zamiar. Odlewnia wpadnie w ręce Warlegganów albo powstanie nowe przedsiębiorstwo, które wykorzysta ciężką pracę wspólników – nie można temu przeszkodzić. Ale firma będzie stanowić część syndykatu i Warleggan zatroszczy się o to, by nie podwyższała cen rudy na korzyść kopalni.

Chociaż Tonkin nie został zrujnowany, Ross bardzo mu współczuł, bo lubił go najbardziej ze wszystkich wspólników i wiedział, że włożył on w przedsięwzięcie mnóstwo pracy: dyskutował, przekonywał, tworzył plany. Po piętnastu miesiącach ogromnych wysiłków wydawał się kompletnie wyczerpany. Harry Blewett, który namówił Rossa do realizacji planu i pierwszy go poparł, pogrzebał w odlewni cały swój majątek i stał w obliczu bankructwa. Barczysty, poważny, uparty Johnson zniósł porażkę spokojniej od innych. Okazał większe męstwo, ponieważ stracił mniej.

Po załatwieniu formalności Ross znów poszedł do Pearce'a i dowiedział się, że wkrótce otrzyma pieniądze. Zastanawiał się, czy należą do samego notariusza. Pearce był bystrym człowiekiem i potrafił wykorzystać okazję do zrobienia dobrego interesu.

Następnie Ross wrócił do domu Harrisa Pascoe'a. Kiedy powiedział bankierowi, jak zdobył gotówkę, ten pokręcił głową. Takie ryzykowne operacje finansowe były całkowicie sprzeczne z jego zasadami. Znacznie lepiej ograniczyć straty i zacząć wszystko od początku niż pogrążyć się w długach, z których można się nigdy nie wydobyć – tylko po to, by odłożyć problemy na później.

W czasie wizyty u bankiera Ross napisał list do Blewetta, w którym poinformował go, że zdeponował na jego nazwisko dwieście pięćdziesiąt funtów w banku Pascoe'a jako pożyczkę na pięć lat. Oprocentowanie miało wynosić cztery od sta. Miał nadzieję, że pozwoli to Blewettowi przetrwać trudny okres.

Powrót do domu zajął Rossowi około dwóch godzin. Zapadł już zmrok. Kiedy zjeżdżał w ciemną dolinę, tuż przed ujrzeniem świateł Nampary wyprzedził kobietę w płaszczu zmierzającą w tym samym kierunku.

Czuł gorycz i przygnębienie, lecz widok Demelzy poprawił mu humor.

- Cóż, moja droga, późno wracasz. Znowu kogoś odwiedzałaś?
- Och, Ross, cieszę się, że nie dotarłeś do Nampary przede mną. Obawiałam się tego.
- Coś się stało?
- Nie, nie. Powiem ci w domu.
- Chodź. Usiądź w siodle razem ze mną. To jeszcze prawie kilometr.

Postawiła stopę na bucie Rossa. Uniósł ją i posadził przed sobą na koniu. Czarnulka przysiadła na zadzie, a Demelza westchnęła z zadowoleniem.

- Ktoś powinien ci towarzyszyć, jeśli zamierzasz wychodzić po zmroku.
- Och, w pobliżu domu jest bezpiecznie.
- Nie bądź taka pewna. Jest za dużo biedy, by wszyscy pozostali uczciwi.
- Udało ci się coś uratować, Ross? Odlewnia będzie działać dalej?

Wszystko jej opowiedział.

- O mój Boże, tak mi przykro... Z twojego powodu. Nie wiem, jak to się wszystko stało...
- Nieważne. Gorączka opadła. Teraz musimy zacząć normalnie żyć.
- Jaka gorączka?! – spytała zaniepokojonym tonem.

Pogłaskał ją po ramieniu.

- To metafora. Nawiasem mówiąc, słyszałaś, że mieszkańcy Trenwith są chorzy? Zamierzałem dziś tam pojechać, ale było już za późno.

– Tak, słyszałam... wczoraj.

– Wiesz, co z nimi?

– Tak. Podobno dziś czują się trochę lepiej, ale niebezpieczeństwo nie minęło.

Kiedy przejechali przez strumień, ukazały się zarysy dworu. Przy drzwiach Ross zsiadł i zdjął Demelzę z konia. Pochylił się, by czule ją pocałować, ale poruszyła lekko twarzą w mroku i jego wargi dotknęły policzka.

Odwróciła się i otworzyła drzwi.

– John! – zawołała. – Wróciliśmy!

Kolacja upłynęła spokojnie. Ross opowiedział o wydarzeniach kilku ostatnich dni. Demelza milczała, co zdarzało jej się rzadko. Poinformował ją, że zachował udziały w Wheal Leisure, lecz nie wyjaśnił, w jaki sposób. Mogło to poczekać do daty spłaty pożyczki. Aż do ostatniego dnia.

Żałował, że nie wrzucił George'a Warleggana do rynsztoka, gdy nadarzyła się okazja. Ten drań miał czelność sprowadzić kuzyna Sansona z powrotem do Truro! Zastanawiał się, co powie na to Francis. Francis...

– Wspomniałaś, że Geoffrey Charles również czuje się lepiej? – spytał. – Dzieci zwykle ciężko przechodzą krup.

Demelza zjadła kilka kęsów.

– Moim zdaniem najgorsze minęło.

– Cóż, to przynajmniej jakaś pociecha. Nigdy nie będę przyjacielem Francisa po figlu, jaki nam spłatał, ale nie życzyłbym tej choroby najgorszemu wrogowi.

Zapadło długie milczenie.

– Ross – powiedziała Demelza. – W lipcu przysięgam, że nigdy więcej nie będę mieć przed tobą sekretów, więc powinienesz to teraz usłyszeć, nim pomyślisz, że cię oszukałam.

– Och, o co chodzi? Widziałas się z Verity pod moją nieobecność?

– Nie. Pojechałam do Trenwith.

Obserwowała wyraz jego twarzy. Nie zmienił się.

– Z wizytą?

– Nie... Chciałam pomóc.

Świeca dymiła, lecz ani Demelza, ani Ross nie wstali, by ją zgasić.

– Wyrzucili cię?

– Nie. Spędziłam tam całą wczorajszą noc.

Popatrzył na nią nad stołem.

– Po co to zrobiłaś?

– Musiałam, Ross. Pojechałam czegoś się dowiedzieć, ale byli w rozpaczliwej sytuacji. Francis nie miał już febry, ale musiał leżeć w łóżku. Geoffrey Charles mógł w każdej chwili umrzeć. Elizabeth też dostała febry, choć nie chciała się do tego przyznać. Zachorowały trzy służące, tylko Mary Bartle i ciotka Sarah Tregeagle mogły coś zrobić. Pomogłam Elizabeth położyć się do łóżka i przez całą noc siedziałam przy Geoffreju Charlesie. Kilka razy myślałam, że umarł, ale doszedł do siebie i dziś rano poczuł się lepiej. Wróciłam do domu, a potem, dziś po południu, znowu pojechałam do Trenwith. Doktor Choake twierdzi, że kryzys minął. Mówi, że Elizabeth zniosła chorobę dość dobrze. Siedziałam u nich tak długo, jak mogłam, ale powiedziałam, że nie mogę przenocować. Na szczęście pani Tabb już wstała z łóżka i może się nimi zająć. Dziś w nocy dadzą sobie radę.

Ross patrzył przez chwilę na Demelzę. Nie był człowiekiem małodusznym i nie mógł wypowiedzieć słów, które cisnęły mu się na usta.

Chociaż z początku starał się temu zaprzeczać, w końcu musiał przyznać, że odczuwał dokładnie to samo w związku ze sprawą Jima Cartera. Czy mógł obwiniać Demelzę o odruch serca, któremu sam uległ?

Nie potrafił stłumić swoich myśli, lecz uczciwość i silne więzy miłości sprawiły, że milczał.

Dlatego w czasie posiłku panowała cisza. W końcu Demelza powiedziała:

– Nie mogłam postąpić inaczej, Ross.

– Nie – odparł. – Okazałaś dobroć i wspaniałomyślność. Może za dwa tygodnie będę w nastroju, by docenić twój uczynek.

Oboje wiedzieli, co ma na myśli, ale żadne z nich nie wyraziło tego jaśniej.

Rozdział szósty

W ciągu nocy z południowego zachodu nadciągnęła wichura i wiała przez dwadzieścia godzin. Krótki czas panował spokój, po czym znów zerwał się wiatr, tym razem z północy, lodowaty, niosący deszcz ze śniegiem i wirujące płatki śniegu. Pierwszego dnia 1790 roku, w piątek, wichura była najsilniejsza.

Poszli spać wcześniej, bo Demelza czuła się zmęczona. Poprzedniego dnia prawie nie spała, gdyż Julii dokuczały ząbki.

Przez całą noc wył i huczał wiatr – cienkie, piskliwe wycie charakterystyczne dla sztormu nadciągającego z północy. Przez całą noc w okna od strony morza uderzał grad i deszcz. Pod oknami ułożono szmaty, by woda nie spływała na podłogę. Nawet w łóżku z zaciągniętymi kotarami panowało zimno, a Ross rozpałił w salonie wielki ogień, żeby trochę ogrzać dom. W kominku w sypialni nie można było rozpałić ognia, bo wichura właczała dym do pokoju.

Ross obudził się, słysząc płacz Julii. Był cichutki i tonął w wyciu wichury. Demelza go nie usłyszała, więc postanowił wstać i zobaczyć, czy zdoła uspokoić dziecko. Usiadł powoli i nagle zorientował się, że Demelzy nie ma w łóżku.

Rozsunął kotary i poczuł na twarzy chłodny podmuch powietrza. Demelza siedziała obok łóżeczka. Na pobliskim stoliku skwierczała świeca, z której kapał воск. Ross syknął cicho, by zwrócić uwagę Demelzy. Odwróciła głowę.

– Co się dzieje? – spytał.

– Sama nie wiem, Ross. Chyba ząbkuje.

– Dostaniesz gruźlicy, jak będziesz tak siedzieć. Włóż szlafrok.

– Nie, nie jest mi zimno.

– Julii jest zimno. Weź ją do łóżka.

Odpowiedź Demelzy zagłuszyło nagłe stukanie gradu uderzającego w okno. Przestali rozmawiać. Ross wstał z łóżka, włożył z wysiłkiem szlafrok i wziął szlafrok Demelzy. Podeszedł do niej i narzucił go na jej ramiona. Popatrzył na córeczkę.

Julia nie spała. Jej pulchna buzia była zarumieniona. Chwilami popłakiwała, a płacz kończył się nagłym suchym kaszlem.

– Ma febrę! – zawołał Ross.

– Myślę, że to od ząbkowania, myślę...

Grad ustał równie nagle, jak się zaczął. Wycie wichury wydawało się po nim ciszą.

– Powinna spać z nami dziś w nocy – powiedziała Demelza. Pochyliła się i wzięła dziecko na rękę. Szlafrok zsunął jej się z ramion i leżał na podłodze.

Ross poszedł za nią do łóża, w którym położyli Julię.

– Napiję się wody – rzekła Demelza.

Obserwował, jak podchodzi do dzbana i nalewa sobie trochę wody. Wypiła powoli, po czym nałała jeszcze raz. Na ścianie poruszał się jej cień. Nagle Ross wstał i podeszedł do żony.

– Co się stało?

Dotknął ręką jej dłoni. Chociaż w pokoju panowało lodowate zimno, była spocona i gorąca.

– Kiedy dostałaś gorączki?

– W nocy. Wczoraj wieczorem czułam, że się zbliża.

Popatrzył na nią. Widział jej twarz w bladym świetle. Ujął koronkowy kołnierzyk koszuli nocnej i go odchylił.

– Masz opuchniętą szyję – powiedział.

Odsunęła się od niego i ukryła twarz w dłoniach.

– Strasznie boli mnie głowa... – szepnęła.

Obudzili Gimlettów. Ross zaniósł Julię i Demelzę do salonu na parterze, owinał kocami i posadził przed kominkiem. Wysłał Gimletta po Dwighta. Pani Gimlett słała łóżko w dawnym pokoju Joshui. Znajdował się tam kominek, który nie dymił, a jedyne okno wychodziło na południe. W czasie takiej wichury nadał się dla chorych.

Był rad, że Paynterów zastąpili Gimlettowie. Zastanawiał się nad tym przez chwilę. Nie marudzili, nie lamentowali nad swoimi nieszczęściami.

Usiadł w salonie i rozmawiał z Demelzą. Powiedział jej cichym tonem, że Julia jest silnym dzieckiem i szybko wróci do zdrowia, jednak w głębi serca był pełen gorzkości. Nieprzyjemne myśli przychodziły falami, wbrew zdrowemu rozsądkowi i chłodnej logice. Miał ochotę gryźć z rozpaczony własne ręce. Demelza nieopatrznie sama założyła sobie pętlę na szyję. Zobowiązania wynikające z pokrewieństwa...

Nie, nie tak. Chociaż nie rozumiał do końca źródła jej szlachetnych pobudek, wiedział, że nie chodzi tylko o zobowiązania wobec krewnych. Wszystkie te sprawy łączyły się ze sobą w sercu Demelzy: jej udział w ucieczce Verity, kłótnia Rossa z Francisem, jego kłótnia z nią, bankructwo odlewni, wizyta u chorych w Trenwith. Nie wolno było rozpatrywać tych rzeczy oddzielnie i w dziwny sposób odpowiedzialność za chorobę spadała nie tylko na nią, lecz również na niego.

Ale trzy dni temu nie okazał niepokoju ani złości, dlatego nie mógł tego zrobić również teraz. Zamiast tego otarł Demelzie czoło, żartował z nią i patrzył na Julię, która najpierw płakała, a później zasnęła.

Po pewnym czasie poszedł pomóc Jane Gimlett. W sypialni na parterze płonął już ogień, a Ross dopilnował, by Jane przeniosła na dół pościel z sypialni na górze – pod żadnym pozorem nie powinna być wilgotna. Kiedy pomagał Demelzie położyć się do łóżka, cały dom zatrzęsł się pod naporem wichury. Poruszyły się kilimy i stuknęły obrazy wiszące na ścianach. Zamknęły się drzwi frontowe i Dwight Enys zdjął w sieni mokrą opończę.

Wszedł do sypialni, a Ross trzymał świecę, gdy medyk oglądał gardło Demelzy. Zmierzył jej tętno za pomocą swojego zegarka, zadał kilka pytań, a potem zajął się Julią. Demelza leżała cicho w wielkim łożu skrzyniowym i patrzyła na niego. Po kilku minutach Enys wyszedł do sieni po torbę, a Ross podążył za nim.

– I co? – spytał.

– Obie są chore.

– Na krup?

– Symptomy są bardzo wyraźne. Twoja żona zachorowała wcześniej niż dziecko. Ma nawet różowe opuszki palców.

Dwight nie patrzył Rossowi w oczy i zamierzał wejść z powrotem do sypialni, lecz Ross go zatrzymał.

– Co z nimi będzie?

– Nie wiem, Ross. Niektórzy szybko przechodzą ostre stadium, ale pełne wyzdrowienie zawsze trwa długo, trzy do sześciu tygodni.

– Och, czas rekonwalescencji nie ma znaczenia – odpowiedział Poldark.

Dwight poklepał go po ramieniu.

– Wiem, wiem.

– Remedium?

– Niewiele możemy zrobić. Bardzo dużo zależy od kondycji chorego. Miałem pewne sukcesy z mlekiem, koniecznie przegotowanym, które pozostawia się do wystygnięcia i podaje letnie. Wzmacnia siły pacjenta. Żadnych stałych pokarmów. Chory powinien cały czas leżeć, nie wysilać się i nie denerwować.

Nie wolno narażać serca na jakikolwiek wysiłek. Warto pędzlować gardło solą morską. Nie wierzę w puszczenie krwi.

– Kryzys przychodzi szybko?

– Nie, nie. W ciągu jednego, dwóch dni. Tymczasem bądź cierpliwy i zachowaj nadzieję. Mają o wiele większe szanse niż wieśniacy mieszkający w nędznych chatkach, którzy są wygłodzeni i zwykle nie mają ognia ani światła.

– Tak – odpowiedział Ross, przypominając sobie słowa Dwighta sprzed kilku dni: „Rezultaty zawsze są nieprzewidywalne. Czasami silni umierają, a słabi przeżywają”.

Rozdział siódmy

Północny wiatr wiał jeszcze trzy dni.

Pod koniec pierwszego dnia nowego roku zaczęła się zamieć i nazajutrz rano pod żywopłotami i murkami utworzyły się zasy, choć pola, na których szalał wiatr, pozostały czyste. Na pompie na dziedzińcu wisiały sople lodu, a woda w wiadrze zamarzła. Niebo pokrywały niskie, ołowianoszare chmury.

W środku dnia pojawił się grad. Wydawało się, że nie pada, ale chłoszcze ziemię. Wszyscy byli pewni, że nie wytrzymają tego szyby w oknach. Uderzał z ukosa kilkanaście razy, a później nagle ustawał i słychać było tylko wycie wichury przypominającej rozwścieczoną bestię.

Dla Demelzy ryk wichury i stukanie gradu stanowiły część jej własnego koszmaru. Przez dwa dni miała wysoką gorączkę. Kiedy leżała w wielkim łóżu starego Joshui, przypominała sobie pierwszą noc spędzoną w Namparze. Cofnęła się w czasie i znowu była trzynastoletnią dziewczynką, obdartą, niedożywioną, głupią, trochę beczelną, trochę przerażoną. Ross kazał jej się rozebrać, oblał ją wodą pod pompą, ubrał w koszulę pachnącą lawendą i położył spać w tym wielkim łóżu. Ciągłe piekły ją rany na plecach zadane przez ojca, a żebra bolały od kopniaków obdartusów na jarmarku w Redruth. Na stoliku obok łóża kopciła i skwierczała świeca, a z gzymsu kominka spoglądała na Demelzę pomalowana figurka Matki Boskiej. Co najgorsze, wciąż nie mogła przełykać śliny, jakby ktoś ścisnął jej gardło sznurkiem. Poza tym za drzwiami biblioteki stał Nieznajomy, który czekał, aż Demelza zapadnie w sen, a świeca się wypali. Zamierzał podkraść się do niej w ciemności i zacisnąć pętlę.

Nie mogła zasnąć, pod żadnym pozorem nie mogła zasnąć. Wkrótce Garrick zacznie drapać pazurami w szybę, a wtedy ona powinna otworzyć okno i wpuścić go do sypialni. Pies ogrzeje ją własnym ciałem i będzie przy nim bezpieczna.

Czasami po pokoju chodzili ludzie. Często widziała Rossa, Jane Gimlett i młodego doktora Enysa. Przebywali w pobliżu, lecz wydawali się zjawami. Nawet Julia w łóżeczku, jej własna córka, nie wydawała się rzeczywista. Stanowili twory wyobraźni, wydawali się zjawami mającymi coś wspólnego z nie-realną przyszłością, czymś, o czym Demelza marzyła, lecz nigdy tego nie osiągnęła. Teraźniejszością była skwiercząca świeca, figurka kiwająca głową, ból żeber, sznurek zaciśnięty wokół szyi i Nieznajomy czekający za drzwiami biblioteki.

– Porwałś moją córkę! – wrzasnął Tom Carne, gdy Demelza trzęsała się ze strachu w kredensie. – Jakie masz prawo oglądać jej plecy?! Wsadzę cię do więzienia!

– Ta figurka chyba ją niepokoi – powiedział Ross. – Zastanawiam się, czy nie należałoby jej przesuwać.

Demelza spoglądała znad krawędzi łóżka, z kredensu, na dwie maleńkie postacie walczące na podłodze daleko w dole. Ross wrzucił ojca Demelzy do kominka, ale Tom Carne znowu powstał. Zamierzał zacisnąć jej pętlę na szyi.

– Czy jesteś zbawiona? – spytał. – Czy jesteś zbawiona? Grzech, rozpusta i pijaństwo. „I wywiódł mnie z dołu nędzy, i z błota ładu: i postawił na skale nogi moje”³. Nie wolno pić i żyć w grzechu.

– Zbawiony? – zaśmiał się Francis. – Zbawiony od czego? – Wszyscy zachichotali. Nie śmiali się z Francis, tylko z Demelzy, która próbowała się zachowywać jak dama i udawała jedną z nich, choć była tylko kuchenną wychowaną w zawszonej chacie. Kuchenna...

– Och... – westchnęła ciężko, potem wyrzuciła swoje życie i wspomnienia z łóżka, aż poleciały w stronę morza. Spadały, wirując, i stawały się coraz mniejsze i mniejsze. Niechaj utoną... Niechaj zginą na wieki, a ona odzyska spokój.

– Niech się utopi w błocie – powiedział Ross. – Oszukiwał w kartach. Niech się utopi!

– Nie, Ross, nie, Ross, nie! – Chwyciła go za rękę. – Uratuj go! Inaczej powiedzą, że to morderstwo. Przecież odzyskaliśmy wszystko, co przegrałeś. Nie straciliśmy Wheal Leisure. Będziemy znowu razem. Tylko to się liczy...

Cofnęła się, czując na czole coś chłodnego.

– Gorączka rzadko utrzymuje się tak długo – powiedział Dwight. – Przyznaję, że nie mam pojęcia, co robić.

Oczywiście Mark zabił Keren w ten sam sposób. Mężczyźni nic jej nie powiedzieli, ale plotki się rozeszły. Przycisnął ją do okna, a potem udusił. Teraz próbują udusić Demelzę. Zapadnie w drzemkę, a z biblioteki wyjdzie Nieznajomy i zaciśnie sznur.

– Garrick! – szepnęła. – Garrick, pomóż mi, przyjacielu!

– Wypij to, kochanie. – Głos Rossa, odbijający się echem we śnie, dobiegał z bardzo daleka, z innego pomieszczenia, z pokoju, który nie należał do Demelzy.

– To nie ma sensu – powiedział Dwight. – W tej chwili nie może niczego przełknąć. Może za kilka godzin, jeśli...

Garrick drapał już w szybę, gwałtownie, natrętnie.

– Otwórzcie okno! – wykrztusiła Demelza. – Szybko... nim... będzie... za późno!

Przez pokój przemknął wielki, czarny, kudłaty pies i Demelza sapnęła z radości, bo zrozumiała, że spełniono jej prośbę. Garrick lizał ją szorstkim językiem po twarzy i rękach. Rozpłakała się z ulgi. Nagle przerażona zauważyła, że pies popełnił straszliwy błąd. Nie poznał pani, pomyślał, że to wróg, i zacisnął jej zęby na gardle. Demelza walczyła, próbowała wszystko wytłumaczyć, ale nie mogła wykrztusić słowa, nie mogła wykrztusić słowa...

Świeca zgasła, zapanował chłód. Demelza dygotała w ciemności. Julia znowu płakała. Trzeba wstać i dać jej wody. Gdyby tylko wiatr nie był taki lodowaty... Gdzie jest Ross? Nie wrócił? Za bardzo bierze sobie wszystko do serca, powiedziała Verity, bierze sobie wszystko do serca. Tak więc nie mogę go teraz zawieść. Już raz go oszukałam. Oszukałam. Nie mogę go zawieść. Oczywiście, oczywiście, ale jak to się mogło stać? Kto nie wie, nie może być pewny.

Julia i Demelza. Ale Julia jest chora. Demelza przez całą noc czuwała przy jej łóżeczku, Francis też był chory, Elizabeth również, chociaż na początku nie chciała się do tego przyznać. Demelza miała straszliwy, metaliczny smak w ustach. To te kopące zioła. Ciotka Sarah Tregeagle przyszła prosto ze spotkania chóru, gdzie śpiewano kolędy. Miała się nimi zaopiekować. Ale gdzie jest...

– Ross! – krzyknęła. – Ross...!

– Śpi w fotelu w salonie, pani – odpowiedział kobiecy głos. To nie była Prudie. – Chciałaby pani, bym go zawołała? Nie zmrużył oka przez trzy dni.

Demelza i Ross nie powinni spać, gdy przyjdzie jej ojciec. Przyprowdzi górników z Illuggan i podpalą dwór. Ale ojciec się zmienił. Stał się zupełnie nowym człowiekiem. Poślubił ciotkę Mary Chegwid-den. Z kim teraz przyjdzie? Może z chórem metodystów i będą śpiewać psalmy pod oknem? Wydawało się to zabawne, więc Demelza próbowała się roześmiać, lecz się zakrztusiła. A potem zrozumiała, że to nie jest zabawne, bo oni rzeczywiście stoją pod oknem, a gdy na nich popatrzyła, ujrzała morze twarzy. Wiedziała, że są głodni i chcą chleba.

Dolinę wypełniał ogromny tłum ludzi, którzy krzyczeli: „Mamy prawo kupować chleb i mąkę po uczciwej cenie! Chcemy mąki, by żyć, i zdobędziemy mąkę!”

Demelza zdała sobie sprawę, że jedynym chlebem, jaki może im dać, jest jej własna córka...

Obok niej stał młynarz Sanson. W rogu rozmawiali Verity i Andrew Blamey, ale byli zbyt zajęci sobą, by zauważyć Demelzę. Płakała, dręczona przez straszliwy strach. Górnicy żądają chleba. Za chwilę podpalą dwór.

Odwróciła się, by spojrzeć na Rossa, a kiedy znów popatrzyła w okno, masę maleńkich twarzy zasłaniały kłęby białego dymu.

– Popatrz! – odezwała się Jane Gimlett. – Znowu pada śnieg.

– Śnieg! – próbowała powiedzieć. – Nie widzicie, że to nie śnieg, tylko dym?! Dwór się pali i za chwilę się udusimy! – Zobaczyła, jak Sanson pada na ziemię, i poczuła zapach dymu.

Dusząc się, uniosła rękę do gardła i okazało się, że już jest tam czyjaś dłoń.

Rankiem czwartego stycznia wiatr ucichł i zaczął padać gęsty śnieg. W południe, gdy przestało padać, pola i drzewa pokrywała gruba warstwa białego puchu. Kiedy John Gimlett rąbał drewno na dziedzińcu, musiał siłą rozdzielać zamrożone polana. Brudne, żółte pióra dziewięciu kaczek Gimlettów, które mozolnie człapały w stronę strumienia, odcinały się od nieskazitelnej bieli. Na plaży Hendrawna trwał odpływ, a w dali ryczały ogromne fale. Lód, piana i żółtawy szlam pokrywający od tygodnia piasek znikły pod białym całunem. Wydmy przypominały łańcuchy górskie, w dali wznosiły się ciemne, posępne klify przywodzące na myśl żałobników.

Później zapadła głucha cisza. Wycie wichury ustało, świat trwał w bezruchu i słychać było tylko szczekanie psa w dolinie. Ryk morza dochodzący z oddali roztopił się w jakiś sposób w ciszy i można go było usłyszeć tylko dzięki wysiłkowi woli.

O drugiej chmury się rozstały i zaświeciło oślepiająco jasne słońce, po czym śnieg zaczął się topić. Z konarów i krzaków kapały krople wody, a z dachu zsuwały się niewielkie lawiny śnieżne. Na polach pojawiły się ciemne plamy i śpiewał rudzik siedzący na ośnieżonej gałęzi jednej z jabłoni.

Jednak pod koniec dnia temperatura spadła. Dolinę pokrył cień i znów zapanował mróz.

Okolo czwartej, gdy się ściemniało, Demelza otworzyła oczy i popatrzyła na drewniany sufit skrzyniowego łóża. Czowała się inaczej niż wcześniej, była spokojniejsza, miała jaśniejszy umysł. Nie błąkała się już po świecie koszmarów. Istniała tylko jedna rzeczywistość: długie, aksamitne cienie wypełniające pokój, odbłaski ognia na belkach powały, rozsunięte zasłony, witrażowe okna z okrągłymi szybami i Jane Gimlett drzemiąca w świetle ognia dogasającego na kominku.

Zastanawiała się, jaki jest dzień, która godzina, czy pogoda się poprawiła. Część hałasów znikła. Czy były rzeczywiste, czy istniały tylko w jej głowie? Wszystko wydawało się bardzo spokojne i miała wrażenie, że spogląda na świat z dystansu, jakby nie stanowiła jego części. Życie i energia się wyczerpały. Czy ona również straciła całą energię? Gdzie jest Ross? Gdzie jest Julia? Czy wszyscy zachorowali? Nie była tego pewna. Miała ochotę coś powiedzieć, lecz bała się otworzyć usta. Gdyby przemówiła, rozbiłaby skorupę spokoju, która ją otaczała, lub pozostałaby w niej na zawsze. Na tym polegała istota wyboru. Nie wiedziała, co robić, i bała się próbować. Jud i Prudie, ojciec, Verity, Francis... Nie, nie, stój! Za tym zakrętem leży kraina koszmaru...

W tej samej chwili w kominku zapłonęła jasnym płomieniem jedna z brył torfu i na twarz Jane Gimlett padło światło. Obudziła się, westchnęła i ziewnęła, a potem dorzuciła do ognia trochę torfu. Po chwili wstała z fotela, podeszła do łóża i zerknęła na Demelzę. To, co zobaczyła, sprawiło, że wybiegła z sypialni, by poszukać Rossa.

Znalazła go pólężącego w fotelu w salonie i wpatrującego się w płomienie. Wrócili razem do sypialni. Ross poszedł do łóża.

Demelza miała zamknięte oczy, lecz po chwili wyczuła cień padający na jej twarz. Podniosła powieki i ujrzała Rossa. Jane Gimlett zbliżyła się do łóża ze świecą i postawiła ją na stoliku obok.

– Och, moje kochanie... – odezwał się Ross.

Demelza usiłowała się uśmiechnąć i po chwili zaleknionego wahania podjęła ryzyko wypróbowania swego głosu.

– Och, Ross...

Skorupa pękła. Usłyszał. Z jakiegoś powodu rozumiała, że wyzdrowieje, a później powiedziała coś, czego nie dosłyszał. Pochylił się, ale nic nie rozumiał.

– Julia... – odezwała się dość wyraźnie.

– Wszystko w porządku, kochanie – odpowiedział. – Nie teraz, jutro. Kiedy będziesz silniejsza. Wtedy ją zobaczysz. – Pocałował Demelzę w czoło. – Teraz musisz spać.

– Dzień? – spytała.

– Byłaś chora dzień lub dwa – odparł. – Spadł śnieg i jest zimno. Wieczorem przyjdzie Dwight, by cię zbadać, i chcemy, by zobaczył, że twój stan się poprawia. Spróbuj zasnąć.

– Julia... – powtórzyła.

– Jutro. Wtedy ją zobaczysz, kochanie. Śpij.

Posłusznie zamknęła oczy i niebawem jej oddech stał się głęboki i spokojny, znacznie lepszy niż w ciągu ostatnich pięciu dni. Ross podszedł do okna i stanął przy nim, zastanawiając się, czy postąpił słusznie, okłamując Demelzę.

Ponieważ Julia zmarła poprzedniej nocy.

Rozdział ósmy

Pochowali Julię dwa dni później. Panowała bezwietrzna, zimna pogoda i w osłoniętych zakątkach na polach i drogach leżały zwały śniegu. Na pogrzeb przybyło mnóstwo ludzi. Niewielką trumienkę niosło sześć dziewczynek ubranych na biało – dwie córki Martinów, córki Paula Daniela i dwie młodsze siostry Jima Cartera. Dźwigały ją przez dwa i pół kilometra do kościoła w Sawle, a na całej trasie stali w milczeniu ludzie, którzy przyłączali się do konduktu. W połowie drogi pojawił się chór z Sawle, choć go nie zaproszono, i kiedy sześć dziewczynek zatrzymywało się, by odpocząć, śpiewał psalm, który podchwytывali ludzie idący w procesji.

Z Rossem szedł Dwight Enys, a za nimi John Treneglos i sir Hugh Bodrugan. Przybyli Harry Blewett i Richard Tonkin, a Harris Pascoe przysłał najstarszego syna. Za Joan Teague podążali nadsztygar Henshawe z żoną i jeden z kuzynów z rodziny Tremenheere. Z tyłu szli Jud i Prudie Paynter, wszyscy Martinowie, Danielowie, Carterowie, Vigusowie i Nanfanowie oraz masa obszarpanych górników z żonami, drobni rolnicy i parobkowie, robotnicy zajmujący się kruszeniem rudy, kołodzieje, rybacy. Psalmi śpiewane przez tłum w nieruchomym, mroźnym powietrzu robiły ogromne wrażenie. Kiedy pieśń się kończyła i kondukt miał ponownie ruszyć, za każdym razem w dali słychać było szum morza. Wielebny Odgers odprawił nabożeństwo żałobne w obecności przeszło trzystu pięćdziesięciu ludzi, którzy nie mieścili się w kościele i stali w milczeniu na dziedzińcu.

Niespodziewany hołd dla Julii sprawił, że Ross się załamał. Wcześniej mężnie znosił ból. Nie odznaczał się pobożnością, więc jedynym źródłem, z którego czerpał siły po śmierci córki, była nieugięta wola. W głębi serca przeklinał niebiosa i los, ale okrucieństwo ciosu, jaki go spotkał, paradoksalnie wyzwoliło w nim wrodzony upór.

W tym momencie nie czuł jeszcze radości, że Demelza wyzdrowieje. Strata córki zbyt nim wstrząsnęła. Kiedyś, w dzieciństwie, gdy poszedł z matką do kościoła, powtarzał werset biblijny, który brzmiał: „Dziś, jeźlibyście głos jego usłyszeli, nie zatwardzajcie serc waszych”⁴. Ale po śmierci matki, nawet kiedy płakał, coś w nim rosło, bariera chroniąca przed słabością, czułością i rozpaczą. Pomyślał: Zgoda, straciłem ją i zostałem sam. Zgoda. Dziś, dorosły, reagował tak samo jak dziecko.

Ale dziwne, nieme świadectwo szacunku i sympatii okazane przez prostych, przymierających głodem wieśniaków i górników, którzy przybywali z pól, chat i kopalni, sprawiło, że poczuł się bezbronny.

Po zmroku zerwała się wichura wiejąca z północy. Ross siedział przez cały wieczór z Demelzą. Wczoraj zemdląca na wieść o śmierci Julii, lecz dziś stopniowo dochodziła do siebie. Wydawało się, że sama natura pragnie, by przeżyła, i nie pozwala jej się dręczyć myślami o córce. W tej chwili angażowała się w ratowanie Demelzy. Najważniejsze miało nadejść, gdy minie najgorsze stadium choroby i rozpocznie się powrót do zdrowia.

Około dziewiątej przyszedł Dwight, zbadał Demelzę i przez jakiś czas siedział z Rossem w salonie.

Ross był w posępnym nastroju, słuchał nieuważnie, zdawał się nie rozumieć słów lekarza. Wielokrotnie powtarzał, jak bardzo żałuje, że nie zaprosił uczestników pogrzebu na poczęstunek. Wyjaśnił – zupełnie niepotrzebnie, bo Dwight doskonale to wiedział – że w Kornwalii zgodnie ze zwyczajem po pogrzebie częstuje się gości jedzeniem i winem. W kościele pojawili się wszyscy okoliczni mieszkańcy i Ross nie mógł przeboleć, że nie przygotował dla nich przyjęcia, lecz miał nadzieję, że zrozumieją, iż wskutek choroby Demelzy życie w Namparze jest kompletnie zaburzone.

Z początku Enys myślał, że Ross pił. Jednak nie miał racji. W trzecim dniu choroby Julii i Demelzy Ross przestał mieć ochotę na alkohol. Nie spał przez wiele dni, ale poza tym nic mu nie dolegało.

Dwight nie mógł nic poradzić na kłopoty przyjaciela. Tylko czas, przypadek lub sam Ross mogli coś

zmienić. Nie był w stanie pogodzić się z porażką. Jeśli ma odzyskać równowagę, musi się zdarzyć coś nieoczekiwanego, co sprawi, że rozładuje straszliwe napięcie, które się w nim nagromadziło.

– Nigdy o tym wcześniej nie wspominałem, ale czuję, że muszę to wreszcie powiedzieć, Ross – rzekł Dwight. – Bardzo mi przykro, że nie byłem w stanie uratować Julii.

– Nie przypuszczałem, że odwiedzi nas dziś sir Hugh Bodrugan – odparł Ross. – Nie spodziewałem się po nim współczucia.

– Powinienem spróbować innej kuracji. To ty mnie sprowadziłeś do tego okręgu. Byłeś dobrym przyjaciele. Gdybym potrafił się zrewanżować...

– Na pogrzebie nie pojawił się żaden z mieszkańców Trenwith – powiedział Ross. – Chyba wszyscy są ciągle chorzy.

– Och, jeśli rzeczywiście zachorowali na krup, nie będą opuszczać dworu przez długie tygodnie. Latem i jesienią zeszłego roku widziałem mnóstwo takich przypadków... Niewątpliwie Choake powie, że to skutek zaniedbań z mojej strony. Będzie utrzymywał, że uratował Geoffreya Charlesa...

– Geoffreya Charlesa uratowała Demelza – wtrącił Ross. – Poświęciła za niego Julię.

W dom uderzyły potężne podmuchy wiatru. Dwight wstał.

– Możesz tak uważać. Przykro mi.

– Boże, co za wichura! – rzucił Ross z zaciśniętymi zębami.

– Chciałbyś, żebym dziś został w Namparze?

– Nie. Ty także musisz się wyspać, by odzyskać siły. Ja mogę poświęcić cały rok na rekonwalescencję. Proszę, wypij coś ciepłego i jedź.

Ross postawił imbryk na ogniu i przygotował ciepły grog. Popijali wolno.

– Wielu uczestników pogrzebu wyglądało naprawdę biednie, Dwight. Szkoda, że nie mogłem ich ugościć. Przydałoby im się to.

– Nie możesz żywić mieszkańców trzech wiosek – odparł cierpliwie Enys.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Przepraszam, ale pani prosi, by zechciał pan do niej przyjść – rzekła Jane Gimlett.

– Coś się stało?

– Nie, panie.

Dwight odjechał, a Ross poszedł do sypialni. Demelza leżała w wielkim łóżu, blada i mizerna. Wyciągnęła rękę, a Ross ujął ją i usiadł w fotelu.

Na stole stały dwie świece i płonął ogień na kominku. Ross zastanawiał się, co powiedzieć.

– Dziś rano przyszedł list od Verity. Nie wiem, gdzie się podział.

– Jest... jest zdrowa?

– Na to wygląda, tak. Przeczytam ci go, jak się znajdzie. Pytała o Francisa i rodzinę. Niedawno się dowiedziała, że mieszkańcy Trenwith zachorowali.

– Słyszała o nas?

– Nie, o nas nie.

– Musisz napisać. Ross. Napisz jej wszystko.

– Tak zrobię.

– Jak... jak się czują, Ross? Elizabeth i...

– Są ciągle chorzy, ale ich stan się poprawia. – Niewiele brakowało, by dodał: „Nawet Geoffreya Charlesa”, lecz stłumił w sobie gorycz. Przede wszystkim nie może mieć pretensji do Demelzy. Oparł głowę o drewnianą ściankę łóża i próbował zapomnieć o tym, co się zdarzyło w ciągu ostatnich tygodni, o całej frustracji i bólu. Próbował wspominać szczęśliwe dni sprzed roku. Siedzieli w milczeniu. Minęło dużo czasu. Wichura osłabła, prawdopodobnie sztorm odejdzie na północny wschód. Ogień przygasł, od

czasu do czasu kołysały się i drżały płomienie świec.

Poruszył lekko dłonią i natychmiast Demelza ujęła ją mocniej.

– Nie zostawię cię – powiedział. – Chcę tylko poruszyć ogień w kominku.

– Zostań, Ross. Nie wychodź teraz. Nie opuszczaj mnie.

– Co się stało? – spytał.

– Po prostu... po prostu myślę.

– O czym?

– Julia jest samotna. Nie znosiła wiatru.

Ross siedział przy łóżku przez całą noc. Od czasu do czasu zapadał w niespokojną drzemkę i nagle się budził, a tymczasem na zewnątrz wyła wichura. Ciągłe dręczyły go te same przemyślenia. Frustracja, żal. Jim Carter, Warlegganowie i Julia. Klęska, strata. Ojciec umierający bez opieki w tym pokoju. Powrót z Ameryki, Elizabeth, zawód miłosny, szczęście z Demelzą. Czy na zawsze utracił zdolność odczuwania radości? Może nie, ale wspólne życie na pewno się zmieni z powodu wspomnień. A jego życie? Do czego się sprowadza? Rozpacзлиwa walka zakończona porażką, prawie bankrutem. Jakaś część życia Rossa również się zakończyła, etap, epoka. Wszystko się zmieniło, wykonał zwrot i nie wyobrażał sobie, że znów podąży tą samą drogą. Co się skończyło? Młodość?

Jak czułby się dzisiaj, gdyby wszystko potoczyło się inaczej, gdyby zwyciężył z władzami więzienia, Warlegganami, chorobą, gdyby nie został pokonany, nie stracił córki, gdyby nie kręciło mu się w głowie i nie był śmiertelnie zmęczony? Spałby i nie myślałby o swoim życiu. Czy i tak zakończyłby się pewien etap w jego życiu? Nie miał pojęcia i był zbyt wyczerpany, by się nad tym zastanawiać. Czuł, że w przyszłości nie ma szans na sukces. Życie zawsze kończy się klęską, cały wysiłek obraca się w pył. Wszystkie drogi prowadzą do śmierci.

Przyniósł do salonu trochę drewna, rozpałił ogień i wypił kilka kieliszków brandy, by się rozgrzać. Kiedy znów usiadł przy łóżku, miał wrażenie, że pod wpływem alkoholu w jego mózgu wybucha pożar. Zapadł w sen.

Śniły mu się koszmary, w których odżyły napięcie, konflikt i walka. Przeżywał wszystkie kłopoty ostatniego miesiąca. W końcu powoli się budził, popatrzył na szare światło dnia sączące się przez zasłony w oknie i Johna Gimletta pochylającego się nad kominkiem.

– Która godzina? – spytał szeptem.

John się odwrócił.

– Będzie kwadrans do ósmej, panie. Wiatr znosi statek w stronę brzegu.

Ross spojrział na leżącą obok Demelzę. Spała spokojnie z włosami rozrzuconymi na poduszce, ale wolałby, aby nie była taka blada.

– Jest jeszcze za ciemno, żeby go dobrze widzieć, panie – szepnął Gimlett. – Zauważyłem go, kiedy poszedł po drewno. Chyba nikt go jeszcze nie zobaczył.

– Nie zobaczył?

– Statku, panie. Wygląda na duży żaglowiec.

Ross sięgnął po butelkę brandy i wypił jeszcze jeden kieliszek. Zesztywniał z zimna i czuł suchość w ustach.

– Gdzie?

– Tuż za Damsel Point. Minał przylądek, ale przy takiej fali i wietrze nigdy nie wypłynie z zatoki.

Umysł Rossa w dalszym ciągu pracował powoli, lecz brandy zaczynała działać. Górnicy i ich rodziny zdobędą bogate łupy. Życzył im szczęścia.

– Chyba może go pan zobaczyć z okna na piętrze.

Ross wstał z łóżka i się przeciągnął. Wyszedł z salonu i wdrapał się po schodach. Północne okno jego dawnej sypialni było tak grubo pokryte solą, że nic nie widział, ale kiedy je otworzył, szybko się zorientował, co miał na myśli Gimlett. Spory dwumasztowiec. Kołysał się ciężko na falach, które przelewały się przez śródkręcie. Wszystkie żagle zostały zniszczone, kilka strzepów powiewało na wietrze, ale załoga zdołała ustawić na dziobie prowizoryczny takielunek i próbowała utrzymać kurs. Statek wkrótce się rozbije. Był odpływ.

Ross stracił zainteresowanie i już miał się odwrócić, gdy coś przykuło jego uwagę. Ponownie popatrzył na żaglowiec. Poszedł po lunetę ojca i oparł ją o framugę okna. Była to dobra luneta, którą ojciec kupił okazji od pijanego kapitana fregaty w Plymouth. Ross spoglądał przez okular, a wokół jego głowy trzepotały szarpane wiatrem zasłony. Wichura nieco osłabła.

Po chwili opuścił lunetę. Statek nosił nazwę „Queen Charlotte”.

Zszedł na dół i nalał sobie brandy w salonie.

– John! – zawołał do przechodzącego Gimletta.

– Tak, panie?

– Osiodłaj Czarnulkę.

Gimlett popatrzył na Rossa. W oczach jego pana płonął ogień, jakby służący ujrzał mroczną zjawę.

– Źle się pan czuje, panie?

Ross wypił kolejny kieliszek trunku.

– Ludzie, którzy przyszli na pogrzeb. Trzeba ich nakarmić i napoić, John. Zajmij się tym dziś rano.

Gimlett spojrział z niepokojem na Rossa.

– Niech pan usiądzie, panie. Nie musi pan nic więcej robić.

– Natychmiast przyprowadź Czarnulkę, John.

– Ale...

Ross spojrział służącemu w oczy i Gimlett pośpiesznie wyszedł.

W sypialni Demelza ciągle spokojnie spała. Ross włożył płaszcz i kapelusz i wsiadł na konia czekającego przed drzwiami. Czarnulka wydawała się zdenerwowana, ledwo mógł ją utrzymać. Po chwili ruszył galopem przez dolinę.

Pierwsza chata wioski Grambler była ciemna i cicha. Mieszkali w niej Jud i Prudie, którzy wrócili niezadowoleni z pogrzebu, bo liczyli na darmowy alkohol. W końcu postanowili spędzić noc z przyniesionym dzbanem ginu.

Ross zbliżył się do chaty i zastukał, lecz nie doczekawszy się odpowiedzi, napał barkiem na drzwi, złamał cienki skobel i wszedł do środka. Potrząsnął w mroku czymś ramieniem, krzywiąc się z powodu smrodu. Zorientował się, że to Prudie, po czym szarpnął człowieka leżącego obok.

– Do diabła! – krzyknął Jud, dygocąc i robiąc żalostną minę. – Człowiek nie może być panem nawet we własnym domu, bo ludziska zara wskazują...

– Jest żaglowiec, Jud – przerwał cicho Ross.

– Żaglowiec? – Jud usiadł, nagle się uspokajając. – Gdzie?

– Na plaży Hendrawna. Lada chwila się rozbije. Obudź ludzi z wioski Grambler, a potem zawiadom Mellin i Marasanvose. Ja pojedę do Sawle.

Jud mrużył oczy, a jego łysa głowa lśniła lekko w półmroku.

– Po co im gadać? Zara przylezo nad wodę. Jak...

– To duży statek – odparł Ross. – Wiezie żywność. Wystarczy dla wszystkich.

– No, ale...

– Rób, co mówię, bo cię tu zamknę i sam się tym zajmę.

– No, panie. Takem se gadał. Gdzie jest?

Ross wyszedł, zatraskując drzwi z taką siłą, że chata się zatrzęsła. Na twarz Prudie spadła z dachu grudka zaschniętego błota.

– Co sie z tobą dzieje?! – Walnęła Juda w głowę i usiadła.

Paynter drapał się pod koszulą.

– Dziwne, oj, dziwne, powiadam ci, stara...

– Co takiego? Dlaczego sie obudziłeś o tej porze?

– Przyśnił mi sie stary Joshua – odpowiedział Jud. – Widziałem go wyraźnie jak w siedemdziesiątym siódmym, gdy sie uganiał za tamto dzierlatko w St Ives. I, do licha, jakim sie obudził, stał koło łóżka!

– Kto?

– Stary Joshua.

– Ty głupia stara małpo, przecie Joshua leży w grobie już sześć roków!

– Tak, bo to był kapitan Ross.

– No to nie gadaj, że Joshua!

– Jeszczem nigdy nie widział, coby tak bardzo przypominał starego Joshuę – dokończył Jud.

Rozdział dziewiąty

Dzięki znakomitym umiejętnościom żeglarskim kapitan Bray przez godzinę zręcznie manewrował brygantyną, odwlekając najgorsze.

Wiatr osłabł, co było pomocne, i w pewnej chwili wydawało się nawet, że statek przepłynie w pobliżu brzegu, wykona zwrot i ocaleje.

Jednak potem zaczął się przyptyw i stało się jasne, że wszystko stracone. Ross wrócił do domu i zdążył zobaczyć katastrofę.

Pamiętał ten obraz przez wiele lat. Nawet w czasie odpływu spienione fale docierały aż do wydm i kamienistej plaży. Fontanny piany tryskające w górę wirowały niczym kołujące stada mew i zalewały szare urwiska skalne. Na skraju wody dostrzegł trzydzieści lub czterdzieści czarnych sylwetek ludzi szykujących się do żniw. „Queen Charlotte” zbliżała się szybko do brzegu, obrócona rufą w jego stronę i zalewana przez fale. Kiedy Ross wszedł na murek, ciemne chmury zasnuwające niebo nagle się rozstały i odpłynęły na wschód, a na niebie zaświeciło słońce. Ziemię i morze zalała niesamowita żółtawa poświata i na szczytach gigantycznych fal rozbłysły złociste iskry. Później chmury znów zasłoniły słońce i światło zniknęło.

Żaglowiec uderzył w skały rufą, jak chciał kapitan, jednak nie osiadł na dnie, lecz przekreślił się w spienionej kipieli pod kątem prostym. Po kilku sekundach przewrócił się na prawą burtę, zwrócony pokładem w stronę brzegu. Przelewały się przez niego fale.

Ross przebiegł przez plażę, zataczając się w porywach wiatru. Statek znajdował się w połowie zatoki w pobliżu klifu, gdzie znajdowała się kopalnia Wheal Leisure.

Na razie żaglowiec był poza zasięgiem ludzi na brzegu, lecz fale stopniowo spychały go w kierunku plaży. Były ogromne i docierały aż do wydm. Kiedy się cofały, widać było wielkie połacie lodu o grubości centymetra.

Marynarze znajdujący się na statku próbowali spuścić szalupę. Było to bardzo niebezpieczne, lecz pozostanie na wraku w czasie przyptywu oznaczało pewną śmierć.

Udało im się opuścić łódź ze śródokręcia, ale gdy weszło do niej trzech lub czterech ludzi, przez brygantynę przelała się ogromna fala i odepchnęła niewielką szalupę od kadłuba. Mężczyźni wiosłowali szaleńczo, próbując skierować łódź w stronę brzegu, ale po chwili w szalupę uderzyła kolejna fala i roztrzaskała ją na kawałki.

Mężczyźni stojący na brzegu cofnęli się przed przyptywem. Po przejściu większych fal Ross stał wraz z kilkoma innymi po kolana w wodzie, spoglądając na wrak.

– Nie dostaniemy się tam do rana – powiedział Nick Vigus, zacierając ręce i trzęsąc się z zimna. – Fale rozbiją statek i zbierzemy ładunek w czasie odpływu. Teraz możemy się rozejść do domów.

– Nie widzę żadnych marynarzy – rzekł Zacky Martin. – Chyba się potopiają, a morze wyrzuci ich trochę dalej.

– Nie wytrzyma nawet jednego przyptywu – stwierdził Ross. – Niedługo nie będzie co zbierać.

Zacky zerknął na Poldarka. Tego ranka miał on w sobie coś dzikiego.

– Uważajcie! – zawołał ktoś.

We wrak uderzyła ogromna fala i w ciągu sekundy w niebo trysnęła fontanna pyłu wodnego o wysokości sześćdziesięciu metrów, po czym powoli się załamała, zwiewana przez wichurę. Dwóch mężczyzn chwyciło Rossa i zaczęło go odciągać.

– Zaraz się rozpadnie! – krzyknął.

Usiłowali biec, lecz okazało się to niemożliwe. Miotła nimi na wszystkie strony woda sięgająca do

pasa i poniosła ich w stronę brzegu. W końcu fala zaczęła się cofać, wirowała wokół ud Rossa, próbując wciągnąć go do morza. Kiedy odpłynęła, odzyskali równowagę i przygotowali się do stawienia czoła następnym grzywaczom. Ross otarł oczy.

„Queen Charlotte” powoli się rozpadała. Gigantyczna fala nie tylko wepchnęła brygantynę do zatoki, lecz także przewróciła dnem do góry, łamiąc maszty i zmywając do morza prawie wszystkich marynarzy. W spienionej wodzie unosiły się reje, szczątki wyposażenia, beczki, maszty, olinowanie i worki ze zbożem.

W stronę brzegu pędziły setki wieśniaków i górników trzymających w rękach siekiery, kosze i puste worki. Ich widok zmobilizował tych, którzy pojawili się na plaży wcześniej, i wkrótce w płytkiej wodzie zaroilo się od czarnych postaci. Przyływ wyrzucał na brzeg ładunek i wyposażenie brygantyny, a każdy próbował zdobyć coś dla siebie. Jeden z członków załogi dotarł na brzeg żywy, trzech odnaleziono martwych, pozostali zniknęli.

Kiedy wstał dzień i wzeszło słońce, pojawiło się jeszcze więcej ludzi, z mułami, kucami, psami. Zamierzali zabrać łupy do wiosek, lecz jak dotychczas morze wyrzuciło na brzeg niewielką część ładunku, więc zdobyczy nie wystarczyło dla wszystkich. Ross rozkazał, by dzielono się łupami. Jeśli ocean wyrzucił beczkę sardynek, rozbijano ją, po czym rozdawano ryby mieszkańcom okolicznych miejscowości, którzy wsypywali je do przyniesionych koszy. Był wszędzie: wydawał rozkazy, udzielał rad, zachęcał.

O dziesiątej morze wyrzuciło na plażę trzy baryłki rumu i jedną baryłkę brandy, które natychmiast otwarto. Pod wpływem alkoholu mężczyźni stali się lekkomyślni, szarpali się i bili ze sobą w wodzie. Zaczął się przyływ. Wielu z nich wycofało się na wydmy, gdzie rozpalili ogniska, pili, śpiewali i tańczyli. Wciąż pojawiali się nowi i wchodzili do wody, by zbierać łupy. Czasem przewracały ich fale i wciągały do morza. Jedna osoba utonęła.

W południe ludzie musieli opuścić plażę i z daleka obserwowali wrak. Ross wrócił do Nampary, zjadł coś i się napił, po czym znowu ruszył nad ocean. Spokojnie odpowiadał na pytania Demelzy, nie okazywał podniecenia.

W pokładzie brygantyny ziała wielka dziura i wypływały z niej worki z mąką. Wielu ludzi pobiegło na brzeg, by je pochwytać, nim zamokną. Ross mijał mężczyzn i kobiety niosących zdobycz. Żona Zacky’ego Martina, spocona, z czerwoną twarzą, wdrapywała się na wydnię, uginając się pod ciężarem ogromnego wora ociekającego wodą. Ciotka Betsy Triggs prowadziła zabiedzonego muła dźwigającego dwa kosze sardynek i worek mąki. Staruszek Daniel i Beth Daniel nieśli stół i dwa krzesła, a Jope Ishbel i Scoble znany jako Biała Głowa ciągnęli martwą świnie. Kilka osób niosło drewno, a jedna kosz z węglem.

Na plaży Ross zobaczył grupę mężczyzn usiłujących przywiązać linę do części luku żaglowca, by nie porwało go morze. Niespokojny, niezadowolony, przyłączył się do nich, usiłując zapomnieć o swoim bólu.

Było w pół do trzeciej. Od godziny trwał odpływ i prawie pięciuset ludzi czekało. Kolejnych stu śpiewało i tańczyło wokół ognisk na wydmach lub piło na brzegu morza. Na plaży nie pozostał ani jeden kawałek drewna. Szeptano, że nadchodzą górnicy z Illuggan i St Ann’s, by domagać się swojej części. To sprawiło, że ludzie zaczęli się śpieszyć.

O trzeciej Ross wszedł do morza. Przez cały dzień miał mokre ubranie i lodowato chłodna woda nie zrobiła na nim wrażenia.

W każdej chwili mogła go porwać fala. Wypływanie w morze w dalszym ciągu było niebezpieczne, ale gdy ocenił, że jest dostatecznie daleko, dał nura w nadchodzącą falę. Kiedy się wynurzył, kolejna fala o mało nie wyrzuciła go na brzeg, lecz już po chwili posuwał się do przodu. Dotarł do wraku i chwycił

złamany grotmaszt, skierowany teraz w stronę łądu. Podciągnął się i usiadł na nim okrakiem. Mężczyźni stojący na plaży machali rękami i krzyczeli, ale nie było ich słychać.

Wdrapywanie się na wysoki pokład wciąż groziło śmiercią. Rozwiązał linę okręconą wokół talii i przymocował ją do podstawy masztu. Uniósł rękę, dając znak ludziom na brzegu. Lina zadrżała i się napięła. Za kilka minut na pokładzie pojawi się kilkunastu mężczyzn z siekierami i piłami.

Siedząc okrakiem na maszcie, Ross rozejrzał się po brygantynie. Żadnych oznak życia. Dziobówka była strzaskana i to stamtąd wypływał ładunek. Nowe łupy powinny się znajdować na rufie, więc popatrzył w tamtą stronę. Żaglowiec wyglądał inaczej niż w porcie w Truro. Przez cały tydzień walczył ze sztormami i śnieżycami w kanale La Manche. Przynajmniej raz Warlegganowie spotkali godnego przeciwnika.

Zsunął się z masztu i popęzł w stronę rufy, przyciśnięty do pokładu, aż wreszcie ujrzał przed sobą przekrzywione drzwi kajuty kapitańskiej. Były uchylone na kilka centymetrów, lecz zablokowane. Wypływała z nich strużka wody niczym ślina kapiąca z ust chorego starca.

Znalazł drewniany drąg, wsadził go w drzwi i usiłował je otworzyć. Drąg pękł, lecz drzwi uchyliły się szerzej. Kiedy Ross wepchnął bark do otworu, w brygantynę uderzyła kolejna ogromna fala. W powietrze wzbijała się woda, wysoko, wysoko, po czym opadła i zaczęła wirować wokół statku. Sięgała Rossowi do ramion. Trzymał się z całych sił. Fala szarpała nim, ciągnęła, wsysała w głąb morza, w końcu opadła. Zaraz potem zalała go woda wypływająca z drzwi kajuty. Odczekał, aż sięgnie mu do pasa, i wszedł do środka.

Coś trącało go lekko w nogę. Otaczał go dziwny zielonkawy półmrok. Trzy świetliki w lewej burcie były głęboko zanurzone, a trzy znajdujące się w prawej, z rozbitymi szybami, celowały w niebo. Stół unoszący się w wodzie, peruka, gazeta. Na górnej ścianie ciągle wisiała mapa. Spojrzał w dół. Uderzała go w nogę czyjaś ręka. Zobaczył mężczyznę pływającego z zanurzoną twarzą. Woda wylewająca się przez drzwi kajuty sprawiła, że podpłynął, jakby chciał powitać Rossa. Przez chwilę wydawał się żywy, pokorny, uniżony.

Ross chwycił trupa za kołnierz i uniósł nieszczęśnikowi głowę. Był to Matthew Sanson.

Poldark prychnął i puścił głowę, która z powrotem zanurzyła się w wodzie, a potem wyszedł z kajuty.

W czasie odpływu do wraku dotarły setki ludzi. Rozbito siekierami luki i wyciągnięto resztę ładunku. W ładowni na rufie znajdowało się wiele nieuszkodzonych towarów. Znalaziono następne baryłki rumu. Z pokładu zerwano deski, zabrano koło sterowe i kompas, a z kajut ubrania i meble. Kompletnie pijanego Juda uratowano przed utonięciem w wodzie sięgającej kolan. Kurczowo przyciskał do piersi pozłacany galion brygantyny. Sądził albo, że to prawdziwe złoto, albo prawdziwa kobieta.

O zmroku w pobliżu wraku zapalono jeszcze jedno ognisko, by oświetlać drogę ludziom znoszącym na brzeg zrabowane rzeczy. Wzmagający się wiatr niósł nad mokrą plażą kłęby dymu, które po chwili łączyły się z dymem ognisk na wydmach.

Ross opuścił statek i wrócił do Nampary. Zdjął ubranie zeszywniałe od soli, szybko zjadł kolację i usiadł z Demelzą. Ale jego niespokojny duch jeszcze nie znalazł ukojenia. Ból i wściekłość nie minęły. Wyszedł w mrok i poczuł na twarzy wzmagający się wiatr.

Kilku trzeźwiejszych mężczyzn grzebało u podnóża wydmy siedem trupów, pracując przy świetle latarni. Ross przystanął i poradził, by wykopali jak najgłębszy dół. Nie chciał, żeby wiosną następnego roku sztormy wymyły zwłoki. Spytał Zacky'ego, ilu ludzi się uratowało. Dowiedział się, że do Mellin zabrano dwóch.

Wspiął się na wydmę i popatrzył na tłum wokół ogniska. Nick Vigus przyniósł flet, ludzie tańczyli. Wokół leżało wielu pijanych, niezdolnych do powrotu do domów. Wiał lodowaty wiatr i mogli zachoro-

wać.

Chwyciła go za ramię czyjaś ręka. Był to John Gimlett.

– Przepraszam, panie...

– O co chodzi?

– Górnicy, panie kapitanie. Z Illuggan i St Ann's. Schodzą doliną. Pomyślałem...

– Dużo ich jest?

– Setki. Tak mówi Bob Nanfan.

– Cóż, wracaj do dworu, człowieku, i zarygluj drzwi. Chcą tylko splądrować statek.

– Tak, panie, ale zostało niewiele do splądrowania.

Ross potarł podbródek.

– Wiem. Nie zostało też wiele rumu i brandy. Damy sobie z nimi radę.

Zszedł na plażę. Miał nadzieję, że górnicy z Illuggan nie spędzili całego dnia na picciu.

Na plaży było spokojniej. Z ogniska nieustannie tryskały fontanny iskier, które opadały na piasek. Tuż za wrakiem kłębiła się piana. W półmroku widoczna była blada linia przyboju.

Ktoś znów chwycił Rossa za ramię. Pally Rogers z Sawle.

– Niech pan popatrzy, kapitanie! Czy to nie światło?!

Ross spojrział na morze.

– Pewnikiem drugi statek! – zawołał Rogers. – Jest już blisko i niedługo się rozbije! Niechaj Bóg się nad nimi zlituje!

Ross zauważył za linią przyboju błysk światła, a później drugie światło, nieco dalej. Popędził w stronę morza.

Kiedy się do niego zbliżył, w piaszczysty brzeg uderzyła ogromna fala i zalała go pienista woda. Zatrzymał się na brzegu i spojrział w ciemność, starając się wyczuć, skąd wieje wiatr. Podbiegł do niego Rogers.

– Tam, panie!

Chociaż wiatr się wzmógł, na niebie świeciło kilka gwiazd i Ross zobaczył wielki statek, większy od brygantyny, zbliżający się szybko do brzegu. Latarnia z przodu, druga na śródkręciu, lecz żadnych świateł na rufie. Chwilami wydawało się, że żaglowiec wzbija się w powietrze, a zaraz potem widać było tylko maszty. Osadzenie statku na przybrzeżnej mieliźnie nie wchodziło w rachubę. Pędził w stronę skał, miotany falami.

Ktoś na pokładzie spostrzegł, że zbliża się koniec, bo zapalono flarę – szmaty nasączone oliwą – która migotała i błyskała na wietrze. Zauważyły ją dziesiątki ludzi na brzegu.

Żaglowiec rozbił się bliżej Nampary niż „Queen Charlotte” i w chwili katastrofy nie wyczuwało się wstrząsu. O zderzeniu ze skałami świadczył tylko powolny upadek grotmasztu.

W tym samym momencie na plażę wybiegły tłumy górników z St Ann's i Illuggan.

Rozdział dziesiąty

Przed południem u wybrzeży Kornwalii nagle pojawił się „Pride of Madras”, żaglowiec Kompanii Wschodnioindyjskiej powracający do Anglii z ładunkiem jedwabiu, herbaty i korzeni. Wynurzył się z mgły tuż za Sennen niczym latający upiór.

Wydawało się, że uderzy w Gurnard’s Head, lecz wichura na chwilę się uciszyła, co pozwoliło załodze wykonać zwrot. Po jakimś czasie statek zauważono niedaleko Godrevy, a później górniczy z Illuggan i St Ann’s, gdzie szybko rozeszła się wieść o niedawnej katastrofie „Queen Charlotte”, dowiedzieli się, że lada chwila mogą się pojawić w Gwithian lub zatoce Basset jeszcze bogatsze łupy.

Musieli dokonać wyboru i zamiast pomaszerować do Nampary czekali w szynkach St Ann’s na wieści od ludzi obserwujących ocean ze szczytu klifu.

Żaglowiec przepłynął niezauważony we mgle obok latarni morskiej w St Ann’s i dopiero tuż przed zachodem słońca dostrzeżono go w pobliżu wejścia do zatoki Sawle. Musiał wpaść na skały w odległości kilku kilometrów. Górniczy podążali za nim wzdłuż klifu i zeszli na brzeg. Znaleźli się na plaży Hendrawna w chwili nadpłynięcia statku.

To, co nastąpiło potem, nie wyglądałoby przyjemnie dla oka w słoneczne letnie popołudnie, jednak w zimową noc, w świetle gwiazd, przy silnym wietrze, miało w sobie coś niezwykłego, mrocznego.

Żaglowiec zbliżył się do brzegu tak szybko, że nim marynarze zapalili flarę, zauważyło go tylko kilkunastu miejscowych. Kiedy uderzył w skały, wszyscy rzucili się w jego stronę. W tłumie znajdowali się mieszkańcy różnych miejscowości. Natychmiast zaczęli ze sobą rywalizować.

Na początku nie mogli dotrzeć do statku, ale odpływ miał trwać jeszcze dwie godziny i wkrótce najbardziej odważni, pełni brawury spowodowanej wypitym rumem i ginem, rzucili się przez wodę. Na żaglowcu w dalszym ciągu paliła się latarnia, choć przelewały się przez niego fale. Do brzegu dopłynęło dwóch marynarzy, jeden z liną. Lecz nikt im nie pomógł. Trzeci marynarz, którego morze wyrzuciło półprzytomnego, został odarty z ubrania i jęcząc, leżał goły na piasku.

Przybywało coraz więcej górników i wkrótce przed statkiem stał półkolem ogromny tłum czarnych postaci. Ross nie uczestniczył w plądrowaniu ani w próbach ratowania załogi. Stał w pewnej odległości i obserwował całą scenę, ale jego twarz nie wyrażała dezaprobaty. Wydawało się, że ból odbiera mu zdolność trzeźwej oceny sytuacji.

Na brzeg dotarli kolejni członkowie załogi, lecz zabierano im wszystko, co mieli. Tych, którzy próbowali stawiać opór, pozbawiano ubrań, bito i pozostawiano własnemu losowi. Dwóch marynarzy wyciągnęło noże i zostali ogłuszeni.

O siódmej do statku można było dojść suchą stopą. W tym czasie na plaży znajdowały się trzy tysiące ludzi. Zapalono beczki z sardynkami wyrzucone na brzeg. Płonęły niczym wielkie pochodnie, wyrzucając kłęby czarnego, tłustego dymu. Żaglowiec przywodził na myśl ścierwo, które oblażyły tysiące mrówek. Wszędzie widać było mężczyzn z nożami i siekierami wyciągających z ładowni bogactwa Indii. Na piasku leżały dziesiątki pijanych lub nieprzytomnych. Załoga i ośmiu pasażerów – uratowanych w końcu przez Zacky’ego Martina, Pally’ego Rogersa kilku innych – podzieliła się na dwie grupy. Większa, pod przywództwem bosmana, ruszyła w głąb lądu w poszukiwaniu pomocy, pozostali siedzieli skuleni w pewnej odległości od statku, gdy tymczasem kapitan pilnował ich ze szpadą w ręce.

Kiedy zdobyto bogate łupy i przednią brandy, wszędzie wybuchły bójkki. Przypomniano sobie o dawnych sporach między wioskami lub kopalniami. Głód i nędza sprawiły, że nikt nie potrafił się oprzeć pokusie. Rozbitkowie ze statku mieli wrażenie, że znaleźli się na wybrzeżu dalekiego kraju zamieszkanego przez dzikie plemię – tysiące kobiet i mężczyzn mówiących barbarzyńskim językiem zamierzało

pozbawić ich odzieży i obrabować z dobytku.

Gdy zaczął się przypływ i woda podpełzła do burt statku, Ross wszedł na pokład po linie wiszącej na dziobie. Ujrzał dantejskie sceny. Na pokładzie leżeli pijani mężczyźni, inni walczyli o bele płótna, kotary lub skrzynki herbaty, często niszcząc to, o co się kłócili. Rozsądniejsi, podobnie jak Ross, który zdawał sobie sprawę, że zostało niewiele czasu, pośpiesznie opróżniali żaglowiec. „Pride of Madras” leżał na burcie, tak jak „Queen Charlotte”, i mógł się rozpaść w czasie przypływu. Do ładowni zeszyły dziesiątki mężczyzn, którzy pracowali przy świetle latarni. Podawali zdobycze towarzyszom znajdującym się na pokładzie, a ci przekazywali je innym stojącym na piasku wzdłuż burt. Byli to mieszkańcy St Ann’s. Na dziobie to samo robili górnicy z Illuggan.

Mieszkańcy Sawle i wioski Gambler zrywali boazerię w kajucie kapitańskiej. Wśród stukotu siekier w rogu spał spokojnie Paul Daniel. Ross chwycił go za kołnierz koszuli i postawił na nogi, lecz Paul tylko się uśmiechnął i upadł na podłogę.

Jack Cobbledick skinął głową.

– Nie kłopotz się, panie. Zabierzemy go, jak będziemy odchodzić.

Ross wyszedł na pokład. Porywisty wiatr był rzeński. Odetchnął głęboko. Wokół rozlegały się krzyki, śmiechy, śpiewy, uderzenia młotów, odgłosy bójek, a w tle słychać było inny dźwięk – potężny huk fal toczących się w stronę brzegu. Przypominał turkot setek wozów jadących po drewnianych mostach.

Ross wyminął dwóch mężczyzn walczących w zębie, poszedł na dziób i próbował obudzić kilku pijanych. Zwrócił się do pracujących mężczyzn, że nadchodzi przypływ, a oni w milczeniu skinęli głowami.

Popatrzył na plażę. W dalszym ciągu płonęły na niej beczki z sardynkami, wyrzucając fontanny iskier. Na ludzi na piasku padało czerwopomarańczowe światło. Byli jak żałobnicy krążący wokół stosów pogrzebowych otoczonych przez kłęby czarnego dymu. Pogański rytuał. Erupcje wulkanów na wydmach.

Ześlizgnął się po linie wzdłuż burty i stanął po kolana w wodzie.

Przepchnął się przez tłum. Miał wrażenie, że odzyskuje zdolność normalnego odczuwania emocji. Jakby w zdrętwiałej nodze znów zaczęła krążyć krew.

Rozejrzał się, szukając wzrokiem ocalałych członków załogi. Siedzieli skuleni z boku.

Kiedy się zbliżył, dwóch marynarzy wyciągnęło noże, a kapitan uniósł szpadę.

– Nie podchodź, człowieku! Odsuń się! Będziemy walczyć.

Ross przyjrzał się ocalałym. Kilkunastu drżących, wyczerpanych ludzi. Jeśli nie otrzymają pomocy, część może umrzeć do rana.

– Chciałem zaoferować wam schronienie – powiedział Ross.

Usłyszawszy kulturalny głos, kapitan opuścił szpadę.

– Kim pan jest? Czego pan chce?

– Nazywam się Poldark. W pobliżu znajduje się mój dwór.

Zaczęli się naradzać szeptem.

– I proponuje nam pan schronienie?

– Takie, jakim dysponuję. Ogień. Koce. Coś gorącego do picia.

Nawet teraz się wahali. Potraktowano ich tak niegodziwie, że cały czas bali się podstępu. Kapitan zamierzał zostać na plaży przez całą noc, by później złożyć zeznania przed sądem jako naoczny świadek. Jednak ośmiu pasażerów wypowiedziało się za przyjęciem propozycji Rossa.

– Bardzo dobrze, panie – rzekł kapitan, nie chowając szpady. – Proszę prowadzić.

Ross skinął głową i ruszył powoli. Obok niego siedł kapitan, tuż za nim dwóch uzbrojonych marynarzy, a dalej reszta rozbitków.

Minęli kilkudziesięciu ludzi tańczących wokół ogniska i pijących świeżo zaparzoną herbatę (łup z „Pride of Madras”) z dodatkiem brandy (łup z „Pride of Madras”). Wyprzedzili sześć mułów tak obła-

dowanych belami płótna, że przy każdym kroku kopyta zwierząt zapadały się głęboko w piasku. Minęli czterdziestu lub pięćdziesięciu ludzi walczących o cztery złote sztabki.

– Ma pan jakąś kontrolę nad tymi... dzikusami? – spytał kapitan głosem drżącym z oburzenia.

– Żadnego – odpowiedział Ross.

– Nie obowiązują tu żadne prawa?

– Nic nie powstrzyma tysiąca górników.

– To... to hańba! Wstyd i hańba! Dwa lata temu mój statek rozbił się u wybrzeży Patagonii i zostałem potraktowany w mniej barbarzyński sposób!

– Może tubylcy byli mniej głodni niż mieszkańcy tego okręgu.

– Głodni? Och, gdybyśmy wieźli żywność, a ci ludzie by głodowali...

– Wielu z nich głoduje od miesięcy.

– ...wtedy byłoby to jakieś usprawiedliwienie. Ale nie chodzi o żywność. Splądrowali statek, a my ledwo uszliśmy z życiem! Nigdy się czegoś takiego nie spodziewałem. To potworne!

– Na świecie dzieje się wiele potwornych rzeczy – odpowiedział Ross. – Cieszymy się, że zadowolili się waszymi koszulami.

Kapitan zerknął na Rossa. Przelotny blask latarni oświetlił szczupłą, kościstą, zmęczoną twarz, jasną bliznę na policzku, ciężkie powieki. Marynarz nie powiedział nic więcej.

Kiedy przeszli przez murek na końcu plaży, zauważyli grupę żołnierzy zbliżających się od strony dworu w Namparze. Ross zatrzymał się i patrzył. Po chwili usłyszał skrzypienie skóry.

– Oto przedstawiciele prawa, na których może pan liczyć.

Żołnierze podeszli do Rossa i kapitana. Dwunastu kawalerzystów pod dowództwem sierżanta. Kapitan McNeil i jego ludzie zostali odesłani kilka miesięcy wcześniej. Ross widział tych żołnierzy po raz pierwszy. Wymaszerowali z Truro po nadejściu wiadomości o katastrofie „Queen Charlotte”.

Sierżant wyjaśnił im to, kiedy kapitan wyrzucił z siebie potok skarg. Kawalerzystę otoczyli członkowie załogi statku i pasażerowie. Domagali się sprawiedliwości. Sierżant gładził się po podbródku i spoglądał na plażę, na której roiło się od górników.

– Jeśli pan tam zejdzie, pańscy ludzie znajdą się w niebezpieczeństwie, sierżancie – odezwał się Ross. Przez chwilę panowało milczenie, po czym znów popłynął potok gróźb i skarg wypowiedzianych przez ofiary katastrofy.

– Dobrze – rzekł sierżant. – Proszę się uspokoić! Powstrzymamy plądrowanie, nie ma obawy! Dopilnujemy, by niczego więcej nie ukradziono. Zajmiemy się tym.

– Radzę panu poczekać do rana – powiedział Ross. – Wtedy ci ludzie trochę się uspokoją. Niech pan pamięta o dwóch celnikach zabitych w Gwithian w zeszłym roku.

– Mam rozkazy, panie. – Sierżant zerknął niespokojnie na niewielki oddział żołnierzy, a następnie na masę ludzi kłębiących się na plaży. – Powstrzymamy plądrowanie – powtórzył i poklepał swój muszkiet.

– Ostrzegam pana – odparł Ross. – Połowa z nich jest pijana, a wielu walczy między sobą. Jeśli pan zainterweniuje, przestaną się kłócić i zwrócą się przeciwko panu. Na razie to tylko bójki na pięści i kije. Ale jeśli zacznie pan do nich strzelać, nawet połowa pańskich ludzi nie wyjdzie z tego żywa.

Sierżant ponownie się zawahał.

– Radzi pan czekać do świtu?

– To pańska jedyna szansa.

Kapitan żaglowca znów wybuchnął, ale zakrzyczała go część pasażerów, dygocących z zimna i bliźkających śmierci z wyczerpania. Poprosili Rossa, by udzielił im schronienia.

Ross zaprowadził ich do Nampary, pozostawiając żołnierzy na skraju plaży, ciągle niepewnych, co robić. Zatrzymał się przed drzwiami i powiedział:

– Proszę mi wybaczyć, panowie, ale muszę prosić o ciszę. Moja żona dochodzi do zdrowia po ciężkiej chorobie i nie chciałbym zakłócać jej spokoju.

Rozmowy powoli ucichły i zapadła cisza.

Wprowadził ich do domu.

Rozdział jedenasty

Ross obudził się o świcie. Spał ciężko przez siedem godzin. W dalszym ciągu czuł ból z powodu śmierci Julii, ale gwałtowne emocje wyzwolone w ciągu nocy złagodziły ten ból. Po raz pierwszy od tygodnia zrzucił ubranie, po raz pierwszy naprawdę wypoczął. Poszedł do swojego dawnego pokoju, bo zeszłego wieczoru Demelza czuła się lepiej, a Jane Gimlett powiedziała, że prześpi się w fotelu przy kominku.

Ubrał się po cichu, szybko i niezgrabnie. Na dole, w salonie i dwóch przyległych pomieszczeniach spało dwudziestu dwóch mężczyzn. Niech odpoczną. Wysiłki poprzedniej nocy sprawiły, że wróciła sztywność nogi zranionej przez kulę z francuskiego muszkietu, i Ross podszedł do okna, wyraźnie kulejąc. Wiał porywisty wiatr, a szybę pokrywała warstwa soli. Otworzył okno i popatrzył na plażę Hendrawna.

Niedawno wstał świt i na jasnym niebie na wschodzie płynął rząd siedmiu ciemnych chmur: złowrogie potomstwo burzy. Trwał odpływ. Oba wraki wystawały z morza. „Queen Charlotte”, opuszczona przez załogę, wyglądała jak stary wieloryb wyrzucony na brzeg. Wokół „Pride of Madras” w dalszym ciągu kręciły się dziesiątki postaci. Na początku Ross myślał, że strone urwiska w pobliżu Wheal Leisure zostały przez nich ozdobione wskutek jakiegoś kaprysu, lecz po chwili zorientował się, że przyczyną była wichura, która poniosła kosztowne jedwabie w niedostępne miejsca. Na plaży i wydmach leżały towary wyrzucone na brzeg, chociaż większość zniknęła.

W nocy doszło do rozlewu krwi.

Jack Cobbledick rozmawiał z Rossem tuż przed północą i powiedział, że na plaży pojawili się żołnierze próbujący pilnować wraku. Ale zmusił ich do odejścia przypływ, a ludzie pładrowali statek, nie zwracając uwagi na wojsko. Sierżant, który próbował rozwiązać konflikt pokojowymi metodami, został pobity. Żołnierze strzelali w powietrze, by odstraszyć tłum. Tysiąc rozjuszonych mężczyzn zmusiło ich do odwrotu.

Krótko po tym przyłapano jednego z górników z Illuggan, gdy napastował kobietę z St Ann’s, i doszło do ogólnej bijatyki. Dopiero przybierająca woda, która mogła porwać łupy, położyła temu kres. Ale na plaży pozostało stu nieprzytomnych ludzi.

Ross nie wiedział, czy w czasie odpływu żołnierze ponownie próbowali opanować statek, lecz uważał to za mało prawdopodobne. Przypuszczał, że dyskretnie obserwowali wydmy, gdy tymczasem sierżant posłał po posiłki.

Za sześć godzin oba żaglowce zmieniają się w drewniane szkielety i nie zostanie na nich nic, co miałoby jakąkolwiek wartość. Znikną nawet deski pokładów.

Zamknął okno, a kiedy ujrzał przed sobą szklane szybki oprawione w ołów, znów poczuł ból po śmierci córki. Miał wielkie nadzieje związane z Julią, obserwował, jak rośnie, i widział kształtowanie się cech jej charakteru. Trudno było sobie wyobrazić, że nigdy się nie rozwiną, że cała ta słodycz wyschnie u źródła i obróci się w proch. Trudne do uwierzenia i trudne do zniesienia.

Powoli włożył kamizelkę i surdut i pokuśtykał na dół. W sypialni Jane Gimlett drzemała przed wygasłym kominkiem. Demelza nie spała.

Ross usiadł obok łóżka i ujął jej dłoń. Żona była wymizerowana i słaba, ale czuł, że powracała jej siła.

– Jak się czujesz?

– Znacznie, znacznie lepiej. Przespałam całą noc. Och, Ross... Och, kochany. Czuję, że wracam do zdrowia. Za kilka dni wstanę.

– Musisz jeszcze poleżeć.

– A ty spałeś?

– Jakbym... – Zmienił porównanie. – Jakbym się upił.

Ścisnęła jego dłoń.

– A marynarze ze statku?

– Nie chodziłem na brzeg.

– Nigdy nie widziałam prawdziwej katastrofy morskiej – rzekła. – Nie w ciągu dnia.

– Niedługo zaniosę cię do naszej starej sypialni i będziesz mogła popatrzeć przez lunetę.

– Dziś rano?

– Nie, nie rano.

– Szkoda, że nie jest lato – odpowiedziała. – Nie mogę się go doczekać.

– Przyjdzie.

Zapadła chwila milczenia.

– Jutro chyba będzie już za późno, by obejrzeć wrak.

– Ciii! Obudzisz Jane.

– Mógłbyś mnie owinąć kocami. Nic by mi się nie stało.

Westchnął i przyłożył dłoń Demelzy do swojego policzka. Nie było to smutne westchnienie, bo jej powrót do zdrowia działał na jego duszę jak balsam. Szybko zapominała o cierpieniu i stracie, ponieważ miała w sobie ogromną żywotność. Ross był brutalnym, niekiedy aroganckim mężczyzną, lecz Demelza odznaczała się większą odpornością – potrafiła lepiej przystosować się do sytuacji. Nie znaczyło to, że nie opłakiwała śmierci Julii, że nie cierpiała. Ale Ross rozumiał, że to ona pierwsza odzyska równowagę. Może dlatego, że jego spotykały najgorsze rozczarowania, niepowodzenia? Jednak przede wszystkim dlatego, że ona pragnęła szczęścia. Taka się urodziła i nie mogła tego zmienić. Dziękował za to Bogu. Cokolwiek ją spotka, gdziekolwiek się znajdzie, zawsze będzie taka sama. Skupi swoje zainteresowanie na tym, co kocha. Poświęci się wychowaniu dzieci...

Ach, właśnie na tym polega problem...

Zauważył, że na niego patrzy.

– Masz jakieś nowiny z Trenwith? – spytała.

– Żadnych od czasu, gdy z tobą rozmawiałem. – Spojrzał na nią i zrozumiał, że mimo straty córki nie ma pretensji do Elizabeth i Francisa. Poczuł wstyd, że on sam ma do nich żal.

– Ktoś zginął na „Pride of Madras”?

– Żaden z pasażerów. Kilku członków załogi.

Westchnęła.

– Zdaje się, że górnicy z Illuggan i St Ann’s kompletnie zdeptali ogród. Przez cały wczorajszy wieczór słyszałam, jak przez niego przechodzili, a Jane mówi, że prowadzili muły i osły.

– Jeśli coś zniszczyli, można to naprawić – odpowiedział Ross.

– Był z nimi ojciec? Widziałeś go?

– Nie.

– Może zmienił się również pod tym względem. Wątpię, czy na brzegu było wielu metodystów. Zastanawiam się, co na to powie.

Ross wiedział, że Demelza nie ma na myśli katastrofy.

– Nie mogliśmy nic zrobić, moja droga. Nie mogliśmy nic zrobić.

Skinęła głową.

– Chyba tak. Czasami się zastanawiam, czy w ogóle miała jakąś szansę.

– Dlaczego?

– Sama nie wiem. Od razu bardzo źle się poczuła. I była taka mała...

Zapadło długie milczenie. W końcu Ross wstał i odsłonił okno. Nawet to nie obudziło Jane Gimlett.

Wzeszło słońce i ozłociło rozkołysane czubki drzew w dolinie.

Kiedy wrócił do łóżka, Demelza ocierała oczy.

– Chyba... chyba podobasz mi się z brodą, Ross.

Uniósł dłoń do policzka.

– Cóż, źle się z nią czuję. Ogolę się dzisiaj.

– Będzie ładny dzień, nie sądzisz?

– Dość ładny.

– Chciałabym zobaczyć słońce. Ten pokój ma tę wadę, że słońce pojawia się dopiero po południu.

– Jak tylko poczujesz się lepiej, wrócisz na górę.

– Ross, chciałabym znowu zobaczyć naszą sypialnię. Pozwól mi iść na górę, proszę, tylko na kilka minut. Myślę, że zdołam wejść sama.

– Dobrze, jeśli chcesz – odpowiedział pod wpływem impulsu.

Uniósł Demelzę, owinał jej nogi kocem, narzucił dwa inne na ramiona i wziął ją na ręce. Bardzo schudła, ale w jakiś sposób dotyk ręki, którą objęła go za szyję, jej żywe ciało, podziałał na niego uspokajająco. Wyślizgnął się cicho z pokoju, starając się nie obudzić Jane, i wspinał się po skrzypiących schodach. Wniósł żonę do sypialni i położył na łóżku. Podeszedł do okna, otworzył jedno ze skrzydeł i wytarł warstwę soli. Zamknął okno i wrócił do łóżka. Po twarzy Demelzy spływały łzy.

– Co się stało?

– Łóżeczko – odpowiedziała. – Zapomniałam o łóżeczku.

Objął ją ramieniem i przez kilka minut siedzieli w milczeniu. Potem wziął ją na ręce, zaniósł do okna i posadził w fotelu.

Spoglądała na miejsce katastrofy, a Ross patrzył na nią z policzkiem przyciśniętym do jej policzka. Wzięła róg koca i usiłowała powstrzymać łzy.

– Klify są takie ładne z tymi wszystkimi jedwabiami... – powiedziała.

– Tak.

– Targ w Redruth – dodała. – Plaża przypomina jarmark nazajutrz po jego zakończeniu.

– Warto by posprzątać, ale morze świetnie sobie z tym poradzi.

– Chciałabym się pogodzić z Francisem, Ross – rzekła. – Tak byłoby lepiej dla nas wszystkich.

– Któregoś dnia.

– Wkrótce.

– Wkrótce. – Nie miał serca sprzeczać się z nią w tej chwili.

Na twarz Demelzy padły promienie słońca, oświetlając chude policzki i bladą skórę.

– Kiedy zdarzają się takie rzeczy jak to wszystko, co nas niedawno spotkało, nasze kłótnie wydają się małe i nieistotne. Jakbyśmy się sprzeczali, nie mając do tego prawa. Czy nie powinniśmy odnaleźć w sobie przyjaźni?

– Jeśli można ją odnaleźć!

– Nie powinniśmy jej przynajmniej poszukać? Spróbujmy zapomnieć o dawnych sporach, wyrzucić je z pamięci, aby Verity mogła nas odwiedzić, a my żebyśmy mogli pojechać do Trenwith? I moglibyśmy żyć w przyjaźni, nie w nienawiści, gdy jest jeszcze czas.

Ross milczał.

– Moim zdaniem jesteś mądra, Demelzo – rzekł w końcu.

– Nie muszę już kończyć tej sukienki dla Julii – odpowiedziała. – Miała być piękna...

– Chodź, przeziębisz się! – ponaglił.

– Nie, jest mi ciepło, Ross. Pozwól mi posiedzieć dłużej na słońcu.

Przypisy końcowe

1. *Biblia, to jest księgi Starego i Nowego Testamentu*, przeł. Jakub Wujek, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa (bez roku wydania; przedruk edycji krakowskiej z 1599 roku), Księgi Trzecie Królewskie, XII, 11, s. 345 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza). ↵
2. *Op. cit.*, Księga Przypowieści, XXIII, 31–32, s. 616. ↵
3. *Op.cit.*, Księgi Psalmów, XXXIX, 3, s. 543. ↵
4. *Op. cit.*, List św. Pawła do Żydów, III, 14, s. 242. ↵